

Kerstin Ekman

CZARNA WODA

przełożyła Anna Węgleńska

**WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA WARSZAWA 1997**

Tytuł oryginału: Handelser ind vatten

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Redakcja: Wiesława Karaczewska

Redakcja graficzno-techniczna: Mariusz Jaśtak

Korekta: Joanna Ziolo

© Kerstin Ekman 1993

First published by Albert Bonniers Forlag AB, Stockholm © for the Polish edition by

MUZA SA, Warszawa 1997 © for the Polish translation by Anna Węgleńska

ISBN 83-7079-806-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA Warszawa 1997

I

Nagły dźwięk. Obudziła się. Była czwarta rano. Czerwone wskazówki na zegarze radiowym wskazywały czwartą zero dwie. W pokoju szarzało. Na szybach krople deszczu tworzyły pasiasty deseń, za oknem unosiły się opary nad wilgotną trawą. Nie bała się. Ale była czujna. Teraz zorientowała się, co to było: silnik samochodu na niskich obrotach. Tak wcześniej nikt nie mógł mieć do niej żadnej sprawy. Saddle, rozciągnięta na baranicy pod łóżkiem, ciągle jeszcze spała. Saddle miała trzynaście lat i była głuchawa.

Trzasnęły drzwi samochodu. Drugie też. A więc co najmniej dwie osoby. I ta cisza. Żadnych głosów.

Sypiała z dubeltówką w zasięgu ręki. Łóżko było trochę odsunięte od ściany, na tyle, żeby mogła tam stać strzelba. Bardzo ładna broń, hiszpański wyrób. Sabela. Naboje trzymała za radiem. Złamanie strzelby i włożenie naboju zabierało jej dwadzieścia dwie sekundy. Ćwiczyła to na czas. Ale nigdy nie musiała ładować broni w obliczu prawdziwego zagrożenia.

Dom był zamknięty. Nie zdarzyło się, aby zapomniała zamknąć drzwi wejściowe. Przez osiemnaście lat.

Teraz leżała z ręką na starannie wytoczonej kolbie strzelby, pod palcami czuła jej matową, litą powierzchnię. Ścierpła i trochę zmarzła.

Musi być teraz zamknięty w swoim wnętrzu, skleiony we śnie jak koperta. Ale podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale i uświadomiła sobie, jak był przyzwyczajony do budzenia. Pomyślała też, że powinna mu pozwolić pospać tego sobotniego ranka.

- To tylko ja. Przepraszam. Budzę cię oczywiście.
- To nic. Jesteś chora? Głos miał zachrypnięty.
- Nie, nie.
- To co się dzieje?

Co ona ma powiedzieć? Czekał.

- Widziałam go. Wiesz. Tego, co tamtej nocy. Milczał. Ale musiał wiedzieć, o kim mowa, bo nie powtórzył pytania.
- To przecież niemożliwe - odezwał się w końcu.
- Możliwe, widziałam go.
- Nie potrafiłabyś go rozpoznać.
- A jednak rozpoznałam. Słyszała, jak ciężko oddycha ustami.
- Nie wiem, kim on jest - powiedziała. - Ale wkrótce się dowiem. Nie mogę teraz dłużej rozmawiać. Zadzwoń później.

Nie chciał skończyć. Rozumiała, że pragnął ją uspokoić, może przekonać, że się myliła. Ale powiedziała do widzenia. Kiedy kładła słuchawkę, nadal słyszała jego oddech.

Głos w niej pozostał. Jak gdyby dalej mówił prosto w jej ucho. Ciepło tego głosu. Wilgoć owłosionej piersi. Dolina w nocy pełna mgły, ptaki wśród listowia.

Teraz trzeba tylko czekać.

Mia nie spała długo. Kiedy zeszła na dół, Annie siedziała i piła kawę. Wargi Mii były pogryzione, twarz sprawiała

10

wrażenie nieobecnej. Powinna być zakłopotana, że nie zadzwoniła i nie zawiadomiła o przyjeździe.

Ale pewnie wcale nie planowała odwiedzin. Przyjechała samochodem tego mężczyzny. Widać było, że cały czas o nim myśli. I on nie rozptynie się jak

deszczowe chmury ponad górą, które zniknęły z nastaniem chłodnego poranka.

Muszą

o nim mówić.

- Ile kwiatów - odezwała się w końcu Mia. Pewnie nawet nie przemknęło jej przez głowę, że było zakończenie roku szkolnego. - Nie dzwoniłam. Po prostu tak się złożyło, że przyjechaliśmy.

Powiedziała „my” w sposób zupełnie naturalny.

- Mieliśmy przenocować w Nirsbuan.

- Zrezygnowaliście?

- Strasznie tam zimno. Jest tylko ten mały piecyk, no

i nie ma drewna. Ale widzieliśmy cietrzewie. Tokują na mokradłach.

- Jeszcze?

- Na górze jest śnieg. W każdym razie w niektórych miejscach.

Usiadła naprzeciwko Annie, obiema rękami trzymając gorący kubek herbaty. Włosy wyschły, znów były skręcone i mieniły się czerwienią. Na strychu znalazła stary dres. Wyblakły niebieski, bluza miała z przodu napis COUP DU MONDE.

- Przywiózł mnie Johan Brandberg - powiedziała. - Wiesz, kto to taki?

- Nie.

- Nie, jasne, przecież nie było go tutaj. Przez wiele lat.

- Osiemnaście. Podniosła wzrok.

- A więc wiesz, kto to?

- Widziałam go.

11

Mia nie mogła wiedzieć, co wtedy widziała jej matka, bo leżała zanurzona w trawie, z twarzą przyciśniętą tak mocno do ziemi, że zdźbła trawy i mech odcisnęły swój wzór na delikatnej skórze.

Zadzwoił telefon. Annie podniosła słuchawkę i poznała, że ktoś dzwoni z automatu.

Głos pytający o Mię był dźwięczny. Zdecydowanie zbyt dźwięczny jak na jego wiek.

Zobaczył ją? Sięgnął pamięcią do tamtego czasu?

Skończywszy rozmowę, Mia wyszła. Powiedziała, że Annie nie musi jej odwozić.

Dzwonił z automatu na dole, przy sklepie, tam się zatrzymał i czeka w samochodzie.

12

Mia była z nią, kiedy to się wydarzyło. Annie próbowała utrzymać przed nią sprawę w tajemnicy, zachowała więc w pamięci zaledwie kilka obrazów. Ale słyszała naturalnie,

jak potem opowiadano o tym aż do znudzenia, ta gadanina budziła odrazę. Kiedy

Mia mówiła, że wychowała się w Czarnej Wodzie, ludzie wykrzykiwali: „Ach! Tam!”

Na początku lat siedemdziesiątych Czarna Woda była jedną z wielu umierających wiosek. Deszcz siekł w twarze przy ognisku w Noc Walpurgi. Powietrze śmierdziało ropą. Ludzie napełniali słoiki po kawie nasączonymi ropą trocinami i podpalali je. W ten jeden wieczór w roku drogi jarzyły się takimi latarniami przez kilka godzin. I to wszystko.

A potem wioska stała się czarnym klejnotem. Widzialnym. Pełnym mocy.

Tak, to było tutaj. A ściślej, cztery kilometry w górę, licząc od wioski, nad wodą, którą nazywano Lobberan. Miała też inne nazwy i otrzymała pewnie jeszcze nowe.

Miejscami był to rwący strumień, który trochę wyżej spadał, tworząc siklawy. Ale tutaj otwierało się kilka dużych i głębokich oczek spokojnej wody między bystrzami. Brzegi były podmokłe i porośnięte łożyną. Rosły tam mleczce i tojady,

13

wysokie ponad głowę, i gdy człowiek próbował przedostać się tamtędy, mógł wpaść w norę bobra. Wzdłuż rzeki ciągnęły się niedostępne mokradła, pocięte krzyżującymi się ścieżkami zwierząt. Miejsce nie miało nazwy.

14

Wigilia sobótki prawie osiemnaście lat temu. Upalny dzień. Przyjechały do Ostersundu pociągiem. Wiedziała to. Ale skąd to wiedziała?

Wyraźnych i pewnych obrazów pozostało w pamięci właściwie kilka. Stała z korbką telefonu w ręce. To był fakt i to pamiętała. Ale niewiele więcej. Upał. Tego dnia, później, asfalt przed sklepem „Tempo” zrobił się miękki.

Nie pamiętała, jak były ubrane ani o której godzinie przyjechał pociąg. Musiały długo czekać na przystanku autobusowym. Autobus do Czarnej Wody odchodził o wpół do trzeciej, tak jak dziś. Przez tyle lat nie zmieniono rozkładu.

Była to wigilia sobótki, a więc piątek. Dawniej wigilie sobótek przypadały w sobotę. Nieustannie czegoś poszukiwała. O tej podróży nie było ani słowa w jej notatnikach, jeszcze nie istniały. Samotność jeszcze się nie zaczęła. Wciąż wszystko było pełne szaleństwa. Śpiewało jej w głowie, w całym ciele. Miała zacząć nowe życie.

I zaczęła. Kiedy spróbowała pokręcić korbką telefonu, by wezwać taksówkę, korbka urwała się i została jej w ręku. Powinna była pomyśleć: to nie jest dobry początek.

Ale nie pomyślała. Pieśń rozbrzmiewała w niej zbyt silnie.

Udało jej się złapać taksówkę na ulicy i długo jechały przez Óstersund. Po południu siedziały na ławce w parku i jadły kupione w sklepie sandwicze. Ostatni raz, pomyślała

15

prawdopodobnie. Wsiadły do autobusu z całym bagażem i z zakupami. Przy Grobowym Zagajniku Mii zrobiło się niedobrze. Nazwa była przerażająca i dlatego zapamiętała, że tam się to zaczęło. Wsiadł jakiś starszy mężczyzna, śmierzący kozami. W zatłoczonym autobusie upał narastał i zrobiło się duszno. Odór brudu i koziej obory, bijący od mężczyzny, buchał falami, które napływały nieregularnie, być może pod wpływem ruchu w autobusie. Wciąż wsiadali i wysiadali ludzie z pełnymi torbami. Robili zakupy w Ostersundzie. Pomyślała, że już nie mogłaby w ten sposób robić zakupów. Siedziała, trzymając w pogotowiu papierową torebkę, bo Mię cały czas mdliło. Na każdym przystanku wysiadały na chwilę, żeby Mia mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Tego popołudnia było jednak straszliwie parno. Po godzinie starszy mężczyzna wysiadł i zrobiło się trochę lepiej. Zgrzana i zmęczona Mia usnęła na jej kolanach.

- Teraz będzie lżej - odezwał się kierowca.

- Daleko jeszcze?

- Jedziesz do Czarnej Wody, prawda? Jesteś jedną z tych z Gwiazdnej Góry?

- Nie

Nic mu do tego.

- A więc na urlop?

Uznała to pytanie za niemądre. Nie mógł jednak wiedzieć, że ona rozpoczyna właśnie nowe życie. Aby uniknąć kolejnych pytań, przytaknęła, że tak, na urlop. Mia spała, nie mogła więc zaprzeczyć. W końcu Annie nie dowiedziała się, jak daleko jeszcze do Czarnej Wody. Kierowca więcej z nią nie rozmawiał.

Potem zaczęły się lasy i wielkie poręby. Autobus nie przystawał już tak często. W każdej wiosce na podestach.

16

przed sklepami wystawione były skrzynki z mlekiem i różnymi artykułami żywnościowymi. Pracownicy urzędów pocztowych otwierały kierowcy drzwi, a on

wnosił worki z pocztą. Ludzie siedzieli w samochodach, czekali na listy i wieczorną prasę. Popijali piwo, wołali coś do siebie i do kierowcy.

- Co oni mówią? - zapytała Mia szeptem.

Ale Annie też nie rozumiała, co krzyczą.

Jechały przez nieznaną okolice. Duże, zimne jezioro zamajaczyło pomiędzy pniami drzew, przerwało na chwilę monotonię krajobrazu, za moment zniknęło i pojawiło się inne. Nie wiedziała, że jadą wzdłuż łańcucha jezior, który ciągnie się aż do wysokich gór w Norwegii. Tam jeziora brały początek z mokradeł i strumieni górskich. Na porębach rozległa sieć arterii wodnych urywała się, a wyschnięta ziemia wyglądała jak narośl na ciele krajobrazu. Nie wiedziała też, że są to tylko małe poręby, widoczne z drogi, a coraz większe tereny zostawały całkowicie pozbawiane więzi z chmurami i nawet gdy nasączył je kwaśny deszcz, nie mogły już niczego oddać. Dopiero wieczorem dojechały do Róback, gdzie był kościół. Miały się wpisać do księgi parafialnej. Gmina była duża. Nie wiedziała, jak daleko się rozciąga. Wsiadły i gdy kierowca wyładowywał towary przed sklepem, przyglądały się kościołowi, którego mury, zalane silnym blaskiem wieczornego słońca, niemal oślepiły. Kościół stał na końcu cypla wysuniętego w jezioro Rósjón i od wody odgradzał go biały parkan, który wyglądał jak reling łodzi. Cały kościół wraz z cyplem wcinającym się w duże górskie jezioro przypominał statek. Może było to specjalnie tak pomyślane, żeby w dniu Sądu Ostatecznego mógł odpłynąć od brzegu ze wszystkimi swymi zmarłymi.

Woda wyglądała na zimną. Nieco dalej brzegi pokrywał ciemny las świerkowy, ale tuż nad wodą nie było żadnej

17

zieleni. Nagie głazy i bloki skalne opadały ku jezioru. Wiedziała, że jest zimne.

Dwanaście, trzydzieści stopni, napisał Dan.

- Patrz, jakie dziwne dzieci - odezwała się Mia.

Do autobusu podeszła niewielka grupka dzieci. Było ich czworo, szły gęsiego. Trzy dziewczynki w długich spódnicach, z warkoczami, niosły plecaki z kory brzoźowej, i jeden chłopiec, we włóczkowej czapce, której nauszники dyndały, gdy szedł. Przez chwilę dzieci rozmawiały z kierowcą. Potem cała grupka ruszyła powoli szosą. Annie miała wrażenie, że patrzy na wyświetlany kadr, fragment ze starego filmu albo z jakiegoś innego czasu niż ten, który jest teraz, gdy skrzynki z mlekiem stawiano z łoskotem na podejście przed sklepem. A może to nie są dzieci?

- Może to mały ludek? - spytała Mię, ale zaraz tego pożałowała, bo Mia z wielką powagą śledziła wzrokiem niewielką grupkę, która właśnie zniknęła za zakrętem.

Kierowca pomachał im ręką. Czas ruszać w drogę.

Czarna Woda była ostatnim przystankiem autobusowym. Tego wieczora jezioro lśniło. Podnóże góry odbijało się w wodzie, ciemnogramatowe, trochę dalej widać było ostre kontury świerków, ze wszystkimi szczegółami, tak samo wyraźnych jak te prawdziwe. I nie wyglądało to na lustrzane odbicie w wodzie, tylko na inny przestwór powietrza, gdzieś w głębi, ciągnącej się w dół długimi, lesistymi zboczami, aż do dna, którego nie mogły zobaczyć.

Wsiadły zdrętwiałe. Wargi Mii były suche i popękane. Sok skończył się już dawno. Annie rozglądała się za Danem, żeby zaopiekował się Mią, kiedy ona pobiegnie do sklepu, by kupić coś do picia. Było wpół do ósmej i sklep już zamknięto. Ale sprzedawca był jeszcze, bo wyładowywano towa-

18

ry. Przez cały czas przyjeżdżały i odjeżdżały samochody. Ludzie zabierali pocztę i gazety, tak samo jak w mijanych wioskach.

Nie widziała ani volkswagena, ani Dana. Mia nie chciała zostać sama na placu przed sklepem. Schwyciła Annie za rękę. Jej drobna trójkątna twarz była szara pod piegami, pot wysechł, a włosy przylepiły się do skroni i czoła. Chciało jej się siusiu i pić, i pewnie także trochę jeść. Dopóki jednak nie było Dana, Annie niewiele mogła dla niej zrobić. Musiała przypilnować, żeby kierowca wyładował wszystkie ich bagaże. Zatrzymuje się tu na kwadrans, powiedział; przypuszczała, że to dlatego Dan nie pojawił się jeszcze.

Gdy wszystkie samochody odjechały, sprzedawca zamknął sklep i zszedł do domu stojącego na cyplu. Na żwirowanym placu zostały same ze swoimi walizkami i pudłami. Gdy umilkł warkot samochodów, nastąpiła nagła cisza. Dziwnie było doświadczać tego spokoju, do którego tęskniła, a jednocześnie czuć się tak niepewnie. Dan powinien już tutaj być.

19

W wigilię sobótki Johan Brandberg siedział przy biurku w swoim pokoju. Było upalne popołudnie. Siedział i czytał o wyprawie na Antarktydę na pokładzie „Maud” w latach pięćdziesiątych. Był wolny. Kiedy skończyła się nauka w szkole, zaczął pracować z ojcem przy karczowaniu lasu.

o innym zajęciu w ogóle nie było mowy. Później, w lecie, on i Vaine mieli zalesiać teren. Zastanawiał się, jak się będzie czuł, przebywając z Vainem całymi dniami poza domem. Przyrodni brat, zaledwie o rok od niego starszy, był o wiele silniejszy. Nie tylko pod względem fizycznym. Johan przypomniał sobie łajkę i ogarnęło go takie obrzydzenie, że w dusznym pokoju poczuł mdłości.

Oparł się o biurko i otworzył okno. W dole widział podwórze, stodołę i zagrodę z kilkoma kozami Vidarta, które w środku wyskubały wszystko do czysta. Po drugiej stronie płotu trawa była jednak gęsta i usiana kwiatami. Dostrzegł jaskry.

W czasie październikowego polowania na łosie łajka dwukrotnie przysłała do domu i siadła na schodach. W sobotę, dzień przed dzieleniem mięsa, Torsten ją zastrzelił. Przez całą niedzielę jej zwłoki leżały w drewnitni. Potem Torsten powiedział Vainemu, żeby je zakopał.

Johan pamiętał tamten odgłos, gdy Vaine za stodołą wbijał łopatę w porośniętą trawą ziemię. Była już porządnie

20

zmarznięta. Siedział wtedy tak samo przy biurku, ale przed sobą miał podręcznik do nauki o społeczeństwie. A gdyby tak mnie kazał kopać, pomyślał. Gdybym tak zwymiotował przy kopaniu tego dołu.

W poniedziałek był już w szkolnym autobusie i oddalał się od tego wszystkiego.

Teraz musi tu zostać. Przez cały tydzień. Przez wszystkie tygodnie aż do dwudziestego drugiego sierpnia. Będą karczować sosny na ośmiu hektarach, a potem sadzić młode na wyrębie powyżej Aldy.

W tej chwili jednak jest wolny i siedzi tu sobie z książką, wolny dzięki Gudrun. I może zostać weterynarzem. Albo geodetą. Książek jest bez liku. Nie wszystko jest taką beznadzieją, nawet dla Torstena. Per-Ola pracuje w Are jako dźwigowy. Bjórne zajmuje się wyrębem dla koncernu celulozowego SCA i to samo robił w zeszłym roku Pekka. Ostatnio mówił coś o kopalniach na Spitsbergenie. Albo platformie wiertniczej. Ale to było pewnie tylko takie tam gadanie. A może marzenia.

Pekka miał marzenia w środku papki, którą nazywano substancją mózgową. A co jest w jądrach? Moje wyglądają tak samo, pomyślał. I mam taką samą substancję mózgową.

Ale nie te same geny.

Teraz naszły go te myśli. Żyły w nim i chciał, żeby żyły. Nigdy jednak nie odważył się zapytać Gudrun. Nie wprost.

Nasunęły mu się pewnego razu, gdy jechał z nią na nartach. Miał wtedy jedenaście czy dwanaście lat. W każdym razie był na tyle duży, że dał sobie radę na Niedźwiedziej Górze. Podchodzili właśnie po ostatnim urwistym zboczach, gdy usłyszeli skuter śnieżny. Z początku nie wiedzieli, skąd dochodzi dźwięk, potem nagle znów zapadła cisza. Ale gdy podeszli jeszcze trochę wyżej i właśnie mieli odpiąć narty, żeby ostatni kawałek drogi przejść po lodzie, zobaczyli odcinającą się na tle nieba sylwetkę mężczyzny na skuterze.

21

Johan mógł przywołać to wspomnienie w każdej chwili. Wysoki mężczyzna. Pomarańczowy polar i wytarte czarne skórzane spodnie. Pas ze srebrnymi nitami i nóż w rogowej pochwie. Był to największy nóż, jaki Johan kiedykolwiek widział, silnie zakrzywiony na końcu. Mężczyzna zdjął czapkę i położył ją na siedzeniu skutera. Włosy miał czarne, na skroniach pasma, które wyglądały jak ze srebra. W jasnym świetle wąskie szparki oczu, w głębi czarne. A za mężczyzną, z tyłu, białe, poszarpane norweskie góry.

- Szuka swoich renów - powiedziała Gudrun.

Gdy podeszli, zawołał: „Bouregh!”. Potem rozmawiali już po lapońsku. Johan nie rozumiał nawet jednej dziesiątej i był mocno zawstydzony, gdy wysoki mężczyzna powiedział coś do niego, a on nie potrafił odpowiedzieć. Lapończyk zmierzwił mu włosy i poklepał go po ramieniu.

Johan w każdej chwili mógł przywołać tamten obraz. Ale nie nadużywał tego. To nie mogło zostać wyczerpane. Ani ten widok tam, w górze, ani rysująca się na tle nieba sylwetka wysokiego mężczyzny, który był jego ojcem.

Tak. Nie znajdował innego wyjaśnienia.

Dobiegł go warkot samochodu Vidarta. Był to duett z popsutym tłumikiem. Psy musiały usłyszeć samochód o wiele wcześniej, bo już od dłuższego czasu czekały. Vidart naprawiał samochody, czasami pośredniczył, kupując i sprzedając używane. Volvo duetta potrzebował tylko do wożenia baniek z mlekiem. Zazwyczaj przez gospodarstwo Torstena Brandberga przewoziła je żona Vidarta. Ale to już się skończyło.

Cholerny włóczęga, powiedział kiedyś Torsten. Kuternoga, co nie potrafi porządnie pracować. Wyliczono mu, że ma zapłacić pięć tysięcy podatku. Jasne, że musi kraść.

22

Torsten sam kupił od Vidarta cztery zupełnie nowe opony firmy Hakkapeliitta. Dał za nie jedenaście setek. I nie ukrywał tego. Przy kuchennym stole opowiedział, że Vidart po prostu zadzwonił do towarzystwa ubezpieczeniowego i oznajmił: „Dziś w nocy ukradziono mi cztery nowe opony Hakkapeliitta. A najgorsze, że obiecałem je takiemu jednemu, co miał dziś jechać na nich do pracy. Musicie mi więc wypłacić odszkodowanie od razu”.

- Czy Vidart jest włóczęgą? - spytał potem Johan Gudrun. Nie potrafiła jednak na to odpowiedzieć.

Torsten twierdził, że jeśli ludzie tak kogoś nazywają, to jest to prawda.

- Dlaczego on nienawidzi Vidarta? - zastanawiał się Johan. Co za słowo! Ale Gudrun pozwoliła, aby dalej rozważał tę sprawę. Jak gdyby sama w duchu wypróbowała brzmienie tego słowa w odniesieniu do Torstena i Vidarta.

- Nigdy nie lubił Vidarta - powiedziała w końcu. - Pewnie dlatego, że jest tu nowy.

Vidart mieszkał w Czarnej Wodzie dopiero od siedemnastu lat. Dłużej niż Johan żył na świecie. Ogrodzenie dla kóz Harry'ego Vidarta zajmowało część łąki. Kozy

skakały pomiędzy wrakami samochodów i obgryzały do czysta wszystkie pnie. Torsten kazał Vidartowi wywieźć zardzewiałe vol-vo PV i przesunąć dalej ogrodzenie pod napięciem. Ten kawałek łąki przy drodze należy do Brandbergów. Torsten mówił o tym już dawno temu. Vidart kupił gospodarstwo od wdowy po starym Enokssonie, a ona nie wiedziała, jak właściwie było z tym ogrodzeniem. Większość ludzi utrzymywała, że droga w górę jest publiczna, ale Torsten twierdził, że ten kawałek od stodoły jest jego, tak samo jak miejsce, gdzie stoi volvo. Przerdzewiały wrak połyskiwał rudą czerwienią, a kozy wlażyły na niego, żeby dosięgnąć wierzby, która jeszcze się zieleniła. Wewnątrz

23

zagrody wyglądało, jakby wybuchła tam bomba z trucizną i ogołociła wszystko z liści. Tuż przed nastaniem lata Torsten po raz ostatni powiedział Vidartowi, żeby zabrał wrak i przesunął ogrodzenie. Ma to zostać zrobione najpóźniej do poniedziałku, oznajmił. To było w tym samym tygodniu co zakończenie roku szkolnego.

Vidart zmniejszył trochę ogrodzoną część łąki, a z wraku samochodu powyjmował wszystko, co się dało. Resztę miał zabrać ciężarówką, ale coś tam nawaliło z hydrauliką. No i tydzień minął.

We wtorek rano żona Vidarta przyjechała duettem pełnym baniek na mleko. W poprzek drogi stała brama. Wysiadła i zobaczyła, że jest zamknięta tylko skręconym stalowym drutem. Ale nie miała odwagi otworzyć. Od tej pory Vidart codziennie rano i wieczorem brał traktor i do ogrodzenia na łące jechał przez pastwiska.

Na dłuższą metę było to oczywiście niemożliwe. Prowadząc warsztat, nie mógł dwa razy dziennie doglądać dojenia. A żona nie potrafiła prowadzić traktora. Teraz Vidartowi wyraźnie się to jeżdżenie traktorem znudziło. Ale nie przysłał żony duettem, tylko przyjechał sam. Zostawił włączony silnik i wysiadł, żeby otworzyć bramę. Dłuższą chwilę majstrował przy drucie. Gdy przejechał i jego samochód zniknął za stodołą, Johanowi zaczęło mocno walić serce. Wiedział, że ojciec i bracia musieli już od dłuższego czasu widzieć Vidarta. Na dole zrobiło się cicho. Przedtem z kuchni dochodził dźwięk radia. Psy także zamilkły, gdy duett zniknął.

Teraz przed dom wyszedł Per-Ola. Johan zobaczył go, gdy wyłonił się z cienia werandy. Był już ubrany odświętnie, miał na sobie białe spodnie i białą koszulę. Tamci najwyraźniej siedzieli w środku. Nadal panowała całkowita cisza.

24

Per-Ola ruszył do stolarni i wyszedł z łańcuchem i kłódką. Potem kłódką spiął łańcuch, którym oplótł bramę i słup. Świerkowy słup żółto połyskiwał w słońcu. Kiedy skończył z kłódką, wrócił do domu. Teraz piją kawę, pomyślał Johan. Nie, wódkę. Albo kawę z wódką. Gudrun przed wyjazdem na pewno zostawiła im ciasto do kawy. Pojechała do By-vangen odwiedzić matkę Torstena w domu starców. Wszyscy bracia byli w środku. Siedzieli na dole i czekali, a tym, który decydował, co trzeba zrobić, był Torsten. Na razie wysłał tylko Per-Olę. Ale Johanowi nadal waliło serce.

Dojenie zabrało Vidartowi ponad godzinę. W obejściu panowała cisza. Wydawało się, że na dole w kuchni nikt się nie porusza i nie rozmawia. Johan chętnie przerwałby tę ciszę, ale bał się nastawić radio. Lepiej, żeby Torsten nie wiedział, że on jest w swoim pokoju i patrzy na łąkę. Siedział więc bez ruchu i nogi, które wsunął pod krzesło, bo nie mieściły się pod stołem, dawno już mu zdrętwiały.

Nowa łajka i szpic zaczęły straszliwie ujadać w psiarni. Patrząc, jak Vidart wjeżdża za stodołę i jak samochód staje, Johan czuł się, jakby oglądał film. Wszystko wiedział z

góry. Vidart zaraz zobaczy łańcuch i kłódkę. Zatrząsie nim. Potem spojrzy w górę ku domowi.

A potem?

Vidart przeszedł obok bramy brzegiem rowu. Nie ma tam przecież żadnego płotu. Łąka zaczyna się trochę dalej. Torsten postawił tę bramę niczym szlaban na drodze. Gdy Vidart wszedł na żwirowane podwórze, zwolnił kroku. To jeszcze bardziej rozwścieczyło psy. Teraz w polu widzenia Johana ukazał się Torsten. W ręku miał grabie i przeciągnął nimi po żwirze na podwórzu, tak że zostawiły pasiaste ślady.

25

- Otwórz bramę! - zawołał Vidart.

- Zamknij się! - krzyknął Torsten. Psy raptownie ucichły* Słychać było tylko zgrzyt grabi na żwirze. Ale Vidart znowu zawołał:

:

- Otwórz furtkę! Przecież jestem samochodem! Torsten nie odpowiadał. Johan podniósł się. Nie chciał dłużej tego słuchać. Stał lekko wychylony w stronę drzwi. Vidart mówił głosem podniesionym i krzykliwym, a gdy w końcu odezwał się Torsten, ledwie można było rozróżnić słowa:

- Nie widzę żadnego mężczyzny, któremu miałbym otworzyć.

Znow krzyk. Kozi bek Vidarta. Gdyby tylko się zamknął. Dlaczego nie pojmował, że teraz może tylko odejść? Zostawić samochód. A po mleko podjechać traktorem od tyłu.

Johan usłyszał dziwny dźwięk. Coś trzasnęło. Rzucił się do okna i spojrzał w dół. Torsten trzymał w ręku połowę trzonka od grabi, którego koniec był rozwidlony i ostry. Musiał złamać go na kolanie. Vidart gapił się na niego bez słowa. Potem znowu odezwał się tym swoim skrzekliwym głosem, a wtedy Torsten zrobił dwa długie kroki w jego kierunku i przycisnął mu trzonek do gardła. Vidart wydał z siebie jakiś kozi bek. Po chwili obaj biegli ku łące, przodem Vidart, powłócząc nogą porażoną po heinemedinie. Spojrzawszy na Torstena, Johan zobaczył, jak naprężyły się mięśnie jego pleców. Wszystko działo się bardzo szybko. Mężczyźni przebiegli obok stodoły i zniknęli za nią.

Psy znow zaczęły ujadać i zamilkły dopiero, gdy powrócił Torsten, bez trzonka od grabi. Kiedy podszedł do werandy, zniknął z pola widzenia Johana. Krzyknął na psy, żeby się zamknęły, i posłuchały go od razu. Gdyby Vidart był mądry, krzyknąłby tak samo. Teraz zadygotały szyby w drzwiach werandy.

26

Johan usłyszał przez podłogę, że Per-Ola o coś spytał i Torsten mu odpowiedział. Potem Per-Ola dorzucił parę słów i wszyscy się roześmiali. Vidart to tchórz, który łatwo się poddaje. To dlatego tam na dole jest tak wesoło. Ale gdyby pobiegł w kierunku domu, znalazłby się na tej części łąki, której nie zasłania stodoła. Powinien więc być widoczny przez cały czas, gdy przecina na ukos pastwiska.

A może się schował? W kuchni na dole znow zrobiło się cicho i Johan miał wrażenie, że tamci też czekają, by Vidart się ukazał. Powietrze było upalne, panowała cisza.

Psy milczały. Zza okna dochodził Johana mocny zapach trawy. Pachniały też liście brzoź. Ich gałęzie Torsten powtykał dookoła ganku.

Johan siedział bez ruchu i od czasu do czasu spoglądał na zegar. Od powrotu Torstena minęło jedenaście minut. Skrzypnęły drzwi werandy. Teraz wyszedł ojciec, a za nim Per--Ola. Po krótkiej chwili ukazali się Bjórne i Pekka, a w końcu także Vaine. Nie poszli w kierunku łąki, tylko zniknęli za domem. Po chwili Johan usłyszał dwa silniki samochodowe.

Gdy tylko ucichł dźwięk motorów, znalazł się na dole. Bez namysłu zbiegł po schodach i wypadł na dwór. W niespełna dwie minuty był za stodołą. Vidart leżał na wznak, padało na niego słońce. Na jego szyi widać było krew. Ściekała w zagłębienie, gdzie zwisała blaszka czy też moneta, którą nosił na srebrnym łańcuszku, a która teraz leżała zanurzona we krwi i błyszczała jak sierp maleńkiego księżycy. Nieopodal stało całe stado kóz i gapiło się na Johana. Po chwili zwierzęta zaczęły beczeć.

Johan lekko dotknął ręki i policzka Vidarta. Vidart miał siwy zarost. Sprawiał wrażenie starszego, niż był naprawdę. Czapka z daszkiem leżała trochę dalej. Widniała na niej duża brązowa plama potu. Mężczyzna właśnie wydoił kozy i to było czuć. Ciało i ubranie silnie cuchnęły.

27

Nie miało sensu biec do domu po pomoc. Nikogo tam nie było. Gdyby Gudrun nie wyjechała, zajęłaby się Vidartem. Ponownie dotknął bladego, szarawego policzka i wydawało mu się, że dotyka starego grzyba.

Ruszył biegiem. Tym razem w dół przez pastwiska, do najbliższego gospodarstwa, które należało do Westlundów. Elna ujrzała Johana, gdy był już na ganku.

Podtrzymała go, a on nie wiedział potem, czy płakał, czy wymiotował. Czuł się tak, jakby zrobił i jedno, i drugie.

A

28

Birger wybrał się do Czarnej Wody razem z Akem Vem-dalem. Mieli łowić ryby. Żeby były na noc świętojańską, należało się do tego zabrać teraz. Ale już od samego początku wszystko potoczyło się zgodnie z rutyną: Birger uniósł powieki leżącego i obejrzał zmętniałe gałki oczne z tęczówkami, które uciekły w górę. Sprawdził puls na przegubie ręki. Rany nie mógł dotknąć, musiał się wpierv umyć.

Przynajmniej nie było strumienia krwi, którą należało zatamować. Spłynęła do zagłębienia w szyi i tam zakrzepła. Pokazał Akemu, jak blisko tętnicy jest rana. Miała poszarpane brzegi, jak gdyby została zadana narzędziem o nierównej krawędzi.

Po chwili Vidart odzyskał przytomność. Został uderzony, wyjaśnił. Przez Torstena Brandberga.

- Czym?

- Pięścią.

Pomogli mu wstać. Z trudem utrzymywał się na nogach.

- Kręci mi się w głowie - powiedział. - Wszystko jest czarne.

Ale Birger podparł go ramieniem. Odnosił wrażenie, że Vidart trochę udaje, bo chce pokazać Akemu Vemdalowi, że naprawdę z nim źle. Pewnie, skoro już miał tak cholerne szczęście, że przytrafiło mu się to akurat wtedy, gdy przypadkowo sam komendant policji Byvangen był na miejscu! No

29

i doktor. Ale ponieważ przez dobrą chwilę Vidart był nieprzytomny, Birger nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

- Powinieneś jechać do szpitala - odezwał się. Vidart nie miał nic przeciwko temu.

Ale martwił się o mleko. Jego oczy znów patrzyły świdrująco, chytrze. Wyglądało na to, że natychmiast, gdy tylko włożył czapkę, przyszedł do siebie. Cholerny świat, że też musiałem znaleźć się tu właśnie teraz, pomyślał Birger. Powiedział to także na głos, kiedy wprowadzili Harry'ego Vidarta do kuchni Westlundów. Weszli do Westlundów, bo Birger chciał się dowiedzieć, co z Elną, której dwa tygodnie temu dał skierowanie do Ostersundu, podejrzewając u niej kamicę. Assar Westlund zadzwonił teraz po Ivara Jonssa. Karetka nie jest konieczna. Wystarczy duża taksówka Ivara.

Czekając na nią, wyszli na werandę na papierosa. Birger zamierzał opowiedzieć coś niecoś o Vidarcie i Torstenie Brandbergu, ale właśnie ukazała się żona Vidarta. Naturalnie, zadzwonili i do niej. Włosy miała nawinięte na wałki, biegła, szlochając. Gdy Ivar podjechał swoim mercedesem i pomogli Vidartowi ułożyć się na siedzeniu, zawołała:

- A co mam zrobić z mlekiem? I z samochodem? Assar Westlund powiedział, że mleko przywiezie jej do domu ciągnikiem.

- Duett najlepiej na razie zostawić - dodał. - Ale pogadam z Torstenem.

Potem taksówka odjechała, a Birger i Ake weszli do j chłopca. Leżał w pokoju na sofie krytej wiśniowym pluszem. Elna spuściła rolety i w niebieskawym świetle twarz Johana wydawała się jeszcze bledsza. Miał nie więcej niż szesnaście lat, szorstkie czarne włosy i wąskie brązowe oczy. Kiedy wstał, okazało się, że jest wysoki i tyczkowaty. Poza tym był bardziej podobny do Gudrun niż do Torstena. Przywitał się

30

z nimi, podając rękę, a gdy usiedli, zerknął na wiadro, które postawiła Elna.

Zwymiotował przedtem do niego, po czym odsunął je za sofę. Wydawało się, że jest zażenowany i trochę przestraszony.

- No, co tam z tobą? Poruszył się, ale nie odpowiedział.

- Vidart pojechał do szpitala - powiedział Birger. - Ale to nic groźnego, jest na nogach.

Brązowe oczy rozszerzyły się. Czyżby chłopak myślał, że Vidart nie żyje?

!

- To jest Ake Vemdal. Wiesz, kto to? Chłopiec pokręcił głową.

- Jestem nowym komendantem policji w Byvangen - wyjaśnił Ake.

- Kto... kto o tym doniósł? - zapytał Johan.

- Nikt. Kiedy przybiegłeś, siedzieliśmy w kuchni u Westlundów. Mieliśmy iść na ryby.

- Co się stało? - zapytał Ake.

- Nie wiem.

Johan siedział z rękami na udach i pochyloną głową. Nie można było uchwycić spojrzenia jego brązowych oczu.

- Ale pobiegłeś po pomoc.

- Tak.

- Widziałeś, jak został uderzony?

Znów pokręcił głową.

- W takim razie skąd wiedziałeś, że tam leży?

- Widziałem, jak przyszedł.

- I Torsten poszedł za nim?

Chłopiec nie odpowiedział, spojrzął w kierunku wiadra i parę

razy przełknął ślinę, jak gdyby dawał do zrozumienia, że go mdli. W pokoju było wprawdzie gorąco, ale Birger zastanawiał się, czy Johan naprawdę ma mdłości.

Może tylko się zgrywa, żeby nie odpowiadać. Ake odczekał chwilę, potem powtórzył pytanie:

31

- Widziałeś, jak twój ojciec za nim poszedł?

- Nie wiem. Nie myślałem o tym.

- Widziałeś go? Miał jakieś narzędzie?

i Johan milczał.

- Znaleźliśmy coś - powiedział Ake. - Jakiś kij. Złamany. Wtedy chłopiec wykonał swym długim ciałem nieomal

koci ruch i w sekundę potem leżał na sofie zwinięty w kłębek i odwrócony do nich plecami.

- Zaczekaj - odezwał się cicho Birger. - Chodźmy do kuchni, to ci opowiem o całej sprawie.

- Wiesz coś o tym?

- Wszyscy wiedzą.

Ale nie zdążyli. Z kuchni dobiegły ich podniesione głosy, potem drzwi do pokoju otworzyły się i w progu stanęła Gudrun. Światło z kuchni padało na nią z tyłu, tak że twarz wydawała się prawie czarna.

- Co wy tu robicie?

Podeszła do Johana i dotknęła go uspokajająco.

- On nie ma nic do powiedzenia - odezwała się. - Przybiegł tylko po pomoc dla Vidarta.

- Musimy się od niego dowiedzieć, co się stało.

- Do jasnej cholery - powiedziała Gudrun. - Nie stało się nic, co on mógłby widzieć.

Była niska. Dziwacznie to wyglądało, kiedy ściągnęła z sofy tego wysokiego chłopaka i, szturchając, popychała go przed sobą do kuchni. Szedł ze spuszczoną głową. Ake ruszył

za nimi.

- Sprawa musi zostać wyjaśniona, chyba to rozumiesz.

- To wyjaśnij. Ale Johan nie będzie świadczył przeciwko własnemu ojcu.

Wypchnęła chłopaka i trzasnęła drzwiami. Ake postąpił krok do przodu, jak gdyby chciał ich zatrzymać, ale Birger powiedział: 32

- Daj spokój. I tak nic się od niego nie dowiesz. Usłyszeli, że samochód Gudrun rusza i odjeżdża. Elna

i Assar siedzieli obok siebie. Wyglądali jak goście w swojej własnej kuchni.

- Idziemy - powiedział Birger.

Nie było to takie proste wyjaśnić Akemu, który nic o tym nie wiedział, jak wyglądają stosunki między Torstenem Brand-bergiem a Vidartem. Ake w ogóle nigdy przedtem nie był w Czarnej Wodzie, znalazł się tu dopiero teraz. Ale wieś należała do jego rejonu. Ake objął stanowisko przed kilkoma miesiącami. Kiedyś pojechali razem do wypadku. Chodziło wtedy o samobójstwo przy północnej granicy. Ake nie miał ani ludzi, ani wozu. Alkoholik mieszkający z rodzicami wszedł na strych i zastrzelił się ze śrutówki. Gdy po wielu godzinach wsiedli do samochodu, żeby wracać, Birger usłyszał jakiś przenikliwy dźwięk, jakby wrzask ptaka. Dopiero później zrozumiał, że był to krzyk matki.

Birger zajrzał do tego domu na początku lata, gdy został wezwany do chorego nieopodal. Matka przebywała w klinice w Frósó, ojciec przesiadywał głównie w kuchni. Dość długo żył jedynie kawą i papierosami. Załamał się, gdy zobaczył Birgera. Wtedy też, pierwszy raz od śmierci syna, zapłakał. Birger wszedł na strych, żeby zobaczyć, czy posprząтали. Ale plamy pozostały, a na dachu widać było zaschnięte resztki mózgu i ślad po śrucie. Stłuczona żarówka wisiała na sznurze. Ryżową szczotką i skrobaczką wyczyścił wszystko najlepiej, jak potrafił. Później przyszedł ktoś z opieki społecznej, by ugotować obiad dla samotnego teraz mężczyzny.

Ake i Birger poznali się lepiej podczas tamtej pierwszej wizyty i długiej jazdy samochodem do domu.

- Znam Johana - odezwał się Birger. - Chodzi do gimnazjum w Byvangen. To kolega szkolny mojego syna. Jest zdolny. Ale tylko jego matka, Gudrun, uważa, że

33

powinien uczyć się dalej. Pozostali chłopcy są synami Torste-na i jego poprzedniej żony, Mimmi, która zmarła na wylew, gdy rodziła Vainego. Wtedy zjawiała się Gudrun, żeby pomóc Torstenowi przy chłopcach i gospodarstwie. Wywodzi się ze znanego lapońskiego rodu. Ale należy do jego zubożałej części. Pracowała u Torstena i zaszła w ciążę. No i urodził się Johan. Od śmierci Mimmi minął niespełna rok. Tak więc Vaine i Johan są niemal rówieśnikami.

- Oni wszyscy to Lapończycy?

- Nie. Tylko Gudrun. Torsten nigdy nie był przyjaźnie nastawiony do Lapończyków. Lapończycy nie będą mieszkali w tej wsi, powtarza stale. Tak właśnie twierdzi i nie jest w tym osamotniony. W swoim czasie słynął jako cholerny zabijaka. W młodych latach, kiedy był na bańce, chodził po ludziach i pytał: „Może znasz kogoś, kto powinien oberwać?”. Potrafiłby pojechać aż do Byvangen, żeby pobić jakiegoś faceta. Myślę, że nigdy nie było dobrze ani między Johanem i jego przyrodnimi braćmi, ani między nim i jego ojcem. Widziałeś Gudrun. Tamci nie tkną go nawet palcem, póki ona patrzy. Ale rozumiesz, że Johan mógłby mieć kłopoty, gdyby przyszło im do głowy, że doniósł na Torstena.

- To się da wyjaśnić. Przecież on nie wiedział, że nas tu zastanie.

- Nie jestem taki pewny, czy zechcą słuchać - odparł Birger.

34

Gdy weszli do sieni, ruchem głowy pokazała mu, żeby poszedł na górę, do swojego pokoju. Po kwadransie przyniosła mu kanapki z serem i szklankę mleka. Johan siedział na łóżku i nie miał odwagi pójść do ubikacji. Bał się, żeby Torsten go nie usłyszał. Ale powiedziała, że żadnego z tamtych jeszcze nie ma. Wtedy wyszedł do ustępu w sieni i wydawało mu się, że siusia z piętnaście minut.

Po powrocie do pokoju zastał Gudrun siedzącą przy biurku. Wpatrywała się w łakę za oknem. Miała smutną twarz i obgryzała spękaną skórę z warg. Zawsze, kiedy się martwiła, czuł się nieswojo, bo przeważnie było to z jego winy. Irytował Torstena i drażnił braci.

- Nie wiedziałem, że jest tam policja - powiedział.

- Nie zrobiłeś nic złego - odparła, ale odniósł wrażenie, że powiedziała to mechanicznie. Zastanawiał się, o czym myśli. Nagle uświadomił sobie, że ona wie o nim wszystko. No, może prawie wszystko. A on nie wiedział o niej nic. Była po prostu mamą i wszystko, co robiła na dole, w kuchni i obejściu, łatwo dawało się przewidzieć. Tak samo jak prawie wszystko, co mówiła. Ale nie wiedział tego, co najbardziej istotne. O tamtym okresie, kiedy była w ciąży. O niej i tym mężczyźnie na skuterze. A także dlaczego wyszła za męża za Torstena.

- Jeśli zostanie skazany za pobicie, to pewnie zabiorą mu broń? - spytał.

35

- Jeszcze nie wiemy, czy go oskarżą.

- Mówię tylko: jeśli zostanie. Bo wtedy chyba nie będzie mógł prowadzić polowań?

- Przestań - powiedziała Gudrun.

Wydawało mu się, że posądza go o to, iż ucieszyłby się, gdyby Torsten stracił licencję. Potem zaczął jej opowiadać, co naprawdę widział przez okno. Ale nie chciała tego słuchać.

- Posiedź tu przez jakiś czas - odezwała się. - Potem porozmawiam z Torstenem. Wstała. Wyglądała na zmęczoną. Miała na sobie odświętną sukienkę w drobne kwiatuszki, na niej białą bawełnianą kamizelkę i sandały na wysokim obcasie. Ale twarz znów wyglądała zwyczajnie, jak co dzień, bo zlizła sobie szminkę z warg. Po chwili usłyszał ją w kuchni. Skrzypnęły drzwi od szafki i zabrzęczała porcelana. Zbierała naczynia z suszarki. Były to zwykłe, codzienne dźwięki. Uspokoili go. Około wpół do siódmej wróciły samochody. Usłyszał podniesione i ochryple głosy braci. Widocznie nieźle sobie popili. Torsten zaśmiał się z czegoś, co powiedział Vaine. Gudrun zaczęła smażyć rybę, której zapach wdarł się na górę. Jedli spóźnioną kolację, a Gudrun go nie zawołała. Siedział zamknięty w pokoju, jakby popełnił jakieś przestępstwo.

Był jedynym z braci, który nigdy nie dostał lania od Torstena, i to Gudrun go osłaniała. Ale właśnie on, mimo że nie był bity, najbardziej się tego bał. I oni o tym wiedzieli. Jej ochrona czyniła go w ich oczach śmiesznym.

Wstał i zaczął schodzić, lecz w połowie schodów ogarnął go strach. Nie przed tym, że go zbiją. Tylko przed ciężkim spojrzeniem Torstena, rzucanym spod wpróżymkniętych powiek, które czyhało na niego, gdy Torsten był podпиты. Przed szybkimi ruchami braci, którzy wymachiwali mu przed

36

nosem rękami, chcąc go przestraszyć. Nagle postanowił wybrać się na ryby. W nocie na początku lata łowił w Psim Jeziorku, które leżało tuż przy ścieżce do zabudowań. Gdyby ktoś chciał podejść do sokolego gniazda nad Lobberan, zauważy. Nie sądził, żeby atak nadszedł od strony głównej drogi. Tam, w górze, Henry Strómgren obserwuje każdy samochód, bo zeszłego lata zniknęły dwa młode. Kurtka wisiała w hallu, a wędka i buty z cholewami stały w sieni. Uważał, żeby nie zaszurać wędką po ścianie, ale gdy znalazł się na dworze, ostro zapuścił motorower, aby nie myśleli, że się skrada w obawie przed nimi. Wiedział, że widzą go przez okno kuchni.

Robaki kopał wyżej, u Aldy, bo tam zwykle zostawiał motorower, a potem szedł do Psiego Jeziorka. Staruszkę umieszczono w domu dla przewlekle chorych i wokół ganku sterczały duże kępy trawy. Zwykle kopał robaki za drewnutnią.

Na śmietniku, który znajdował się trochę głębiej w lesie, znalazł puszkę po konserwie. Stara motyka stała w drewnutni.

Zaledwie kilka razy zdążył ruszyć motyką, gdy usłyszał samochód. Na zakręcie koła zaślizgały się na żwirze. Drzwi trzasnęły niemal w tej samej chwili, w której zatrzymało się auto. Nadśluchiwał głosów i kroków.

Bracia okrążyli go, zanim zdążył podjąć decyzję, czy uciekać czy nie. Stał z motyką w ręku, a oni otaczali go ze wszystkich stron. Wydawali się rozbawieni. Przeszepowali z nogi na nogę niczym piłkarze czekający na rozpoczęcie gry. Kiedy podeszli bliżej, poczuł zapach wody po goleniu i piwa.

Musieli przerwać kolację w połowie i wyjść zaraz po nim. (Gudrun nie zdołała ich zatrzymać. Na pewno próbowała.

Zrozumiał, że zaczęło się coś nowego. Zaczęło się wtedy, gdy wyszedł z domu, wziął motorower i tak ruszył, aby im pokazać, że nic sobie z nich nie robi.

37

Odłożył motykę na brunatną ziemię, gdzie pełno było korzeni pokrzyw i kawałków szkła. Wziął wędkę i puszkę z robakami, po czym skierował się w górę, za zabudowania. Ruszyli za nim. Poszturchiwali go ze wszystkich stron i pytali, czego się boi. Zaczął prawie biec, choć wcale tego nie chciał. Wtedy Vaine dogonił go i podstawił mu nogę. Pekka chwycił go za ramię i szarpnął do góry.

- Stój, do cholery!
- Czego chcecie?

Bjórne walnął go w żołądek. Choć nie było to mocne uderzenie, Johan zgiął się jak w ukłonie i wszyscy się roześmiali. Chwyciły go mdłości, jednocześnie poczuł zapach lasu. Ale drogę do niego miał odciętą. Otaczali go ze wszystkich stron. Per-Ola i Pekka zapalili papierosy. Bjórne pokręcił odmownie głową, gdy go częstowali, i zażył prym-kę. Górną wargę miał zniekształconą. Wydawała się spuchnięta. Stał z otwartymi ustami, jak zwykle, i gapił się na Johana. Ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał znów go uderzyć.

- Czego się boisz? - spytał Pekka. - Nie wzywaj policji?
- Co się z tobą, do cholery, dzieje? Trzęsiesz portkami i sikasz po nogach? - dorzucił Vaine i tamci się roześmiali. Na pewno będą teraz traktować Vainego jak prawdziwego mężczyznę. Po chwili właśnie on uderzył Johana, ale raczej ot tak, dla zabawy, i nie w twarz. Nie wtrącali się. Może bali się o swoje ubrania, bo przebrali się już w jasne spodnie i kurtki.

Vaine był coraz bardziej zirytowany, że nie może pokazać, co potrafi, bo Johan robił uniki i wcale się nie bronił. Vaine zaczął więc wykonywać zamachy jak w karate, usztywnioną ręką, którą zatrzymywał tuż przed twarzą Johana.

Bjórne i Pekka odeszli na chwilę. W lesie, trochę wyżej, rozległ się jakiś szurgot. Potem wrócili i Pekka powiedział do Vainego:

38

- Przynieś linę do holowania.

Zwiąż mnie, pomyślał Johan. Przywiąż do świerku, potem sobie pójdą. To wszystko. Na nic więcej się nie odważą ze względu na Gudrun. A może ze względu na policję.

Ale Pekka nie związał go liną. Owinął ją tylko wokół ciała Tohana, pod pachami, i ściągnął. Chyba zrobił pętlę. Potem zaczęli popychać go przed sobą. Ciągłe znajdowali się stosunkowo blisko budynku. Trochę dalej, między świerkami, zobaczył na wpół spróchniałą drewnianą pokrywę opartą na kamieniu. Kopniakami popchnęli go na brzeg okrągłej, wyłożonej kamieniami dziury. Wtedy krzyknął.

Kiedy mieli go spuścić w otwór, opierał się ze wszystkich sił. Kopał, a jednego z nich ugryzł w rękę, wtedy dostał w kark. Potem upadł i poczuł ostry ból, gdy powróz zaciągnął się wokół ciała pod jego własnym ciężarem. Wisiał na linie wrzynającej mu się pod pachami. Wody jeszcze nie czuł. Nad sobą słyszał głosy, ale nie rozumiał, co tamci krzyczą. Wtedy spadł.

Ocknął się na dnie studni. Była prawie wyschnięta. Być może już za czasów Aldy jej nie używano. Na wpół siedział w gliniastej mazi, ciało oplatała lina. Z początku myślał, że coś sobie złamał, ale gdy ostrożnie poruszył rękami i nogami, stwierdził, że czuje ból tylko tam, gdzie go uciska sznur. Miał na sobie grubą bluzę i dzięki temu lina holownicza nie werżnęła się zbyt mocno w ciało. Nie mógł dosięgnąć ani węzła, ani końca liny, bo były gdzieś na plecach. W ciasnej przestrzeni spróbował usiąść wygodniej i spojrzał w górę. W świetle letniego wieczoru otwór studni zdawał się niemal biały. Nie widział w górze żadnych twarzy. Nic też nie słyszał.

Siedział w szlamie i wodzie. Na dnie były kamienie, rzekręcił się, bo jeden z nich uwierał go boleśnie. Potem

39

zaczął po omacku szukać swego noża, żeby przeciąć sznur. Gdy go wydobył i przeciął nylonową linę, ucisk zelżał. Podniósł się niezdarnie i stanął. Nic sobie nie złamał. Trudno było określić, jak głęboka jest studnia. Jasny krąg wysoko w górze

pobłękitniał. Zobaczył także trochę wyraźniej ściany studni. Woda sięgała zaledwie powyżej kostek.

W każdym razie nie nałożyli pokrywy. Niedługo wrócą i spuszczą linę. Bardzo niedługo. Pewnie nie będą chcieli, żeby ktoś obcy usłyszał jego wołanie o ratunek. Ale nie zamierzał wołać. Tamci przypuszczalnie siedzą teraz w samochodzie i czekają, aż zacznie wzywać pomocy. Zawsze mieli go za tchórza. Gdy wszczynali burdy, zwykle odchodził. Widok bijących się ludzi budził w nim odrazę. Ale tu na dole, na dnie studni, poczuł, że tkwi w nim jakaś siła, o której oni nie wiedzą. Nie będzie krzyczał. Nie sprawi im tej uciechy. Cholerne gnoje.

Zmęczyło go stanie. Na różne sposoby próbował oprzeć się siedzeniem i przedramionami o ściany studni, żeby zmniejszyć obciążenie nóg. Czuł kłujący ból w nogach i w krzyżu. Długo tak nie wytrzyma.

Ile czasu każą mu tak stać? Godzinę? Dwie? Może do rana? Najgorzej, jeśli pojedą do wsi i sobie popiją. Wtedy zapomną o nim i zabiorą go stąd nie wcześniej niż w świętego Jana wieczorem. Jeżeli nie wróci do domu, Gudrun będzie go szukać. Jeżdżąc dookoła samochodem, zobaczy motorower. A więc może nad ranem warto zacząć wzywać pomocy. Ale nie zamierzał tego robić. Tym razem Gudrun nie przyprowadzi go do domu. Koniec z tym.

40

Wzięła Mię za rękę i zeszła ku brzegowi. W pobliżu wody stał dom. Stary, nie malowany drewniany dom, zniszczony przez deszcz i czas. Zieleń wokół chaty zdziczała; miotły leśnej trybuli kwitły pospół z orlikiem na rabatach, pomiędzy którymi widać było gołą ziemię, wyschniętą na mysio-brązowy kolor. Krzaki porzeczek przerastały się wzajemnie, ich gałęzie płożyły się płataniną odrostów, które wypuściły korzenie. Na zboczu opadającym ku jezioru maliniak tworzył zwarty gąszcz. Trawa sięgała Mii do pasa, tuż przy ganku rosły ogromne kępy pokrzywy. Mia nie chciała brnąć dalej w tę zieloną masę, rozbręczaną owadami i wydającą cierpki, korzenny zapach.

Annie posadziła ją na chwilę na pokrywie cementowej studni, a sama zeszła nad wodę, żeby napełnić butelkę. Ale Mia nie chciała pić wody z jeziora. Kręciła głową i zaciskała mocno wargi. Woda była zupełnie czysta. Wyglądała jak szkło, przezroczysta aż do brązowego dna, usłanego nieruchomymi kamieniami. Mia za nic jednak nie chciała jej wypić.

Sklep, pomalowany na biało, z dwiema narodowymi chorągiewkami nad wejściem, znajdował się niedaleko domu obrośniętego kępami pokrzyw. Tam, gdzie kończył się placzyk stacji benzynowej, stały resztki spróchniałego płotu. Pewnie kiedyś otaczał chatę, która dziś już nie istniała. Długi,

41

drewniany, zielony budynek musiał być Domem Ludowym, a może świetlicą, i sąsiedował ze stodołą z zapadłym gontowym dachem. Po drugiej stronie stał dom z pewnością zamieszkały, bo we wszystkich oknach na parterze wisiały gęsto przymarszczone nylonowe firanki. Ale okno na poddaszu miało wielką dziurę zatkaną szmatą. Drugą połowę okna zasłaniała pilśniowa płyta.

Trudno było zrozumieć tę wieś, bardzo cichą teraz, kiedy ustał ruch wywołany przyjazdem autobusu pocztowego. Upadek i ruina obok zadbanych domów i nowoczesności. Dlaczego ci ludzie nie dbali o zmurzałe i rozpadające się budynki? Może już ich nie dostrzegali?

Mieszkańcy wsi zauważali pewnie tylko to, co przypomina miasto. Upatrywali w tym modernizację i rozkwit, ona jednak widziała rozkład i upadek. A dla Dana było to chyba czymś naturalnym, ponieważ ani w listach, ani w krótkich rozmowach

telefonicznych, prowadzonych przypuszczalnie z budki przy sklepie, nie opisał wsi tak, jak ona postrzegala ją teraz w jasnym świetle wieczoru.

Zieleń była jakaś nieprzyzwoita. Annie pomyślała o kę-' pach zbyt obfitych włosów łonowych (widuje się takie w łaźniach i odwraca wzrok). Tego się nie spodziewała, i Raczej pewnej jałowości. Skąpych, bladych kolorów. Ale wszystkie obrazy, które powstały w jej wyobraźni podczas I tygodni oczekiwania i niepokoju, pierzchły. Podeszły do walizek i usiadły, czekając na Dana. Skraj drogi po drugiej stronie porastała połyskująca w słońcu trawa. Kwiaty polne miały niezwykle jaskrawe kolory, nigdy przedtem takich nie widziała. Naprzeciwko sklepu sta nowoczesna willa w kształcie pudła, pomalowana na zielone i ciemnobrązowe Suteryna znajdowała się dość wysoko na ziemi, bo dom usytuowano na stromym stoku. Był tam mały sklepik; na drewnianym szyldzie widniała wypalor

42

nazwa „Fiskebua”. Ze ściany sterczał pochyły maszt, na którym wisiała szwedzka flaga. Wewnątrz mignął mężczyzna, więc Annie ujęła Mię za rękę i przeszła przez drogę ku domowi.

Drzwi były zamknięte, ale gdy zapukała, otworzył. Nie miał lemoniady ani soków owocowych w sprzedaży, ale zaprosił Mię na sok domowej roboty. Nie wziął od Annie pieniędzy za ów sok, a także za bułki, które przyniósł z mieszkania na górze. Musiała jednak zaspokoić jego ciekawość.

Miał szczesane do przodu szpakowate włosy, z tyłu długie aż do karku, po bokach założone za uszy. Nosił obcisłe, rozkloszowane u dołu spodnie. Jej zdaniem, wyglądał w nich idiotycznie, niemal nieprzyzwoicie. Ale moda wdarła się aż tutaj, i Annie tego też się nie spodziewała. Mężczyzna wydawał się dość stary. Pod oczami miał obwisłe worki, gruby nos z dużymi porami i ciężkie powieki. Wcale jednak nie robił wrażenia człowieka steranego życiem.

Powiedziała mu najmniej, jak tylko to było możliwe. Że ktoś miał na nie czekać. Że są w drodze do Nilsbodarna. Spytał, czy ma na myśli Nirsbuan. Co tam będą robić?

- Będziemy tam mieszkać - odpowiedziała natychmiast Mia. Wypiła już sok i zjadła bułki, nie odzywając się dotąd słowem.

Roześmiał się. Annie nigdy nie zapomniła tego śmiechu. Potem coś mu zaświtało:

- Należysz do Ludzi z Gwiezdnej Góry?

- Przyjechaliśmy ze Sztokholmu - odparła. Ale jego domysły nie były takie głupie. To dzięki komunie na Gwiezdnej Górze Dan znalazł Nilsbodarna.

~ Aha, chcecie wziąć Nirsbuan od Brandbergów. To chyba nie będzie łatwe - uśmiechnął się drwiąco.

Nie rozumiała, co miał na myśli. Nie podobał jej się. Nie chciała dłużej rozmawiać z nim o sytuacji, w jakiej się znalazły.

43

Wtedy usłyszały warkot samochodu i Mia rzuciła się do okna. Ale to nie był Dan. Z dużego volvo, które bryzgając żwirem spod opon, zajęchało przed dom, wysiadło czterech mężczyzn. Właściwie byli to trzej mężczyźni i jeden chłopak; on prowadził samochód. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. Gdy weszli do sklepu, zaleciało od nich wodą po goleniu i wódką. Jeden z nich był ubrany na biało, na spodniach miał ślady gliny. Wyglądało to tak, jakby go ktoś pokopał. Spodnie były ciasne, a materiał cienki. Annie mogła wyraźnie zobaczyć kształt moszny i członka, rysujący się na tle uda, i musiała odwrócić wzrok, gdy na nią spojrział. Mężczyźni byli ubrani odświętnie, na noc sobótkową, i znów pomyślała, że moda dotarła aż tutaj. Uświadomiła sobie, jak naiwne były wszystkie jej wyobrażenia.

Rosłe ciała i silne głosy wypełniły niewielkie pomieszczenie. Ale tamci, gdy ją spostrzegli, ucichli; wydawało się, że zapomnieli, po co przyszli. Nie interesował ich ani sprzęt rybacki, ani gabłota z czekoladą i wieczornymi gazetami.

- No tak - odezwał się mężczyzna za ladą i popatrzył Annie prosto w oczy.

Zrozumiała, że nie chciał, aby zostały tu dłużej, i poczuła się nieswojo. Wzięła Mię za rękę i wyszła. Gdy tylko zamknęła drzwi, usłyszała znów głośną rozmowę.

Mia chciała siusiu, więc zeszyły w krzaki porzeczek. Dan nadal nie przyjeżdżał. Już nie było tak cicho jak przedtem. Jakiś autobus zajechał przed Dom Ludowy i wyładowywano instrumenty muzyczne i głośniki.

Zamierzała usiąść z Mią na schodach ganku opuszczonego domu i tam czekać. Ale z traw nadleciały owady, prawie niewidoczne muszki. Ich ukąszenia piekły, jak gdyby na skórę padały iskierki ognia. Mia zaczęła płakać. Annie wzięła ją na ręce i odbiegła w wysoką trawę, ale każdy jej krok

44

podrywał chmurę kąsających i kłujących owadów. Na górcie, przed wejściem do sklepu, było ich stosunkowo niewiele. Wyglądało na to, że owady wolą kłębić się w chwastach i liściach.

jaskry i ciemnoróżowe firletki na porośniętych trawą urwiskach jarzyły się w wieczornym słońcu. Jezioro nadal było tak samo ciche, ale jego kolor stał się bardziej intensywny. Z Domu Ludowego doleciało dudnienie elektrycznego kontrabasu i fortepianowy pasaż, ostro wzmocnione przez głośniki. Czterej mężczyźni wyszli ze sklepu, usiedli w samochodzie i zaczęli pociągać piwo z butelek. Drzwi wozu były otwarte, nogi trzymali na zewnątrz. Najmłodszy usiadł na schodku, opróżniwszy butelkę, beknął demonstracyjnie i rzucił ją na żwir. Tamci roześmiali się. Właściciel sklepu wyszedł i powiedział coś do nich cicho. Podniósł butelkę i rzucił wzrokiem na Annie siedzącą po drugiej stronie drogi. Zrozumiała, że sprzedawał mężczyznom alkohol. Pewnie w butelkach był porter.

Przyjechało więcej samochodów, które wpadały w lekki poślizg na żwirze przy skraju drogi. Byli w nich prawie wyłącznie mężczyźni, młodzi mężczyźni. Nie rozumiała, co do siebie wykrzykiwali, ale zdołała się zorientować, że część z nich to Norwegowie. Większość wydawała się lekko wstawiona.

Samochody podjeżdżały pod Dom Ludowy, skąd dobiegały zgrzyty i dudnienie instrumentów, towarzyszące próbom głośników. Przed sklepem kilku Norwegów żartowało z chłopakiem, który prowadził volvo. Był teraz porządnie pijany i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku samochodu. Ochrypłym głosem śpiewał jakąś przyśpiewkę, której nie mogła zrozumieć. Niemniej piosenka za każdym razem budziła wesołość, więc ją powtarzał. W końcu rozróżniła słowa:

45

Zobacz kępe u matki - Czarna, gęsta jak nać! Zobacz fiuta u tatki, Ten ci ma go, psiamać!

Niezgrabnie niczym niedźwiedź chłopak wykonał piruet i prawie upadł przed jednym z samochodów, w którym siedział samotnie starszy mężczyzna w czapce z napisem „Warsztat samochodowy” Róback.

- Do licha, Vaine, nie musisz zachęcać Everta, by obejrzał kępe twojej matki! - zawołał właściciel sklepu i te słowa wywołały nie milknący przez dobrą chwilę śmiech w innych samochodach. Urwał się on nagle, gdy jeden z mężczyzn wysiadł z volvo. To był ten najgrubszy z nich, wielki mężczyzna o brunatnych kręconych włosach, które wyglądały na spocone pod czapką z daszkiem. Nie był ubrany odświętnie, jak pozostali, miał na sobie džinsy i niebieską dość grubą kurtkę. Annie wydawało się dziwne, że włożył ją w samym środku lata. Spod kurtki wystawała finka.

Szeroko rozstawiając nogi, wszedł na schodek. Miała j wrażenie, że ogląda film. Uniósł rękę. Zrozumiała, że zaraz j zobaczą pokaz siły. Widziała wyprostowaną sztywno dłoń, j włącznie z małym palcem, zewnętrzną stroną zwróconą do ; flagi, sterczącej ze ściany tuż przy drzwiach. Machnął w powietrzu usztywnioną ręką i maszt flagi pękł z trzaskiem, i Właściciel „Fiskebua” zniknął w sklepie i zamknął drzwi. : Mężczyzna, który uderzył w maszt, poczłapał z powrotem do samochodu i wgramolił się na tylne siedzenie. Drugi z mężczyzn wciągnął młodzika, wyśpiewującego przed chwilą pio- ; senkę, zapuścił motor i zjechał w stronę Domu Ludowego, j Pozostałe samochody ruszyły za nim. Muzyka zaczęła grać na dobre. Przez cały czas podjeżdżały coraz to nowe samochody. Dana jednak ciągle nie było.

46

Niełatwo było znaleźć Torstena Brandberga i jego czterech starszych synów. Po godzinie krążenia i rozpytywania na chybił trafił Ake Vemdal i Birger Torbjörnsson w końcu się poddali. Ale znaleźli ich zaraz, gdy tylko wrócili na camping za Tangen. Wszystkich pięciu. Siedzieli w biurze u Rolanda Fjellstróma i popijali piwo. Ich przesłuchanie nic nie dało. Torsten nie zaprzeczał, że uderzył Vidarta, ale twierdził, że zrobił to w obronie własnej. Jeśli zaś chodzi o kij od grabi, to owszem, wziął go, żeby się bronić.

- Vidart ponad dwadzieścia minut leżał nieprzytomny - powiedział Ake. - Lekko licząc.

- I ty w to wierzysz? W każdym razie był na nogach, jak stamtąd odchodziłem. Synowie wyszczerzyli zęby. Torsten siedział, obejmując dłonią puszkę piwa. Sprawiał wrażenie spokojnego, niemal rozbawionego. Chłopcy, którzy stali dookoła niego, byli muskularni, piętno pracowników leśnych nie zdążyło się jeszcze na nich odcisnąć. Siedemnastoletni Vaine wydawał się pijany. Oddychał ciężko przez otwarte usta. Wyglądał tak samo prostacko jak pozostali. W obliczu tej spiętrzonej góry mięśni Birger czuł się tłusty i workowaty.

Ake ponownie spytał o kij od grabi, ale otrzymał tę samą odpowiedź. Torsten nawet się nie ruszył. Wyszło na to, że ta wielka dłoń obejmująca puszkę zmusiła ich w końcu do

47

wyjścia. Kiedy opuszczali biuro, Torsten nadal siedział w tej samej pozycji, nie odpowiedział też na ich do widzenia.

Zdążyli zgłodnieć, więc wstąpili do domku letniskowego, żeby coś zjeść przed drogą. Nie robili większych zakupów, tylko chleb i piwo, liczyli przecież na ryby. Birger wziął jednak pęto serdelowej, na wypadek gdyby nic nie złowili.

- Nie ma tu żadnego baru ani hotelu? - spytał Ake.

- Nie, nie ma.

Jedli kawałki kielbasy z chrupkim pieczywem. Birgerowi to smakowało. Coraz częściej jadał coś takiego na obiad, gdy Barbro nie było. Ale równie często myślał, że musi zacząć gotować normalne obiady. Zastanawiał się, jak sobie radzi Ake.

Wiedział, że jest samotny. Ale nie wiedział, czy rozwodnik z niego, wdowiec czy też po prostu kawaler.

Gdy wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku rzeki zwanej Czarna Trzcina, Birger czuł się jak stary kawaler. Ludzie zjeżdżali się do Domu Ludowego. Muzyka tętniła. Widzieli dziewczęta w jasnych sukienkach zbiegające w dół zbocza. Mimo grubej szyby samochodu czuł ich zapach, ich wilgotność. Zastanawiał się, co robi Barbro. Miała prowadzić zebranie informacyjne na temat badań nad zawartością) uranu na

Niedźwiedziej Górze i nie przypuszczał, żeby chciała brać udział w obchodach nocy sobótkowej. W zeszłym roku nie chciała obchodzić Bożego Narodzenia. Przed sklepikiem Lill-Oli stały samochody i gdy Ake zobaczył, że jest otwarte, chciał kupić nowe przynęty. Ale Birgerowi udało się go powstrzymać. Ake zauważyłby, że mężczyźni siedzący w samochodach są podpici. Co gorsza, mogłoby do niego dotrzeć, że Lill-Ola poza przynętami: i kartami rybackimi sprzedaje jeszcze coś innego. A prowadzenia samochodów w stanie nietrzeźwym nie mógłby zlekceważyć, istniało zatem ryzyko, że w ogóle nie będą: żadnego łowienia.

48

Koło domu Aronssonów siedziała młoda kobieta, a obok niej mała dziewczynka. Wyglądały staromodnie. Może dlatego, że dziewczynka miała warkocze, a kobieta była w długiej niebieskiej spódnicy. Przycupnęły na walizkach, na wpół wsuniętych pod ganek. Wyglądało, że na kogoś czekają. Zdawało się, że kobieta jest bardzo zmęczona. Przez moment Birger nawet miał ochotę ją zapytać, dokąd się udają i czy ktoś ma je zabrać. Ale nie chciał być natrętny.

49

Próbował osłonić dłonią zegarek, żeby wskazówki zaświeciły. Ale z góry padało zbyt silne światło, a jednocześnie na : dnie studni było za ciemno, aby mógł dojrzeć cyfry. Nie miał pojęcia, jak długo już tu siedzi. Ostre kamienie i odór szlamu, chropowate łupki ścian i jasny, oślepiający krąg w górze - to była dziura wybita gdzieś poza czasem. Próżnia dla niego i jego samotności. Teraz musiał usiąść w szlamie. Dżinsy i tak były już przemoczone na siedzeniu, więc nie miało to większego znaczenia. Ale było mu zimno. Gdy odsunął na bok kilka: kamieni i usiadł z czołem opartym na podciągniętych w górę kolanach, nagle poczuł, że tuż koło niego coś się poruszyło. Zastygł w bezruchu. To przecież śmieszne. Niczego tu nie ma. Żadnych myszy. A może to halucynacje? Może jest tak słaby, że już je ma?

Stopa mu zdrętwiała i stracił w niej czucie, wysunął więc rękę, żeby ją pomacać. Wtedy pod jego dłonią coś wyraźnie się poruszyło między kamieniami. Coś zimnego i śliskiego. A potem poczuł silne dotknięcie jakby czyjgoś ramienia,! które od siebie odepchnął. Krzyknął.

Stał teraz, przestępował z nogi na nogę, kopał i krzyczą bezsensownie ku jasnemu otworowi.

— Ratunku! Zabierzcie mnie stąd!

W końcu już tylko wył, bez słów. Ale jasny otwór nadal wyglądał jak błękitna płyta. Nic na niej nie drgnęło.

50

Głos mu się załamał. Stał, przyciskając plecy do najeżonej ostrymi kamieniami ściany studni. Na dole przy stopach coś było. Coś większego niż wąż. Znow przejął go ziąb. Przedtem kiedy krzyczał, zapomniał o zimnie.

Tego wysiłki nie przynosiły żadnego rezultatu, nic się nie zmieniało. Ściany studni i błękitna pokrywa nieba pozostawały takie same. Także to coś, co znajdowało się koło jego stóp i było silne.

Próbował znow krzyczeć, ale poczuł ból w gardle. Może sobie coś naderwał tym krzykiem. W pewnym momencie wydało mu się, że dno studni się podnosi i wypycha go ku twardej jasnoniebieskiej płycie.

Znow wyjął nóż. Była to mała finka, w dodatku tępa. Używał jej tylko do sprawiania ryb. No i jak mógłby cokolwiek wyrębać nim w takiej ciemności?

Zaczął przestępować z nogi na nogę, kopiąc w kamienie na dnie. Ze szlamu i wody uniósł się zapach stęchlizny. Nic się jednak nie poruszyło. Wtedy zaczął

systematycznie deptać dookoła i tuż przy ścianie wyczuł znów tamten ruch, choć bardziej nieuchwytny. Teraz kopał tak, że woda bryzgała, a palcami nóg uderzał w kamienie. Ale nie zwracał uwagi na ból. Zamierzał kopać, aż to coś przestanie się ruszać. Kopać, aż z tego czegoś ujdzie życie. Cokolwiek to było. W każdym razie jestem większy, pomyślał.

Coś - może zapach - nasunęło mu na myśl ryby. Jednocześnie naszło go mgliste wspomnienie uczucia, jakie wywołuje dotknięcie ręką węża.

Węgorz.

To węgorz jest w studni.

Dawniej wrzucano do studni węgorze, wiedział o tym.

Miały je oczyszczać z różnego rodzaju robactwa. Poczuł, że musi się wysikać i że jest bardzo zmęczony. Ale jeśli nasikam do wody, nie będę mógł jej pić, pomyślał. Najpierw muszę

51

się napić. Gdybym miał zostać tu dłużej. Może zresztą napicie się moczu niczym nie grozi. Tym bardziej że będzie to mocz rozcieńczony. Węgorze mogą żyć sto lat. Może ten jest biały. Nie ustoję tu długo. Wtedy będę musiał usiąść obok węgorza. Nic nie szkodzi. Tylko ta woda i to zimno. Jak długo ta studnia jest sucha czy też prawie sucha? Jak, u licha, węgorz może żyć w takiej odrobinie wody na dzień przez całe lata?

Zaczął dygotać z zimna i objął się ramionami. Ale nie mógł opanować drżenia. Próbował się ogrzać, drepcząc w miejscu, teraz jednak robił to ostrożnie. Nie wolno deptać węgorza. Obrzydliwie jest sikać do wody, ale w końcu musiał to zrobić, bo dosłownie pękał mu pęcherz. Potem usiadł, żeby odpocząć. Na ślepo zaczął macać między kamieniami, aż dotknął ręką węgorza. Ryba wyślizgnęła mu się, ale nie mogła być daleko. Jaki to cholerny los dla takiego stworzenia. I jak często ten nieszczęśnik obrywał kamieniem w głowę?

Pekka i Bjórne na pewno rzucali kamienie, żeby sprawdzić, ile wody jest w studni. Nie sądził, by chcieli go utopić. Ani żeby się na to odważyli.

Musiał znów wstać, bo woda go ziębiła. W ciemności nie widział wyraźnie ścian studni. Ale wyczuwał, że w szczelinach jest mech. Od bardzo dawna musiało tu nie być wody.

Studnia była wyłożona łupkiem, dawniej w okolicy często używano tego kamienia.

Płytki osiadły, bo ziemia przemarzała. Ot, stary chropawy dół studzienny.

Próbował stać cicho, bez ruchu i nasłuchiwać samochodów czy głosów. Ale nic nie słyszał, nawet ptaków. Tam w górze, gdzie istnieje czas i światło, jest wieczór sobótkowy. Wszyscy zjedli kolację. Zaczęli się zjeżdżać Norwegowie. Samochody ostro hamują przed Domem Ludowym. Ludzie mówią o Torstenie i Vidarcie. I że własny syn

52

Torstena poleciał na niego donieść. I jak się o tym dowiedziano.

Muzyka tętni pewnie na całego, w środku odbywają się tańce. A może już się wszystko skończyło? Całkowicie stracił poczucie czasu. Gudrun oczywiście pozmywała naczynia i na sukienkę włożyła swoją białą kamizelkę. Zeszli na dół do Domu Ludowego? Torsten podczas rozmowy na pewno co chwila wtrąca przekleństwa.

Czy Gudrun wiedziała, że Torsten w młodości wszczynął bójki z mężczyznami, których w ogóle nie znał? I że razem z dwoma innymi wyprowadzili przed dom chłopaka Enoks-sona i włali mu, bo odszedł z zespołu drwali i zaczął pracować dla Henningssona? Że zrobili to co najmniej dwukrotnie?

Czy wiedziała o tym, a mimo to wyszła za niego za męża? Czy w głębi ślicznej małej Gudrun, z tymi całym kursami farbowania barwnikami roślinnymi i tą całą nauką angielskiego jest coś, co sprawia, że ona to aprobejuje? W ciemnościach nocy? Nagle poczuł, że mu niedobrze. Może niesłusznie tak myśli. Może to wstrętne z jego strony. Ale przecież to jej wina, że on teraz siedzi w studni.

Światło tu nie wpadało. Było tam, na górze. Widział je. Ale nie docierało do dna. Dół studni był za głęboki. Ktoś kopał i kopał, najpierw w pełnym nadziei przekonaniu, dlatego że różdżka drgnęła właśnie w tym miejscu, potem już z wściekłością. Aż wreszcie się dokopał, ktokolwiek to był. Nie mąż Aldy. To musiał być ten, kto tu wykarczował ziemię i postawił chatę. Przychodził z lasu do domu, jadł w milczeniu, wkładał czapkę i znów wychodził. I jeśli miał synów, to musieli wynosić ziemię. A kiedy w końcu dotarł do wody, udowodnił, że nie mógł się mylić. Potem ściany studni zostały wyłożone łupkiem, staranna robota, pierwsza klasa.

Ale woda się wycofała.

53

Johan usiadł przy węgorzu. Nie na długo, bo szybko przemarzł. Wydawało mu się zresztą, że kiedy stoi, jest mu tak samo zimno. Spodnie na tyłku zupełnie przemokły. Ścierpł mu kark, bo nie mógł oprzeć głowy na ostrych kamieniach. Wszystko to było niby jakiś sen, choć przez cały czas miał świadomość, gdzie jest. Musi co chwila odpoczywać i ruszać się, na zmianę, dopóki go nie wyciągną.

Zbudził się, bo mu się wydało, że ktoś dotknął jego ręki. Ręka i ramię mu zdrętwiały. Siedział ciężko przechylony na bok, z ręką podłożoną pod siedzenie i już nie czuł, czy nadal marznie. Ciało miał sztywne, a ziąb studni przenikał go na wskroś. Gdy niezdarnie próbował się podnieść, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Nagle przypomniał sobie o węgorzu i przestraszył się jak nigdy przedtem. Nie ryby. Ale tego, co może się wydarzyć. Czasem przemykały mu przez głowę takie myśli. Że wszystko może się zdarzyć. Że nie zawsze idzie dobrze.

Tym razem idzie źle. Może być za późno.

Czasem przytrafia się najgorsze. Coś takiego, co nikomu by nie przyszło do głowy. Stary Annorsa pięć tygodni leżał martwy w swojej chacie. Jego koń zdechł w stajni z pragnienia.

Gągoł znaleziony z hakiem w dziobie pióra miał rozmokłe, na wpół zgniłe.

Enoksson, chłopak, który przepiłował sobie udo piłą elektryczną. Jak? Nikt nie wiedział. Po prostu źle poszło.

Muszę wstać. Węgorz mnie zbudził.

Zaczął poruszać palcami nóg i rąk i powoli odzyskał czucie w kończynach. W końcu spróbował się podnieść, opierając plecy o kamienną ścianę. Czuł, jaki jest sztywny, był niczym drewniany kozioł, który trzeba przestawić.

54

Chwytając palcami wystające płytki łupku, z trudem dźwigał się w gore.' az wreszcie znowu stał i dreptał w miejscu, żeby się rozgrzać. Nagle uderzyła go pewna myśl. To było jak wstrząs elektryczny.

Kamienie wystają ze ściany. Na pewno do samej góry. Ziemia wokół studni osiadła.

Wbić czubek buta na tyle, żeby mieć oparcie. A jeśli trochę wyżej nie znajdzie się kawałek kamienia sterczącego ze ściany, wygrzebać mech finką. Wspiąć się.

Cholera! Gramolić się w górę krok po kroku. Wyleźć stąd. Oprzeć tyłek o ścianę i dźwigać się coraz wyżej.

Zaczął od razu i w jednej chwili znalazł oparcie dla buta, potem następne, które było trochę mniej pewne, ale wystarczyło, gdy mocno zaparł się siedzeniem o ścianę studni. Już nie stał w wodzie.

Wtedy pomyślał o węgorzu. Wiedział, że to czyste szaleństwo, a może brawura, ale i tak to zrobił. Zlazł znów, kucnął i gmerał w wodzie i szlamie, póki nie złapał śliskiego silnego ciała, które przeciskało się między kamieniami.

To był cholernie duży węgorz! Schwytany kręcił się i wywijał. Szukając po omacku finki, Johan pomyślał, że węgorz może mieć ze sto lat. A w każdym razie ponad pięćdziesiąt. Ponieważ przypuszczalnie to nie mąż Aldy kopał tę studnię.

Gdyby miał coś, w co można by węgorza wsadzić! Zdarł z siebie bluzę i koszulę, po czym szybko znów włożył bluzę, bo było naprawdę zimno. Położył koszulę w wodzie, a gdy ponownie schwytał węgorza, owinał go materiałem. Mocno związał rękawy, tak że zrobił się twardy pakunek, który ruszał się i podrygiwał. Johan wymacał pasek i przytroczył pakunek do niego, zawiązawszy rękawy koszuli obok finki. Ruszający się mokry węzełek okazał się cięższy, niż myślał.

Znów zaczął się wdrapywać. Zanim zrobiło się naprawdę ciężko, znalazł trzy występy. Teraz nie było tam żadnych

55

kamieni, które wystawałyby na tyle, żeby stanowić oparcie dla buta. Boso byłoby łatwiej. Ale zaważał się przed poświęceniem butów. Na bosaka będzie (musiał powlec się potem brzegiem rowu do domu. A do domu iść nie chciał. Nie zamierzał wracać do szyderczego śmiechu braci i do Gudrun, która przynosi mu na górę szklankę mleka i kanapki.

Wtedy przypomniał sobie linę holowniczą, którą go związali. Znów zlazł na dół i kiedy stał tam, usiłując wygrzebać ją z wody, jego podniecenie opadło. Wszystko ciągnęło się jak we śnie. To się nigdy nie skończy. Ciągle coś nowego stawało na przeszkodzie.

Ale teraz, bądź co bądź, miał buty przywiązane do pasa i zrobił dwa kroki, wykorzystując pierwsze trzy występy dla stóp. Z trudem, ale posuwał się dalej. Odpoczywał, zaparłszy się siedzeniem, pochylony do przodu, uczepiony ścianą przed sobą. Mięśnie mu drżały, przy każdym następnym oparciu stopy wzbierał ból w palcach u nóg. Ale dalej wciskał je najgłębiej, jak mógł. Ani razu nie użył noża. Nawet na moment nie mógł oderwać się od ściany. Od czasu do czasu odpoczywał, opierając się całym ciężarem na łokciu lub kolanie.

Dźwigał się z trudem i w końcu zauważył, że światło pada mu na twarz, a ramiona sięgają prawie do brzegu studni. Ostatnie kilkadziesiąt centymetrów posuwał się w górę, szorując siedzeniem po ścianie. Bluza zaczęła się i ostre łupki raniły plecy. Ale nie zważał na ból, tylko piął się dalej. W związanej koszuli dziko rzucał się węgorz. Zupełnie jakby czynił ostatnie wysiłki, aby wrócić do swojej niewoli. Gdy Johan znalazł się na brzegu studni, przydusił sobą węzeł. Zaraz zmiażdżę węgorza, pomyślał. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Ostatni raz uniósł siedzenie, a nogami odepchnął się od ściany studni najsilniej, jak mógł. Jeszcze

56

raz dźwignął się z trudem i oto leżał w trawie. Pod nim szamotał się węgorz. Nie chciał leżeć. Te cholery nie znajdą mnie tutaj, pomyślał. Z nieba lało się oślepiające światło, ale chałupa Aldy i las za nią kryły się w cieniu, który rzucała grań. Johan zbiegł truchtem na bosaka. Za drewnutnią odwiązał buty i włożył je. Była za dwadzieścia dwunasta. Z domu wyszedłem o siódmej, pomyślał. Złapali mnie dziesięć, góra piętnaście minut później. Potem zgrywali się trochę, może z dziesięć minut. Na dnie studni byłem około wpół do ósmej. Siedziałem tam ponad cztery godziny.

Całe zadowolenie zniknęło. Było mu tylko zimno. Przypomniał sobie upajające uczucie dumy, które go ogarnęło, gdy wpadł na to, że może się wspinać. A przecież

nie była to jakaś szczególnie oryginalna myśl. Dziwne, że od razu nie przyszła mu do głowy.

Przed opuszczeniem tego miejsca nad słuchiwał uważnie warkotu motoru. Potem, na wpół biegnąc, ruszył ścieżką w górę. Nie bardzo wiedział dokąd. W każdym razie jak najdalej od wsi.

57

Owady były maleńkie, mniejsze niż główka od szpilki, i w ogóle nie było ich widać, dopóki nie zbiły się w gęstą chmurę. Podrywał je każdy kolejny krok ich obu w wysokiej trawie. Gdy tylko podeszły na placyk przed sklepem, owady odpędził powiew wiatru. Nie jakiś silny wiatr, wieczór był ciepły. Mniej więcej godzinę później owady odszukały je na górze. Trafiły na policzki, szyję, włożyły w kąciaki oczu. Ich ukąszenia paliły jak iskry. Mia płakała i opędzała się od nich. To było nie do wytrzymania. Musiały biec do sklepu i dobijać się do drzwi. Ale właściciel i jego żona siedzieli teraz w mieszkaniu piętro wyżej i oglądali telewizję, więc chwilę trwało, zanim usłyszeli łomotanie.

Nie zdziwił się na ich widok. On lub jego żona musieli zerkać zza firanek. Z humorem przyjął słowa Annie na temat plagi owadów i dał do zrozumienia, że trzeba być tu urodzonym, aby sobie z nimi poradzić. Nazywają je żądlicami, dodał. Wyraziła opinię, że wątpi w to, aby ktoś sobie z nimi poradził. To trochę męczyznę rozdrażniło i powiedział, iż ludzie, którzy pracują w lesie, nie mogą iść do domu, dlatego że nadleciały żądlice. Pozostaje się więc przyzwyczaić.

Spytała, czy pozwoli im poczekać w sklepie, chociaż najchętniej poszłaby gdzieś, gdzie mogłyby coś zjeść.

Nie ma takiego lokalu. Nie w tej wsi.

58

Oświadczył to niemal z triumfem. W dużym pokoju jego żona oglądała telewizję, choć tylko na wpół zainteresowana tym, co się dzieje na ekranie. Siedzieli obok siebie na zielonej pluszowej kanapie. Na stole z blatem z terakoty w kwiatki stała kawa i różne ciastka. Popijali jakiś brązowy alkohol z szerokich kieliszków. Likier kakaowy?

- A może byście wynajęły pokój? — spytał mężczyzna.
- Roland mówił, że na campingu nie ma wolnych miejsc!
- zawołała jego żona.

W jej głosie brzmiała złośliwa radość.

- Są jeszcze prywatne kwatery, ale w wieczór sobótkowy wszędzie jest pełno — potwierdził mężczyzna.

Wtedy uświadomiła sobie, dlaczego Dana nie ma. Przypuszczalnie sądził, że wieczór sobótkowy wypada dopiero jutro. W sobotę. Bo tak właściwie było. Wieczór sobótkowy według starego zwyczaju.

- Mój chłopak został pewnie na górze, w Nilsbodarna
- odezwała się. - Chyba zaszło nieporozumienie. Znasz kogoś, kto mógłby nas podwieźć?
- Tam nie ma żadnej drogi.
- Wiem. Ale jest ścieżka, która prowadzi do tamtego miejsca. Mam ze sobą mapę. A od drogi to już nie tak daleko.

Spojrzeni po sobie. Wyczuła, że nie są jej przychylni. I nie była to zwyczajna niechęć, lecz coś bardziej subtelnego. Wydawało się, że jej słowa potwierdzają jakieś ich uprzedzenia, co do których są zgodni.

- Chciałabym kupić coś do jedzenia dla córki - powiedziała, choć było jej nieprzyjemnie to mówić. Kobieta nie odezwała się. Wlepiła oczy w ekran telewizora.

- W porządku - powiedział mężczyzna. — Ale najpierw chcemy obejrzeć film. Możecie też popatrzeć.

Annie usiadła więc w fotelu przy stole. Mia wtuliła się w jej kolana. Dziewczynkę szybko znudził film i rozglądała

59

się po pokoju pełnym przedmiotów, które musiały wydawać jej się dziwne. Mnóstwo zwierząt, jedne wyhaftowane, inne wystrugane z drewna lub wyrzeźbione z kryształu czy też ceramiczne. Kobieta unosiła filiżankę i popijała kawę, usiłując nie odrywać wzroku od ekranu, na którym widać było Georga Rydeberga w stroju księdza. Mia zaczęła jedno po drugim zjadać ciastka, tortowe i lukrowane babeczki, poukładane w małych karbowanych foremkach z papieru. Annie usiadła na fotelu skośnie do okna, żeby móc zerkać na placyk przed sklepem. Od czasu do czasu przejeżdżał tamtędy samochód. Żaden jednak się nie zatrzymał. Po chwili Mia zwinęła się na jej kolanach i usnęła. Długie nogi zwisały, do buzi włożyła kciuk. Pierwszy raz od dawna Annie zobaczyła, że córka ssie palec.

Gdy dziwaczny dramat na ekranie dobiegł końca, przenieśli się do kuchni i kobieta ugotowała dla Mii coś, co nazwała kaszą jagodową. Wyjęła z zamrażarki czarne jagody, zagotowała je w wodzie i wsypała do nich mąki jęczmiennej. Mia naturalnie nie chciała tego jeść - z wyglądu kasza przypominała ciemnoczerwony klajster. Zjadła jednak kanapkę z kielbasą i wypita trochę mleka.

Annie przez otwarte drzwi rzuciła okiem na pokój obok kuchni. Był pełen obrazów. Na ścianie nad łóżkiem wisiał obraz zrobiony z tłoczonego pluszu, utrzymany w różnych tonacjach różu, żółci i brązu; przedstawiał nagą dziewczynę. Miała wypięte obfite piersi z okrągłymi brodawkami, które wyglądały jak gałki oczne zwrócone na tego, kto wchodził. Musiały patrzeć na żonę mężczyzny za każdym razem, gdy wchodziła ze ścierką do kurzu. A wchodziła pewnie często, bo w pokoju było czysto.

Oboje uważali, że Annie z córką powinny zostać we wsi. Ona jednak zaczynała się dusić w tej wąskiej, lśniącej kuchni. Poza tym Danowi mogło się coś stać. Tam na górze był

60

przecież zupełnie sam. Ale mężczyzna - na imię miał Ola - odrzucił to przypuszczenie.

- A co, u diabła, miałyby mu się stać?

- Mógł złamać nogę.

Zorientowała się, że uważają ją za dziwaczkę.

- Mieszkać w Nirsbuan! - Kobieta prychnęła, wydymając zwiotczale wargi. Sapała przy tym jak koń.

W końcu Annie przekonała sklepikarza, żeby je odwiózł. Pozwolił im zostawić bagaż w jego garażu, gdzie zmieniły też sandały na buty z cholewkami. Ola powiedział, że muszą mieć wyższe buty, bo wejdą na mokradła.

- Więc nie zostajecie? - To były ostatnie słowa żony. Nie powiedziała jednak, gdzie miałyby przenocować. Stała na schodach z założonymi rękami, dłonie wsunęła w rękawy wdzianka. Na dworze pochlodziło, ale wciąż było tak samo jasno.

Ola powiedział, żeby poszły przodem. Mają nie iść szosą, która prowadzi do Norwegii, tylko boczną drogą przez środek wsi. On pojedzie za nimi i je zabierze.

Annie odczuła wielką ulgę, gdy zostawiły wieś za sobą. Droga niemal natychmiast zaczęła wznosić się w górę, ale nie szły długo. Ola podjechał samochodem, ledwie minęły ostatni dom.

- Dlaczego chciałeś, żebyśmy ten kawałek przeszły pieszo? - spytała.

Zaśmiał się drwiąco. Mimo to nalegała, żeby powiedział. Nie była zbyt przejęta tym, że zabrał je dopiero wtedy, gdy nikt nie mógł tego widzieć. Jego żona przecież wiedziała, że z nim pojedą. Czuła jednak dziwny niesmak.

~ No, nie warto się afiszować z tym, że się podwozi czerwonych - powiedział. Zdumienie dosłownie odebrało jej mowę. Jego odpowiedź zabrzmiała idiotycznie. Albo raczej historycznie. Przyszedł jej

61

na myśl Czerwony Emil Diktoniusa. Matka ścisnęła bękarta za gardło. Co ten człowiek wiedział o tych sprawach? O nic już nie pytała, powiedziała jedynie:

- Myślę, że mój chłopak wyjdzie po nas. Pewnie się tylko spóźnia.
- To on jednak istnieje, ten twój chłopak? - spytał drwiąco mężczyzna.
- Oczywiście.
- Aha, sądziłem, że nie miewacie jakiegoś konkretnego. Myślałem, że może nim być po trosze każdy mężczyzna.

Już się nie odezwę, pomyślała. Cokolwiek się stanie.

Droga prowadziła teraz przez las, Annie nie widziała żadnych zabudowań. Dotarli do poręby i wtedy powiedział jej, żeby się odwróciła i spojrzała w dół ku jezioru. Z tego miejsca widać było góry ciągnące się w głąb Norwegii. Czarne, rzucały błękitne cienie, wierzchołki skrzyły się śniegiem. Turkusowa plama na wielkim jeziorze zdawała się nie mieć związku z kolorem nieba. Woda dookoła była ciemniej niebieska.

Znowu zaczął się las i droga biegła teraz wysokim wzniesieniem. Powykrzywiane brzozy, obwieszane czarnymi welonami liści, mieszały się ze świerkami. Wtem las się otworzył i zobaczyła małe jeziorko, połyskujące w dali poniżej drogi. Wydawało się czarne od odbijających się w nim świerków. Tylko na samym środku leżał jaśniejszy owal. Ale on też nie wchłonął bladoniebieskiej barwy nieba, tylko połyskiwał niby stare czerwone złoto. Ola zatrzymał się na poboczu. Powiedział, że to obejście Strómgrenów, a właściwie stara górską siedziba. Nie wiedziała, jak to rozumieć. Psy ujadły wściekle i rzucały się na siatkę ogrodzenia. Jakaś sylwetka mignęła w oknie, ale gdy samochód stanął, nikt nie wyszedł z domu.

Było tu wiele zabudowań z poszarzałego drewna, rozrzuconych po zboczu i oddalonych od siebie. Pokazał jej

62

ścieżkę, która z drewutni prowadziła w kierunku małego szarego drewnianego domu.

- Tą ścieżką, która biegnie w dół do strumienia, dojdziecie do ostatniej stodoły. Tam wejdziecie na drogę prowadzącą do wsi na dole. Wtedy musicie skręcić w lewo, bo inaczej znów zejdziecie w dół.

Na poboczu stał czerwony samochód. Renault 4L. Wyglądało na to, że nie należy do nikogo z tego gospodarstwa, bo tuż przy ścieżce do obory zaparkowany był stary opel. A więc gdzieś tam na górze muszą być ludzie. To dobrze. Ludzie, którzy mają mały czerwony samochód.

Wzięła plecak. Miała w nim bluzy, swoją i Mii, i kanapki, które przygotowała im żona Oli. Mapę wyjęła już w samochodzie. Ola pomógł jej znaleźć na niej chatę, którą nazywał Nirsbuan. Na mapie nazywała się naprawdę Nilsbodarna. Zrozumiała teraz, że musi to być gajówka. Ścieżka biegła dalej na wschód przez mokradła i wiodła do rzeki, która na mapie nazywała się Górską Rzeką, a którą Ola nazywał Lobberan. Miały ją przejść. Jest tam bród, powiedział, który łatwo znaleźć, bo to tuż przed miejscem, gdzie rzeka wpada do Klóppen, dużego górskiego jeziora. Ścieżka prowadziła dalej na Gwiazdną Górę. Ale one miały pójść na wschód, w kierunku małego czarnego kwadracika, którym oznaczone było Nirsbuan.

- Dziękuję za podwiezienie. - Uznała, że mimo wszystko musi to powiedzieć. Nie odważyła się zaproponować zapłaty. Najzwyczajniej w świecie bała się, że usłyszy wulgarną odpowiedź.

- Dlaczego Dan nie przyjechał? - spytała Mia, gdy tylko zostały same.

- Nie wiem. Pewnie pomylił dni.

Nie usłyszała warkotu samochodu Oli, ale musiał już odjechać. Teraz słychać było tylko ptaki. Ich głosy brzmiały

63

C

niepewnie. Może większość z nich mimo wszystko spała, chociaż było tak jasno.

Minęła północ. Jakiś ptak tokował cały czas na jednym tonie. W powietrzu unosił się silny zapach brzożowych liści. Liście nie były tu jeszcze tak rozwinięte jak na dole we wsi. Trawa na pastwisku też była krótsza od tej, która porastała urwiska położone niżej.

Obejście składało się z czerwonego, dość nowoczesnego domu, stodoły, dwóch psiarni i grupki małych szarych chałupek na zboczu. Światło było teraz tak złudne, że domy stojące najniżej nad jeziorem zdawały się poruszać. Powlokły się dalej, Mia trzymała Annie za rękę, z wielką uwagą wsłuchując się w odgłosy lasu.

— Że też on tak może — odezwała się i Annie zrozumiała, że dziewczynka ma na myśli ptaka, który wydawał ostry gwizd na jednym tonie. Pastwisko opadało w dół do strumienia, przy którym ścieżka się rozwidlała. Stała tam mała chata z zawalonym dachem z gontów.

- Tu mamy skręcić w lewo.

Ścieżka wita się i pięta w górę. Po chwili znów zobaczyły drewnianą i tył domu mieszkalnego. Ogarnęło ją uczucie niepewności. Na mapie nie zaznaczono ani sieci ścieżek, które przecinały pastwisko, ani małych drewnianych chat, majaczących w świetle białej nocy. Dla pewności wróciły do strumienia i przy małym domku z zarwanym dachem skręciły w przeciwną stronę.

Ścieżka wydawała się szersza. Wyglądało na to, że dokądś prowadzi, więc poszły nią, oddalając się od małych szarych chałup z drewna. Po chwili weszły w las, dookoła rosły tu przeważnie pokrzywione, obwieszane porostami brzozy. Część z nich się zwała i butwiała powoli, a szare huby wyrastały z pni jak narośle. Z trawy pod brzożami sterczały paprocie, ich brązowe włochate czubki były jeszcze zwinięte. Las ze zwieszającymi się czarnymi porostami i zwałonymi

64

pniami drzew był przepelniony miłymi ptasimi dźwiękami, odgłosami tokowania, kląskania i wabienia. Samych ptaków jednak nie widziały.

Weszły na teren, który się wznosił; pomyślała, że to dziwne, ponieważ powinny się znajdować bliżej jeziora. Wydawało się, że idą górskim grzbieciem. Potem ścieżka połączyła się z drugą, dużo szerszą i bardziej wydeptaną. Nagle Annie uświadomiła sobie, że idą w złym kierunku. Ola mówił, żeby uważały i nie weszły na ścieżkę do Czarnej Wody. Jeśli nią pójdą, zejdą znów do wsi.

- Musimy zawrócić - powiedziała. Mia rzuciła jej spojrzenie dorosłej osoby.

- Albo nie... Chwileczkę! Na górę weszłyśmy właściwą ścieżką ze wsi. Ale idziemy znów w dół. Musimy zawrócić, ale nie iść w dół, skąd przyszłyśmy, tylko pójść tą szeroką dróżką od jeziora. Czekać, zaraz zobaczymy.

Posadziła Mię na pniu drzewa i zaczęła rozkładać mapę. Teraz, w szarym świetle prześwietlającym między brzożami, trudno było dostrzec szczegóły. Przyszło jej na myśl, że powinna była wziąć kompas. Kiedy jednak ruszały w drogę po wyjściu z samochodu Oli, nie podejrzewała, że tyle tu ścieżek, które rozwidlają się i znikają w

długich pasmach moczarów. Nie spodziewała się rozproszonych szarych budynków i urzędzeń skonstruowanych przez człowieka, tam gdzie wszystko powinno być dzikie. Zaskoczył ją także sam teren, jego wzniesienia i spadki, których nie oczekiwała. Nic nie zgadzało się z mapą.

Spieszyła się, żeby ruszyć w drogę. Zmusiła ją do tego niezdrowa, agresywna ciekawość Oli. Zupełnie nie pasował do jej wyobrażeń na temat tutejszych ludzi.

~ Cicho! — odezwała się Mia. Nadsluchiwała intensywnie.

teraz Annie także usłyszała jakiś ostry regularny dźwięk i zbliżający się odgłos kroków. Zrozumiała, że ktoś idzie

65

ścieżką pod górę w ich kierunku. Objęła Mię i prawie zepchnęła ją za pień.

Dziewczynka opadła na mapę, która zaszeleściła. Potem Annie znów usłyszała ten ostry dźwięk i dotarło do niej, że to świszczący oddech. Ktoś głośno sapał. Nie mogła jednak rozpoznać, czy to zwierzę czy człowiek. Przyciskała Mię do ziemi, ale jej samej nie udało się ukryć. Pień nie był dość wysoki.

Nie widział jej. Szedł szybko drogą pod górę, patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. Usta miał otwartej oddech wydobywał się w krótkich, pełnych wysiłku sapnięciach. Włosy chłopaka były bardzo czarne, długie, proste jak druty, założone za uszy. Oczy miał lekko skośne, ciemne. Coś niósł przed sobą. Nie zdążyła zobaczyć, co to jest, ale było widać, że mu przeszkadza, gdy prawie biegł przed siebie. Po chwili zniknął.

Przestraszyła Mię. Teraz tego żałowała. Ale usunęła ją z pola widzenia, kierując się wyłącznie instynktem.

- To jakiś chłopiec - powiedziała, próbując słowami odegnać strach, który widziała na twarzy Mii.

- Czy tu są zwierzęta?

- Nie wiem. Teraz musimy się spieszyć. Już niedaleko do Nirsbuan. Może spotkamy Dana. Pewnie już sobie uświadomił, że pomylił dni.

Ruszyły dalej. Szła teraz cicho, nadsluchując. Ten wysoki czarnowłosy chłopak może przecież zawrócić. Mia zauważyła, że Annie jest napięta, i nie puszczała jej ręki.

Na górze było chłodniej, a także mniej owadów. Na początku ścieżka odznaczała się wyraźnie i dość łatwo się nią szło. Prowadziła na niżej położony teren, który stopniowo stawał się coraz bardziej podmokły, aż w końcu weszły na długie mokradło. Białe kwiaty, wyglądające jak kłębki wełny, połyskiwały w nocnym świetle.

Całe ich tysiące falowały w powietrzu, tuż ponad turzycą we wszystkich odcieniach

66

|

czerwonawej żółci i zieleni. Pod butami chlupotała woda i teraz ciężko było iść. Parę razy ścieżka rozwidlała się, Annie wydawało się jednak, że bez trudu zobaczy, która jest bardziej wydeptana.

Las cofnął się na zbocza położone wyżej. Coraz bardziej się od niego oddalały. Stał się ciemniejszy. Pomyślała, że niedługo znów zrobi się jasno. Mia nie skarżyła się na zmęczenie, a Annie nie miała odwagi jej o to pytać. Przecież muszą iść dalej. Ta ścieżka okazała się o wiele dłuższa i trudniejsza, niż przypuszczała. Podmokła ziemia przysysała się do butów i wciągała stopy.

Trafiły na mały strumień i przeszły go. Chciały napić się wody, ale gdy tylko przystanąły, zaatakowały je komary. Gdy przebalansowały po kamieniach i znalazły się po drugiej stronie, straciły z oczu główną ścieżkę, bo rozwidliła się w wiele niewyraźnych ramion. Przez chwilę dreptały w kółko, żeby trafić na tę właściwą, i

coraz bardziej oddalały się od strumienia. Wróciły więc, żeby odszukać miejsce, w którym przeszły przez strumień, ale nie mogły go znaleźć.

Kamienie i przejrzysta woda, szmerząca nad dnem pokrytym drobnymi piaskami. Kaczeńce, jeszcze nie rozkwitłe. Jakiś rodzaj wełnistej szarozielonej łożyny, której gałęzie pochylają się nad wodą. Powykrzywiane brzozy, obwieszane czarnymi welonami. Wszędzie wyglądało mniej więcej tak samo. Nie wiedziała, gdzie przekroczą strumień.

- Wiesz co? - spytała, starając się nadać głosowi zdecydowane brzmienie. - Myślę, że trudno będzie znaleźć ścieżkę tam wyżej, na mokradle. A gdybyśmy tak poszły prosto i spróbowały poszukać rzeki?

Nie mogła dojrzeć stąd wody, jednak tam, w dole, za szerokim pasem zielonych wiechci i pojedynczych brzoź, musiała płynąć rzeka. Ruszyły wzdłuż strumienia. Ale to była zupełnie inna sprawa iść po nierównym terenie, gdzie

67

w ogóle nie ma żadnej ścieżki. W pobliżu strumienia ziemię porastały twarde kępy trawy. Zastanawiała się, co może widzieć Mia rzucająca szybkie spojrzenia. Kępy wyglądały jak zarośnięte łby sterczące z ziemi. Pnie brzoź były poskręcane i gruzłowate.

Ostatni odcinek w dół do rzeki przeszły na skos przez mokradło, które zapadało się pod stopami. Teraz znów usłyszały wodę, dźwięk był podobny do szmeru strumienia, ale zwielokrotniony. Według mapy rzeka wypływała z gór. Jej zakola i meandry kończyły się przy jeziorze Klóppen. Kiedy okrążyła maleńką wysepkę brzoź na mokradle, dostrzegła jezioro. Biała tafla o metalicznym połysku, jaśniejsza od nieba. Nad rzeką rosła taka sama włośchatoszara łożyna, jak nad brzegiem strumienia, tylko zarośla były tu wyższe. Wydawały się nie do przebycia. Między brzozami ziemia była twardsza, ale bardzo nierówna. Annie zaczęła odczuwać prawdziwe zmęczenie. Jak długo jeszcze Mia zniesie tę wędrówkę po wertepach na swych krótkich nóżkach? Zupełnie nieoczekiwanie zarośla łożyny przerzedziły się, odsłaniając na zboczu wolny dostęp do wody. Przejrzało stamtąd coś niebieskiego i gdy przeszły obok ostatnicz zasłaniających widok krzaków, zobaczyły dwa świerki, jeden koło drugiego, a obok mały namiot. Jakiś ptak krążył nad nim na rozpostartych skrzydłach. Potem zanurkował, złe żywszy skrzydła, i przeciął powietrze jak pocisk. Rozległ się przenikliwy dźwięk, a może krzyk.

Namiot nie mógł pomieścić więcej niż dwie osoby. Stał blisko wody, która płynęła wartko między kamieniami. Najpierw Annie poczuła zupełnie nieuzasadnioną ulgę. Ten czy też ci, co leżeli tam w środku i spali, otoczeni szumem i szmerem wody, zawędrowali tutaj, więc muszą wiedzieć, gdzie jest ścieżka i w którym miejscu można przejść przez

68

rzekę. Spojrzała na Mię. Wzrok dziewczynki, przykuty do jasnyniebieskiej piramidki, był pełen przerażenia. Annie powinna powiedzieć, że wszystko jest jak trzeba. Znalazły ludzi. Zaraz odszukają Nirsbuan i będą u celu. Ale nie powiedziała nic. Ujęła Mię za rękę i powoli odciągnęła ją za zarośla.

- Chodźmy - wyszeptała, choć wcale nie musiała szeptać. Poprzez szum wody w namiocie nie można było niczego usłyszeć.

69

i?

Srebrzysta poświata otaczała chatę, która stała na wzniesieniu, i gdy Johan spojrzał poprzez siateczkę kwiatów dzikiej trybuli, wydawało mu się, że cały dom unosi się i opada w tym niepewnym świetle nocy, jakby w oddechu ziemi.

Nie wszedł drzwiami. Przedtem klucz do chaty zawsze wisiał na gwoździu pod okapem na ścianie szczytowej od strony jeziora. Ale Torsten powiedział, że jeśli Ludzie z Gwiezdnej Góry ją zajmą, to oskarży ich przed policją o włamanie. W poprzek drzwi założył żelazną sztabę, którą zamknął na kłódkę. Klucz do niej trzymał teraz w domu.

Johanowi udało się podważyć gwoździe, które trzymały pozbawione zawiasów okno od pokoju. Włazł przez nie, rzucił zawiniątko z węgorem na stół w kuchni i natychmiast rozpoczął niezbędne przygotowania, żeby rozpalić w piecu. Pomyślał, że dobrze byłoby użyć do tego trochę denaturatu. Chlapnął nim na gazetę, ułożył ją na palenisku i zapalił. Otworzył szyber i usłyszał jakiś chrobot, jak gdyby coś - ciało ptaka? - obsunęło się trochę. Kiedy podpalił drzazgi i drewno, z pieca buchnął żółty, gęsty dym. O mało się nie rozpląkał. Przykucnięty przed piecem, przemarznięty i drżący, poczuł się, jak gdyby nagle utracił dziesięć, dwanaście lat życia. Gryzący dym szybko wypełnił chatę.

Johan otworzył okno, wyszarpnął z pieca palącą się szczapę i włożył ją do miednicy. Znow zaczął wszystko od

70

początku. Gazeta nasączona denaturatem stanęła w płomieniach i wydawało mu się, że ogień zahuczał inaczej niż za pierwszym razem.

Biegając ścieżką, myślał o ciepłe pieca w chacie, gorącej czekoladzie i o starych kołdrach, którymi się owinie. Pragnął znaleźć się w gnieździe. Ale gdy wreszcie rozpalili w piecu i prawie wywietrzył pokój z dymu, pozostawało jeszcze wiele do zrobienia, zanim będzie mógł się zwinąć w kłębek i pomyśleć. A pomyśleć chciał. Musiał. Ale przedtem należało przynieść wiadro wody z jeziora na dole, żeby zaś to zrobić, trzeba było wyleźć przez okno w kuchni. Potem musiał wpasować znow okno od pokoju w ramę i przygiąć z powrotem gwoździe. Musiał też rozwiesić swoje mokre dzinsy nad piecem i nie znalazł niczego, co mógłby na siebie włożyć na czas, gdy będą schły. Było nawet sporo starych kurtek, ale ani jednej pary spodni. Okręcił się więc od pasa w dół kocem i poruszał niezdarnie jak w długiej spódnicy.

W pudełku było jeszcze trochę kakao, z mleka w proszku pozostało jednak tylko kilka żółtawych, zawilgłych grudek. Kakao było wodniste, ale przynajmniej gorące.

Herbatniki przesiąkły zapachem chaty.

Ile cholernych zabiegów tylko po to, żeby się trochę rozgrzać i wrzucić coś do żołądka! Gdy wsunął się pod kołdry, wzeszło słońce. Węgorz, cały czas zawinięty w koszulę, leżał na stole i podrygiwał, ale Johan przypomniał sobie o nim, dopiero kiedy się położył. Wstał więc, rozwiązał rękawy koszuli i wypuścił rybę do wiadra. W jednej chwili długie lśniące ciało ześlizgnęło się do wody, która zawirowała od ukrytej w mięśniach stworzenia siły. Potem węgorz leżał spokojnie, zwinęty w pierścień na dnie żółtego plastikowego wiadra, i Johan nie miał już siły dłużej się w niego wpatrywać. Myśleć też nie miał siły. Odłożył to na później. Musiał się przespać.

71

Ale wciąż czuł tak wściekle zimno, że nie mógł zasnąć. W pokoju było za jasno, w dodatku przez nieszczelne okno dobiegała wrzawa ptaków. Szczególnie jedna sikorka powtarzała i powtarzała te same dwa ostre tony. Oczy, podrażnione dymem, piekły pod zamkniętymi powiekami. Tylko gdy je otwierał, czuł ulgę.

Po chwili wstał i dołożył więcej suchych brzoźowych szczap, między którymi było pełno mysich odchodów. Gdy pomyślał, że to Torsten narąbał drewna, tak, bo to on przywiózł skuterem zwaloną przez bobry brzozę, ogarnęła go panika. To Torsten go ogrzał. Od kiedy Johan się urodził, nie zjadł ani kawałeczka czegoś, o co nie postarałby się Torsten. Stał mu przed oczami, z nagim torsem, opadającymi

roboczymi spodniami. Brązowa skóra, silne, wyraźnie zarysowane mięśnie. Czarne włosy na piersiach rosły tak, że tworzył się krzyż, którego podstawa ginęła gdzieś w niewidocznym miejscu między pachwinami.

Teraz Johan był na wpół rozbudzony i dygotał z zimna pod wilgotnymi kołdrami.

Przez okno wychodzące na wschód wpadało jasne słońce, sikorka nie milkła.

Chciał pomyśleć. Ale nie tak. Myśli i obrazy wdzierają się w niego podobnie jak słoneczny blask z dworu. Nie mógł ich ani odrzucić, ani uporządkować.

Stanął mu przed oczami Torsten nad umywalką, parszcząc wodą, jego pochylone, silne ciało. Na skórze pleców widniały pryszczki i plamy. Ujrzał rękę Gudrun na tych plecach, jej palce prześlizgiwały się po pryszczach. Jak, do cholery, mógł widzieć to teraz tak wyraźnie! Nigdy przecież nie był świadkiem takiej sceny.

Znalazł się w potrzasku. Schwytany i uwięziony. Jedzenie, które jadł, było rezultatem wysiłku mięśni Torstena. Wszystko, co wiedział, naprawdę wiedział, nawet w głębi duszy, było pochodną mózgu Torstena i Gudrun. Wpro-

72

wadzili w niego swój program. A teraz jego mózg był wyczerpany i rozgrzany natłokiem myśli, które chciał powstrzymać, ale nie potrafił, więc dalej przebiegały mu przez głowę.

Wstał i włączył radio. Wisiało na gwoździu wbitym w sufit, żeby zmniejszyć działanie bariery, jaką stanowiło zalesione wzgórze za chatą. Ale baterie były słabe i rozległy się jedynie trzaski.

Pewnie poczułby się lepiej, gdyby coś zjadł. Znalazł słoik fasolki po bretońsku, otworzył go i zjadł ją na zimno. Była słodkawa i obrzydliwa. Ale potem jakieś ciepło od środka rozpląnęło się w nim i odczuł je przede wszystkim w łędźwiach i udach. Zazwyczaj takie ciepło razem z pewnego rodzaju sennością, która nachodziła go popołudniami, niesło ze sobą przyjemne doznanie. Ujął członek i poczuł, jak jest gorący i duży. Potem zapomniał o wszystkim i przestał słyszeć sikorkę. Senność mignęła mu w głowie i, choć nie była gwałtowna, Johan i tak nie zdołał jej się oprzeć.

73

Nad rzeką Czarna Trzcina nie roiło się tak od komarów. Wieczór był raczej ciepły, ale może w tym roku komary jeszcze się nie zaczęły na dobre. Troci też prawie nie było.

Po kilku godzinach złowili wprawdzie dwanaście, ale tylko pięć z nich miało odpowiednią wielkość. Zobaczyli bobra płynącego z ostatnim błyskiem słońca na łebku. Silnie uderzył spłaszczonym ogonem, zawrócił i zniknął w tej samej chwili co słońce. Potem szybko się ochłodziło. Ryby przestały brać, więc wrócili na camping. Było po pierwszej, gdy Birger smażył małe trocie. Chatę wypełnił szary dym, ale pachniało smażeniem. Ake nalał whisky, wyjął chrupkie pieczywo i piwo.

Po jedzeniu ogarnęło ich straszne zmęczenie, więc położyli się, nie sprzątnąwszy ze stołu. Gdy Ake zaczął chrapać na górnym łóżku, Birger odczuł nagle całą marność wszystkiego, co ich otacza. Rybi zaduch w ciasnym domku. Warkot samochodów wjeżdżających na camping. Pijackie wycia i piski dziewcząt. Ale ci, co snuli się na dworze, mieli przynajmniej kobiety. Tutaj natomiast leżało dwóch starych kawalerów, którzy drapali się pod kocami. Nie było nawet kwiatka na stole, choć to wigilia sobótki. Muszę wziąć się w garść, pomyślał. Jutro ugotuję prawdziwy obiad.

W tej samej chwili, gdy złożył to przyrzeczenie - bo było to przyrzeczenie, którego z czasem powinien dotrzymać — uświadomił sobie, że już nie wierzy, aby ona wróciła.

74

Sama ta ziemia ją przerażała. Co chwila wpadały w głębokie dziury. Mia płakała. Ścieżki, którymi szły, były tunelami w gęstej łożynie. Nagle wszystkie zniknęły przy dużej jamie i pojęła, że to nie przez ludzi zostały wydeptane. Ale znalazła miejsce,

gdzie rzeka wpadała do jeziora, i słyszała, jak szepczą i szemrzą małe kaskady wśród kamieni.

Przejście po kamienistym dnie okazało się dla Mii trudne. Wiele razy się zachwiała, do butów z krótkimi cholewkami nalała jej się woda. Gdy przeszły rzekę, ścieżka wydawała się wyraźna nawet tam, gdzie z trudem można było się przecisnąć między zaroślami. Trzymały się ścieżki, niemal nie odrywając oczu od tej pokrytej igliwem wstęgi. W końcu na zboczu obsypanym widocznymi w świetle nocy kwitnącymi pełnikami znalazły Nirsbuan.

Szary drewniany domek. Dopiero kiedy zaczęły do niego podchodzić, zrozumiała, dlaczego kobierzec traw i kwiatów jest tak gęsty i sięga tak wysoko. Nikt ich nie kosił. A przecież dopiero co ktoś przeszedł przez wysoką trawę.

Chata była zamknięta z zewnątrz. Na drzwiach zobaczyła sztabę, na niej kłódkę. Próbowała otworzyć, ale nie mogła. Ktoś tu był i po mokrej od rosy trawie dotarł do domu. Nie wszedł jednak do środka przez drzwi.

Wspięła się na kupę cegieł i zajrzała do kuchni przez szybę usianą pęcherzykami powietrza. Wszystko w środku było

75

niskie. Piec ledwie wystawał nad podłogę. Światło padało tak, że na drzwiczkach pieca widziała napis: Skillingaryd nr 23 Zobaczyła też pustą sofę. A może łóżko. Można by wyciągnąć szufladę na pościel i starczyłoby w niej miejsca dla najmniej dwojga dzieci. Chybotliwy stół, dwa połamać krzesła. Żółte plastikowe wiadro. Na ścianie oprawioł obraz, przedstawiający Pana Jezusa w cierniowej koronie, stole trochę rupieci - puszka konserw, podarta gazet Okopcona miednica. I to wszystko. Gdy obchodziła don żeby zajrzeć przez drugie okno, usłyszała płacz Mii. tylko mała przystanęła, nadleciały komary i jakieś muszki.

W jednym z okien od tyłu dość brudne zasłonki w niebieską kratkę były zaciągnięte. Annie widziała tylko niewielki kawałek ściany oklejonej tapetą w niebieskie kwiatki, na której nowy wzór tworzyły brązowe plamy wilgoci. Trochę niżej zwisał naderwany płat tapety. Potem zauważyła kawałek łóżka. Musiało to być łóżko, bo dostrzegła wyblakłą pikowaną kołdrę. Spod niej sterczała stopa. A więc Dan jest tutaj!

Za zasłonkami było ciemnowo. Zastukała w szybę, aby go obudzić. Zobaczyła szybko znikającą stopę.

Czekała, ale nic się nie działo. Cisza. Patrzyła na leżącą równo pikowaną kołdrę. Żadnego ruchu. Nie miała odwagi zastukać ponownie.

Stopa. Zupełnie biała w tym skąpym niepewnym świetle. Czy na pewno Dana?

Dlaczego się chował?

Wróciła przed front domu, mimo woli starając się iść cicho. Skradała się, uważając, żeby nie stąpnąć na coś, co mogłoby spowodować hałas.

Mia płakała teraz jak niemowlę. Buzię miała otwartą, łzy zalewały twarz. Annie nie mogła wytłumaczyć jej tego, co było nie do wytłumaczenia: że Dan jest w środku i nie chce do nich wyjść. Nie wyobrażała sobie, jak Mia zdoła przebyć

76

tę długą drogę z powrotem. Nie sądziła też, aby sama temu podołała.

Zaniosiła dziewczynkę do lasu, poza pole widzenia, jakie można było mieć z domu. Czy to Dan tam leżał? Dlaczego schował stopę? Usiadła na pieńku, trzymając Mię w ramionach. Przez cały czas ułamaną gałązką odganiała komary. Szeptala, że pójda z powrotem, ale tylko do niebieskiego namiotu. Obudzą tych, co w nim śpią, i poproszą o pomoc. Może w namiocie mają kuchenkę spirytusową i zrobią im gorącej herbaty. Albo czekolady! Potem na pewno zaprowadzą je do drogi, a jeśli okaże się, że jedno z nich jest dużym, silnym mężczyzną, to on poniesie Mię. Ci ludzie zawiozą je do wsi

na dole swoim renault 4L, bo to na pewno ich samochód. I już niedługo, bardzo niedługo, za godzinę albo dwie, będą leżały otulone kołdrami w ciepłym łóżku. Płacz ustał i przeszedł w czkawkę. Mia znów wsadziła kciuk do buzi i na chwilę usnęła. Gdy ruszyły ponownie, między pniami drzew świeciło poranne słońce. Śpiew ptaków napełniał powietrze. W słonecznym cieple wszystko wydawało się łatwiejsze. Przeszły rzekę w tym samym miejscu co poprzednio, bała się próbować gdzie indziej. Gdy tylko znajdą się na drugim brzegu, powinny odszukać namiot, ale nie tak łatwo było iść wzdłuż rzeki. Wysoka łożyna tworzyła gąszcz, a ziemia była zryta przez zwierzęta. Dawało się przejść tylko wyżej, skrajem mokradła. W końcu poznała dwa świerki, które pod naporem wichrów splotły się w węzeł, ale nie mogła dojrzeć namiotu. Niemożliwe jednak, aby w dwóch miejscach nad rzeką rosły identycznie pokrzywione świerki. Zrozumiała już, że na mokradłach trudno o jakieś stałe punkty orientacyjne. W niepewnym świetle nocy drzewa i zarośla łożyny zdawały się przesuwać.

77

- Usiądź tu - powiedziała do Mii. - Ten namiot musi być tam w dole przy świerkach. Pójdę zobaczyć. Jeśli się pomyliłam, nie będziesz szła niepotrzebnie.

Dała dziewczynce plecak, żeby na nim usiadła, i gałązkę karłowatej brzozy, żeby odpędzała nią komary. Ale wyglądało na to, że owady w porannym słońcu dały za wygraną. Mia miała przestraszoną buzię, znów była bliska płaczu.

- Tylko zejść do rzeki. Przez cały czas będziesz mnie widziała.

Tak, to było miejsce, którego szukała. Gdy znalazła się na dole przy świerkach, zobaczyła dzinsy wiszące na gałęzi. Ale namiot się zawalił. Dlatego nie dostrzegła go z mokradła. Podeszła bliżej.

Co właściwie zobaczyła? Nie wiedziała. Tak dużo przerażających opisów nakładało się na siebie. Kilka pewnie czytała. Później nie mogła już sobie tego przypomnieć. Przez długi czas miała w pamięci jedynie wielką białą plamę. Widziała tylko swoje własne ręce pod wodą, białe, tak, białozielone. Widziała też świerki. Splotły się i utworzyły guz, zrosnięte w miejscu, gdzie jeden z nich został zgięty wiatrem, dawno temu. Na gałęzi wisiały mokre dzinsy. Małe brzożki na mokradle po drugiej stronie rzeki - to był już inny świat, jak zwykle lekko zamglony, bardziej zielony i bardziej tajemniczy od tego brzegu, na którym człowiek właśnie jest.

Chciała stamtąd uciekać. Musiała jednak prawdopodobnie postąpić kilka kroków do przodu. Zrobiło jej się niedobrze i nogi odmówiły posłuszeństwa. Mdłości chwyciły ją nagle. Opadła na kolana, dłonie oparła na grząskiej ziemi. Gdy się podniosła, ręce miała zakrwawione. Tarła i tarła jedną ręką o drugą. Potem próbowała wytrzeć je w spódnicę, ale to niewiele pomogło. Ruszyła chwiejnie do rzeki i zanurzyła ręce w wodzie. Była zimna. Prąd silny. Woda szybko zrobiła

78

się przezroczysta. Ręce czyste. Zwymiotowała do wody, a prąd zabrał maź, którą z siebie wyrzuciła. Z odwróconą głową, nie patrząc na namiot, wróciła do Mii.

- Nie było ich — powiedziała. Gwałtownie chwyciła dziewczynkę w ramiona, i na wpół biegnąc, oddalała się w kierunku mokradła. Białe pomponiki wełnianki, prześwietlone teraz słońcem, zdawały się unosić nad turzycą. Gdy przebyły już kawałek mokradła, odwróciła się. Namiotu nie było stąd widać. Zobaczyła rzekę, w której szybko płynęła czarna woda, spieniona na wirach. I brzeg po drugiej stronie.

Potem nie miała nawet pewności co do miejsca. Nie było przecież zaznaczone ani ogrodzone. Przesuwało się niby słoneczna plama między cieniami chmur. To było tylko zdarzenie. Zdarzenie nad wodą. Jak wszystko tutaj.

79

Kiedyś czytał, że węgorz długi czas może żyć bez pożywienia. Umie utorować sobie płytki rów, dążąc do nowej wody i do morza.

Jeśli znajdzie się w odosobnieniu, w bajorze, które nie ma połączenia ze strumieniami lub jeziorami, potrafi prześlizgiwać się przez mokrą trawę, aby dotrzeć do świeżej wody.

Teraz leżał nieruchomo w żółtym plastikowym wiadrze.

Ranek nastał jasny i słoneczny. W chacie było ciepło. Johan nie musiał wstawać i rozpalać w piecu. Przestraszyło go walenie do okna, ale zaraz ucichło. Odetchnął, gdy tylko zorientował się, że słyszy kobiecy głos. Gudrun go szuka. Niech jeszcze chwilę poszuka. Nie mógł jednak zasnąć ponownie. To nic, już nie czuł się tak zmęczony. I musiał pomyśleć.

Choć nie bardzo mu się to udawało. Był zbyt głodny. Wstał i przetrząsnął całą szafkę nad zlewozmywakiem. Pudełko ciasta w proszku na naleśniki. Biały pieprz. Kakao. Jakie to idiotyczne. Tam cały dom był nafaszerowany jedzeniem. Obie zamrażarki, kredens w kuchni, lodówka, spiżarnia w piwnicy. Będzie musiał wracać, nie przemyślawszy wszystkiego. ;

Świat się nie zawali. Nie pierwszy raz zaszyje się w swoim pokoju. Skulony nad biurkiem. Przez długie godziny będzie mógł mieć ich gdzieś. Wszyscy, cała piątka, bywali w domu tylko w weekendy. Pięć gór mięśni. Zapach wody po goleniu

80
i papierosów. Picie. Mecze na migającym niebieskim ekranie i zaciągnięte zasłony. Ostre starty samochodów. I niechęć tryskająca co jakiś czas. Gudrun niby jakieś cholerne kadzidło w pokoju.

Skąd się bierze nienawiść?

Wstał i wciągnął dżinsy. Były suche, lecz zeszywniały od gliny. Proszek na naleśniki zmieszany z kakao i wodą się nie rozpuścił. Lepkie grudy pływały w wodzie, a na powierzchni było suche kakao. Rozpalił w piecu, chcąc podgrzać tę nieapetyczną zupę.

Żeby się wysikać, znów musiał wyleźć przez okno. Wszystko to było takie absurdalne. Tyle zachodu. Nigdy nie znosił niczego, co żmudne i pochłaniające czas. Jak różne czynności, gdy się mieszka w namiocie.

Gdy ponownie wlaźł do środka, kakaowa mieszanka gotowała się jak wściekła. Zgęstniała i przypaliła się na dnie. Kiedy trochę przestygła, zjadł ją, potem wszystko posprzątał. Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Gudrun na pewno poważnie się niepokoi. Musiała już zbudzić cały dom. W przeciwnym razie nikt by się nie ruszył, tego był pewien. Zastanawiał się, czy aby nie jest zmuszona sama go szukać.

Gdy wróci, będą się z niego trochę podśmiewać. Potem milczeć. On sam nie odważy się nic powiedzieć. Będzie tam żył, skulony. Jeszcze przez rok. Potem wojsko.

Wtedy nagle uświadomił sobie, że w wojsku będzie tak samo.

Torsten i jego prawdziwi synowie dopasowali się. Należeli do otoczenia. Czasami tylko posuwali się za daleko. Wtedy musieli za to płacić.

Tak samo będzie w wojsku. I na uczelni. Choć tam miałby większe szansę. Tam mógłby czuć się tak pewnie, jak Torsten na leśnym trakcie. I czasem, być może, sam posunąć się za daleko.

Znalazł bańkę na maliny i włożył do niej węgorza, który już mu się tak nie wywijał. Bał się jednak, że to cwany stary

81

diabeł, więc zanim wylaźł przez okno, mocno docisnął pokrywę.

Nad Klóppen świeciło silne słońce. Blask bijący od wody raził w oczy. Zanim wyruszył, musiał pójść do wygodki. Budka stała w dole na brzegu lasu. Deski były

srebrnoszare i bladozielone, pokryte cienką warstwą porostów. W środku rozlegało się brzęczenie owadów i śmierzdziało stęchlizną. Zaczął czytać stary magazyn, „Allers”. Kartki miały żółte brzegi. Z trudem znalazł coś, czego jeszcze nie czytał. Były tam teksty, które wcześniej pominął, myśląc, że są o miłości. Teraz zorientował się, że mowa w nich o polityce — choć o miłości też. Płacząca żona była alkoholizką. Mąż po pijanemu przejechał ładną młodą dziewczynę, z którą miał randkę. Najgorzej jednak byłoby, gdyby dowiedział się o tym jego brat. I gazety. Chappaquiddick.

Słowo zadźwięczało mu w głowie i z początku nic nie znaczyło. Potem przypomniał sobie - Edward Kennedy. Zaczął grzebać w stercie tygodników, żeby znaleźć więcej artykułów na ten temat.

Tak. Była to historia o bracie prezydenta. Chociaż zmieniono nazwiska. Brakowało początku i końca, ale przeczytał wszystko, co znalazł.

Właściwie to cholerna sprawa.

A przecież Edward Kennedy ciągle jeszcze jest aktywny. Posunął się trochę za daleko. Ale mu się ułożyło.

Takim zawsze się układa.

Ze spulchnionego papieru gazetowego buchnęło ohydą, niby śmierzącym gównem. Wyrwał stronę z twarzą bratowej prezydenta - łyzy, rozszerzone żrenice, naszyjnik z pereł, czerwone usta, które pożółkły - zmiękczył papier, gniotąc go w rękach, i podtarł się. Po wypróżnieniu poczuł się jeszcze bardziej głodny.

82

jezioro wyglądało dziwnie. Oleiste w swym bezruchu. Jak gdyby woda była lepka. Po drugiej stronie nikogo nie widział i uznał, że to dobrze. Chociaż to nie miało znaczenia. I tak, gdy tylko podejdziesz do zabudowań Strómgrenów i do drogi, zaraz spotka ludzi. A oni będą ciekawi, co ma w bańce.

Wtedy zauważył kajak. Wykonany z lekkiego metalu, rzucał ostry refleks spośród zarośli łożyny.

Jak to się dzieje, że człowiek podejmuje decyzję?

Później Johan był przekonany, że nie podejmował żadnej decyzji. Nie wtedy, gdy z letniej kuchni przyniósł wiosło, i nie wtedy, gdy majstrował przy zapięciu łańcucha. Myślał tylko, że dobrze byłoby nie iść piechotą. Jeśli powiosłuje przez całą długość jeziora, wypłynie na dole przy Róback. Potem będzie mógł się z kimś zabrać do domu. To lepsze niż na obolałych nogach wlec się z bańką od gospodarstwa Strómgrenów.

Woda otoczyła smukły kształt kajaka. Gdy zamachnął się i zanurzył pagaj, poczuł, jak zadrżały mięśnie pod skórą wody.

O, cholera, ależ to szybko idzie. Powiew lekkiego wiatru przyniósł zapach żywicy i traw, a rozbijana wiosłem woda pachniała właśnie wodą.

Góry Norwegii pragnę widzieć oddzielone

Od przemocy Kirschana i mej drogiej ojczyzny.

Te słowa deklamowała zwykle jego babcia. Czegóż to nie było w tej starej głowie!

Wsluchaj się w szum świerków. Przez całe życie dwukrotnie dotarła do Óstersundu, ale nigdy dalej.

A gdyby ludzie musieli tak jak węgorze wędrować odwiecznym, powikłanym szlakiem, żeby spółkować? W nieuchronnej odwiecznej pętli? Go to Sargasso. The wild Sargasso sea. Go to Sargasso.

83

Siedział jak trzewia w lśniącym pancerzu. Z kajakiem zawsze czuł się zespolony.

Torsten, który wypływał z niemal trzydziestoma sieciami w czasie październikowych

burz, nie zważając na lód i mgłę, mówił, że to cholernie śmieszna łupina. Czy miałby odwagę do niej wsiąść? Wieża mięśni. Góra tłuszczu.

Musiał pomyśleć. Jezioro zwężyło się przy Róback, gdzie cypel wyciągał długie ramię. Kajak prześlizgnął się po wodzie ostatni kawałek, z pióra wiosła kapło. Gdy wyciągnął je na trawę, pomyślał, że tutaj to znajdą kajak, bo w pobliżu jest tartak. Gudrun będzie oczywiście jeździła dookoła i rozpytywała.

Pewnie w tym właśnie momencie podjął decyzję. Z całej siły pchnął kajak z powrotem na wodę. Prąd porwał go natychmiast. W ślad za nim rzucił pagaj i niemal w tej samej sekundzie pożałował. Kajak zatańczy w dole przy tartaku i uderzy w sterczące kamienie. To było głupie. Ale stało się.

Powinien był przewidzieć, że krótko po czwartej rano nie będzie wiele samochodów. Zmyliło go słońce. Usiadł w trawie na poboczu. Słyszał jedynie szum wody rwącej z prądem. Przypominało to odgłos jadącego pociągu. Albo ogromną toaletę, w której cały czas ktoś spuszcza wodę. Prawie nie było słychać ptaków. To dlatego zdziwił się, gdy w końcu nadjechał samochód. Wyskoczył na drogę z bańką w jednej ręce, drugą podniósł, wystawiając kciuk. Była to kobieta w białym saabie. Zahamowała, aż żwir bryznął spod kół.

- Do Norwegii?

To ona spytała. On tylko kiwnął głową. Ale w tej samej sekundzie pomyślał o Ouli Larasie i jego skuterze. Mieszkał z rodziną w Langvasslien.

Bańkę kobieta kazała mu postawić na podłodze przy tylnym siedzeniu. Nie spytała, co w niej jest. Choć powie-

84

działa zaledwie kilka słów, pomyślał, że mówi jak Finowie, którzy najmowali się do karczowania u Torstena. W samochodzie wszędzie walały się papiery po czekoladzie i jakieś śmiecie, na tylnym siedzeniu stała plastikowa torba z wódką, kupioną w wolnołowym sklepie na promie.

- Do diabła, ale tu pięknie! - odezwała się, gdy droga zaczęła bieć wzdłuż Czarnej Wody. - Nigdy przedtem tędy nie jechałam. Zwykle jadę przez Óstersund i Trondheim.

Gdy wjechali do wsi, wszystko wydawało się ciche i uśpione, ale wtedy zobaczył stary duett Vidarta, jadący w kierunku Tangen. Skulił się na siedzeniu, żeby nie być widocznym z zewnątrz.

- Ach, ty! — zaśmiała się kobieta. Śmiech miała chrypliwy, właściwie nie było w nim wesołości, raczej sarkazm, i Johan poczuł się niepewnie.

- W porządku - odezwała się, gdy przejeżdżali granicę. - Wystarczy tej Szwecji.

Akurat w sam raz. A może jesteś Szwedem?

Naturalnie, nie usłyszała od niego zbyt wiele. Pokręcił głową.

- Norweg?

- Nie - odparł. - Niezupełnie. - I przecież była to prawda. To mogła być prawda. Wszystko zaczynało się układać. Czuł, że nadchodzi coś nowego. Coś innego niż to, czego doznawał, zaszywając się w swoim pokoju. Był jednak bez grosza. Bylebym tylko przeżył święto, pomyślał. Tutaj jest zwykła sobota. A może świętego Jana? Oby święto minęło, to dostanę pracę przy karczowaniu. Albo przynajmniej przy sadzeniu drzew.

85

Gdy rozległo się walenie do drzwi, dochodziło wpół do piątej rano. Birger nie spał i gdy tylko uniósł głowę z poduszki, zaczęła go boleć. Wstał ostrożnie. Otworzył drzwi i do środka wdarł się strumień rannego powietrza. Wtedy poczuł, że w pokoju nadal

stoi rybi swąd i chłodna stęchlizna zmieszana ze smrodem tytoniu. Był to Roland Fjellstróm, właściciel campingu. Powiedział, że coś się stało na górze nad Lobberan. Ake Vemdal wciągnął spodnie i poszedł na posterunek. Birger stał z czołem opartym o chłodną szybę okienną. Czuł, że mu spuchła twarz. Teraz by zasnął. Wąska, głęboka zatoczka między Tangen a parcelą gminy mieniła się blaskiem. Nisko płynąca chmura osiadła na grzbiecie gór po drugiej stronie. Była poszarpana przez wierzchołki świerków i rozpływała się jak mleko w wodzie. Słońce padało z niewłaściwej strony. To niezwykłe światło sprawiło, że poczuł się odrzucony, obcy. Zobaczył, jak wlatują gągoły, zostawiając za sobą drżące smugi na wodzie. W oddali woda się poruszała. Potem dostrzegł, że to była łódka. Czarna. Płynęła równym, szybkim tempem wzdłuż wschodniego brzegu, w kierunku Tangen. Długą chwilę śledził ją wzrokiem i wiedział, że teraz mógłby wreszcie zasnąć głęboko. Ale chyba powinien nastawić wodę na kawę dla Akego.

86

Ktoś tam w tej łodzi musiał łowić, ciągnąc za sobą na długiej linie deskę, do której przymocowano żyłki z haczykami. Ale zuchwały cholernik! Skoro jednak człowiek chce łowić w ten sposób, istotnie najrozsądniej robić to w sobótkę przed piątą rano, gdy camping jest pogrążony w sennym kacu.

Widział przed sobą tańczącą deskę. W łodzi był tylko jeden mężczyzna. Linę musiał mieć owiniętą na palcu wskazującym. Ale co robi, gdy złowi rybę?

Teraz przestał wiosłować i łódka, pchnięta ostatnim uderzeniem wiosła, ślizgnęła się jeszcze kawałek, po czym zwolniła. Dulkę zalała woda. Wiosła z pewnością skrzypiały. Birger jednak tego nie słyszał, ale dobiegł go odgłos kroków na żwirze. Ake Vemdal wracał biegiem.

Deska opadła i ustawiła się w poprzek. Mężczyzna miękko pociągnął wiosłem i łódź znów nabrała prędkości. Był to Bjórne Brandberg. Teraz Birger go poznał. Jeszcze jeden stary kawaler. Korzystał z chwili, gdy inni, wypluci, z wyschniętymi wargami, śpią. A linę musiał trzymać w zębach.

Ake trzasnął drzwiami.

- Musisz też iść - powiedział. - Do Strómgrenów.

Miała niebieską spódnicę z grubego płótna, po bokach powalaną krwią, mokrą i brudną u dołu. Jasne włosy opadały nisko na plecy. Zarówno ona, jak i dziewczynka były krańcowo wyczerpane. Warkocze małej się rozplotły. Wyglądająca na pobitą i spuchniętą od płaczu buzia nastawiła Birgera wrogo do matki. Nie wierzył w nic, co mówiła. Wszystko było tak niewiarygodnie poplątane. Znaleźć się z sześciolatką na mokradłach pod Gwiazdną Górą w środku nocy! W długiej spódnicy!

Ale gdy zbadał dziewczynkę, stwierdził, że pogryzły ją komary i dlatego spuchła. Oriana zagrzała jej mleka i posłała na kanapie w pokoju. Matka siedziała na kuchennym krześle sztywno wyprostowana, ze wzrokiem wlepionym w ekran zgaszonego telewizora.

Aby odnaleźć miejsce, potrzebny był Henry Strómgren, lecz Ake nie chciał zostawiać Oriany samej z matką dziewczynki. Prosił Henry'ego, żeby miał na nią oko. Nie wolno jej odejść. I ma się nie zbliżać do żadnej broni. Żadnego noża na stole. Zadzwoń po posiłki. Ale zanim dotrą do Czarnej Wody, a potem tu na górę, minie kilka godzin.

Ake i Birger ruszyli w dół Lobberan, trochę błędzili i dookoła, ale w końcu znaleźli miejsce. Namiot leżał na ziemi, dokładnie tak jak powiedziała. Był rozcięty i nasiąkł krwią, która zaczęła już wysychać. Tkanina była udrapowana wokół dwóch ciał. Jedno ciało połową leżało na drugim. Wszystko zastygło w bezruchu.

Ostrożnie odwinęli płótno namiotu i w kilku miejscach musieli wyjąć aluminiowe śledzie, żeby odwrócić ciała. Ake chciał jednak, aby nie ruszać niczego więcej, niż to absolutnie konieczne.

Słoneczny blask spływał na długie włosy. Czarne, wijące się loki. Ale teraz były zlepione krwią, w kilku miejscach przyłgnał do nich puch. Był wszędzie, przyschnięty do plam krwi. Śpiwory zostały rozcięte, więc gdy unieśli materiał namiotu, puch rozsypał się na wszystkie strony. Delikatny ptasi puch ulatywał z podmuchem górskiego wiatru.

Twarz. Rozchylone wargi. Górna zastygła, odsłaniając zęby. Młoda kobieta. Leżała pod spodem. Może mężczyzna, który połową ciała leżał na niej, próbował osłonić ją przed ciosami. Był jasnowłosy. Na karku widniało jakby ciastko z zakrzepłej krwi. Birger przyłożył dwa palce do miejsca na szyi, gdzie kiedyś bił puls. Szyję kobiety zakrywały zmierzwiłone włosy i puch. Ciało było nieruchome i zimniejsze niż czubki jego palców.

- W takim razie zostaw ich - odezwał się Ake. - Przyjedzie personel techniczny.

Odsunęli na bok kawałek płachty namiotowej i odsłoniли radio tranzystorowe.

Wyglądało na to, że ręka mężczyzny zastygła w momencie, gdy chciał je chwycić.

Obok leżała para zwiniętych pończoch, oblepionych puchem, duże ciasto czekoladowe w nie rozerwanym opakowaniu i mnóstwo szlifowanych malutkich kamyków, które wyglądały jak nierówne perły. Pewnie miała wtedy korale na szyi. Błada twarz zaczynała nabierać szarego odcienia.

~ Usiądź tam dalej - powiedział Ake, wskazując pień zwalonej brzozy. Jej korona się zazieleniła, pierwsze liście tnokły w wodzie. Były już objedzone przez larwy i ich widok

89

wywołał w nim obrzydzenie. Woda płynęła szybkim prądem, a jej poszum był utkany z wielu dźwięków. Szeleściła, szemrała i mruczała. Chwilami wydawało się, że to ktoś monotonnym głosem mówi wprost z wody.

Birger zobaczył, że Ake schylony obchodzi namiot, po czym delikatnie porusza błękitną płachtą. W górze zaskrzeczała sroka. Zabrzmiało to jak skarga. Birger zaczął marznąć.

- Może powinieneś iść na górę - odezwał się Ake. - One obie są w szoku.

- Nie, do cholery.

- On teraz nie wróci.

- Nie wiadomo.

Istotnie, tego nie można było wiedzieć. Poranny chłód paraliżował myśli tak samo jak ruchy. Dopóki Birger siedział, nie myślał o niczym ani niczego nie zgadywał. Słuchał szemrzającej, przezroczystej wody, która nie miała nic do powiedzenia. Tak sobie tylko szeptała. Ten splot dźwięków zbudził echo w jego mózgu, a mózg przełożył to na mowę. Przez chwilę Birger pomyślał, że siedzi i słucha o tym, co się tu wydarzyło. Że zostało to trwale wpisane w jasną noc, a teraz odtwarzają tę historię fale i wiry wodne. Mimo to jednak dochodziła do niego tylko nieskładna gadanina i cichy krzyk. Chwilami brzmiało to jak miauczenie.

Nie wiem, gdzie jest Barbro, pomyślał. Nawet nie spytałem. Jakaś demonstracja przeciwko wydobywaniu uranu na Niedźwiedziej Górze. Mówiła, że będą biwakować. Ale gdzie?

90

Stali obok zlewozmywaka. Na blacie położyli jej plecak z pasiastej wełny. Jeden z nich bardzo ostrożnie wyjmował zawartość. Każdą rzecz po starannym obejrzeniu kładł oddzielnie.

Był to komendant policji w Byvängen. Ten drugi był lekarzem. Dopiero co wrócili z miejsca nad rzeką. Komendant miał spodnie mokre na kolanach. To on spytał ją, jak się nazywa.

- Przecież widział pan na prawie jazdy.

Zignorował jej odpowiedź i dalej pytał, kiedy się urodziła i gdzie mieszka. Na jednym z listów Dana, który leżał na kuchennym blacie, widniało: Annie Raft, Karlbergsvägen 121. Chciała, żeby policjant się tym zadowolił.

- Urodziłam się w czterdziestym pierwszym, dwudziestego pierwszego października. Szłam do Nilsbodarna. Tam będę mieszkać.

Zapadła cisza. Czekwała na następne pytanie. Wynajęłaś od Brandbergów mieszkanie na lato? Ale może nie wiedzieli, kto jest właścicielem chaty. Przed dwunastoma godzinami sama tego nie wiedziała. Wtedy pewnie łatwiej byłoby odpowiadać.

Pytanie jednak nie padło. Zamiast tego komendant powiedział:

- Zeznałaś, że szłaś stamtąd, z Nirsbuan.

Pierwszy raz użył słowa „zeznałaś”. Najdziwniejsze było to, że nie pamiętała, aby w ogóle coś mówiła. Ale przecież

91

musiała. Bo dlaczego by Henry Strómgren dzwonił po tych dwóch?

- Byłam przy Nirsbuan — powiedziała. Z trudem wymówiła nazwę i żałowała, że jej użyła. Rozmowa była pełna pułapek. A właściwie to nie była żadna rozmowa.

Annie nie spała od dwudziestu sześciu godzin. Powiem wszystko, pomyślała.

Powiem, że byłam przy chacie, przy gajówce. W gajówce. Nie, nie powiem

„gajówka”. Może „chata”? Wracalam stamtąd, bo nikogo w niej nie zastałam.

Nie muszę mówić, co widziałam. To nie ma znaczenia.

Ale komendant policji spytał ją o zawód.

- Jestem nauczycielką.

Nic nie powiedział, ale czuła, że jej nie wierzy.

- Skończyłam studium nauczycielskie w Sztokholmie. Uczęszczałam też do konserwatorium.

- Gdzie jesteś zatrudniona?

Pytania formułował precyzyjnie. Na ostatnie odpowiedź była niemożliwa. Uciekając się do wykrętu, szybko zapytała, czy mogłaby chwilę odpocząć.

- Gdzie jesteś zatrudniona? - powtórzył.

- Przestałam pracować. Pracowałam na uniwersytecie ludowym Malarvag. Uczyłam szwedzkiego i muzyki. A także literatury. To był specjalny przedmiot. Zajmowałam się tym do wiosny. Choć potem prowadziłam jeszcze letni kurs śpiewu chóralnego.

Dwa tygodnie. Nie mogłam więc przyjechać wcześniej. Dan pojechał pierwszy.

Za dużo mówiła. Nie powinna im niczego ułatwiać. Konsekwentnie trzymali się swojej procedury. Ubrani w zielone sportowe spodnie z kieszeniami na udach. Quasi-militarne wyposażenie. Śmiertelnie pewni siebie. Obaj nie ogoleni. Tym trudniej było dostrzec w nich to, co w tutejszych ludziach widział Dan.

92

- Dan Ulander — powiedział komendant. Albo znał Dana, albo też zobaczył nazwisko na odwrocie koperty. - Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem - odparła. - Miał po mnie wyjść. Nie zjawił się. Przypuszczałam, że jest na górze. Więc tam poszłam.

- Poszłaś tam.

Między papierami była mapa, którą teraz wyciągnął i oglądał.

- Ile lat ma dziewczynka? - spytał ten drugi.

Zaczyna tyć, pomyślała wtedy. Tłusty lekarz. Odparła, że Mia ma sześć lat.

- Poszłaś z sześciolatką w nocy do Nirsbuan? I z powrotem?

Tak było. Temu nie mogła zaprzeczyć. Mogła powiedzieć, że się nie orientowała, jak to daleko. Wiedzieli jednak, że miała mapę. Plecak leżał na zlewozmywaku, a wszystkie rzeczy, które do niego włożyła, były teraz ułożone rzędem na nierdzewnym blacie. Kiedy opróżnili plecak, zapytali ją, czy nie miała jakiegoś noża. To sprawiło, że pomyślała o przetrwaniu. Nóż, zapalniczka, materac i tym podobne przedmioty. Nie miała nawet kompasu. Na blacie leżały mapa, pudełko cukierków z Kaczorem Donaldem, list od Dana, paczka tamponów, kanapki, Ken i Barbie - lalki Mii - i ich nylonowe ubranka oraz maleńkie buty. Był tam także czerwony portfel Annie. Obejrzeliby prawo jazdy i położyli je obok portfela. Gdy przyszli, komendant policji poprosił Oriane Strómgren, aby chwilę pozostała w kuchni. Potem polecił Annie, żeby zdjęła dzinsową kurtkę. Obszukał kieszenie, podczas gdy lekarz obmacał ją przez bluzkę i wzdłuż spódnicy. Profesjonalna rewizja osobista. Musiała zdjąć buty. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała, dlatego gdy przeszukiwali plecak, też nie reagowała. Dopiero teraz dotarło do niej pytanie o nóż.

93

- Nie masz przy sobie jakiejś fotografii Dana Ulandera? Odpowiedziała, że żadne zdjęcia nie istnieją. Dan nie lubi się fotografować.

- Chcesz powiedzieć, że nie chodzi do fotografa i nikomu nie pozwala sobie robić zdjęć?

- Nie wiem.

Była to, jej zdaniem, jedyna rozsądna odpowiedź, jaką dała tego rana.

- Byłaś przy Nirsbuan. I przestraszyłaś się. Stwierdzenie padło nieoczekiwanie. Nie wiedziała, skąd

policjant to wiedział. Sama powiedziała? A może Mia? Mia chyba nie spostrzegła, że ona się przestraszyła. Przecież była po drugiej stronie domu.

- A więc dlaczego się przestraszyłaś?

Opowiedziała, że zobaczyła stopę. Tera2 bardziej się kontrolowała. Zawroty głowy, które przypominały trwające ułamek sekundy omdlenia czy zapadanie w sen, były trochę rzadsze. Nie powinna mówić za dużo. Dlatego powiedziała tylko, że zobaczyła stopę, gdy zajrzała przez okno.

- I wtedy się przestraszyłaś?

- Kiedy się cofnęła. Zastukałam w okno, a ona się cofnęła.

- Poznałaś tę stopę?

Nie chciała tego pytania. Już o tym myślała. Parę miesięcy temu powiedziała Danowi, że poznałaby go, gdyby zobaczyła choćby tylko kawałeczek jego skóry, kosmyk włosów albo mały palec. W ciemnym pokoju wśród innych ciał rozróżniłaby zapach jego ciała.

- Tak, poznałam jego stopę - odparła. - To Dana.

- Żyjesz z tym mężczyzną?

- Tak.

- Żyłas z nim, gdy pracowałaś na uniwersytecie ludowym?

ii

94

- Tak.

- Gdzieście mieszkali?

- Tam.

- Gdzie on pracował?

- Nie pracował.
- Mieszkał z tobą, ale nie pracował?
- Nie mieszkaliśmy razem - powiedziała nieco ciszej, w jej głosie zabrzmiała nuta żalu.
- Powiedziałaś, że żyłaś z nim.
- Tak. Byliśmy ze sobą. Tutaj mieliśmy mieszkać razem.
- Z czego chcieliście się utrzymywać?
- Będę uczyć. A on zacznie pracować.

Przewidziała następne pytanie i dodała:

- Będę uczyła dzieci w komunie na Gwiezdnej Górze.
- Zeznałaś, że nie należysz do komuny na Gwiezdnej Górze - powiedział. Znowu padło to słowo: „zeznałaś”.
- Komu niby to powiedziałam? — spytała, przygotowana, że on odpowie: „tutaj ja zadaję pytania”. Ale odparł niemal przyjaźnie:
- Kierowcy autobusu.

A więc policja odszukała kierowcę autobusu i obudziła go. Naprawdę coś się zdarzyło. Nadal jednak nie miała pojęcia, co mówiła, gdy przyszła do tego domu. Musiała opowiedzieć

o tym, co zobaczyła. Ale co takiego zobaczyła?

Dwoje ludzi zostało zabitych. To powiedzieli ci dwaj, gdy wrócili z rzeki. Zadźgano ich nożem.

Tak wcześnie rano jaskrawo oświetlona słońcem kuchnia zdawała się dziwnym miejscem. Jego trywialność, fałszywa albo prawdziwa, trudno powiedzieć, była jak ze snu. Henry

i Oriana Strómgrenowie wiedli tutaj swój pachnący tytoniem żywot, którego nie znała. Kozami nie śmierdziało. Mieli przecież prysznic, a ubrania robocze zdejmowali w specjalnym pomieszczeniu obok kabiny prysznicowej. Byli

95
hodowcami kóz, ale żyli w innych warunkach niż Ludzie z Gwiezdnej Góry. Z łatwością, mimo że była tak zmęczona, rozszyfrowywała ich nieskomplikowane bytowanie. Telewizor w kuchni. Lodówka w kolorze zieleni awokado. Zielone tapety w duży plamiasty wzór. Wygląd Henry’ego i Oriany nic nie mówił o ich pochodzeniu czy aspiracjach. Natychmiast jednak zorientowała się, że są jej przychylni.

- O której doszłaś do Nirsbuan?
- Może o drugiej. Albo trochę wcześniej.
- Możesz powiedzieć, kiedy na pewno patrzyłaś na zegarek w czasie tej wędrówki?
- Nad rzeką. Nie, przy chacie. Zanim stamtąd ode-szliśmy.
- I która była wtedy godzina?
- Po drugiej.
- Więc zobaczyłaś namiot chwilę przedtem?
- Tak. Wtedy stał normalnie. Nic się nie działo. Słyszała psy szczekające na dworze i warkot samochodów.

Ten, który był policjantem, wyglądał, jakby nie zwracał na to uwagi. Lekko podpierał brodę lewą ręką. Palec wskazujący i kciuk tworzyły widełki. Miał jasne, niebieskoszare oczy, którymi przytrzymał jej spojrzenie. W tej mgie brutalności i krwi ona była jego drogą, ale umykała mu. Tak długo nie można patrzeć w oczy drugiego człowieka, jeśli się tego nie ćwiczyło, pomyślała. A mimo to wygląda, jakby był trochę roztargniony. A może zmęczony. Ona sama po chwili musiała odwrócić wzrok.

- Poszłaś do Nirsbuan, a gdy się tam znalazłaś, co zrobiłaś?

- Zajrzałam. Zajrzałam przez okno w kuchni. A potem przez okno w pokoju od tyłu.
- Stukałaś do drzwi?
- Nie.

96

- Dlaczego?

Były zamknięte sztabą i wisiała na niej duża kłódka. Nie chciała tego powiedzieć. To im nasunie myśl, że Dan się włamał. Gdy pokonywała z Mią całą tę długą drogę po nocy, wydawało się, że wszystko, co robi, jest konieczne i oczywiste. Teraz wszystko było mętne. Niemożliwe do wyjaśnienia.

Na całe życie zachowała wspomnienie tej wędrówki. Ale ile by z tego pamiętała, gdyby w tej ciepłej kuchni on nie zmuszał jej do opisywania raz po raz wszystkiego od początku? W życiu każdego człowieka muszą być pogmatwane nitki, niekonsekwentne czy też zupełnie nielogiczne działania. Zapomnieć. Nie pozwalali jej zapomnieć. Zmuszali ją, aby powiązała je w jakiś wzór. Ale to był niewłaściwy wzór.

Ogarnął ją wstyd. Sprawili, że czuła wstyd. Najgorsze były pytania lekarza, choć zadawał ich niewiele. Pytał tylko o Mię. A potem komendant:

- Ten mężczyzna. Ten, z którym chciałaś zamieszkać, nie przyszedł. Umówiliście się, że on wyjdzie po ciebie na przystanek autobusu?
- To chyba dość oczywiste - odparła.
- Ale nie przyszedł.
- ~ Nie.

- Jak długo czekałaś?

Co miała odpowiedzieć? Przypomniała sobie film w telewizji i powiedziała, że zaczęła czekać od chwili, gdy weszła do domu Oli i jego żony.

- Jak sobie tłumaczyłaś fakt, że się nie pojawił?
- Ze zapomniał, że to wieczór sobótkowy. Albo sądził, że ja miałam na myśli stary, to znaczy dawny wieczór sobótkowy. Przecież spał tam, więc na pewno tak było.
- ~ Ale dlaczego, twoim zdaniem, schował stopę, gdy zastukałaś do okna? ~ Skąd mam wiedzieć?

97

- Znasz go.
- Nie wiem.
- Dlaczego stamtąd uciekałaś? Dlaczego nie próbowałaś wejść do chaty?

Milczała.

- Czego się przestraszyła? - spytał.

Tak, czego się przestraszyła? Teraz już nie wiedziała. Tamto uczucie zniknęło. Zatarł je większy strach.

- Dlaczego stamtąd wracałaś?
- Tak naprawdę to nie wiem. Wszystko było takie... okropne.
- Przypuszczałaś, że jest tam z kimś innym? Z inną dziewczyną?

Obaj nie mieli już żadnego wyrazu twarzy. Nawet żadnych rysów.

- Czy tak? - Ich oblicza były dwoma bladymi płatami wilgotnego ciała. W milczeniu wpatrywali się w nią bardzo uważnie. Ale wytrzymała ich spojrzenia i nie odpowiedziała.

Policjant wstał. Oczy miał zaczerwienione i widać było, że jest zmęczony. Ten drugi wydawał się jeszcze bardziej śpiący. Od czasu do czasu poziewał i przymykał oczy. Miał blade, pomarszczone powieki. Po chwili Oriana Strómgren przyszła z poddasza, gdzie pewnie polecili jej poczekać razem z Hen-rym i dzieckiem.

Parząc kawę, kilkakrotnie rzuciła na Annie szybkie spojrzenie. Przygotowana przez nią kawa okazała się jasnobrązowym, lekko kwaskowatym napojem. Podała im do tego chrupki chleb z serową pastą. Ser był z koziego mleka. Tamtym razem Annie zjadła, ale potem nigdy już nie mogła jeść pasty serowej. Mia jednak jadła ją także później. W jej świadomości pasta nie wiązała się z tym, co się wtedy zdarzyło.

Teraz Mia spała w pokoju Oriany i Henry'ego. Nikt nie powiedział, że muszą pozostać w obejściu Strómgrenów-

98

Annie nie wiedziała jednak, czy wolno jej wyjść z kuchni. Nie miała samochodu, żeby zjechać nim do wsi. Nie mogła podjąć żadnej decyzji.

Siedząc na kanapie, od czasu do czasu zapadała w sen, więc Oriana zaproponowała jej, aby się położyła. Wolała jednak siedzieć. Bała się położyć. Wydawało jej się, że jeśli zaśnie i odsunie od siebie to zdarzenie, które nie jest już jakimś zdarzeniem obcym, nieznanym, obudzi się w obliczu czegoś nieuniknionego.

Po jakimś czasie przyszedł policjant. Był w szarym kombinezonie, na którym widniały policyjne emblematy i znaki odblaskowe. Miała zejść z nim do rzeki. Chodzi o identyfikację, powiedział.

- Ale przecież to nie może być nikt, kogo bym znała!

Nie odpowiedział. Stał w otwartych drzwiach kuchennych, dopóki z nim nie wyszła.

Lekarz i komendant policji czekali na zewnątrz. Teraz było tu dużo ludzi i samochodów. Psy ujadły bez przerwy. Oświadczyła, że nie będzie w stanie spojrzeć na te ciała w namiocie. To niemożliwe.

- Musimy cię o to prosić - odparł komendant. Powiedział, że muszą prosić, ale nie prosił. Przeszukał jej rzeczy. Ten drugi obmacał jej ciało.

- Chcemy się dowiedzieć, czy któregoś z nich nie znasz.

- Skąd miałabym znać? Akurat któreś z nich?

- Prawdopodobnie wiemy, kim jest dziewczyna - odrzekł. - Chcemy, żebyś popatrzyła na chłopaka.

W drodze nad rzekę zwymiotowała. Czekali cierpliwie. Lekarz nawet ją podtrzymał.

Ale potem kazali jej dalej iść ścieżką, która gubiła się gdzieś w wilgoci mokradła.

Prowadzona przez nich, zbliżając się do rzeki, płakała.

~ To tylko chwila, tylko chwila - powiedział Birger, którego imienia wtedy nie znała.

~ Ja wiem, że to nie jest Dan!

99

- To dobrze - odparł. - Tylko chwila.

Namiot był zdjęty. Leżeli obok siebie, na wznak. Już zeszywnieli i ciało nie udało się do końca wyprostować. Kolana i łokcie mieli zgięte, palce rozcapierzone. Plecy dziewczyny były skrzywione, głowa jakby uniosła się znad plastikowej płachty i tak zastygła. Na policzku widniała rana o brązowoczarnych brzegach. Wyglądała jak usta, jeszcze jedno usta. Otwarte.

To nie był Dan. Było to dwoje obcych, o białoszarych zastygłych twarzach, z pozłepianymi włosami. Dookoła kręcili się jacyś ludzie. Mieli szpule plastikowej taśmy i przestawiali kamery na statywach i aluminiowe pojemniki. Wszędzie był puch. Biały, fruwający puch. Za zaciśniętymi zębami czuła w ustach smak wymiotów, kwaśny i cierpki.

100

Odwieźli ją na dół do wsi. Powiedziała, że chce czekać na Dana, więc zostawili ją na campingu. Wskazano im domek, w którym mogły się schronić. Był obity czerwonymi deskami i miał małą werandę. Wyglądał jak domek do zabawy. Jedno okno. W środku panował półmrok i stał zapach dymu tytoniowego i starych koców.

Było przedpołudnie. Nie bardzo wiedziała, która może być godzina, ale nie miała siły sprawdzać. Skuliły się na dolnym łóżku i, przytulone do siebie, zasnęły. Gdy się zbudziła, w oknie zobaczyła jakąś twarz.

Na campingu było pełno ludzi. Samochody podjeżdżały przed biuro. Wysiadający z nich ludzie byli dobrze ubrani, ale Annie w ogóle nie widziała ich twarzy, tylko oczy. W końcu musiały z Mią opuścić swoją kryjówkę, bo dziewczynka była głodna. Weszły do budynku biura Rolanda Fjellstróma i dostały od niego kielbaskę i torebkę makaronu błyskawicznego. Miał czarne włosy i błyszczące niebieskie oczy. Zauważyła jeszcze jego niskie czoło i pomyślała, że wygląda, jakby przybył z planety małp. Nie potrafiła go rozgryźć i być może to samo dotyczyło wszystkich innych, ich twarze były maska-rni; nie umiała ich odczytać, widziała tylko spojrzenia, które wpęły na jej własną zmartwiałą twarz.

Rozeszła się pogłoska, że widziała kogoś na ścieżce w górze. Wiedzano także o tym, co powiedziała policji: że to był

101

cudzoziemiec. Uważano, że on właśnie był mordercą i ona myślała tak samo. A mimo to, gdy miała opisać policji jego wygląd, zawahała się, bo to było takie... zatrute. Przypominał Wietnamczyka. Wahala się tak długo, że w końcu te słowa nie padły.

Nie mogła dłużej wytrzymać na campingu, więc gdy Mia zjadła kielbaskę i makaron, ujęła ją za rękę i poszły w górę drogi. Samochody zwalniały, a ludzie gapili się na nie przez szyby. Pomyślała, że Dan łatwiej je znajdzie, jeśli będą szły drogą. Przecież musi się wreszcie pojawić.

W końcu zrozumiała, że nie mogą ciągle łązić tam i z powrotem po wsi. Wielokrotnie przeczytały informacje na tablicy ogłoszeń przed sklepem. Bingo w domu parafialnym w Vika. Zabawa sobótkowa w Kvsbakken. Płatki śmietankowe. Kup buty w „Fiskebua”: gumki Tretorn! Msza świętojańska przy Niedźwiedzim Stoku. Mąka pszenna - okazjnie.

Nie chciała wracać na camping. Na zboczach zobaczyły kilka domów i Mia spytała, dlaczego na szyldzie jest napisane CHATA, przecież i tak widać, że to chata.

Nie przyszło jej do głowy, że jedna jedyna wolna chata we wsi być może nie jest najlepsza; od razu ruszyła z Mią w górę zbocza do najwyższej położonego domu i mieszkającą w nim starszą kobietę spytała, czy mogłyby wynająć chatę przy drodze. Opłata wynosiła trzydzieści koron za noc.

Gdy wyszły od Aagot Fagerli, nie mogła sobie przypomnieć, jak kobieta wyglądała. Pamiętała tylko, że dała jej trzydzieści koron. Zabrały z campingu plecak i ruszyły w kierunku chaty. Ale dogoniła je policja. Nie wolno im opuszczać campingu bez pozwolenia. Wskazała chatę i wtedy dano jej samochód policyjny, który podwiózł ją pod garaż Oli obok „Fiskebua”, żeby mogła zabrać swój bagaż.

Gdy tylko zostały same, zamknęła drzwi od wewnątrz. Prosty klucz wyglądał jak wytrych. Wielkiej ochrony taki

102

klucz nie mógł dać. W sieni obitej deskami pomalowanymi na jasnozielony kolor były drzwi, a za nimi strome schody na strych. Weszła po nich i rozejrzała się. Zobaczyła słoiki dżemu, stare ubrania i zwinięte dywany. Poza tym nic. Pusto.

Chata była przestronna i jasna. Duża kuchnia z żółtą drewnianą boazerią i jaskrawoniebieską tapetą. Okna z trzech stron. Mniejszy pokój nie miał drzwi, tylko stare, piękne odrzwia z rzeźbioną listwą. Okna na przestrzał sprawiały, że wewnątrz było bardzo jasno. Obok kuchni znajdowały się dwie garderoby i gdy Annie otworzyła pomalowane na żółto drzwi z pilśniowej płyty, w jednej zobaczyła półki, a na nich

koce z owczej wełny i ciasno upchane poduszki z pierza w pasiastych powłóczkach. Druga garderoba była pusta, wisały w niej jedynie bardzo stare wieszaki. W kuchni stał żelazny piec z zardzewiałą płytą, długą ławę kuchenną oklejono samoprzylepnym plastikiem w deseń jak na kafelkach - małe niebieskie wiatraki na białym tle. Pod jednym oknem stały stół i dwa drewniane krzesła. W pokoju znajdowało się składane łóżko z zieloną narzutą o wzorze w nieregularne małe kwadraty oraz czarne i żółte pasy. Wyzywająca nowoczesność lat pięćdziesiątych. Mia siedziała w kuchni na żelaznym łóżku z pikowanym materacem, milcząc, i gdy Annie zobaczyła jej twarz, pomyślała: co ja zrobiłam?

103

- W tym rejonie są ludzie - odezwał się Ake Vemdal. - Musimy się ich pozbyć. Rozłożył mapy na stole w kuchni Oriany. Birgerowi powiedział, że jeśli chce, może jechać na camping. Z Oster-sundu przybył dodatkowy personel policyjny. Lekarz sądowy także. Obecność Birgera nie jest więc konieczna.

- Musimy prześledzić każdy ruch w tej okolicy. Sprawdzić wszystkich, którzy tędy przeszli. Mamy listę.

Zaczął nagle używać tego samego języka, co urzędujący w stodole Henry'ego szef sekcji technicznej, który chcąc zmienić wydane polecenie, unosił rękę z wyciągniętym palcem i wołał: „Oddział, wróć!”

- Barbro tam jest - powiedział Birger.

Miał jej nie szukać. Zajmą się tym. Zapytał, czy może zobaczyć listę nazwisk, ale Vemdal powiedział, że tylko kilka osób tędy przeszło. Trzy. Przesłuchano je, gdy Birger i on poszli nad rzekę z Annie Raft. Żadna z nich nie zeznała, że była w pobliżu miejsca, gdzie stał namiot. Ani w pobliżu brodu na rzece.

Obraz, który Birger zachował w pamięci, był niemy, jak gdyby on sam był wtedy głuchy. Kamieniste szerokie dno powleczone cienko wodą, przepływającą bezgłośnie.

Ake przypuszczał, że wie, kim była zmarła dziewczyna. Znaleźli paszport wystawiony na nazwisko Sabinę Vestdijk,

104

dwudziestotrzyletniej studentki. Albo uczennicy. Ake nie był pewien, co znaczy dokładnie słowo etudiante. Czerwone renault, zaparkowane przy domostwie Strómgrenów, miało nalepkę NL z nazwiskiem właścicielki, które było takie samo jak w paszporcie. Wygląd dziewczyny zgadzał się z fotografią. W samochodzie znaleziono namiot.

Dwie sprawy były niejasne: tożsamość mężczyzny i namiot. Po co wzięli dwa namioty do tak małego samochodu jak renault 4L?

Birger ledwie słuchał. Myślał o tym, że gdzieś tam musi być Barbro. Ostatnie grupki demonstrantów z plecakami przeszły tędy kilka godzin przed nabożeństwem. Z Byvangeren przyjechali minibusem, który został zatrzymany przy rozwidleniu drogi, dobry kilometr od obejścia Strómgrenów. Przeważnie byli to nauczyciele. Kilka starszych pań, srebrnowłosych i ubranych w niemodne sportowe stroje. Znał te osoby zarówno z organizacji Pokój i Wolność, jak i z Amnesty. Barbro zwykle spotkania grupowe organizowała w domu.

Starym mikrobusem marki Volkswagen przyjechała komuna z Róback. Byli z nimi Ludzie z Gwiezdnej Góry, którzy mieli przenocować, żeby dzieci nie musiały rano pokonywać całej długiej drogi z Gwiezdnej Góry. Ubrani byli w czapki przypominające nakrycia głowy Inków, robione na drutach wzorzyste swetry, spiczaste buty i nieśli plecaki ze skóry. Swoje plakaty zostawili w mikrobusie, bo już

wiedzieli, że nie będzie uroczystej mszy przy Niedźwiedzim Stoku. Ale personel śledczy przyniósł dwa transparenty, które znaleziono na górze.

BADANIA NAD ZŁOŻAMI URANU ROZPOCZĘTE

--'-'! WEŻ UDZIAŁ W WĘDRÓWCE ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

UJAWNIJ KŁAMSTWA WŁADZ OKRĘGOWYCH

105

Birger widział te teksty w wielu wariantach na stole kreślarskim Barbro. Chodź z nami na wędrowkę świętojańską. Przekonaj się na własne oczy: władze okręgowe kłamią na temat uranu. Rada okręgowa nie mówi prawdy. Przyjdź na Niedźwiedzią Górę i zobacz.

Zapytał, co mają tam zobaczyć. Biedaku, odparła. Chyba nie bardzo można urządzać wędrowkę świętojańską na Niedźwiedzią Górę, bo śnieg jeszcze nie stopniał, zareplikował. Wyjaśniła, że na mszę na świeżym powietrzu przychodzi wiele ludzi. To jedyna okazja. Część osób na pewno wejdzie na górę. Pozostali zobaczą przynajmniej plakaty.

Dwaj ludzie, których Vemdal wysłał w górę ścieżki, nie spotkali żony doktora, nie widzieli też żadnego namiotu. Demonstranci również nie mieli pojęcia, gdzie ona jest. W ogóle nie wiedzieli, że miała przyjść na górę już poprzedniego wieczoru. Birger sądził, że wyruszyła tam z całą grupą.

Prawie o nic jej nie pytałem, pomyślał. Ale dlaczego inni demonstranci niczego nie wiedzą? Odniósł wrażenie, że gdy sam ich o nią zagadywał, odpowiadali wymijająco. O ile po prostu nie kłamali.

Długie godziny, długi, rozjarzony słońcem dzień, pełen głosów i echa kroków, warkotu startujących silników, ujadania psów. Przez cały czas nie opuszczało go przykre uczucie. Strach. A może wyrzuty sumienia? Jakkolwiek by nazwać to, co go wypełniało, sprawiało mu ból, ostry i długotrwały. Była w tym jakaś siła. Chciało mu się krzyczeć, tak jak krzyczała ta blada kobieta w dżinsowej spódnicy. Ponieważ gdzieś w tym rejonie byli jeszcze ludzie. Barbro Torbjórns-son i Dan Ulander. Może też inni, o których policja nie wie.

- Kto to jest Dan Ulander? - spytał Vemdala.

- Jeden z demonstrantów.

Vemdalowi brakowało ludzi. Zastanawiał się, czy nie zaangażować do pomocy myśliwych z koła łowieckiego.

106

A może gdzieś tu niedaleko grasuje szaleniec? Birger patrzył na Akego, który studiował rozłożone mapy. Zamierzali zrobić z tego operację wojskową w terenie.

Szaleniec. To było także imię jakiejś siły. Każda rzecz musi mieć imię, nazwę.

Kawałek terenu nazwano rejonem.

Takim rejonem? Gdzie się kończył? Na mapie wyglądał jak rozległe plamy bladozielonych, żółtawych i brązowych porostów. Były to jednak góry i mokradła. Aż do Multhógen. Wiodła tam oczywiście droga. Ale były też całe mile bezdroży.

Nieużytki, mokradła, szczyty górskie.

Część demonstrantów stała nadal na dworze. Od strony wsi podjechali w górę ciekawscy, wiele samochodów. Niektórzy z nich widzieli wóz z holenderskimi numerami przed „Fiskebua” w wieczór sobótkowy.

- Teraz robimy blokadę - powiedział Ake Vemdal. - Trzeba zablokować drogę w dole przed wsią i dopilnować, aby wszyscy ci, co są tutaj, stąd wyszli.

Nazywano ich gapiami. Dlaczego właściwie tu przyszli? Gdy Birger był chłopcem, trwała wojna i wszystko było złej jakości. Nawet papier toaletowy produkowano

cienki. Cienki i śliski. Łatwo się rwał. Zawsze, kiedy zrobiła się dziura, on wachał palec, który był wtedy lepki i śmierdzący. Ale Birger i tak musiał to sprawdzić. Termin „gapie” nie był właściwy. Tamci też chcieli sprawdzić. W oknie poddasza Henry'ego i Oriany widać było twarze małych Strómgrenów. Byli ciekawi. Henry wstąpił na poddasze telewizor i wysunął przez okno antenę. Woleli jednak patrzeć na to, co się dzieje na dole na podwórzu. Psy także cały dzień ujadły. Aż ochrypiły. Lill-Ołę Lennartssona przywieziono samochodem policyjnym. Miał na sobie brązowy moleskinowy dres. Lill-Ola,

107

jeszcze kiedy mieszkał w Byvängen, został mistrzem Szwecji w lekkoatletyce. Jego ubiór wydawał się niezwykły, póki Birger nie przypomniał sobie, że Ola sprzedawał w swoim sklepie różne rodzaje odzieży domowej. Miękkie dresy, futrzane pantofle z renifera albo królika. Dres opinał chude poślądki i ujawniał fakt, że byłemu mistrzowi długiego dystansu zaczyna wiotczeć tyłek.

Ake chciał, żeby Birger poszedł z nim do stodoły Henry'ego. Lill-Ola wydawał się kompletnie roztrzęsiony. Wtedy dopiero Birger zrozumiał, że źle się stało, iż zmusili tamtą kobietę w dzinsowej spódnicy do oglądania zwłok. Podjęta w pośpiechu okrutna decyzja. Można było z tym poczekać. Powinienem do niej zajrzeć, pomyślał. Nogawki dresu, szerokie u dołu, majtały się wokół kostek Oli, gdy wchodził na podjazd do stodoły. Głowę wciągnął w ramiona i wysunął lekko do przodu. Tak samo stał, patrząc na zwłoki, które jeszcze bardziej zszarzały. Ofiary nie wyglądały już na ludzi tak młodych. Jedno ciało leżało na platformie pikapu. Dziewczyna. Ola kiwnął głową.

- To ta dziewczyna. Była w sklepie.

Wskazano mu zwłoki mężczyzny, które leżały na noszach policyjnych.

- Jego nigdy nie widziałem.

- Była w sklepie sama?

Tak, była sama i słowem nie wspomniała o żadnym mężczyźnie. Vemdal poprosił Ołę, żeby dokładnie przyjrzał się mężczyźnie. Ola zrobił to, w dodatku bez pośpiechu. Birger spojrzał w bok. Na starej stolnicy w plastikowych torbach leżały opieczutowane ubrania i przedmioty znalezione w zwałonym namiocie. Widział sztuczne perły, oblepione puchem. Znaleźli sznureczek od nich i włożyli go do tej samej torebki. Był biały, tylko kilka centymetrów krew zabarwiła na brązowo.

Obecność niektórych drobnych

108

zedmiotów w namiocie nie zdawała się rozumiała: perły, notes ze znakiem zodiaku na okładce, Strzelcem. Teraz te drobiazgi nic nie znaczyły, a w każdym razie ich istnienie nie oczywiste i uzasadnione.

Od strony stołu doleciał cichy pisk, jak gdyby kwilenie ptaka. Birger podszedł bliżej i zobaczył słoik, a w nim brązowego szczura. Poczł mdłości. Szczur zrobił jedno okrążenie po dnie, nagle znieruchomiał i spojrzał czarnymi oczkami, które wyglądały jak szklane.

Ola skończył oględziny. Był całkowicie pewien. Dziewczynę poznał, ale mężczyzny nie. Nigdy przedtem go nie widział. Teraz chciał już stąd iść. Ale cały czas był opanowany. Gdy wyszli na podjazd, powiedział, że dziewczyna kupiła u niego parę drobiazgów do łowienia ryb. Żyłki, dwa małe spinningi. Poprosiła go też o namiot.

- No, wypożyczyła go - dodał. - Miała ze sobą cholernie duży namiot campingowy.

Widziałem go, gdy poszliśmy do samochodu, żeby obejrzeć wędkę, bo chodziło o to, jaki ma być numer żyłki. Nie było przecież sensu brać czegoś zbyt cienkiego nad Lobberan.

- Skąd wiadomo, że właśnie tam się wybierała?

Tego nie wiedział na pewno. Sprzedał jej kartę rybacką, dał zwykłą mapę.

- Znała miejsce?

- Nie wiem. Mówiła tylko po angielsku.

Musiał jeszcze raz wejść do stodoły, żeby spojrzeć na namiot i sprawdzić, czy to na pewno ten od niego.

- Łatwo go poznać - powiedział. - Niebieski, z czarno-białą nalepką. Pingwin. To marka.

Ale Ake chciał, żeby rzucił okiem. Powłókł się więc ponownie do stodoły. Na dresie widać było szare włosy i łupież. Birgera ogarnęło nieprzyjemne uczucie, jak gdyby znalazł się w cudzym łóżku lub został wciągnięty w jakąś

109

Tjrw,

bardzo intymną sytuację. Wcześniej zawsze widział Olę tylko w modnych sportowych ubraniach.

Gdy teraz Ola zobaczył namiot, krzyknął i cofnął się o kilka kroków. Najwyraźniej nie wiedział, że zadżgano ich, gdy leżeli w namiocie. Odwrócił się, żeby nie patrzeć na pociętą płachtę namiotową z brązowymi plamami krwi.

Potem upadł. Stało się to tak nieoczekiwanie, że nie zdążyli go podtrzymać. Leżał na podłodze jak niewielka kupka brązowego materiału. Gdy półdługie, zaczesane na czoło włosy się rozburzyły, widać było, że Ola z przodu zaczyna łysieć. Podnieśli go i w tej samej chwili Birger zobaczył dzieciaki Strómgrenów w oknie poddasza.

— Musicie wszystko to stąd zabrać — odezwał się. - Nie wolno tak. Wystraszyście dzieci.

Ale nie zwracali na niego uwagi. Co za cholerne zamieszanie, pomyślał. I gdzie jest Barbro?

Wyglądało na to, że z sercem Lill-Oli wszystko w porządku. Zwyczajne omdlenie.

— Zbadam go jeszcze dokładnie - powiedział.

— Odwieziemy go do domu. Jedź z nami na dół.

Nie chciał. Ale trudno było się sprzeciwić. Gdy jechał za policyjnym wozem w dół ku wsi, naszała go myśl, że tamci przewożą Barbro, że ukryli ją za stodołą, niżej, nad rzeką. Czysty idiotyzm. Ale serce waliło. W dodatku nierówno.

Gdy wyjmował z bagażnika walizeczkę lekarską, zobaczył trocie, które Ake złowił w Czarnej Trzcinie. Może się nie zepsuły, pomyślał. Jeśli są dobre, zjemy je dziś wieczór. Cytryny leżą w lodówce.

To było zakłęcie. Barbro, on i Tomas zjedzą na kolację smażone trocie. Wszystko będzie jak zwykle. W każdym razie przez jakiś czas. Potem on spróbuje przemyśleć, co to wszystko miało znaczyć. Dlaczego wyruszyła wcześniej niż

110

i

pozostali demonstranci. I dlaczego się tym nie zainteresował. I o nic nie zapytał.

W domu Lennartssonów doznał uczucia, jakie nawiedzało go często w trakcie wizyt lekarskich: że wdziera się w czyjąś prywatność, patrzy na coś, czego nie powinien w ogóle widzieć. Wielekroć dziwiło go, że wygląd ludzi zupełnie nie pasuje do wnętrza ich domów i zapachów, jakie się w nich unoszą. Albo kupowali ubrania w znanych domach towarowych w mieście, albo w Byvangeren, w sklepie z przecenionymi rzeczami, i wyglądali wszyscy mniej więcej jednakowo. Ale w domach mieli masę dziwnych przedmiotów. Na przykład wielką kasę pancerną, choć byli biedni jak myszy kościelne. Stosy pudeł załadowanych starymi sprzętami domowej roboty. W wąskiej, długiej sypialni Lill-Oli wisiał obraz, który - według Birgera - musiał zostać kupiony. Przedstawiał nagą dziewczynę. Pozostałe, a było ich wiele, wykonano

metodą wiązania wełny, jak dywan. Widział takie w innych domach. Przedstawiły na ogół jelenie przy wodopoju, orły w locie, górskie krajobrazy w słońcu.

Przypuszczalnie Ola razem z żoną wiązała wełnę. Wielu mężczyzn robiło coś takiego, siedząc wieczorami przed telewizorem.

Nagie dziewczyny, jelenie i wodospady nie były niczym dziwnym. Ot, żeby nie spać całkowicie samotnie. Wolałyby jednak nie wchodzić do tego pokoju, puszystego od wełny i intymnego niczym torba kangura.

W każdym razie z sercem Lill-Oli nie działo się nic złego. Mężczyzna doznał jednak silnego szoku. Leżał na łóżku i dygotał z zimna. Birger kazał jego żonie przynieść koc i przygotować coś gorącego do picia.

~ Nie kawę.

Dał Oli tabletkę uspokajającą i kazał zapić ją wodą, a sześć zostawił w małej białej kopertce.

111

- W razie potrzeby możesz zażyć jeszcze jedną dziś i jedną jutro rano. Ale nie więcej niż trzy dziennie.

Żona stała obok i patrzyła. Wyglądała na ciekawską, czy jak to się tam nazywa.

Gapiała się niczym na wypadek drogowy. Musiał jeszcze raz jej powtórzyć, żeby przyniosła koc. Potem zaczęła grzać w kuchni mleko.

Wychodząc, spytał, czy może zostawić ryby w ich zamrażarce, żeby się nie zepsuły. Skinęła głową. Do tej pory nie odezwała się słowem. Miał wrażenie, że zaraz po jego wyjściu zapomni, jak on wygląda.

Wziął z samochodu torbę z rybami i wrócił, żeby włożyć je do zamrażarki, która stała w przedsiönku kuchni. Ten rok należał do ciężkich i zamrażarka była na wpół pusta.

Ale pojemniki i plastikowe pudełka, choć rzadko ustawione, wyglądały dekoracyjnie.

Po lewej stronie kobieta przechowywała jagody, po prawej grzyby i ryby, a na dole przypuszczalnie mięso. Były tam dwie duże nieforemne paczki, owi nięte w papier z napisem GŁUSZEC NIE SKUBANY. Gd wziął pojemnik z lodami, chcąc położyć je na rybach, aby szybciej się zamroziły, zwałił stos pudełek z jagodami. Spadły na dół zamrażarki, a wtedy ona wyrzała z kuchni. Chwilę później wynurzył się Lill-Ola.

- Co tam, do cholery, robisz?

Głos był cienki. Taki sam jak wtedy, gdy Ola zobaczył namiot w stodole Strómgrenów.

- Wkładam ryby — odparł Birger. - Twoja żona się zgodziła. Powiedział do widzenia i zjechał na camping, żeby zajrzeć

do kobiety, która znalazła ciała. Miał nadal z jej powodu wyrzuty sumienia. Ale jej nie znalazł.

Zanim wrócił, zdążyli sprowadzić duży policyjny autobus z radiostacją. Brygada śledcza znalazła ślad motoroweru

112

obok górskiej chaty, na ścieżce biegnącej od wioski. Do tej pory motoroweru nie znaleziono. Barbro też nie.

- Jesteś pewien, że miała właśnie tutaj przyjechać? - spytał Ake Vemdal.

Co mógł na to odpowiedzieć?

113

Johan postanowił nie spać. Musi wymyślić coś, co mógłby powiedzieć kobiecie prowadzącej saaba. Paliła papierosa i pogwizdywała, a to było usypiające. Zasypiał więc na coraz dłuższe chwile i nie budził się nawet wtedy, gdy przejeżdżali przez

wsie. Wydawało się, że kobieta nie zwalnia. Gdy w końcu nagle zahamowała, nie zdołał się utrzymać i poleciał do przodu.

— Hopsa! — powiedziała tylko, a wysiadając z samochodu, dodała: - Kupię papierosy i parę drobiazgów.

Zobaczył, że zatrzymali się przy sklepie samoobsługowym w jakiejś wiosce. Nie miał jednak pojęcia, w jakiej. Musieli minąć wszystkie dobrze mu znane miejscowości przygraniczne. Teraz mógł wsiąść. Najprościej byłoby uciec, bo wtedy w ogóle nie musiałby nic mówić. Wydawało mu się jednak, choć nie bardzo wiedział dlaczego, że jakoś niezręcznie byłoby jej powiedzieć, że dalej nie jedzie.

Papierosy i parę drobiazgów, powiedziała. Nic z żywności. A może jednak zamierza kupić coś do jedzenia. Nie miał grosza przy duszy. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej głodny.

Ludzie robili sobotnie zakupy. Jakiś mężczyzna wkładał plastikowe torby do bagażnika ford. Zawrócił, żeby przynieść skrzynkę piwa, którą zostawił na schodkach sklepu. Wstawił ją i zamknął bagażnik. Za samochodem, trochę

114
i boku, została jedna torba. Ale mężczyzna podszedł prosto do przednich drzwi i wsiadł.

Odjechał, zostawiwszy torbę. Wyglądała, jakby były w niej pojemniczki śmietanki kremowej. A może pojemniczki z czymś w śmietanie. I jeszcze coś wystawało z torby. Zaraz wróci, pomyślał Johan. Jeśli ma niedaleko do domu. Gdy zauważy, że zapomniał torby. Albo też ktoś wyjdzie ze sklepu i ją zobaczy.

Nie podejmował żadnej decyzji, tylko po prostu to zrobił. Wysiadł z saaba, zrobił trzy, może cztery kroki i chwycił torbę. Była dość ciężka. Uniósł ją więc, oparł na brzuchu i objął ramionami, żeby nie było jej widać ze sklepu, gdy będzie przechodził przez szosę. Wąskim leśnym duktem wszedł prosto do lasu. Za sobą usłyszał warkot samochodu. Poczł, że sztywniej mu plecy, jednocześnie próbował nadłuchiwać, czy ze sklepu nie wychodzi nikt, kto mógłby go zobaczyć. Po chwili droga zakręciła i teraz wiedział, że stąd już go nie widać. Pochylił się i przeszedł pod opuszczonym szlabanem. Potem pobiegł ze swoim ciężarem prosto w las. Świerki zwierają za nim gałęzie.

Był to stromo wznoszący się gęsty las, w którym panowała upalna cisza. Johan usiadł na mchu, oparł się plecami o świerk i zaczął rozpakowywać torbę z jedzeniem. Por. Dwanaście paczek drożdży z napisem Gjaer. Mężczyzna zamierzał zrobić zacier. To, co z wierzchu przypominało półlitrowe pojemniki ze śmietanką, okazało się Kobrą-Rax. Zwykle żółte pudełka z trutką na myszy. Błazniana forma do ciasta. Sól. Folia do pieczenia. Duże opakowanie proszku do prania.

Jadalny był jedynie por. Pewnie cholernik sam pakował torbę. Przed chwilą przyszedł Johanowi na myśl smażone nlety rybne, pakowane próżniowo. Masa rodzyneków, z którymi pewnie w domu jedliby płatki. Przecież jest święto. Czekoladowe ciastka.

Ser.

115

Ale nic z tego. Porem się nie naje. Kradzież torby nie miała sensu, w dodatku stracił węgorza. Bańka została w samochodzie, a kobieta z pewnością już dawno odjechała. Dopiero teraz ogarnął go wstyd. Ale nie mógł tak po prostu, jakby nigdy nic, odnieść torby do sklepu. Schował ją za świerkiem. Był już przy drodze, gdy coś przyszło mu do głowy. Wrócił i wyjął paczkę trucizny. Teraz przynajmniej nie zjedzą jej norniki i nie dostaną krwotoku żołądka.

Zanim wyszedł na drogę, zamierzał zostać chwilę w lesie, aby się zastanowić, dokąd jechać stopem. Mógłby właściwie wrócić do domu. Ale był głodny, tak głodny, że nie potrafił zebrać myśli. Trzeba tylko iść. Iść i iść, żeby przestało ssać w żołądku. Saab stał nadal. W pierwszej chwili pomyślał, że to inny samochód, tylko marka ta sama. Ale to ona w nim siedziała. Kobieta w niebiesko-białej pasiastej bawełnianej bluzce. Trochę się wystraszył, co było oczywiście głupie, choć to jednak nieco dziwne, że czekała. Popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, jak gdyby cały czas wiedziała, że on wróci. Jadła banana.

- Jesteś? - spytał.

- Jak widzisz.

Na miejscu, gdzie przedtem siedział, leżała paczka marl-boro i tabliczka czekolady, z tych największych.

- Pomyślałam, że nie zechcesz zostawić swojego węgorka — powiedziała.

A więc musiała podnieść pokrywę i zajrzeć. Idiotyczne, ale zaczerwienił się i poczuł, że fala ciepła rozlewa się od szyi. Wsiadł do samochodu, a ona ruszyła. Gdy chciał włożyć J czekoladę do schowka, odezwała się:

- Możesz otworzyć. Proszę. Zaczął jeść, a ona się roześmiała.

116

Vemdal podszedł do niego z wyciągniętą ręką w cienkiej gumowej rękawiczce. Trzymał jakiś papier. Wyglądało to na zmięty kawałek papierowej torebki. Na papierze Birger zobaczył głowę Indianina w pióropuszu i duże litery, stanowiące część jakiegoś napisu: HOTA. Tuż przed miejscem, gdzie papier był urwany, widniała uniesiona ręka Indianina.

- Wiesz, co to jest?

Birger pokręcił głową. Ake Vemdal położył kawałek papieru na jakimś notatniku i wyjął inny papier, małą złożoną kopertkę. Ostrożnie otworzył ją pęsetką. Zawierała kilka ziarenek białego proszku, między nimi można było dostrzec przezroczyste kryształki.

- Znasz takie lekarstwo?

- Nie. Znalazłeś jakąś strzykawkę?

- Nie.

Wtedy Birger spojrział na notatnik, na którym leżała uszkodzona torebka.

Antaris Balte na motocyklu. Hodowca renów. 8.15. Barbro Lund c synem. 9.30.

- Przecież to ona! Vemdal nie rozumiał.

! ~ To Barbro. I mój syn. Birger wskazał palcem notatkę pod kawałkiem torebki.

117

- Co to za notatka, do cholery?

- To ci, co wyjechali dziś rano. Z tej okolicy - powiedział Vemdal.

- To Barbro. Nazywa się Lund, to znaczy tak się nazywała. Jako panna.

- Dlaczego podała panieńskie nazwisko?

- Sygnuje nim swoje obrazy.

- Została przesłuchana i oboje odjechali stąd około dziesiątej - powiedział Vemdal. - Samochód stał na górze, przy Niedźwiedzim Stoku.

- Można tam dojechać?

- W zasadzie to tylko droga dla traktorów. Ale najwyraźniej było można.

- To Barbro. Mój Boże!

Gdy nagła fala ulgi opadła, pomyślał o chłopcu. Jak to się stało, że go zabrała ze sobą? Tomas nie chciał nawet jechać na ryby. Było wręcz niewiarygodne, że zamierzał wziąć udział w demonstracji przeciwko badaniom złóż uranu. A jednak tam był. Barbro Lund z synem, napisano w notesie.

- Wracaj do domu — powiedziała, gdy zadzwonił z kuchni Strómgrenów. Nic więcej. Od chwili gdy zobaczył jej nazwisko, w jego brzuchu zaczęły się dziać nieprzyjemne rzeczy. Powinien iść do toalety, ale u Oriany i Henry'ego nie poszedł. Kiedy przejeżdżał przez wieś, żołądek się zbuntował. Musiał wysiąść i kucnąć za kilkoma rzadkimi brzoźkami. Nie zdążył odejść dalej. Przejeżdżający obok policyjny samochód zwolnił. Wypróżniając się, Birger próbował im pomachać. Nigdy przedtem tego nie doświadczył. Coś takiego zdarzało się wtedy, gdy człowieka chwytął paniczny strach. W okopach. Gdy ludzie zostawali nagle napadnięci. Tamtym dwojgu w namiocie to się nie zdarzyło. A jemu zdarzyło się P° fakcie. Kiedy strach minął.

118

W dole wsi walił z komina gęsty czarnoszary dym. Wolno rozwiewał się w górze na tle jasnego nieba. Siedząc w kucki, Birger gapił się na chmurę dymu. To stało się tak szybko, że nie zabrał z samochodu papieru. Użył pełnej garści liści. Potem czuł się obrzydliwie. Musiał się umyć, więc zajechał do Westlundów. Elna chciała go poczęstować kawą, ale nadal cały brzuch miał obolały, więc podziękował. Assar wyszedł na ganek. Birger zobaczył, że Elna rozwiesiła pranie, choć było święto. Niebieskoszare długie kalessy i poszwy w kwiatki. Kiedyś mieszkał w osiedlu robotniczym koło Gavle i w czasach jego dzieciństwa nikt nie prał w niedziele. A w czasie mszy nawet nie zagrabiało się żwiru na ścieżce.

- Vidart wrócił? - spytał.

Duett w swym rdzawym majestacie stał trochę niżej, obok drogi, tuż przy podejździe Vidarta.

- Jest wciąż w szpitalu. Wóz przyprowadzono dziś w nocy.

Birger uważał, że dobrze się stało.

- Brandbergowie chcą załagodzić sprawę - powiedział.

- Pewnie mają nadzieję, że policja ma teraz co innego na głowie.

Gdy wsiadał do samochodu, wydawało mu się, że czuje smród palonej gumy. Ale było w tym coś jeszcze, coś, co wbudzało wstręt. Szaroczarny dym migotał w upalnym powietrzu ponad domem. W Byvangen miał sąsiada, który w ognisku w Noc Walpurgi palił odpadki zwierzęce po uboju i stare opony samochodowe. To było coś w tym rodzaju. Najpierw sądził, że dymi z komina Brandbergów, ale potem zobaczył, że to chyba Lennartsson coś pali. Przypomniał sobie paczkę z rybami.

Zastukał do drzwi od tyłu, nikt jednak nie otwierał, ałomotał, a w końcu pchnął drzwi, które ustąpiły, i zawołał. Isza- Poczł jakiś niepokój, wszedł i otworzył drzwi do

119

sypialni Lill-Oli. Mężczyzna leżał na wznak i spał. W pokoju panował niesamowity, prawie nie do wytrzymania upał. Żona narzuciła na Olę kraciasty pled. Na stoliku nocnym stała opróżniona do połowy szklanka mleka. Torebka po tabletkach była zmięta. Musiał wziąć wszystkie sześć pastylek.

Birger otworzył okno. Słońce przypiekało teraz od frontu i na dworze było właściwie jeszcze goręcej niż wewnątrz domu. Smród spalenizny, który przesyczał powietrze, docierając aż za dom Westlundów, napełnił pokój. Birger sprawdził puls Lill-Oli - bił równo i spokojnie. Mężczyzna spał i będzie spał jeszcze długo, a potem przypuszczalnie rozboli go głowa. Skóra o dużych porach była szara i wilgotna. Pot sączył się z szyi i czoła. Przed wyjściem Birger ściągnął z leżącego koc.

Chciał wziąć z zamrażarki torbę z rybami, ale musiał jej chwilę poszukać. Stosy pudełek były porrieszane. Folie z bułkami i torebki jarzyn leżały razem z paczkami

mięsa. Takiego cholernego galimatiasu przecież nie zostawiłem, pomyślał. Lill-Ola musiał grzebać w zamrażarce. Myślał, że coś ukradłem? Głupi, czy co? Dobiegł go jakiś dźwięk z piwnicy. W rurach centralnego ogrzewania odbiło się echo. Żeby znaleźć drzwi do piwnicy, musiał obejść dom dookoła. Kiedy je otworzył, buchnął mu w twarz śmierdzący dym. Po chwili, gdy oczy się przyzwyczyły, zauważył Bojan Lennartsson, grzebiącą w kotle. W powietrzu wirowały z dymem płatki stdzy i puchu. Kobieta stała zgarbiona i pogrzebaczem przegarniała ogień. — Pomóc ci w czymś? - spytał.

Przestraszył ją. Zamachała pogrzebaczem. Była zakopcona, szaroczarna. Gdy spostrzegła, że to on, na jej twarzy odmalował się wyraz złości. A może strachu. - Palę, żeby była ciepła woda — odezwała się jazgotliwym głosem.

i<

120

- Aha. Pomóc ci? Nie ma ciągu. Musi tu gdzieś być szyber, który zapomniałaś otworzyć.

Nie odpowiedziała, tylko zamknęła pokrywę kotła. Teraz zobaczył, że musiała grzebać w kotle między kartonami z falistej tektury. Przedtem porwała je na duże płaty. Na podłodze dookoła walał się rozdeptany z sadzą biały i brązowy puch ptasi.

- Gotowe - powiedziała. - Ola czuje się dobrze. Możesz jechać.

- Zażył wszystkie tabletki, które mu dałem. Przecież nie o to chodziło.

Wytarła osmolone ręce w fartuch i, wychodząc, popchnęła go lekko do przodu.

- To niebezpieczne?

- Nie, aż tylu mu nie zostawiłem.

Podniosła głowę i podreptała szybko ku schodom. Na górze zatrzasnęła drzwi, aż zabrzęczały szyby. Miała wszystkiego dość. Ja też mam dość, pomyślał.

W schowku w desce rozdzielczej znalazł torebkę miętowych cukierków i, jadąc, zaczął je jeść jeden po drugim, aż zostało zaledwie kilka. Doszedł jednak do wniosku, że najlepiej zjeść wszystkie, żeby wyrzucić opakowanie. Nie chciał, aby znalazła je Barbro. Zrobił się, cholera, za gruby.

Gdy cukierki się skończyły, raz po raz zaczął osuwać się na kierownicę. Powieki mu opadały, a przed oczyma pojawiały się bezsensowne obrazy. Zobaczył rozkładającą się rybę w mętnej wodzie. W Laxkroken musiał się zatrzymać. Z budki przy sklepie zadzwonił do domu. Odebrał Totnas.

~ Muszę się chwilę zdrzemnąć - powiedział Birger. ~ Gdzieś tu zaparkuję. Co z mamą?

- W porządku.

121

sypialni Lill-Oli. Mężczyzna leżał na wznak i spał. W pokoju panował niesamowity, prawie nie do wytrzymania upał. Żona narzuciła na Olę kraciasty pled. Na stoliku nocnym stała opróżniona do połowy szklanka mleka. Torebka po tabletkach była zmięta. Musiał wziąć wszystkie sześć pastylek.

Birger otworzył okno. Słońce przypiekało teraz od frontu i na dworze było właściwie jeszcze goręcej niż wewnątrz domu. Smród spalenizny, który przesycił powietrze, docierając aż za dom Westlundów, napełnił pokój. Birger sprawdził puls Lill-Oli - bił równo i spokojnie. Mężczyzna spał i będzie spał jeszcze długo, a potem przypuszczalnie rozboli go głowa. Skóra o dużych porach była szara i wilgotna. Pot sączył się z szyi i czoła. Przed wyjściem Birger ściągnął z leżącego koc.

Chciał wziąć z zamrażarki torbę z rybami, ale musiał jej chwilę poszukać. Stosy pudełek były pomieszane. Folie z bułkami i torebki jarzyn leżały razem z paczkami

mięsa. Takiego cholernego galimatiasu przecież nie zostawiłem, pomyślał. Lill-Ola musiał grzebać w zamrażarce. Myślał, że coś ukradłem? Głupi, czy co? Dobiegł go jakiś dźwięk z piwnicy. W rurach centralnego ogrzewania odbiło się echo. Żeby znaleźć drzwi do piwnicy, musiał obejść dom dookoła. Kiedy je otworzył, buchnął mu w twarz śmierdzący dym. Po chwili, gdy oczy się przyzwyczyły, Zauważył Bojan Lennartsson, grzebiącą w kotle. W powietrzu wirowały z dymem płatki sadzy i puchu. Kobieta stała zgarbiona i pogrzebaczem przegarniała ogień.

- Pomóc ci w czymś? - spytał.

Przestraszył ją. Zamachała pogrzebaczem. Była zakopcona, szaroczarna. Gdy spostrzegła, że to on, na jej twarzy odmalował się wyraz złości. A może strachu.

- Palę, żeby była ciepła woda - odezwała się jazgotliwym głosem.

120

- Aha. Pomóc ci? Nie ma ciągu. Musi tu gdzieś być szyber, który zapomniałaś otworzyć.

Nie odpowiedziała, tylko zamknęła pokrywę kotła. Teraz zobaczył, że musiała grzebać w kotle między kartonami z falistej tektury. Przedtem porwała je na duże płaty. Na podłodze dookoła walał się rozdeptany z sadzą biały i brązowy puch ptasi.

- Gotowe - powiedziała. - Ola czuje się dobrze. Możesz jechać.
- Zażył wszystkie tabletki, które mu dałem. Przecież nie o to chodziło.

Wytarła osmolone ręce w fartuch i, wychodząc, popchnęła go lekko do przodu.

- To niebezpieczne?
- Nie, aż tylu mu nie zostawiłem.

Podniosła głowę i podreptała szybko ku schodom. Na górze zatrzasnęła drzwi, aż zabrzęczały szyby. Miała wszystkiego dość. Ja też mam dość, pomyślał. W schowku w desce rozdzielczej znalazł torebkę miętowych cukierków i, jadąc, zaczął je jeść jeden po drugim, aż zostało zaledwie kilka. Doszedł jednak do wniosku, że najlepiej zjeść wszystkie, żeby wyrzucić opakowanie. Nie chciał, aby znalazła je Barbro. Zrobił się, cholera, za gruby.

Gdy cukierki się skończyły, raz po raz zaczął osuwać się na kierownicę. Powieki mu opadały, a przed oczyma pojawiały się bezsensowne obrazy. Zobaczył rozkładającą się rybę w mętnej wodzie. W Laxkroken musiał się zatrzymać. Z budki przy sklepie zadzwonił do domu. Odebrał Tomas.

- Muszę się chwilę zdrzemnąć - powiedział Birger. ~ Gdzieś tu zaparkuję. Co z mamą?
- W porządku.

121

PH

- A z tobą?
- Nie rozumiem.
- Pomyślałem, że dla ciebie to wszystko tam w górze musiało być okropne.
- Gdzie?
- Tam, gdzie to się stało. Byliście tuż obok. W słuchawce zapadła cisza.
- O czym ty mówisz? — spytał w końcu Tomas. — Przecież mnie tam nie było. Nocowałem w domu.

Birger wrócił do domu po szóstej. W samochodzie zapadł w ciężki sen i czuł się teraz obolały od spania na siedząco. Zanim wjechał na podwórko, spojrzął na ornamenty nad werandą i na balkonie.

Za domem wznosił się pagórek z umarłymi osikami. Przed dziesięcioma laty ogród był morzem dzikiej trybuli i bodzisz-ka na tle porośniętego lasem wzgórza. Wrak

samochodu stał na wpół zatopiony w tym morzu, tak samo jak potłuczone szkło, stare buty i spróchniałe drzewo. Ziemia była podmokła i zryta. Szaleniec, od którego ją odkupili, dostał pożyczkę, aby zrealizować swoje sny. Ale nigdy się nie ziszczyły. Rosły tam jednak krzaki porzeczek, dwadzieścia jeden krzewów. Pomiędzy gratami i stosami śmieci licha ziemia była szczodra.

Gdy wprowadził samochód, przystanął i przez chwilę patrzył na snycerkę balkonu. Powiódł oczami z góry na dół po pięknie wyrzeźbionych detalach wokół werandy, tam gdzie jeszcze nie była popękana, potem przeniósł wzrok dalej, na okna. Za późno zauważył twarz Barbro za szybą. Uniósł rękę, a wtedy twarz zniknęła.

Gdy wszedł, była już na schodach na piętro. Jego słowa powitania nie zatrzymały jej. Zrobiło mu się przykro, że nie od razu spostrzegł jej twarz w oknie.

122

- Patrzyłem na balkon pomalowany białą farbą - powiedział. - Ładnie wygląda.

Nie słyszał, co odpowiedziała. Odgłos lekkich kroków oddalał się po schodach.

- Zabiorę się do werandy w następną sobotę. Chyba mogę wziąć tydzień urlopu.

Teraz zniknęła w sypialni. Znow coś się zmieniło. Obecnie wyczuwał owe niedostrzegalne zmiany. Na początku może nie był wystarczająco uważny. Albo wystarczająco przestraszony. Ale pamiętał, kiedy zaczęła jeździć po okolicy.

Było to dwa i pół roku temu. Wzięła sparken, czyli fińskie sanie, i wyjechała, zamiast siedzieć przy krosnach. To się stało wtedy, gdy natknęła się w lesie na sąsiada i jego brata. Karl-Ake razem z bratem cechował drzewa wzdłuż linii, która dzieliła sąsiednią działkę. Sprzedali swoją parcelę koncernowi celulozowemu SCA.

Barbro wyruszyła saniami o zmroku, po kolacji, i pozostała na dworze dopóty, dopóki na niebie tliła się jeszcze odrobina czerwieni. Potem zaczęła jeździć po ciemku.

Birger sprawdził sanie i przyczepił światła odblaskowe, żeby przynajmniej było ją widać z daleka.

- Ból rośnie jak płód - powiedziała. - Co z tego będzie?

Uważał, że to za wielkie słowa. W każdym razie w odniesieniu do leśnej działki. Może także do poronienia w dziewiątym tygodniu. Powinna raczej tknąć obrazy. Ale nici zwisały z krosien. Zwykle robiły wrażenie pełnych życia z tymi wielokolorowymi nitkami wełnianej przędzy. Teraz jednak były martwe. Dzień za dniem te same nici, które tak samo zwisały.

W końcu lutego przepisał jej tabletki przeciw depresji. Ale zle się po nich czuła i wkrótce przestała je zażywać. Przestała także jeździć fińskimi saniami.

123

- Wytną wszystko w pień - powiedziała. - Wyrąbią nasz las.

- To przecież nie nasz las.

- Gdy Karl-Ake ma wolne, jedzie do miasta, żeby potańczyć albo polatać hydroplanem. Britt nigdy nie postawiła stopy tu na górze, w lesie. Astrid nie była w nim z pewnością ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Przedtem czasami przychodziła tutaj zbierać jagody. Ale Karl-Ake i Britt biorą przyczepę campingową i na zbiór jadą do Norwegii. Dużo tam zbierają. Własny las jednak jest tylko czymś, co się wyrębuje. Żebyśmy mieli więcej folderów reklamowych z ICA, które i tak od razu wyrzuca się do śmieci. Żeby Karl-Ake mógł mieć większego mercedesa.

- Gnojówka. O to chodzi. Chce założyć urządzenie do odpływu gnojówki. A działka tu na górze jest faktycznie dobra do wyrębu.

- Dawniej wybierało się poszczególne drzewa. Wybierano tylko te, które się nadawały do ścięcia.

- To już zabronione. Teraz dostaje się plan wyrębu z Urzędu Ochrony Lasów i trzeba się do niego stosować.

Myślał, że zaczną rzeczowo rozmawiać o eksploatacji lasów. Wcale mu się nie podobało takie wyrąbywanie całego lasu. Ale przynajmniej można było o tym dyskutować. Barbro siedziała z odwróconą głową.

- Ból rośnie - powiedziała. - Nie wiem, co z nim począć. Czuję gorycz i nienawiść. Może to dobrze. A może źle. Nienawiść też może być siłą.

- Gadanina jak z ulotki - powiedział z uśmiechem. Chociaż pewnie wyraził się trochę zbyt szorstko, wyczytał to z jej twarzy. W każdym razie miał to być żart. Kiedyś umieli ze sobą żartować.

- Na górze w Alved byli gotowi zamarznąć na śmierć dla swojej rzeki. Policja pocięła namioty. SCA zabiera mój las, a Karl-Ake dostaje większy samochód. •

124

- Nie możesz nazywać lasu swoim - powiedział łagodnie, chcąc dać jej do zrozumienia, że po części przyznaje jej rację. Wiedziała przecież, gdzie są lisie nory i gdzie zwykle przystaje klępa ze swym cielaczkiem, nasłuchując ich kroków. Barbro zabierała go, gdy jeżyny były dojrzałe, i prowadziła prosto do miejsc, gdzie rosły, w dole, nad brzegiem wody. Dawała mu pić wodę ze strumienia, bo płynął na północ. Wyciągnęła go raz w chłodną czerwcową noc, która, jak powiedziała, była nocą Trójcy Świętej. Przy brzegu nad podmokłą łąką snuły się welony mgły.

- Powinnaś to utkać - powiedział. - Powinnaś utkać te mysie dziury, lisie nory i brzeg porośnięty jeżynami. To będzie ładne.

- Ale nie pomoże. Obraz nie powstrzyma wyrąbywania innych lasów. Kamień, na którym zwykle siadam i patrzę na jezioro, jest pokryty mchem, od kiedy istnieje mech. Do dziś. Teraz mech wyschnie i umrze. Osiki także umrą, chociaż SCA ich nie potrzebuje. Zrąbiają je i tak zostawiają, by próchniały. Zetną drzewa nad strumieniem. Zanieczyszczą wodę olejem silnikowym.

Później wszystko to się stało. Osiki umarły. Kilka zostało i powiewały nad wyrębem za domem. Ale jesienne wichury oczywiście je zwałą, jedną po drugiej. Niezbyt miła perspektywa. Piekielny pech, nic jednak nie mogli na to poradzić. Nikt przecież nie przypuszcza, że ludzie wyrąbiają mu las za domem. Barbro i on kupili ten stary dom, mimo że ziemia pomiędzy nimi a lasem należała do kogoś innego. Karl-Ake i Britt zbudowali willę piętnaście lat temu.

Pod koniec lata Barbro zaczęła popadać w milczenie. To było na długo przedtem, zanim przyjechali ludzie z maszynami- Wieczorem, gdy wracał do domu, wykonywała swoje zwykłe obowiązki. Gotowanie, zmywanie naczyń, porządki. Nie miał jednak pojęcia, co robiła przez całe dni. Mówiła

125

niewiele, czasami sprawiała wrażenie rozgoryczonej. Zdarzało się jednak, że nalewała mu kieliszek wina. Sama piła niewiele. Nigdy nie piła dużo. Potem siadała naprzeciwko niego ze swoim kieliszkiem i wtedy zaczynała mówić. Za- J trzymywała go winem, ale nie spojzeniem.

- Wkrótce nadejdzie pora - mówiła.

Teraz zawsze wiedział, co miała na myśli, ale mimo to j dawał się wciągać w te rozmowy.

- Pora na co?

- Zaczęli karczować las pod drogę kołową.

- To potrwa wiele lat. Ten mały skrawek ziemi nie ma znaczenia dla SCA. Będą czekać i wezmą się do niego | dopiero przy okazji innego kawałka ziemi. A to potrwa.

- Wyobraź sobie, że olchy umrą - ciągnęła. - Olchy i brzozy, i te wysokie jodły, i sosny na grani. Jarzębiny przy piaskami, wierzby, wrzosy, łąny borówek, zarośla czarnych jagód, paprocie, szczawik zajęczy, siódmaczek, ten wielki, niesamowity,

kołyszący się fioletowy las dzikiego geranium, skrzyp, pomarszczony łuskiwiak. Wszystko wyschnie. Zostanie wypalone. Rosło tu przez dziesięć lat. A teraz koniec.

- Zwykle mówisz, że wiesz, w czym uczestniczysz przez sam fakt mieszkania na Zachodzie — odpowiadał.

- Może już nie chcę dłużej w tym uczestniczyć.

I to było najgorsze: że nigdy nie wiedział, czy deklamuje, czy też przemawia przez nią prawdziwy ból. Nie potrafił tego rozstrzygnąć. Przedtem, gdy twierdziła, że ją to boli, wierzył jej. I teraz ją bolało. Ale czy w taki sposób, jak o tym mówiła?

- Mają prawo po swojej stronie. Są nawet za to wszystko premiowani. Duży mercedes, willa, hydroplan.

Znów nalewała mu wina, a jego ogarniała senność. Ale gdy tylko zaczynały mu opadać powieki, robiła się zła. Próbował się więc otrząsnąć.

5

126

- Pamiętasz, jak to było, gdyśmy tu przyjechali? - pytała.

- Pamiętasz pierwsze porzeczeki, które jedliśmy tu, stojąc wśród śmieci? Pamiętasz, jakie plamy pokrywały tę ziemię? Tak okropnie zrytą?

Patrzyła gdzieś w bok, ponad jego uchem. Miałby prawo się rozżościć.

- Teraz rany są zagojone — perswadował. — Ukwap i ostrożność wróciły. Sama to powiedziałaś kilka dni temu. Trawa i ugory zarastają. Zdrowieją. Tak samo będzie z porębą. Potrwa to kilka lat. Potem znów się zazieleni.

- Pamiętam, jak to było, gdyśmy tu przyjechali - mówiła.

- Astrid dziwiła się, co tu będziemy robić. Co to za miejsce dla takich jak wy, pytała.

Ona i Karin Arvidsson dzwoniły i pytały, czy mogą nazbierać porzeczek. Pewnego ranka stara matka Helgi stanęła na schodach z dwoma wiadrami. Przecież to za dużo dla was, twierdziły wszystkie. I pozwalaliśmy im zbierać. Byliśmy obdarowywani przez wzgórze, które dawało i dawało. Chcieliśmy być tacy sami. Ale do zamrożenia udało mi się zebrać zaledwie trzy litry porzeczek, i to musiałam je zbierać ze wszystkich dwudziestu jeden krzaków. Tam, gdzie one trzy coś zostawiły. Potem nie dawały znaku życia, ale Norras niemal strzaskał Bonnie kręgosłup żerdzią. A Wedin wystrzelał nasze koty. Jednego po drugim. I nikt nigdy nie wspomniał o tym, że leczyliśmy rany tej ziemi. Przypuszczalnie w ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. Ale gdybym miała tu jaskrawe petunie albo śmierzące pelargonie w plastikowych doniczkach, albo koła samochodowe pomalowane na jasnofioletowo i różowo, wokół których płożyłyby się nasturcje - wtedy dostrzegliby to, wtedy zyskałabym u nich uznanie.

Była w niej nienawiść i pogarda. Nie tylko ból.

- Piekłam ciasta na wieczorki parafialne i prowadziłam kurs angielskiego, i rozdawałam książki na gwiazdkę,

127

słyszysz? Książki! Ale, oczywiście, ty złożyłeś doniesienie na Norrasa za znęcanie się nad zwierzętami, gdy zostawił owce bez wody. Dostawałam mdłości ze strachu, gdy szłam drogą, ryzykując, że spotkam dręczyciela zwierząt czy mordercę kotów. A potem, po poronieniu, bałam się natknąć na kogokolwiek. Przedtem uważałam, że noszę w sobie życie. Ale oni mi je wyrwali. Jak krzaki porzeczek.

- Oni?

- Poroniłam, gdy zbierałam żurawiny pod linią wysokiego napięcia.

- To niedorzeczne, Barbro. Ale go nie słuchała.

- Po poronieniu bałam się chodzić drogą, bo nie chciałam nikogo spotkać. Ale miałam las. A wkrótce nie będę miała lasu. Jest teraz ich, mówisz. Las jest Karl-Akego. Ta różo-woliliowa mgła pod olchami nazywa się Geranium sihatuum.

Piła wino dużymi haustami i pomyślał: a jeśli teraz zaczniesz pić?

- Bodziszek leśny. Swój obraz ma odtworzony w komórkach. A ludzie nie mają w sobie swego obrazu.

- Genetyczny mamy na pewno...

i Nie słuchając go, mówiła dalej:

- Człowiek może być jakikolwiek. Może rosnąć krzywy i garbaty. Ale obraz bodziszka istnieje w środku, w samym kwiecie, mały, wyraźny obraz. Poza ten obraz kwiat nie wyjdzie. Może być krzyżowany, zmieniać się od głębokiego fioletu do jasnego różu i czystej bieli. Może mieć smugi albo być jednokolorowy. Ale nie wyjdzie poza swój obraz, który jest odcisnięty głęboko w jądrze komórki.

- To jednak obraz - wtrącał. - Lepiej go utkaj. Niż powinnaś o tym tylko mówić. To nie jest dobre.

Naprawdę tak myślał. Było coś niedobrego w tych jej przemowach. Niezależnie od treści. Długie okresy ciszy;

128

zmieniły się w ustawiczne gadanie. Mówienie. Żaden zdrowy człowiek tak nie przemawia, pomyślał. Ona siedzi, duma całymi dniami i wymyśla te przemówienia. Potem mówi. Nie tka. Nie rysuje żadnych obrazów, żadnych wzorów. Mówi. Czasem to jest nawet ładne, ale nie całkiem zdrowe.

- Nie! Nie mogę tkać. Chcesz, żebym las zastąpiła obrazami, które władze terenowe rozwieszają na ścianach szpitala. A ja chcę mieć las. Pacjenci też chcą mieć las. Chcą żyć.

W marcu jeden z tych, co bronili rzeki, miał odczyt w domu parafialnym. Był ze Sztokholmu. Birger nie zdążył, ponieważ miał wizytę u chorego. Przyszedł, gdy odczyt już się skończył. W środku starsze panie zmywały naczynia. W dużej sali wygaszono wszystkie lampy z wyjątkiem jednej, która świeciła nad krzesłem prelegenta. Barbro razem z obrońcą rzeki siedziała w półmroku, poniżej sceny, przy stole z płyty pilśniowej, z którego kobiety zdjęły już papierowy obrus. Głowy tych obojga niemal się stykały, a słabe żółte światło znad mównicy padało na ich sylwetki. Obrońca rzeki miał włosy ciemnoblonde, opadające na ramiona. Na środku były rozdzielone przedziałkiem. Miał na sobie pasiastą koszulę ze stójką i lapońskie buty. Wszyscy, którzy tam zostali, żeby posprzątać, stali w otwartych drzwiach i widzieli, jak Birger zobaczył tych dwoje.

- To był on? - spytał ją teraz. - Obrońca rzeki. Ten z włosami Jezusa? I był to on.

Ale dlaczego, na miłość boską, powiedziałaś, że to twój syn?

~ Zażartowałam.

129

Stała w sypialni, wkładając do pudła pozwijane pończochy i skarpety narciarskie. Nie wiedział, czy się pakuje, czy może porządkuje szufladę. Następnie zajęła się szufladą, w której trzymała trykotowe bluzki i swetry. Gdy wyszła do garderoby po nowe pudło, ruszył za nią. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, coś, co by ją powstrzymało, jeśli się pakuje. Ale jeśli to tylko porządki, słowa byłyby niepotrzebne, a może nawet ryzykowne.

- Otworzymy butelkę wina? - spytał. - Chyba mam jeszcze schłodzone mozelskie.

- Nie, dziękuję.

W gruncie rzeczy rozumiał to: terapeutyczne picie wina minęło.

- Musisz zadzwonić do Vemdala - odezwał się.

- E tam. Nawet nie byliśmy w pobliżu.

- Gdzie byłaś w nocy?

- Na Gwiezdnej Górze. Nic nie widziałam.

- Mimo to musisz zadzwonić.

- Po co?

- Poszukują go.

Prychnęła pogardliwie. Bo nie można było nazwać tego śmiechem.

- Niech sami sobie radzą - powiedziała.

130

Opowiedział, jak znalazł węgorza. Przedtem jednak coś zjadł. Było to w gospodzie w Steinmo. Kobieta także trochę zjadła i popijała teraz żółtawe wino. Głównie jednak przypatrywała mu się. I wyglądała na rozbawioną.

Zjadł pstrąga w sosie śmietanowym i smardze, i gotowane kartofle, duże i żółte, wielkie bulwy. Gdy właścicielka podała menu w plastikowej okładce, kobieta odsunęła je ręką.

- Pstrąg — powiedziała. - I wino.

W samochodzie zamienili niewiele słów. Wstydzili się dzinsów, które w studni umazały się gliną, i koszuli, która wyschła nad piecem w chacie i teraz w upale śmierdziała rybą.

- To węgorz - wyjaśnił. Tym samym został zmuszony, by wszystko opowiedzieć.

Nazywała go Johanem prawie w każdym zdaniu. Jeszcze w samochodzie zapytała, jak ma na imię. Choć był straszliwie zażenowany, odważył się jednak spytać:

- A jak ty się nazywasz?

- Ylajali - odparła. - Ylajali Happolati.

Siedział w smudze słońca wpadającej przez okno, było mu gorąco, a od jedzenia kręciło mu się w głowie. Od otwartego okna płynął zapach trawy i bydła, a w dole łąki widać było rzekę, leniwie poruszającą się wstęgę bezbarwnej, migocącej wody.

Nalała mu do kieliszka wina. Wolałby mleko, bo ciągle jeszcze czuł się głodny.

Widocznie się tego domyśliła,

131

bo zamówiła mleko, które kelnerka przyniosła w dzbanku z rżniętego szkła. Dostał też pudding kukurydziany z konfiturą malinową i gęstym żółtawym kremem. Kobieta nie jadła deseru.

Gdy skończyli jeść, oczywiście zachciało mu się do ubikacji, i tego także się wstydzili. Wyjaśnił, że musi zmienić wodę węgorzowi. W samochodzie natychmiast usnął, a gdy się obudził, koszula cuchnęła tak, że sam to poczuł, więc ją ściągnął. Głupio mu było siedzieć z gołym torsem, ale w ten upał nie chciał nakładać bluzy.

Jechali na zachód, musiała więc zmierzać na wybrzeże. W ogóle nie rozmawiali o tym, jak długo będzie z nią jechał. Gdy się rozbudził, pomyślał, że powinien coś powiedzieć, ale nie przychodziło mu do głowy nic poza tym, żeby zapytać, czy Happolati jest nazwiskiem fińskim. Nie, nie jest, odpowiedziała i znów wyglądała na rozbawioną.

- Wydawało mi się, że mówisz z fińskim akcentem. Roześmiała się głośno.

- Nigdy nie mów tak do Finoszweda! Nie nazywam się Happolati. Powiedziałam tak tylko, bo byłeś bardzo głodny.

Nic z tego nie rozumiał.

- W takim razie tamto pierwsze, co powiedziałaś, też nie jest twoim imieniem? Ylja...

- Możesz nazywać mnie Ylja. Tak będzie dobrze. Dobrze? Nie musi jej w ogóle nazywać. Sama ciągle

wymawiała jego imię. Ciepło ci, Johan? Właściwie wszystko to wyglądało na zwykłe zgrywanie się. Zamówić danie, nie spojrzawszy na kartę, wziąć wino i dwa desery, a potem zjeść tylko trochę pstrąga. Wyższe sfery. Możesz odchylić oparcie do tyłu, jeśli chcesz, Johan. Dobrze spałeś, Johan?

Dotarli do wysokich gór i wysiedli. Zeszli przez mokradło i patrzyli na rzekę, która płynęła poniżej, między urwistymi brzegami. Do wody było stąd ze sto, a może dwieście

132

metrów. Z daleka małe siklawy na pionowych skalnych urwiskach wydawały się nieruchome. Białe chmury, gęsty pył wodny, unoszący się z piany zieleni na zboczach.

Zmieniła sandaalki na buty z cholewkami i stanęła przed nim na samym skraju porośniętego bażynami urwiska. Nie wiedział, czy miałby odwagę tak stać, mając kogoś z tyłu. Może Gudrun. Ale ta kobieta w dżinsach i gustownej, choć zniszczonej bluzce stała wychylona w dół, aby spojrzeć w głębię, gdzie woda waliła z prądem, do nich jednak tu na górze nie docierał żaden dźwięk.

Włożył bluzę, bo od górskich wrzosowisk wiał zimny wiatr. Gdy wrócili do samochodu, musiał znów ją ściągnąć. Kobieta spojrzała na niego parę razy. Jest stara, pomyślał. Jasne włosy były sztywne, ściśnięte gumką w krótki koński ogon. Miała prosty nos i regularny profil. Wargi były blade, bez szminki. Oczy malowała. Gdy patrzyła na jego nagi tors, czuł się dziwnie.

- Chcesz koszulę? - spytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie zmieściłby się przecież w jej koszulę. Nie powiedziała nic więcej i znów zasnął.

Gdy zjechali w dół, znaleźli się na wysokości rzeki i zaczęli jechać wijącą się drogą na północ. Przy stacji benzynowej ze znakiem samoobsługi zatrzymała się. Było zamknięte, ale udało jej się znaleźć jakiegoś mężczyznę, żeby otworzył pompę. Po zatankowaniu weszła z nim do środka. Wróciła z koszulą, szczotką do zębów, mydłem i frotowym ręcznikiem z napisem Beety Boop.

- Nie mam pieniędzy - odezwał się i sam usłyszał, że powiedział to ze złością. Mimo to zszedł na dół do rzeki i umył się. Była to zwykła flanelowa koszula w biało-brązowe paski. Poczuł się w niej swobodniej. Kobieta kupiła odpowiedni rozmiar. Sprawdził, czy węgorz żyje, i znów zmienił wodę w bańce.

133

Dopiero teraz uświadomił sobie, że uciekł z domu. Nie wiedział jednak, dokąd jada. Wydawało się, że ona może milczeć, jak długo jej się podoba, i wcale nie czuje się zażenowana.

- Wyciąłeś jakiś numer — powiedziała nagle, wrywając go z drzemki, w którą zapadł już dobrą chwilę wcześniej.

Słowo „numer” zabrzmiało jakoś niepoważnie. I znaczyło, że ona mu nie wierzy. Opowiedział o studni.

- Nie chciałeś, żeby cię zobaczono w którejś z tamtych wsi. Dopiero teraz poczułeś się pewniej.

Nie odpowiedział.

- Jeśli chcesz sobie przemyśleć różne sprawy, przez jakiś czas możesz pobyc u nas. U jakich „nas”? Miała męża? Jechali cały wieczór. W końcu odważył się spytać:

- Masz gdzieś tutaj jakąś chałupę?

- Moja rodzina ma dom.

Prowadziła szybko i pewnie. Po bokach drogi widział długie wzniesienia, ciągnące się aż do gór. Spojrzał na deskę rozdzielczą, czy za chwilę silnik się nie przegrzeje. Było więcej niż pewne, że w ogóle o tym nie myślała. Ale saab utrzymywał równą temperaturę. Był dość nowy, chociaż obicia już się wytarły. Wydawało się, że wszystko, co miała na sobie, i to, co leżało rzucone na tylnym siedzeniu, zostało kupione niepotrzebnie drogo. Miała sandaalki z otwartą piętą i obciążonymi skórą

zdartymi obcasami. Gudrun nigdy nie włożyłaby takich butów, wiedząc, że będzie prowadzić samochód. Kobieta przestała też palić w wozie. Zorientowała się, że podczas jazdy robi mu się niedobrze.

134

Annie zamknęła drzwi, nie mając zamiaru już więcej wychodzić. Musiały jednak przynieść wody. Studnia była w lesie, trochę na ukos od domu. Wygódka znajdowała się po drugiej stronie drogi w starej oborze. Ale nie potrzebowały tam chodzić, bo w szafce pod ławą stał nocnik. Poszły po wodę i w drodze narwały po dużej wiązance kwiatów. Na strychu znalazła słoiki po konfiturach i teraz włożyły w nie leśną trybulę, bieńce i jaskry. Mia wszystko to robiła, zaciskając cienkie wargi. Była blada.

Co wiedziała? Że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Tyle Annie jej powiedziała. Zginęło dwoje ludzi i nie wiadomo, jak to się stało.

Spodziewała się, że Mia będzie pytać o Dana, ale nie pytała. Zainteresowała się tylko, co będą jadły na śniadanie. Nie miały ani chleba, ani mleka. Sklep był zamknięty.

W szafce obok pieca znalazły trochę żywności, którą ktoś tu celowo zostawił, a może o niej zapomniał. Była tam paczka proszku na wafle i Annie powiedziała, że zrobi na śniadanie naleśniki. I herbatę z głogu. Teraz zjedzą trochę zimnego makaronu i pójda spać.

- To nie wieczór - powiedziała Mia.

- Wieczór. Tylko tu, w górach, jest tak jasno. ~ Tam świeci słońce.

135

Na zboczach, gdzie stał dom, w którym mieścił się sklep „Fiskebua”, trawa lśniła od słońca.

Przetaszczyły żelazne łóżko z kuchni do pokoju i ustawiły je tuż obok łóżka, które już w nim było. Stał tam roz-chybotany stolik nocny. Annie przykryła go swoim palestyńskim szalem, obok budzika postawiła słoik z kwiatami. Gdy udało jej się nastawić radio, jego dźwięk obu sprawił przyjemność. Potem weszły do łóżek.

Mia leżała z małymi zimnymi łapkami na kołdrze. Annie roztarła je i wsunęła pod nakrycie. Elektryczny kaloryfer tykał. Zaraz robi się ciepło.

Dziewczynka zasnęła. Nadal była bardzo blada. Z radia popłynęła wieczorna modlitwa. Jakiś duchowny mówił, że trzeba się poddać nocy. W nocy jest Bóg. W ciągu dnia mamy problemy do rozwiązania, powiedział. W nocy oddajemy się Bogu. Pomyślała o tych dwojgu młodych ludziach, którzy położyli się w namiocie i oddali jasnej nocy i nocnemu bogu.

Potem podawano prognozę pogody i Annie mogła się trochę odprężyć. To było takie zwyczajne. Cały ten długi, deszczowy, wietrzny kraj, jego górzyste okolice i tereny przybrzeżne z przylądkami i latarniami morskimi, tysiące wysepek i wielkie jeziora miały teraz przed sobą kilka upalnych dni i łagodnych nocy. Prognoza obejmowała kolejno różne obszary, powoli zbliżała się do miejsca, gdzie teraz obydwie leżały, minęła je i przesunęła się ku terenom wysuniętym najdalej na północ, ku światłu, które nigdy nie gaśnie.

Nie mogła zasnąć. Nie było tu rolet. W środku panowała nadal jasność dnia. Jeśli zaśnie, ktoś może podejść do jednego z okien i przyglądać się ich twarzom.

Zaciągnęła firanki z bawełnianej koronki, ale i tak było przez nie wszystko widać. Miały za rzadki wzór. Wstała i na jednym oknie zawiesiła narzutę, a na drugim palestyński szal. Ale nie

136

starczał do parapetu. Łóżka były widoczne także przez okno w kuchni.

Pomyślała o Danie, który nic nie wiedział o tym, co się stało. Szukali go. Szukali także kobiety nazwiskiem Barbro Torbjornsson, żony lekarza. Gdyby znaleźli Dana, na pewno zaraz by do niej przyszedł.

Wtedy odkryła, że wewnątrz niej panuje cisza. Zawsze z nim rozmawiała. Trwało to przez cały czas, gdy byli razem.

Z początku, zanim jeszcze zaczęli ze sobą rozmawiać o różnych sprawach, wypowiadał często słowa, które budziły w niej uczucie niepewności. Nie od razu potrafiła odpowiedzieć, dopiero później wymyślała ciąg dalszy. Znajdywała dowcipne odpowiedzi i robiła się z tego rozmowa. Pewien rodzaj rozmowy.

Nie ustało to ani gdy zaczęli ze sobą rozmawiać naprawdę, ani wtedy, gdy zostali kochankami. Przeciwnie. Ani nawet wtedy, gdy jej nie dowierzał. Mówił czasami, że traktuje go jak matka, która w niedozwolony sposób zabawia się z synem. Nigdy mu jednak nie okazała, jak bardzo to było poważne.

Gdy postanowiła udać się razem z nim do Jamtlandii, powinien był jej uwierzyć.

Tymczasem listy i rozmowy telefoniczne Dana były czasami tak dziwne. Wyczuwała chłód w jego głosie, i płakała, i za wszelką cenę chciała się dowiedzieć, co się dzieje. Wtedy na drugim końcu linii kończyły się monety.

W jednym liście napisał: praktycznie rzecz biorąc, zostałaś do tego zmuszona. Miał na myśli to, że przestała pracować w szkole. Mylił się jednak. Czyż tamten ranek nie był dowodem? Gdyby nie myślała o Danie poważnie, gdyby obawiała się o swój szary szkolny byt, nigdy by go nie wpuściła.

Chwilami wydawało jej się, że ma gorączkę. Była rozpalona i ciężko jej przychodziło znosić jego obecność w sobie.

137

Gdy się spotykali, silne napięcie ją opuszczało. To było szczęście. A może uwolnienie od udręki.

Teraz była niema. Nie odezwała się do niego ponad dobę. Nie zauważyła nawet, że stan, w jakim dotąd żyła, minął. Przypuszczała, że jest na to tylko jedno wyjaśnienie - nie ma go. On nie żyje.

Nerwy i mięśnie bolały. Odwróciła się na drugi bok i na moment doznała ulgi, ale po chwili znów czuła się okropnie. Kiedy kładła się na boku, zaczynało ją boleć ucho.

Straciła świadomość, ale zbudziła się, bo zdawało jej się, że ktoś nad nią stoi.

Krzyknęła tak, że obudziła Mię. Ale nikogo obcego w pokoju nie było.

- Mamo, coś ci się śniło - powiedziała Mia.

Annie ciągle jeszcze widziała przed sobą niewyraźną szarą twarz, która pochylała się nad jej twarzą. Poorane bruzdami, drewniane oblicze. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nikogo takiego nie zna. Próbowwała myśleć o czymś innym: o skrzyni z książkami, która przyjdzie później, o wielkiej walizie z bielizną i o skrzyni z porcelaną. Dan będzie uważał, że wzięła za wiele rzeczy, i w dodatku niewłaściwe. Ale tak dużo było tego, czego nie mogła wyrzucić.

Próbowwała myśleć o zawartości skrzyń i pudeł, o każdej rzeczy po kolei, i wyobrażać je sobie, jedną po drugiej. Wreszcie zapadła w drzemkę. Zbudziła się jednak ponownie, miała sucho w ustach i bardzo bolała ją głowa.

Przed jej oczami przesuwaly się tylko rozproszone obrazy z nocy i dnia, który minął. Nie miały żadnego sensu, a jednak wryły się w pamięć. Policyjne buty z cholewami z paskiem odblaskowym. Biały puch śpiwora. Biało-żółty kurczak z plastiku, który był czasomierzem do gotowania jajek u Oriany Strómgren. Ale przez cały czas dybała na nią tamta twarz, poorana bruzdami, drewniana, prastara twarz. Annie obudziła Mię i zarzuciła na nią pled.

138

- Musimy stąd iść. Pójdziemy do tej pani na górze.

Na siebie zarzuciła drugi pled i wyszły w noc rozbrzmiewającą ptasimi głosami. Słyszały je przez okno usiane pęcherzykami, na których drżało światło. Teraz te głosy stały się silniejsze, natarczywe i już nie mogła dłużej obronić się ani przed dźwiękami, ani przed światłem.

Zbocze było bardzo strome. Dom w górze miał lśniące puste szyby. To Mia zastukała do drzwi. Waliła swoją malutką piąstką. Aagot Fagerli stanęła na progu w kaftanie na nocnej koszuli, z początku nie miała zębów. Wpuściła je do środka, ale do pokoju weszła pierwsza. Odwróciła się do nich plecami i wyjęła coś ze szklanki z wodą, stojącej na krześle przy łóżku. Jej twarz znów się wypełniła. Mia patrzyła bardzo uważnie i później o to spytała. Gdyby Annie była sama, nie zwróciłaby na to uwagi. Było jej zimno. Ciałem wstrząsały silne dreszcze. Wydawało jej się, że wszystkie szczegóły widzi tak ostro, jak gdyby miała wzrok drapieżnego ptaka. Ale zupełnie nie mogła pojąć, jak się tu znalazła. Dlaczego przyszła do tego światła. Twarz Mii była taka malutka.

- Teraz się połóż - powiedziała do niej stara kobieta. - Do licha, girl, ty jesteś spre. Potem Annie już rozpoznawała jej łamany norweski język i amerykańskie, zupełnie nieszkodliwe przekleństwa. I zapach przypraw w ubikacji. Przyprawy i stęchlizna. Koc i sofa pokryta superkowatą tkaniną w żółto-brązową kratę. Mała ozdobna lampa w białym świetle nocy. Lekko zalatywało naftą. Kobieta nie zapaliła elektrycznego światła. Nie miałyby to sensu w tym pokoju zalanym światłem. Spuściła granatowe rolety i teraz Annie mogła położyć się na sofie, wpatrzona w mały pomarańczowy klosz. Aagot dała jej gorącego mleka, do którego dołała trochę wódki, i osłodziła je brązowym miodem.

139

Spre. Pomyślała, że to znaczy „krucha”. W środku była jak szkło w termosie. Słyszała twardy szelest, gdy Mia i stara kobieta przewracały kartki dużej książki z obrazkami na stole w kuchni, potem zapadła w drzemkę.

140

Gdy samochód przejeżdżał przez most, zadudniło. Potem zatrzymała się i otworzyła drzwiczki. Usłyszał potok. Słońce stało nisko. Było obrzmiałe, czerwone i prawie zasłonięte przez grzbiet górski. Musieli być wysoko. Poniżej drogi widać było brzozy las, na drzewach czarne i zielone porosty wezbrane wilgocią. Dookoła unosiły się ptaki, całe tysiące. Ich głosy górowały nad dźwiękami malutkich kaskad na bystrzycach i szumem wody w blaszanej rurze pod mostem.

Przestraszył się. Pewnie dlatego, że obudził się tak nagle i nie wiedział, gdzie jest. Wydawało się, że droga wiedzie dalej ku wysokim górcom. Nie śmiał się odezwać, bo obawiał się, że jego głos może zabrzmieć dziecinnie i ze złością. Trochę to śmieszne, ale był bliski płaczu. Musi rozbudzić się na dobre.

W bagażniku miała plecak ze stelażem, teraz go wyjęła i zaczęła wkładać do niego wszystko, co leżało porozrzucone w samochodzie. Na samym wierzchu położyła mydło i szczotkę do zębów zawinięte w ręcznik Betty Boop.

Wziął plecak, zarzucił sobie na plecy i zapiął pasek z przodu. Zeszli w dół urwiska przy bystrzu i zaczęli iść ścieżką wzdłuż rzeki.

~ To daleko? - spytał.

~ Pięćdziesiąt pięć minut.

141

Śmieszna dokładność. Równie dobrze mogła powiedzieć, że godzina drogi. Uświadomił sobie, że ona cały czas stara się robić wrażenie pewnej siebie.

- W takim razie nie mogę nieść bańki w rękę - powił dział i stanął, żeby przywiązać naczynie do plecaka.

Zostawili za sobą rzekę i weszli na skalisty teren, gdzie stare uschnięte świerki ledwie się zieleniły. Na niektórych widać było chorobliwe, dziko rosnące czarcie miotły. Chwilami ścieżka prowadziła przez mokradło i z tej uginającej się pod nimi masy dochodził zapach fermentacji. Kobieta szła przed nim. Przez całą drogę odpoczywali tylko dwa razy. Zapalała wtedy papierosa. Na ostatnim odcinku droga biegła w dół. Zobaczył matową powierzchnię wody między drzewami i wirujące nad nią opary mgły, czerwone w świetle poranka. Jezioro leżało w okrągłej misie gór. Woda była nieruchoma.

- Jesteśmy - wyszeptała. Ale nie widział żadnego domu. Zdawało mu się, że ostatni kawałek w dół do brzegu przemknęła jak ryś. Opadła na kolana i nabrała wody w dłoń. Opłukała twarz i dłuższą chwilę siedziała z pochyloną głową. Po pewnym czasie jak gdyby się ocknęła i dała mu znak, żeby szedł za nią. O ile ona przypominała przemykającego rysia, o tyle on czuł się jak łoś, niezdarny roczniak, który stąpa, z chrzęstem łamiąc suche gałęzie. Po jeziorze sunął nur, zostawiając za sobą srebrzystoczerwoną bruzdę wody. Johan przestraszył go i ptak zaczął wlatywać. Bił skrzydłami i kopał, burząc wodę.

- Teraz możesz wypuścić węgorza - powiedziała. Pokręcił głową.

- To co z nim zrobisz?

Tego nie wiedział. Znow zaczęli iść. Ścieżka, która wiodła brzegiem jeziora, rozwidlała się i biegła w górę przez las,

142

znaczona rosnącymi po bokach mleciami. Było teraz bardzo jasno, a w miarę jak oddalali się od leśnego jeziora i mgły, robiło się coraz goręcej. Między brzoziami mignął mu dom. Był to duży drewniany budynek z oszkloną werandą. Johana zdziwił widok czegoś takiego w tym miejscu. Tą ścieżką nie można dojechać samochodem, chyba tylko traktorem.

W porannym słońcu szyby w oknach werandy rzucały pomarańczowe błyski. Na kalenicy zobaczył sylwetki ptaków z czarnego drewna, cały dom oszalowano smołowanymi deskami. Wtedy zrozumiał, że musi to być dom myśliwski. Taki, jaki budowały sobie różne grube ryby na początku stulecia.

Nie poprowadziła go do dużego domu, tylko ruszyła dalej ścieżką między brzoziami do drewnianej szopy, stojącej nad brzegiem rzeki.

- Możesz spać w kurniku - powiedziała. W środku nie było tak źle, bo gdy weszli, zobaczył normalne piętrowe łóżka, a pod jedynym oknem stół. W powietrzu unosił się zapach gumy piankowej. W upale, który wypełniał zamkniętą szopę, materace zaczęły cuchnąć.

Zniknęła bez słowa, ale rozumiał, że wróci. Na stole leżały jego ręcznik, szczoteczka do zębów i mydło. Siatka chroniąca przed komarami była oparta o stół, więc zaczął ją zakładać na okno. Gdy wróciła ze szklanką mleka i dwiema kanapkami, chłodne powietrze wtargnęło przez siatkę. Usiadł na łóżku i jadł kanapki, pochylony do przodu pod wpływem ogarniającej go senności. Stojąc przy oknie, paliła papierosa i wyglądała na dwór. Gdy skończył jeść, zrzucił buty, kopiąc jedną nogą o drugą, i położył się na łóżku. Naciągnął na siebie pikowaną kołdrę. Wtedy odwróciła się do niego. Nie mógł widzieć jej twarzy, bo pod światło wydawała się niemal czarna.

~~ Ty i ja musimy najpierw zrobić jedną rzecz — powiedziała - Potem będziesz spał.

143

Podeszła i ściągnęła z niego kołdrę. Pochylona do przodu, położyła rękę na jego dżinsach, na rozporku. Z jej gardła wydobył się krótki śmiech, zabrzmiało to jak ciche parsknięcie. Musiała poczuć, że członek zaczął pulsować.

Gdy pociągnęła w dół suwak, Johan przestraszył się. Uważał, że zrobiła to nieostrożnie, i bał się, żeby napletek nie utkwił między ząbkami zamka. Ale spodnie, rzecz jasna, był obcisłe, musiała więc chwycić silnie członek. W każdym razie gdy go wyciągnęła, właściwie nie był to żaden członek.! Miękka garstka skóry i bezwładne mięśnie.

- Jaki miękki - powiedziała i zabrzmiało to, jak gdyby pardwa wabiła gdzieś daleko w brzozowym lesie. Członek zaczął pulsować. Jej oddech zalatywał alkoholem. Z torbą] w której była wódka kupiona na promie, weszła od razu do domu. Nie było w tym nic dziwnego. Prowadziła długo! i może nie najlepiej się czuła. Nie przyniosła jednak butelki, żeby poczęstować także jego, i to go rozżłościło. Nie dlatego, że chciał się napić. Ale że nawet nie spytała. Złość, choć tak niewielka, zrobiła mu dobrze. Przed chwilą naprawdę się bał* Nie był to niepokój, tylko prawdziwy strach. Rozchyliła lekko wargi i wysunęła koniuszek języka, którym poruszała w kąciку ust. Cały czas trzymała jego członek.

Myślał czasami o takiej okazji. Że nadejdzie. Przed oczar stawała mu wtedy jakaś dziewczęca postać i choć nie widział jej twarzy, wiedział jednak, że jest delikatna i nieśmiała. Td on miał robić wszystko, co możliwe. Bał się, że nie będzie mógł odnaleźć właściwego miejsca, nie będzie wiedział do kładnie, co ma robić. Albo że będzie niezdarny i zrobi krzywdę. Nigdy nie sądził, że to się potoczy tak.

Trzymała go za mosznę, a jej środkowy palec był gdzieś żenująco blisko odbytu. Przekręcił się odrobinę, ale palce nie puszczały. Rękę miała silną, krótką i szeroką.

144

Teraz poruszyła się powoli, on także. Nie wiedział dokładnie czy to dlatego, że nie rozluźniała chwytu. Po omacku sięgnęła ręką na górną pryczę i coś ściągnęła. Z góry zleciał gąbkowy materac, który rzuciła na podłogę. Potem odwróciła go plecami do materaca i pchnęła, aż na nim usiadł. Tymczasem rozbierała się na stojąco.

Trwało to krótko. Miała na sobie tylko koszulę, spodnie i jasnoniebieskie majtki, które zaszeleściły, gdy je zsuwała. Siedział, obejmując rękami podciągnięte kolana. Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Dzwoniło mu w uszach. Na dworze robiło się coraz jaśniej. Słyszał rzekę i ptaki.

Gdy ściągnęła z niego spodnie i poplamione kalessony, zrobiło mu się wstyd. Materiał spodni był nasiąknięty gliniastym szlamem studni. Przecież na drodze stanął w koszuli śmierdzącej rybą, z wyblakłą bluzą pod pachą. Mogła pomyśleć wszystko.

W tej chwili był nagi. Stała nad nim i kępka jej jasnych kręconych włosów znajdowała się na wysokości jego oczu. Teraz je zamknął. Miał wzwód i czuł, jak członek pulsuje.

Siedział odchyłony do tyłu, podpierając się rękami, i nie musiał nic robić. Rozstawiła nogi i jak gdyby nawlokła się na niego. Było to trochę trudne. Żołędź przeciskała się między małymi wargami i fałdkami. Ale były mokre, więc wślizgnął się, a ona opadła na niego ciężko, o wiele za ciężko. Bo razem z uczuciem rozkoszy podrażnione końcówki nerwów przesyłały jakby iskry i to sprawiało ból. Odchyliła się, co spowodowało ruch członka i miał wytrysk w bólu, pod którego wpływem uniósł górną wargę, odsłaniając zęby.

Odzyskał świadomość, jęcząc, odchyłony do tyłu. Odsunęła się od niego i wydało mu się, że wypływa z niego cały strumień. Ale nie przejmowała się tym. Chwyciła z dolnego łóżka pikowaną kołdrę i narzuciła na nich oboje.

145

lii

Nie pocałowali się. To mój błąd, pomyślał. Przecież ja nic nie zrobiłem. To samo się stało.

Nachylił się nad nią i wargami szukał twarzy, teraz bladej. Poczuł, że jej włosy są trochę szorstkie. Ale wszystko inne było bardzo miękkie. Wargi miała małe. Jak tamte na dole. Widział mały ruchliwy koniuszek języka. Była jak piasek, miękka i szorstka. I zupełnie jasna. Gdy leżał pochylony nad nią, czuł, o ile jest od niej silniejszy, i że jest taka mała. Mała i jasna.

Po chwili zaczęła dotykać jego członka, a gdy wyczuła, że pulsuje, pociągnęła lekko. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażał. Wydawało mu się, że wszystko dzieje się jakby we śnie, prawie mimo jego woli. Uczestniczył w tym nie do końca świadomie.

Potem zrobiła to znów. Choć teraz on leżał wyciągnięty na plecach, a ona siedziała na nim. Tak czuł się pewniej. Położył ręce wysoko na jej udach. Jeśli odchylił się za bardzo do tyłu, przyciągnie ją. Teraz było przyjemnie i jakoś sennie, prawie jakby spał. Zamknęła oczy i widział jej zęby, bo uniosła górną wargę. Lśniły od śliny. Widział, że cieniutka skóra na jej powiekach drga, szczęki miała zaciśnięte. Jest jej dobrze, pomyślał, i to ja to sprawiam. Ruszaj się we mnie powoli. Zebrał siły w tym dziwnym, na wpół sennym stanie, aby unieść plecy i objąć ją. Ale wtedy otworzyła oczy i powiedziała:

- Jak się nazywa twój bóg?

Nie zrozumiał pytania i powtórzył jak echo:

- Bóg?

Nawet nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Może się wygłupił tym pytaniem. Ale to było to słowo. Powtórzyła je i było tam jak kamień w ustach.

- Jesteś wrażliwy na wszelkie zmiany nastroju - powiedziała niskim głosem i ześlizgnęła się z niego. Nagle wszys-

146

i

kle mięśnie mu zwiotczały. Ale ona dalej czekała, żeby odpowiedział. Leżała na boku, oparta na łokciu, i patrzyła na niego lekko zmrużonymi oczami. Miał pustkę w głowie. Nazywa?" — powtarzał w myślach jak echo, ale powstrzymał się od wypowiedzenia tego głośno. Jak nazywa się mój Bóg?

Przypomniał sobie jedno kazanie mówione głosem, który obniżał się po pierwszej sylabie, brzmiało to więc, jak gdyby ktoś śpiewał: „Jezus czeka na ciebie! Jezus!” Stała mu przed oczami babcia, która zaczęła drzeć. Mimo płaszcza czuł, jak jej ciało dygocze, i odsunął się, zawstydzony, chciało mu się tylko siusiu.

- Bóg twoich przodków - pomogła mu i wreszcie pojął.

- Peive - powiedział niepewnie.

Była to wiedza ze szkolnego podręcznika. Entuzjazm nauczycielki wprawił go w takie samo zakłopotanie, jakie czuł teraz.

- Myślałam, że to Tjas Olmai.

Wyczytała z jego twarzy, że nic nie rozumie, i roześmiała się.

- Wodnik - powiedziała. - Bóg ryb.

147

Jedna przelotna chwila skradła mi życie. To był jakiś szlagier. A może wiersz. Właściwie Birger nie czytywał wierszy. Ten mógł usłyszeć w radiu. W każdym razie to by się zgadzało. Trwało naturalnie dłużej niż jedna przelotna chwila. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Lub raczej w ogóle było poza czasem. To się chyba nazywa szczęście. W każdym razie stanowiło najbardziej intensywne przeżycie, jakiego kiedykolwiek doznał. Powinien jej wtedy o tym powiedzieć. Ale jakoś nie było okazji. Szkoda, że nie uczynił tego od razu.

A może teraz?

Wolno pociągnął ostatni łyk. Whisky była mocno rozcieńczona wodą, kawałki lodu już się rozpuściły. Wstał i poszedł na górę do sypialni. Przed drzwiami zatrzymał się, naprawdę czuł lęk. Myślał o tym, jak wiele wydarzyło się w ciągu roku, półtora. Wyślizgnęło się i odsunęło.

Potem otworzył drzwi. Zerwała się i usiadła na łóżku, jakby też się przestraszyła. W świetle nocy jej twarz była blada, ciemne włosy miała splecione na noc w grubym warkocz związany tasiemką.

Uważała, że powinien pukać? Czyżby nastąpiło kolejne odsunięcie, a on tego nie zauważył? Powiedział:

- To także moja wina, Barbro.

148

I natychmiast uprzytomnił sobie, jak idiotycznie zabrzmiały te słowa.

— To znaczy, wiem, że to moja wina.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, które zdawały się czarne. Źrenice musiały się gwałtownie powiększyć. Usta były zaciśnięte i bezbarwne. Uświadomił sobie, że nie potrafi o tym opowiadać. Co miał jej powiedzieć? Przeżyłem coś dziwnego, to było w Sulki, może wiesz, ten mały hotelik na końcu Radhusgatan. To było najdziwniejsze ze wszystkiego, co zdarzyło mi się kiedykolwiek przeżyć, a potem tak się jakoś samo potoczyło. To dlatego poniekąd wszystko mi już zobojeźniało.

Nie powiedział tego jednak. Bo już był pewien, że ona nie zapyta, co przeżył. Będzie tylko patrzyła. Jej źrenice były teraz duże jak bażyny. Ale musiał jej dotknąć, i to zaraz, pochwycić ją.

Naprawdę uważał, że powinien to zrobić. Potem jednak chwila, kiedy wydawało się to możliwe, minęła. Odwróciła się do niego plecami. Ciało pod kołdrą było nieruchome. Twarz niewidoczna.

Wtedy popełnił tę cholerną głupotę. Objął ją, chociaż nie należało. Wiedział, że nie należało. Usiadł ciężko na łóżku, położył ręce na jej ramionach, przyciągnął ją do siebie i odwrócił. Jej ciało obróciło się nienaturalnie, ponieważ mu nie pomogła, ale też nie stawiała oporu. Błądził wargami po jej włosach i czole, czuł, że brwi miała ściągnięte, szukał jej ust, ale w tym samym momencie wyciągnęła ramiona i odepchnęła go od siebie, a z jej piersi wydobył się ni to jęk, ni to stęknienie.

Najpierw pomyślał, że to dlatego, iż czuć od niego whisky. Potem przyszło prawdziwe, głębokie upokorzenie. Wiedział, że przez całe życie bał się tego właśnie momentu. W ten czy w inny sposób. Wstał i skierował się ku drzwiom. Nie poruszyła się.

149

Co tam pieprzyć o lesie, górskiej rzece i winie Zachodu. Mam podwójny podbródek i noszę sandały. Na tym cała rzecz polega. Brzuch, kałdun. Tak to jest.

Ale było z nią niedobrze. Może w większym stopniu, niż zdawała sobie z tego sprawę. Chwilę stał z ręką na klamce i patrzył na wypukłość rysującą się pod kołdrą. Nie było widać nawet kosmyka jej włosów. Odzyskał spokój. Czuł się tak, jak gdyby patrzył na pacjenta.

- Które z was wymyśliło ten żart? - spytał.

- Jaki żart?

- Że on będzie udawał twój syna?

- Nie wiem. Chyba on.

150

Leżał na łóżku, na nagiej, opalanej skórze widniały gwiazdy wzoru tiulowych firanek. W izbie było jasno od słońca i ciepło, czuła, jak ciepłe i wilgotne jest jego ciało. Zapach Dana, który napływał do niej zwykle we śnie, wydobywał się teraz z łóżka, choć nic się tam nie poruszyło. Zdawało się, że światło rysowało tu jakieś nowe wzory, lśniło w innych włosach niż te popielatoblond. Wszelki ruch mógł być ryzykowny i zburzyć harmonię pokoju. Gdy więc zsunęła się i wilgotna skóra jego górnej wargi spotkała jej język, to też nie było żadnym ruchem, tylko raczej przesunięciem w czasie, powolnym falowaniem, które połączyło ich oboje po tygodniach chłodu, pośpiechu i godzinach przerażenia.

Szeptala „Dan, Dan”, myśląc jednocześnie, że nie powinna tego robić, w każdym razie nie teraz, bo chata jest prześwietlona słońcem i ze wszystkich stron są okna. To Mia, kiedy się zbudziła, zobaczyła volkswagena. Stał zaparkowany w dole, za oborą, po drugiej stronie drogi. Wybiegły z domu Aagot Fagerli, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście przyjechał. Gdy tylko jednak wróciły do chaty, Mia znów wyszła. Może to było wspomnienie tamtego razu. Nie powinna mieć takich wspomnień, w każdym razie nie powinna mieć ich więcej.

- Ale o co chodzi? - spytał Dan. - Przecież to naturalne.

Annie wydawało się, że twarz Mii mignęła trochę wyżej, Ra stoku, na chwilę zniknęła wśród brzeziny, po czym znów

151

się wyłoniła. Ale w tej chwili nie sposób było myśleć i zastanawiać się, co jest dobre, a co nie.

- Jak nas znalazłeś? - wyszeptala, a on powiedział, że na ganku został plecak, poznał go. Pasiasty wełniany plecak z Krety.

- Dlaczego nie chciałeś otworzyć?

Powiedziała to wprost w jego ucho, a on właśnie w nią wszedł i czuła, że jej nerwy płoną. Drzewo światła rozrastało się w jej ciele. Zapomniała o pytaniu, ale powtórzyła je, gdy dał jej odpocząć chwilę, pozwalając na spokojniejszy oddech i szepcząc: „Nie ruszaj się, nie ruszaj się”. A potem powtórzył:

- Otworzyć?

Ponieważ o niczym nie wiedział.

- Spałeś? W Nirsbuan? Bo to przecież byłeś ty?

Nie chciała zbyt dużo o tym mówić, w każdym razie nie teraz, i nie miała siły jeszcze raz opowiadać o tej strasznej wędrowce. Wcale nie musi, zgodził się. Wszystko jest dobrze. Wszystko jest dokładnie tak, jak miało być, gdy wysiadła z autobusu.

Powiedział, że przylega do niego jak mokra, ciasna i miękka rękawiczka, i dlatego wszystko jest teraz dobrze, a ona nie musi się nad niczym zastanawiać. Ale jedna rzecz wydała jej się dziwna.

- Ja przecież pukałam w okno.

Nic o tym nie wiedział. Ale to pewnie dlatego, że spał, spał tak mocno.

- Dlaczego nie wyszedłeś na przystanek autobusu? Myślałeś, że Mia i ja przyjedziemy w sobotę, w wieczór sobótkowy według starego zwyczaju?

Tak, tak myślał. A to, co się stało, w ogóle ich nie dotyczy. Przypadkiem przeszła obok. Tak jakby była świadkiem katastrofy kolejowej. Nie ma to z nią nic wspólnego, jest tylko straszne. Teraz uwolnili się od tego.

152

Przedtem była uwięziona. Ryba w sieci. Tysiące idiotycznych spraw, ludzie, przepisy, papiery i rupiecie, rupiecie, rupiecie. Na przykład akumulator samochodu. W zimie trzeba go wyjąć, wnieść do środka i postawić na zlewozmywaku. Jeśli jest ponad dziesięć stopni mrozu, a samochód ma zapalić za piętnaście siódma.

Opiekunka do dziecka łykała preludin, bo chciała schudnąć. Ale prawda była taka, że bez preludinu nie mogła nawet odkurzyć mieszkania elektroluksem. Tak więc w niektóre dni jej twarz była jak blady księżyc poznaczony plamami: zapowiedź choroby. Dla Annie oznaczało to powrót do samochodu, do drogi, gołoledzi, świateł ulicznych latarni. A w szkole: teraz siedź i rysuj, Mia, dam ci herbatnika.

Osiem lekcji z pokruszonymi herbatnikami, pyłem kredowym, odorem swetrów i oddechów. Mia chciała siusiu i nudziła się. Jej paplanina rozpraszała uwagę klasy, o ile w ogóle można było mówić o jakiejś uwadze.

Pstrąg ma ślady od sieci, pomyślała teraz. Dan spał, słońce wlewało się do wnętrza, spomiędzy jej nóg też spływał sok. Niepokoiła ją tylko ta drobna twarzyczka w brzożowym zagajniku, mająca od czasu do czasu przed oczami. Ale oni odsunęli się na bok i ześlizgnęli w spokojną wodę. Prąd czasu był ledwie wyczuwalny.

Pręgi odcisnięte na bladym ciele. Jedyne, co miała przed oczami, to pstrąg ze sklepu rybnego. Flądry z szarym śluzem w skrzelach. Takie było twoje życie. Czekać na zielone światło. Kupić torebkę przypraw.

Dan przybył do szkoły robić rewolucję. Przynajmniej rewoltę. Trochę to śmieszne, bo on był tak wąty, a jego słowa tak mocne. Małe, piękne ciało, ciemny zarost. Nigdy me zwracał uwagi na to, co je.

153

Revolvere. To chyba znaczyło „obracać się dookoła”.

Tak jak my się obracaliśmy. Z początku trochę piekło.

„Czyż nie jest także troszkę przyjemnie?” - szeptał. O Boże, o Boże, o Boże.

Najpierw w mieście, u jego zaprzyjaźnionego malarza. Ci przyjaciele. Czasem trzy tygodnie znajomości: dzielić wszystko, Kropotkin. Ale ten ciągle kupował chipsy. Puszki piwa, butelki terpentyny, torebki czegoś do chrupania, wyciśnięte tuby, farby na papierowych talerzach, poplamiony materac. Revolvere! Z uczniem.

Babcia Henny pilnowała Mii na Karlbergsvagen i myślała, że Annie jest na kursie. Potem już Annie razem z Mią zaczęła zostawać na noc na Malarvag, następnej zimy. Powodem był akumulator. Ale Dan także.

Jednakże atmosfera wokół nich jakby poszarzała. Rewolta przebiegała zbyt niemrawo w prowincjonalnej szkole, wśród przerośniętych brutalni, którzy chcieli być policjantami i spychać rebeliantów pod ściany. I blondyneczek w nylonowych bluzkach, które pragnęły zostać pielęgniarkami i asystentkami dentystów i nalepiać plastry, i zszywać zwykłych ludzi i rebeliantów.

Na korytarzu zawsze pachniało domowym ciastem i lakierem do włosów. Uczniowie wymieniali tygodniki i popijali piwo. Dan był burzykiem, ale burza nie nadciągała.

Tamci ciągle jeszcze prali swoje nylonowe koszule i rozwieszali je na sznurze. Nigdy by mnie nie wylali, chociaż trzy koleżanki przestały się odzywać, nigdy by się nie odważyli, nie ośmielili (Mia!), gdyby pewnego ranka, kiedy Mia spała, on nie przyszedł, nie wślizgnął się pod koldrę i nie kochał się z nią, Annie, miło i słodko, jak w domku letniskowym.

Nigdy by mnie nie wylali, gdyby Mia się nie zbudziła, nie zobaczyła nas i nie wybiegła z pokoju, jeszcze w zupełnej

154

ciszy, ale z płaczem, i nie natknęła się na Arlen, która prowadziła wychowanie obywatelskie.

- Dan robi mamie coś złego!

potem był dyrektor, jasny gabinet z gobelinem i ręcznie żłobionymi misami.

- Twoja obecność w szkole nie jest dłużej pożądana. Drżenie brody. Długopis, żeby było czym zająć ręce. On był bardziej przerażony niż ona. Boże święty, jak pragnęła nagany, jakichś wymyślań, prawdziwych słów! Ci, pozał się Boże, nauczyciele w gronie pedagogicznym, ci radni i te wolontariuszki!

Dan był jak pies, który się otrząsa, nawet nie będąc mokrym. Ale to moje życie.

To jest próba. On musi to zrozumieć.

155

Mia nie chciała jechać. Stało się to całkowicie jasne, gdy tylko ruszyli samochodem w górę. Przy obejściu Stróm-grenów zwinęła się na tylnym siedzeniu, zasłoniła twarz rękami i powiedziała coś niezrozumiale wysokim, ostrym głosem. Annie poprosiła Dana, żeby stanął.

- Ja chcę wracać do domu!

Annie próbowała coś tłumaczyć, ale Mia nie słuchała.

- Ja chcę do domu! Ja chcę do domu!

Powtarzała to zawzięcie, nie odrywając dłoni od twarzy. Annie wysiadła i przeniosła się na miejsce z tyłu, koło niej.

- Teraz pojedziemy na Gwiezdną Górę. Wcale nie jedziemy do Nirsbuan. Na Gwiezdną Górę można dotrzeć również inną drogą. Nie będziemy przejeżdżać obok tych miejsc, gdzie szliśmy przedtem. Na tej górze zamieszkamy. Są tam też inne dzieci.

Annie jeszcze mówiła, gdy Dan znów ruszył. Mia rzuciła się w tył, wyginając plecy w łuk, i zaczęła krzyczeć.

- Zatrzymaj się, Dan! - powiedziała Annie.

Ale on jechał dalej, bardzo wolno, po wyboistej drodze z bali, prowadzącej do Niedźwiedziego Stoku. Kiedy zatrzymali się, aby zabrać bagaże, próbowała wziąć Mię w objęcia. Ale nie było to łatwe, bo ostatniego roku Mia bardzo wyrosła, a teraz opierała się z całej siły. Dan wysiadł z samo-

156

chodu i stanął obok, patrząc na nie. On myśli, że teraz się poddam. Wygląda okropnie, jak gdyby tylko na to czekał. Wściekłość buchnęła płomieniem i równie szybko zgasła. Gdy wywierano na nią presję, robiła się zła, potrafiła powiedzieć coś idiotycznego. Ale w obecności Dana nigdy przedtem nie czuła się pod presją. Mia uspokoiła się trochę i teraz pochlipywała. Na dworze Dan zawiązywał plecak. Jego blada twarz miała nieobecny wyraz. Prawdopodobnie przesłuchanie było przykrzejsze, niż pragnął po sobie pokazać.

- Chcesz nadal? - spytał, gdy wrócił z policji. Przytaknęła tylko ruchem głowy.

- Nie boisz się?

Przecież to nie miało nic wspólnego z nimi. To było coś, co się wydarzyło podczas sobótkowego pijaństwa. Turyści, cudzoziemcy. Było straszne, ale minęło.

- Tam, na górze, jest nas cała paczka - powiedział. - Nikt nie czuje się samotny.

Spakowanie rzeczy i zapłacenie Aagot Fagerli nie zabrało dużo czasu. Aagot wypytywała o Dana. Zanim odjadą, mogą się napić kawy. Wyglądało na to, że chce go zobaczyć. Annie jednak podziękowała. Powiedziała, że się spieszą.

Było to słowo z dawnych czasów. Ale gdy się jej wyrwało, uznała to za dobry znak.

To jest przynajmniej coś, co ludzie rozumieją. Poczwała tak samo wielką ulgę jak wtedy, gdy pierwszy raz opuściła wieś. Ale Dan ruszył w kierunku sklepu.

- Muszę zadzwonić.

Wydawało się, że to słowo zawisło w samochodzie. Sądziła, iż wszystkie tego rodzaju sprawy zostawili za sobą. Jego głos brzmiał tak, jak gdyby Dan był czymś

skrępowany, jak gdyby coś zaprzętało mu myśli. Może dzwonił do domu? Ale przecież mówił, że ze swoimi rodzicami nie ma już nic wspólnego.

157

Pełniono jednak morderstwo. Sama dzwoniła od Aagot Fagerli do Henny i Akego, chcąc ich poinformować, że u niej wszystko w porządku.

Rozmawiał długo i z przejęciem. Widziała go przez szybę i poczuła nagle ból brzucha. Rznąło ją w żołądku. Było to tak dokuczliwe, że z pewnego rodzaju zdziwieniem pojęła: jestem zazdrosna. Podejrzliwa. Przychodzą mi na myśl wszelkie możliwe szkaradziejstwa. Jestem zepsuta. Może nigdy nie potrafię żyć innym życiem, tylko zawsze pogmatwanym.

Gdy wrócił, słowem nie wspomniał o rozmowie telefonicznej. Może nie zdążył. Gdy tylko ruszyli w kierunku domostwa Strómgrenów i gór, z placu z pompami benzynowymi wysunął się samochód policyjny. Musiał tam stać przez cały czas. Policja dogoniła ich i zatrzymała, zanim zdążyli wyjechać ze wsi.

158

Annie odczuła to jako rzecz nieprzyjemną, ale Dan okazywał jawną pogardę. Wyjaśnił, że jasnoczerwony volkswagen stał pod stodołą Aagot Fagerli od wczesnego rana.

- Mogliście zajrzeć tu w każdej chwili - dodał.

Nie zwracali uwagi na to, co mówił. Tylko poprosili go do siebie na camping, gdzie mieli pokój do przesłuchań. A więc Annie napiła się jednak kawy ze starą Norweżką, a potem wałęsała się z Mią po stromym zboczu. Wrócił dopiero po dwóch godzinach. Akurat zgłodniały, powinna była zatem zejść do chaty i przygotować coś do jedzenia, przynajmniej dla Mii. Ale pomyślała, że to zbyt długo potrwa, zanim tej starej kobiecie wyjaśni, dlaczego wrócili. I jeszcze, że musiałyby pojechać coś kupić, a potem, po jedzeniu, znów sprzątnąć chatę. W samochodzie Dana znajdują się na pewno jakieś owoce.

Zachowywał się w dwojaki sposób. Najczęściej był podniecony i pełen energii. Emanował wtedy siłą. Ładował innych. Gdy mówiąc coś, poruszał się po pokoju, wszyscy na niego patrzyli. Energia intelektualna i seksualna, pomyślała, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Wtedy sądziła, że to chęć życia.

Ale było to raczej gromadzenie siły. Chęci. Przeciwstawić się chandrze i stratom energii. Tańczyć. Pozostawać widocznym.

159

|

Drugi sposób bycia poprzedzała zawsze bladość na twarzy. Usta zaciśnięte, w głosie irytacja. Zapadał się w sobie i wydawało się, że szarzeje. Przez chwilę zastanawiała się, czy ten stan właśnie nie nadchodzi. Dan poruszał się wokół samochodu, nie patrząc na nie. Cichym głosem próbowała wyjaśnić Mii, że pójdą zupełnie inną drogą. Nie będą przechodziły rzeki w bród. Trochę wyżej jest mały mostek, a dalej wygodna dróżka przez las aż na Gwiazdną Górę.

- Wszystkie nasze rzeczy zostaną przysłane trochę później.

- Jak? Przecież tam nie można wjechać samochodem. Właśnie, jak? Pewnie je wniosą.

- Nie wiem - odparła Annie. - Ale będziemy tam miały wszystkie nasze rzeczy.

Gdy późnym popołudniem dotarli do mostu, zobaczyła, że jest całkiem spory. I droga była szeroka, ze śladami traktora. Dan wyjaśnił, że most jest nowy. Właśnie buduje się drogę do transportu drewna. Przypuszczalnie wkrótce dojdzie do wyrębu.

Komuna czuje się zagrożona, ale jej członkowie jeszcze nie wiedzą dokładnie, co się stanie i jak blisko Gwiazdnej Góry sięgnie wyręb.

- Petrus nie chce, żebyśmy korzystali z mostu.
- Bo należy do Wroga?

Odniosła jednak wrażenie, że jej żart mu się nie podoba.

Dojście na górę zabrało dużo czasu. Zwykle trwa to około godziny, powiedział Dan. Teraz jednak mieli ciężkie plecaki i musieli często się zatrzymywać, żeby Mia mogła odpocząć. Droga była mocno wydeptana. Kora na świerkowych korzeniach zniszczona przez stopy, łapy i racice. Od czasu do czasu w miejscach, gdzie ziemia była czarna i błotnista, widzieli głęboko i wyraźnie odcisniętą racicę. Annie nie znała się na

160

śladach. Ale tak duże krowy nie istnieją, więc powiedziała Mii że pewnie przechodziły tędy łosie, które pozostawiły po sobie spore kupy krąglego łajna.

Wyszli na płaskowyż. Mia znów musiała odpocząć i Annie zaczęła się denerwować, że ich wolne tempo zirytuje Dana. On jednak pozwolił Mii popatrzeć przez swoją lornetkę i powiedział coś do niej zachęcająco. Świerki rosły teraz rzadziej i nie było widać żadnych sosen. Krajobraz zdominowały brzozy z czarnymi flagami porostów i jasnozielonymi chmurami liści.

Dan pogwizdywał cicho. Annie uprzytomniła sobie, że robi to nieświadomie. Było to niemal bezdźwięczne poświstywanie ledwie ściągniętymi wargami. Mogła rozróżnić dwie melodie. Szlagier z lat pięćdziesiątych, z którego pamiętała tylko refren:

Jak dobrze nam,

Jak dobrze w tej podróży. Na siedzeniu tylnym Czas nigdy się nie dłuży!

Druga melodia brzmiała tęsknie. Dopiero po przeszło godzinie uświadomiła sobie, co to takiego: Parasolki L Cher-bourga. Muzyka filmowa. Żadnej z tych melodii nie mogła powiązać z Danem. Oczywiście, to dlatego, że nic nie wiedziała o jego wcześniejszym życiu. Było mu ciężko. Więcej nigdy jej nie powiedział. Czyżby żyli w takiej biedzie? Czy to możliwe, aby w dzisiejszych czasach istnieli jeszcze naprawdę biedni ludzie? Nigdy przedtem nie uważała swojego pochodzenia za tak drobnomieszczańskie jak wtedy, gdy zaczynała rozmyślać nad jego przeszłością. Nie wiedziała nawet, jak o nią pytać.

Bolała ją głowa i czuła, że jest to wywołane uciskiem pasków plecaka na ramiona. W końcu nie mogła myśleć

161

o niczym innym. Sądziła, że będą ze sobą rozmawiać, ale było tak tylko na początku wędrówki. Potem w głowach mieli już jedynie pustkę i ciężko sapali przy podejściach. Ból głowy umiejscowił się nad jednym okiem, gdzie pulsował i dosłownie rozsądzał czaszkę. Gdy tylko teren stawał się względnie równy albo droga prowadziła w dół, Dan znów pogwizdywał. Pragnęła, żeby przestał. Ale nie chciała go o to prosić. Wreszcie, aby nie słyszeć tego cichego, syczącego gwizdania, zaczęła pozostawać z Mią w tyle. Gwizdał zresztą trochę fałszywie.

Po dwóch godzinach brzozowy las się przerzedził. Zeszli w kotlinę, gdzie ścieżka stawała się coraz bardziej czarna

i błotnista. Spośród trawy wyrastały gęste kępy pełnika. Pąki kwiatów były jeszcze mocno ściśnięte i zielone, nabierały dopiero odcienia bladej żółci. Przypomniała sobie, że przy Nirsbuan już rozkwitły, i uświadomiła sobie, że znajdują się wysoko w górach, niemal w innej porze roku. Teraz widziała, że tam, gdzie zбочa kotliny się wznoszą, trawa jest wypasiona. Gdy dotarli na pierwszy niewielki szczyt, ukazała się Gwiezdna Góra.

Kilka chał, czerwonych i szarych. Jedna z podmurówką. Najbliższa chata była drewniana. Jej belki mieniły się kolorami — szarym, srebrnym i szarozielonym. Dalej

stał dom pomalowany na czerwono. Farba była zżarta przez wiatr. Wyglądają skromnie, pomyślała. Zwyczajnie.

Wszystko dookoła obmywał chłodny górski powiew, który nie niósł ani żadnych zapachów, ani ciepła. Nie posiadający smaku, bezwonny, opłukiwał ich twarze, jak gdyby byli kamiennymi płytami, stokami porośniętymi trawą. W brzoźowym lesie to wybuchały, to cichły głosy ptaków.

Za pastwiskiem wznosiła się skalista góra. Pionowa stromizna, opadająca w kierunku pasma brzoź, rozłamywała się w prostokątny wzór. Nedorzecznie proste linie i kąty prze-

162

rażały Annie. Z pozostałych stron pastwisko otaczały niebie-skoczarne góry, poznaczone nieregularnymi białymi plamami nieruchome i dalekie, ciągnące się na północ, zachód i wschód. Koryto Lobberan biegło szerokim łukiem dookoła podnóża góry i oddziało ją wraz z zalesionym płaskowyżem i pastwiskiem od reszty gór.

Głównie jednak wysokość sprawiała, że wydawały się one tak odległe.

Góry miały różny charakter. Najdalej wysunięta na północ wyglądała jak przepołowiony bochenek chleba. Pionowa ściana połyskiwała błękitem. Wydawała się nierealna. Kawałek scenerii. Z tyłu, trochę na ukos, wznosiła się inna, biała, migocząca lodem. Przypominała wierzchołek piramidy, musiała być bardzo wysoka i oddalona.

Stromo opadające, pogruchotane kształty, dziwne, nieludzkie proporcje. Zdawało się, że ten kamienny chaos dopiero co zastygł na wietrze.

Wtedy usłyszała cichy dźwięk, coś chrzęściło. Gdy przeniosła wzrok na pastwisko poniżej górskiego zbocza, ujrzała stado szarych owiec z jagniętami. Czekają zastygłe w bezruchu. Uniesione srebrnoszare łby o długich zakrzywionych nosach zwróciły ku ścieżce. Uszy miały różowe, prześwieczone słońcem. Czują, że czekają, aż któreś z nich się poruszy albo coś powie. Na twarzy Mii odbił się przestach. Wtedy Annie postąpiła parę kroków w ich kierunku. Z jej ust bezwiednie padło kilka słów, dziecinnie wyliczanka:

- Owieczki, owieczki... chodźcie do dziewczeczki, do ślicznej dziewczeczki zbliżcie się, owieczki...

Mia zachichotała, wysuwając koniuszek języka. Owce znów zaczęły się paść. Nie znały oczywiście jej głosu. Ale ich nie wystraszyła.

Magle doszło ją szczekanie psa. Już z szeptu traw powinna yia się zorientować, jaka cisza panuje tu na górze. Z tak a ka slychać było szmer strumienia. Ale usłyszała tę ciszę

163

|

dopiero wtedy, gdy zaszczekał pies i od strony góry dobiegły jakieś dźwięki. Były głuche, regularne, o przerażającej mocy. Z początku nie mogła powiązać ich z ludzką sylwetką przy rogu domu, która cicho, ale rytmicznie wznosiła i opuszczała siekiere. Później udało się Annie odróżnić suchy odgłos, jaki wydawało wbijane ostrze siekiery, od echa dochodzącego od strony górskiej stromizny.

Jeszcze nic nie wiedziała i wszystko przyjmowała tak, jak gdyby było naturalne i rzeczywiste. Drwal. Odwieczne bezpieczeństwa w rytmicznym dźwięku ostrza wbijanego w drzewo. Psie ujadanie.

Podeszli bliżej. Zobaczyła, że długa, rozdwojona broda drwala nie była wokół ust biała, lecz żółta. Nie miał zmęt-niałych ani zażawionych oczu. Nie był tak stary, jak się z daleka wydawało. Petrus. Przyszło jej na myśl, że rąbanie zostało

zainscenizowane, dopiero gdy Dana, ją i Mię można było dojrzeć z okien chaty stojącej najbliżej ścieżki. Psy musiały przecież wyjść na dwór razem z mężczyzną. W przeciwnym razie zaczęłyby szczekać dużo wcześniej.

Potem nadeszła Brita w długiej samodziałowej spódnicy i fartuchu podartym na brzuchu. Była w zaawansowanej ciąży. Warkocz miała skręcony w węzeł na karku. Dwóm dziewczynkom warkocze spadały na ramiona. Annie zauważyła, że ich włosy błyszczą, ale tylko dlatego, że są tłuste. Przylegały ciasno do głów i rozdzielały się na pasma. Zmieszana, poczuła obrzydzenie. Mia zeszywniała.

Dzieci jak obce psy. Czujność i strach. Dlatego gdy wprowadzono ją do wnętrza drewnianej chaty, słyszała i widziała tylko Mię i tamte dzieci. Była też bardziej zmęczona drogą, niż chciała okazać, w dodatku zdawała sobie sprawę z tego, że Mia musi być strasznie głodna.

Dostały kaszę na mleku. Brita nabrała ją chochlą z garnka, stojącego na żelaznym piecu. Kaszę z łuskami, ziarnkami

164

i małymi twardymi grudkami. Melodyjnym głosem Petrus Hokładnie i powoli wyliczył i powtórzył nazwy traw, ziół, rodzajów zbóż, owoców i orzechów, które się w niej znajdują. Mia odsunęła miskę, aż mleko chlupnęło.

- To śmierdzi — powiedziała. - Jak z butów.

Oczy bez wyrazu. Wszyscy patrzyli na nią. Brita wyjaśniła, że to kozie mleko i właśnie takie mleko się tu pije. Annie ogarnęła panika. Nie chwilowy dreszcz, tylko panika, która zawładnęła nią na dłużej. A jeśli Mia nie zechce pić mleka? Jeśli odmówi jedzenia?

Dotarli do celu podróży. Sprawa była poważna. Dan zniknął gdzieś na dworze. Nad piecem wmurowanym między łupkowe płytki suszyła się para pończoch. Głowa bolała Annie tak bardzo, że nie mogła patrzeć w kierunku okna, przez które wpadało światło. Nikt nie wspomniał o tym, co się wydarzyło na dole, nad rzeką. Nikt jej nie pytał, co widziała. Śpiewny głos mówił o dzikich i uprawnych gatunkach zbóż. Mia siedziała z zaciśniętymi ustami i usiłowała nie patrzeć na dwie obce dziewczynki. Będą mieszkały w tym większym budynku. Pomyślała, że to chyba lepiej. Miał wyższy dach, choć był szkaradny i połączony z czymś, co nazywali letnią kuchnią. Nie rozumiała dokładnie, co to takiego. Bo nie gotowali tam posiłków. Dalej znajdowała się szopa dla kóz sklecona z falistej blachy i desek.

Petrus z Britą nie weszli z nią do środka. Pokój pokazał jej Dan. Pierwsze, co ujrzała, to czyjaś głowa ze zmierzwionymi włosami. Osoba leżąca na łóżku naciągnęła koc tak wysoko, że widać było tylko włosy. Głowa nie poruszyła się.

~ Lotta!

165

i

Dan powiedział to z naciskiem w głosie, jak do dziecka. Wtedy ukazała się twarz, a po chwili ciało, szczupłe, leżące trochę na ukos. Lotta nie była dzieckiem, lecz dorosłą kobietą, wyglądała na chorą. Mia wpatrywała się w nią uważnie, mocno ściskając w rękach plecak z Krety.

W pokoju znajdowało się jeszcze piętrowe łóżko z metalowych rurek. Okno było tylko jedno. Pod nim w charakterze stołu ustawiono płytę pilśniową. Stała na niej lampa naftowa, druga wisiała na gwoździu w ścianie. Pokój był wytapetowany, ale tapety zamalowano szaroniebieską farbą, która w kilku miejscach spurchliła się i popękała. Przy jednej ścianie stał piecyk żelazny, a obok drzwi wisiało lustro w plastikowej zniszczonej ramie. Dotknęła jej. Nawet nie plastik. Celuloid.

Lotta postawiła jedno z dwóch krzeseł jako stolik nocny przy swoim łóżku. Urządziła się jak w gnieździe. Do ściany przyczepione były zdjęcia kotów. Ale poza tym nie obchodził jej wygląd pokoju. Z firanek pozostał tylko lambrekin z rzadko tkanej bawełny. Teraz szarżółty, kiedyś był na pewno biały. Nadal widniały na nim zielone i czerwone pasy. Materiał firanek wzbudził w Annie wspomnienie dzieciństwa, podobnie jak rama lustra. Lata czterdzieste. Szmaciak sięgający od drzwi do stołu był tak brudny, że niepodobna już było rozróżnić kolorów.

To nie do wiary. Może powinna zacząć planować - białe firanki, doniczki z polnymi kwiatami, czyste szmaciane dywaniki - gdyby nie bolała jej głowa. Teraz czuła mdłości. Dlatego tylko usiadła na pustym łóżku, ostrożnie, aby nie uderzyć głową w górne, i utkwiała wzrok w Danie. Czekala, żeby coś powiedział. Wyjaśnił. Ale jego oczy unikały jej spojrzenia. Wydawał się zajęty rozwiązywaniem plecaka i rozmową z Lotta.

- Teraz was zostawiam, żebyście się porozumiały, jak się tu rozlokujecie - oznajmił. Ale jego głos nie brzmiał spokojnie. Coś jednak musiał zauważyć.

166

Od samego początku Annie uprzedzała, że nie będzie mieszkała w komunie. Niezachwianą pewnością miała właściwie jedynie co do tego. Poza tym jej życie było otwarte na wszelkie zmiany. I chciała je odmienić. Ale nie mieszkać z innymi ludźmi. Nigdy. Nie po Enskede.

A jednak nie opowiadała mu o Enskede. Narzekanie na ciasnotę we własnym domu wydawało się niepoważne. Odgłosy z toalety. Radiowe notowania kursów na giełdzie. Wycie odkurzacza. Piła tarczowa sąsiadów. Dla Dana byłby to pewnie raj. Dom.

Przyrzekł znaleźć dla nich oddzielne lokum i w końcu napisał w liście o Nirsbuan. Ale nie można było go ot tak, po prostu, zająć. Musiał to zrozumieć. Dom do kogoś należał, nawet jeśli był tylko domkiem letniskowym. Sądziła, że porządkuje go dla nich. Że wszystko prawie gotowe. Nie napisał tego. Ale chyba coś takiego powiedział przez telefon.

- Czy to łóżko jest wolne? - spytała. Nie mogła nic poradzić na to, że w jej głosie zabrzmiała ironia. Tak bywało, gdy wywierano na nią presję. Lotta kiwnęła głową. Siedziała skulona na brzegu swego pościana i wyglądała, jakby jej było zimno.

- Nie chcesz mieszkać z kimś innym, prawda?

Annie była zmuszona spojrzeć na jej szarą twarz. Lotta wyglądała jak pies, który czeka, aż zostanie wykopany. Mia wspięła się na górne piętro wolnego łóżka. Nie było żadnej drabinki i Annie nie zdążyła zobaczyć, jak to zrobiła. Teraz siedziała na górze, obejmując ramionami plecak. Ściągnęła usta i brwi tak, że zrobiła się podobna do małej, inteligentnej, czujnej małpki. Muszę być ostrożna, pomyślała Annie. Ze wszystkimi.

~ Kto jeszcze mieszka w tym domu? - spytała. - To znaczy, wiem, kto tu w ogóle mieszka. Ale nie wiem kto gdzie.

167

IPT"

- Jest tylko ten dom. No i Petrusa i Brity. Tu są jeszcze dwa pokoje. I kuchnia. W jednym mieszka Bert, Enel i ich córka. A w drugim Ónis i Mats. Choć tam jest tylko jedno łóżko. To znaczy dwa. Takie jak to.

Mówiła ze sztokholmskim akcentem. Bała się, że zostanie wyrzucona. Po prostu: tu albo u Berta i Enel. Uśmiechnęła się nieśmiało. Mia odezwała się z góry:

- Dlaczego ona ma takie szare zęby?

To miał być szept. Okazał się jednak przenikliwy. Lotta rzuciła z siebie koc, złapała poduszkę pod pachę i wybiegła. Po chwili wróciła i zaczęła zdejmować ze ściany zdjęcia kotów. Pinezki posypały się na łóżko. Muszę pamiętać, pomyślała Annie, żeby nikt się na nich nie położył. Jaka ze mnie zimna istota. Powinnam ją zatrzymać.

- Nie musisz się tak spieszyć - powiedziała, ale nie zabrzmiało to przekonywająco. Głowa bolała ją teraz straszliwie i bała się, że zwymiotuje. Tylko gdzie? Musi być jakaś wygodka.

Lotta wyciągnęła walizkę i dwie torby podróżne. Robiła to hałaśliwie, z szurgotem i trzaskaniem. Widocznie nabrała trochę odwagi i hałasem wyrażała swój sprzeciw. Ale Annie położyła się i zamknęła oczy. Poduszka wydzielala zapach pleśni. Odór gumy piankowej pochodził pewnie z materaca. Jeden ruch i zwymiotuję. Dan będzie musiał coś z tym wszystkim zrobić. Usłyszała znów trzaśnięcie drzwiami i celuloidowa rama lustra zatrzeszczała. Były same.

Musi spróbować zasnąć na chwilę, żeby ból głowy zelżał. Wrócił Dan i Annie zrozumiała, że minęło sporo czasu, nie miała jednak siły spojrzeć na zegarek. Światło wpadające przez okno wciskało się pod powieki mimo zamkniętych oczu. Głowa pękała jej z bólu. Oznajmił, że będą jeść, więc poprosiła, by wziął ze sobą Mię.

- Jajko - szepnęła.

168

- Co?

- Ona je jajka.

W północy wróciły obrazy z nocy. Poorane, drewniane oblicze. Kaptur. Boże święty, co to takiego? Jak mózg może produkować obrazy, których człowiek nigdy nie widział? Złe. Wstrętne. Głowa, która była martwa, jednocześnie żyła. Tak zmurzałe drzewo, w szparach rojące się życiem.

Mia wróciła i zaczęła rozpakowywać plecak z Krety. Były w nim jej lalki Barbie i ich ubrania. Ken miał na sobie tylko kalessony z białej gazy, Barbie różowy stanik i takie same majtki. Mia przebierała lalki. Dana nie było. Ale w drzwiach stały tamte dwie dziewczynki. Annie wiedziała, że jedna ma dziewięć lat, druga siedem i nazywają się Sigrid i Gertrud.

Przypominało to wyczekiwanie płochliwych zwierzątek. Udając, że śpi, nie musiała się wysilać na rozmowę. Mia za to mówiła cały czas. Po chwili jednak do Annie dotarło, że zwraca się do lalek. Albo też lalki zwracały się do niej. Bo głos Mii wznosił się do dość nienaturalnego falsetu, kiedy to stawała się Barbie, która chce włożyć suknię wieczorową ze srebrnego materiału. Mia jednak rozsądnie perswadowała, że na dworze wieje. Ken coś tam pokrzykiwał.

- Dlaczego nie przyjechałyście autobusem? - usłyszała głos jednej z dziewczynek stojących w drzwiach. Annie nie wiedziała, czy pytanie zostało skierowane do niej. Miała nadzieję, że do Mii, ale ona też nie odpowiadała.

Ta mała, patetyczna grupka na przystanku autobusowym! Czapki Inków. Spodziewali się, że przyjedziemy. I tak było. Tylko akurat w tym czasie byliśmy na dziedzińcu kościoła.

Smród piankowej gumy dochodził i odpływał falami. Muszę pożyczyć prześcieradła na łóżka, pomyślała Annie. Dopóki nie przyjdą moje własne. I proszki od bólu głowy.

169

ml

Zbudziła się w innym świetle. To pewnie wieczór. Głowę -i miała cięższą, ale ból był mniejszy. Mogła już patrzeć.

Tak — dywanik był brudny, podobnie jak firanki. Wszystko zniszczone, obskurne, przesiąknięte dymem, z plamami wilgoci powstałymi tu przed dziesiątkami lat. Dom należał do klubu wędkarskiego „Wifsta”. Teraz przypominała sobie, że kiedyś właścicielem lasu dookoła Gwiazdnej Góry była stocznia Wifsta. Potem, dawno temu, dom został sprzedany innemu przedsiębiorstwu, a jego pracownicy tu nie przyjeżdżali. Może mieli jakieś inne miejsce.

Przybyła tu, żeby pracować. Żeby robić coś pięknego. Nie chciała przyjść na gotowe. Mia mamrotała coś na górze. Barbie i Ken bez wątpienia dostawali burę za to, że są nieposłuszni.

Wieczorem w największej z chat odbyło się spotkanie. Brita poczęstowała ich herbatą ziołową z miodem. Petrus wyjaśnił Annie, że podczas takich spotkań najpierw planują pracę na następny dzień. Potem każdy może poruszyć swoje problemy.

- Problemy? - spytała głupio Annie i Petrus spojrział na nią w zadumie. Zapadła cisza. Dan huśtał się na krześle. Ssał źdźbło trawy. Różowe światło wieczornego słońca, wpadające przez okno, padało na jego twarz. Był cały ze złota. Poczula lekki skurcz w podbrzuszu i fala krwi rozlała się ciepłem w jej udach. Miała ochotę zrobić to samo, co on, odchylić się do tyłu, zamknąć oczy.

Enel i Bert siedzieli na kuchennej sofie z córką Enel, mniej więcej pięcioletnią. Nazywała się Pella, imię, na którego dźwięk Mia parsknęła przez nos.

Enel była szczupła i mocna, Bert raczej wymizerowany. Dżinsy wisały na nim. Widać było, że łysieje, oczy miał brązowe. Oboje byli rozwodnikami i przenieśli się tutaj. Dan 170

napisał, że Bert jest architektem, ale to nie była prawda. Pracował w miejskim biurze architektów w Nynashamn jako kartograf. Enel była salową w tamtejszym szpitalu. Mariannę Óhnberg nazywano Ónis i ona jedna pochodziła z Tamtlandii. Ale przez wiele lat mieszkała w Sztokholmie, gdzie urodziła Matsa. Pracowała w opiece społecznej w domu dla dzieci upośledzonych. Była tłusta, ale twarz miała ładną. Tak obgryzła paznokcie, że okaleczone opuszki palców spuchły. Obok Ónis siedziała Lotta, skulona, w swetrze narzuconym na ramiona. Musiała niedawno płakać. Jej twarz i powieki były obrzmiałe, wargi żałośnie skrzywione.

Cichym głosem rozmawiali o jedzeniu. Po chwili Annie zrozumiała, że mowa o kozim serze. Dyskutowali o uzupełnieniu pożywienia zwierząt. Zdaniem Berta, jagnięta powinny dostać coś ekstra. Melodyjnym głosem Petrus odparł, że się pasą i to wystarcza. Trawa jest bardzo soczysta, zielona i wspaniała. Wspaniała, powiedział. Jego głos był osobliwy. Jak śpiew. Jak gdyby mówił jakimś starym dialektem. Ale jakim? Każde słowo, które wypowiadał, brzmiało spokojnie i rozważnie. I uśmiechał się w swoją jasnobrażową brodę, żółtą dookoła ust. Annie panicznie bała się, żeby Mia nie powiedziała czegoś na ten temat. Wyglądało to trochę tak, jakby coś jadł i w brodzie zostały mu resztki tego jedzenia.

Kiedy odpocznę, wszystko wyda mi się cudowne, pomyślała Annie. Ci ludzie, pomagający jeden drugiemu. Spokój.

Wszyscy mówili bardzo cicho. Tylko Dan milczał. To także było niezwykle. Siedział w potoku słońca. Nie mogła określić, czy jest jedynie blady, czy też wpadł w swój niełatwy nastrój.

Pewnie jest tylko zmęczony. Zmęczony i złocisty. Kiedy zaśnie, będą się kochać. Cicho i intensywnie - tak jak wtedy, gdy człowiek bywa bardzo znużony albo ma niewielką gorączkę.

171

- Lotta...

W głosie Petrusa brzmiała prośba. Annie zrozumiała, że oto doszli do problemów. Musi przestać być ironiczna. To odruch obronny. Dan zwykle wtedy leciutko koniuszkami palców głaskał jej twarz, jak gdyby chciał zdjąć z niej ból. Tam, w górze, nie będziesz potrzebowała tej ironii, mówił.

- Trudno gadać, gdy są przy tym nowi - powiedziała Lotta i Annie pomyślała: to za te zęby.

- Spróbuj.

- Jestem teraz na wiele dni cholernie skołowana. Siedziała na podłodze oparta plecami o drewnianą ścianę, ale nagle gwałtownym ruchem podciągnęła nogi, objęła ramionami kolana i schowała twarz.

- Annie - odezwał się Petrus. . '

- Co?

Wszyscy na nią patrzyli.

- Chcielibyśmy cię poznać - powiedział Petrus. - Powiedz, dlaczego jesteś taka spięta.

Czekali. Naprawdę była zmuszona coś powiedzieć. Przecież to oczywiste, co ją niepokoi. Więc dlaczego musi o tym mówić? Nie chciała tego robić przy Mii ani przy innych dzieciach, które teraz, siedząc obok swych rodziców, wpatrywały się w nią w ciszy i skupieniu.

- To z powodu tego, co się stało - powiedziała. - Wypadku nad Lobberan. Przecież ich widziałam.

- Annie - odezwał się Petrus i nachylił się ku niej tak blisko, że czuła jego oddech. Zajeżdżało od niego dziwnie. Jak od zwierzęcia. Czy to było kozie mleko?

- Nie powinnaś o tym więcej myśleć — odezwał się i kwaśna a zarazem łagodna woń buchnęła wprost na nią-- Tego już nie ma. To nie dotyczy nas, tu, w górze.

172

- Ale ja przecież widziałam... w końcu człowiek się zastanawia, jak... no, jak to się stało. To znaczy, chce, żeby to zostało wyjaśnione. Mieszkamy przecież tak blisko.

- Nie.

To naprawdę niesamowite - powiedzieć coś takiego! Nie. Nie mieszkamy blisko. Nie zdążyła jednak zaprotestować.

- Wszystko to pozostawiłaś za sobą - oświadczył Petrus. - Świat wieczornych gazet. Teraz jesteś tutaj.

- Lotta, kochanie!

Brita otoczyła ramieniem kościste plecy Lotty. Wyglądało to, jakby objęła siedzące na podłodze skulone dziecko. Lotta podniosła mokrą twarz. Mokrą i spuchniętą.

- No, Lotta, co z tobą?

- To beznadziejne, wszyscy od razu to widzą - powiedziała. - Jestem skazana.

Ciągle tak jest. Wszyscy to po mnie widzą.

- Nie sądzę - odparła Brita.

- Tak, nawet dzieci. Ta nowa. Jakie masz szare zęby, powiedziała. Nie mam już siły. Zobaczyła to od razu.

Annie spojrzała na twarz Mii, która stężała z wysuniętymi do przodu wargami.

Wiedziała, że Mia silnie zacisnęła zęby, ściągnęła brwi, zmarszczyła twarz. Ukazała się mała małpka. Jezu, to wszystko robi się cholernie skomplikowane, pomyślała

Annie i powiedziała pospiesznie:

- Mia nie wyraziła się dosłownie w ten sposób. Poza tym przed chwilą sama mówiłaś, że miałaś... trudności przez wiele dni. A my przyszliśmy po południu.

Chłodno i ostro. Jezu, Jezu. W dodatku mówiła głośno, jakby stała przed klasą. Wszyscy patrzyli na nią. Wszyscy z wyjątkiem Lotty.

- Nie musisz się bronić, Annie. Nie tutaj. My jesteśmy przyjaciółmi - wyjaśniła Brita.
173

Annie chciała powiedzieć, że się nie broni, ale straciła wątek, bo kątem oka przez ułamek sekundy widziała coś niewiarygodnego - Dan chichotał.

- Czy ktoś z was ma coś jeszcze? - spytał Petrus. Mówi jak z książki, pomyślała Annie. Jakby czytał Biblię. Przypuszczalnie zauważył, że sprawy przybierają zły obrót. Sigrid z błyszczącymi warkoczami głośno wciągnęła powietrze.

- Tak?

- Ta dziewczynka bawi się lalkami Barbie - powiedziała.

- Mia?

Dziewczynka kilkakrotnie kiwnęła głową.

- No tak - odezwał się Petrus. - Tutaj pewnie jednak

o tym zapomni. Jest tyle innych rzeczy. Są jagnięta i młode kotki, Mia. Żywe i zabawne.

Jego głos brzmiał miło, nawet bardzo miło, ale twarz Mii pozostała nieruchoma. Śpiewnie mówił dalej, jakby za wszelką cenę chciał przekonać dziewczynkę. Ale Annie wiedziała, że to się nie uda. Nie wtedy, gdy Mia ma tę minę.

- Lalki Barbie są martwe — powiedział Petrus. — Prawda? Teraz wszystko diabli wezmą, pomyślała Annie. Ale ku jej zdumieniu, Mia odparła niemal obojętnie:

- To trzeba je pochować.

- Słusznie, słusznie — przytaknął Petrus. Z uśmiechem spojrzał na Annie. Właściwie z uśmieszkiem. Tak to przynajmniej wyglądało sponad miękkiej, rozdwojonej brody. Potem się rozeszli. Na dworze było ciepło, ale nie mogli tam zostać, bo pokazały się żądlice. Znała już nazwę tych prawie niewidocznych owadów. Dały jej pretekst, żeby wejść z Danem do domu. Mia wpadła, złapała Barbie i Kena i wybiegła.

Wtedy zobaczyła, że na łóżku Lotty nie ma materaca. Może powinna załatwić to teraz. Ale na razie niech tak zostanie. Jedną noc mogą być sami. Dan znów gdzieś

174

rzepadł. Nie wiedziała, co robił. Ale wszystko się wyjaśni. Wyszła i zajrzała do kuchni. Był tam żelazny piec i stół nakryty ceratą, na ścianie jedna szafka. Na podłodze stały drewniane skrzynki. Prawdopodobnie używali ich jako szafek czy półek, bo umieszczono w nich torby z artykułami żywnościowymi. Wszędzie było czysto, a nad piecem suszył się zawieszony pęk ziół. Onis i Enel, pomyślała. One na pewno są czyste. Z tym nie będzie kłopotu. Dan musi zrobić jakąś szafkę.

Zza okna dał się słyszeć zawodzący śpiew. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że to śpiewa Mia. Wydawało się, że Sigrid i Gertrud jej wtórują. W trawie na zboczu powyżej domu leżała kupka kwiatów. Mia wydzieraa się i wymachiwała dookoła brzoszową gałęzią.

Annie wyszła na dwór i wtedy zobaczyła wystającą z kwiatów gołą stopę Barbie. Widok tej malutkiej sztywnej stopy niemile ją uderzył. Mia z przejęciem grzebała Barbie i Kena. Z dwóch kijków sporządziła krzyż. Był zrobiony starannie, zбитy gwoździem. Musiał jej ktoś pomóc. Może to Sigrid była już tak zręczna.

- Zieeemia do zieeemi, prooch do proochu, Bóg jest śmieeercią, śmieeercią, zieeemia do zieeemi, prooch do proochu - śpiewała Mia i Annie zapragnęła, żeby jak najszybciej skończyła te zawodzenia.

- Leci ptak, wielki ptak, zabija na śmierć!

Sigrid i malutka Gertrud też próbowały śpiewać, ale nie znały słów ani melodii.

Wreszcie wszystkie trzy skończyły obrzędy tak zdecydowanie, jak gdyby postępowały według podręcznika.

Teraz oni śpią - powiedziała Sigrid cicho. ~ To muszą mieć namiot - orzekła Mia i na chwilę wpadła domu, by zaraz znów wybiec. Wyglądało na to, że w ogóle nie zwraca uwagi na żądlice. Annie nie mogła już

175

tego znieść. Stała przy oknie w kuchni i patrzyła, jak Mia rozkłada nad lalkami i polnym kwieciami chusteczkę do nosa jako namiot. Sigrid pomogła jej podeprzeć chusteczkę patykami. Gdy skończyły, Mia odeszła, nawet nie spojrzawszy na dziewczynki.

Gdy tylko znalazła się na górnym łóżku, zasnęła. Powinna była się umyć, ale Annie nie bardzo wiedziała, jak to zorganizować. Jutro, pomyślała. Zaczniemy wtedy na dobre. Wrócił Dan i wyciągnął się na łóżku. Był bardzo blady.

- Skąd się wzięło to, co wszyscy widzą u Lotty? - spytała.

- Co takiego?

- Na przykład to, że ma szare zęby.

- Poruszmy tę sprawę przy Lotcie.

Zamknął oczy. Jego skóra miała szarawy odcień i była wilgotna. On się źle czuje, pomyślała. Znowu ma swoje trudne chwile. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Chcę wiedzieć.

- Amfetamina.

- Aha... i wyście się nią zaopiekowali. Żeby jej pomóc.

- Myśmy się nią zaopiekowali - powiedział. - Ty też.

Zanim się położyła, wyszła jeszcze, żeby zabrać Kena i Barbie. Krzyż był, także chusteczka, która udawała namiot, i kwiaty. Ale lalki zniknęły. Cholerne bachory, pomyślała. Obłudne, małe potworki. Chociaż to takie ludzkie. Przecież niczego bardziej nie pragną. Jutro przestanę źle myśleć i nieprzyjemnie mówić. To tylko dzieci.

Petrus i Brita już się położyli. Annie poczuła zażenowanie, gdy otworzył w szarej, pasiastej, długiej prawie do ziemi nocnej koszuli. Szepnęła cicho, że Sigrid i Gertrud zabrały lalki Mii. Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi, bo przez otwarte muszki i komary zlatywały się do ciepła.

176

- To nie dziewczynki je wzięły - powiedział. - To ja. Mii nie będzie ich brakowało.

Sama słyszałaś. Zaakceptowała fakt, że są martwe.

- Być może - odparła Annie. - Ale chyba będzie najlepiej dla nas wszystkich, jeśli jutro rano, gdy Mia się zbudzi, zmartwychwstaną.

Gapił się na nią okrągłymi, niebieskimi oczami. Był w nich żal.

- Daj mi je - powiedziała.

Powoli podszedł do drewnianej skrzynki i otworzył ją. Gdy podawał jej lalki, wyglądał niesłychanie smutno. Była jednak pewna, że trochę go już poznała. On nie jest smutny, pomyślała. Jest cholernie wkurzony.

177

Nie powinien był mówić, jak się naprawdę nazywa, tylko wymyślić cokolwiek. Ale teraz wiedziała, że ma na imię Johan, i zmieniła to na Jukka. Wprawdzie na Pera-Erika mówili w domu Pekka, ale Jukka brzmiało za bardzo po fińsku.

- Jukka, Jukka, Jukka...

Mówiła to, siedząc na nim i poruszając się, gdy jego członek był w niej. Wstydził się. Ale ten wstyd był przyjemny i ona się śmiała.

Spał do późnych godzin rannych i obudził się zlany potem, słońce świeciło mu prosto w twarz. Ogarnął go niepokój, nie prawdziwy strach, tylko pewna obawa. Czy powie mu, że czas, aby sobie poszedł? Przecież on nie ma ani grosza. Musi zostać, zaczekać przynajmniej, aż minie święto. A może pożyczyć? Ale czy ona pożyczy mu pieniądze? Pewnie go wyśmieje. Albo da mu mnóstwo, wiele setek. Nie wiedział. Przyniosła w koszyku kubki, dzbanek z herbatą i kanapki. Wszystko wydawało się zwyczajne, prawie normalne. Najpierw myślał, że na kanapkach jest twaróg z koziego mleka, ale to było masło z orzeszków ziemnych. Sama nie jadła. Wypiła tylko trochę herbaty. Przedtem ją zmarnowała, dolewając mleka. Powinna najpierw zapytać.

- Pójdę zrobić jeszcze herbaty - powiedział.

- Nie wolno ci wychodzić - zaśmiała się.

- Muszę wyjść!

178

I

_ W porządku, ale jak będziesz sikał, ustaw się tak, żeby nie było cię widać z domu. Gdy stał nad brzegiem rzeki, a nad nim chwiały się lśniąca liście brzozy, przypomniał sobie sen, który miał tuż przed przebudzeniem. Leciał nad wielkim lasem. Zapadał błękitnawy zmierzch, a jego ciało unosiło się w powietrzu, i to wcale nie wydawało mu się dziwne. Pod nim nie było nic poza koronami liściastych drzew. Leciał nisko, widział dymy i snopy iskier od ognia, które żarzyły się w dole na wyrębach.

Gdy wrócił, przypomniał sobie, że kiedy leżeli na materacu ona mu coś opowiadała. Że kiedyś Europa była pokryta wielkimi lasami od Kaukazu aż po Atlantyk.

Wprawdzie Kaukaz nazywał się wtedy jakoś inaczej, ale zapomniano jak. Podczas letniego przesilenia dnia z nocą ludzie zapalali ogień. W całej Europie. W lasach, które nie nazywały się Europą.

Dziwne, że mu się to przyśniło i że te liściaste drzewa widział o zmroku. Kasztany i dęby, ciemne wiąz, lipy i jesiony. Gęste krzaki leszczyny. Buldenez. Dereń. Nie miał pewności, czy wszystkie te drzewa i krzewy w ogóle kiedykolwiek naprawdę widział. Wypowiedziała słowa, a jemu się śniło, że je widzi.

Kiedy skończył jeść, zamknęła drzwi na klucz. Podeszła do okna i zaciągnęła firanki. Zamierzał powiedzieć, że chce umyć zęby, ale nie miał śmiałości. Bał się, że go wyśmieje. Rozpięła zamek błyskawiczny, zsunęła dzinsy i po prostu z nich wyszła. Leżały teraz na podłodze, widać było otwory nogawek. Przyszedł mu na myśl film rysunkowy. Gdyby się cofnęła, spodnie wyprostowałyby się na jej nogach i zamknęły wokół małej, jędrnej, troszkę wystającej pupy. Nie jest taka stara, jak mi się wydawało wczoraj, pomyślał. Bo wtedy miałyby bardziej płaski tyłek. A może ma tak siodłowato wygięty grzbiet?

Wrzuciła pasiasty podkoszulek i znów zobaczył piersi. przypominały pewien rodzaj białych, spiczastych bułek

179

z dżemem, które zwykle piekła Gudrun. Ta myśl wprowadziła go w dobry humor i uczucie obawy zniknęło. Miał ochotę zapytać: chcesz odwiedzić starego znajomego? Przemknęło mu to przez głowę, gdy leżeli na materacu na podłodze i właśnie miał w nią wejść. Ale bał się, że to zabrzmiałoby głupio. Ciągle jeszcze miała na sobie majtki, a kiedy je szarpał, rozdarły się. Rozerwała je do końca i niecierpliwie odrzuciła na bok.

- One są z papieru?

Nie odpowiedziała. Ale on, patrząc na tę malutką jasnoniebieską kupkę papieru, prawie zapomniał, co ma robić. I to dobrze, bo dzięki temu się nie spieszył. Teraz była z niego bardziej zadowolona. Choć okazywała to w dziwny sposób. Klepała go po pupie, aż piekło, głaskała i poklepywała to lewy, to prawy pośladek. Znow się ubrała i już miała rozsunąć firanki, ale przedtem go przywołała. Oboje zerkali teraz przez szparę.

- Widzisz go?

Zobaczył mężczyznę, którego włosy, niegdyś czarne, po-przetykane były dość gęsto srebrnoszarą siwizną. Mimo to nie był chyba zbyt stary. Stał nad brzegiem rzeki i spoglądał na wodę. Miał na sobie impregnowane spodnie z kieszeniami na udach i kraciastą zieloną koszulę.

- On nie może cię zobaczyć - powiedziała. - Pamiętaj o tym. Johan odparł, że trudno się ukrywać, przez cały boży

dzień leżąc w chacie. A właściwie w starej szopie. Ale ona powiedziała, że wcale nie musi. Wystarczy, jeśli się będzie trzymał z dala od domu.

- Nie ma wielkiego znaczenia, jeśli ktoś inny cię zobaczy z daleka. Ale uważaj na niego. On jest niebezpieczny - powiedziała przeciągle.

Nie sposób było się zorientować, czy żartuje. Wiedział już jednak, że może zostać.
180

Niedziela też była upalna. Łaził dookoła, nie podchodząc zbyt blisko domu. Stała tam duża psiarnia, ale bez psów. Budy zostały zniszczone przez brzożowe odroślą.

Jasne miotły wydobywały się z otworów wejściowych. Natrafił na pustą lodownię, z pewnością istniała od dziesiątków lat. Właściwie to niezły pomysł, takie trzymanie lodu pod trocinami, bo przecież nie było tu elektryczności. W szopie ze starymi narzędziami i zardzewiałymi wiadrami znalazł klatkę na szczury. Poszperał w rupieciach i w końcu wyszukał zwiniętą na kołowrocie linę do łowienia na haczyki przyczepione żyłkami do deski. Przyniósł mydło i bańkę z węgorzem, którą przedtem zostawił na brzegu rzeki. Pod osłoną lasu zszedł w dół do malutkiego, okrągłego jak miska oczka wodnego, tego samego, które zobaczył, gdy przyszli tu rano.

Okrążywszy jezioro, znalazł się na jego północnym brzegu, stromym i skalistym. Węgorz był wycieńczony, w ogóle się nie ruszał w o wiele za ciepłej wodzie. Johan z łatwością przeniósł go do klatki na szczury. Na chwilę zanurzył ją w jezioro, żeby węgorz przyszedł do siebie, potem wyciągnął klatkę i przypatrzył mu się dokładnie. Długie płetwy biegły wzdłuż ciała. Głowa zwężała się ku przodowi. Pysk był spłaszczony i lśnił czarny. Ciało węgorza było jednym długim, silnym mięsem. I posiadał wolę. Lub instynkt. A może był pełnym siły ucieleśnieniem woli. Brzuch miał biały.

181

PF"

Jeśli prawdą było to, co Johan kiedyś czytał, taki węgorz mógł dostać się do morza także stąd. Pełzać tam, gdzie jes rosa, wślizgiwać się w strugi. Wędrujący węgorz przetnieś cza się w takim tempie jak człowiek idący pieszo. Zawsze < wie, czego chce. Może nic innego nie wie.

Przywiązał linę do siatki ze stalowego drutu, po czym rzucił klatkę na głęboką wodę. Miał wrażenie, że się znęca nad węgorzem. Nie chciał go jednak wypuścić. Lina biegła w dół wzdłuż szczeliny, w górze przywiązał ją do korzenia sosny.

Gdy skończył z węgorzem, ściągnął z siebie dzinsy i gacie i zaczął prac. Niełatwo je było doprać tylko mydłem i wodą, tak zimną, że ręce grabiały. Kiedy obie rzeczy wydawały się dość czyste, rozwiesił je na brzozie i, czekając aż wyschną, położył się na skalnej płycie.

Za ciepło było na żądlice. Komary też zbyt nie dokuczały. Brzozową gałęzią odpędził gza. Słońce prażyło skałę, a podmuchy lekkiego wiatru, które marszczyły tafłę wody, sprawiały, że po skórze przechodziły mu ciarki, ale mijały, gdy tylko powiew ustawał.

Zasnął. W słonecznym upale policzki mu pałały, jakby miał gorączkę. Poszum brzozowych liści, poruszanych wietrzykiem, wdzierał się w jego półsen. Obłoki zaczęły kłusować po niebie niczym puszczone luzem konie. Czuł ich cienie, bo przechodziły go dreszcze. Gdy chmury odpłynęły, światło stało się silniejsze, wdzierało się pod jego zamknięte powieki. Zapach lasu wciskał się w sen.

Zbudził się z jedną nogą zgiętą w kolanie, członek leżał swobodnie na udzie.

Zdawało mu się, że o czymś śnił, a może to ktoś stał i na niego patrzył. Przebiegł wzrokiem wzdłuż brzegu, ale widział tylko chaos zieleni w zieleni-Przyszedł mu na myśl Fin, zielony myśliwy, coś, co opowiadała babcia, a może przeczytał to w piśmie „Allers”. Jakkolwiek było, nic mu to nie dało. Zielone w zielonym wśród

182

zielonego. Czuł się dziwnie pusty w środku, zielony wir niepamięci, skóra wydawała się zlizana czyimiś oczami.

Wstał i wciągnął mokre dżinsy. Teraz było mu zimno. Nie wiedział, gdzie jest Ylja i kiedy zamierza go odwiedzić. Znów poczuł głód. Mógł wracać do szopy, położyć się i czekać, aż ona się pokaże i da mu prawo istnienia. Wszystko to razem było diabelnie gówniane, a on musiał być obłąkany, żeby uciekać z domu. To, że Torsten uderzył Vidarta za ogrodzeniem, nie oznaczało jeszcze przecież trzeciej wojny światowej. Cholernie okrutne było spuszczenie go do starej studni Aldy. Ale ponieważ wydobył się stamtąd sam, zyskałby pewną przewagę, gdyby został.

Nie, nie przewagę. Być może prawo istnienia.

Co za wyrażenie! Wryło mu się w mózg. Zanim odszedł, podciągnął jeszcze raz klatkę na szczury i zerknął na węgorza. To było naprawdę wielkie bydlę. Nożem lepszym od finki mógłby odciąć mu łeb, wejść na górę do domu i przez chwilę poczuć się królem. Musi tu gdzieś być wędzarnia.

Wrzucił znów klatkę do wody i starannie ukrył linę wśród kamieni.

Nie można było robić nic innego jak spać. Przespać głód. Kobięce głosy wdarty się do wnętrza szopy. Wiele wysokich głosów, chwilami ostrych. Przez okno wychodzące na rzekę nie mógł nic zobaczyć. Ostrożnie uchylił drzwi i przez moment widział liczną grupę kobiet wokół ubranego na zielono mężczyzny. Gdy znów zamknął drzwi i położył się na pryczy, ich głosy brzmiały jak wrzask mew.

Mężczyzna przypominał lisa. Srebrnego lisa. Wąski, spiczasty nos, skośne oczy. Jego głos wyraźnie odcinał się na tle kobiecego gwaru. Także miał fiński akcent, choć tego nie można było stwierdzić z całą pewnością.

183

Ylja pokazała się dopiero późnym wieczorem. Przyniosła jedzenie. Wędzone serce renifera. Było prawie całe, odcięto z niego tylko niewielki kawałek. Razowy chleb. Solone masło i zimne smażone pstrągi. Gotowane kartofle o migdałowym kształcie, jeszcze ciepłe. I fińską wódkę „Kosken-korva”.

Zdziwił się, że ją pije. Poza tym wszystko dookoła niej świadczyło, że należy do wyższych sfer. Swoje zdziwienie wyraził na głos, choć subtelniej, jak mniemał.

Odpowiedziała jednak, że czysta wódka jest najlepsza, bo nie ma się po niej kaca.

Wszystko to brzmiało dość zwyczajnie. Podsunęła mu alkohol i usiłował pić, jakby dla niego to też było zwyczajne. Albo przynajmniej jakby nie uważał tego za tak niezwykle. Choć nie mógł zobaczyć, ile dostał, bo nałała mu do kubka. Wcześniej

dała mu do picia norweskie piwo o kwaskowatym smaku. A później, kiedy znów mu się chciało pić, przyniósł sobie wody z rzeki.

Zjadł wszystko. Musiały to być resztki obiadu z domu. Roześmiała się, gdy dosłownie pochłonała prawie całe serce renifera. Potem ściągnęła go w dół na materac.

Czuł się oszołomiony i skołowany. Od czasu do czasu na mgnienie oka ogarniał go lęk. Chwilami był kompletnie zamroczony i tracił kontakt z rzeczywistością. Wydawało mu się wtedy, że nie istnieje nic innego, tylko jej miękkie ciało i nocne światło, wpadające przez okno. Głosy ptaków i szmer wody. I intensywna, niemal nie do zniesienia rozkosz, gdy ona trzymała pod jego moszną coś, co sprawiło, że orgazm ciągle jeszcze trwał, choć zaczynał słabnąć. Trwał i trwał aż do granicy bólu. W końcu wpadł na to, że to była butelka wódki. Za każdym razem, gdy któreś z nich szło się wysuszać, przy okazji ochładzało się w rzece.

Zbudził się, nie wiedząc, gdzie jest. Czuł potworne pragnienie. Dała mu wody i wyjaśniła, że znajduje się w szopie

184

w Trollevolden, nazywa się Johan Brandberg i urodził się dwudziestego pierwszego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. To znaczy, że powiedział jej, kiedy się urodził? Co jeszcze mówił?

Gdy wypił wodę, wlała mu do szklanki odrobinę wódki. Spytał, kiedy ona się urodziła. Uważał, że ma prawo to wiedzieć.

- Jestem Skorpion - odparła. Więcej z niej nie wydobył. Gdy było jej dobrze, lekko pojękiwała. Pomyślał, że uczyniłby wszystko, byleby tak kwiliła i pojękiwała. Robiła wtedy wrażenie młodej i wrażliwej i jak gdyby garnęła się do niego. Kręciło mu się w głowie. Może to była wódka. I zmęczenie.

Prawdopodobnie, kiedy on zaśnie, ona pójdzie na górę do domu, uznał więc, że najlepiej zapytać ją o kilka rzeczy, dopóki jeszcze jest w stanie unieść powieki. Chciał wiedzieć, dlaczego nie wolno mu się pokazać i kiedy ona wróci. Odparła na to, że w ciągu dnia raczej jej nie zobaczy.

- Idziemy na wędrowną.

- Dokąd?

- Do jaskini Kamiennego Boga, jeśli już chcesz wiedzieć.

- Kto idzie? Te wszystkie kobiety? I Srebrny Lis? Zaśmiała się, usłyszawszy imię, jakie nadał mężczyźnie ubranemu na zielono.

- Jaskinia Kamiennego Boga? To prawdziwa jaskinia? »J - A jakżeby inaczej - odparła po norwesku.

- Dlaczego ja też nie mogę pójść?

To skomplikowane - odpowiedziała. - Teraz chodź do mnie, Jukka. Zapomnij o jaskini. Zapomnij o tamtych kobietach.

Ale nie ustępował. Chciał wiedzieć, kim są. I ten ubrany na zielono.

~ Dlaczego on jest niebezpieczny?

185

- Nie jest tak bardzo niebezpieczny - wymamrotała sennie w jego szyję.

- Tak powiedziałaś.

- Niebezpieczny tylko dla ciebie, mój mały.

- Nie jestem mały.

- Nie, jesteś duży, jesteś duży - powiedziała pieszczotliwie i miękko ujęła jego członka, który zareagował, choć on sam w tej akurat chwili tego nie chciał. Po

sercu renifera chciało mu się pić, ale jednocześnie to pomagało zachować koncentrację. Położył się na niej i chwycił ją za ramiona, mocno. Ale chyba nie sprawił jej bólu. Dla pewności zapytał o to.

- Nie, nie sprawiasz mi bólu. Robisz mi dobrze. Ale teraz pospiesz się i wchodź. Zimno ci.

- Nie teraz. Naprawdę chciał wiedzieć.

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

- Jasne.

- Ale jeśli raz się dowiesz, będziesz w pułapce, mały Jukka.

- Czego się dowiem? Masz na myśli to, kim one są?

- To są kobiety ze starego plemienia - wymruczała. - On to Wędrowiec. A ty jesteś nowym.

- Nowym kim?

- Nowym Wędrowcem.

Puścił ją. Podczołgała się do butelki i ostrożnie nalała trochę do kubków. Napiała się i potem leżała z zamkniętymi oczami. Jej ciało nie było napięte. Jasne włosy przesypywały się szorstko jak piasek między jego palcami. Na piersiach i szyi miała czerwone plamy. Może za mocno się o nią ocierał. Widział też zaczerwienienie dookoła ust.

- Wędrowiec zawsze chodzi z żywymi zwierzętami. Jak ty. Wtedy wiadomo, że to on. Zwierzęta mu towarzyszy. P°

186

m się go poznaje. Albo przynajmniej jedno zwierzę. Wkrótce dowiedzą się o tobie pozostałe.

- Kto?

- Kobiety. Wtedy wezmą ciebie zamiast starego Wędrowca.

- Srebrnego Lisa?

Zaśmiała się z zamkniętymi oczami.

- Tak. On przyszedł z lisem. To prawda. Ty, Johan, masz dar.

- Co to za kobiety?

- Należą do starego plemienia.

- Jak fińscy Lapończycy czy coś w tym rodzaju?

- Nie... nie do takiego północego. Te plemiona żyły w wielkim lesie między Kaukazem a Atlantykiem, o którym ci opowiadałam

- Nie ma już takich plemion.

- W pewnym sensie nie. A jednak są. One były mat-rylinearne.

Spróbował odgadnąć znaczenie słowa, ale wychodziło mu coś głupiego. Matryca, pomyślał, a potem: linearny. A to nic nie znaczyło.

- Liczy się ich pochodzenie w linii żeńskiej - wyjaśniła prawie szeptem. Nie chciał, żeby teraz zasnęła. Chciał słuchać. Znów się w nią wślizgnął i lekko się poruszył, żeby ją zbudzić. Była aż za wilgotna. Oboje byli wilgotni. I to on sprawił.

- Potem to stało się tajemnicą - powiedziała. - Strzegą jej. ~ Czego?

Swojej tajemnicy. Prawdy o Wędrowcu i o tym, że należą do starego plemienia.

Plemię przecież wytępiono. °ne zostały uprowadzone. Powychodziły za mąż.

Porodzi-y córki. Ale opowiedziały o tajemnicy córkom. Nigdy nie łoil o tym nikomu innemu, bo to niebezpieczne. Może

187

kiedyś były i takie, które opowiedziały o tym komuś obcemu. Ale to się źle kończyło.

- Jak?

- Zgadnij.

- Ale przecież ty sama opowiadasz o tym teraz.
- Tak, tobie. Ty jesteś nowym Wędrowcem. Jedynie on' może o tym wiedzieć. Dawniej zabijał starego, po czym go zastępował.
- Jako co?
- Kapłan. Król... herszt. Co chcesz.
- Więc to jest sekta? A on jest przywódcą?
- Nie. On jest tylko Wędrowcem. Należy do nich.
- To one nie wychodzą za mąż?
- Oczywiście, że wychodzą - powiedziała. - Wychodzą za mąż, mają dzieci, są żonami, kształcą się i zdobywają zawody. Żyją normalnie.
- Gdzie?
- Wszędzie. Są w wielu miejscach... raczej rozproszone.^ Ale przechowują tajemnicę. A czasem spotykają się z nim i obchodzą swoje uroczystości. On ciągle podróżuje. Umawia się z nimi w jednym z uświęconych miejsc, tym, które jest najbliżej ich miejsc zamieszkania.
- I nigdy nie zjeżdżają się wszystkie razem?
- To niemożliwe. Niektóre mieszkają w Izraelu. Inne w Ameryce. Ale najczęściej w Europie. Kiedy tylko mogą, próbują jechać do tego miejsca, gdzie on się pojawi. Jak tutaj.
- To brednie - powiedział, trzymając ją za ramiona, chyba trochę za mocno.
- Naturalnie - odparła lekko. - Ale strzeż się starego Wędrowca. Jeśli zrozumie, że zamierzasz go zastąpić, może cię zabić. Coś takiego się zdarzało. Dawniej stary zabijał wszystkich młodych, którzy mu zagrażali, chcąc zająć jego

188

miejsce. Albo też sam zostawał zabity. Teraz stary się poddaje.

- Jak to „poddaje się?”
- Odchodzi. Próbuje znaleźć nowe życie. Normalne życie, czy jak tam to określić. Ale to nie takie łatwe po tylu latach. Nigdy przecież nie pracował.
- W takim razie z czego żył?
- Z kobiet. Część z nich jest zamożna. To one dają pieniądze. Także na podróże pozostałych.
- Teraz wybierają się do jaskini?
- Tak.
- Co tam będziecie robić?
- Tego się dowiesz, gdy zostaniesz wtajemniczony. Na razie nie pokazuj się, póki święto się nie skończy. Wtedy powiadomimy o tym tego starego.
- Kłamiesz - powiedział. - Myślisz, że jestem tak dziecinny, że dam się na to nabrać. Roześmiała się. Jej śmiech zabrzmiał teraz miękko. Zrobiła się o wiele łagodniejsza, o wiele miłsza. Już się jej nie bał tak jak na początku. Ale nie podobało mu się, że sobie z niego kpi.
- Powiedz, co będziecie robić jutro. Poważnie. I co to za kobiety.
- Pójdziemy do jaskini Kamiennego Boga.
- Myślę, że nie ma takiej jaskini.
- Jest, znajduje się wysoko w górach. Prowadzi tam ścieżka obok lodowni. Możesz zerknąć przez szparę w firance jutro przed południem, to zobaczysz całe towarzystwo idące przez rzekę.

Gdy leżała na plecach z zamkniętymi oczami, mógł jej się przyjrzeć dokładnie. Patrzył i badał językiem. Skóra na skroniach była tak cienka, że widział przez nią niebieskie żyłki. One też były cieniutkie. Piersi się spłaszczyły. Kłeksiki

189

dżemu pośrodku były brązoworóżowe. Na piersiach też widniały niebieskie żyłki. Na lewym ramieniu miała znak po szczepionce. Ale poza tym nie widział żadnych blizn. Jasne kędzierzawe włosy między pachwinami były jeszcze bardziej szorstkie niż tamte. Łaskotały go w nos i pachniały morzem. Była teraz miła. Może wcale nie chciała z niego kpić. Może myślała tylko, że to zabawne. Jutro zdradzi, kim jest, pomyślał. Opowie coś, co jest prawdą. O sobie. Teraz mnie lubi.

Gdy go zostawiła, nie mógł zasnąć. Spał przecież prawie cały dzień. Nawet nie wiedział dokładnie, który to dzień. Niedziela czy poniedziałek. Dni mu się zlewały. Czuł się zmęczony, oczy go piekły. Mimo to wyszedł w tę jasną, bezchmurną noc, rozbrzmiewającą ptasimi głosami. To lepsze niż tylko leżeć na pryczy i liczyć belki w ścianie szopy.

Teraz wszyscy w środku spali, mógł się więc powłóczyć dookoła domu i obejrzeć go. Gapił się na ciemne, sękaty deski, które pokrywały ściany. Na kalenicy zobaczył czarne sylwetki smoczycy głów. Jeden wiatrowskaz był z żelaza, wycięty w kształcie trójjęzycznej chorągiewki. Stare szyby w oknach, z pęcherzykami powietrza, w porannym słońcu lśniły różowa-wo. Na piętrze wszystkie firanki były zaciągnięte. Zastanawiał się, gdzie może być ta jaskinia. Jeśli w ogóle istnieje. Mówiła, że to niedaleko. Ścieżka, która zaczynała się obok lodowni, biegła wzdłuż rzeki, dalej po kładce z dwóch bali i ciągnęła się przez mokradło, leżące wyżej. Dróżką przez mokradło, między wysepkami twardej ziemi, na której rosły brzozy i pojedyncze niskie świerki, nietrudno było iść. Ruszył nią, rozkoszując się szybkim ruchem, nie myśląc o niczym. Ciało miał rozgrzane, cały strach zniknął. Dookoła niego pokrzykiwały i gwizdały setki ptaków. Tysiące, pomyślał. Tysiące ptaków krzyczy, a ja sobie idę i idę.

190

Wydawało się, że ścieżka prowadzi w wysokie góry. Szedł . • ze dwadzieścia minut, gdy stała się bardziej stroma. Biegła po kamiennej płycie, wysuniętej w kierunku wschodnim. Długa skalista odnoga gór. W końcu, balansując, nrzeszedł bardzo wąskim grzbietem i znalazł się na zboczu wzniesienia. A może góry, pomyślał. Norwegowie każdy garb nazywają górą.

Ścieżka biegła po górskich półkach. Wkrótce chyba będzie musiał się wspinać. Teraz, gdy zaczął iść wolniej po stromym stoku, odwrócił się. To, co ujrzał, było niesamowite. Morze. Całe morze. Mglistoniebieskie w porannym słońcu. Nad horyzontem mgiełka miała odcień różowawy, zarzyła się. Tam było słońce. Nad grzbietami gór zaczęły się gromadzić chmury.

Myślał, że są wysoko w górach, przy granicy szwedzkiej. A oni byli nieopodal morza. Najwyżej kilometr od brzegu i, do licha, widział drogę do Ameryki. Grzbiet górski, po którym przebalansował, ciągnął się pewnie od północnego wschodu na północny zachód. Johan zdecydował się wdrapać na sam szczyt i stamtąd popatrzeć.

Trochę wyżej, gdy musiał wczepiać się mocno rękami w szczeliny, pożałował tego pomysłu. Stromizna zaczęła go przerażać. Ścieżka ciągle była wyraźna, ale pięła się po skale zygzakami. Pod nim ciągnął się parów, w którym widział szybujące ptaki. Gdy przepłynął pierwszy kłak chmury, jego twarz zrobiła się mokra. Potem przez kilka chwil było bezchmurnie dookoła i zobaczył obłoki pod sobą. Płynęły w parowie. Rozdarte, parujące. We mgle majaczyły korony sosen. Widział je z góry, jak ptak.

Postanowił więc nie patrzeć w dół. Tylko iść w górę, od jednej kamiennej półki do drugiej. Dokładnie pomyśleć, zanim oderwie się od pewnego oparcia. Sprawdzać, czy jakiś amień nie obsuwa się pod stopą. Iść w górę. Znaleźć lepszą

191

ścieżkę w dół, mniej stromą. Żadnej jaskini nie widział. Wszystko to były tylko cholerne brednie, a on szedł i szedł, jak w odurzeniu. I teraz tkwił na górskim zboczu. Chmury ciągnęły pod nim i nad nim, aż przemókł od ich wilgoci.

Gdy wszedł na szczyt i na płycie pokrytej porostami poczuł pod stopami pewne oparcie, gwałtownie lunęło i już nie widział morza. Skulił się i czekał na lepszą widoczność, ale powietrze gęstniało coraz bardziej i bardziej. Siedział w czapie z chmur, oblekającej górę, z jego ubrania kapąła woda. Zrozumiał, że nie znajdzie lepszej ścieżki. Raczej już ryzykował, że może się gdzieś tu w górze zgubić. Zaczął więc złazić. Z brzuchem przyciśniętym do pełnego szczelin i pęknięć górskiego zbocza, wczepiając się w nie, aż palce bolały. Gdy miał zmienić punkt oparcia, najpierw próbował stopą, czy nie staje na obluzowanym kamieniu.

Zimny podmuch wichru uderzył go w plecy, ale potem przeleciał następny i jak gdyby zmiotł wszystko najgorsze. Zabłysło słońce. Johan odważył się zerknąć przez ramię i teraz zobaczył wszystko wyraźnie. Znowu było tam morze. Kipiało od światła.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie mógł iść w pozycji pionowej, nie podpierając się rękami, zobaczył gruby powróż. Był przymocowany do pnia sosny i zwisał na drugą stronę skały. Podeszedł i spojrzał w dół. Na linie zauważył węzły. Sznur kończył się tuż nad ziemią, w tym miejscu ubitą i wydeptaną. Wydawało się, że ścieżka zaczyna się tam, gdzie wisi koniec powroza.

Zrozumiał, że chodziło o to, aby spuścić się po nim w dół. Ścieżka prowadziła do środka pionowej ściany, która miała duży, niemal owalny otwór.

Jaskinia. A więc mimo wszystko istnieje. Gdy zsunął się w dół po sznurze, pojął, że najgorszy odcinek przeszedł niepotrzebnie. Jaskinia nie leżała wcale tak wysoko, a prowa-

192

dzaca do niej ścieżka była łatwa. U wejścia rosły paprocie. Zwisały na zewnątrz sponad sklepienia jaskini. Część czarnego kamienia pokrywały porosty. Reszta była idealnie czysta. Stał na kamieniach i żwirze. Góra kruszyła się i pękała. To następowało pewnie wtedy, gdy wiosną puszczał mróz.

Tylko pierwszy odcinek był płaski. Potem ziemia zaczynała stromo opadać w ciemność. Musi to być jednak cholernie wielka jaskinia. Teraz mógłby powiedzieć Ylji, że tu był. Tego się po nim nie spodziewała. Ale musi pójść jeszcze kawałek. W środku na pewno zobaczy coś, o czym będzie mógł jej opowiedzieć. Żeby mu uwierzyła.

Nie dawało się zejść. Było zbyt stromo. Musiał zsuwać się na siedzeniu. Pod tyłkiem miał żwir zmieszany z gliną. Licho wzięło džinsy, pomyślał, bo chwilami musiał całkiem ostro hamować o ziemię. Wystawały tu duże głazy, mocno tkwiące w ziemi, i mógł się ich przytrzymać. Oczy przywykły do ciemności i skąpego światła, dochodzącego z zewnątrz. Z kamieni i gliny wydobywała się surowa, martwa woń. Zapach podziemnego świata. Nie było tu nic poza stalagmitami i stalaktytami. Ani jednej plamy mchu.

W końcu znalazł się w dole, na bardziej wyrównanej ziemi. Chciał coś zawołać, żeby sprawdzić, jak dużą przestrzeń zajmuje jaskinia. Ale głos uwiązł mu w gardle. Krzyk mógłby zabrzmieć okropnie. Odrętwiał od przejmującej wilgoci i chłodu, ruchy miał niezdarne. Zaprzagnął się skulić i czekać. Ale nic by to nie pomogło. Był sam z surowym zapachem, ciemnością i zimnem góry.

Gdy odwrócił głowę, zobaczył wejście do jaskini, i to go oślepiło. Aby odzyskać zdolność widzenia w ciemności, musiał chwilę posiedzieć z głową zwróconą w przeciwnym kierunku. Z dna jaskini zebrał kamienie i zaczął je rzucać dookoła.

Uderzały w ścianę. Ciskał je metodycznie, tak ' się zarzuca wędkę, łowiąc ryby na muchę, z miejsca,

193

w którym się stoi. Prostopadle do zejścia kamień nie uder w ścianę. Usłyszał, jak upadł gdzieś daleko w przodzie.

Było tam więc przejście. Jaskinia ciągnęła się dalej. Ja daleko? Nie chciał wiedzieć. Teraz pragnął wracać. W każdym razie będzie mógł jej powiedzieć, w jakim kierunku rozciąga się jaskinia.

Rzucając kamienie, zamknął oczy, żeby lepiej ocenić odległość, kiedy spadną na ziemię. Teraz otworzył oczy i ujrzał nieco większą część jaskini.

Był tam gład. Długi i nie obrobiony. Ustawiony pionowo. U góry się zwężał. Był wyższy niż człowiek.

Ogarnął go nieprzytomny strach. Nagle, bez ostrzeżenia. Już przedtem czuł się nieswojo. Ale teraz zdjęło go przerażenie. Tak obłądne, że nie pomyślał o zachowaniu ostrożności. Gnał do góry. Żwir i kamienie obsuwały się pod nim, więc znowu spadał. Wbrew instynktowi, musiał się uspokoić, aby stąd wyjść. Zapierając się stopami o kamienie, posuwał się naprzód. Gdy wreszcie znalazł się przy wejściu do jaskini, przycisnął twarz do szorstkiej bażyny i mchu i po chwili poczuł smak i zapach wydobywający się z ziemi, która żyła.

Nie wiedział, czego się przestraszył. Nie chciał o tym myśleć. To nic nie dawało.

Wiedział tylko jedno: musi stąd iść. Najpierw w dół do myśliwskiego domu, potem do szosy. Odjechać autostopem.

Kobiety weszły na ścieżkę zaraz powyżej rzeki. Usłyszał je z daleka, skoczył i ukrył się za jednym z garbów. Leżał tuż przy ziemi, za grubym pniem brzozy, która, porośnięta grzybem, powoli butwiała. Mógł je stąd obserwować.

Srebrny Lis szedł pierwszy. Rozmawiały i śmiały się krzykliwie. Eleganckie sportowe ubrania. Ylja szła gdzieś

194

w środku. Wydawała się podniecona. Pokrzykiwała. Włosy związała tasiemką w krótki koński ogon.

Gdy zniknęły, poczuł się spokojniejszy. Przypuszczalnie ma mnóstwo czasu, zanim wróca. Postanowił się położyć i odpocząć. Lęk zniknął, gdy ujrzał ten niewielki oddział Wędrowca. Kobiety sprawiały wrażenie normalnych. Tu na dole wszystko było normalne. Ale i tak musi stąd iść.

Zasnął i wydało mu się, że obudził się za późno. Był jednak wypoczęty. Teraz musi się uwinąć. Nie może odejść bez pieniędzy. Potrzebował przynajmniej tyle, żeby kupić jedzenie i wynająć jakąś chatę, póki nie znajdzie pracy przy sadzeniu albo karczowaniu. Zamierzał je wziąć z jej torebki, podłużnej, brązowej, z czegoś chropowatego i sztywnego. Ze skóry krokodyla, powiedziała, gdy ją zapytał, z czego jest zrobiona. Nie chciał czekać, aż ona wróci, prosić jej o pieniądze. Wtedy nigdy stąd nie odejdzie.

Dom nie był zamknięty. Na werandzie stały na stole lampy naftowe i leżała jakaś gra planszowa. Wyblakłe pasiaste poduszki na kanapie były zgniecione, jakby ktoś na nich przed chwilą leżał. A jeśli któraś z nich została?

Do licha, no to co? Wejście nie może być zabronione. Wszedł do ciemnego hallu. Na podłodze wałało się mnóstwo rzeczy. Buty sportowe, botki, piłki do gryzienia dla psów. W rogu stała strzelba na śrut. Kawałki styropianu. Deska do łowienia ryb, z haczykami na żyłkach. Na ścianach wisiały fotografie, które wyglądały, jakby pochodziły z początku wieku. Przedstawiały tylko mężczyzn. Byli w tweedowych kaszkietach, na nogach mieli sznurowane skórzane buty z cholewami. Jeden

postawił stopę na głowie leżącego niedźwiedzia. W paszczy niedźwiedzia tkwił gruby kij, żeby była rozwarta. Torsten miał podobne zdjęcie, wisiało na ścianie w dużym pokoju. Na jednej fotografii dwóch mężczyzn niosło łososa na drągu. Na innej całe towarzystwo

195

zostało sfotografowane razem ze swymi psami, przed stertą martwych ptaków. Szkła fotografii były zakurzone, dwa się stłukły. Za niektórymi ramami tkwiły duże wiązki zasuszonych kwiatów. Wyglądało na to, że te portrety nikogo już nie obchodzą. Wisiały sobie tylko, a męskie twarze gapily się surowo na bałagan w hallu. Zobaczył też kuchnię, wydała mu się całkiem nowoczesna, zbyt mała. Prawdopodobnie mieli gdzieś kuchnię letnią. Tutaj wszędzie dookoła poniewierały się resztki jedzenia. I butelki po winie. Kobiety musiały je przynieść w plecakach, i to sporo. Zalaływało czosnkiem i kwaśnym zapachem rozlanego czerwonego wina. Zrobił sobie kanapki z przejrzałym pleśniowym serem i szybko pochłonał trzy czy cztery. Potem kawałek sera i chleba wsunął do kieszeni.

W jadalni był prosty stół, na ścianach mnóstwo wypchanych zwierzęcych głów, na kredensie - ptaki. Wyglądały na zniszczone, rozpadały się. Dzioby były zeschnięte, pazury odpadły. Tylko szklane oczy pozostały czyste.

Nie tracił czasu na parter. Sypialnie znajdowały się na górze. Kobiety wszędzie rozłożyły śpiwory i w każdym pokoju spało ich trzy lub cztery. Musiało tu przybyć z piętnaście, dwadzieścia kobiet. Pokój Ylji znalazł przy południowym szczycie budynku. Dlaczego wolno jej było spać samej? Nie wyglądało na to, aby Srebrny Lis miał na górze jakiś pokój. Może spał u którejś z kobiet? Choć wtedy musiałby sypiać z trzema, czterema. Albo u Ylji? Czy są małżeństwem?

Do diabła z tym, pomyślał. Idę stąd. Nigdy więcej nie spotkam żadnej z nich. Poczul się jeszcze bardziej nieswojo, gdy wziął torebkę. Znów się bał. Znalazł ją na krześle obok łóżka. Na drugim krześle leżało wiele paczek jasnoniebieskich papierowych majtek. Nie posłane łóżko pachniało nią, choć słabiej. Ścieradło było z papieru.

196

Gdy otworzył torebkę, miał zamiar poszukać jej prawa iazdy, żeby zobaczyć, jak się nazywa i ile ma lat. Ale doszedł do wniosku, że to diabła warte. Nie chciał jej nigdy więcej widzieć. A nawet nigdy więcej o niej nie pomyśleć.

Znalazł portfel z fińskimi banknotami. W przegródce leżały dwie dziesięciokoronowe norweskie monety. Najpierw pomyślał, że się przeliczył i że będzie zmuszony zostać. Ale potem znalazł w środku torebki przegródkę zamkniętą na zamek błyskawiczny. Był tu cały plik norweskich banknotów stukoronowych. I kwit z wymiany. Dostała prawie tysiąc osiemset norweskich koron. Nie zauważy, jeśli zabierze jej dwieście. Nawet trzysta. W końcu wziął pięćset. To stało się tak szybko, że nie zdążył tego przemyśleć.

W torebce leżała zwinięta plastikowa torba z apteki. Płaska, ale coś w niej było. Zajrzał i zobaczył wiele paczek prezerwatyw. Kupionych w Byvangen, pozostał jeszcze kwit z kasy. Ani razu ich jednak nie użyli. Nie pojmował tego. Nagle ogarnęła go złość na nią, ale nie mógłby dokładnie wyjaśnić dlaczego.

Właśnie zamknął torebkę, gdy usłyszał głosy. W pobliżu. Zaraz potem zatrzeszczały drzwi na dole i dom wypełnił się kobietami. Śmiały się i tupwały na schodach. Wiele szło na górę. Siedział jak mysz w pułapce. Były tu tylko jedne drzwi, wychodziły prosto na schody.

Niewiele myśląc, cofnął się w kierunku okna. Odwrócił się i spojrzał w dół na ziemię. Wyglądało na to, że jest miękka i że to niezbyt wysoko. Otworzył okno i wyslizgnął

się na zewnątrz. Najpierw zamierzał uwiesić się na parapecie i zwolnić uchwyt, dopiero gdy zwiśnie pionowo na całą długość ciała. Przy jego wzroście, zmniejszyłoby to wysokość upadku. Ale nie zdążył. Wydawało mu się, że usłyszał kogoś w drzwiach, więc natychmiast wyskoczył. Od razu wiedział, że ten skok cholernie mu się nie udał. letnia nie była taka miękka. Zmyliła go wysoka trawa.

197

Przeszył go ostry ból w biodrze, ale po chwili zrozumiał, że to lewą stopą wylądował tak fatalnie. Coś się z nią stało. Ciągłe jeszcze dygotał po upadku. Było w tym tyle samo strachu co szoku i bólu. Stopy nie czuł.

Z góry nic nie było słychać. Leżał, niemal zakryty przez wysoką trawę i wybujałe odroślą brzozy. Pomału zaczął się podnosić. W stopie pulsowało, ale nie bolała tak strasznie. Ból czuł tylko wtedy, gdy próbował się na niej oprzeć. Prześlizgnął się do ściany domu i wstał. Potem, niezdarnie podskakując, okrążył budynek. Kurczowo zaciskał palce na sękatych smołowanych deskach. Gdy kuśtykał przez brzozowy las w dół ku rzece, ani razu się nie odwrócił i nie obejrzał. Posuwając się od jednego cienkiego pnia do drugiego, dotarł do szopy.

Przyszła dopiero późno wieczorem. Przyniosła zimną pierś jarzábka upačkaną sosem, zastygłym już i tłustym. Dała mu też trochę sera. To był ten sam, z którym zrobił sobie kanapki. Nie zjadł ich. Noga bolała go tak, że czuł mdłości. Kostka spuchła. Za każdym razem, gdy na nią spojrział, przypominała mu się kostka babci. Niebieskawa, napięta skóra. Choć się nie łuszczyła, tak jak jej.

Ylja mówiła niewiele. Wydawało mu się, że myślami wciąż przebywała w domu na górze. Nalała mu wódki do szklanki, do tego wbiła jajko. Potem wsypała troszkę pieprzu. Obok talerza leżały cztery żółte tabletki.

- Co to takiego?

- Witamina B.

• | | |

Ona jest szurnięta, pomyślał. Ale to powinno było dotrzeć do niego na samym początku. Teraz bał się jej. Może odkryła brak pieniędzy. To byłoby do niej podobne, słowem się nie odezwać na ten temat. Czekać. Nie śmiał zrobić nic innego,

198

iak tylko wypić zawartość szklanki. Jajko z wódką prześlizgnęło się przez gardło zdumiewająco łatwo.

Wyszła i nie położyła się z nim. Coś było nie tak. Znudzila się? Czy już otworzyła torebkę?

Nie powiedział jej, że boli go stopa. Cały czas leżał na pryczy, nogi przykrył kocem. O nic nie spytała. Dopiero, gdy wyszła, uświadomił sobie, że nie zdoła odejść. Był jej więźniem. Ale może o tym nie wiedziała.

199

Gdy telefon dzwonił w nocy, zawsze spodziewał się najgorszego. Że to brzuch lub jakiś atak. Być może serce. Ostre głosy w słuchawce, podniesione ze strachu. Boli. Rozsadza i wali. Robią się czerwone pręgi. Udo. Tętnica. Poszło głęboko. „Zabandażuj. Zabandażuj mocno, ale nie za mocno”.

I jedenaście samobójstw w ciągu sześciu lat, cztery z nich paskudne.

W czasie miejscowych uroczystości zwykle pokazywał magiczne sztuczki. Wtedy monety wylatywały ludziom z uszu i z nogawek. Nikt by go o to nie posądził.

Jeśli chodziło o brzuch, nigdy nie ryzykował. Tamtej czerwcowej nocy jednak emerytowana nauczycielka na górze, w Tuviken, miała kołatanie serca. Miewała je często. Choć zrobił jej EKG i wiedział, że to tylko lekka arytmia, ustąpił. Było to idiotyczne. Będzie go wzywała coraz częściej. Ale uległ pokusie jazdy. W głowie

puszka, szum silnika i cicho nastawione radio. Mila za milą. Nieważne, jak daleko. Bo już i tak nie mógł sypiać.

Barbro słowem nie wspomniała o wieczorze sobótkowym. W milczeniu składała swoje ubrania i przybory do pracy. Część z nich była spakowana w pudła i walizki. Gdy odjeżdżał, stały w pracowni.

Nauczycielce w Tuviken skłamał, że zajął do niej, bo miał wezwanie w pobliżu.

Chciała wiedzieć gdzie i ciekawość

200

wyrównała akcję jej serca lepiej niż lek. Poczęstowała go filiżanką kawy, nie bardzo mógł odmówić, bo kawa była już anarzona. Tym samym przegnał ostatnią myśl o śnie. A zresztą godziny mroku zaraz miną. Smugi mgły przesycone światłem snuły się w potokach. Widział stojące łosie, które przeżuwały pokarm. Czasami jednak okazywało się, że to tylko pokryta porostami kamienna bryła.

Za niecałą godzinę powinien być w domu. Barbro leżała w łóżku, do którego powinien się położyć. To dlatego wyruszał w drogę przez lasy i mokradła. Jechał, nie czując zapachów i przejmującej wilgoci.

Wszystko to sprawiało, że każdego dnia dręczyły go wyrzuty sumienia. Choć ona niczego nie podejrzewała. To zaczęło się dawno, a nic jeszcze nie zostało na ten temat powiedziane. Miał już jednak pewność nieuchronnego nieszczęścia. Necrosis. Martwica.

Jechał o wiele za szybko. Droga była wąska, zwirowana. Miejscami biegła tuż obok jezior, tu i ówdzie przerywanych smugami, które pojawiały się za nurem czy perkozem. Czarna woda przy brzegach lśniła jak metal. Na głębiach, pośrodku jezior, kładły się lustrzane plamy. Część z nich miała odcień różowawy, jak ukrwiona skóra, inne migotały niebieskawo niby białka dziecięcych oczu. Podczas tych znieczulających jazd nachodziły go różne myśli. I nie były one czyste.

Gdy wrócił do Byvanger, wieś oblewało niezwykle światło wschodu. Oświetlone były niewłaściwe ściany domów, "anowała cisza. Jadąc w górę stoku obok budynku gminy, spostrzegł, że na posterunku policji zasłony są zaciągnięte, ^zare zasłony w deseń z niebieskoszarych i żółtozielonych iści. Wydawało mu się, że w środku się świeci. Zasłony były 8rube, ale przez materiał przebijało światło jarzeniówki.

201

W!

Muszę, pomyślał. Teraz.

Zapukał w szybę i zobaczył, że szpara w zasłonach poszerzyła się. Potem drzwi się otworzyły i w progu stanął* Vemdal. Był szary ze zmęczenia. Na skórze twarzy pod wpływem słońca plamy pigmentu rozłożyły się nierówno.* Krew odpłynęła. Dookoła niego unosił się leciutko kwaśny zapach.

Vemdal o nic nie pytał, tylko wszedł pierwszy do pokoju z szarymi firankami. Birger spodziewał się stosów papieru na stole, skoroszytów albo pudeł z kwitami rejestracyjnymi. Ale było niemal pusto. Na zielonej podkładce leżał otwarty blok biurowy, na jednej z kartek widać było narysowany spiralny wzór, obok zapisane dwa słowa, Vemdal raz po raz pociągał długopisem te same litery. Można było przeczytać NASI GORENG. Za blokiem stała klatka ze szczurem, który siedział zupełnie nieruchomo, a gdy Birger usiadł na krześle naprzeciwko Akego, zwierzątko wpatrzyło się w niego.

- Dziękuję, że zadzwoniłeś - odezwał się Ake.

Tego akurat przecież nie zrobił. Zaraz jednak przypomniał sobie, że istotnie telefonował, żeby poinformować Akego o Lill-Oli i o osobliwej zawartości jego

zamrażarki, a także kotłowni. Głos Yemdala brzmiał zwyczajnie, jak gdyby Birger zajął tu w jakiegokolwiek zwykłe popołudnie, nie o trzeciej rano w poniedziałek.

- Przeszukaliśmy tę kotłownię.

- A co on na to?

- Narobił cholernego wrzasku na temat praw człowieka. Choć nie większego, niż słyszy się zwykle na północ od Óstersundu. Dostałem papiery z prokuratury. Lill-Ola w noc świętojańską był przecież w górach. Zebraliśmy popiół z kotła i z podłogi. Spalono gumki i nie oskubane ptaki. Zrobiła to oczywiście jego żona, Bojan.

- A więc to nie był puch ze śpiwora?

202

- Może być przecież jedno i drugie. Posłałem wszystko do analizy- On mówi, że kazał jej spalić zamrożone dwa głąszce, bo były za stare. A to gównem prawda.

- Widziałem w zamrażarce paczki z napisem „głąszce”. Za pierwszym razem, kiedy wkładałem tam ryby.

- Miał parę gumiaków marki Tretorn, stały w sieni. Ślad, który znaleźliśmy obok namiotu, pasuje do czubka nowego buta Tretorn. Wygląda na to, że kazał babie spalić więcej par. Ale nie te, które, naszym zdaniem, miał na sobie.

Szczur okręcił się dookoła. Jego zadek przesunął się po drewnianej podłodze klatki.

!...>

- Ciągle go trzymasz.

•;

- Nie mogę przecież tak zwyczajnie go wypuścić. Obaj patrzyli na szczura, który odwzajemniał spojrzenie.

- Przyjadą tu rodzice dziewczyny - odezwał się Vemdala, jak gdyby nagle znalazł jakieś rozwiązanie.

Dodał jeszcze, że nazywała się Sabinę Vestdijk. Nagle Birger pomyślał, że wolałby tego nie słuchać.

- Ojciec ma zakład zegarmistrzowski w Lejdzie. Córka zegarmistrza. Trzy dni temu.

- Muszą ją oglądać?

- Nie wiem, czy wezmą ze sobą jeszcze kogoś. Jeśli nie, będą chyba musieli.

Birger pomyślał o ranie na policzku, tej rozwartej brązowej ranie. Wszystko inne da się przykryć.

- Możesz spać? - spytał.

Vemdala pokręcił głową. Czy ma mu dać coś na sen? Mówiono, że zbyt łatwo ordynuje środki uspokajające. Pigularz.

~ Powinienem być powiedzieć ci jeszcze jedną rzecz, jak dzwoniłem.

Vemdala nie podniósł wzroku. ~ Wiem - powiedział.

203

- Wiesz?

- Owszem, myślisz pewnie o swojej żonie. Że była z Da-nem Ulanderem.

- Tak, w każdym razie to nie nasz syn był z nią - odparł Birger. - Powiedziała, że ten Ulander jest jej synem, ot, tak sobie, to miał być żart.

- Poszła z nim na Gwiazdną Górę, żeby zobaczyć, jak mieszkają w komunie, i przenocowała u nich. A on zszedł do Nirsbuan. Nie był pewien, kiedy przyjedzie Annie Raft, więc się tam przespał.

Oczywiście, tacy przyzwoici ludzie jak Vemdala nie uśmiechają się szyderczo. Próbuje załagodzić sprawę. To chyba jeszcze gorsze. Szczur siedział nieruchomo i patrzył na Birgera. Klatka była bardzo mała. Zwierzę mogło się w niej obrócić, nic więcej, w związku z czym ustaliło sobie schemat ruchu. Regularnie obracało się w klatce. Były to szybkie ruchy. Długi, goły ogon wiał się na zewnątrz klatki. Słychać było szelest, a tylna część ciała i mały, gładki łepok o puszystych uszkach zmieniały miejsce.

- Co z nim zrobisz?

Vemdal nie odpowiedział. Gapił się na szczura, który gapił się na Birgera. Ale Vemdal patrzył nie widzącymi oczami. Naturalnie niemiło byłoby go zabić. Takie zdrowe zwierzątko. Brązowe futerko lśniło na grzbiecie i niżej. Zadek był ciężki i trochę się włócił. Zwierzę przecież przeżyło.

- Za mała ta klatka.

- Prawdopodobnie najczęściej puszczała go wolno — powiedział Vemdal. - One je pieszczą i bawią się z nimi. Kładą je sobie na szyi.

- Nie powinny. Szczury mają uciążliwe pasożyty.

- Rodzice o tym nie wiedzieli. Może to był nowy zakup-Pytamy w sklepach ze zwierzętami. Chcemy się dowiedzieć, co ci dwoje robili, kiedy przyjechali do Szwecji.
204

ołówkę i wskazał nim szczura, który wpatrywał się w niego spuściwszy łeppek.

- Są trzy możliwości. Że ktoś za nimi szedł. Ktoś, kto tutaj ich dogonił. Lub że kogoś tu, na górze, znali.

_ W Czarnej Wodzie?

- Może w komunie. A może tę grubą Yvonne w Róback i jej matadorów. Oni temu zaprzeczają. Ale będą się tak zachowywać w każdej sytuacji.

- Wy jednak sądzicie, że to ta trzecia ewentualność. Pijany. Jakiś szaleniec.

Vemdal pokręcił głową.

- Właściwie niczego nie można przesądzać. Nie tak od razu. Ta kobieta, która ich znalazła, Annie Raft, kogoś widziała. Cudzoziemca. A to by oznaczało, że ktoś za nimi przyjechał. Trudno jednak dojechać tu, na górę, samochodem, tak żeby nikt tego nie spostrzegł.

Birger wiedział, że to prawda. Każdy samochód musiał zostać przez kogoś zauważony. Niepodobieństwem było przemknąć się niepostrzeżenie. Nie dawało się unikać ludzi, którzy zobaczywszy kogoś, nie zastanawialiby się, co ten człowiek tu robi: zarzucił sieć na wodzie należącej do kogoś innego, kłusuje, a może chce się czegoś pozbyć. Nikt jednak nie widział samochodu prowadzonego przez młodego człowieka o azjatyckich rysach.

Indonezyjczyk? NASI GORENG widniało na kartce bloku.

Ake Vemdal powinien iść spać. Miał sucho w ustach, to było słycać, gdy mówił. Na pewno bolała go głowa. w pokoju panował chyba zaduch, choć Birger już go nie czuł. Mógł przecież przyjechać do Czarnej Wody motorowerem. Chociaż jak długo można jechać na motorowerze? To wydaje się bez sensu. Na ścieżce jednak był ślad motoroweru
205

prawie aż do zabudowań Strómgrenów. I z powrotem. Ale nie znaleźliśmy motoroweru, którego wzór opon by pasował. Jeszcze nie. Na górze u Brandbergów mieli jeden. Ale chłopak zwał. Wziął motorower i uciekł wieczorem po tym pobiciu. Bał się braci i ojca. To się stało już około siódmej, ale mimo wszystko chcielibyśmy popatrzeć na opony tego motoroweru.

- Znaleźliście go?

- Nie. Motoroweru też nie.

Dlaczego on siedzi w biurze, pomyślał Birger. Coś tu jest nie tak. To nie tylko dlatego, że nie może spać.

- Co to była za dziewczyna, ta Sabinę Vestdijk? Wiecie coś?

- Przedsiębiorcza. Ten Ivo Maertens nie miał szczególnej ochoty z nią jechać. Ale go przekonała. Mieszkali w tym samym osiedlu willowym. Nie chodzili ze sobą. To znaczy, nie byli w sobie zakochani. Choć może w końcu do tego doszło. Rodzice

obojga dostali pocztówki z Góteborga. Ale później już nic. Dziwne jest to, że zniknęły jego spodnie. I wszystko, co było jego osobistą własnością. Rodzice wiedzieli mniej więcej, co miał. Aparat fotograficzny, książkę o ptakach i to, co zwykle. Portfel z prawem jazdy i legitymacją studencką. Nie przypuszczamy jednak, żeby brakowało czegoś z jej rzeczy. W suwaku od namiotu tkwił puch. Jeśli ten, co to zrobił, ukradł paszport i resztę, to przecież dziwne, że tracił czas na zasuwanie zamka. Ciosy nożem wyglądają na zadane w panice. Albo w furii. W każdym razie szybko. Najbardziej jest to widoczne na dziewczynie. Lekarz sądowy naliczył na niej jedenaście ciosów, a mniej więcej osiem na nim. Tylko wstępnie. Trudno policzyć od razu, bo część to tylko draśnięcia. Tamten przecież nic nie widział. A oni musieli się poruszać. I to gwałtownie. Więc nie wiemy-A mężczyzna rzeczywiście nie miał spodni. Nigdzie ich nie znaleziono.

206

Zaczął przetykać i oblizywać wargi, jakby dopiero teraz poczuł, że zaschło mu w ustach. Potem, nie patrząc na Birgera, odezwał się:

- Słuchaj, jak my obaj pojechaliśmy nad Czarną Trzcinę. Wtedy, w nocy...
- Tak?
- Widziałeś mnie przez cały czas? - zapytał Ake.
- Byliśmy w pobliżu siebie. Ale nie wiem, czy cię widziałem. Przecież łowiliśmy ryby. Szczur zaszurgotał i Birger poczuł falę mdłości. Siedział tak nieruchomo, jak tylko mógł, i przetykając ślinę, wpatrywał się w szarozielone linoleum.
- Muszę iść - odezwał się. Wydawało mu się teraz, że śmierdzi tu szczurem. Prawdopodobnie było to urojenie. Musi stąd wyjść. Chciał powiedzieć Vemdalowi, żeby też szedł do domu. Powinien dać mu coś na sen. Ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

Gdy wszedł do domu, uderzyła go zmiana. Odczuł ją tak wyraźnie, jak gdyby przestawiono meble. Chociaż na oko wszystko wyglądało tak samo jak zwykle. Szkło na akwarelach w hallu lśniło. Od razu jednak wiedział, że wyjechała. Dom ział pustką. Tomas miał pojechać pociągiem na jakąś włóczęgę. Zostało to postanowione dawno temu. Powiedzieli sobie do widzenia przed południem. Barbro nic jednak nie wspomniała o wyjeździe.

Potem pomyślał, że nie powinien zdawać się tylko na przeczucia. Wszedł więc po schodach na górę i otworzył drzwi do sypialni. Wcale nie starał się robić tego ostrożnie. ^ pokoju było jasno i pusto.

207

Gdy po południu wrócił z przychodni rejonowej, dom przyjął go ciszą i światłem. O tej porze normalnie piliby herbatę. Zjadł kawałek chleba z pasztetem, popijając piwem. Postanowił wziąć się do malowania. Do jedenastej wieczór było całkiem jasno. Pomyślał, że może ona zadzwoni, ale w zasadzie nie czekał na telefon. Kiedy w końcu usłyszał dzwonek, sporo czasu zabrało mu zejście z kozła i dojście do hallu. Mimo to nie przestawała dzwonić i dźwięk rozlegał się, póki nie podniósł słuchawki. Telefonowała z automatu. Nie poinformowała go jednak, gdzie jest.

- Nie będzie mnie przez jakiś czas - powiedziała. - Muszę to przemyśleć. Chyba rozumiesz.

Przemyśleć t o. Nie wyjaśniła jednak, co to takiego. Ogarnęła go złość, chociaż nie miał do tego prawa. Budzik obudził go po paru godzinach snu. Zdjęła go wściekłość, a jednocześnie serce wezbrało prawdziwą głuchą tęsknotą za nią. Kiedy się jednak rozbudził na dobre i wstał, stwierdził, że żadnego takiego uczucia w nim nie ma. Najdotkliwiej odczuwał wstyd.

Rozmowa była krótka. Przynęła się odezwać. Jej głos brzmiał przyjaźnie. Przymuszczała także odczuwała wstyd i wyrzuty sumienia. W niedzielę wieczorem zapytał ją, dlaczego nic nie mówi.

- O czym?
- Pakujesz się, nic jednak nie mówisz.
- Co mam mówić?

Odnosił wrażenie, że jest do niego wrogo nastawiona. Nie miał odwagi pytać dalej, ale uznał, że ona ma rację. Bo wiedział, o co jej chodziło. Ty także przecież nigdy nic nie mówisz.

Gdy rozmowa telefoniczna dobiegła końca, wziął z lodówki piwo i usiadł na wysokim drewnianym koźle. Siedział tyłem do wykonanej roboty i wpatrywał się w jasnozielone

208
girlandy brzoźowych liści. Teraz będę mógł pojechać do Óstersundu, pomyślał. Bez kłamstw. Zaparkować przed Sulki". Po prostu, żadnych zawitych objazdów. Zostać przez całą noc i wyjechać do pracy koło piątej nad ranem. To by się dało zrobić. Ty przecież nigdy nic nie mówisz. Nie. Co miałbyś powiedzieć?

Poza tym od dawna żyliśmy w ten sposób. To ty mówiłaś wszystko, co było do powiedzenia, Barbro. Umiałaś się dobrze wysłowić. I to wcale nie w sposób prosty. Tyś rzeczywiście potrafiła wszystko przeanalizować. Emocjonalnie. Politycznie. I tak dalej.

W tym czasie to się stało. Ale co, u diabła, miałem powiedzieć? Jak to nazwać? A więc tak, Barbro: jestem w Óstersundzie. Styczeń, trzaskający mróz. Narada samorządu okręgowego na temat podziału budżetu. Ale ja tylko siedzę i myślę o tym, że nigdy nie zdołam uruchomić samochodu bez podgrzania silnika. A to z pewnością mi się nie uda. Robi się późno. Kolacja „U wuja Adama”. Dzwonię do ciebie i mówię, że zostaję. Dzwonię z hotelu o nazwie „Sulki”. Nie mam siły tak późno wieczorem załatwiać holowania, a samochód jest cholernie oblodzony.

To ciepły mały hotelik. Nocują tu zwykle mężczyźni powożący sulkami. Na ścianach są zdjęcia ich zaprzęgów. Nie zdjęto też jeszcze bożonarodzeniowych dekoracji. Droga Barbro. Powinnaś je zobaczyć. Czerwone i zielone papierowe girlandy. Turkusowe, pomarańczowe, czerwone, srebrne i złote lustrzane kule. Krasnale. Małe, złośliwe, cholernie pokraczne potworki w kapturach, wszystkich za-8le tych w tę samą stronę. Niemieckie.

209

Podobały mi się. Przypominały krasnoludki z dzieciństwa, które podczas świąt Bożego Narodzenia stały na stole w moim rodzinnym domu. I z całą pewnością były one niemieckie. Wtedy wszystko było bardzo germańskie. Na przykład cukierki. Ona nazywa się Frances. Z początku nie myślałem o niej zbyt wiele. W każdym razie przystojna kobieta. Ciemna, o profilu Indianki. Kiedyś była zamężna z hazardzistą. Czasami stawał się właścicielem konia, a czasami posiadał tylko udziały. Raz przegrał wszystko i to był dla nich koniec. Słyszałem, że ona musiała wtedy pracować nawet jako salowa w szpitalu. Dom naturalnie przepadł. Potem najczęściej handlował samochodami. Czasami bywał nadziany.

Zmarł, gdy zaczęło mu iść. Ona wiedziała, że to tymczasowe i że on wkrótce znów wszystko straci. Ale wówczas dostał wylewu. Pewien dżokej, Tórngren, opowiadał mi, jak tamten leżał w szpitalu i, jękając się, bełkotał wskazówki, zgodnie z którymi ona miała za niego postawić. Kiwała głową i zapisywała. Tórngren widział, że to robiła. Ale pewnie nigdy nie postawiła. Bo gdy tamten zmarł, okazało się, że ona ma pieniądze. Więc kupiła hotel, wtedy nazywał się „Trzy Lilie”. Cholernie zdewastowany, ale go wyremontowała i nazwała „Sulki”.

To tam dostałem pokój. Czysty przypadek. Wierzysz w przypadki? Pewnie tak. W dzisiejszych czasach to przecież normalne wierzyć w przypadki. Idę spać w tym małym ciepłym hoteliku. Jestem zmęczony, nie pijany czy coś w tym rodzaju.

Możliwe, że można by o tym powiedzieć jakoś tak. Ale po kolei.

Już zasypiałem, gdy zauważyłem, że zapomniałem spuścić rolety. Światło uliczne świeci mi prosto w twarz. Ale Me mam siły wstać. Niech sobie świeci. Cały czas słyszę przejeżdżające samochody. Przed domem stoi latarnia. Od czasu do

210
czasu rozlega się warkot silnika autobusu na wolnych obrotach.

A więc wcale nie jest spokojnie. Nic z tych rzeczy. Nie mam żadnego specjalnego nastroju czy przecucia. Nic.

Tylko leżę. Jestem zmęczony i czuję, że ciśnienie mi spada. Znasz moje niskie ciśnienie. Niczego to jednak nie wyjaśnia, przecież zawsze takie miałem. Wywaliłem się nawet raz w łazience. Pamiętasz, wtedy gdy stłukłem okulary.

Teraz poczekaj.

Leżę i wydaje mi się, że zamknąłem oczy. Wtedy nadeszło. Jak światło od wewnątrz. Jak... jak... jak... W każdym razie jak uczucie jasności. Nie w oczach. W ciele. Tak jak gdyby rozpierało je światło. Jak gdyby wszystko dookoła mnie było światłem. Nic innego, tylko światło. Jestem w środku. Wiem wszystko. Nie znam słów. Błogość. Tak, to jest to słowo.

Nie wiem, jakiego jeszcze mógłbym użyć. To dlatego, być może, nic nie mówiłem. Że leżę w środku wszystkiego, co istnieje, i że nie trzeba nic wyjaśniać i nic zdobywać.

Tylko to przedłużone uczucie błogości. To trwało tak długo. Jak orgazm, choć silniejsze. Jak przepływające cały czas fale, jedna za drugą, w świetle, we mnie i wokół mnie.

Mija. Zaczynam znów widzieć pokój. Okno, przez które wpada światło z ulicy. I zasypiam jak dziecko. Śpię tak głęboko i spokojnie, jak człowiek sypia właściwie tylko, gdy jest mały. Dopiero rano zaczyna mnie ogarniać zdumienie.

Trudno mi nawet opuścić ten mały, ciepły, przeładowany meblami hotelik. Jak gdyby tutaj znajdowało się wyjaśnienie.

zastanawiam się, czy nie spytać Frances. Tak, ona ma na Inuę chyba Frances, chociaż wymawia się je przez „s” po szwedzku czy lapońsku, czy jak tam sobie chcesz. Chciałem apytać dość ostrożnie, czy może ktoś inny widział w tym Pokoju światło, czy coś takiego.

211

Ale przecież właściwie nic nie widziałem. Nie wzrokiem. Więc takie pytanie nie ma sensu. Przez następne tygodnie czytam o tego typu doznaniach. Do niczego to jednak nie prowadzi. Według literatury medycznej powinienem odczuwać głód, a potem zostać nakarmiony. Ale nic takiego nie miało miejsca. Zjadłem przedtem solidną kolację i czułem się zmęczony, nic więcej. W innych książkach, do których z początku niełatwo mi było dotrzeć, ponieważ to dla mnie obca dziedzina, jest mnóstwo słów. Takie na przykład jak „błogość”. To za wiele. Ale trzymam się błogości.

Nuży mnie ta lektura. Na dodatek wcale nie mam na nią czasu. Choć jest w modzie. Jak żargon polityczny czy ekonomiczny. Albo medyczny, przynajmniej w tym wypadku. Pierwszy raz dostrzegam, jak tekst jest zbudowany wokół uczuć. Że słowa są pewnym rusztowaniem, po którym dociera się do emocjonalnego szczytu. Tak, w najgorszym przypadku wywołują uczucia i doprowadzają je do szczytowego

nasilenia. Nawet w ekonomicznych sprawozdaniach organów samorządowych. To mnie męczy.

Krażę wokół hotelu. Zarówno myślami, jak i całkiem dosłownie, gdy jestem w Ostersundzie. Gdzieś w marcu znów zostaję tam na noc. Proszę o ten sam pokój. Ona nie widzi w tym nic dziwnego. W większości jej klienci są stałymi gośćmi. Przypuszcza, że może chcę zostać jednym z nich. Siedzę wieczorem w hallu i oglądam telewizję. Można sobie samemu nalać kawy z termosu. Wyłożyła też pierniczki i sucharki.

Podoba mi się tu. Powiedziałaabyś pewnie, że to w złym guście, ponieważ dla ciebie estetyka polega na harmonii. Te bladobłękitne, niebieskie i szare tony w naszym salonie. To jasne drewno giętych mebli. Metalowe pręty. Ja też uważam, że to piękne. Kolekcja szkła w oknie. Twój wielki gobelien> który dałaś mi, gdy skończyłem czterdzieści lat, przedstawiający stok górski.

212

Wydaje się, że Frances w ogóle nie odkryła perspektywy. Dostrzega tylko pojedyncze rzeczy. Przedmioty leżą jak wyspy. Jeśli się na nie patrzy, są zabawne albo ładne, albo coś w tym rodzaju. Rzeczywiście, nigdy nie są nijakie. W każdym razie dla niej. Dostała w prezencie mnóstwo koni. Z ceramiki i z drewna, nawet z materiału, z grzywami z wełnianych frędzli. Jaskrawopomarańczowy kolcowój układa w ceramicznym wazonie, który mieni się wszystkimi możliwymi kolorami, i mówi, że u jej babci zawsze stał w tym wazonie, i to dokładnie na takiej samej lustrzanej półce. Wszystko tutaj coś jej przypomina.

Czasami strome schody i hali wypełnia słodki zapach. Frances piecze wtedy ciasto dla przygnębionych dżokejów. Bo jeśli poszło dobrze, to przecież wychodzą i świętują. W hallu zabroniła im pić alkohol.

Zostaję tam niekiedy na noc i ciągle dużo myślę o tym, co mi się przydarzyło. Nie przypuszczam jednak, żebym kiedykolwiek zrozumiał, co to było. Wystarcza mi, że mogę tam czasem przyjść. Że mogę spać w tym samym pokoju. Nigdy nie zasuwam firanki. Może mimo wszystko czekam. Ale nic więcej się nie dzieje.

Stałem się naturalnie swego rodzaju domowym lekarzem. Frances jest zdrowa. Sypia dobrze i tylko wiosną, gdy wszystko kwitnie, potrzebuje trochę tavegylu. Dżokeje natomiast nieustannie mnie nagabują o wszystko. Są zainteresowani amfetaminą, to jednak nie wchodzi w grę. Zdarza się, że daję im tabletki odchudzające, ale tylko z próbek medycznych. Gdybym zaczął im je przepisywać, nie wiem, dokąd by mnie to doprowadziło. Środki nasenne, to tak, ma się rozumieć, i trochę librium i valium. Ale w rozsądnych granicach. Nie jestem takim cholernym pigularzem, jak o mnie mówią.

213

Było to trzy lata temu. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Przyjechały wtedy do nas obie matki. Atmosfera była odrobinę napięta, ale w dalszym ciągu serdeczna.

Chodziłaś dookoła ze świecami i kawą i śpiewałaś: „Dzień dobry, dzień dobry i panu, i pani”, a później pojechałyście na sumę. Poranne nabożeństwo było za wcześnie.

Właśnie przygotowywałem grzane wino. Doprawiałem je odrobinę. Pomyślałem, że jeśli babcie wypiją troszkę przed obiadem, to atmosfera serdeczności utrzyma się chwilę dłużej. Wtedy zadzwoniła Frances.

Zmarł jeden gość, leży w swoim pokoju i nie żyje, powiedziała. Przypuszczała, że odebrał sobie życie. Na nocnym stoliku leżało wiele pustych fiolek po lekarstwach. Jedno z nich zostało przepisane przeze mnie.

Powiedziałem, żeby się uspokoiła i czekała. Zadzwonię w jej imieniu na policję i do szpitala. Ale sprzeciwiła się. Chciała, żebym przyjechał. Tłumaczyłem, że to by było nieodpowiedzialne. Może uda się go uratować. Musimy szybko wezwać pogotowie.

To wtedy, siedząc w samochodzie i jadąc do Óstersundu, zrozumiałem, że Frances i ja staliśmy się sobie bliscy. Polegałem na niej. Miałem całkowitą pewność, że był nie do uratowania. Jest rzeczowa. Nie powinienem, ale polegałem na niej.

Dzień przed Wigilią położył się, a na drzwiach wywiesił tabliczkę PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ. Gdy to zobaczyła rano w pierwszy dzień świąt, pomyślała, że zapomniał ją zdjąć, i zapukała. Chciała mu podać kawę do łóżka. W hotelu było sześciu gości. Tylko on i jeszcze dwóch należeli do stałych. Na Frances przypadła właśnie kolej dyżuru świątecznego. Jeden hotel jest wtedy czynny i właściciele pozostałych odsyłają do niego przyjezdnych.

W pokoju było zimno i strasznie śmierdziało. Naprawa? nie żył, i to od dawna. Szczupłe ciało. Elegancka piżama. Wszystko wydawało się starannie przygotowane. Chciał to

214

robić schludnie, ale zgromadził lekarstwa, które nie gwarantowały tego, że się pięknie zaśnie na wieki. Dostał torsji, w końcu nie miał już siły wychylić się z łóżka, żeby nie wymiotować na siebie. Skóra była białoszara. Bielizna pościelowa i materac przesiąkły moczem.

Minęło wiele lat, od kiedy widziałem trupa, który nie żył już od dłuższego czasu. Przypomniałem sobie moich pierwszych zmarłych na zajęciach z anatomii w Uppsali i ogarnęła mnie wściekłość, że Frances musi to oglądać. Jakby została narażona na grubiaństwo. Nie przez niego. Nie przez tego bladego, małego, udręczonego gracza - zawodowego czy półzawodowego - który wkradł się tu ze swoją nowo kupioną piżamą w wieczór poprzedzający Wigilię. On przecież nic nie wiedział o śmierci. Na stoliku obok łóżka stały słoiczki po różnych lekach antydepresyjnych. Poczułem się nieswojo, gdy po nalepcę na jednym ze słoiczków zorientowałem się, że to ja ten lek przepisałem. Ale też i ucieszyłem się, że było to jedyne lekarstwo przepisane przeze mnie.

Frances przedstawiła mi swoją prośbę. Gdy dzwoniła do mnie, miała już cały plan gotowy. Koniarze są przesądni, powiedziała. Bardziej niż inni. Po czymś takim nigdy już nie będę miała stałych gości. Wtedy koniec. Trenerzy, właściciele koni, amatorzy hazardu i ci nerwowi półprofesjoniści. Dżokeje. Są pod tym względem najgorsi. Żaden z nich więcej u mnie nie zamieszka. On był porządny, ale nie zdawał sobie sprawy, co mi robi, łykając te tabletki tutaj. Podejrzewam, że wtedy człowiek głównie myśli o sobie samym.

Po prostu chciała, abyśmy przed wezwaniem policji i karetki wysłali gości do innego hotelu. Wtedy istniałaby przynajmniej szansa. Może się nie rozniesie, że to się stało w >„Sulki”<. Obmyśliła wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

215

Powiedzieliśmy, że mnie wezwała, bo chwyciły ją bóle. Stwierdziłem atak kamieni nerkowych i zadzwoniłem do właściciela drugiego hotelu, którego znała. Na szczęście nigdzie nie wyjechał. Choć podejrzewam, że wiedziała o tym. Frances była blada i niezwykle zdecydowana.

Tamten zgodził się przejąć gości, ale nie można było pozbyć się ich wszystkich naraz. Czekaliśmy cały pierwszy dzień świąt. Tobie powiedziałem, że to była próba samobójstwa i że muszę zostać, póki się nie dowiem, jak sprawa się dalej potoczy. Cholernie się bałem, że zadzwonisz do szpitala i będziesz o mnie pytać. Frances leżała w swoim pokoju i w ogóle się nie pokazywała.

Gdy ostatni z gości wyszedł, była ósma wieczór. Stałem przed tamtym pokojem, aby wejść do środka. Miałem niby to przeszkodzić mu w wypoczynku, aby go

poinformować, że musi zmienić hotel. W ten sposób mogłem udać, że dopiero go odkryłem. Ogarnęło mnie paskudne uczucie. W pokoju było teraz jeszcze zimniej. W obecności policji Frances miała zachowywać się tak, jakby cierpiała bóle. To było skomplikowane i cholernie nieprzyjemne. Nigdy nie brałem udziału w czymś takim. Wciąż mi się zdawało, że to myśmy go zamordowali. Był beznadziejnie zimny, gdy przyszli policjanci, naprawdę kompletnie zimny. Widocznie, zanim się położył, zakręcił kaloryfer. Czyżby bał się, że sporo czasu upłynie, zanim ona zapuka? Tego jednak nie wiedzieliśmy na pewno. Okazuje się, że był nawet dość delikatny. Tak, potem powinienem być jechać do domu. Ale nie miałem siły. Nie sądzę też, aby Frances była w stanie zostać sama w pustym hotelu.

Mniej więcej tyle ci wtedy powiedziałem: że nie mam siły- Ze ścięto mnie z nóg to, co się stało. Pacjent zmarł. Zostanę na noc

Zastanawiam się, czy myślałaś, że chciałem uniknąć świętowania Bożego Narodzenia i obydwu matek.

216

Poczuliśmy się głodni. W dosłownym tego słowa znaczeniu Wyjęła śledzia, nakroiła szynki. Wypiliśmy po kieliszku wódki. Jedliśmy grube pajdy ciemnego chleba. Pamiętam, że miał słodką chrupiącą skórkę. Smarowaliśmy go masłem. Wszystko było smaczne. Pilzner. Cielęce nóżki w galarecie. Kiszka wątrobiana, którą przywiózł jej jeden z gości.

Od Frances bił silny zapach. Nie był nieprzyjemny, tylko silny. Długie, kędzierzawe, rudoczarne włosy opadały jej na ramiona. Farbuje je henną. Tam, gdzie odrastają, widać, że są szpakowate. Krzak na podbrzuszu jest ciemnobrązowy. To prawdziwy krzak. Jeszcze miała na sobie szlafrok. Czegoś takiego nie mogę ci opowiadać. I wcale tego nie robię. Tylko wypróbuję słowa.

Żeby określić nasz nastrój. Nasz głód.

Nie ogoliła nóg. Pewnie dlatego, że była zima i najczęściej chodziła w spodniach lub dość grubych pończochach. Przy dotyku jej skóra była kłująca. Do kolan. Dalej miękka, biała. Potem nic już nie kłuło. Kędzierzawa. Pachnąca. Tam w dole byliśmy jak dwie skołtunione zwierzęce skóry, które ocierają się o siebie. Zwierzęta.

Ma podłużną, gruszkowatą pupę. Długie nogi, mięśnie i ścięgna wyraźnie zarysowane. Brzuch wypięty. Rowek kręgosłupa biegnie w dół do ciemnej szpary między pośladkami. Chcę być tam i wszędzie. Właściwie stale.

Dalej jednak żyjemy w ten skąpy, odmierzony sposób, w jaki człowiekowi przyszło żyć. Wy kalkulowany. Oszczędny, zwłaszcza w słowach. Ale dla tamtych godzin nie ma słów.

W końcu między tobą i mną wszystko się urwało.

li

irawdopodobnie wybrałem złą drogę. A może dobrą. ie wiem.

217

1

Kobiety nie zostały długo. Minął dzień, zanim się zorientował, że ich nie ma, Z powodu swojej bolącej stopy był uwięziony. Przez okno wychodzące na rzekę widział tylko rozhukaną wodę, drgające liście. Kobięce głosy ucichły. Jak głosy ptaków. Kiedy?

Srebrny Lis mignął mu czasem po drugiej stronie wody. Chodził z fuzją. Od czasu do czasu rozlegały się suche trzaski dubeltówki. A więc to on ustrzelił jarząbki. Strzelał w porze lęgu. Miał to gdzieś. Jak Pekka.

Pekka zawsze śmiał się z pouczeń Gudrun. Choć właściwie ona też wcale się nie przejmowała okresem ochronnym. Chciała tylko, aby zachowywali się przyzwoicie.

Jak porządni ludzie, mawiała. W ostatnim roku Johan zaczynał rozumieć, co to dla niej oznaczało. Wszystko musiała wywalczyć. Sezon myśliwski. Zmienianie koszul. Żadnych psów w kuchni. Ma być jak w domu w Byvangen. A najlepiej jak w Óstersundzie.

Vaine strzelał do ptaków drapieżnych. Czasami robił to dla przyjemności. Tak czy owak, brał udział w pobiciu Niemca. Tym razem omal nie posunęli się za daleko. Bracia dopadli Niemca przy strumieniu Róback. Otworzyli bagażnik i znaleźli w nim trzy zamrożone ptaki. Dwa myszołowy i jedną szarą sowę. Ktoś musiał mu je dostarczyć, ale nie dowiedziano się kto. Zadawali Niemcowi ciosy raz za razem. Aż upadł.

218

pastor znalazł go na dole przy potoku. Że też nikt inny, tylko akurat pastor. Vaine śmiał się razem ze wszystkimi. Chociaż wtedy, kiedy to się stało, miał piętnaście lat, więc jego udział nie mógł być zbyt duży. Mały, zły pastorek, mówił o nim. A Niemiec nie złożył oczywiście żadnego doniesienia. Był na tyle mądry. Kilka dni leżał na plebanii.

poprzedni wikary nigdy nie zwracał uwagi na połowy ryb. Za jego czasów na terenach kościelnych byle kto mógł łowić na wędkę, a jeśli nikt nie widział, nawet zarzucić sieć. No i przyszedł ten nowy, i zaczął chodzić na ryby, i cały czas pałętał się po okolicy. Postarał się o łódź i trzymał ją w górze, przy Białej Wodzie. Jednego wieczoru Pekka i Vaine łowili tam na deskę z haczykami. Wtedy zjawił się przeklęty pastor i piskliwym głosem zaczął pleść bzdury.

Na początek zorganizował coś, co nazwał „nabożeństwem leśnym”, i zaprosił ludzi, którzy mieli gadać o tym, jak koncern, spryskując okolicę, zatruwa ją, a także o wyrębie. W to, że on sam stale będzie przebywał w terenie, nikt nie uwierzył.

Wszystko, co nie znajdowało się w mieście lub wewnątrz domu, nazywał „naturą”. Nie tylko skacze po bagnach, mówili starsi. Nauczył się przedzierać przez gąszcze wikliny i przeskakiwał między norami bobrów, nie łamiąc nóg.

Ale nikt się nie spodziewał, że zacznie robić draki o łowienie ryb, i dlatego zniknęła łódź. Rozwiesił ogłoszenie w trzech wsiach: ŁÓDŹ - zielonego koloru - skradziono przy Białej Wodzie. A przecież ludzie się orientowali. I świetnie wiedzieli, kto to zrobił. Gudrun burczała, ale Torsten nie miał chyba nic przeciwko temu, bo ten cholerny pastor przyjechał raz swoim przykającym, śmiesznym samochodem, wszedł prosto do kuchni i powiedział mu, że wie, iż Brandbergowie wylali stary olej do rzeki Czarna Trzcina. Mało brakowało, a marnie

y wyglądaj Ale miał szczęście, w kuchni było pełno ludzi.

219

O tym wszystkim Johan opowiedział Ylji. Wcale nie miał takiego zamiaru, gdy jednak z powodu stopy został uwięziony, jego myśli powędrowały do Gudrun, Torstena i braci.

Nudno było tak leżeć w domu. Siusiał do słoika po kawie, a także się do niego załatwiał. Potem musiał wyrzucać to przez okno, do rzeki. Nie mógł się przecież domagać, aby latała koło niego z nocnikiem. Ale następnego dnia wyszedł.

Przyniosła mu do podpierania się ozdobny kij wędrowny. Samopoczucie poprawiło mu się odrobinę, gdy mógł się załatwiać na dworze. I umyć w rzece. Już nie musi się obawiać, że ktoś go zobaczy, powiedziała. Srebrny Lis także stąd poszedł.

Byli sami. Mimo to nie wspomniała o tym, żeby przeprowadził się na górę, do domu. Wydawała się nim zmęczona, w każdym razie w ciągu dnia. Coś tam robiła na górze. Pisała i czytała. Głupi był, że gadał o Gudrun i Torstenu. Wszystko to brzmiało tak zwyczajnie. Zdawał sobie sprawę, że podoba jej się to, iż jest Saamem. Używała

oczywiście słowa „Lapończyk”. Wyznał przecież, że jest Saamem, całkiem otwarcie, i opowiedział o mężczyźnie na skuterze. Ale teraz wyglądało na to, że przestał ją interesować.

Za dnia nudził się i dużo spał. Był też zmęczony, bo w nocy miała stale na niego ochotę. Dostawał jedzenia, ile chciał, i zastanawiał się, jak wiele wszystkiego one musiały wnieść na górę. Nocami z nim sypiała, ale już nie opowiadała o wielkich lasach czy o Wędrowcu i kobietach. Wprawdzie to było dziecinne, ale niechby sobie nadal mówiła. Stawała się wtedy inna. Łatwiej mu było ją lubić, kiedy snuła opowieści o lasach i ogniskach, które nocami żarzyły się na polanach. Ciemne to były noce, ciepłe. Kobiety chowały się przed Wędrowcem, ciemne liściaste lasy wypełniał śmiech przypominający ptasi świergot. Chociaż ptaki dawno zasnęły w ciemnościach letniej nocy, którymi była Europa. Tym, co

220

jeszcze nie nazywało się Europą, co było liśćmi, bystrymi potokami i porośniętymi lasem górami.

Namówiła go za to, aby opowiadał o Torstenie i Gudrun. Może nie namówiła, bo właściwie o nic nie pytała. Ale słuchała.

- Masz kompleks Edypa - powiedziała jednego wieczoru.
- Wiesz, co to takiego?
- To jest wtedy, gdy się nie lubi swojego ojca.
- Chcesz zabić tatę Torstena i spać z mamą Gudrun
- powiedziała.

Wtedy ją uderzył. W twarz. Pod dłonią poczuł jej miękką skórę. A także kość policzkową.

Później nie był w stanie tego zrozumieć. Nie wiedział, co zrobić, żeby to cofnąć. Jak gdyby się nigdy nie stało. Jakby było tylko sennym koszmarem.

Panował wtedy jakiś ponury nastrój. Byli nietrzeźwi i zmęczeni. Miała strasznie bladą twarz. I nagle, ot, tak sobie, to powiedziała. Ordynarnie. Jak gdyby to był jakiś sprośny żart. Gdy tylko jednak ją uderzył, zaledwie sekundę później, kiedy siedziała z opuszczoną głową i policzkiem najpierw płonącym, potem śladem od uderzenia, dotarło do niego, że ona tylko tak gada, jak zwykle. Ironicznie. Bez ogródek, ale nie serio. Wcale nie myślała, że on chce spać z Gudrun i że fantazjuje na ten temat. Miała na myśli coś innego, jakąś niedorzeczność, bez znaczenia. A on zadał cios. Jak część maszyny. Tłok, który nagle się wysunął. Nie - to mu się przyśniło.

- A więc ty należysz do tego rodzaju ludzi - powiedziała. Miała otwarte usta, nie odrywała od niego oczu. Wyglądała tak jak wtedy, gdy na nim siedziała.

Syn Torstena - dodała, wtedy już wiedział, że za wszelką cenę musi stąd odejść.

221

i

Vemdal zadzwonił we wtorek rano przed ósmą i powiedział, że wysyła człowieka, żeby wzięł od Birgera wszystkie buty z cholewami. Tymczasem dwóch policjantów już tu było. Widocznie Ake o tym nie wiedział. Chcieli o wiele więcej niż tylko buty z cholewami. Grzebali w koszu na śmiecie, trzymali w rękach biały stanik Barbro i oglądali majtki i frotowe ręczniki. Gdy skończyli, położyli stos ubrań na kuchennym stole. Birger sądził, że zaszła jakaś pomyłka, w dodatku to było obrzydliwe. Wyjęli zaświnione ubranie, które wkładał na ryby. Wrzucił je do brudów w dzień świętego Jana. Kalesony były poplamione, przecież przy wjeździe do Czarnej Wody o mało co nie przytrafiła mu się katastrofa. Przeszukali kieszenie jego zielonych spodni i znaleźli masę papierków po miętówkach. Wtedy wezbrała w nim gwałtowna

wściekłość. Poczuł, jak nagle krew zastyga mu w żyłach i na moment chwycił go silny ból głowy. Zapowiedź migreny, która nie nastąpiła.

Jeden z nich otworzył pralkę i po omacku przeszedł bęben. Drugi podważył kratę w ścieku. Użył trzonka małej spiczastej łopaty. Potem ją odwrócił i zaczął wybierać nią szlam ze ścieku do plastikowego pudełka.

Chcieli jego nóż. Ciągle jeszcze wisiał na pasku. Był to dziecinny nóż, pierwszy nóż Barbro. Nigdy jednak nie stała się prawdziwym rybakiem. Nóż miał głębokie żłobki u góry

222

strza. Prawdopodobnie był pomyślany jako nóż do skrobienia okoni.

Zapytali, czy ma więcej noży, a on odparł, co wy, do cholery, sobie myślicie, wyciągnął szufladę i wyjął noże. Noże marki Mora w czarnych plastikowych pochwach, z których kilka nosiło jeszcze ślady farby, ostrza miały zniszczone.

Japoński nóż rybacki Tomasa w drewnianej pochwie, która napęczniała, więc nie mogli wyciągnąć długiego, wąskiego ostrza. Był tam też mały damski nóż, który Tomasz nazywał nożem lapońskim, pamiątka z południa, w pochwie ze skóry renifera.

- No i jeszcze te buty.

- Nie mam żadnych marki Tretorn - powiedział. - To chyba jakaś pomyłka.

Zapytali o inne buty z cholewami, a wtedy, zdjęty wściekłością, przyniósł wiele par z garażu i szopy. Zniszczone, łatanne buty z cholewami. Plastikowe, które popękały od zimna. Tomasa i jego własne, pomieszane. Nosili buty tego samego rozmiaru.

Policjanci niczego nie komentowali, tylko nalepili na nie kartki z numerami i zabrali wszystkie. Musiał pójść na piętro po swoje noże myśliwskie. Szli za nim, a ich oczy wędrowały dookoła. Obejrzelisi stojak na strzelby i szafę ze starą bronią. Zabrali również jego noże.

Przyszedł do gabinetu spóźniony o czterdzieści minut. Marta tego nie lubiła. Nie chciał jej mówić, że była u niego policja. Pomyślał, że wyjdzie i kupi coś do popołudniowej kawy, żeby ją udobruchać. Jeśli znajdzie chwilę.

To siostra Marta kierowała gabinetem. Wszyscy wiedzieli, że ona decyduje, komu wyznaczyć wcześniejszy termin wizyty i kto powinien się zgłosić poza kolejnością w nagłym wypadku - U G Birger zaczął przyjmować w Byvanger, bał się jej.

223

U

O trzeciej weszła i powiedziała, żeby poszedł na posterunek policji. Udało jej się oznajmić to takim tonem, jakby sama o tym zdecydowała.

Akego nie było. Za biurkiem siedział zupełnie obcy mężczyzna, starszy od Vemdala, ze szczesnymi do przodu siwiejącymi włosami. Przy bocznym stoliku umundurowany policjant obsługiwał magnetofon.

Później Birger nie mógł sobie przypomnieć przesłuchania, pamiętał tylko jakieś pojedyncze, oderwane zdania. Wrócił do domu dopiero o szóstej. Trwało to bez mała trzy godziny.

Tego wieczora nic nie jadł. Był zbyt zmęczony, żeby coś przygotować, w dodatku czuł mdłości. Głędzili o Danie Ulanderze. O pozostaniu na noc. O namiocie. Świetnie wiedzieli, że Barbro nie nocowała w namiocie.

- Ale ty myślałeś, że ona spała w namiocie, tak?

Nie wiedział, co myślał. Raczej nie przypuszczał, by ktoś rozbijał namiot tak wysoko w górach w sobótkę. Był to przecież jeszcze czas wiosennego przyboru wód. Zznał, że nie wiedział i nadal nie wie, kim jest Dan Ulander. Siwiejący policjant powiedział, że to nieprawda. Spotkali się. I do pewnego stopnia miał rację. Ponieważ to właśnie Ulander chciał ratować tamtą rzekę.

Wiele gadania było też o tym, że pojechał do Czarnej Wody. Mimo że znajdował się tak blisko, jednak nie szukał swojej żony. A jak, do cholery, miałem to zrobić? Po prostu ruszyć w góry?

Nie niepokoił się o nią? Pamiętał pytanie, ale nie pamiętał, co na nie odpowiedział. Podczas całego przesłuchania myślał

o tym, że Barbro znalazła się w bardzo złej sytuacji. Skłamała i powiedziała, że Ulander jest jej synem. Próbował gorliwie wytłumaczyć, że tylko sobie tak zażartowała. Jest o tyle starsza od Ulandera.

Skąd to wie? ;i

224

Tak, skąd to wie? To przecież widać. Albo może ona tym mówiła? To był taki rodzaj żartu... między ludźmi,

którzy...

Między kochankami?

Ale świnia. Co za słowo. Jak z telewizyjnego serialu. Cholerna przeklęta świnia.

Ale tamten wcale się nie przejął. Przeciwnie: zadawał żenujące, natarczywe, uwłaczające pytania. I Birger odpowiadał. Czuł się tak, jak gdyby utracił całe męstwo, cały autorytet. Ze zmęczenia. Z odrazy do powtarzania w kółko tego samego i do tych pytań, których już wcześniej się nasłuchiwał, póki nie padło ostatecznie. To pamiętał, bo na nie łatwo było odpowiedzieć.

Czy w jakiejś chwili odszedł z miejsca, gdzie łowił ryby podczas nocy świętojańskiej? Nie. Nigdzie nie odchodził. Cały czas był z Akem Ve-mdalem.

Obudził się w środku nocy. Szarzało. Szyby były zroszone. Pomyślał o tym, dopiero gdy dawno zaniechał prób, aby ponownie zasnąć. Wreszcie będzie padać.

225

Barbro powiedziała, że nie chce zabierać niczego dopóty, dopóki Tomas jeszcze tam mieszka. Ma prawo żyć w otoczeniu, do którego przywykł. Nie użyła słowa „dom”.

Może tylko wtedy, gdy rozmawiała z Birgerem, wyrażała się tak sztucznie. Albo może wcale nie polegało to na doborze słów, tylko na tym, że były wypowiedzane z metalicznym podżwiękiem - wibrująca membrana, elektrycznie ładowana materia.

Od świętego Jana rozmawiali ze sobą tylko przez telefon.

Zobowiązał się, że ze względu na Tomasa utrzyma dom w takim stanie, w jakim się znajdował, zanim odeszła. Sprzątał w sobotnie przedpołudnia. Kupował kwiaty. Nie chciał wychodzić, aby nazrywać polnych. Zabierało to mnóstwo czasu i wydawało się zbyt patetyczne.

W salonie miały być tylko białe kwiaty lub zielone liście i trawy w szklanym wazonie.

Kupił biały cyklamen, ale kwiat zwiędł. Zbyt obficie go podlewał, powiedziała sprzątaczką, która zaczęła teraz przychodzić. Nie miał czasu sprzątać, a Tomas zawsze znalazł jakąś wymówkę, żeby się wykręcić od pomocy. Birger chciał skończyć malowanie ornamentów na zewnątrz, zanim nadejdą jesienne deszcze, i uświadomił sobie, że sam nie da rady zajmować się domem. Choć o wzięciu kogoś do pomocy myślał niechętnie. Tak było przez cały czas, ale nie mówił o tym ani też nie protestował, gdy Barbro znalazła sprzątaczkę.

226

Właściwie to było szalenie proste. Chciał mieć spokój. Chciał mieć jakieś miejsce, gdzie będzie absolutnie sam. Żadnych komentarzy. Żadnego zaglądania do niego. Nie życzył sobie, żeby w ogóle mówiono o tym, jak jest w domu u doktora.

W każdym razie przyjął sprzątaczkę, ale rezultat nie był taki, jakiego oczekiwał. Gdy przejechała po mieszkaniu odkurzaczem i różnymi ścierkami, coś się zmieniło. Może zapach? Zamoczyła ścierki w chemikaliach. Przypuszczalnie nie był to środek,

którego używała Barbro. I niektóre rzeczy nie znosiły wody. Spojrzał na delikatne, przypominające jedwab brzoźowe drewno i zastanawiał się, czy zmatowiało. Chciał zachować piękno tych pomieszczeń, a przynajmniej specyficznie jasne, niemal przezroczyste piękno dużego salonu. Szklane ptaki w oknie, ich lekkie, niepewne drżenie, gdy człowiek stąpał po podłodze z desek, które miały sto pięćdziesiąt lat, ale były zdrowe i wyfroterowane do lekko matowego połysku. Przekonał się, że utrzymanie szkła w czystości jest trudne. Ujawniło się to zwłaszcza przy wazonach z fińskiego szkła littala. Sprzątaczką stłukła też jeden z kielichów o skrzyconej nóżce, stojący w oknie. Położyła kawałki na gazecie razem z wyjaśnieniem, napisanym nieprawdopodobną ortografią. Musiała pojąć, że kielichy są kosztowne, bo następnym razem, patrząc na nie, powiedziała:

- Żaden człowiek i tak nie mógł z nich pić.

Nie uszło jego uwagi, że jej głos brzmiał jawnie wrogo. Siedem kielichów wyglądało jak zwinięte kwiaty, które wyciągają się do światła.

Nie, nie można z nich pić - powiedział tylko i uświadomił sobie, że się jej boi.

227

Nikt już do niego nie przychodził. Wprawdzie nie zapraszał ludzi, ale też i oni nie zaglądali. Był zadowolony, że ma spokój, mógł się zająć wygładzaniem za pomocą papieru ściernego i malowaniem drewnianych esów-floresów na zewnątrz, które według niego nadawały charakter temu staremu domowi.

Może spodziewał się, że ktoś zadzwoni i zaprosi go na obiad lub kolację. Byli to jednak przyjaciele Barbro, chociaż przedtem nigdy sobie tego nie uświadamiał. Sam nie miał czasu na podtrzymywanie własnych przyjaźni. Nikt z nich nie zadzwonił, żeby się dowiedzieć, co u niego. Stanęli wszyscy po jednej stronie? To znaczy, przeciwko niemu? Czuł się winien, ale o tym nie mogli przecież wiedzieć.

Chwilowo był zadowolony, że nikt mu nie przeszkadza malować, ale na dłuższą metę nie mógł przecież nie zauważyć, że jego życie się po prostu wali. Przyszło mu na myśl rozkładające się mięso. Coś szarobiałego. Namoczony sztokfisz. Absurdalny obraz, który długo stał mu przed oczami.

W każdym razie gotował obiady. To sobie przyrzekł i tego dotrzymywał.

Sąsiadów nie widywał w ogóle. Prenumerowali wspólnie „Óstersund Post”, ale nie miał czasu iść do nich, by wziąć gazety. Zawsze robiła to Barbro. Zwykle czytywał prasę w gabinecie, tak więc jakiś czas trwało, zanim dotarło do niego, że sąsiedzi nie przynoszą mu gazet. Zresztą przedtem też tego nie robili.

Pewnego wieczora spotkał przed kioskiem Karl-Akego, który bez żadnych wstępów poprosił go, aby zajął się lnem-Z początku Birger w ogóle nie wiedział, o czym tamten mówi. Ale potem przypomniał sobie, że Barbro pożyczyla czy też wydzierżawila skrawek ziemi i najęła sąsiada, by ten kawałek zaoarał i zabronował. Teraz był on obsiany lnem-Wieczorem Birger powlókł się i znalazł zagon, który osypywał się niebieskimi kwiatuskami. To taki widok, że d

228

czasem ani

zapiera> powiedział potem do Karl-Akego. Tymc Karl-Ake, ani Birgit nie rozumieli, że Birger ma na myśli piękno tego poletka. Siedzieli przy kuchennym stole i domagali się, aby usunął len. Zgodnie z prawdą powiedział, że nie wie co ma z tym robić. To był pomysł Barbro. Wpadła nań wspólnie z innymi członkami regionalnego towarzystwa etnograficznego, jak mu się zdawało.

- Może mógłbyś go skosić? - spytał sąsiada. - Albo zaoarać.

Karl-Ake zrobił tak dziwną minę, że Birger dodał:

- Oczywiście zapłacę ci.

Z jakiegoś powodu Karl-Akego ogarnęła wściekłość. A może to był tylko pretekst, aby wyrzucić z siebie gorzki, zadawniony gniew, który wzbierał w nim od dawna?

- Zapłacę! Myślisz, że to załatwia sprawę? Len to cholerne zielsko. Nie da się zaorać. Rozsiewa się i znowu wschodzi.

- No, to nie wiem, co zrobić - odparł Birger niepewnie.

- Powinniście byli o tym pomyśleć, kiedyście siali.

Nie byłem przy tym, chciał powiedzieć. Nic nie wiem o Inie. Wyszedł od Karl-Akego i Birgit, skinąwszy głową na pożegnanie. Udał, że mu się spieszy. Muszę się nad tym zastanowić, pomyślał. W tym jest coś dziwnego. Wrogiego.

Przypomniał sobie, jak Barbro po poronieniu wybuchnęła kiedyś gwałtownymi skargami na sąsiadów. I wtedy gdy on chorował na gripę. Śnieg sypał przez cały styczeń. Musiała odśnieżać, na wpół żywa ze zmęczenia. Podjazd Karl-Ake przejechał pługiem, jak zwykle. To było uzgodnione i Birger 2a to zapłacił. Ale przez te trzy tygodnie ani razu nie zaproponował, że odgarnie łopatą śnieg aż do ganku. Żartował z Barbro. Kpił z niej, tak mówiła. Teraz musisz się trochę namęczyć. Teraz wiesz, jak to jest, nie?

A jeśli miała rację? Krzątała się po domu i przypuszczalnie to głównie ją dotyczyły przejawy ich wrogości. Zazdrości

229

WĘŃ"

o życie, które uważali za łatwe, ponieważ było wolne od pracy fizycznej. O bezpieczeństwo materialne wynikające z posady Birgera. O jego pensję. Uderzyło go, że musieli wiedzieć, ile zarabia. Raz usłyszał pewien komentarz. Wtedy puścił to mimo uszu. Przypomniał sobie jednak, że przemknęło mu wówczas przez głowę: dane muszą pochodzić z deklaracji podatkowej, bo istotnie suma się zgadza.

Niektórzy to mają dobrze, powiedział raz ojciec Karl--Akego, kopiąc ziemniaki na kartoflisku, gdy Barbro przechodziła obok. Pracowała wtedy nad gobelinem dla okręgowego oddziału opieki zdrowotnej, mającym przedstawiać czarne jagody w proteście przeciwko herbicydom (choć jak się patrzyło na powiększone owoce jagód na tkaninie, nie było to tak wyraźnie widoczne) i przesiadywała nad robotą absurdalnie długo, od świtu do nocy.

Musieli wiedzieć, że jeździ jak wariat po swoim wielkim rejonie. Przez całą dobę był do dyspozycji. Często zasychało mu w ustach z braku snu i niepokoju, że postawił złą diagnozę. Sypiał jak zając. Nigdy nie liczył na prawdziwie wolny czas ani na całkowity urlop. A mimo to: niektórzy to mają dobrze!

I sam też tak myślał. Tamci swym nietaktownym dowcipkowaniem, które nie było niczym innym jak przejawem zazdrości, doprowadzali do tego, że czuł wyrzuty sumienia. Wyrzuty, których nie chciał czuć i nie powinien.

Zapomniał o Inie. Nie, nie zapomniał. Po prostu przestał o nim myśleć. Ponieważ zaproponował Karl-Akemu pieniądze, żeby zlikwidował poletko. Uwolnił się od niego; zresztą, na dobrą sprawę nigdy nie miał z nim nic wspólnego.

Postanowił urządzić proszoną kolację, bo zdał sobie sprawę, że wpada w coś, co mógłby, stawiając żartobliwą diagnozę, określić jako paranoję. Gdyby tylko dotyczyła kogoś innego. Zadzwoił do Akego. Powinien był to zrobić już

230

dawno. Wytworzyła się dziwna sytuacja: mimo tak intensywnego przesłuchania nie miał żadnych wieści z policji, o niczym go nie powiadomiono. Przemknęła mu przez głowę paranoidalna myśl: podejrzewają go o to, że poszedł nad Lobberan i dźgał nożem w tkaninę namiotu, w przekonaniu, że leży tam Barbro z Ulanderem. Po

jakimś czasie się uspokoił. Wtedy właśnie zadzwonił do Akego i powiedział, że zamierza rozmrozić kawałek dziczyzny.

- Dziękuję - odparł Ake drewnianym głosem - ale akurat teraz w żaden sposób nie mogę.

Mógł nawet wybrać dzień. Ale nie chciał przyjść.

Po jego odmowie ogarnęło Birgera współczucie dla samego siebie, tak głębokie, że nawet nie potrafił się z tego śmiać. Myśli przemykające mu przez głowę były rozproszone, miały jednak charakter obsesyjny. Krążyły wokół sąsiadów, sprzątaczk (odeszła bez podania przyczyny) i Akego Vemdala. Stwierdził, że jedyną osobą, która się nie zmieniła, jest cholerna Marta. Ale ona z kolei nigdy nie była zbyt sympatyczna. Dawła mu reprimendy za wszystkie wizyty lekarskie, z którymi bywał u sąsiadów i nie brał za nie pieniędzy, za lekarstwa, które dawał im z własnej apteczki. Straszliwie tęsknił za Barbro. Nie pomógł wypad do Óstersundu i spotkanie z Frances. To był inny świat. Ona nie pojęłaby wagi tego, co się działo dokoła niego. Dla niej byłyby to błahostki. Podnoszenie gazet spod drzwi. Obsypane kwiatami pole Inu. Odejście sprzątaczk.

Zatelefonował do matki Barbro, a także do jej braci. W końcu złapał ją samą.

Podczas rozmowy z nią chwycił go jakiś skurcz, z trudem łapał oddech. Jej głos był tak niski i głęboki, ciemny jak zawsze. Ciemny jak włosy, oczy 1 niebieskobrunatna skóra na powiekach. I w zagłębieniach, które stawały się widoczne głęboko poniżej pachwin, gdy rozsunęła nogi.

231

i

Gdy skurcz w piersi ustąpił, zaczął nim wstrząsać szloch. Krzyczała do słuchawki, bo nie pojmowała, że on płacze. Sam też tego nie pojmował. Prosił, żeby przyjechała do domu. Później nie mógł zrozumieć ani tego, że to powiedział, ani tego, że płakał. Ale przyjechała.

Nastaly trzy nierzeczywiste dni, które pozostały mu w pamięci, jak gdyby to było zaledwie kilka godzin. Najpierw pił za dużo podczas kolacji, a przede wszystkim jeszcze później, wieczorem. Zbudził się przed telewizorem w hallu na piętrze, sam, drzwi do sypialni były zamknięte.

Żadne z nich nie wspomniało jeszcze o tym, co zaszło. Ona sprzątała, on próbował wyjaśnić, co się stało z roślinami doniczkowymi. Potem chciała, aby usiedli w salonie. Zaczęła do niego mówić i rozpoznawał niemal wszystkie słowa, które wypowiadała podczas tamtych beznadziejnych dni wczesną wiosną. Cały czas mówiła o ludziach, z którymi czuje bliski związek, którzy nie chcą dłużej żyć, akceptując takie warunki. Jakie warunki? I dlaczego mówi o ludziach? On nazywa się Ulander.

Birger nalał sobie whisky, a ona dość ostro powiedziała, że musi jej wysłuchać.

Oznaczało to: dziś nie wolno ci spać. Czuł się trochę niepewnie, ale miał jak najlepszą wolę. Gdy tak mówiła już bez mała godzinę, zadzwonił telefon. Dzwoniła matka chłopczyka, który miał zapalenie ucha środkowego. Byli oboje u niego w gabinecie dziś po południu. Teraz dziecko wypluło penicylinę. Wytłumaczył, co kobieta ma zrobić. Odbyli jeszcze dwie rozmowy, zanim dziecko połknęło odpowiednią dawkę.

Barbro powiedziała, że nie powinien pozwalać pacjentom dzwonić wieczorami do domu, a on odparł, że wcale im nie pozwala. Mimo to dzwonią. Wtedy poszła na górę i położyła się.

232

Następnego wieczora stanowczo zażądała rozmowy. Trochę się przestraszył i poprosił, żeby się nie złościła, jeśli zadzwoni telefon.

_ Nie zadzwoni - odparła.

Nie zrozumiał, co miała na myśli. Pilnował się, żeby sobie nie nalać whisky, zaparzył natomiast kawę. Czekala, dziwnie poirytowana, i nawet nie tknęła kawy. Potem zaczęła mówić, w końcu się rozplakała. Czuł się całkowicie bezradny. Nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. W głowie miał pustkę.

Mówiła i płakała, aż dostała spazmów. Ale nie miał pojęcia, o co jej chodzi, gdy się skarżyła na samotność, ciszę i jego obojętność.

Oświadczyła, że jego impotencja wynika także z obojętności. Poczuł niemal ulgę, że uważa go za impotentą. Powiedziała: pewien rodzaj nieczulej, ociążałej obojętności, która właściwie jest polityką. Używała takich słów jak „mieszczkański” i „cyniczny”, aż doszedł do wniosku, że nie ma żadnego powodu, dla którego miałby wysłuchiwać takich bredni. Dlatego zaczął jej opowiadać o swojej pracy, jazdach do chorych, wypadkach drogowych, samobójstwach, o przypadkach znęcania się i innych sprawach, o których bardzo dobrze wiedziała wcześniej. Nie pojmował, dlaczego upokorzył się, wygłaszając tę litanię. Nie wiedział, jak to się stało, że znaleźli się na górze. Leżała w łazience na podłodze i dłońmi biła się po twarzy.

Pochylił się nad zeszywniałym i napiętym ciałem Barbo i próbował ją podnieść. Czuł, jak ziębła od leżenia na podłodze. Odepchnęła go i dalej biła się po twarzy.

Zaproponował, że da jej coś na uspokojenie. Wtedy uderzenia i krzyk ustały na parę sekund, tak nagle, jak gdyby zatrzyma-no maszynę. Niemal normalnym głosem powiedziała, że przez wiele lat próbował otumaniać ją tabletkami.

Wyszedł więc z łazienki. Wziął swoją pościel i zamierzał położyć się na kanapie w salonie. Na górze nie było jednak

233

cicho. Dochodziły do niego jej spazmatyczne szlochy i był przekonany, że słyszy także uderzenia w policzki. Wyszedł.

Na dworze było chłodno, czuło się wilgoć. Głęboko wciągnął w płuca nocne powietrze i wydawało mu się, odzyskał oddech. Ale zaczęła go boleć głowa, iskrzący ból i umiejscowił się tuż nad oczami. Birger usiadł na schodach i z twarzą ukrytą w dłoniach, słyszał samochód i kroki na! żwirze, ale dopiero gdy poczuł czyjąś rękę na ramieniu dotarło do niego, że ktoś wszedł do ogrodu.

Była to Marta w płaszczu przeciwdeszczowym nałożonym na nocną koszulę.

Zapytała, dlaczego nie odbierał telefonu. Przy granicy zdarzył się wypadek samochodowy. Karetka z Óstersundu nie mogła tam pojechać, bo ktoś wezwał ją piętnaście minut wcześniej, więc Ivar Jonsson wyruszył po rannego swoją taksówką. Birger musi jednak wyjechać naprzeciw Ivara, który się boi, że mężczyzna może się wykrwawić, no i rannemu trzeba dać jakiś środek przeciwbólowy. Weszła z nim do domu i już w hallu usłyszała krzyki. Spojrzała mu prosto w oczy, a on nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Jedź - odezwała się. - Zajmę się tym.

Gdy wrócił nad ranem, Marta siedziała w salonie i rozwiązywała krzyżówkę w starym numerze „Óstersund Post”. Zaparzyła sobie kawę i znalazła koc, którym owinęła nogi. Poinformowała go, że Barbro śpi i że telefony są znów włączone.

- Nie wiedziałem, że były wyłączone - odparł Birger. W pokoju było teraz zupełnie jasno, widział wyraźnie siwe

nitki w piaskowożółtych, skręconych mocną trwałą ondulacją włosach Marty, a także włoski nad jej górną wargą. Wydawało mu się, że powinien coś powiedzieć na temat Barbro, ale okazało się to niepotrzebne. Marta oznajmiła, że widziała więcej takich, którzy dostali rozstroju nerwowego.

234

Te przesłuchania doprowadzają ludzi do szaleństwa. Powinni z tym skończyć. To i tak się na nic nie zda. Najlepiej byłoby dać temu spokój. To za bardzo jątrzy. Nie wiedział, czy naprawdę tak myślała. Marta, którą znał iako dość surową moralistkę, zawsze miała własne zdanie o różnych sprawach. Posiadała instynkt medyczny i talent organizacyjny, od którego on sam stał się zależny. Gdy odjechała, uświadomił sobie, że to, co powiedziała, uważa za rzecz naprawdę wartą rozważenia.

Jeśliby tylko człowiek wiedział, że to się nie zdarzy ponownie - cóż wielkiego by się stało, gdyby dać temu spokój? Potraktować sprawę jak klęskę żywiołową. Albo nieszczęśliwy wypadek. Obsunięcie się ziemi. Czy rzecz kiedykolwiek zostanie wyjaśniona, jeśli nawet zdołają ująć tego, kto trzymał nóż?

Wiedział, że zabójcy często mają niewiele wspólnego z ofiarą. A ten, który tam, na górze, nad Lobberan, chwycił długi, ostry myśliwski nóż - jaki ma z tym wszystkim związek?

Myśli mu się mąciły, czuł wielkie zmęczenie. Wziął koc, którym Marta przedtem owinęła sobie nogi, i położył się na kanapie. Dostyć szybko zasnął, a gdy się obudził, usłyszał, że Barbro jest w kuchni.

Był całkowicie przytomny, zbudziły się w nim nowe uczucia. Klarowne i przejrzyste. Pragnął, żeby sobie pojechała i nigdy nie wracała. Ale nie chciał tego powiedzieć. Tęsknił do swojej samotności i uregulowanych, niemych dni. Do gabinetu, pokoju zabiegowego i mrukliwej Marty. Malowania po powrocie do domu. Puszek piwa. Do popularnonaukowych audycji w telewizji i wariacji Goldbergow-skich. Prognoz pogody. Zaprenumeruję także „Óstersund P°st”, pomyślał. Sam.

235

Wyjechała tego samego dnia, a przedtem niewiele się siebie odzywali. Nie skomentowała malowania werandy? Prawdopodobnie nawet nie zauważyła, jak daleko się posunął z robotą.

236

Nie można żyć na świecie, nie żyjąc 2 niego.

Te słowa tak dźwięczały jej w głowie, iż uświadomiła sobie, że nie wymyśliła ich sama. Dlatego, gdy się zebrali, obeszła wszystkich dookoła, pytając, skąd się wzięły. Petrus odpowiedział:

- Jeśli mówiąc „świat”, masz na myśli naturę, to prawda.

Annie odparła, że nie sądzi, aby świat oznaczał naturę, i że ona chce tylko wiedzieć, skąd się wzięły te słowa. Tego nie wiedział. Posłał jej długie spojrzenie. Pewnie uznał, że znowu się czepia.

Nie miała pojęcia, czy rzeczywiście się czepia. Było jej naprawdę dobrze. Dzień ciepły, a od obsypanego kwiatami pastwiska niósł się słodki zapach. Stary baran, przewodnik stada, zrobił się teraz tak ufny, że wsuwał pysk w rękę Annie. Stał nieruchomo i przelewał ciepło w jej dłoń. Gdy kulka trawy wróciła mu z żołądka do pyska i zaczął przeżuwać, poczuła jego łagodny oddech, przesycony zapachem jedzenia.

Nie, świat nie oznaczał natury. Bert, który też nie wiedział, skąd są te słowa, ale wydawało mu się, że już je kiedyś słyszał, zapytał natychmiast:

Uważasz, że świat to społeczeństwo?

Nic nie uważam. Zastanawiam się tylko, co to takiego.

237

- Daj temu spokój - poprosił wieczorem Dan. Powiedział to cichym głosem. Właściwie brzmiało to jak błaganie. Ukłuło ją poczucie winy.

Bez względu na wszystko świat wypełniały głosy kukulek Widziała kukułkę. Z początku myślała, że to jakiś ptak drapieżny, który opadł na niski świerk. Z lasu płynął silny zapach zgnilizny, zmieszany z delikatnie kwaskowym aromatem czerwonawych szyszek, wiszących na koniuzkach świerkowych gałęzi. Przykucnęła na mchu. Głos ptaka przerwał ciszę i zdradził jego obecność.

Kiedyś ludzie uważali, że gdy lato się kończy, kukulka zamienia się w jastrzębia, który uderza wtedy z wysuniętymi pazurami, dziób ma zakrwawiony. Krzyk ptaka niósł się po lesie jak dzwonek. Była tak blisko, że widziała ciemnoszare piórka na szyi, drżące przy każdym dźwięku. Siedział ze złożonymi skrzydłami, jedynie ogon mu sterczał, na czarnych piórach widniały białe plamki.

Gdy znów się zerwał, zawróciła ku domowi. Kiedy po raz pierwszy zeszła w dół pastwiska i ruszyła wzdłuż strumienia, wśród pokrytych czarnymi porostami drzew, nagle, w pół kroku, chwyciło ją przerażenie. I nie wywołał go żaden dźwięk. Strach płynął od wewnątrz. Lodowaty i bezlitosny, zbudzony instynktem, którego istnienia w sobie w ogóle nie podejrzewała. Odwróciła się natychmiast i zaczęła biec z powrotem. Gdy znalazła się koło drewnitni, siadła tuż przy drodze, aby jej dzieci nie zobaczyły. Siedziała tam, póki nie wrócił jej spokojny i regularny oddech.

Nigdy nie mówili o tym, co się wydarzyło nad rzeką. Dwaj policjanci przeszli całą drogę od obejścia Strómgrenów i na nowo przesłuchali ich w chacie Petrusa i Brity. Dzieci musiały pozostać na dworze, w upalnym słońcu.

Petrus orzekł potem, że skoro teraz chcą wszystko usłyszeć jeszcze raz, to znaczy, że śledztwo utknęło. Ale cierp-

238

Iwie powtórzył im wszystko to, co mówił, gdy przesłuchiwali go u Strómgrenów. Więcej już o tym nie rozmawiali.

A więc wyglądało na to, że można żyć tutaj i w ogóle nie myśleć o tym, co się wydarzyło nad Lobberan. To było anomalią. Czymś niezwykłym. Jak gdyby kukulka rzeczywiście stała się jastrzębiem, ten jeden jedyny raz.

Według Petrusa ten jeden raz w ogóle nie miał znaczenia. To tylko wieczorne gazety rozdmuchują wszystko, co nie jest typowe. Ale Annie zapytała, czy przypadkiem anomalie nie mogą być źródłem tego, co potem należy do normalnego porządku świata - do natury, jak to nazywa Petrus. Na przykład mutacje, wyjaśniła, patrząc, jak wszyscy gapią się na nią okrągłymi oczami. Wypomnieli jej łagodnie, że nadmiernie intelektualizuje swoje problemy, i wykrzyknęła wtedy. „Moje problemy?!”. W tym samym momencie Dan pochylił się nisko nad swymi znoszonymi lapońskimi butami i domyśliła się, że powstrzymuje śmiech. Znowu ogarnęła ją wesołość zmieszana z pożądaniem. Nie była już w stanie siedzieć dłużej w spokoju i wysłuchiwać ich wieczornych sprawozdań. Dan jak zwykle siedział w silnym słońcu, które wpadało przez okno i zapalało pojedyncze kosmyki jego popielatoblond włosów. Próbował ukryć twarz, a jego długie włosy spłynęły ku podłodze jak rzeka światła. Annie poczuła dziką tęsknotę, aby wziąć je do ust. Nie potem. Teraz. Teraz, zaraz.

Najpierw jednak coś sobie zapisała. Wyjęła notatnik, gdy tylko wrócili do swego pokoju, bo nie chciała tego zapomnieć. To, co nieobliczalne, dzikie i chaotyczne leży u podstaw tworzenia w naturze, musi także istnieć na świecie. W cywili-ZacJ1- Czy świat jest rzeczywiście przewidywalnym ciągiem kulturowego i ekonomicznego porządku, jak się go teraz °Plsuje? Czy jest tak niepodobny do natury, która w każdej ww może zwymiotować albo wypluć z siebie anomalie?

239

Dzika natura? Czy świat naprawdę nie stanowi w pewnym sensie natury?

Moment minął. Dan zebrał włosy w gruby koński ogon i związał go gumką obciążoną materiałem, którą mu dała aby nie niszczył ich zwykłymi gumkami. Mogła wyczuć jego irytację jak kinetyczny niepokój w pomieszczeniu. Drżało szkło, spadały książki. Choć przecież nie naprawdę, przekonywała siebie samą, próbując zachować spokój ze względu na Mię. Udawać, że nie dostrzega zmian jego nastroju, które niestety zbyt często sama powodowała.

Nie przejęła się zanedo tym, że go zirytowało jej filozofowanie. W pewnym sensie oznaczało to przecież, że przyznaje jej rację, ponieważ kiedy Petrus wyjaśniał znaczenie słów, Dan najwyraźniej z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Gdy doszli do omawiania poszczególnych osób, w ogóle nie mogli już dyskutować. Mimo to nie wiedziała dokładnie, jakie są relacje między Danem i Petrusem. Niezależnie od tego nie zamierzała zaniechać takich rozważań. Było to coś nowego i sprawiało jej przyjemność. Przypominało pływanie albo bieganie. Od czasu do czasu przemykało jej przez głowę, że takie życie jest idealne. Praca fizyczna i snucie refleksji. Wpatrywanie się w chmury i górskie zbocza, drzewa, ptaki. Zapachy owczych skór i trawiastej skóry ziemi. Ciepła skóra Dana. Woda. Czysta, szemrząca woda. Głosy dzieci.

Stała jej przed oczami poparzona skóra na plecach dziecka, dziewczynki w tym samym wieku co Mia. Dziewczynka biegła po bombardowanej szosie, ale ściśle biorąc, poruszała się według wzoru. Przyprawiający o mdłości ład, który wypalił mapę swego wzoru na jej plecach i ramionach-

- Czy tak to jest? Czy tę dziewczynkę też objął ów ład.
- spytała Annie Berta. Nie wzbraniał się odpowiedzieć, że istotnie tak jest.

240

— A w Kambodży? Czy tam się utrwała jakiś nowy ład?

Tę głos stał się piskliwy. Zobaczyła to w brązowych - psich, brązowych - oczach Berta wyraźniej, niż usłyszała. Odrzekł, że wojna domowa była okrutna. Ich ład był okrutny. Ale potem nastał nowy ład. Nowy świat.

Świat? Twierdził zatem, że powinna zapanować okrutna wojna domowa na całej ziemi, a potem - nowy świat?

241

Przed południem Ylja przyniosła mu herbatę i powiedziała, że idzie na górę do samochodu. Musi pojechać po zakupy. Nie zapomniała też o dodatkowych kanapkach. Wyglądało więc na to, że przyjęła za rzecz oczywistą, iż w czasie jej nieobecności on nie wejdzie do domu. Jeśli tylko Ylja zacznie grzebać w wewnętrznej kieszonce torby, chcąc wyjąć pieniądze, odkryje, że on już to zrobił. Kiedy ona odejdzie, będzie musiał wspiąć się do drogi i spróbować ruszyć autostopem, nie zważając na ból stopy.

To, że ją uderzył, nie wpłynęło na zmianę jej nastroju. Nie wydawała się przestraszona. Ani też specjalnie zła. Raczej lekko wzgardliwa. Czyż jednak przez cały czas taka nie była?

Leżał pół godziny. Bał się czekać dłużej. Musi dotrzeć do drogi i złapać samochód, zanim ona wróci.

Nie wziął ze sobą niczego poza kijem, pieniędzmi i swoją bluzą, którą związał na biodrach. Komary były dokuczliwe, ponieważ posuwał się bardzo wolno. Nie mógł porządnie oprzeć się na stopie. Obrzęk wyraźnie się zmniejszył i dopóki Johan leżał, nawet nie czuł bólu. Teraz jednak okazało się, że z nogą jest fatalnie. Mimo to musiał okrążyć jezioro, żeby dostać się do węgorza. Nie zamierzał pozwolić mu zginąć z głodu w klatce na szczury.

Powinien go wypuścić, ale gdy dobrze schwycił klatkę, wydało mu się, że zdoła dotrzeć z nią do drogi. Węgorz dosc

242

długo Wytrzyma bez wody. Przywiązał sobie klatkę do pasa i z mozołem posuwał się po rozmokłej ścieżce. Kij grzął

ziemi, a wtedy Johan tracił równowagę. W końcu musiał nierać się na stopie, która zaczęła boleć. Po godzinie doszedł zaledwie z powrotem do szerokiej ścieżki. Za jakąś godzinę albo dwie ona będzie wracała tędy od samochodu. Musi nadłuchiwać, żeby usłyszeć jej kroki na ścieżce i schować się, zanim go zobaczy.

Posunął się paręset metrów. Gdy opadł na kolana, między sosnami i małymi świerczkami porastającymi mokradło mógł jeszcze dostrzec jeziorko. Mimo że ziemia była mokra, musiał usiąść. Ból od kostki promieniował długimi, równymi uderzeniami, niby tętno. Johan sądził, że przejdzie, jeśli chwilę odpocznie, ale nie mijał. Z początku nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o bólu. W końcu zrozumiał, że nie zdoła wejść na górę. Przemarzał od wilgoci mokradła. Komary atakowały mu twarz i przeguby rąk. Czuł się jak zaszlach-towane zwierzę na miejscu uboju, w lesie. Ale jeszcze odczuwające ból.

Nie słyszał, kiedy nadeszła. Nagle znalazła się obok niego i to był jedyny raz, gdy zobaczył, że dosłownie osłupiała. Wiedział, że twarz miał pogryzioną przez komary, oczy spuchnięte. Mogła pomyśleć, że płakał. Może zresztą tak było. Ta ostatnia godzina czy godziny prawie zatarły się w jego świadomości. Co chwila patrzył na zegarek, ale czas odbierał jako coś statycznego. W suchym powietrzu czarne porosty wyginały się sztywno. Każdy lekki powiew na kilka sekund odpędzał owady od twarzy. Ale ból stopy nie ustawał. Pulsował niczym mechanizm Zegara, który chodzi według własnego czasu.

Dźwignęła go i musiał się na niej oprzeć. Gdy zobaczyła klatk

C. z węgorzem, zerwała ją z niego i wrzuciła do jeziora.

243

Krzyczał i przeklinał. W jakiś sposób musiało to ją poruszyć bo odszukała linę, która zaczepiła się w łożynie na brzegu i wyciągnęła klatkę. Później jednak nie zrobiła tego, co jej kazał, tylko otworzyła klapę w dnie i wytrząsnęła węgorza. Johan zaledwie zdążył zobaczyć, jak błysnął i zaraz zniknął w głębokiej czarnej toni. Doszedł do przekonania, że nie była warta żalu i wstydu, jaki odczuł po uderzeniu jej w twarz. W drodze powrotnej nie odzywali się do siebie. Musiał opierać się na niej całym ciężarem. Chwilami wydawało mu się, że go prawie niesie.

Gdy weszli do szopy, pragnął jedynie, aby go zostawiła w spokoju, ale nie miał odwagi tego powiedzieć. Cały czas myślał o pieniądzach. Musiała zauważyć ich brak. Nie wspomniała jednak o tym. Pogrzebała w plecaku i wyjęła butelkę bez etykiety, z bezbarwnym płynem. Pomyślał, że musi często przebywać w tym domu. Ludzie jej ufają. Inaczej nie mogłaby kupić bimbru.

Nalała po kieliszku, a gdy wypili, zaczęła się rozbierać. Siedział na krześle przy stole i nie chciał na nią patrzeć.

Zdjęła tylko dzinsy i majtki. Potem schwyciła go za spodnie w pasie i zaczęła je ściągać z niego, zmuszając, żeby uniósł trochę siedzenie. Uczynił to, żeby nie wypaść jeszcze głupiej. Ale było, jak było; ona zdejmowała z niego spodnie, a on nic nie robił i w ogóle się nie odzywał. Stopa bolała. Ból był ostry i raz po raz przeszywał niemal całą nogę. Uważał, że powinna to zrozumieć. Przecież nie mógł jej po prostu powiedzieć: daj mi spokój, boli mnie.

Przypomniawszy sobie, że ją uderzył, i zastanawiał się, jak do tego doszło. Teraz nie śmiało w ogóle się odezwać. Właściwie nie obchodziło go, co ona o nim powie czy pomyśli. Wiele razy dawała już temu wyraz. Chociaż nie chciał w to uwierzyć. Sądził, że tę opinię o nim można traktować lekko, tylko delikatnie jej dotykając, tak jak on dotykał tamtych brunat"

244

flwch małych warg. Ylja jednak patrzyła na niego tak jak wtedy, gdy otworzyła drzwi samochodu, by go wpuścić do środka. Jeśli odezwie się szyderczo albo powie sprośne słowo, coś, co sprawi mu przykrość, gotów się rozplakać. Dlatego że jest zmęczony i czuje taki ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Łzy to tylko ciecz, pomyślał. Tylko wydzielina. Jak katar, rak sperma. Jak cokolwiek. Ale nie mogą nadejść teraz. Nie mogą zacząć ściekać po jego spuchniętych policzkach, pełnych śladów od ukąszeń komarów.

Nie powiedziała nic, gdy zauważyła, że jego członek jest zwiotczały. Palcem wskazującym przesunęła po nim kilka razy szybko tam i z powrotem i doprowadziła do tego, że zakotłosał się jak serce dzwonu. Czyniła to z roztargnieniem, a może w zamyśleniu. Potem bez ostrzeżenia pochyliła się do przodu i wzięła w usta członek, który natychmiast go zdradził. Zdawało się, że wszystka krew, jaką Johan miał w ciele, buchnęła tam i pulsowała. Czuł ból w stopie, nagiej, lecz oddalonej.

Prychnęła, jak gdyby zaśmiała się sama do siebie, i przysiadła na nim. Cały czas było mu zimno. Wykonywała teraz lekkie ruchy. Twarz miała odrobinę zeszywniałą, nie patrzyła na niego. Wzrok utkwiała gdzieś w zagłębieniu jego szyi.

Własne ciało nie było mu posłuszne. Gdy się poruszała, odczuwał rozkosz. Wtedy, aby przyjąć jej rozkołysane pchnięcia, niechcący oparł się mocno na stopie i ból momentalnie pomknął w górę. Teraz Johan nie czuł nic oprócz rwania i pulsowania. Nagle twarz zrosił mu pot, który po chwili spłynął na szyję. W końcu nie mógł już wytrzymać, a ona to naturalnie zauważyła i od razu wstała. Zrobiła to w taki sposób, jak gdyby i tak z nim skończyła, choć był pewien, że nie doszło u niej do tego, czego zwykle chciała.

245

w

Krzyczał i przeklinał. W jakiś sposób musiało to ją poruszyć bo odszukała linę, która zaczepiła się w łożynie na brzegu i wyciągnęła klatkę. Później jednak nie zrobiła tego, co jej kazał, tylko otworzyła klapę w dnie i wytrząsnęła węgorza. Johan zaledwie zdążył zobaczyć, jak błysnął i zaraz zniknął w głębokiej czarnej toni. Doszedł do przekonania, że nie była warta żalu i wstydu, jaki odczuł po uderzeniu jej w twarz.

W drodze powrotnej nie odzywali się do siebie. Musiał opierać się na niej całym ciężarem. Chwilami wydawało mu się, że go prawie niesie.

Gdy weszli do szopy, pragnął jedynie, aby go zostawiła w spokoju, ale nie miał odwagi tego powiedzieć. Cały czas myślał o pieniądzach. Musiała zauważyć ich brak. Nie wspomniawszy jednak o tym. Pogrzebała w plecaku i wyjęła butelkę bez etykiety, z bezbarwnym płynem. Pomyślał, że musi często przebywać w tym domu. Ludzie jej ufają. Inaczej nie mogłaby kupić bimbru.

Nalała po kieliszku, a gdy wypili, zaczęła się rozbierać. Siedział na krześle przy stole i nie chciał na nią patrzeć.

Zdjęła tylko dzinsy i majtki. Potem schwyciła go za spodnie w pasie i zaczęła je ściągać z niego, zmuszając, żeby uniósł trochę siedzenie. Uczynił to, żeby nie wypaść jeszcze głupiej. Ale było, jak było; ona zdejmowała z niego spodnie, a on nic nie robił i w ogóle się nie odzywał. Stopa bolała. Ból był ostry i raz po raz przeszywał

niemal całą nogę. Uważał, że powinna to zrozumieć. Przecież nie mógł jej po prostu powiedzieć: daj mi spokój, boli mnie.

Przypomniał sobie, że ją uderzył, i zastanawiał się, jak do tego doszło. Teraz nie śmiał w ogóle się odezwać. Właściwie nie obchodziło go, co ona o nim powie czy pomyśli. Wiele razy dawała już temu wyraz. Chociaż nie chciał w to uwierzyć. Sądził, że tę opinię o nim można traktować lekko, tylko delikatnie jej dotykając, tak jak on dotykał tamtych brunat-

244

fIVch małych warg. Ylja jednak patrzyła na niego tak jak wtedy, gdy otworzyła drzwi samochodu, by go wpuścić do środka. Jeśli odezwie się szyderczo albo powie sprośne słowo, coś, co sprawi mu przykrość, gotów się rozpłakać. Dlatego że jest zmęczony i czuje taki ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Łzy to tylko ciecz, pomyślał. Tylko wydzielina. Jak katar, jak sperma. Jak cokolwiek. Ale nie mogą nadejść teraz. Nie mogą zacząć ściekać po jego spuchniętych policzkach, pełnych śladów od ukąszeń komarów.

Nie powiedziała nic, gdy zauważyła, że jego członek jest zwiotczały. Palcem wskazującym przesunęła po nim kilka razy szybko tam i z powrotem i doprowadziła do tego, że zakolysał się jak serce dzwonu. Czyniła to z roztargnieniem, a może w zamyśleniu. Potem bez ostrzeżenia pochyliła się do przodu i wzięła w usta członek, który natychmiast go zdradził. Zdawało się, że wszystka krew, jaką Johan miał w ciele, buchnęła tam i pulsowała. Czuł ból w stopie, nagiej, lecz oddalonej.

Prychnęła, jak gdyby zaśmiała się sama do siebie, i przysiadła na nim. Cały czas było mu zimno. Wykonywała teraz lekkie ruchy. Twarz miała odrobinę zeszywniałą, nie patrzyła na niego. Wzrok utkwiała gdzieś w zagłębieniu jego szyi.

Własne ciało nie było mu posłuszne. Gdy się poruszała, odczuwał rozkosz. Wtedy, aby przyjąć jej rozkołysane pchnięcia, niechcący oparł się mocno na stopie i ból momentalnie pomknął w górę. Teraz Johan nie czuł nic oprócz rwania i pulsowania. Nagle twarz zrosił mu pot, który po chwili spłynął na szyję. W końcu nie mógł już wytrzymać, a ona to naturalnie zauważyła i od razu wstała. Zrobiła to w taki sposób, jak gdyby i tak z nim skończyła, choć był pewien, że nie doszło u niej do tego, czego zwykle chciała.

245

Wzięła plecak i wyszła, nie odezwawszy się słowem Zwinął się na pryczy i próbował zasnąć, aby nie czuć bólu. Ale okazało się to niełatwe, bo strasznie chciało mu się pić. Nie zostawiła nic poza gazetą i parą nowo kupionych skarpetek, które leżały w plecaku na samym wierzchu a które odłożyła na bok, szukając butelki. Zrozumiał, że będzie musiał wyjść, aby napić się wody z rzeki, ale zupełnie nie wiedział, jak sobie z tym poradzi.

Ranek przyniósł deszcz. Johan usłyszał go przez sen. Szum płynącej wody przybrał na sile. Gdy się zbudził, deszcz nie szeleścił po dachu, ale doszedł go charakterystyczny, mocny ton wody w rzece, po którym rozpoznał, że coś się zdarzyło w górach. Przepływające chmury opróżniały się i wylewały.

Utykając, wyszedł na dwór i zauważył, że liście i trawa są pokryte wilgotną powłoką. Woda w rzece przybrała, oblał nią twarz i pozwolił jej spłynąć na szyję. Dotarł niżej, do porostej mchem, pachnącej ziemi, gdzie jeszcze kwitły jaskry, i ustami dosięgnął wody, która tańczyła i wirowała wokół podobnych do czaszek kamieni. Pil i siusiał.

Stopa zdrętwiała, ale miał wrażenie, że ból jeszcze się naprawdę nie zbudził. Gdy wrócił do szopy, dzinsy były mokre od dołu, a koszula z przodu. Rozwiesił je na oparciu krzesła i na górnym łóżku, po czym wziął mydło i znów pokuśtykał do wody. Udało mu się znaleźć na dnie rzeki miejsce, gdzie nie było kamieni. Ostrożnie

postawił tam stopy i poczuł, iż mimo silnego prądu wody stoi mocno. Potem umył się, tak jak nigdy przedtem. Z początku od lodowatego zimna wody dech mu zaparło. Po chwili jednak przyzwyczał się i oddychał już mniej gwałtownie. Pocierał się rękami. Raz po raz brał w ręce mydło i od nowa mył się wszędzie. W kroczu, pod moszną, między pośladkami. Tarł szyję i ramiona.

246

Kucnął i lał sobie wodę na głowę. Tarł mydłem skórę głowy i twarz, aż szczypała. Na skutek ruchów znów poczuł ból stopy, ale tłumiony przez lodowatą zimną wodę. Pocierał się raz i drugi i zaczynał od nowa. Zrobiło mu się naprawdę zimno, ale uznał, że takie zimno jest przyjemne.

Teraz sięgnął deszcz. Johan poruszał się coraz żywiej, jedynie stopa, wepchnięta w piasek, tkwiła tam, jak gdyby była zrobiona z porcelany lub drewna. Udało mu się tak pochylić głowę, że woda przepływała przez włosy.

Gdy znów się wyprostował, nadleciał podmuch wiatru, który wstrząsnął brzoźami wzdłuż rzeki. Był to zimny, zły wiatr od gór, przyniósł uderzenia nawałnicy, jedno za drugim, które smagały i wykręcały korony drzew. Po chwili spadł deszcz. Johan ostrożnie wyszedł z rzeki i stanął na mchu. Zimne krople z początku kłuły skórę jak szpilki, potem smagały jak biczem, a później rozpląnęły się, obejmując całe ciało. Przez chwilę zdawało mu się, że ma gorączkę. Stał z otwartymi ustami, a woda spływała po nim, bo teraz wiatr ucichł i deszcz walił prosto z góry, gęsty i silny. Między drzewami rozciągnęła się kurtyna wody, wodny strój na wszystko, co rozpalone, pogryzione i poszarpane znajdowało się w listowiu dookoła niego. Porosty nabrzmiały i poruszyły się, mech uniósł miękką skórę. Johan poczuł się teraz czysty, czysty jak oplukany kamień.

Gdy przyniosła w koszyku herbatę, leżał wyciągnięty na dolnej pryczy. Był nagi, ale narzucił na siebie ręcznik. Ani na moment się jej nie przestraszył. Nie powinna go ruszać. Kiedy podała mu herbatę, bez mleka, przypomniał s^obie, jak raz powiedziała, że jest rozpieszczony. Mówiła wtedy prawdę.

247

Twarz miała szarą, była trzeźwa. Usiadła przy stole i zaczęła czytać gazetę, której zapomniała. Wyglądała staro. Ziemista cera, znudzony wyraz twarzy.

Pewnie musi poczekać kilka dni. Ale jak tylko polepszy mu się ze stopą, pójdzie stąd. Zamierzał wziąć jedzenie, jeśli ona je przyniesie. O nic jednak nie będzie prosił.

Woda jest w rzece.

Długo tak siedziała, czytając w milczeniu gazetę. Naraz zamknęła ją, złożyła i wrzuciła do koszyka.

- No, mały Jukka - odezwała się. - Nadeszła pora. Teraz pojedziesz do domu. Zabrała koszyk i wyszła. Nie było jej przez dwie godziny. Nie wiedział, co miały oznaczać jej słowa. Musi przecież czekać z powodu stopy. Potem pójdzie sobie stąd, bez względu na to, czy ona tego chce czy nie.

Gdy wróciła, miała ze sobą plecak, mocno wypchany.

- Teraz to zażyjesz.

Podawała mu małą, złożoną papierową paczuszkę. Nie wiedział, co z nią zrobić, więc sama ją rozwinęła. W papierze był biały, ziarnisty proszek.

- To działa jak tabletki - wyjaśniła. - Przytrzymasz papier tak, a wtedy proszek posypie się w dół. I potem popijesz wodą.

Kiedy zobaczyła, że się waha, spytała:

- Myślisz, że zamierzam cię otruć? To zwykły proszek na kaca. Od bólu głowy.

Uśmierający ból, Johan. W przeciwnym razie nie będziesz mógł iść na tej nodze.

Wtedy wsypał do ust proszek, który wlaź mu między zęby i utknął po wewnętrznej stronie policzka, tak że musiał nabrać pełne usta wody, żeby ziarenka się odkleiły.

- Jeszcze jeden - powiedziała.

Przyniosła całą torbę kopertek proszku. Miał nadzieję, że to silny lek. Bo teraz chciał iść. Pójdzie.

248

Z początku skakał o kiju. Posuwał się kawałek i od-noczywał, opierając się całym ciężarem na główce kija jak na kuli inwalidzkiej. Potem, żeby odpocząć, musiał siadać, bo zaczęło go boleć pod pachą, gdzie uciskał kij.

Nie rozmawiali ze sobą. Szła pierwsza, często przystawała, odwracała głowę i patrzyła na niego. Gdy zaczął za bardzo pozostawać w tyle i chwiać się po każdym skoku, podeszła do niego i kazała mu oprzeć się ręką na jej ramionach. Posuwali się tak, jej ciało tuż przy jego.

Nic nie czuł. Nawet skrępowania. Zaraz dojdziemy, myślał jedynie. Za dwie godziny. Może trzy. Od czasu do czasu padało, ale niezbyt mocno. Chwilami, odpoczywając, zamykał oczy i słyszał szelest deszczu w trawie i liściach.

Przerwy na odpoczynek robiły się coraz dłuższe. Nadal nic do siebie nie mówili. Nie obchodziło go, czy to z powodu pieniędzy ona go wyrzuca. Obmyślił sobie, że zostawi je na siedzeniu, gdy wysiądzie z samochodu. Ale zmienił zamiar. Nie musi z nią jechać. Zatrzyma pieniądze, stanie na górze przy moście i złapie okazję.

Kiedy się tam znaleźli, noga bolała go koszmarnie. Nic jednak nie mówił. Nie chciał, żeby o tym wiedziała. Nie mogła wiedzieć, w jaki sposób skręcił sobie nogę w kostce. A może zrozumiała to, gdy zobaczyła otwarte okno?

- Teraz dam sobie radę - powiedział, siadając na balustradzie mostu. - Zaraz złapię okazję.

Był mokry. Ona także. Jej włosy, wiszące w wilgotnych strąkach, wydawały się ciemniejsze. Tusz do rzęs się rozmasał i na skórze pod oczami utworzyły się niebieskoczarne półkole o niewyraźnym zarysie.

~ Jedziesz ze mną - powiedziała.

Nie chciał się z nią kłócić. Nadal jednak zamierzał zatrzymać pieniądze. Musi gdzieś dotrzeć, wynająć pokój i położyć się, gdyż kostkę rozsadzał rwący ból.

249

W samochodzie zasnął. Przyjemnie było się zdrzemnąć. Nie chciał rozmawiać. Ona też nie. Minęło jednak tyle czasu, że cisza panująca między nimi zaczęła się stawać nierzeczywista.

Po godzinie obudziła go i powiedziała, żeby wysiadł i poszedł zadzwonić do domu. Zatrzymała się obok czegoś co wyglądało na siedzibę jakiegoś klubu w wiosce, której nie znał. Obok stała budka telefoniczna.

- Zadzwoń do domu - powiedziała. - Niech cię zabiorą. Dała mu garść norweskich jednokoronówek. Wziął je, ale wcale nie zamierzał dzwonić.

- Ja tymczasem pojedę po papierosy. - Jej głos był suchy, prawie szorstki. Pomogła mu wysiąść, a gdy oparty na kiju wyprostował się, włączyła bieg. I pojechała. Szybko, jego zdaniem. Nie widział żadnego sklepu ani nic podobnego, gdzie można by coś kupić.

Wszedł do budki, ale nigdzie nie dzwonił. Nie chciał prosić Gudrun o pomoc. Stał tam tylko oparty o półkę pod aparatem i czekał.

Po jakimś czasie zrozumiał, że czekał o wiele za długo. Wyszedł i usiadł na mokrej trawie. Nie miał już siły dłużej stać. Nie przyjechała.

Zastanawiał się, co chciała okazać w tej ostatniej scenie. Przyzwoitość? Troskę? Teraz była daleko stąd i, jadąc, paliła swoje cholerne papierosy. Z pewnością się nie skończyły. Nigdy by do tego nie dopuściła.

W każdym razie wyszła z jego życia, a tego właśnie sobie życzył. Stał obok budynku jakiegoś klubu w jakiejś wsi, której nazwy nie znał, na ramionach miał bluzę, w ręku kij z mosiężną gałką i skórzaną pętelką, aby się na nim oprzeć. Uświadomił sobie jednak, że nie zdoła zrobić więcej niż kilka kroków.

Późnym popołudniem trafiła mu się okazja i zabrał się ciężarówką z ładunkiem włókna szklanego. Szofer nie rm»

250

niego wielkiej pociechy, bo Johan zaraz zasnął. Został obudzony w Namsos. Teraz wiedział, gdzie jest. Było to okropnie zwyczajne i prawdziwe Namsos. Magazyny w porcie wąskie przecznice. Zobaczył w przelocie księgarnię Karoliussena.

przekuśtykał na drugą stronę ulicy, bo dostrzegł tam szyld pensjonatu. Na dole była jadalnia, i zalatywało rybą. Starym i trochę tłustym śwędem przesiąkły też firanki i narzuta w pokoju, który wynajęła mu właścicielka.

Chciał ściągnąć but, ale nie mógł. Nie tylko dlatego, że sprawiało to ból. Cholewka wpiła się nad kostką. Wiedział, że musi go zdjąć, i znów poskakał do właścicielki, aby poprosić o nożyczki. Duże kuchenne nożyce. Pomogła mu rozciąć grubą gumę.

Skarpetka była przemoczona i ciasno przylegała do skóry. Gdy obnażył stopę i zobaczył siną napiętą skórę, zrozumiał, że musi pokonać wewnętrzny opór i zadzwonić. Zapytał, czy może skorzystać z telefonu.

Guđrun była w domu. Przecież prawie zawsze była w domu. Mówiła bardzo cicho. Nie miał pojęcia, co myślała czy czuła. Powiedziała tylko, że przyjedzie.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Jak się nazywa ten pensjonat?

- „Lucullus” — odparł. - Na Havngaten.

- Siedz tam i czekaj. Będę za dwie, trzy godziny. I nigdzie nie dzwoń.

Zanim odłożyła słuchawkę, powtórzyła jeszcze raz:

- Do nikogo więcej nie dzwoń. Siedz w pokoju i czekaj. Nie zastosował się do jej polecenia, bo musiał coś zjeść.

Za późno było na obiad na miejscu, a nie mógł wyjść. Ale właścicielce zrobiło się go żal. Podgrzała mu kilka kawałków panierowanego czarniaka i odsmażyła wielkie plastry mączystych kartofli na za bardzo rozgrzanej patelni. Mimo to zjadł. Czekając na kawę, pokuśtykał w głąb sali P° gazetę. Był to dziennik „Verdens Gang” sprzed dwóch

251

dni. Gdy właścicielka przyniosła kawę i zobaczyła go z gazetą, zaproponowała, że może mu przynieść świeższą.

- Nie - powiedział. Chciał tylko posiedzieć chwilę w spokoju i poczytać. Na samym dole pierwszej strony zamieszczono duże zdjęcie, przedstawiające dwie kobiety i jednego mężczyznę przy tablicy drogowej, na której widniał napis Czarna Woda.

A właściwie CZ RNA WO A. Nie pojmował, jak to możliwe, żeby w tej gazecie pisano o Czarnej Wodzie. Był to dziennik z Oslo. I zrobiło mu się wstyd z powodu pokancerowanej tablicy.

Na wkładce dziennika znajdowało się w ramce zdjęcie całkiem ładnej ciemnowłosej dziewczyny. Napisano tam o górskiej rzece, ale musiało chodzić o Lobberan, bo obok był szkic mapy, na której zaznaczono zabudowania Strómg-renów i Gwiazdną Górę. Przy rzece wyrysowano mały namiot. Dalej było coś o drodze na pastwisko. I motorowerze.

Były to stare wiadomości i nie mógł się w tym wszystkim połapać. Ta wielka wkładka ze zdjęciami turystów przy sklepie, przy obejściu Strómgrenów i nad Lobberan były dalszym ciągiem czegoś. TURYSŃCI WE WSI ŚMIERCI.

W ramce pod zdjęciem dziewczyny wreszcie znalazł: młodą dziewczynę i nieznanego mężczyznę zakłuto nożem w namiocie w noc sobótkową.

Nad Lobberan.

Całą ostatnią noc miał gazetę u siebie w szopie. Złożona na pół, leżała na podłodze. Przypomniał sobie zdjęcie kutrów na górnej części pierwszej strony. Ylja to przeczytała.

Przeczytała to dziś rano i potem już nie chciała mieć z nim do czynienia.

252

Czy rzeczywiście można żyć na świecie, nie żyjąc z niego? Dość nieoczekiwanie okazało się, że Brita zna te słowa.

- To nie jest pytanie - powiedziała. - Wszystko pokręciłaś.

W ostatnich tygodniach ciąży poruszała się z trudem i wydawało się, że w ogóle nie słucha ich gadania. Ale to ona wiedziała, skąd te słowa pochodzą.

- To święty Paweł. Pierwszy list do Koryntian. Żyją na świecie, jak gdyby nie żyli z niego. Ten świat, który jest teraz, zmierza do końca.

Annie chciała natychmiast zajrzeć do Biblii, ale nikt nie miał. Bricie wydawało się, że widziała jedną, gdy przeprowadzali się do starego domu, powinna leżeć wśród rupieci, które przenieśli na strych klubu wędkarskiego. Żeby się tam dostać, Annie musiała wejść po drabinie opartej o ścianę szczytową, a potem wleźć przez klapę. Na górze było pełno drewnianych bali, a tuż obok klapy, w trocinach, leżała sterta zniszczonych od wilgoci papierów. Otworzyła książkę w sztywnej szarej oprawie. Książeczka wojskowa. Kogoś powołano do wojska. Nazywał się Arne Jonasson. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Z początku pomyślała, że źle odczytała stulecie. Kilka kartek książeczki miało kolor żółtobrązowy i wyglądało, jak gdyby nadgryzły je myszy. W książeczkę włożona była czarno-biała

253

fotografia przedstawiająca krowy na zboczu, u samej góry widniał dom. U dołu stało sześć osób na tle płotu. Była to zwykła błyszcząca odbitka na cienkim papierze. Inaczej Annie przypuszczałaby, że to fotografia z ubiegłego wieku. Ale kobiety miały krótkie spódnice.

Pierwsze wrażenie, że fotografia przedstawia krowy, było chyba do pewnego stopnia prawdziwe. Zostały tu nie przez przypadek. Na górze zbocza widać było dwoje dzieci z długimi kijami. Zatrzymywały krowy, które truchtem wybiegały z fotografii. Krowy nie miały rogów, tylko bezrogie ciemiona. Były plamiste jak mapy archipelagów.

Leżała tam też książeczka zakupu alkoholu. Wybierano regularnie litr miesięcznie. Prawdopodobnie w Östersundzie. Ale chyba nie, skoro właściciel książeczki mieszkał tutaj. Może sprzedawca w Czarnej Wodzie miał pełnomocnictwo. Czy ten mężczyzna - nazywał się Erik Jonasson - schodził raz na miesiąc do wsi z książeczką po wódkę? Przecież wtedy istniała tylko pasterska ścieżka do szałasów. Miał konia? Dlaczego nie zabrał ze sobą tej książeczki, kiedy się wyprowadzał? Może zmarł? Ale wtedy przypomniała sobie, że książeczki na zakup alkoholu wprowadzono gdzieś w latach pięćdziesiątych. Książeczka wcale nie była wypełniona stemplami. Może wówczas jeszcze tu mieszkali. Dwadzieścia lat temu. Papiery sprawiały wrażenie, jakby leżały tu ze sto lat. Tymczasem ja wtedy chodziłam już do szkoły, pomyślała. Mieszkałam w Enskede i w Gardet. Gdzie była lodówka, telefon i tramwaje. A Erik Jonasson i jego rodzina tkwili schowani w kieszeni czasu.

Ktoś powycinał z gazet zdjęcia samochodów i nakleił je na kratkowanym papierze. Nie mógł to chyba być Arne, ponieważ samochody miały obłe linie modeli z lat pięćdziesiątych. Przyklejono je do wielu podwójnych kartek, które musiały zostać wyrwane ze środka szkolnego zeszytu do matematyki.

254

c flauc2ycielka nie zauważyła, że robił się coraz cieńszy i cieńszy?

Jeden wycięty anons. ARTYKUŁY TECHNICZNE. Na-dawca prywatny. Mały wycinek leżał razem z receptą apteczna w pudełku po cygarach, wykonanym z cienkiego drewna. Artykuły techniczne. Przed oczami stanął jej sztuczny członek i skórzana uzda. Arne nie mógł drałować z czymś takim na Gwiezdną Górę.

Były tu naturalnie prezerwatywy. Dlaczego ludzie je przemycali? Przecież ich nie zabraniano. A może zamawiając środki antykoncepcyjne, człowiek wystawiał się na pośmiewisko? Nie była pewna, czy wycinek ma tylko dwadzieścia lat. W pudełku leżały też recepty do wielokrotnego powtarzania, pochodzące z lat trzydziestych. Część z nich nigdy nie została zrealizowana. Nie było ani jednej, którą zrealizowano by więcej niż raz, choć wypisano je do trzykrotnego powtórzenia. Pacjenci wyzdrowieli szybciej, niż się spodziewał lekarz? A może nie mieli pieniędzy na wykupienie leków?

Ta myśl wyparła uczucie, które nią owładnęło, gdy zaczęła przeglądać zawilgłe papiery. Współczucie. Choć było to tylko lekkie współczucie, pomieszane ze wstydem. Chyba wolałaby tego nie oglądać i o tym nie wiedzieć. Mimo to dalej przeglądała papiery i znalazła świadectwo szkolne z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Z trzeciej klasy wiejskiej szkoły w Czarnej Wodzie. Świadectwo z wieloma zastrzeżeniami: B+, BA? BA+. Z zachowania i porządku miała Astrid Jonasson miała ocenę bardzo dobrą. Musiała mieć wtedy dziesięć lat. Urodzona w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym. Jeśli żyje, nie ma jeszcze pięćdziesięciu. A dlaczego miałaby nie żyć? Musiała chodzić do szkoły w Czarnej Wodzie i większość szkolnych lat spędzić,

255

wynajmując pokój z wyżywieniem. Jak ja, pomyślała Annie. I właściwie niewiele dalej od domu niż ja. Czy ją także ogarniało uczucie, że żyje jałowym, zwyczajnym życiem nad czarną wodą? Samotność. Poświęcenie. Głęboka samotność. Jeszcze jedna szalona próba. Sucha i zimna samotność. Jak ja. Do dziś.

Dziewczynka i jej rodzice zostawili swoje prywatne papiery na pastwę wilgoci i myszy. Nie sposób było stwierdzić, czy zrobili to dlatego, że nie przywiązywali wagi do wspomnień z własnego życia. Równie dobrze mogli chorować i umrzeć. Zresztą, może Astrid i Arne zamierzali kiedyś zabrać papiery ojca i matki? A potem nic z tego nie wyszło. Bo byli za daleko stąd. Może mieszkali w Östersundzie albo jeszcze dalej na południu.

Leżały tam też listy kondolencyjne. Białe koperty z czarnymi obwódkami. Wyciągnęła jeden, aby zobaczyć, czy wśród zmarłych był jakiś Jonasson. Pięć wydrukowanych listów kondolencyjnych z wersetami z psalmów i nazwiskami żałobników. Tylko jeden Jonasson. Arne, który został powołany do wojska w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym i który według książeczki wojskowej nigdy nie wziął udziału w ćwiczeniach.

Zmarł w czasie służby? Czy był to wypadek? A może jego śmierć ma związek z dużą brązową kopertą z sanatorium w Östersundzie? Nie mogła odczytać roku na stemplu pocztowym. Czy w pięćdziesiątych latach ludzie umierali na gruźlicę? Koperta była pusta, ale musiała przedtem coś zawierać. Może książeczkę wojskową Arnego i te

małe błyszczące fotografie dwudziestoletnich dziewcząt i chłopców. Takie rzeczy muszą chyba odsyłać. Zobaczyła też listy. Nie było ich wiele, ale kilka z nich miało na odwrocie koperty imię Arnego. Wyjęła jeden i zobaczyła kilka słów.

„... biorą je, choć jeszcze do tego nie dojrzały...”

256

pisał o drzewach? Pewnie był drwalem. Może leżał w sanatorium i narzekał na wyrąb, który widział z okna lub balkonu.

To mogła być metafora. Sam nie był dojrzały. Tak samo jak żadne z tych dwudziestolatków na zdjęciu. Nie chciała wiedzieć, co miał na myśli. Niezależnie od tego, czy dotyczyło to malin moroszek, jodeł czy ludzi, nie chciała czytać tych listów. Zrobiło jej się przykro, że tak tu leżały rzucone w cienkich, rozlatujących się paczkach.

Zaczęła zbierać papiery i otrząsać je z trocin. Ktoś na kartce z zeszytu o wiele za twardym ołówkiem narysował konie. Wszystkie były starannie wycieniowane, aby lepiej pokazać zaokrąglenia potężnych ud. Kopyta zamazane na czarno, na ile pozwalał słaby ołówek. Niektóre konie miały uprzęż i uzdę z wyrysowanymi wszystkimi szczegółami, których nazw nie znała. Wyglądało to jak małe uszy ustawione wysoko na grzbiecie, może drażki. Ale ten, kto rysował, wiedział, jak się nazywają. Nadal znał, jeśli żył, każde słowo określające ich skomplikowane ułożenie, jak również konstrukcję tych pasów i uprzęży ze wszystkimi detalami.

Leżało tam kilka arkuszy złożonej bibułki w kolorze złotobrazowym. Musiała być już wcześniej do czegoś użyta, bo kiedyś pozaginano ją w zupełnie innych miejscach. Pomarszczenia zostały potem wygładzone, ale nie dały się zlikwidować. Nie znalazła żadnych śladów kobiety, która była matką dziecka i żoną Erika Jonassona. Może to ona schowała tę bibułkę. Mogła zrobić z niej wykrój, przykładając ją do jakiejś sukienki. Ale kto miał sukienkę, którą chciałaby kopiować? Nie chodziło przecież o iluzję sukienki, lecz o iluzję pragnień.

Notatnik z piosenkami. Z początku były pisane bardzo staroświeckim pochyłym pismem, kopiowym ołówkiem, któ-ry piszący od czasu do czasu musiał zwilżać.

Niektóre słowa

257

! miały mocniejszy fioletowy kolor. Były to wersy o górach i niebieskich szczytach, o tęsknocie i różnego rodzaju niedolach, między innymi o sanatorium. Poczula znów wstydlive współczucie, ale także niepewność. Płakali czy śmiali się śpiewając te słowa?

Dalej w tym samym notatniku inna ręka zapisała około trzydziestu, a może czterdziestu piosenek, ołówkiem. Za wszystkim kryje się kobieta, Per Ohson miał ęagrodeę, Stary sekretarek. Poznawała repertuar swego ojca. Między innymi piosenki Rolfa i Kaj Gullmarów. Wszystkie, zarówno starsze, sentymentalne, jak i nowoczesne, niesforne, były nader przyzwoite. Nagle przypomniała sobie przyśpiewkę, którą słyszała, czekając na Dana przed sklepem. Zobacz fiuta u tatki! Tamten chłopak tak śpiewał, fiuta. Naprawdę. Zwróciła uwagę na to, że zapamiętała te słowa, i postanowiła je zapisać. Musi istnieć jakiś tajemniczy skarbiec piosenek, których ludzie nie zapisują w notesach, ale każdy bez wyjątku zna je na pamięć. Rzeczywiście leżała tu Biblia i trzy paczki kalendarzy. Były powiązane sznurkiem, po dziesięć w każdej paczce. Na dole, w trocinach, znalazła sześć kalendarzy luzem. Teraz była niemal pewna, że mieszkali tu do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, bo właśnie na nim kończył się komplet, który zaczynał się na tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Wszystkie te cieniutkie zeszyty były spięte, pozbawione

okładek i nosiły podtytuły „Na ten rok po narodzeniu Zbawiciela Jezusa Chrystusa” i „Horyzonty Lulea”.

Zamieszkał tu dopiero wtedy, gdy dotarła już do wsi elektryczność i samochody? Czy Erik Jonasson był uparciuchem? Markotnym Jamtlandczykiem z gatunku samotników, który zmusił swoją rodzinę do mieszkania na odludziu i rezygnacji z towarzystwa, światła, pomarańczy, samochodów i zdjęć gwiazd filmowych. A może jest to

258

miejsce odziedziczone? Czy rodzina Erika była drugim i ostatnim pokoleniem tu, na górze?

Kamienna piwnica została zbudowana w tysiąc dziewięćset dziesiątym. To było wypisane na belce nad drzwiami. Czy po wścieklej harówce dwóch generacji wszystko już minęło? Wnieśli na górę kamień szlifierski i dwuręczne młoty kowalskie, żelazne koła, łopaty i sieczkarnię. Widziała je w szopach i w trawie. W kącie drewnutni stoi stara maszyna do szycia Singera. Drewniane kopyta szewskie do robienia butów. Wiele małych dziecięcych stóp z pociemniałego drewna. Zardzewiałe żelazka na duszę. Butelki po lekarstwach i puszki po ciastkach. Butelka z jakąś nalewką o nazwie Universal.

Miała nadzieję na dokładne zapiski o ich życiu w kalendarzach, ale zawiodła się. Najpierw kopiowym ołówkiem, potem zwykłym, ktoś sporadycznie zapisywał kilka liter. Nie dało się ich zrozumieć. „HK”. „B Bt.” Czasami kilka słów o pogodzie. „Wichura 3 dni.” „Mróz.” To było trzeciego lipca. Wyszukała kalendarz z roku swego urodzenia i przekartkowała od tyłu. Jedenastego stycznia zapisano — 52st. Wtedy się przestraszyła. Natychmiast jednak pomyślała, że to były wojenne zimy. Choć co wspólnego miała wojna z mrozem? Tutaj mogło być pięćdziesiąt dwa stopnie. Wojna czy nie wojna.

A więc wtedy, gdy się pojawiła na świecie, panowało tu pięćdziesiąt dwa stopnie mrozu. Lub niewiele mniej. Jak i gdzie można się kochać, kiedy jest tak zimno? A może człowiek jest do tego zmuszony?

Podczas wojny żołnierzy zakwaterowano w stodołach i pustych domach. W Czarnej Wodzie jej ojciec mieszkał w chacie, którą ochrzcili Słoneczny Szalas. Na wszystkich domach poumieszczali wabiące nazwy. Zacisze, Gniazdko, śnieżny Spokój i Soria Moria. Tam nie mógł sypiać z Henny. Czy był wtedy jakiś pensjonat? Czy w ogóle istnieje jakiś list lub inny dokument mówiący o tym, gdzie oni mieszkali?

259

Henny była wielką porządnicą i gdyby jej nie powstrzymano, mogłaby wyrzucić wszystko. Może tak trzeba, jeśli człowiek chce utrzymać porządek w jednopokojowym mieszkaniu w Gardet? Z racji przeprowadzki Annie także była zmuszona wyrzucić wiele rzeczy i gdy wieczorami leżała w łóżku, zdejmował ją strach i próbowała przebiec w myślach wszystko, co jej jeszcze zostało.

Kiedy Dan powiedział, że komuna znajduje się powyżej Czarnej Wody, ogarnęło ją silne przekonanie, że jest w tym wszystkim sens i cel. Jeśli się tam przeprowadzi, najzupełniej dosłownie powróci do początku. Zastanawiała się, czy ludzi, którzy pozostawili po sobie te zniszczone i w dodatku niezrozumiałe, bo niekompletne, papiery, również przywiodło tu poczucie przeznaczenia. A może postrzegali swoje życie, jak wydawały się sugerować te papiery, jako coś przypadkowego, co wkrótce zostanie rozproszone?

Zaledwie kilka godzin temu siedziała przy stole pod oknem w ich pokoju i robiła notatki w notesie. Wywody o życiu na świecie. Teraz czuła się z tego powodu zawstydzona. Doszła jednak do wniosku, że takie rozważania mogą pociągnąć za

sobą dosyć niebezpieczne myśli. Przypuszczalnie nie zwróciłyby na to uwagi, gdyby nie zostały zapisane.

W każdym razie nigdy nie zwierzyła się Danowi z tego, że została poczęta w Czarnej Wodzie. Było to równie przypadkowe jak pięćdziesięciodwustopniowy mróz w czasie tamtej wojennej zimy. Dlaczego jednak poszukujemy sensu i powiązań? Tak jest skonstruowany nasz mózg. Poszukujemy wzoru i ładu. Mimo to rozmieniamy swoje życie na drobne, bezradnie i w roztargnieniu.

Zebrała papiery. Z początku, gdy na nie trafiła, miała zamiar pokazać je pozostałym. Teraz jednak postanowiła je schować. Powinno się zachować te papiery, nie gnieść ich jednak ani nie wyśmiewać, ale też nie obdarzać przesadnym

260

współczuciem. Zbyt mało czasu upłynęło od dni, kiedy były pisane. Zawierały tajemnice żywych ludzi. Gdzieś istniała kobieta o imieniu Astrid i czasami myślała o Gwiazdnej Górze i życiu, jakie tu wiodła - czy jako o letnim raj z ciepłym mlekiem i świeżo upieczonym, cienkim jak płatki chlebem? Ze wstydem, jako o zapadłej dziurze, gdzie bywała bita? Czy też tak jak ona sama myślała o Enskede - raz tak, raz siak? Zawsze jednak z sympatią.

Annie w torbie podróżnej miała nieliczne papiery, które wyjaśniały jej tożsamość i przeszłość. Jej matka nazywała się Henny Raft i urodziła się w tysiąc dziewięćset piątym roku. Nie wynikało to jednak bezpośrednio z papierów, które Annie wzięła ze sobą. Żeby się o tym dowiedzieć, trzeba by niemal przeprowadzić śledztwo. Nikt nie wpadnie na pomysł poszukiwania rodziców Annie Raft. Ależ tak, gdybym umarła, pomyślała. Gdybym to była ja. W namiocie.

Czy Mia wie, jak się nazywa babcia? Henny była śpiewaczką operetkową i imię od początku było pseudonimem artystycznym. Naprawdę nazywała się Helga, z domu Gustafsson, i Annie była pewna, że Mia tego nie wie. Ojciec Henny, dziadek Annie i pradziadek Mii, zmarł. Nazywał się Ruben Gustafsson i Annie była na jego pogrzebie, gdy miała może dziesięć lat. Teraz jednak nie pamiętała, na jakim cmentarzu znajduje się grób. Dziadek prowadził małe wydawnictwo, wydawał w nim między innymi śpiewniki, publikacje z dziedziny medycyny ludowej, kalendarze ogrodnicze i senniki. Część z nich stoi na półce w domu. Nikt ich jednak nie powiąże z rodziną Raftów.

Henny, która przez dziesiątki lat podróżowała po całym kraju, urodziła się w oficynie na Óstermalmie. Annie została tam kiedyś zaprowadzona, weszła na podwórze i widziała wysokie schody. Ale już nie pamiętała, czy to było na ^k czy na Grev Turegatan. Ake Raft, jej ojciec,

261

najpierw nazywał się Pettersson. Urodził się w tysiąc dziewięćset ósmym roku jako trzeci syn cukiernika. Annie nie wiedziała, dlaczego został muzykiem. Przede wszystkim był pianistą i pracował w orkiestrze teatralnej jako muzyk przygotowujący śpiewaków do występów. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym ożenił się z Henny Raft. Miał wtedy trzydzieści jeden lat, a Henny trzydzieści cztery. Annie znała te szczegóły jak pacierz, bo należało to do historii jej narodzin, a o tym Henny chętnie opowiadała. Nie planowali dzieci. Kariera Henny jako śpiewaczki operetkowej stale wisiła na włosku.

Gdy się pobrali, obydwójce przyjęli nazwisko Raft. Dziadek Annie ze strony ojca przywiózł pociągami z Hudiskvall piętrowy tort weselny. Młoda para z porcelany, która go wieńczyła, po dziś dzień leży w najwyższej szufladce, po lewej stronie sekretarzyka Henny. Panna młoda miała mały welon z kawałka prawdziwego tiulu. W postument wetknięto cukierki, które Annie zlizywała tak długo, aż przestały istnieć.

Dziadek zmarł, gdy Annie była mała, zapomniała, w którym roku. Babcia żyła wystarczająco długo, żeby Annie mogła zaśpiewać na jej pogrzebie. Babcia pragnęła, aby było to Pożegnanie konwalii, co, rzecz jasna, okazało się niemożliwe. Na myśl o tym Annie ogarnął wstyd. Dlaczego nie spełniła tego życzenia? Siedziała w szpitalu świętego Serafina, i, trzymając w rękach chudą, żółtawą dłoń staruszki, złożyła fałszywą obietnicę. Teraz nie pamiętała już panieńskiego nazwiska babki i miała tylko nadzieję, że Henny przechowała papiery w jakimś schowku. Czy nie można było spełnić woli babci, skoro jej życie już wkrótce i tak miało pójść w niepamięć?

Henny i Ake pobrali się w wigilię Zielonych Świątek. We wrześniu wybuchła wojna. Ake dostał powołanie, nie do

262

sekcji kulturalnej, na co miał nadzieję, tylko do piechoty. Wysłano go do Jamtlandii, do wioski Czarna Woda przy granicy norweskiej. Henny odwiedziła go tam i zaszła w ciążę. Może kupienie prezerwatyw w Czarnej Wodzie było niemożliwe, o czym przecież świadczyłyby papiery Erika Jonassona. W owym czasie prawdopodobnie nawet w Sztokholmie żadna szanująca się kobieta nie mogła po coś takiego wejść do apteki. W październiku urodziła się Annie. Według rodzinnej legendy, z powodu ciąży Henny straciła główną rolę w Rekordzie Annie. Za to imię Annie nadała na chrzcie swojej małej córeczce.

Annie bardzo wczesnie zrozumiała, że Henny nigdy nie dostanie żadnej głównej roli. W najlepszym razie mogła mieć nadzieję na Dolly Tatę. Ciotka i wujek w Enskede mieli starą bokserkę, która nazywała się Dolly, tak że Annie przez całe życie była zadowolona z nieszkodliwego oszustwa Henny.

Powinna opowiedzieć o tym Mii. Dzięki psu dziewczynka prawdopodobnie to zapamięta. Ciotka i wuj, u których Annie mieszkała, gdy rodzice odbywali tournée po prowincji, nazywali się Elna i Góte. Uświadomiła sobie jednak, że nigdy nie będzie mogła pokazać Mii swojego domu, daleko przy Sockenvagen w Enskede. Nie wyglądał już tak jak wtedy. Nie miał dawnej atmosfery. Został przebudowany i prawdopodobnie szczelnie obity warstwą izolacyjną. W latach pięćdziesiątych zimą człowiek miał uczucie, jakby mieszkał w pudle z falistej tektury.

Dzieliła pokój z dwiema kuzynkami. Nazywały się Susan-ne i Vivianne. Były równie głupie jak ich imiona. Annie dręczyły wyrzuty sumienia, że tak o nich myślała. Mii jeszcze me trapiło sumienie. Nie chciała się nawet odzywać do Petli, bo trudno jej było wymówić to imię.

Dwaj hałaśliwi bracia nazywali się Nisse i Perra, mieszkali w suterenie, w dawnej pralni, którą wyszykował wuj Góte.

263

Przemknęło jej przez głowę, że musiało tam być zimno i ciemno. Ale wtedy o tym nie myślała, tylko cieszyła się, że są dalej. Cała rodzina była taka głośna. Nie tęskniła jednak do domu, bo w Gardet mieli tylko kawalerkę z alkwą do spania

Przyszło jej na myśl, że dawniej ludzie odnotowywali zwykle ważne wydarzenia rodzinne na pierwszej stronie Biblii, przed kartą tytułową. Gdy otworzyła tę Biblię, którą znalazła w trocinach, wyglądało na to, że nie da się rozdzielić stron. Cienkie kartki lepiły się do siebie. Astrid Jonasson otrzymała ją od kongregacji w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku: „Na pamiątkę konfirmacji. Księga Psalmów 116:1-2”. Czy kiedykolwiek Astrid zajrzała w to miejsce? Annie nie zaglądała.

Odszukała pierwszy list świętego Pawła do Koryntian i zaczęła czytać.

Była w nim mowa o małym zgromadzeniu ludzi narażonych na wzgardę, będących jednak w posiadaniu czegoś, co nazywano darami ducha. Odradzano im współzycie

seksualne i jedzenie mięsa, w razie potrzeby mogli jednak robić obie te rzeczy. Ostrzegano ich poważnie przed wątpieniem, że ludzie mogą żyć po śmierci. Jeśli będą wierzyć, tak właśnie się stanie.

Fragment o życiu na świecie nie brzmiał dokładnie tak, jak zacytowała Brita, ale też wcale nie były to słowa, które ją samą tak poruszyły. Podejrzewała jednak, że źródło było właściwe. Wynikało z nich, że święty Paweł uważał, iż grożąca katastrofa jest blisko i że zakończy ona wszelkie możliwości życia na ziemi. Dlatego ludzie mogli - i powinni - przestać martwić się o swoich najbliższych, tak samo jak o swoje uczucia i sprawy i w ogóle o świat. Pozostawało to w jawnej sprzeczności z jej własnymi nieporadnymi, ale w zasadzie rozumnymi myślami.

Długo siedziała na strychu przy kłapie. Gertrud i Sigrud parę razy przechodziły i spoglądały na nią do góry, nic

264

ednak nie mówiły. Sigrud jak na swoje dziewięć lat miała starą, zmartwioną twarz. Przypuszczalnie chciałyby wejść tu na górę i szperać między papierami. Annie musi je schować. A]e gdzie? Brak tu szafy, którą można by zamknąć, a ona nawet na swoje własne rzeczy nie ma szuflady. Wszystko stanowi wspólną przestrzeń. Postanowiła całą paczkę papierów wsunąć na razie pod swoje łóżko, a potem wymyślić jakieś miejsce, gdzie mogłaby je przechować, żeby nie zawil-gły i nie rozsypały się. Było ich jednak tak dużo, że musiała dwa razy obrócić na górę. Stojąc już na drabinie, żeby zejść, poruszyła trochę trociny, spod których wyrzwał róg kartonowego pudełka. Było zniszczone od wilgoci, musiało leżeć tu dużo dłużej niż pozostałe rzeczy. Kiedyś było niebieskim pudełkiem norweskich czekoladek „Freia”. Nazwę wypisano złotymi literami. Gdy podniosła wieczko, wypadły małe papierowe ubranka. Wycięte, starannie pomalowane i zupełnie nie uszkodzone. Wypadły, bo zdjęła leżący na wierzchu dla ochrony gofrowa-ny arkusik złotego papieru. Zachował się każdy rąbek do zagięcia, który miał je przymocowywać do postaci lalek. Nie dostrzegła nigdzie miejsca, gdzie by coś zostało oddarte. Wszystko przywodziło na myśl lata czterdzieste - karczki, proste ramiona, fałdy na spódnicach, paski, przymarszczenia na biodrach. Były tam płaszcze, bojerka i blezery. Przypomniła sobie te nazwy, które ze śmiechem wypowiadała Henny, pokazując stare fotografie. Mufka z zagiętymi rożkami. Papierowa lalka, która leżała prawie na samym spodzie i przypominała Awę Gardner czy Joan Crawford, miała wyciągnięte ramiona. Mufka musiała być przymocowywana do rękawa płaszcza - pewnie lalka robiła nią jakiś gest. Jak gdyby kogoś spotkała. W mieście. Było zimno. Padał śnieg, może to była Wigilia, w powietrzu rozbrzmiewały dzwony ~ jak na amerykańskim filmie.

265

ipr

Lalka z twardej tektury była domowego wyrobu, tak samo jak wszystkie ubrania. Można było zgadnąć, że karminowe wargi zostały pokolorowane czerwonym ołówkiem, którego koniuszek najpierw zwilżono. Ubrania były malowane farbami wodnymi, może zwykłymi szkolnymi. Kwiatki, kratki paski i kropki. Koronkowe brzeżki kołnierzyków. Cekiny. Zaszyte fałdy. Ściegi roboty na drutach i plisowanie. Wszystko oddane starannie, z miłością. Tak, z miłością. Odczuła ją sama, gdy wzięła do ręki te papierowe ubranka. Ostrożnie włożyła wszystko pod złoty papier i zamknęła pudełko.

266

Zadzwoił Ake Vemdal. Było to tak nieoczekiwane, że Birgera, który podniósł słuchawkę, dosłownie zatkało. Ake natomiast powiedział tylko:

- Teraz mogę przyjść.

•,

- Przyjść?

•":!•

|||·|||·|||·'

- Zaprosiłeś mnie na kolację.

Czyżby był aż tak bezczelny? Odrzucił przecież zaproszenie, nawet nie dziękując.

Birger czuł się zbity z tropu, odparł jednak:

- Oczywiście. Miło będzie cię zobaczyć. To kiedy?

Krając dziczyznę i przyrządzając ją z cebulą i ziemniakami, nerwy miał napięte. Ake prawdopodobnie także, bo gdy przyszedł, nie wydawał się zainteresowany jedzeniem. Siedział i małymi łykami popijał wódkę, jak gdyby to był likier. Tymczasem w kieliszku był zwykły smirnoff. Birger zamierzał kapnąć odrobinę ekstraktu kminkowego lub dziurawca wprost do kieliszków. Ale zapomniał.

~ Słyszałem, że Barbro odeszła.

Birger poczuł ogromny niesmak. A więc mówiono o tym. Z nim jednak nikt o niczym nie rozmawiał. Nikt go o nic nie pytał, nawet Marta. Ake Vemdal był pierwszym, który wspomniał, że Barbro odeszła. Ponadto dość niezręcznie próbował go pocieszyć.

267

- Zobaczysz, że ona wróci, jak tylko się uspokoi po tych przesłuchaniach.

Przesłuchiwali ją wiele razy. Taśma ma bez mała siedem godzin.

- Oni? - spytał Birger. - Dlaczego mówisz: oni? Ty w tym nie uczestniczyłeś i nie przesłuchiwałeś jej?

Wtedy Ake wypił zawartość kieliszka jednym haustem. Były to duże kieliszki, których - dopóki Barbro była w domu - nigdy nie używali. Ojciec Birgera, zatrudniony jako nadleśniczy na terenach należących do osady przy hucie w Gastriklandzie, dostał je na czterdzieste urodziny. Na kieliszkach wygrawerowano lecące kaczki, na karafce zaś myśliwego z psem. Teraz Vemdal przyglądał się matowym rysunkom na szkle, a Birger o nich opowiadał. Wydawało się jednak, że Ake nie słucha.

- Zostałem odsunięty od sprawy - odezwał się w końcu.

- Oficjalnie?

Uczucie, jakiego doznał Birger, było podobne do tego, jakiego doznawał na początku nieobecności Barbro. Wrażenie, że może to nie jest ostateczne lub nie całkiem rzeczywiste. Ake jednak powiedział, że tak właśnie było. Oficjalnie. Postawiono sprawę jasno.

- Ale dlaczego?

- Uważają, że za bardzo jestem w to uwikłany.

- Czy dlatego, że się wygadałem o tych gumiakach?

- Nawet nie słyszałem, aby o tym mówiono. Teraz możemy rozmawiać otwarcie. Bo, jak powiedziałem, jestem odsunięty. Ale nie sądzę, żeby oni posunęli się o wiele dalej. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

- Przyszli tu i bobrowali w całym domu - powiedział Birger. - Chcesz borówek do mięsa? Mam jeszcze kiszom ogórki.

Ale Ake prawie nie jadł. Jego twarz miała niezdrowy kolor.

268

_ Dostaję cholerną masę anonimowych listów. Żebym aczął działać. Wsadził tego, co to zrobił, aby ludzie mogli wychodzić z domów. Żeby turyści się nie bali. Chociaż jest dokładnie na odwrót. Turyści zlatują się jak muchy. Przyjeżdżają pełne autobusy. Dostaję listy, żebym skończył węszyć, żebym uważał. Przychodzą cuchnące przesyłki. I przedmioty. Zużyta podpaska. Chciałem przesłać ją do badania. Ta mała Holenderka w chwili śmierci miała okres. Więc pomyślałem, że ktoś to znalazł, ktoś, kto nie chciał się przyznać, że był tam na górze w pobliżu. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że zostałem odsunięty od sprawy. Zostało to wyrażone bardzo

jasno. I oświadczone mi, że podpaska jest prawdopodobnie komentarzem do faktu, że jestem wplątany w tę sprawę. Tak. To zresztą niewykluczone.

- W jaki sposób mógłbyś być w to wplątany?
- Nie jestem wplątany. — W jego głosie zabrzmiała irytacja.
- Sypiasz nocami?
- Przestań, do cholery! Nie wiesz, jak cię nazywają?
- Wiem - odparł Birger. - Uważam, że powinieneś coś zjeść. Potem posłuchamy jakiejś muzyki. Może damy sobie spokój z kawą. To nic złego, jeśli weźmiesz ze sobą kilka tabletek nasennych. Nie jestem żadnym pigularzem. Ty też nie jesteś taki, jak o tobie mówią.

Nie bardzo wiedział, jaką muzykę nastawić. Nie sądził, żeby Ake lubił Bacha czy Schuberta. Wśród swoich pierwszych płyt znalazł jedną, zatytułowaną Down South. Była to wolna melodia taneczna. Przypomniał sobie, że jeden z jego niewyżytych seksualnie a przedsiębiorczych kolegów z medycyny pożyczał ją, gdy miał nadzieję, że któraś z dziewczyn pójdzie do niego do domu. Kiedy niskie, ochryple i wydobywające się jakby opornie frazy saksofonu wypełniły jasny pokój, Birger poczuł, że chce mu się śmiać, i Ake to zauważył.

269

- O co chodzi?
- Jesteśmy dwoma starymi kawalerami. Beznadziejne.
- Nie wiem, czy beznadziejne. Ty, bądź co bądź, jesteś żonaty.
- Byłem.
- Ja nie miałem na to czasu. Choć niekiedy myślę, że to, co w tej sytuacji pozostaje, pochłania więcej czasu. Całe te cholerne... jak to się nazywa... koperczaki. Jeśli nie obiera się najprostszego wyjścia.

Mimo wszystko chciał kawy.

- Utrzymujesz tu porządek - powiedział w kuchni.
- Utrzymuję porządek i codziennie gotuję. Żyję jakbv pod kloszem. Obmacuję ludziom brzuchy i pachwiny, ale z nimi nie rozmawiam. Nie czytam już informacji na temat dochodzenia.
- Możesz sobie dać z tym spokój. Nie ma nic nowego. Czytałeś o Ivo Maertensie?
- Nie.
- Wrócił do domu. Rodzice zadzwonili. Zjawił się pierwszego lipca. Pod namiotem to nie był on. Pokłócił się z dziewczyną w Góteborgu i tam się rozstali. Nie ma najmniejszego pojęcia, z kim była. My też nie.
- O co się pokłócili?

- Szykował się wielki koncert rockowy w Góteborgu. Ivo Maertens i Sabinę Vestdijk przenocowali w namiocie na campingu w Landgedrag i nawiązali kontakt z kimś, kto chciał im sprzedać bilety. Jakiś konik, ale za przyzwoitą cenę. Ivo mu nie wierzył. Był pewien, że chce ich oszukać, że bilety nie są prawdziwe i że nie zostaną wpuszczeni na koncert. Więc nie miał ochoty na tę transakcję. No i o to się pokłócili, a on zaczął się bocyć. Myślę, że jest cholernie uparty. Ona poleciała na koncert. On nie wie z kim. Czy to był ten, który sprzedawał bilety, czy ktoś inny. Nie widział

270

tej osoby. Ale przypuszczał, że to był chłopak. Nie wróciła noc. Późnym przedpołudniem był już cholernie niespokojny i zamierzał iść na policję. Pobiegł do recepcji zapytać, czy jej me widziano, i rozpytywał o nią w sąsiednich namiotach. W końcu jednak przyszła. Z innego namiotu. Wtedy nastąpił między nimi koniec. Był tak wściekły, że zabrał swoje rzeczy i odszedł. Do domu wracał autostopem, co zabrało parę dni. Gdy przyjechał do Lejdy, nic nie wiedział o tym, co się stało. Powitano go,

jak gdyby zmartwychwstał. Nie wie, jakie dziewczyna miała plany, kiedy się rozstali w Langedrag. Ale nigdy nie było mowy o górach. Więc wygląda, jakby to był pomysł tego drugiego chłopaka. Strzelca.

- Strzelca? Zastrzelił kogoś?

- Nikogo, o ile nam wiadomo. Jedyne, co znaleźliśmy w starej torbie podróżnej, a co musiało należeć do niego, to notatnik. Jest na nim znak zodiaku. Strzelec.

- Widziałem go. Szczur także jest jego?

- Tego nie wiemy. Ale czy to nie dziewczyny mają zwyczaj paplać do myszy? W każdym razie uważamy, że jakkolwiek by, do diabła, było, jest to związane z datą jego urodzin. Chłopak jest spod znaku Strzelca - to właściwie jedyna informacja, jaką o nim mamy.

- Dlaczego?

- Notes został kupiony w sklepie ICA w Byvängen. Jest na nim naklejka z ceną. Były tam do wyboru wszystkie znaki zodiaku. To dlaczego miałby wybrać jakiś inny, a nie swój własny? Pamiętają go. Ale nie to, że kupił notes. Tego dnia przed wieczorem świętojańskim była tam masa ludzi. Mogliby prześledzić całą trasę Sabinę Vestdijk i jego z Langedrag, bo zawsze zatrzymywali się na campingach. W dużym namiocie. Gazety narobiły strasznego rabanu, więc ludzie dzwonili z informacjami. Przyjechali oboje do Byvängen na

271

dzień przed wieczorem świętojańskim i po raz pierwszy wzięli pokój w hotelu. W „Trzech Jodłach”. Na nazwisko dziewczyny. Właścicielka hotelu nie pamięta, czy powiedzieli, że on jest jej mężem. W każdym razie po południu Sabinę położyła się, a on poszedł do apteki. Tamtejsza praktykantka pamięta go. Według niej był przystojny. Choć nieprzyjemny. Myślała, że jest narkomanem. Miał bandanę na głowie i, jej zdaniem, wyglądał trochę niechlujnie. Choć z tym mogło być różnie. To zależy przecież od tego, jak dalece schludna jest ona sama, bo w sklepie nic nie mówili o jego wyglądzie poza tym, że miał bardzo długie włosy. Bełkotał coś, dopominając się o saridon. Nie mógł zrozumieć, że wszystkie silniejsze środki są na receptę. Nie sądzę, żeby praktykantka знаła na tyle angielski, a on mówił tylko po angielsku. Painkiller, powtarzał raz po raz. Z początku go nie rozumiała. Uczepiła się tego killer i uznała, że jest okropny. Ale ja myślę, że przesadza. Po prostu opacznie go rozumiała. Myślę, że Sabinę Vestdijk była chora i potrzebowała jakiegoś środka przeciwbólowego.

- Bóle menstruacyjne?

- Tak, jeśli mogą być tak silne. Nie wiem.

- Młode kobiety mogą mieć bardzo silne bóle.

- Jakkolwiek było, wałęsał się w tej okolicy. Nie jest pewne, czy notes kupił on sam. Sklepową nie może sobie przypomnieć. Zapamiętała go, bo mówił po angielsku. Ona nie zna angielskiego, to starsza kobieta. Musiała poprosić o pomoc. Dzięki temu zapamiętała, co chciał: piwo. Nic innego. Pomógł jej kierownik sklepu i zapamiętał to samo: chłopak kupił tylko piwo. Kto w takim razie kupił notes. Tego dnia przed wieczorem świętojańskim mieli mnóstwo klientów. Nikt jednak poza nim nie mówił po angielsku. Nie wiemy nawet, czy to Strzelec zapisał w notesie numer telefonu. Norweski. W każdym razie bardzo się o niego

272

obawiał, bo schował notes pod obciążnięte plastikiem tekturowe dno torby podróżnej. Byłem tym dość zaintrygowany. Okazało się jednak, że to numer sklepu samoobsługowego w małej nadbrzeżnej dziurze powyżej Bronnoysundu. Nic tam o chłopaku nie wiedzą. I myślę, że to prawda. Tamtej nocy w „Trzech Jodłach” było

paru Norwegów i naturalnie zostali przesłuchani. Nawet nie wiedzieli, gdzie jest ta miejscowość. Trudno powiedzieć, czy kłamią. Ale to nie są ludzie, dla których kontakty z długowłosym chłopakiem w podartych i uświnionych dzinsach byłyby czymś normalnym. Para nauczycieli z Namsos i weterynarz ze Steinkjer. Biedna dziewczyna nie dostała żadnych tabletek przeciwbólowych, ale napiła się wódki, bo w pokoju znaleziono pustą butelkę. Koskenkorva.

- A proszek, który mi wtedy pokazałeś? Ake sprawiał wrażenie nieco zażenowanego.

- Pomyślałem o chłopaku to samo co praktykantka w aptece. Ale kiedy te drobinki zostały zanalizowane, okazało się, że zawierają głównie kwas acetylosalicylowy.

Także kofeinę i ziarenka coli. Takie same jak w coca-coli.

- Semen colae - powiedział Birger. - Ale ja nie znam takiej mieszanki.

- W każdym razie nie jest silniejsza od aspiryny. Chyba jedynie to miała. Rano już ich nie było. Wynieśli się cichaczem i nie zapłacili. Przypuszczalnie bardzo wcześnie. Nikt nie wie, co robili rano. W końcu ona pojawiła się u Lill-Oli Lennartssona. Chłopak kupował coś w sklepie ICA. Rzeczywiście pytał o górę. Ale zaczynam przypuszczać, że po prostu pomylili drogę, bo ta góra wcale nie jest blisko.

- A o którą chodzi?

O Gwiazdną. To nie tu. W tym czasie dziewczyna robiła zakupy u Lill-Oli. Więc całkiem możliwe, że Lill-Ola przypuszczał, iż jest sama. A zatem nic dziwnego, że był

273

podekscytowany, pożyczył namiot i tak dalej. On się pali cło kobiet. Podobno jest tak cholernie bezczelny, że wchodzi do samotnych żon w wynajętych domkach letniskowych, gdy ich mężowie wychodzą w nocy łowić ryby. Nie wiem.

- Nasłuchałeś się mnóstwa świństw.

- O Lill-Oli Lennartssonie całkiem sporo. To on powiedział, że widział ciebie, jak przecinasz drogę i wchodzisz do lasu. Na górze nad Lobberin.

- Chyba oszalał.

- Mógł oczywiście widzieć kogoś innego. Ale myśli, że to byłeś ty. Ja jednak przypuszczam, że powiedział tak dlatego, że kazałem przeszukać kotłownię.

Zrozumiał, że to ty mi dałeś cynk.

- Trudno mi uwierzyć...

- Ty jesteś równy facet, Birger. Ale poczekaj, to nie wszystko. On powiedział, że zacząłem go potem szykanować. Przeszukiwać jego piwnicę i dom. Żeby chronić ciebie. Kłamię cholerny drań. Ale mu wierzą.

Zapadła cisza. Tarcza płyty kręciła się bez igły, ale Birger nie mógł się zmusić do tego, żeby nastawić nową płytę. Ogarnęło go uczucie obrzydzenia i właściwie niczego więcej już nie chciał słuchać. Mimo to zapytał:

- Więc oni naprawdę myślą, że to ja poszedłem nad Lobberan?

- Nie. Nic nie myślą. Próbują pracować bezstronnie. I nie przypuszczam, aby coś im przyszło z twoich rzeczy, gumiaków i co tam jeszcze było. Wtedy daliby o sobie znać. Nie przejmuj się tym tak bardzo, bo wiele osób było przesłuchiwanym. Lill-Ola. Jego żona. Mogła przecież pójść w górę, bo chciała zobaczyć, co on wyrabia. Wie o jego przygodach z kobietami. Przesłuchali też Dana' Ulandera, Annie Raft i całe to tałatajstwo z Gwiazdnej Góry. Yvonne i jej chłopaków. Przewrócili tu we wsi każdy kamień- Ai

274

jedną rzecz w każdym razie wierzą. Że on powiedział o tym, iż ciebie widział. Że powiedział mi to już przy pierwszym przesłuchaniu. Uważają, że uznałem to za absurd, ponieważ byłem z tobą i sądziłem, iż cały czas mamy ze sobą kontakt. Ale

ich zdaniem, nie mogę tego wiedzieć na pewno, więc powinienem uwzględnić jego informację w protokole przesłuchania. Nawet jeśli jest niewiarygodna.

- To dlatego zostałeś odsunięty od śledztwa?

- Tak. Twierdzą, że popełniłem błąd natury formalnej. Ponieważ, bez względu na to, jak śmieszna wydawała mi się jego informacja, powinienem był ją zapisać. Ale on nic takiego nie powiedział. Oni w to jednak nie wierzą. W ostatnim czasie myślałem, że mało brakuje, a oszaleję. To ścierwo! Cholerna kreatura! Spalił całą partię nowych gumiaków marki Tretorn. Bał się, że policja będzie węszyć w jego domu. One muszą pochodzić z kradzieży, bo facet nie ma zaksięgowanej takiej dostawy. Nie istnieje żadna faktura, nic. I sprzedawał je nieprawdopodobnie tanio. Prawie każdy we wsi, kto ma takie, kupił je od niego. To bynajmniej nie ułatwia śledztwa. A oni mu wierzą.

- A głuszce? Dlaczego je spalił? Przecież on ma prawo dzierżawy terenu, gdzie może polować na drobną zwierzynę. Chyba nie powinien się niczego bać.

- Nie wiem. Możliwe, że na coś przy okazji wpadli, ale nic o tym nie słyszałem.

Przecież szukają puchu ze śpiwora.

Ake mówił, nie patrząc na Birgera. Utkwił wzrok w dużym oknie, wychodzącym na ogród, ale na szybie widniał jedynie odbłask światła. Naprawdę jednak widział ścieżki przez mokradło, które gubiły się w nocnej mgle. Widział udzi poruszających się po rejonie. Widział, jak się wynurzają i zaraz znikają, ponieważ nie patrzył oczami, tylko kłębiący-mi się myślami.

275

Miał obsesję. Przebiegał wewnętrznym wzrokiem ścieżki na mokradle i wiejskie drogi dojazdowe, tak jak Birger każdego dnia esy-floresy na listwach werandy. Został odsunięty od sprawy, ale całym sobą tkwił w niej nadal. Zupełnie bez sensu.

276

Gdy weszła, Dan leżał na jej łóżku. Był w pokoju sam, nagi, na wpół odwrócony do ściany. Światło wpadające przez okno połyskiwało na jego brązowawej skórze, trochę wilgotnej. Trzymając członek, poruszał przegubem ręki i przedramieniem. Cofnęła się, ale już się zorientował, że ona jest w pokoju.

- Co ty robisz? - spytała i sama usłyszała, że coś w jej głosie gdaknęło. Nie był to jednak szczery śmiech.

- Onanizuję się - odparł. Mówił trochę niewyraźnie. Annie ukłękła. Papiery i książki zsunęła na podłogę, próbując zrobić to najciszej, jak mogła. Nie wiedziała, co począć. Wzięła plik papierów i kilka kalendarzy i wsadziła je pod łóżko. Słyszała, że oddycha coraz gwałtowniej. Poruszył się, aż łóżko zatrzeszczało. Potem nastąpiła cisza.

Usta miała pełne śliny i musiała ją przełknąć, nie przestawała jednak upychać kalendarzy pod ścianą. Wstał z łóżka. Gdy skończyła układać papiery, podniosła się i ujrzała go. Stał w drzwiach i wycierał się ręcznikiem. Pomyślała zmieszana, że to ręcznik z kuchni.

- Nie możesz mi przeszkadzać, kiedy o tobie myślę - powiedział.

Udała, że poprawia szal, który położyła na stole jako serwetę, i spróbowała się zastanowić, co na to odpowiedzieć. Zdołała jedynie pomyśleć: on jest bardziej naturalny niż ja.

277

Śmiałyby się ze mnie, gdyby wiedział, jak się czuję. Jak dramatycznie podchodzę do wszystkiego. Pospiesznie zatrzasnęła leżący na stole notatnik. Gdy się odwróciła, wyszedł.

W ostatnich dniach ona i Dan wiele razy sypiali ze sobą na sianie, które pozostało na górze w oborze. Było suche i szorstkie i kłuło ją przez materiał bluzki. Potem miała

ochotę chwilę poleżeć w takim zapachu lata. Najchętniej zasnęłaby w nim. Ale prawdę mówiąc, wcale tak dobrze nie pachniało. Było to stare siano. Chciał, aby robili to także w pokoju wieczorami. Ale nie zgadzała się ze względu na Mię. Nie mogła być pewna, że Mia śpi. Czasami z góry dochodził szelest. Mia bawiła się w ciemności lalkami. Coś do nich szeptała.

Przed dziennikarzami Annie schowała się też na sianie na strychu. Słyszała ich, gdy przechodzili obok z Petrusem, który opowiadał o hodowli kóz i owiec. To z nią jednak chcieli się spotkać. Chcieli, żeby powiedziała, jak wyglądał poprzecinany namiot nad Lobberan i które części ciała zobaczyła. Petrus zaś opowiadał, jak się wyrabia sery, gdy nie ma elektryczności.

Trwało to długo, od czasu do czasu słyszała ich głosy. Brzmiały tak, jak gdyby mówili do dzieci. Aby wykorzystać czas, zaczęła szukać pudełka od krążka pochwowego, które zgubiła gdzieś w sianie. Gmerając dookoła, poruszała pył i plewy i dość szybko namacała twarde brzeg. Nie było to jednak pudełko, lecz biały plastikowy słoiczek z lekarstwem. Stesolidem. Został wypisany na Barbro Torbjörnsson i był prawie pusty. Dalej szukała swojego pudełka, a gdy w końcu je znalazła, zobaczyła obok pilnik do paznokci i małą mydelniczkę z hotelu. Musiała się tu wysypać zawartość czyjegoś neseseru. Pokazała rzeczy Danowi, a on je zabrał. Powiedziała mu, że na ich widok poczuła niesmak.

?

278

- Dlaczego?

— Myślałam, że to nasz strych. Nasze siano. Twoje i moje.

— Odparł, że nie może żądać, aby mieli tu na górze miejsce włko dla siebie. Prywatną sypialnię. Własny strych i siano.

Wiele jeszcze powinna zmienić. Na przykład słuchanie radia. Była przywiązana do tej małej plastikowej skrzyneczki, leżała w łóżku ze słuchawkami na uszach. Nie mogła zasnąć, póki o jedenastej wieczorem nie wysłuchała wiadomości. Wietnam, Kambodża, Mozambik. Musiała usłyszeć te słowa.

- Wydarzenia nie następują tak szybko, żebyś musiała słuchać wiadomości co godzina — powiedział Dan. — To trucizna.

Być może miał rację, ale ona już taka była. Uzależniona. Od różnych rzeczy. Jak on od jej ciała, myślała przedtem. Ale czy rzeczywiście był od niego zależny?

Czasami wydawał jej się dziwny. Uświadomiła sobie jednak, że jest to słowo, którym człowiek kwituje coś, co go na dobrą sprawę nie interesuje. A przecież było przeciwnie; intensywnie czuła jego obecność. Jaki był smukły, jakie miał szczupłe plecy, delikatne ręce i stopy! Jak w blasku lampy jego włosy mieniły się kolorami od popielatego do złotego! Co piąty, a może nawet co czwarty, włos był złoty. Nieraz leżała, mając ich pasmo na ramieniu lub na piersiach i przyglądała się poszczególnym kosmykom.

Z grupy ponad dwudziestu nowych uczniów, stojących przed drzwiami klasy, wyróżniła go od razu. Jakże był inny ze swoim szczupłym, gibkim ciałem! Poruszał się jak tancerz. W sali lekcyjnej, w nudzie zimowych popołudni i w dusznej atmosferze wełny i wydechów był jądrem czystej energii, do której musiała dotrzeć. Z początku, jeszcze zanim osobiście zamienili ze sobą słowo, myślała o nim jako o tym dziwnym uczniu. Zaczęła o nim marzyć. Na lekcji potrafił powiedzieć coś, co

279

sprawiło, że czuła się zmieszana i niepewna. Potem wymyślała dalszy ciąg.

Wyszukiwała cięte riposty i robiła się z tego rozmowa. Pewien rodzaj rozmowy.

Bo były to przecież monologi, prowadzone zawsze w ciszy. Uważała, że wiele spraw się wyjaśnia, gdy ona tak opowiada w duszy. Jemu. W rzeczywistości jednak nie mówiła zbyt wiele. Nie wcześniej, niż zaczęli ze sobą sypiać.

Jej powściągliwość wynikała z pewnej zależności. Trucizny - według jego twardych słów. Czegoś, czego trzymała się atawistyczną, mroczną i nieprzeniknioną częścią siebie samej. Sądziła, że to ma związek z Enskede, a później z konserwatorium i Karlbergsvagen. Z życiem, które dla niego byłoby całkowicie niezrozumiałe. Czasami dochodziło między nimi do scysji, nieporozumień, konfliktów - czy jak to tam nazwać - a wówczas w brzuchu rżnęło ją jak nożem i nie miała odwagi Dana nawet dotknąć, ponieważ panował między nimi chłód. Poznawała, co było w jego oczach: nieufność.

Nie dowierzał jej, podejrzewając, że dla niej to zabawa. Sprawa na kilka tygodni. Nieszkodliwe igraszki, zaprawione ideami politycznymi i silną potrzebą seksu. Czasami rzeczywiście mówił, że jest dla niej tylko ciałem. Złocistym i mechatym. Jak morela. Że jest za młody.

Było między nimi dziewięć lat różnicy. Kiedyś powiedział, że ona nie traktuje go poważnie. Tak jakby odgadywał, że czasami ogarnia ją przemożne uczucie, iż on jest dziwny. Całkowicie nieznany. Tkanka, którą się odrzuca. Obca, nie dająca się przeszczepić tkanka duchowa.

W drzwiach stanęła Ónis i spytała, czy Annie nie zapomniała o wieczornym dojeniu. Tak, zapomniała. I niepokoił ją zapach unoszący się w pokoju. Wzięła ręcznik, zwinęła go

280

kłębek i włożyła pod koc. Ónis śledziła ją wzrokiem, nie odezwała się jednak słowem. Sigrid, która deptała jej po niętach, oznajmiła, że w zasadzie to nie jest kolej Annie na dojenie. Grafik został źle wypełniony.

Annie włożyła duży fartuch, który dostała od Brity, i poszła razem z nimi do obory dla kóz. Nie lubiła ich i przed przybyciem na Gwiazdną Górę nigdy nie doiła.

Przypuszczała, że nie pozwalano jej doić z Danem, bo był powolny i niezręczny. Należała do zespołu Ónis. Do niego też zaliczała się Lotta. Nie pojawiła się jednak. Kozy były rozmaite: brunatnoszare, białozółte, pokryte pręgami i łaciate, każda inna, a mimo to nie nauczyła się ich rozróżniać. Miały napęczniałe, porośnięte rzadkim włosiem wymiona ze sterczącymi sutkami. Ochoczo wskakiwały na stół do dojenia i nietrudno wyciskało się z nich mleko. Gorzej było z zapamiętaniem wszystkich czynności po kolei. Wymię musi być wytarte, pierwsze krople nie mogą wpaść do wiadra, bo są pełne bakterii. Jeśli zapomniała o wytarciu wymienia, to znaczy, że nie uruchomiła refleksu potrzebnego przy zwierzętach ssących, pouczał ją Petrus. Kozi odór ją dławził. Gdy tylko się odwróciła i na chwilę przestawała pociskać i ciągnąć, kozy stawały się niespokojne. Ich dziwnie opuszczone oczy o podłużnych źrenicach lśniły jak pokruszony bursztyn. Niektórym zwierzętom na szyjach dyndały jakieś narośle. Małe jęczyczki mięsa. Nie chciała wiedzieć, co to takiego. O wiele chętniej robiłaby coś przy łagodnych, pachnących lanoliną owcach. Ale o tej porze roku owce niczego nie potrzebowały.

Potem kobiety musiały zająć się mlekiem. Schładzały je, wstawiając bańki do strumienia. Teraz, ze względu na ciepłe dtu, trzeba było masę serową gotować codziennie. Kiedy mleko się zsiadło, Annie musiała je mieszać dużymi widelcami, które nazywano tu harfami. Pochłaniało to absurdalnie

281

dużo czasu, a ramiona bolały. Nie powierzano jej ugniatania bryłek i wkładania ich do form. Miała jednak pilnować serwatki, która powinna się gotować tak długo, aż zgęstnieje na brązową i ciągliwą masę.

Mia nie chciała być przy tym. Za pierwszym razem zatykała sobie nos, a potem zniknęła z Matsem i Gertrud. Sigrud za to zawsze chciała pomagać i Annie zauważyła, że zręczna z niej dojarka. To ona pilnowała grafiku dojenia, teraz więc trudno jej było przyznać, że mogła się pomylić.

- Tata doił w wieczór świętojański, nie Ónis. Dzisiaj nie jest kolej Ónis. Źle się stało. Annie wiedziała, że nie powinna się z nią sprzeczać. Dziewczynka miała zaledwie dziewięć lat, była jednak uparta. Szła obok Annie do letniej kuchni, marudząc przez cały czas. Annie bolały ramiona i plecy. Czuła wzbierającą irytację. Stała w drzwiach i przytrzymała je, aby zaznaczyć, że chce wejść sama.

- Pierwszy raz dołam w poniedziałek - powiedziała. - A drugi dzisiaj, to znaczy w czwartek. Były więc dwa dni przerwy. A tak ma być, kiedy się jest trzecim zespołem. Więc chyba wszystko jest okay, prawda?

- Ale grafik jest zły!

- Już mówiłaś. Zostawmy to teraz. Twój tata nie mógł doić w wieczór świętojański, bo był w Róback.

Potem weszła do środka i zamknęła drzwi. Naturalnie zaraz tego pożałowała. Ale naprawdę miała ochotę przez chwilę pobyć sama. Przez okno widziała, jak Sigrud tam i z powrotem chodzi po trawie, podpierając się kijem. Była wściekła. Przyszła uparciucha?

- Pozwól jej mieć rację - powiedziała Ónis, gdy pomagały sobie wzajemnie przenieść bańki przez próg. - Jest całkiem rozbita. Przecież w środę pastor zabiera i ją, i Getrud.

- Pastor z Róback?

- Nie, ich ojciec. Nie wiedziałaś o tym? > >

282

pewnego dnia przyszedł na Gwiazdną Górę pastor. Annie wtedy także trzymała się na uboczu. Myślała, że to ten sam, który otworzył dom parafialny w dzień świętego Jana i zapraszał na kawę i ciastka. Żeby ludzie otrząsnęli się z szoku. Słyszała to, gdy siedziała w kuchni Oriany Strómgren, a policjanci chodzili tam i z powrotem. Ale to był pastor ożeniony z Britą, ojciec Sigrud i Gertrud. Ónis mówiła, że teraz spierają się o opiekę nad dziewczynkami.

Annie nie mogła tego pojąć. Było coś tak pierwotnego, tak odwiecznego w małej rodzinie Petrusa. Wydawało jej się, że dziewczynki są podobne do niego. Miały jego podłużne kozie twarze. Jeśli Brita była żoną pastora, to wyjaśniało przynajmniej, skąd znała listy świętego Pawła. Annie wolałaby, żeby Dan wcześniej jej o tym powiedział.

- Pastor ma orzeczenie sądu, że Gwiazdna Góra nie jest odpowiednim miejscem dla dziewczynek, ale zamierzał załatwić sprawę spokojnie, właśnie ze względu na nie. Przyjść i przekonać je. Zresztą nie jestem pewna, czy to w ogóle było potrzebne. Miał przecież atut w ręku - szkołę. Że zimą i tak obie muszą mieszkać w Róback, z dala od swojej matki. Ale potem okazało się, że ty przyjeżdżasz i będziesz nauczycielką. Wtedy wyglądało na to, że Brita wygrała. Póki się nie stało tamto. W dole nad rzeką. Teraz dziewczynki zostaną zabrane. Pilnujesz mleka?

Annie została w kuchni sama. Stała, trzymając w ręku termometr, i wpatrywała się w mleko, które nadal wirowało, zamieszane przed chwilą przez Ónis. A więc tak to widziano. Gdyby Mia miała ojca, który by wiedział, że ona jest tutaj, może też by próbował ją stąd zabrać, ponieważ to dla niej niebezpieczne miejsce. To tak, jak

gdyby istniały dwa światy, Pomyślała. Jeden tam. Tam, gdzie to się wydarzyło. A drugi tu. Bądź tak miła i zapisz ilość mleka! - zawołała Ónis przez otwarte drzwi.
283

Miała zaróżowioną, gładką twarz. Była nie umalowana i wargi nabrały lekko niebieskawego odcienia. Tęga i ładna dziewczyna. Mogłaby być jedną z pasterek Kriszny, której usta nabrały takiego zabarwienia od całowania jego skóry. Jeśli istnieje tu jakieś zagrożenie, śmiertelne i bliskie Annie nie powinna teraz zajmować się ilością mleka i podawaniem paszy. Ónis jest osobą zrównoważoną. Może sobie dość. Pochodzi z Óhn w Jamtlandii. Przedtem pracowała jako opiekunka społeczna.

Dzienny zapis udoju mleka był przypięty do ściany pinezkami. Obok niego wisiał na sznurku długopis. Annie wpisała trzydzieści osiem litrów i postawiła swoją parafkę. Inni pisali skróty swoich imion. Jej AR wyglądało poturzędowo, ale nie chciała tego zmieniać, ponieważ tak już zaczęła. Petrus zapisywał P-us. Zobaczyła jego imię w kolumnie przy wieczorze świętojańskim. Trzydzieści sześć i pół 1. P-us. Czterdzieści 1. P-us.

Najpierw pomyślała tylko tyle, że Sigrid miała rację. Powinna natychmiast pójść jej to powiedzieć. Potem przypomniała sobie grafik, który był u Petrusa i Brity i według którego ustalali wszystko każdego wieczora. Według tamtego grafiku Sigrid się myliła.

Dziewczynka dalej chodziła tam i z powrotem przed letnią kuchnią, waląc kijem w wysoką trawę. Była drobna i chuda. Annie mogła dostrzec jej kręgosłup, który przy każdym pochyleniu ciała zarysowywał się pod trykotową bluzką. Przez moment miała szczerą ochotę podpytać dziewczynkę o grafik dojenia. Ale na myśl o tym, że chce nią manipulować, ogarnął ją wstyd. Wiele osób już to czyniło. Plecy dziewczynki były takie smutne i bezbronne. Sznureczek małych kręgow, kruchych jak muszelki. Cienka łądyżka szyi i ciężkie włosy, przerzucone do przodu dwa błyszczące warkocze. Powinna chodzić w spodniach, nie w spódnicy' Chude nogi były obrzmiałe od ukąszeń owadów.
284

Wkrótce zostanie zabrana z Gwiazdnej Góry. A może nie. fjiłt jej nie będzie pytał, czy ma na to ochotę. Zetną jej włosy, a może nie zetną. Pewnie sama nie do końca wie, czego chce. A niby skąd to ma wiedzieć? Głosy dookoła niej były donośne. Jeden z nich powiedział jej, że ma iść i przyprowadzić Annie i Mię z autobusu w wieczór świętojański.

Przy autobusie w Róback były tylko dzieci, Sigrid, Gertrud Mats i Pella. Liczba się zgadzała. Annie widziała je. Inkaską czapkę Matsa, ich lapońskie buty i plecaki z kory brzozewej. Nikt z dorosłych z nimi nie przyszedł. Z pewnością Sigrid kierowała grupą. Była obowiązkowa. Ktoś z dorosłych nakazał: „Pójdziecie i przyprowadzicie dziewczynę Dana i jej córeczkę. Przyjeżdżają dziś autobusem”. A dzieci wróciły i powiedziały, że Annie i Mia nie przyjechały.

Stała wtedy na przykościelnym dziedzińcu, po raz pierwszy opłukana chłodnym górskim powietrzem, i widziała te dzieci. Nie dotarło do niej jednak, że szukają właśnie jej i Mii. Kierowca autobusu nie wiedział, że ona należy do komuny. Zresztą zaprzeczyła temu.

Mogła teraz zawołać tę małą, wściekłą i zawiedzioną istotę i zapytać ją, gdzie był Petrus w wieczór świętojański. Jak łatwo manipulować takimi dziewczynkami, pomyślała, grając na ich uczuciach.

Sigrid odeszła. Przedtem upuściła kij i stała, wpatrując się w okno, jak gdyby czekała, że może Annie w końcu ją zawoła. Ale Annie odsunęła się, jej twarz zniknęła w

mroku mleczarni. Po przygarbionych plecach i opuszczonych ramionach Sigrid widać było, że dziewczynka się poddała. Może zrozumiała już, że tamtych jest zbyt wiele. Że są dorośli i nie pozwolą jej mieć racji.

Annie ostrożnie wyjęła pinezki z czterech rogów kartki

2 dziennym zapisem udoju mleka, złożyła ją i wsunęła do kieszeni fartucha.

285

Po wyjściu Akego Vemdala zostały brudne naczynia. Brązowy sos zasechł.

11

Zatelefonować. Wyjąć mięso z zamrażarki. Zrobić zakupy. Schłodzić wódkę, otworzyć wino. Przygotowywać, przygotowywać. Szykowanie wszystkiego zabrało dobrych parę godzin. Siedzieć naprzeciw siebie i gadać o swoich obsesjach. Gadać. Gadać. Pomijając życie. Brzęk szkła przy przepijaniu do siebie. Oglądanie szlifowanych kieliszków. Opowiadanie o tym, z jakiej okazji ojciec je dostał.

Ale nie tak, jak to było naprawdę, tylko lekkim tonem. Nie o tym, że na czterdziestych urodzinach ojca w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym śpiewali Horst-Wessel Lied. Bo absolutnie nie dałoby się wytłumaczyć, że to było tylko po to, aby podrażnić mamę.

Ojciec nazywał ją jedną ósmą Żydówki. W zasadzie nic go to nie obchodziło. Ani narodowy socjalizm. Miał jedynie ochotę trochę jej podokuczać, bo pochodziła z bogatego domu, a teraz musiała się zadowolić życiem towarzyskim w osadzie przy hucie i tylko jedną służącą, i zakupami w sieci sklepów Konsum, i raz do roku podróżą do Sztokholmu. Byli ze sobą głęboko związani. Ten głęboki związek był ich" jedyną rzeczywistością.

Jej nienawiść była bezradna. Pewnego razu powiedziała twój ojciec miał twardy charakter. Było to piętnaście lat p°

286

po śmierci. Ale gwałty oczywiście pamiętała. Czasami Bir-,er słyszał ich odgłosy przez ścianę swojego chłopięcego nokoju. I potrafiła mówić o tym eufemizmami, żeby samej się nie poniżać. Głupawy narodowy socjalizm ojca też był eufemizmem. Być może z powodu nienawiści, której siły nigdy nie pojął.

Splukać. Zmyć. Zebrać. Ustawić kieliszki i nigdy ich już nie wyjmować.

Jadać gorące kolacje.

Na koniec mała whisky. Dwie.

Nigdy więcej nie mówić, zbliżając wargi do czyjegoś ucha, ciepłego ucha.

>

Gdy skończył zmywanie, wyszedł. Ściął na ukos ugory. Było prawie ciemno, ale dostrzegł pole lnu w całym jego poniżeniu. Przemoczone deszczem, na wpół zgniłe zasy włóknistych łodyg.

Uświadomił sobie, że Karl-Ake i on mają teraz powód do wzajemnej wrogości. Jedną z tych absurdalnych, naciąganych, błahych przyczyn, które leżą u podstaw każdej wrogości, wytwarzanej we wsi według wzoru przypominającego skomplikowane robótki szydełkowe. Tak, to absurd, dziecinada, wymysły. Ale nienawiść jest prawdziwa.

287

Gudrun Brandberg prowadziła audi, wiozła swego syna Johana w górę, ku Steinkjer. Wyglądała na zagniewaną. Patrząc na nią z boku, nie odnosił jednak wrażenia, że jest na niego wściekła z powodu ucieczki. On sam był dość wzburzony, ale jak zwykle, nawet tego nie zauważyła.

Nie przyjechała do pensjonatu, tylko zadzwoniła ze stacji benzynowej przy wjeździe do miasteczka i powiedziała, że ma się z nią tam spotkać. Kiedy odparł, że prawie nie może chodzić i że nie ma co włożyć na nogę, poleciła mu wziąć taksówkę.

Taksówkę!

Zapłacił właścicielce pensjonatu pieniędzmi Ylji i złapał okazję do stacji. Właściwie nie chciał ruszać tych pieniędzy. Gudrun w ogóle się nie zainteresowała, czym za siebie zapłacił, i dopiero po dłuższej chwili jazdy spytała, co sobie zrobił w stopę. Audi jechało o wiele za szybko po rozgrzanym asfalcie. Z profilu Gudrun ciągle wyglądała tak samo i rozumiał, że to nie jest wściekłość. Była pogrążona w myślach. I to tak całkowicie, iż dziękował w duchu Bogu, że nie pojechali w kierunku Grongu. Mogła nieoczekiwanie skręcić z szosy i ześlizgnąć się prosto w Namsen. Poprzedniego wieczoru nie przyjechała. Około jedenastej zadzwoniła i powiedziała, że było zbyt wiele do załatwienia-

288

Położył się więc do łóżka i pomimo bólu próbował zasnąć. Zrobił jej się żal, jak zobaczy moją stopę, pomyślał.

Do nikogo nie dzwoń - poleciła cienkim ostrym głosem - Słyszysz? Masz z nikim nie rozmawiać.

Audi stojące przy stacji benzynowej miało załadowane tylne siedzenia. Leżały tam walizki, pudła i różne rzeczy luzem. Ze zdumieniem zobaczył swoje łyżwy do hokeja. I kij. Z kartonowego pudełka popijała sok pomarańczowy, wargi miała suche i widać było, że bardzo chce jej się pić.

- Chcesz? - spytała i wyciągnęła do niego pięciokoronówkę, żeby sobie kupić sok. Nie wziął. Miała na sobie tę samą sukienkę co w wieczór świętojański, w drobne kwiatki. Ta sama biała wełniana kamizelka leżała złożona na jednej z walizek na tylnym siedzeniu. Zupełnie jak gdyby nie zdejmowała ubrania albo jakby w Czarnej Wodzie czas stanął.

- Czytałem w gazecie... było jakieś morderstwo. Nad Lobberan.

- Teraz wskakuj do samochodu - rozkazała.

Gdy wyjechali z Namsos, spytał, kogo zamordowano. Dłuższą chwilę milczała, jak gdyby nie chciała na to odpowiadać, ale potem odparła, że to byli turyści.

Cudzoziemcy.

- Czy ta sprawa została wyjaśniona?

- Nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Nie rozumiał, jak mogła tak powiedzieć. Odparł, że jego zdaniem, to nie jest w porządku.

5

~ Co nie w porządku?

Przyszło mu na myśl słowo „nieprzyzwoicie”, ale nie powiedział tego. Musiało samo do niej dotrzeć, że jej słowa zabrzmiały dziwnie, bo spróbowała mu wyjaśnić: Uważam tylko, że to niemal beznadziejne. Tego wieczoru nazjeżdżało się tylu turystów. I cudzoziemców.

289

- A ludzie się nie boją?

- Nie chcę więcej o tym mówić. W ostatnich dniach mieliśmy tego dosyć w domu. W jej głosie zabrzmiał jak gdyby wyrzut, że uciekł, kiedy było najciężej.

- Uciekłem, bo byłem wściekły - odezwał się. - Per-Olla i Pekka zachowali się wrednie. Tak, Vaine i Bjórne też. Posunęli się za daleko. Poszli za mną do chaty Aldy.

- Nie chcę o tym słyszeć. A ty przynajmniej nie wygaduj głupot na temat Bjórnegogo! Gdyby nie on, byłoby teraz z tobą naprawdę marnie.

Mimo wszystko była na niego zła. I nie zapytała, gdzie był. Tylko czy z nikim nie rozmawiał. Co ona sobie wyobrażała - że zaszył się w lesie?

- Dlaczego wzięłaś moje rzeczy?

Sam usłyszał, że jego pytanie zabrzmiało płacząco, nie zdążył jednak zapanować nad głosem. Za to w jej odpowiedzi dał się teraz słyszeć życzliwszy ton.

- Musimy urządzić cię jakoś inaczej — odparła. — W domu panuje nie najlepszy nastrój.

- Torsten się wściekał?

Nie odpowiedziała wprost i poczuł się dosłownie chory na myśl o tym, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Nawet nie mógł jej o niczym opowiedzieć. Ona po prostu nie chciała nic wiedzieć.

- Będzie sprawa - odezwała się. - Vidart bredził o jakimś trzonku od grabi. Ale to się pewnie wyjaśni. W każdym razie najlepiej będzie, jeśli urządzimy cię gdzieś indziej. Myślałam o Langvasslien.

Usłyszawszy nazwę, doznał lekkiego wstrząsu. Fala krwi uderzyła mu do głowy, łomotała w uszach, w wargach-Czekał. Myślał nawet o tym, jak zabrzmiał jej głos, teraz, gd> wreszcie o tym powiedziała. Cicho? Wstydliwie, intym*11^

290

rzy też na wpół ze złością i wyzywająco? Aby zaznaczyć, że to, co zrobiła, to jej sprawa, nie jego.

Czy ma powiedzieć, że podejrzewał to przez cały czas? Że jest synem Ouli Larasa.

Nie Torstena. Czy też, aby jej ułatwić sprawę, nie powinien dać nic po sobie poznać?

Nie ciągnęła rozmowy. Nie teraz, pomyślał. Później. Jest zażenowana. To dla niej tak samo nieprzyjemne, jak dla mnie byłoby opowiadanie o Ylji. Niewykonalne. Ale musi to zrobić. Zanim dojedziemy do Langvasslien. Przypuszczalnie przed Steinkjer, a stąd to nie więcej jak mila.

Kiedy wjechali do miasteczka, powiedziała, że zatrzymają się, aby coś zjeść.

- Ja muszę pójść do szpitala - odezwał się Johan, bo uświadomił sobie, że ona tego nie proponuje. Wydawała się w ogóle nie zainteresowana jego stopą.

- Aż tak źle? - spytała tylko.

Gdy siedzieli, czekając na pogotowiu, zdjął skarpetkę. Przynajmniej wtedy zaparło jej dech.

Nie sądziła, że to zabierze pół dnia. Ustalili, że jak tylko wyjdzie ze szpitala, spotkają się w kawiarni. Siedziała tam; wydawała się zupełnie wykończona. Jak zwykle, poczuł wyrzuty sumienia. I wtedy ogarnęła go złość. Przecież nic na to nie mógł poradzić, że musiał tak długo czekać. Mogła spytać lekarzy. Teraz wyjaśnił, że goleń była złamana, a ścięgno w kostce zerwane. Założyli mu gips. Dostał też kule. Ale trzeba za nie zapłacić, ponieważ nie są rwegami. Wtedy poszła do rejestracji i oświadczyła, że a jesieni on zacznie chodzić do gimnazjum w Steinkjer, k w Langvasslien i że jak przyjedzie na kontrolę, to odda kule.

291

Stwierdzenie, że on już mieszka w Langvasslien, było chyba nieco przedwcześnie. Ale kobieta w okienku przyjęła to zwyczajnie. Poprosiła o adres. I Gudrun powiedziała:

- On mieszka u Peta i Sakki Dorj. Skrzynka pocztowa dwanaście, Langvasslien.

Sakka. Ciotka. Starsza siostra Gudrun. Dopiero gdy wyszli, w drodze do samochodu, spytał, czy to, co powiedziała jest prawdą.

- Będę mieszkał u Sakki?

- Jasne. A gdzie indziej byś mógł? Przecież to oni mieszkają w Langvasslien.

Wieczorem spadł deszcz. Najpierw wiatr przygnał całe chmury gęstych i chłodnych oparów. Kładły się na trawie i na ich twarzach jak błony. Pociemniało, a wicher przybrał na sile. Gdy wszyscy siedzieli już u Petrusa i Brity, lunęło.

Kuchnia przeobraziła się. Kiedy na łupiek nie padało światło słoneczne, ściana pieca zdawała się rosnać. Okno obramowywało ciemną zieleń za zasłoną walącą szerokimi strumieniami wody.

Po raz pierwszy widziała ich nie w silnym słonecznym świetle. W szarym zmroku twarze zdawały się pełne znużenia. Z wyjątkiem Dana. Jego była wypoczęta. Siedział spokojnie i bawił się kosmykiem włosów. Twarz Berta miała za luźną skórę. Kiedyś musiał być o wiele grubszy. Na policzkach widniały wgłębienia i blizny. Może to odrażająca pamiętka z czasów młodzieńczych pryszczu.

Enel, w chustce na głowie, miała skórę opaloną i na kościach policzkowych napiętą. Może oni wszyscy tu chudli - poza Onis. Opowiedziała Annie, że gdy szła na Gwiezdną Górę, obtarła sobie skórę na udach i wzdragła się na myśl o zejściu do wioski. Teraz skubała zębami poranione i obrzmiałe opuszki palców. Mia obserwowała ją ze zmarszczonym czołem. Przez twarz Brity przebiegały cieniste smugi. Jej oczy zapadły się w głąb. Mimo swej chudości była ociężała.

Wyglądało, jak gdyby płód zsunął się jej niemal na kolana. Obejmowała brzuch rękami, nie słuchając Petrusa, który mówił o schładzaniu mleka. Przed nią siedziała na podłodze Lotta, skulona jak dziecko. Jej twarz miała barwę spranego płótna. Zmęczenie i wyczerpanie malowało się nawet na twarzy Sigrid, mającej dopiero dziewięć lat. Widoczne było w nich wszystkich z wyjątkiem Dana. Oczywiście, przebrali się. Ale kiedy się żyje bez elektryczności, nie można niczego udawać. Nie możesz udawać, że chciałbyś nieść. Niesiesz. Surowe warunki egzystencji powoli wykręcały im stawy i naciągały ścięgna, aż stawały się cienkie i twarde. Annie chwyciła gwałtowna tęsknota za miastem. Przymierzać ubrania, wy-próbowywać ludzi, miejsca, chwycić wrażenia, tak jak się w lot chwyci cytaty. Ostro startować. Szybko jechać. Musnąć strach lub rozkosz. Zawrócić. Zapomnieć.

Doszli do krytyki. Petrus unikał tego słowa, ale już się orientowała w schemacie. Pierwszego wieczoru użył słowa „problemy”. Teraz tylko spytał, czy coś mają.

- Ja coś mam.

Twarz miał zarośniętą czy raczej włochatą, miękkie szpakowate włosy wiły się od skroni i zlewały niedbale z szorstką brodą. Jego dolna warga była czerwona i pełna. Niełatwo dawało się poznać, jaką minę ma pod zarostem. Wydawało jej się, że jego spojrzenie znieruchomiło. Stało się bardziej niż uważne. Może myślał, że ona będzie się czegoś czepiać.

- Chcę przeprosić Sigrid - odezwała się.

Na twarz dziewczynki buchnął płomień. Jakie z niej jeszcze dziecko - skóra tak łatwo się rumieni, oczy są bezbronne wobec tego, co usłyszy, a co z pewnością nie będzie dla niej powodem do radości. Nagle Annie zapragnęła dać temu spokój. Powiedzieć tylko, że pomyliła się co do grafiku dojenia. Zamiast tego rzekła:

- Sigrid spostrzegła, że plan pracy został zapisany błędnie. Chodzi o grafik dojenia. Nie chciałam jej słuchać. Ale ona rzeczywiście ma rację.

grity to nie obchodziło. Nie było pewne, czy w ogóle słucha. Śledziła wzrokiem strumienie wody na szybie. Lotta zapadła się w siebie, Onis obgryzała i skubała skórki przy paznokciach, aż krwawiły. Petrus i Dan słuchali z uwagą. W pewnym

stopniu także Bert. Jak było z Enel, trudno powiedzieć. Z jej twarzy niełatwo dawało się coś wyczytać.

- Może na niego spojrzymy - powiedziała Annie.

- Czy masz jakieś zastrzeżenia? - spytał Petrus. Wyczuła jego wrogość. Czego się spodziewała? Staję się

nieprzyjemna, pomyślała. To głupie z mojej strony. I podobne do mnie, powiedziała by Dan. Mimo to kontynuowała. Ale musiała sama przynieść plan pracy. Przedtem, gdy skończyli omawiać rozkład zajęć na następny dzień, Petrus położył grafik na kredensie, teraz jednak nie uczynił żadnego gestu, żeby go stamtąd wziąć.

- Zgodnie z planem Dan powinien był dość w wieczór świętojański i potem przez cały dzień, bo był tu sam. Ale to musiał być Petrus.

Podsunęła plan Petrusowi, który spojrzał nań, nie biorąc go do ręki. Podała więc grafik Enel. Brali go po kolei, ale nie budził żadnego zainteresowania. Tylko Sigrid była podniecona, aż dostała wypieków.

- Aha — odparł Petrus. - To możliwe. Nie bardzo rozumiem, skąd możesz mieć taką pewność. Ale czasem przecież może powstać błąd. Czy to ma jakieś znaczenie?

Annie wyjęła z kieszeni dzienny zapis udoju mleka, rozłożyła go i wygładziła.

~ Jestem całkowicie pewna - powiedziała. - Sigrid też. Po pierwsze, Dan nie potrafi dość. W każdym razie nie tak dobrze, aby sam poradził sobie ze wszystkim.

295

- Nie był sam.

- Jak to?

- Był z Barbro Torbjörnsson.

Nie chciała patrzeć na Dana, ale wyczuwała, że siedzi całkowicie bez ruchu. Potem Ónis i Lotta zaczęły mówić jedna przez drugą.

- Przecież chciała zobaczyć Gwiazdną Górę!

- Może się tu przeprowadzi.

- Jaka to dla nas szansa! Ona tka kilimy i mnóstwo już sprzedała. Więc Dan musiał jej wszystko pokazać.

On nawet nie potrzebuje się bronić, pomyślała. Siedział z zamkniętymi oczami, odchylony do tyłu.

- Być może - powiedziała Annie. - Ale to Petrus zanotował ilość mleka w wieczór świętojański.

Petrus wziął papier i przeczytał go.

- Tak - powiedział. - Zgadza się. No jak, Sigrid? Teraz jesteś zadowolona?

Była. Triumfowała, dziecinnie i z uniesieniem.

- Wobec tego wszystko jasne.

r..

- Nie.

u Annie ciągnęła, unikając spojrzenia

Dana:

- Błąd powstał, gdy przyszła tu policja. Pokazaliście nieprawdziwy grafik. Policjanci otrzymali błędne informacje.

- Teraz na tym zakończymy. - Petrus wstał. - Dan, wyjaśnij Annie, jak wygląda sytuacja. Raz na zawsze.

296

Ale Dan niczego jej nie wyjaśniał. Jeszcze przed nią wyszedł z kuchni, a gdy po chwili weszła do ich pokoju, leżał w milczeniu na swoim łóżku. Annie myślała, że to ze względu na Lottę. Znów się wprowadziła ze swoimi obrazkami kotów i dwiema torbami, w których mieścił się cały jej dobytek. Mia polubiła ją i podobały jej się rzeczy Lotty. Zwykle porządkowała jej sprane T-shirty i bawełniane majtki, a resztę

rzeczy kładła rzędem na łóżku, podczas gdy Lotta swym lekko zachrypniętym głosem opowiadała ich historię. Miała elektryczną suszarkę do włosów i radio, którego nie dało się przestawić na baterie. Były tam trzy pary butów na obcasie, zupełnie tutaj bezużytecznych. Treska z grubych jasnobrązowych włosów bez połysku i pudełko po czekoladkach „Marabou” z fotografiami. Plastikowa torebka ze sznurkiem koralu i indyjską biżuterią z poczerńiałego srebra, wysadzanego krwawnikami i matowymi turkusami. Niedźwiadek z syntetycznego pluszu. Portfel naszpikowany polaroidami, bilety autobusowe i kartki 2 adresami.

Teraz brudnymi kartami, pamiętającymi jeszcze czasy klubu wędkarskiego, obie grały w czarnego piotrusia. Lotta nie rozumiała chyba, że Dan i Annie chcą być sami. Annie położyła się i czekała. Pokój wypełniała energia, płynąca nieruchomego ciała na łóżku nad nią.

297

Annie w ogóle nie była w stanie odezwać się do Dana słowem. Do Lotty też nie. Czuła, że siły wypływają z niej strumieniami, tak jak deszcz spływał po szybie. W snach zdarza się, że człowiek głuchnie lub nieruchomieje. Nie spała i prawdopodobnie mogła się poruszać. Jeśli jednak ulegnie uczuciu tej bezsilności, nie wytrzyma dłużej. Wzięła radio z krzesła obok łóżka i włączyła je. Radio trzeszczało i głos czytający krótkie wiadomości dochodził coraz słabszymi falami. Kończyły się baterie.

Mia wyciągnęła kartę, której nie chciała, i krzyknęła ze złością. Annie podkręciła radio. Kapryśną falą powróciła siła dźwięku i nim zdążyła ściszyć, rozległ się donośny głos: WEDŁUG AGENCJI REUTERA ŹRÓDŁA DOBRZE POINFORMOWANE W HANOI... Łóżko na górze zakołysało się i zatrzeszczało, Dan zeskoczył na podłogę i na mgnienie oka zobaczyła jego tors przecięty katem górnego łóżka i rozcapierzone palce.

- Do cholery! Skończ z tym! - wrzasnął.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, wyszedł. Nie było zresztą nic do zrobienia. Radio zostało już ściszone. Mia siedziała nieruchomo z kartami w ręce. Przez długą chwilę słychać było jedynie, jak deszcz chlusta z dziurawych rynien.

- Wiesz, że Dan nie lubi wiadomości - odezwała się Lotta. - Dana nie interesuje polityka.

- Przedtem interesowała - odparła Annie. - Był w szkole jedynym, który się angażował.

- Ale właściwie nie politycznie. Chodzi mi o partię. To się skończyło dwa lata temu. Mówiła o nim z natrętną poufałością. Jej wyjaśnienie zabrzmiało tak, jak gdyby kogoś naśladowała. Kiedyś Dan powiedział Annie o Lotcie: ona nie wie, jak żyjemy. Jak wygląda normalne życie. Wszystkiego trzeba ją nauczyć. Ona żyła w czymś takim, czego ty nie jesteś w stanie pojąć.

298

_ Idę do Matsa!

]Vlia cisnęła kartami, które trzymała w ręku, i wyszła, rjzwi trzasnęły, aż futryna zadrzała. Annie pamiętała samą siebie jako spokojne dziecko. Nie potulne, tylko rozmyślające o krzywdzie, jakiej doznaje, mieszkając w wynajętym mieszkaniu w Enskede bez prawa do otwierania ust i krzyku. Mimo to czasami w szorstkości i wściekłych wybuchach Mii dostrzegała coś znanego. Mia wyszła, bo nie chciała słuchać niczego, co się mówi o Danie, przemknęło jej przez głowę. Ta myśl zmroziła ją, choć przecież w głębi duszy wiedziała o tym od dawna.

- Wiem, że wystąpił z partii - powiedziała do Lotty. Nie pamiętała dokładnie, o jakie ugrupowanie chodziło, a nie chciała dać tego po sobie poznać. Zdała sobie sprawę z

całej śmieszności sytuacji, że oto próbują prześcigać się wzajemnie na temat wiedzy o życiu Dana.

- On nie wystąpił, został wyrzucony - wyjaśniła Lotta. - To była grupa, założyli frakcję i on został ich liderem. Ale potem zjawiał się inny chłopak i przejął przywództwo, a Dan musiał dokonać samokrytyki. Kazali mu to zrobić w lasach blisko Nyckelvikén, na jednej górze.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby Lotta myślała, że Dan udawał Tarzana, i choć Annie właściwie nie chciała jej indagować o Dana, spytała:

- Co masz na myśli, mówiąc: kazali mu to zrobić?

- Dokonać samokrytyki. Mieli ze sobą linę, zawiązali ją na sośnie i zrobili pętlę. On powinien był się powiesić, bo jego życie, jak powiedzieli, nie ma sensu. Jest przesiąknięty zgnilizną. Zatruty od samego początku.

- Czym?

~ Tym, że był burżujem.

To niemożliwe. Nigdy nie zgodziłby się na coś tak głupiego.

299

- Wcale tego nie zrobił. Choć mało brakowało. Potem uciekł do miasta i wtedy go spotkałam. Palił hasz, a potem zaczął pić. Chociaż tym, co mają takie pochodzenie, prawie zawsze się przecież udaje, więc trafił do czubków. Ojciec mu to załatwił. Potem był uniwersytet ludowy. A teraz w ogóle nie chce słyszeć o polityce. Ani o generale.

- Jakim generale?

- Swoim ojcu.

Lotta spędziła całą noc zamknięta w windzie metra z narkomanem, który miał w ręku brzytwę. Annie opowiedział o tym kiedyś Dan. Teraz opowiadała Lotta. W jej głowie panował zamęt. Stąd brały się takie historie. Annie przypomniała sobie, że to się nazywa duby smalone.

Wyszła, nie wspomniawszy Lotcie słowem, co zamierza robić. Zostawiła ją przy nie kończącym się przebieraniu zawartości dwóch toreb z niebieskiego płótna.

300

Dom stał na zboczach porośniętym wierzbami i rachitycznymi brzoźkami. Powyżej znajdował się szczyt Langvass, ale brzeźniak wznosił się tak stromo, że z podwórza nie można było dojrzeć wierzchołka. Droga wiała się w górę, a ze wsi Langvasslien biegła w dół ku jezioru.

Jeden z właścicieli domu, jeszcze przed Perem, obłożył go eternitem. Płyty miały kolor smażonych borówek zmieszanych z rozwodnionym mlekiem. Budynek był jednopiętrowy. Z pomalowanego na zielono blaszanego dachu wystawała nieproporcjonalnie duża mansarda z balkonem otoczonym zardzewiałą żelazną balustradą.

Pod gankiem stał stojak do suszenia bielizny z nylonowymi sznurami o popękanych włóknach, a obok dwie czerwone plastikowe miednice. Trawa i dzika trybula gęsto obrastały skuter śnieżny. Przy rogu domu stały dwa metalowe puste pojemniki na butelki od piwa, kawałek blaszanego pręta wyginał się w kierunku ściany. Płatki zielonej farby z dachu zasypywały trawę i miednice. Gdy podeszli, Johan zobaczył, że pod oknem kuchennym leżały obgryzione przez szczury poroże łosia i zwinięty plastikowy chodnik.

Gudrun zmieniła w samochodzie buty i na cienkich obcasach ruszyła przez trawę.

Per wyszedł na ganek, za nim Sakka z ociekającymi wodą rękami. Witając ich i tłumaczyła się na przemian; właśnie zmywała naczynia, dlatego nie może

301

im podać ręki. Ale złożyła dłonie i potrząsała nimi na wysokości piersi. Zdumiony Johan pomyślał, że wygląda jakby się cieszyła. Ich syn, w wieku Johana, także wyszedł żeby ich powitać, był jednak nieśmiały i stał w sieni. Nazywał się Pergutt czy Pergutten i Brandbergowie zawsze uważali że jest komiczny.

Wszyscy troje mieli okrągłe twarze i, jak nigdy przedtem, rozpoznawał u nich swoje własne oczy, nos, policzki. Gudrun i on widywali ich tylko, gdy na górze w Tjorndalen odbywały się ubój lub znakowanie cieląt. Domu w Langvas-slien Johan nigdy przedtem nie widział. Ze względu na Gudrun poczuł się zażenowany nieporządkiem na podwórzu i przed gankiem. Gudrun była porządna. Sakka nie. Może miało to związek z tym, co Gudrun powiedziała kiedyś o wyglądzie i wieku Sakki: ona się opuściła.

Per był mały i trochę koślawy. Johan pomyślał o Ouli Larasie, szczupłym i, jak na Lapończyka, niezwykle wysokim, a także o tym, że Pergutten to wykapany Per. Teraz spotka Oulę Larasa. Każdego dnia może się na niego natknąć. Uznał, że to podobne do Gudrun: nic nie powiedzieć, tylko pozwolić mu zamieszkać tak blisko. W przeciwnym razie wsadzenie go w środek tego bałaganu nie byłoby niczym innym niż prawdziwe wygnanie z domu. Szczególnie, jeśli człowiek dostrzegał te nieporządki tak jak ona, a o tym był przekonany. Nie znosiła niedbalstwa.

Gospodarze koniecznie chcieli ich czymś poczęstować, choć dopiero co skończyli jeść i rozmawiać przy kawie. Sakka wyjęła cieniutkie placuszki, smarowała je masłem

i posypywała cukrem. Dopytywali się, jak Johan złamał nogę i co powiedział doktor, i kiedy ma iść na kontrolę. Byli tak serdeczni, że aż go to krępowało. Nawet Per mu współczuł-A przecież Johan wiedział, że twarda z niego sztuka. Dwa lata temu, wysoko w Tjornfjell, jadąc skuterem, ześliznął się

302

z grani i spadł. Zatrzymał się na występie skalnym. Ze złamaną nogą dowlókł się w dół do skutera, ale nie mógł go uruchomić, musiał więc zejść z boczami przez kopny śnieg. t>Jie było go dwie doby i wszyscy myśleli, że już z nim koniec. I oto teraz siedział tutaj, jadł placuszki z Pergut-tenem, Sakką i Johanem. Gudrun nic nie jadła, tylko znów paliła, co zdziwiło Johana. Jeszcze nigdy nie widział, żeby tak dużo paliła. Nikt słowem nie wspomniął o tym, co się wydarzyło nad Lobberan. Johan był przekonany, że Gudrun przez telefon poleciła, aby o tej sprawie nie mówić. Wcale nie pytali, dlaczego uciekł z domu. Wyglądało na to, jak gdyby dawno zostało postanowione, że u nich zostanie i zacznie chodzić do szkoły w Steinkjer. Gudrun musiała przeprowadzić z Sakką długą rozmowę telefoniczną poprzedniego wieczoru. Myślał, że może Pergutten wspomni coś o morderstwie nad Lobberan, gdy zostaną sami, ale tak się nie stało. Chłopak był trochę nieśmiały i tylko spytał Johana, czy ma ochotę zobaczyć szczeniaki. Wyszli do psiarni i Pergutten wziął sukę na smycz, żeby Johan mógł zbliżyć się do szceniąt. Było ich troje i wyglądały mniej więcej na dwumiesięczne.

- Są w jednej części łajką, w dwóch psem lapońskim, no i jeszcze w części psem syberyjskim. To suka jest taką mieszanką. No i mamy jeszcze psa, z którym ona się parzy, jest w połowie ogarem. Więc razem to pięć ras. Nie są fajne?

Jeden ze szczeniaków miał jasnoniebieskie oczy i Johano-wi szczególnie się spodobał. Powiedział, że musi w nim być przewaga psa syberyjskiego.

~ Jeśli chcesz, możesz go sobie wziąć - zaproponował Pergutten.

W tym momencie Johan doszedł do przekonania, że Wszystko to jest tak nierzeczywiste, jak gdyby mu się śniło,

303

i że musi już długo spać. Kiedy pomyślał o Ylji, nie potrafił nawet przywołać przed oczy obrazu jej twarzy, majaczyła mu tylko niewyraźną plamą. Pomyślał też o studni. Na sekundę przyszło mu do głowy, że to wtedy złamał nogę, gdy spadł.

Było jednak inaczej. Skoczył z piętra domu stojącego gdzieś na bezdrożach. Ale gdzie? Powiedział Gudrun, że zabrał się z jednym Finem. Zdawało mu się nawet, że Fin był prawdziwy. Potem uprzytomnił sobie, że pewnie stanął mu przed oczami Srebrny Lis. Teraz Johan gapił się na Pergutte-na, szukając w myślach słów, które brzmiałyby naturalnie i stanowiły odpowiedź. Pergutten o coś bowiem pytał, jego okrągła szczerą twarz promieniała zapalem, czekał na odpowiedź.

Potem zawołała ich Sakka, a gdy weszli do domu, Gudrun była gotowa do drogi. Per właśnie wkładał do portfela pieniądze i Johan na ten widok gwałtownie się zaczerwienił. Nie pomyślał o tym, że Gudrun i Torsten muszą za niego zapłacić. Został przecież przyjęty z pełnym utrzymaniem. To zdumiewające, że Torsten zgodził się za niego płacić, i to z pewnością sporo. Gudrun nie miała własnych pieniędzy, .wiedział o tym. Mówiła z Perem o pieniądzach, ale rozmawiali po lapońsku, więc Johan nic nie rozumiał i zorientował się, że właśnie o to im chodzi.

Poczuł się dziwnie. Noga bolała, po placuszkach i słabej kawie miał mdłości. Gudrun tak się spieszyła do odjazdu, że wprost nie mógł w to uwierzyć. Więc nie zostanie na wieczór albo nawet na noc? Mimo że nie będą się widzieć przez wiele dni? Chciał ją zapytać o tyle rzeczy. Między innymi o pieniądze. Czy dostanie trochę dla siebie? Już jednak podziękowała obojgu Dorjom i podała im rękę na pożegnanie. W przedpokoju umalowała wargi przed lustrem i była gotowa do drogi.

- Wyjdź ze mną - odezwała się cicho.

304

|

przy samochodzie zmieniała buty, a potem powiedziała, żeby usiadł na przednim siedzeniu.

- Jak się nazywał ten, który cię zabrał samochodem?

- Nie wiem - odparł Johan zgodnie z prawdą.

- Mówiłeś, że to był Fin. Mieszka w Finlandii?

- Tak.

- Odbywa się wciąż wiele przesłuchań - rzekła. - Policja pyta wszystkich, gdzie byli tej nocy, gdy to się stało. Powiedzieliśmy, żeś uciekł w wieczór świętojański. Mniej więcej o siódmej. I że byłeś zły, bo Torsten myślał, żeś na niego doniósł. Że wzięłeś motorower i pojechałeś na dół, do wsi. Nie wspomnieliśmy o tym, że byłeś koło domu Aldy i na ścieżce. Tak więc teraz już wiesz.

- To znaczy, że ja też mam tak mówić? - spytał.

- Tak uważam. Jeśli przyjdą i zapytają. I jeśli oczywiście nie pojawi się ten Fin, i nie zezna inaczej.

- Nie przypuszczam — powiedział Johan.

- To do widzenia.

Wydawało mu się, że przez cały dzień po raz pierwszy na niego popatrzyła, choć trwało to tylko chwilę. Włączyła silnik, a on wygramolił się z przedniego siedzenia i chciał wziąć kule, które przedtem oparł o samochód. Ruszyła jednak tak szybko, że nie zdążył. Upadły na trawę.

Miał dzielić pokój z Perguttenem. Na razie jednak, póki miał nogę w gipsie i nie bardzo mógł chodzić po schodach, wolno mu było mieszkać w dużym pokoju. Per i Sakka położyli się wcześniej. Sofa była już dla niego posłana, ale gdy został w pokoju sam, stwierdził, że nie będzie m^ogi zasnąć. Było za wcześnie, dopiero wpół do jedenastej,

czerwonawe światło słoneczne rozlewało się nad opadającymi w dół do jeziora pastwiskami, nie koszonymi od

305

m

wielu lat. W powietrzu panowała cisza, trawy właśnie się kłosiły i to sprawiało wrażenie, jak gdyby w ich morzu zastygły srebrzystoblękitne fale. Zza okna zasłoniętego siatką przeciw komarom doleciał go głos drozda z brzozonego lasu.

Ten sugestywny, tęskny ton sprawił, że pomyślał o Trollevolden, gdzie nocami drozdy gadały i gadały, bez końca. Ale była to bezsensowna gadanina. A może kłamliwa. Nikt tam do nikogo nie tęsknił.

Na szary i trochę zakurzony ekran telewizora padało tak silne światło, że nic się w nim nie odbijało. Rolet w pokoju nie było. Poznał stół babci. Okrągły, lśniący blat na jednej nodze. Na środku leżała koronkowa serweta. Gudrun miała taką samą. To babcia je dziergała szydełkiem. Na serwecie stała miska na owoce zrobiona z wielkiego sęka. Zawsze uważał, że sęki wyglądają jak chore. I tak też było - chora, skręcona, zdeformowana brzoza. Nowotwór.

Wąłki z sofy stały sztorcem przy ścianie, na nich leżały trzy poduszki ozdobione krzyżkowym haftem. Przedstawiały psie głowy. Pies był też na wiszącym na ścianie obrazie, mógł to być rodzaj szpica, duży i żółtawobrazowy. Na drugim obrazie widniało stado renów na zboczu niebieskawej, pokrytej śniegiem góry. Trzeci obraz przedstawiał jezioro

i łódź, a w niej starego mężczyznę z wędką. Był to rysunek konturowy, na czarnym, a może na granatowofioletowym tle odcinała się nawet żyłka wędkę. Obok wisiała podkolorowa-na i powiększona fotografia Perguttena z confirmacji. Miał na sobie lapońskie ubranie, w ręku trzymał psalterz. Johan przypomniał sobie babcię, mamę Gudrun, leżącą w trumnie. Ktoś włożył wtedy psalterz w jej dłonie. Ale zdążyły zeszytywieć i nie objęły książki.

Gudrun nie chciała wówczas, żeby wchodził i patrzył na babcię, ale upierał się, choć uważał, że to obrzydliwe. Potem opowiadał Vainemu, jak wyglądała. Musiał opowiedzieć to

306

wszystkim braciom. Był jedynym z nich, który widział nieboszczyka.

Czuł się źle. Teraz, gdy został sam, noga bolała go o wiele bardziej, mimo że wziął tabletki, które dostał w Steinkjer. Miał zimne ręce i trochę go mdliło. Pomyślał, że właściwie został wyrzucony z domu. Chociaż najpierw sam uciekł, oczywiście.

I Torsten jest gotów płacić, byle tylko się go pozbyć. Tak jak Ylja; gdy o tym, co się stało, przeczytała w gazecie, nie chciała już mieć z nim nic do czynienia. Zobaczyła go, jak wychodził na szosę o świcie. Dokładnie w tej okolicy. Musiała to pojąć z mapki w gazecie. Co sobie pomyślała?

W każdym razie, zdaniem Gudrun, gdyby policja się dowiedziała, że był na górze, obok domu Aldy, na motorowerze, mogłoby się to dla niego źle skończyć. Napisano, że ślady motoroweru biegły w górę wzdłuż całej ścieżki. I z powrotem. Jak gdyby ten, co to zrobił, przyjechał na motorowerze.

Próbują mnie chronić. Pomóc mi, żebym nie wpadł w ciężkie tarapaty.

Gudrun powiedziała, że Bjórne już mu pomógł. Ale jak? Chcą mu naprawdę pomóc czy tylko się go pozbyć? Najbardziej niepojęte ze wszystkiego było to, że Torsten godził się płacić za wynajęcie dla niego pokoju z pełnym utrzymaniem.

Wtedy uderzyła go myśl, że to może nie Torsten. Mógł to być Oula Laras. A jeśli Gudrun w końcu do niego zadzwoniła? Poprosiła o pomoc?

Torsten chyba prędzej powiedziałby policji, że Johan

pojechał w górę, powyżej domu Aldy. Żeby się na nim zemścić. Dlaczego miałby go chronić, przecież Johan nie jest nawet jego synem? Może Torsten nie wiedział na pewno, jak

yi° - Ale przecież mógł się domyślać.

307

Wystarczy na mnie spojrzeć, pomyślał Johan. Oczy. Włosy. Kształt twarzy. Wszystko. To dlatego nigdy mnie nie cierpiał.

Może to właśnie tak Bjórne mi pomógł. Pewnie powiedział: pozwólcie chłopakowi pojechać do Langvasslien, gdzie będzie u siebie.

Czuł się tak, jakby próbował biec po usuwającym się spod stóp trzęsawisku. Jeśli nie chce utonąć, musi szybko myśleć. Było mu niedobrze i bolała go noga. W szarym ekranie telewizora odbijało się ostre światło ze dworu.

Pukanie. Albo szuranie po drzwiach. Delikatne, jak gdyby ten, kto stoi za drzwiami, bał się, że Johan śpi. Pergutten. Gdy Johan otworzył, chłopak spytał:

- Chcesz zagrać w monopol?

Johan nie odpowiedział, ale Pergutten być może sądził, że on skinął głową, bo wyjął z kredensu planszę i pudełko z banknotami i kartami. Była to wersja norweska i Pergutten zaczął mówić po norwesku. Johan powiedział, że Pergutten może być bankierem, ale potem właściwie tego żałował, bo niełatwo było wyceniać ulice i place, nie mając przed sobą kart.

- Nigdy nie byłem w Oslo - odezwał się, gdy zaczęło mu iść źle, a prawie od razu tak się stało.

- Ja też nie - powiedział Pergutten. Ale miał już plac Ratuszowy i ulicę Książęcą.

Bardzo kosztowne było przebywanie tam, a tymczasem Johan zaraz się znalazł w tym miejscu. W dodatku miał pecha. W następnym ruchu wyciągnął kartę „Idziesz do więzienia!”

- Cholera! - powiedział. - Szczęście, że to tylko zabawa. Pergutten przyznał mu rację. Zegrali jeszcze raz i znów

Pergutten wygrał łatwo. Potem przyniósł pepsicolę i chipsy ziemniaczane, a wtedy okazało się, że to już wpół do drugie) Zapytał, czy grają dalej, i Johan się zgodził.

Wziął tabletki

308

przeciwbólową, akurat na niego wypadło teraz, żeby został bankierem. Obaj siedzieli na sofie, tak że ten, który akurat czekał na swoją kolej, mógł odpoczywać, na wpół leżąc. Około piątej Johana zbudziło chrapanie Perguttena, który leżał w drugim końcu sofy z głową na haftowanej poduszce. Na jego piersi rozsypały się Ulleval Hageby, ulica Książęcą, plac Ratuszowy i Trondheimsveien. Jaskrawe światło słoneczne wpadało teraz przez drugie okno, w lesie za domem kwiczoły darty się na całe gardło.

309

Zimny deszcz zmoczył jej głowę i ramiona. Idąc, czuła, że materiał bluzki przemókł na piersiach, a brzeg spódnicy wlecze się po trawie. Owce tłoczyły się pod rozłożystą brzozą. Ich mokre futra ściemniały, zrobiły się brudnoszare.

Zajrzała do letniej kuchni i do szopy dla kóz. Była pewna, że gdzieś się zaszył. W małej oborze, której nie używali, bo w żłobie nie mieściła się pasza dla wszystkich zwierząt, panował brunatny mrok; zdawał się nadal wypełniony oddechami. Jak gdyby silny zapach tamtych nieżyjących już krów ściemniał i wisiał teraz pod więzaniem dachu. Płaty pajęczyn były pozbawione życia i kosmate od kurzu.

Podeszła do stromych schodów i nadśluchiwała. Nie usłyszała najmniejszego dźwięku, a mimo to wyczuła jego obecność. Zawołała, lecz nie odpowiedział. Gdy jej głowa znalazła się nad schodami, w pierwszej chwili nie widziała nic, przez szpary sączyło się jedynie silne światło szarego zmierzchu. Potem cień w sianie zgęstniał, ukazując jego ciało. Zobaczyła, że leży tak jak przedtem w domu, nieruchomo, na plecach.

- Co się dzieje, Dan?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Wiedziała, że przed nimi jest rytuał: milczenie, zniewagi, riposty, paraliż. Cisza i nowy początek. Kolejne powtarzanie wszystkiego, pomyślała ze zmęczeniem, którego nie czuła nigdy przedtem. Zwykle ogarniał ją strach.

310

W końcu zaczęło się. Jego głos, z początku ostry, i jej, ciepły- Właściwie był tylko letni, jak ciało czy pudding. On, który zawsze słyszał fałszywe tony w głosie, zaatakował ją.

- Czy ty nie słyszysz sama siebie? - spytał. Słyszała.

- Co ty sobie, do cholery, myślisz? Że możesz przyjść tu do nas i mówić takim tonem? Co za cholerna uprzejmość! Myślisz, że kim ty właściwie jesteś? Myślisz, że my, cała reszta, to klasa szkolna, którą przepytasz i której udzielisz nagany?

Słyszała siebie i widziała. Widziała swój wykrzywiony obraz, niestety jednak, łatwo było ją na nim rozpoznać, więc straciła ochotę, by się bronić. Siedziała apatyczna i przemoknięta na suchym sianie i po raz pierwszy podczas kłótni, bo to była przecież kłótnia, myślała o czymś innym. Po prostu o sianie. Jakie musi być stare. Jakie suche i zupełnie pozbawione wartości. Siano z pięćdziesiątych lat. Potem, gdy w końcu się wyładował, powiedziała, że przykro jej się zrobiło, iż nie wyszedł po nią i po Mię na przystanek autobusu w Czarnej Wodzie, tylko wysłał dzieci.

- Wcale nie myślałeś, że przyjadę w wieczór sobótkowy, wypadający zgodnie z dawnym zwyczajem dzień później. Doskonale wiedziałeś, kiedy przyjadę, i polecieś, żeby mnie przyprowadzono z Róback. To ja wspomniałam o tym starym wieczorze sobótkowym, a ty się z tym zgodziłeś, bo tak było najłatwiej. Ale nie obchodzi mnie, że pozwoliłeś mi w to wierzyć, i ona też mnie nie obchodzi, ta Barbro, czy jak jej tam. Imię było napisane na słóiczku, który zresztą tu leżał, wiesz o tym. Nie obchodzi mnie to. Naprawdę.

Musiał usłyszeć, że teraz także jej głos jest ostry, ale tym razem nic nie powiedział. Zmęczona pomyślała: on wie, że nie możemy sobie pozwolić na absolutną szczerość. Padało teraz mniej, deszcz szeleścił tylko po dachu. Wyłowiła uchem

311

ten jednostajny, przenikliwy gwizd ptaka, którego jeszcze ani jej, ani Mii nie udało się zobaczyć. Podpełzła na czworakach i wyciągnęła się obok Dana na sianie. Widziała, że on nadal ma zamknięte oczy.

- Twój ojciec jest generałem? - spytała.

- Nie.

- W takim razie kim?

- Podpułkownikiem.

Więcej nie musiała pytać. Mogła znaleźć nazwisko w książce telefonicznej.

Djursholm czy Östermalm. Może Larkstan. Dzielnica eleganckich rezydencji. Do książki telefonicznej Sztokholmu było jednak daleko.

- Mówiłeś, że wyrosłeś w biednym domu. Strasznie biednym.

- Tak było. Biedniejszym, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

- Nie możemy być wobec siebie szczerzy?

- Zaczynaj.

Tak, w co ona sama pozwoliła mu wierzyć? O przyjściu na świat Mii prawie w ogóle nic nie wiedział. Kiedyś zapytał, kim był tamten chłopak, czy razem z nią chodził do konserwatorium. Powiedziała, że tak. A w każdym razie przytaknęła. Choć to właściwie było kłamstwo. Z jednej strony kłamstwo, z drugiej nie. Tak samo jak z tą biedą w domu.

W ten sposób nie zajdziemy daleko, pomyślała. Mamy już za sobą ten okres, gdy kochankowie opowiadają sobie wzajemnie swoje życie, przy czym nabiera ono blasku i intensywności - kiedy przywołują dla siebie nawzajem jego fragmenty. To, o czym zdecydowaliśmy się opowiedzieć, jest teraz swego rodzaju rzeczywistością. Tą, którą mamy.

- Gdzie był Petrus w wieczór świętojański?
- Tutaj. To przecież właśnie, do cholery, wy kalkulowałaś. Nie lubisz Petrusa.

312

- Tego nie powiedziałam. Tylko uważam, że to dziwne. Dlaczego kłamię, mówiąc o tym, gdzie był w wieczór świętojański? I w tamtą noc?

- Wszyscy kłamiemy. Nic w tym dziwnego.
- Tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego pomagacie mu kłamać?
- Wcale nie pomagamy Petrusowi. Wszyscy tu byliśmy.
- Nie byliście w Róback?

- Nie, byliśmy tutaj. Tylko dzieci zwiozłem na dół. Potem wróciłem z Barbro Torbjörnsson. Zabrałem ją z Byvangen. Miała wziąć udział w demonstracji przy Niedźwiedzim Stoku i powiedziałem jej, żeby podeszła na Gwiazdną Górę i przenocowała u nas, na próbę. Myślałem, że będę mógł ją przekonać, aby się tutaj przeprowadziła. To było dla nas tak ważne, że uważałem, iż dasz sobie jakoś radę tego wieczoru. Miałaś przespać się z Mią u Yvonne. Wszystko było ustalone.

W takim razie nie był z tą Barbro sam! Mimo iż była to jej własna myśl i Annie sądziła, że w niej pozostanie, Dan jednak poruszył się gwałtownie i położył na niej.

Opuszkami palców dotknął jej twarzy. Chciał ją widzieć i czuć. On wie, co myślę. Lubi to. Jesteśmy znów blisko, intensywnie blisko. Ładujemy dla siebie nawzajem przestrzeń wokół, wyczuwamy się, jak człowiek wyczuwa burzę w powietrzu, elektryczność.

- Jesteś cała mokra!

Znów był ożywiony i zanim zdążyła go powstrzymać, ściągnął z siebie koszulę i rozłożył ją na sianie. Teraz zaczął Annie rozbierać. Obnażał zimne ciało, lizał je i powiedział, że ffla uczucie, jakby dotykał skóry gada; Annie jest żabą o pomarszczonej skórze, ma też brodawki, choć tylko dwie, ale on sprawi, że stanie się człowiekiem i mimo deszczu

cWodu ogarnie ją żar.

Krażek - powiedziała.

313

1

- Przyniosę go. Przyniosę ci ubranie. Do cholery, Annie że też ty nigdy o niczym nie zapomnisz, urodziłaś się na nauczycielkę!

Miał rację; mało brakowało, a byłaby powiedziała, że żaby nie są gadami. Gdy poszedł, leżała naga na plecach, mając pod sobą jego koszulę. Objęła się ramionami, było jej zimno Wrócił i naciągnął na nią sweter, na dolną część ciała nic nie przyniósł. Miał też ze sobą koc, który rozłożył pod nią.

- Powiedz, jak mogliście być na Gwiazdnej Górze w noc świętojańską? - spytała. - Wszyscy poza tobą i Barbro Torbjörnsson przyszli przecież z Róback w dzień po

nocy świętojańskiej, którą tam spędzili. Tak powiedzieli podczas przesłuchania. Petrus też.

Dan położył się na niej i opowiadał. Teraz to on był mokry, a ponieważ zmarł na dworze, miał gęsią skórę, więc musiała go rozcierać. Powiedział, że zaczęli schodzić po rannym udoju, w dzień po nocy świętojańskiej. Nie wszystko rozumiała, bo chwilami jego język był w jej ustach, a gdy wycierała mu koszulą plecy, rozlegał się szelest. Nie pojmowała, dlaczego nie szli przez most, przecież to najkrótsza droga na Niedźwiedzi Stok; naprawdę przeszli rzekę w bród? W takim razie musieli widzieć namiot.

Obrali tę drogę, bo Petrus uważał, że tamta należy do Wroga, czyli do koncernu celulozowego, i oni nie powinni jej używać. Miał zasady, które nie zawsze brali pod uwagę, zwłaszcza gdy musieli coś wnieść na górę. Ale kiedy on był razem z nimi, musieli iść starą ścieżką. Dan z Barbro Torbjörnsson poszedł pierwszy. Byli jeszcze wysoko, gdy zobaczyli jakiś ruch nad rzeką. Znajdowali się na płaskowyżu, tam, gdzie zaczyna się sosnowy las, i mieli widok w dół aż do Lobberan. Przez lornetkę zobaczył, że to policjanci. Kombinezony, furażerki, pasy - widział wszystko, także nosze, które nieśli. Dwie pary, przykryte.

314

_ Twarze też. Rozumiesz? Gdy się ludziom zakrywa twarze są martwi. Staliśmy na górze i widzieliśmy wszystko, choć nie wiedzieliśmy, co to oznacza. Zawróciliśmy. Schowaliśmy się trochę wyżej, gdzie widok był zasłonięty, i czekaliśmy resztę. Zabrało to trochę czasu, bo Brita jest przecież teraz taka ciężka, a Ónis obtarła sobie skórę po wewnętrznej stronie ud. Wreszcie nadeszli i, stojąc między drzewami, mogli popatrzeć przez lornetkę. Wszyscy zobaczyli policjantów i nosze. Widzieliśmy ich daleko na mokradle, gdzie jest otwarta przestrzeń. Potem nie wiedzieliśmy, co robić. Wracać czy iść przez most do Niedźwiedziego Stoku. Nie chcieliśmy zejść z Gwiazdnej Góry i wylądować wśród policji.

Ale dlaczego? Nie mogła tego zrozumieć. Odsunęła go od siebie, chwyciła za ramiona i zmusiła, aby się uniósł. Chciała widzieć jego twarz.

- Ty, jako nauczycielka, podeszłabyś, oczywiście, spytała, co się stało, i oddałabyś się do dyspozycji władz.

Jego kpina brzmiała teraz przyjaźnie. Przypomniała sobie przesłuchanie na dole, w kuchni Strómgrenów, i pomyślała, że zawiódł się na niej. Choć nie całkiem.

Nie chcieli być w to zamieszani. Wyjaśnił, że Petrus i Brita martwili się o dziewczynki. Jeśli napiszą w gazetach, że mieszkańców komuny na Gwiazdnej Górze przesłuchiwała policja, będzie źle. Mogłoby to wpłynąć na rozstrzygnięcie przez sąd sporu o sprawowanie opieki rodzicielskiej. Niedobrze też, że ludzie giną w pobliżu Gwiazdnej Góry; byłoby najlepiej w ogóle nie wiedzieć, co się stało.

Ktoś z nich wpadł na pomysł, żeby zejść do Róback i udawać, że byli na miejscu przez całą noc. Dzieci przecież tam spały. Dorośli też mogli. To wydawało się wiarygodne. Dan i Barbro musieli iść dalej do Niedźwiedziego Stoku, tam na górze został volkswagen. Barbro nie mogła

315

bo

przecież nocować w Róback. Nie знаła Yvonne i nie miała żadnego powodu, aby u niej być.

Tak więc Dan i Barbro ruszyli na wschód, gdzie ścieżka rozdzielała się, a potem zeszli do mostu i Niedźwiedziego Stoku. Reszta zbiegła ze ścieżki i poszła w dół w kierunku Klóppen. Dla Ónis i Brity taka wędrówka na przełaj była uciążliwa. Ale

potem znaleźli dróżkę biegnącą wzdłuż jeziora doszli nią do ujścia strumienia Róback i zjawili się u Yvonne. Zgodziła się z nimi bez zastrzeżeń, że postąpili słusznie.

Jego członek był teraz między jej udami, próbował się w nią wepchnąć. Czuła go niby okrągłą szczytującą główkę

o niewinnym czółku. Nie chciała odrzucać tych figlarnych zalotów, zresztą nie mogła.

Było jednak dziwne, że podczas gdy on poruszał się w niej, ona myślała o tamtej jasnej nocy, kiedy błędziła przez mokradła, szukając drogi.

Nie był zbyt duży, ale nabrzmiał w niej i jej pożądanie także nabrzmiewało z każdym miękkim pchnięciem, które sprawiało, że ścianki jej wnętrza napinały się i rozluźniały. Złagodziło to pamięć o strachu, rozproszyło ją. Wszystko razem stało się tylko zamglonym wspomnieniem.

Gdyby Dan zapytał ją, dlaczego wałęsała się po nieznanym

i zdradzieckim terenie, zamiast spróbować znaleźć we wsi nocleg, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Gdy pytała ją o to policja, odpowiadała bałamutnie, prawie kłamliwie, a w każdym razie przemilczała część spraw.

Nie chcemy ujawniać naszego zmieszania. Nawet sobie nawzajem. Chociaż powinniśmy. I teraz on to zrobił. Troszkę nakłamał o wieczorze świętojańskim, bo się wstydził-Wcale nie był w Nirsbuan, dlatego że przypuszczał, iż ja tam przyjdę. Myślał, że śpię w Róback u Yvonne.

Miał wyrzuty sumienia, że nie przygotował domu. Mieliśmy przecież tam mieszkać, przyrzekł mi to. I poszed zobaczyć, czy można coś z tym naprędce zrobić.

316

Dan zawsze chwyta dwie sroki za ogon! Za wiele przyrzeka Dan, taki rozkoszny, tak intensywnie żyjący, ciepły i miły) porusza się we mnie powoli, jest we mnie, tak samo zmieszany i zawstydzony jak ja.

_ To już nie ma znaczenia - wyszeptał. - W każdym razie ja nie chciałbym teraz mieszkać w Nirsbuan. Nie teraz, gdy to się wydarzyło. Lepiej nam tu razem z innymi.

- Boisz się?

- Czasami.

Połaskotał językiem rowek na jej górnej wardze. Była to zabawa, którą znała. Znała tę pieśczołkę. Na koniec zwykle skłaniał ją do tego, że zarzucała mu nogi na plecy i gwałtownym ruchem przywierała do niego. Ale jej pożądanie minęło. Ogarnęło ją i odeszło.

- Nie myśl, nie myśl - szeptał.

- Jeszcze tylko jedno. Chodzi o Nirsbuan. Nie rozumiem, jak dostałeś się do środka.

- To żadna sztuka. Brandbergowie zawsze wieszają klucz pod okapem.

Później, gdy lato powoli zbliżało się ku końcowi i mieli za sobą sianokosy, Mia zapragnęła przespać się na sianie. Wzięły ze sobą koce i poduszki do sąsiedka.

Wiedziała teraz, że tak się to nazywa, i sama pomogła napełnić go wyrośniętym kwiecistym sianem z pastwiska. Leżąc, czuły zapachy mięty, koniczyzny i goździków łąkowych. Kolor jaskrawożółtych jaskrów przygasł w mroku, a kruche orliki się połamały. Ona, Lotta i Mia leżały obok siebie, chichocząc na szeleszczącym sianie.

Tej nocy Mia nie chciała spać w domu, tylko na sianie. Jak ty i Dan, powiedziała.

Ale w tamtą deszczową noc Annie nie spała. Teraz jednak nic na ten temat nie wspomniała, tylko spełniła życzenie Mii.

317

Dopiero około czwartej nad ranem Mia zaczęła narzekać, że jej zimno. Wtedy Annie zniosła ją na dół i ułożyła w jej własnym łóżku, a Lotta przyszła za nimi z kocami, poduszkami i książką Tatuś Muminka i mor%ę, której w ogóle nie mogły czytać, bo w

sąsiedku było za ciemno. Lato się kończyło i nocami nie było już tego olśniewającego światła.

Nie, tamtej nocy z Danem w ogóle nie spała, chociaż leżeli do trzeciej rano. On spał. Oddech miał spokojny. Leżał na boku, wtulony w nią, a jej ciało tworzyło łuk wokół jego pleców. Nie śmiała się w ogóle poruszyć w obawie, że go obudzi.

Leżała, a przed oczami miała Nirsbuan. Drzwi do chaty. Metalowa sztaba i kłódka, której nikt nie otworzył. Nie można było pamiętać tego inaczej. Tak było.

318

Mężczyzna wyglądał jak satyr. Capia broda, wilgotna, czerwona dolna warga. Czy to dlatego mieszkańcy wsi mówili o nim, że ma harem?

Przy podejściu Birger natknął się na stado kóz. Nie miał odwagi odwrócić się plecami do wielkiego capa, więc posuwał się groteskowymi serpentynami, aby cały czas mieć go przed sobą. Zwierzę miało szarozółte kudły, rogi grube, zakrzywione. Między zadnimi nogami dyndała moszna w czarne plamy. Wydawało się, że może ważyć z kilogram. Kozy okazywały ciekawość. Wlepiwszy w Birgera tępy wzrok, pchały się za nim na ścieżkę, więc nawet nie próbował usiąść, żeby chwilę odpocząć. Gdy wreszcie znalazł się na górze, był wykończony. Kłuło go w boku, na stopach porobiły mu się pęcherze.

Marta poinformowała go, że był tu już ktoś z opieki społecznej. Ciekawiło go, kto zdołał tu wejść. Pokazała mu gazetę lokalną z wielkim artykułem na pierwszej stronie:

PIERWSZE DZIECKO URODZONE NA GWIEZDNEJ GÓRZE

Pod nim było zdjęcie rodziców. Mężczyzna z rozdwojoną brodą trzymał dziecko. Na głowie miał coś w rodzaju ucowej czapki. Kobieta przysiadła obok niego na schodkach ganku oplecionego chmielem. Na trawie, poniżej schodków,

319

siedziały jeszcze dwie kobiety, mały chłopiec i pies. Annie nie było na zdjęciu. Przy narożniku domu widniała wysunięta buzia dziecka i sądził, że należy do jakiegoś chłopca. Ale potem stwierdził, że to dziewczynka, którą badał u Strómgre-nów. Miała ścięte włosy. Wyglądała na wychudzoną.

Wspomnienie jej twarzy, którą widział na górze u Oriany i Henry'ego, odżyło w jego pamięci. Szarawe światło letniej nocy wypełniające izbę było zwodnicze i w pierwszej chwili sądził, że dziewczynka została pobita. Potem zobaczył, że opuchlizna powstała od ukąszeń owadów. Na zdjęciu ta mała twarzyczka była nieostra, wychudzona, zawzięta. Jak to dziecko się miewa? Co tam na górze dostaje do jedzenia?

Pracownica z opieki społecznej zakomunikowała, że niemowlę jest zdrowe. Ale czy obejrzeliby dziewczynkę? Tego Marta nie wiedziała.

Mężczyzna-cap był teraz bez czapki. Przyjął Birgera tak uprzejmie, że zrobiło mu się głupio, bo załatwił sobie świstek z koncernu. Było to zezwolenie na połów ryb w dwóch jeziorach poniżej Gwiezdznej Góry i na nocleg w klubowej chacie. Obawiał się, że będą podejrzliwi, jeśli przyjdzie ot tak, bez przyczyny. Pamiętał Annie Raft i to, jak bardzo była nieprzystępna podczas pierwszego przesłuchania.

Niezależnie od wszystkiego, dzierżawca zagrody na Gwiezdznej Górze miał cztery kobiety, tak twierdzili mieszkańcy wsi. Żadnego innego mężczyzny nie było widać. Cukrzyk i jego kobieta chyba już się stąd wynieśli.

Przyszli do przychodni jakiś tydzień temu. Mężczyzna był blady i skarżył się na bóle głowy. Skórę miał chłodną i wilgotną, na stopach nie gojące się małe rany.

Kobieta siedziała w poczekalni. Była w długiej wełnianej spódnicy, głowę miała owiniętą chustą, która zachodził*

320

njsko na czoło i zakrywała włosy. Nie odezwała się słowem i nie podniosła wzroku znad swojej roboty na drutach, mimo to stworzyła w poczekalni dziwny nastrój. Siedziało tam ośmiu pacjentów i żaden z nich nie wydał najłżejszego dźwięku, nie ruszył rozłożonych tygodników.

Birger wezwał ją do gabinetu, aby zapytać o dietę i tryb życia na Gwiezdnej Górze. Opowiedziała, że mężczyzna ma ciężkie problemy związane z cukrzycą. Pewnego dnia podczas sianokosów o mało nie zapadł w śpiączkę cukrzycową. Wydawało się, że sam wstydzi się o tym mówić. Wykazała wtedy tyle przytomności umysłu, że podała mu miskę masy na ser. Pochłonął wszystko i poczuł się lepiej. Poza tym jedli kartofle z kozim mięsem, mleko i ser. Właśnie to, co nie było dla niego wskazane. Ponadto powinien regularnie zażywać lekkiego ruchu, nie wykonywać ciężkiej pracy fizycznej. Birger radził mu przeprowadzić się z powrotem do Nynas-hamn, jego rodzinnego miasta.

- A jeśli chodzi o hasz i tak dalej - powiedział - musicie sami zrozumieć, że w tej sytuacji tego nie wolno.

Chwała Bogu, nie rozżalili się. Byli chyba zbyt zmęczeni. Kobieta powiedziała tylko cicho, że nie mają z tym nic wspólnego. To tamci w Róback.

Wiedział, że Yvonne w Róback przyłapano, gdy przekraczała granicę z transportem marihuany. Została oskarżona wraz ze swoimi sublokatorami, dwoma mętnymi typami, znacznie starszymi od niej. Twierdziła, że wybrali się tylko na zabawę i że nic nie sprzedawała. Sąd okazał się przychylny i dał wiarę jej słowom. W rzeczywistości z jednej strony chodziło o zachowanie przyjacielskich stosunków z paroma drobnymi norwesкими kombinatorami w przygranicznej miejscowości, z drugiej zaś, według policyjnego raportu Marihuana była bardzo złego gatunku. Raczej nie nadawała S1? do sprzedaży.

321

Podczas przeczesywania terenu po morderstwie nad Lob-beran policja znalazła konopie, rosnące bujnie w rozpadlinie poniżej Gwiezdnej Góry. Potem celnicy zaczęli kontrolować Yvonne, kiedy swoim starym volkswagenem-busem przejeżdżała granicę. Twierdziła, że komuna nie ma nic wspólnego z uprawą. Ale policja podejrzewała jednego z mężczyzn na górze. Birger nie sądził, aby to był cukrzyk. On i jego kobieta wyglądali za smutno. Ich twarze pozostały mu w pamięci. Jej — wychudzona i spalona słońcem. Jego - blada, z obwisłą skórą. Gdy wyszli, Marta otworzyła gabinet, żeby zrobić przeciąg. Wnieśli ze sobą silny kozi odór.

Tu, na górze, się go nie czuło. Jedna z kobiet była uderzająco piękna. Bardzo jasne włosy, ciemne brwi i rzęsy. Ciemnoniebieskie oczy i usta z wyraźnymi łukami Amora. Miała dużą nadwagę. Musiało jej być tak samo trudno wspiąć się na Gwiezdną Górę jak jemu.

Może to byłoby dla mnie rozwiązanie, pomyślał. Pulchna kobieta. Gruba, aż się wszystko kołysze. Spotkanie dwóch szczodrych obfitości. Kanciaste istoty wewnątrz otulone w ciało. Tam, w dole, ona musi mieć ciemne włosy. I ma takie piękne oczy o gęstych rzęsach. Usta, zarys górnej wargi są jeszcze wyraźniejsze i delikatniejsze przez to, że reszta twarzy jest nalana tłuszczem. Pośladki przylegają ciasno do siebie. Ogromne uda i piersi, które kołyszą się i ciążą w dół, ku centrum Ziemi. Mężczyzna z rozdwojoną brodą mówił z ożywieniem o pleśnieniu sera. To we mnie siedzi cap, pomyślał Birger-Satyr. Tego tu interesuje tylko kozi ser.

Wiedział, że ludzie aż do Byvangen dzielili się na dwa obozy. Zdaniem jednych, komunę powinno się wytępić »» robactwo. Drudzy uważali, że może pozostać - ludzie z k° muny doprowadzili do porządku zapuszczone gospodarst

322

i wnieśli trochę życia w okolicę, puszczali zwierzynę do lasu, czego życzył sobie koncern, kosili pastwiska, gdzie zaczynały dominować bodziszek i trujące tojadę i wpełzały zarośla.

Bez specjalnych rozważań na ten temat dołączył do drugiej, tolerancyjnej grupy. Zazwyczaj on i Barbro byli liberalni- Uważał, że tamci mogą sobie zostać, byle tylko nie zaniechali dzieci.

Tu, na górze, nie potrafił zająć zdecydowanego stanowiska. Wahał się. Na widok walącej się chaty klubowej ogarnęła go złość i zastanawiał się, czy oni zdają sobie w pełni sprawę z tego, że jest pozbawiona-warstwy izolacyjnej. Jak przetrzymają zimę? Kiedy ta gruba, imieniem Mariannę, pochyliła się i nalała mu do kubka ziołowej herbaty, ogarnęło go silne podniecenie. Nie załatywało od niej kozim odorem, tylko mlekiem, bawełną i ciepłą skórą. Rowek między jej piersiami był głęboki i wąski. Zmieszany Birger podniósł wzrok i spojrzał na pastwisko. Z trzech stron świata widział grzbiety górskie, granatowe urwiska; szczyty jeszcze pokryte topniejącym śniegiem, w czarno-białe cętki, wyglądały jak piersi pardwy. Mieniające się zielenią i brązem zbocza mokradel opadały w dół ku lasom. Niebo było biało-niebieskie, powietrze nad pastwiskiem migotało od upału.

Zastanawiał się, jak by to było, gdyby tak mieszkał tu sam z czterema kobietami i przez całe dni słyszał wokół siebie ich ciche głosy i widział miękkie ruchy. Szmer strumienia i uginające się mokre kępy na moczarach zbiegających w dół ku jeziorom. Dotyk wody.

Nie mógł myśleć inaczej: dotyk wody, która przesycza ziemię, płynie i sączy się po niej. Wiechy wiązówki miały twarde biało-różowe pączki. Po zapachu wyczuł, że zaczynają rozkwitać. Filipendula ulmaria. Wkrótce zaleje ziemię odurzającym gorzko-słodkawym aromatem. Czasem nocą, gdy miał wizytę u chorego, musiał zjechać na pobocze i przysnąć na

323

chwile. Gdy się budził i wysiadał z wozu, żeby się wysuszyć ta woń wypełniała powietrze i falowała niczym wstęgi czegoś, co w zapachu moczarów było zagadkowe i upajające Łosie stały, żując we mgle, może na wpół spały, także nim odurzone. Tutaj człowiek mieszkał w nim i każdego dnia stąpał po przesiąkniętej ziemi, wdychał zapach moczarów i widział, jak fermentują i kipią, podczas gdy nad nimi kłębiły się pasma porannej mgły.

Szorstka Annie Raft stała się tu spokojniejsza. Miała także krótko obcięte włosy, a zamiast długiej spódnicy nosiła niewiarygodnie zniszczone i wyblakłe dżinsy. Spodnie i przesadnie krótkie włosy sprawiały, że na tle pozostałych wyglądała nowocześnie. Trzymała się na uboczu, ale nie miała nic przeciwko rozmowie z jej córką.

Mia powiedziała, że nie pije koziego mleka. Mama kazała przynieść dla niej na górę mleko w proszku. I tysiąc. Birger nie wiedział dokładnie, co to takiego, ale brzmiało słodko. Dowiedział się, że mama obcięła jej włosy i sobie też, żeby łatwiej było je myć. Poczł się uspokojony. Mia przyciągnęła koźlątko i pokazała mu martwą ryjówkę, którą upolował jej kotek. Dziewczynka, choć szczupła, wyglądała zdrowo i była wyraźnie towarzyska.

Poczł niepokój, gdy miał zapytać jej matkę, czy chce, aby zapisał witaminy dla Mii i chłopczyka, synka pięknej Mariannę. Jego sugestia została przyjęta przychylnie. Pod wieczór wybrał się na ryby. Gdy wyszedł z brzożowego lasu, zobaczył długi pas moczarów opadających ku jeziorom, które leżały na różnych poziomach. Był wysoko i z tego miejsca, dokładnie na północ od Gwiazdnej Góry, widział dwa z nich, niczym

stopnie z wody. Odbijały niebo i z niego brały światło, ale ciemnożółty, metaliczny odcień pochodź

324

chyba z ich własnej głębi. Brzegi były już czarne. Światło słabło teraz prędko. Widział zwarzoną mrozem turzycę porastającą moczary, która mieniła się czerwienią, brązem i wieloma odcieniami żółci. Miała tak specyficzną woń, związaną ze swymi kolorami, że wydawało się, iż fermentujące kotliny mokradeł naprawdę parują czerwonym i żółtym brązem. Na najbliższej pozostały żerdzie po dawno minionych sianokosach. Nawet tu, na górze, pomyślał. Wszędzie, gdzie tylko dało się zebrać mizerne źdźbła. W całej środkowej części północnej krainy. Królestwo turzycy. Gdyby nie turzyca, ta ziemia nigdy nie zostałaby zasiedlona. Istnieje niemal sto gatunków o różnych nazwach: turzyca alpejska i turzyca palczasta, turzyca szpilkowa, i jeszcze inaczej. Turzyca czubata. Turzyca lapońska. Teraz wcale się ich nie nazywa.

Moczary pograżyły się w niepamięci. W rozlewiskach lśniła woda, pod niebem, które nic nie widziało. Sosny się pokrzywiły. Nawet martwe dawały srebrzystoszare znaki, wskazując stronę, z której nadciągają wichury, ale nikt nigdy tych znaków nie odczytywał. Moczary z powtykanymi w nie czarnymi żerdziami spoczywały teraz w cieniu czasu. Kiedyś żerdzie służyły do suszenia siana. Powoli rozpadały się, tak samo jak dawno temu rozpadły się stodoły, pokryte szarymi strupami, mieniające się zielenią porostów. Woda, szemrząc, przesączała się przez ziemię i spływała po niej w wiosennym świetle, rozkładając wszystko, co zostało zrobione ręką człowieka. Znów zastanowił się, jak by to było, gdyby tu żył. Na samej krawędzi cienia, który leży ponad krajem, ponad wioskami i miasteczkami prowincji. Ponad wszystkim, co powoli się rozpada. W zupełnym zapomnieniu, wykonując codzienne czynności. Czy oni w ogóle wiedzą, co robią?

325

Póki szedł, owady go nie atakowały. Ale gdy tylko się zatrzymał przy pierwszym jezioru w dole, musiał w wiadrze, które wziął ze sobą, zapalić korę brzoźową i patyki. Na wierzch narzucił trawy i dopiero wtedy, stojąc w gęstym dymie, zaczął zakładać przynętę.

Miał teleskopową wędkę, która sięgała daleko, ale pstrągi i tak kręciły się troszkę dalej. Zakreślane przez nie kręgi na lśniącej i leniwej wodzie wyglądały niczym srebrzyste pętla. Przy brzegu widać było kępy bobrka. Białe-różowych kwiatów i ich puszystych wnętrz jeszcze nie tknął brązowy cień. Tu, na górze, była pełnia lata, choć przymrozek już kilkakrotnie zwarzył czubki traw na moczarach. Birger zwrócił uwagę na to, że w ogóle nie słyszy ptaków, i pomyślał, jak szybko minęły te najjaśniejsze tygodnie. I jeszcze o tym, że właściwie przez cały ten czas był nieszczęśliwy, a gdy budził się rano i potem leżał, myśląc o Barbro, owo światło i ów hałas ptaków wydawały mu się męczące.

Trochę dalej pstrągi wyskakiwały teraz wysoko ponad wodę, ale wędka tam nie sięgała. Może odstraszył je od brzegu odgłosem kroków, gdy w rybackich butach stąpał ciężko po uginającej się ziemi. Lub może jego postać rzuciła czarny cień na ich kryształową toń. Postanowił spróbować przy drugim jezioru. Zszedł do niego najciszej, jak potrafił, i stanął dwa, trzy metry od brzegu. Gdy zarzucił, żyłka utknęła tuż przy brzegu, gdzie czarna ziemia mokradła uciniała się ostro. Miał bardzo lekki haczyk, a na żyłce nie było ani ciężarka, ani spławika, i teraz czuł, jak robak wije się w wodzie. Jakiś ptak drapieźny przeleciał obok Birgera, prosto jak strzała, ponad ciemniejszą powierzchnią wody. Zdążył zobaczyć tylko czarną sylwetkę o masywnej piersi. Sowa?

W tym samym momencie chwyciła ryba. Żyłka napięła się i aż zabrzęczała. Ryba wyrwała się, zataczając dzikie, szerokie łuki. Gdy ją podniósł, tańczyła w dole w zaroślach

326

bażyny- Był to duży, prawie czarny pstrąg. Połyskiwał matowo, jakby miał na grzbiecie oksydowane srebrzyste nity. Birger musiał wyjąć okulary. Rybie wszy. Stary, zawszony czort.

Zmęczenie ogarnęło go nagle, więc gdy tylko oczyścił rybę, ruszył z powrotem. Wlókł się bezmyślnie. Nocne ptaki przecinały jego pole widzenia. Połyskiwały kępy wełnianki. Miliony białych kłębków unosiło się w chłodnej warstwie powietrza ponad czubkami turzycy. Wiotka turzyca. Zwa-rzona mrozem. Wycieńczona. Wkrótce lato minie, a z nim jego gorączka i obfitość.

Wskazano mu miejsce do spania w tym pokoju, w którym przedtem mieszkali cukrzyk i jego rodzina. Ktoś postawił szklankę z małymi bladymi dzwonekami i rzadkimi gwiazdki-cami. Poduszka była powleczone, a na materacu leżał koc. Chciał, aby to ta piękna naciągała poszewkę i postawiła szklankę z kwiatami na krześle obok łóżka. Nie było jeszcze tak późno, ale czuł się całkowicie wykończony, bardziej niż po długiej drodze na Gwiazdną Górę. Kiedy przymknął oczy, zapragnął posłuchać radia. Po kilku minutach usłyszał je z drugiej strony ściany. To Annie Raft musiała czekać na prognozę pogody. Przez ścianę z desek przedostawało się ku niemu każde słowo. Czekał w napięciu, czy kobieta zgasi radio, gdy spiker skończy mówić o obszarze górskim południowej Norrlandii. Nie zgasiła. Słuchała prognozy dla marynarzy, więc mógł przebiec myślą trasę od latarni morskich na Morzu Północnym aż do Zatoki Botni-ckiej. Wyłączyła radio, dopiero gdy ta podróż się skończyła. Leżał w ciszy, zastanawiając się, czy to zbieg okoliczności. *-2y ona też ma zwyczaj zawsze jechać od Oxóy aż do Farstugrundu i Kemi, tak jak on?

327

Nikt nie mówił o tym, co się stało w noc świętojańską. W drodze na górę przeszedł rzekę w bród, nie patrząc na miejsce, gdzie stał namiot. Niemile uczucie nie ogarnęło go jakoś szczególnie silnie. Chciał jednak wracać za dnia.

Przedtem jeszcze od Petrusa Eliassona kupił ser. Był to białozółty, bardzo łagodny kozi ser, a gdy Petrus pojął, że Birger przywiązuje wagę do tego, czy jest dojrzwały, poszedł po dwa małe brązowe sery, owinięte w wilgotne płótno. Odwinął je z całą ceremonią, większą, niż gdyby pokazywał małe, pomarszczone ciążko noworodka. Brita Wigert (jak Birger zrozumiał, jeszcze nie była jego żoną) stała trochę dalej, z tyłu, z dzieckiem na ręku. Uświadomił sobie, że jest ona w tym szczególnym stanie symbiozy z dzieckiem i jej widok sprawił mu ból. Przypomniał sobie Barbro trzymającą Tomasa. Piersi miała wtedy niebiesko pożyłkowane, skóra połyskiwała, cienka i rozciągnięta. Obwódki dookoła brodawek rozlały się i ich ciemnobrązowy kolor nabrał łagodniejszego odcienia, stał się brązoworóżowy. Prawie zawsze, trzymając Tomasa na ręku, miała wargi tuż przy ciemieniu dziecka. Mówiła, że w tym miejscu pachnie migdałami.

Dziecko. Tomas. Tomas o chropawym głosie i z brodą pokrytą meszkiem.

Szczeniakowaty i miły. Czasami jeszcze przychodził, żeby się poszturchać i popopychać, zanim wieczorem położył się spać. Jak gdyby chciał, żeby go przytulić. Birger zwykle oddawał szturchańce lub klepał go po plecach. Nie mogła dać mu jeszcze jednego roku? Dwóch lat? Dlaczego nagle już dłużej nie mogła wytrzymać? I gdzie jest Ulander?

Wpatrywał się w sery. Petrus Eliasson odkroił kawałek z najbardziej brązowego, którego plamista i strupiasta skórka przypominała spód starej łodzi. Ser był prawie

brązowy, w samym środku żółtawy i kremowy jak wnętrzości wid" kiego owada. Jedli, patrząc sobie w oczy. Birger kilka razy kiwnął głową.

328

- Tego nie sprzedaję - powiedział Petrus. - Chyba to rozumiesz. To klejnot. Ten drugi jednak nie pozostaje za nim daleko w tyle. Możesz kupić połowę. Wtedy dołożę ci trochę pasty serowej. Wkrótce przecież polowanie. Chyba chcesz trochę pasty serowej do pieczeni z dziczyzny?

Byli mili. Ale także smutni. Owa niepojęta, pachnąca mlekiem i migdałami symbioza z dzieckiem nie była wyłącznym uczuciem Brity. Jej serce ścisnął żal za dziewczynkami, które odjechały ze swoim ojcem. Teraz przybędą tu, dopiero gdy znów nastanie lato. Zastanawiał się, dlaczego wybrała Petrusa. A może wcale nie wybierała. Urodziła dziecko - a nie mogła przecież zjechać na plebanię w Blekinge z dzieckiem innego mężczyzny i oczekiwać, że wszystko będzie jak dawniej.

Annie Raft powiedziała, że żyje z Ulanderem. Więc gdzie on jest? Miała być nauczycielką dzieci komuny. Teraz jednak nie ma tu żadnych dzieci w wieku szkolnym. Synek Mariannę Óhnberg nie wygląda nawet na sześć lat.

Poczęstowali Birgera kaszą, a on poprosił o żółte mleko oddzielnie, w kubku. Mia obserwowała jego i kubek. Widziała, że Birger nie pije. Mrugnął do niej. Annie Raft w czasie całej rozmowy prawie się nie odzywała. Ale kiedy usłyszała, że przyszedł z dołu, od Strómgrenów, okazała zainteresowanie.

- Będziesz wracał tą samą drogą?

Powiedział, że samochód zostawił na górze u Oriany i Henry'ego.

~ Chciałem zajrzeć do nich. A szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy dam radę dotrzeć aż tutaj. Więc pomyślałem, że

Cdę mógł łowić ryby w rzece, gdybym nie zaszedł tak

a eko. Na dole woda jest czysta i spokojna. Dopiero przy

Niedźwiedzim Stoku robi się rwąca.

329

Zastanawiał się, czy Annie Raft boi się rzeki Lobberan. Chciał ją spytać, czy sypia nocami, ale się nie odważył.

Wyruszył dopiero około siódmej wieczorem. Panował jeszcze jasny dzień i tak miało być mniej więcej do dziesiątej. Ścieżka w dół prowadziła stale między wysokimi dużymi głazami. Słyszał werbel dzięcioła i delikatne pogwizdywanie gili. Z powiewem wiatru napłynęła ku niemu mocna, słodka woń. Zapach ciepłego lata cały dzień wypełniał powietrze, a teraz zapachniało migdałami i niemowlęciem. Sprawilo mu to ból i zastanawiał się, czy już zawsze będzie musiał się odwracać od wspomnień, które budzi zbocze porośnięte kępami zimoziółu, ciepłe łóżko czy meszek na główce dziecka. A może stanie się sentymentalny? Będzie się karmił tymi wspomnieniami i wciąż piastował je w myślach?

Zmęczył się, więc przystanął na chwilę, aby nabrać tchu. Wtedy usłyszał kroki na suchej ziemi. Cichy, ostry trzask gałązki. Czekał.

Nikt jednak nie nadchodził. Ogarnęło go jakieś nieprzyjemne uczucie. Przecież usłyszał czyjeś kroki i teraz ten ktoś się zatrzymał. Jak gdyby też czekał. Nikogo za sobą nie widział. Udawał, że stanął, aby przyjrzeć się drzewu. Ktoś na niego patrzył, tego był pewien. Ale nie chciał się odwracać, aby znów spojrzeć na ścieżkę.

Zaczął iść bardzo szybko. Póki szedł, nie mógł niczego słyszeć. Dotarł do górskiej grani, przeszedł ją i prawie zbieg ze zbocza, aż znalazł się w kotlinie i nabrał pewności, że jest wystarczająco daleko, aby go nie było widać. Wtedy skręć prosto w las. Dostrzegł duży blok skalny porośnięty torowcem i stanął za nim. Jeśli trochę pochylił głowę, w ścieżkę między kilkoma brzożami. Teraz usłyszał

wf tej samej chwili zaczął żałować, że się ukrył. Raczej powinien był przyspieszyć. Iść stąd.

Przyszło mu na myśl, że jest zbyt łatwowierny. Tam, na Gwiezdnej Górze, nastrój był przyjazny. Petrus Eliasson o wyglądzie kozła poczęstował go serem. Mariannę Öhnberg pachniała mlekiem.

Właśnie tak oceniam sytuację, pomyślał. Jak pięciolatek. Albo piesek pokojowy. Teraz na ścieżce coś lekko zatrzeszczało. Pobiegł po sosnowych szyszkach i zobaczył ją. Była to Annie Raft. Zatrzymała się i nadśluchiwała, a potem niepewnie ruszyła w dół. Wtedy naturalnie wyszedł i zawołał:

- Chcesz czegoś ode mnie?

Natychmiast tego pożałował. Ale już było za późno. Odwróciła się i wpatrzyła w niego. Miała lornetkę wiszącą na pasku na szyi, nic więcej. Podszedł do niej i wydawało mu się, że lamie gałęzie jak łoś. Teraz jej twarz była bardzo podobna do twarzy małej dziewczynki. Baczne spojrzenie. Drobne, zaciśnięte usta. Jej włosy po obcięciu miały odrobinę czerwony odcień, a brwi były tak ciemne, że przypuszczał, iż je farbuje. Czyżby robiła to na górze? Miała mały prosty nos i na swój sposób była ładna. Ale nieprzychylna. Zupełnie pozbawiona ciepła i otwartości. Ponadto skradała się za nim.

- Co chcesz?

- Nic.

idziesz za mną.

^tała, ssąc dolną wargę, i zrobiła się w zabawny sposób podobna do swojej córki. Tylko na ciebie popatrzę - powiedziała w końcu.

Może

ona jest nienormalna, pomyślał. To dziwne drganie oia niej. Brak kontaktu. Człowieka ogarnia jakaś obawa le rozmawia z nią tak jak z innymi. Jak, u diabła, ona może być nauczycielką?

331

Zastanawiał się, czy Annie Raft boi się rzeki Lobberan. Chciał ją spytać, czy sypia nocami, ale się nie odważył.

Wyruszył dopiero około siódmej wieczorem. Panował jeszcze jasny dzień i tak miało być mniej więcej do dziesiątej. Ścieżka w dół prowadziła stale między wysokimi dużymi głazami. Słyszał werbel dzięcioła i delikatne pogwizdywanie gili. Z powiewem wiatru napłynęła ku niemu mocna, słodka woń. Zapach ciepłego lata cały dzień wypełniał powietrze, a teraz zapachniało migdałami i niemowlęciem. Sprawilo mu to ból i zastanawiał się, czy już zawsze będzie musiał się odwracać od wspomnień, które budzi zbocze porośnięte kępami zimoziołu, ciepłe łóżko czy meszek na główce dziecka. A może stanie się sentymentalny? Będzie się karmił tymi wspomnieniami i wciąż piastował je w myślach?

Zmęczył się, więc przystanął na chwilę, aby nabrać tchu. Wtedy usłyszał kroki na suchej ziemi. Cichy, ostry trzask gałązki. Czekał.

Nikt jednak nie nadchodził. Ogarnęło go jakieś niemiłe uczucie. Przecież usłyszał czyjeś kroki i teraz ten ktoś się zatrzymał. Jak gdyby też czekał. Nikogo za sobą nie widział. Udawał, że stanął, aby przyjrzeć się drzewu. Ktoś na niego patrzył, tego był pewien. Ale nie chciał się odwracać, aby znów spojrzeć na ścieżkę.

Zaczął iść bardzo szybko. Póki szedł, nie mógł niczego słyszeć. Dotarł do górskiej grani, przeszedł ją i prawie zbiegi ze zbocza, aż znalazł się w kotlinie i nabrał pewności, że jest wystarczająco daleko, aby go nie było widać. Wtedy skrzył prosto

w las. Dostrzegł duży blok skalny porośnięty torfowcem i stanął za nim. Jeśli trochę pochylił głowę, widzie ścieżkę między kilkoma brzożami. Teraz usłyszał kroki-
330

y] tej samej chwili zaczął żałować, że się ukrył. Raczej powinien był przyspieszyć. Iść stąd.

przyszło mu na myśl, że jest zbyt łatwowierny. Tam, na Gwiazdnej Górze, nastrój był przyjazny. Petrus Eliasson

o wyglądzie kozła poczęstował go serem. Mariannę Óhnberg pachniała mlekiem.

Właśnie tak oceniam sytuację, pomyślał. Jak pięciolatek. Albo piesek pokojowy.

Teraz na ścieżce coś lekko zatrzeszczało. Pobiegł po sosnowych szyszkach i zobaczył ją. Była to Annie Raft. Zatrzymała się i nadśluchiwała, a potem niepewnie ruszyła w dół. Wtedy naturalnie wyszedł i zawołał:

- Chcesz czegoś ode mnie?

Natychmiast tego pożałował. Ale już było za późno. Odwróciła się i wpatrzyła w niego. Miała lornetkę wiszącą na pasku na szyi, nic więcej. Podszedł do niej i wydawało mu się, że łamie gałęzie jak łoś. Teraz jej twarz była bardzo podobna do twarzy małej dziewczynki. Baczne spojrzenie. Drobne, zaciśnięte usta. Jej włosy po obcięciu miały odrobinę czerwony odcień, a brwi były tak ciemne, że przypuszczał, iż je farbują. Czyżby robiła to na górze? Miała mały prosty nos i na swój sposób była ładna. Ale nieprzychylna. Zupełnie pozbawiona ciepła i otwartości. Ponadto skradała się za nim.

- Co chcesz?

- Nic.

~ Ale przecież idziesz za mną.

Stała, ssąc dolną wargę, i zrobiła się w zabawny sposób podobna do swojej córki.

~ Tylko na ciebie popatrzę - powiedziała w końcu.

Może ona jest nienormalna, pomyślał. To dziwne drganie dookoła niej. Brak kontaktu. Człowieka ogarnia jakaś obawa

i nie rozmawia z nią tak jak z innymi. Jak, u diabła, ona może być nauczycielką?
331

W tej samej chwili odezwała się spokojnym, opanowanym głosem, tak że nagle bardzo dobrze mógł sobie ją wyobrazić jako nauczycielkę:

- Chciałam tylko zobaczyć cię przez lornetkę, gdy będziesz przechodził rzekę.

Czy miały to być jakiegoś rodzaju awanse? Poczłł się niepewnie. Zaraz jednak pomyślał o tym, którądy biegnie ścieżka.

- Stąd nie możesz zobaczyć rzeki.

- Trochę niżej. Jest płaskowzgórze. Widać stamtąd rzekę i moczary aż do obejścia Strómgrenów.

- Nie - powiedział. - Nie tutaj, na stromiźnie. Droga cały czas biegnie przez gęsty las. W takim razie to musi być pewnie gdzieś w kierunku Niedźwiedziego Stoku. A stamtąd nie widać brodu. To wiele kilometrów stąd. Jeśli to z tamtego miejsca chciałaś na mnie popatrzeć.

- Znajdę je - powiedziała tylko. Żadne z nich nie wiedziało, co robić dalej. On musiał przecież znów ruszyć w dół. Zamierzała iść za nim w pewnej odległości? To byłoby śmieszne. Musiało jej przyjść do głowy coś podobnego, bo odezwała się:

- Przez chwilę mogę ci dotrzymać towarzystwa. Póki nie znajdziemy tego miejsca.

Punktu widokowego.

- Nie ma takiego.

Nie uwierzyła mu naturalnie. A może tylko tak udawała. Ruszyli, najpierw on, ona zaraz za nim. W głowie miał całkowitą pustkę. Za nic w świecie nie mógł wymyślić, co

by tu powiedzieć. Ona jednak chyba w ogóle się tym nie przejmowała. Po pięciu, może dziesięciu minutach, zatrzymała się.

- Tu ścieżka się rozwidła - powiedziała.

- Tak, ta na prawo biegnie w dół na Niedźwiedzi Stok-Stała w milczeniu. Zdawało mu się, że na jej twarzy maluje się jakiś dziwny wyraz.

332

- No, to wracam - powiedziała.

Nie było sensu o nic jej pytać. Sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie. Albo był to jakiś smutek. A może strach.

- To cześć.

Odwróciła się nagle i dopiero, gdy kawałek odeszła, opuściło go nieprzyjemne uczucie. Z tyłu wyglądała komicznie. Dżinsy miały nogawki nierówno obcięte nożyczkami i były tak zniszczone na pupie, że wyglądały jak siatka z grubych, wyblakłych, bawełnianych nitek. Przezierały przez nie jej niezbyt białe majtki. Idąc, kręciła trochę tyłkiem.

- Słuchaj! - zawołał. - Co ty masz za spodnie?

Miał to być żart. Ale ona odwróciła się i wpatrzyła w niego. W mroku lasu zobaczył oczy, rozszerzone, ciemne.

- Szczęście, że widziałem cię z tyłu już przedtem — dodał. - Inaczej myślałbym, że jesteś przezroczyta.

Nie odpowiedziała. Przypuszczalnie uznała, że to nie było zabawne. Po chwili odwróciła się i zaczęła znów podchodzić ku Gwiazdnej Górze.

Jej nastrój udzielił mu się, gdy doszedł do rzeki. Nie rozglądał się dookoła. Był w stanie myśleć jedynie o tym, że za dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny, znajdzie się przy gospodarstwie Strómgrenów. Nie jest zbyt późno. Jeszcze może zajrzeć do Oriany i Henry'ego. Porozmawiać chwilę o zwyczajnych sprawach. Łowieniu ryb. Poziomie wody w rzece. Poczęstować ich serem.

<

Teraz musi tylko przejść przez rzekę. Szybko. W ciszy We)sc na moczary. Odejść od wody. Od dźwięków, które brzmiały jak ciche krzyki i jęki. Od rozlegającej się wokół kamieni paplaniny i ssącego odgłosu wartkiej, czarnej wody.

333

Henny wytrzasnęła skądś jasnoniebieską grubo pikowaną kurtkę i białe żeglarskie buty. Na głowie miała biały beret z jedwabnym pomponem. Po dwóch godzinach marszu nawet się nie zasapała. W rezerwie miała swoją słynną przeponę śpiewaczki. Poza tym jej bagaż niósł w plecaku Henry Strómgren; do obejścia Strómgrenów przyjechała taksówką Ivara Jonssona. Nie było pewne, czy zapłaciła Henry'emu, czy też się zgodził pomóc bezinteresownie. Henny nie paraliżowała ludzi, tak jak Annie sądziła, gdy była młodsza. Oczarowywała ich. Wprost urzekała. Henry widział ją w jakimś starym filmie.

- Pomyślcie tylko! Siedzi tu sobie i ogląda film, w którym gram z Akem Söderblomem i jestem narzeczoną gangstera, a czternaście dni później stoję u niego w progu, w samym środku górskiego świata, i wołam: „Na pomoc! Gdzie moja córka!”.

Nie „z” Akem Söderblomem. Z nim grała Sickan Carlsson albo Anna-Lisa Ericsson. A ty grałaś tylko w tym samym filmie. W jednej scenie „z”.

Annie zaczęła korygować wypowiedzi Henny w wieku czternastu lat. Zawsze jednak w duchu, nigdy na głos-(Nie ma potrzeby wspominać o okresie dojrzewania! Afflie po prostu go nie miała!). Od chwili, gdy Henny objawia się w kotlinie przy potoku, wszyscy gapili się na nią*

334

j słuchali jej słów. Nawet Petrus. Jego wzięło najbardziej. Aż otworzył usta. Torowała sobie drogę przez trawę, w najmniejszym stopniu nie okazując zmęczenia. Jej okazała pupa się kołysała. Zawsze miała tę najbardziej kobiecą figurę - wąska talia, duży biust i toczony tył. Obecnie widoczne były kilogramy. (Gdybym przy moim głosie miała wzrost Gaby Stenberg!). Liczyła sobie sześćdziesiąt osiem lat, jej profil był nadal czysty, rozpływał się jednak w okolicach podbródka. Teraz uniosła go.

- Boże! Jak wy pięknie mieszkanie! Czy wy w ogóle wiecie, jak pięknie mieszkanie! Może myśleli, że jest głupia. Lub że u niej wszystko co w myśli, to na języku. Teraz siedziała z Mią na kolanach pod ścianą słynnego pieca z łupku.

- Co za wyśmienita kamieniarska robota!

Annie nawet przez myśl nie przeszło, że matka mogłaby nie być tak wylewna. Henny widziała podniszczone pensjonaty całej Szwecji. Występowała na parkietach z układanych co wieczór desek i w parkach publicznych szamotała się z pijakami. Nigdy nie narzekała i zawsze otrzymywała to, co chciała.

Jestem w ciąży.

Ta myśl przemknęła Annie przez głowę dokładnie wtedy, gdy biały pompon, beret i puchata kurtka wytoczyły się z kotliny i gdy okazało się, że to ona (chód, głos). W tej samej chwili. Ani o minutę wcześniej. Trzy miesiące nie miałam okresu. Cały czas czuję się okropnie. No, i te piersi. Choć figurę ciągle mam szczupłą.

Jestem w ciąży. Od nocy świętojańskiej w chacie u Aagot ^agerli. Od tamtego razu, gdy nie miałam krążka. Kiedy tak S1? przestraszyłam, że o nim zapomniałam. Wtedy to się stało.

°winna o tym wiedzieć. Choć przecież wiedziałam. Jak

335

1

gdybym była dwiema osobami. A teraz od razu. Gdy tylko ją zobaczyłam. Zanim nawet spojrzała na mnie. Tym wzrokiem. Czy Mia też kiedyś tak się poczuje?

- Dziecko drogie! Jak ty się opaliłaś i jak zdrowo wyglądasz! Zazwyczaj nie opalasz się tak mocno!

Czy pokazały się te brązowe cienie? Babskie plamy. Może ona naprawdę je widzi wokół' oczu? Czy nie tak zwykle mówi: to widać wokół oczu?

Dan. Spyta o Dana.

Ale nie spytała. Zajęła się wypakowywaniem prezentów. Różowy dres dla Mii. Królicze pantofle. Miały puszyste uszy i duże, błyszczące oczy. Dwie butelki czerwonego wina. Dla Annie bluzkę, uwydatniającą piersi.

Henry Strómgren nie mógł zostać do wieczora, chociaż chciał. Widać było, że nawet bardzo chciał. Mieli pić czerwone wino i jeść najbardziej dojrzały ser. Teraz Petrus chciał pokazać piwnicę w ziemi i studnię, żeby zobaczyła naprawdę znakomitą starą kamieniarską robotę. Henny uzgodniła z Henrym Strómgrenem, że następnego dnia zabierze je przy Niedźwiedzim Stoku. Ake pozostał we wsi, na campingu. Takie wędrowniki po lesie to nie dla niego. Wynajęli już dwie chaty, jedną dla Annie i Mii, jedną dla siebie. Urocze!

Na moment stanął Annie przed oczami prysznic na campingu. I telewizor. Potem pomyślała: muszę mieć spokój. Przez godzinę. A przynajmniej przez chwilę. Nigdy w życiu nie czułam się tak zmęczona.

Jeszcze jednak nie mogła stąd odejść. Program nabrał tempa. Kamienna piwnica. Letnia kuchnia. Obora dla koz. Mia przyprowadziła koźlątko. Dom klubowy z pokojem Annie i Mii. Łóżka. Lalki Mii. Królicze pantofle pod łóżkiem obok pudełka z lalkami z wycinanki. Ani słowa o Danie, jego łóżku. Jeszcze nie.

;-

336

popołudniowa herbata. Henny stwierdziła, że właściwie zawsze powinno się pijać herbatę ziołową, bo zdrowsza, potem dojenie. Spróbowała sama, przy akompaniamencie śmiechu. Wszystko było jak na filmie. Nie z Akem Söderb-lomem, tylko z Henny Raft.

Na obiad był barszcz z botwinki, naleśniki z czarnymi jagodami, a potem czerwone wino i sery. Henny uwielbiała ostre sery. Uwielbiała także solone śledzie, ziołowe wódki, czerninę z plackami, marynowane śledzie i inne potrawy, których Annie nie była w stanie wziąć do ust. Rozmawiali o tym i okazało się, że Petrus uwielbia sztukfiszę i że zamierza nasolić szczupaki, które właśnie się suszą, przybite gwoździami do ściany letniej kuchni. Złowił je siecią w Klóppen i teraz wyjaśniał, gdzie leży jezioro. Tym samym rozmowa zeszła na Lobberan i bez sekundy wahania Henny spytała, czy się nie boją?

- Tak - odparła Brita. - Czasami myślę, jakie to straszne.

Nigdy przedtem tego nie powiedziała. Żadne z nich nigdy nie przyznało, że to ich także dotyczy. W końcu Annie zaczęła przypuszczać, że jest w tym osamotniona. Że tylko ona doznaje tego posępnego uczucia, które ogarniało ją na brzegu pastwiska, i tego strachu, który chwycił ją w lesie, gdy tylko weszła trochę głębiej.

To tam znaleźli ziemną gwiazdę. Mia spostrzegła ją między świerkami. Ciemne koniuszki rozcapierzone w mchu. Mia nie rozumiała, że to grzyb. Sądziła, że to rzadkie zwierzę, podobnego rodzaju co rozgwiazda, i że gdy jej lekko dotknąć, to się poruszy. Grzyb pachniał tak samo jak Dan, ale tego Mia nie wiedziała.

Zagadnięta przez Henny Brita powiedziała, jak jest naprawdę; że czasami się boi. Powiedziała to cichym i smutnym głosem. A Henny wyczuła wyraźnie, że to jest coś, co może "two dotknąć do żywego, bo zaraz objęła Mię i chciała,

337

aby zaśpiewały S%ła dziewica do studni. Mia będzie dziewicą a babcia gałęzią leszczyny. Ponieważ brakowało akompaniamentu, Annie miała śpiewać drugim głosem. Gdy się wzbraniała, Henny rzuciła: „Ech! Weź tylko tercję!”. Annie jednak nie chciała. Wtedy Henny poprosiła, żeby Mia przyniosła melodykon. Potem Mia i babcia zaśpiewały, naprawdę bardzo ładnie:

Wino pijam, cukier jadam, Dlatego urodę posiadam!

Zdaniem Annie, melodykon był okropnym instrumentem, ale gdy zaczęła na nim grać, wszyscy się ożywili. Petrus na własną rękę zmienił słowa i zaśpiewał: „wino pijam i ser jadam!” Nagrodzono go owacją.

Nagle Henny stanęła przy piecu, lekko pochylona w kierunku wyśmienitej kamieniarskiej roboty i najwyraźniej zamierzała śpiewać. Wychodzę, pomyślała Annie. Wiedziała jednak, że zostanie. Jeśli będą się śmiać, to popatrzy Henny prosto w oczy i wytrzyma jej wzrok. Próbowała tak robić w Malarvag. Ake i Henny przyszli raz na szkolny wieczorek towarzyski. Wysłuchali sprośności w uczniowskiej rewii, a z ich twarzy ani na moment nie zniknął wyraz rozbawionego uznania i łagodnego roztargnienia. Potem, namówieni przez żonę dyrektora, weszli na podium. Henny śpiewała, a Ake akompaniował na rozstrojonym pianinie. Z początku słuchacze tylko wydawali pomruki i szurali krzesłami. Ale gdy Henny zaśpiewała Zwróć się ku mnie, wróć ode mnie, daj mi ogniem płonąć, rzucając ciemne spojrzenia na Akego, który przymknął oczy za grubymi szklami, kilku zaczęło wrzeszczeć. Potem rozległy się różne nieprzyjemne, stłumione dźwięki. Wielu młodych ludzi było po piwie i teraz bekali-Kwitowano to chichotem, w końcu zapanował ogólny

338

śmiej i trzaskały przewracane krzesła. Henny odrzuciła głowę do tyłu i potężnym głosem śpiewała aż do końca:

a

Tyś był ze mną, mój jedyny, dla młodości mojej żaru!

Gdy zaczęły się tańce, oboje zniknęli. Annie znalazła ich w mieszkaniu. Siedzieli przy kuchennym stole, światło było zgaszone, i popijali koniak z piersiówki Akego.

Teraz Henny śpiewała i choć Annie miała wrażenie, że jej się to wszystko śni, akompaniowała na melodykonie, a głos Henny był potężny i wspaniały:

Maybe he's la[^]y . . . maybe be's slow maybe I'm crasg maybe I know... t
Carit help loving that man of minę! . \ «,

W latach czterdziestych grała w Statku komediantów. Entuzjazmowała się rolą matki Nolie, kobiety o ciętym języku. Marzyła jednak o partii zagubionej Julii. Teraz właśnie ją śpiewała i wszyscy się na nią gapili, a tego, kto by uważał, że jest śmieszna, Annie gotowa była walnąć na odlew w twarz. Jednakże nikt tak nie sądził. Poruszyła ich swym ciemnym głosem.

Potem znów śpiewała Mia. Zaśpiewała Gdy mała myszka pójdzie na spacer, a wszyscy bili brawo i mówili, że odziedziczyła głos po babci. Według programu, niezmiennego od piętnastu lat, Henny powinna teraz powiedzieć: „Głos?! Nie, moi drodzy, głos jest tam!”. A oni powinni popatrzeć na Annie. Ale Henny nic nie powiedziała.

To już minęło, pomyślała Annie, kiedy biesiadowali dalej. Niczego więcej po mnie nie oczekuje. Jestem za stara. Nigdy już nie będzie mnie dręczyć.

339

Czuła jednak pustkę, nie ulgę. A co czuła Henny? Jak będzie teraz żyła - pozbawiona nadziei, także tych związanych z córką? Annie zawsze była przekonana, że Henny oszaleje, gdy przestaną ją angażować. Ake dalej grywał w restauracjach i na próbach, dopóki nie przeszedł na emeryturę. Tego samego dnia przestał grać i nigdy słowem nie wspomniał, że mu czegoś brakuje.

Gdy Annie zrobiła maturę, wstąpiła na wydział muzyczny uniwersytetu ludowego, a potem do konserwatorium. W tym czasie Henny rzadko już otrzymywała angaże. Ale Annie odziedziczyła po niej głos i miała się kształcić na śpiewaczkę. (Wykształcenie! Gdybym tak otrzymała prawdziwe wykształcenie!). Annie nie miała odwagi stanąć na scenie. Dostawała mdłości, oblewał ją pot. Bała się, że zemdleje, i nie mogła dojść do ładu z oddechem. Ale Henny mówiła, że to przejdzie, niech się tylko wyszkoli.

Annie jednak nie posiadała tego czegoś nieuchwytnego, co ciągle jeszcze miała Henny. Cokolwiek to było. Na przykład sposób poruszania tyłkiem. Łatwiejsze okazało się śpiewanie w kościele. Tam nie była tak na widoku. Już będąc na drugim roku uniwersytetu ludowego, stawiała na chórze w kościołach Gustawa Adolfa, Oskara i Gustawa Wazy i śpiewała na skromniejszych pogrzebach. Na tych najokazalszych i najbardziej intratnych śpiewał chór dworski.

Henny rozkoszowała się jej śpiewem w kościele i zjawiała się w czarnym stroju, teatralnie dramatyczna. Annie bała się, żeby nie wzięto matki za jakąś żałobnicę. Sama biedziła się nad tekstem. Uznała, że najpiękniejsza muzyka świata podpira słowa, które w najlepszym wypadku są głupie, a dość często bezsensownie okrutne. Poszukując początków tego zjawiska w Biblii, znalazła coś, o czym nie miała pojęcia, bo przedtem nie interesowała się religią: mieszaninę zabobonów, podżegania do wojny i mistykę na wpół rozkładających się ciał.

340

Mimo to śpiewała. Śpiewała Bist Du bei mir, a przed oczami miała zmaltretowane ciało ciemnowłosego mężczyzny. Aby wydobyć ton, wszystko, co uznawała za miłe i ziemsko nęcące, przeciwstawiała tej nieszczęsnej, rozbitej głowie, ociekającej krwią. Odrzucała precz cuchnące opaski i powiew z otwartego grobu. Przepędzała z

wyobraźni głowę proroka na tacy, rozwścieczonych świniopasów i żołnierzy, dokonujących rzezi na małych dzieciach. Gdy raz w tych obłąkańczych, okropnych litaniach znalazła coś, co odzwierciedlało ziemskie pragnienia czy piękno, wypełniło ją ciepło. Szukała zwyczajnej życzliwości wobec drugiego człowieka, w ogóle czegoś, co nie byłoby aż tak podniosłe i nie groziło stale śmiercią.

Jak laska Arona, która zazieleniła się na splamionym krwią ołtarzu w namiocie objawienia; zazieleniła się, wypuściła pączki, zakwitła i obrodziła dojrzałymi migdałami.

Na dłuższą metę to się jednak nie udawało. Miała wyrzuty sumienia i naprawdę próbowała, ale się nie udawało. Ake załatwił jej jednopokojowe mieszkanie na Karlbergsvagen. Annie w pełni zdawała sobie sprawę, że poszły na to oszczędności całego życia. Nie możesz mieć długów, powiedziała Henny. Annie brała więc wszystko, co tylko mogła, aby nie mieć długów: pogrzeby, kursy śpiewu, szkolne chóry.

Była zdolna. Tak, naprawdę. Na zabawach i na koncertach w siedzibie związku studentów grała na fortepianie lub na kontrabasie. Nie była jednak w stanie śpiewać solo przed publicznością. Gdy raz spróbowała, jej ubranie przesiąkło kwaśnym zapachem potu. Henny ciągle powtarzała, że to przejdzie, ale Ake nie wracał już do tego tematu.

Był niewątpliwie człowiekiem, który nosi się z godnością, jest dobrze ubrany i uprzejmy. Zawsze go podziwiała. Ale zaczęła rozumieć, że nie ma zbyt wysokich aspiracji.

341

1 H 1

Z czasem pojęła, że także jego elegancja to sprawa dyskusyjna. Dwukolorowe biało-brązowe buty, wciąż jeszcze przechowywane na strychu. Getry, nakładane do półbutów nazywane psią skórą. Zbyt pasiasta marynarka.

Życie Henny było jednym wielkim dramatem. Zalewała się łzami i szalała, gdy wystawiono ją do wiatru z angażem bądź schlastano w recenzji. Na ogół jednak wszystko układało jej się dobrze. Znalazła swój genre - zabawna, zadziorna bohaterka drugoplanowa. Temperamentem pokonywała ckliwość i dodawała romantycznej pikanterii operetce. Tego się trzymała. Osobliwe było jednak to, że miało się wrażenie, iż na świecie istnieje tylko ta rola i ta scena - właśnie dla Henny. Natomiast nie dla Annie.

Ake był niezłym muzykiem i miał dobry słuch. Wydawało się jednak, że podchodzi do tego obojętnie. A może to przyszło z wiekiem? Annie nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek w domu grał, wyjąwszy te chwile, gdy Henny chciała, żeby jej akompaniował. Ake czytał.

Był krótkowidzem i nosił okulary z grubymi szklami, za którymi żył niczym złota rybka w szklanej kuli. Czytał przez te wszystkie dziesiątki lat, podróżując autobusem i w jednopokojowym mieszkaniu, gdzie Henny nieustannie coś mówiła, powtarzała role i hałasowała odkurzaczem. Miał skórzaną teczkę z dużymi metalowymi zamkami, którymi Annie zwykle się bawiła. Zanosił ją wyładowaną do biblioteki miejskiej i z wyładowaną wracał. Annie przyjmowała to jako rzecz oczywistą, tak jak było oczywiste, że brat matki, wujek Góte, przeczytał w życiu tylko jedną książkę, pamiętniki arcyłgarza Kallego Móllera.

Tymczasem Annie sama stała się zagorzałą czytelniczką. Gdy zrobiła maturę i opuściła zniszczony drewniany dom w Enskede, pragnęła tylko jednego: własnego kąta. Mieć spokój. Czytać. Ale zgodziła się zacząć naukę śpiewu,

342

waż została przyjęta na studia, a Henny mówiła, że być śpiewaczką to doprawdy coś niezwykłego i fantastycznego.

po przeszło dwóch latach Annie zrozumiała, że jest na najlepszej drodze do tego, aby ją z konserwatorium wylano, i że powinna przejść na kierunek pedagogiczny. Była to klęska, z którą nie mogła się pogodzić. Wpadła w stan całkowitego bezruchu, niezdolna do ukończenia studiów, niezdolna do śpiewania. Wtedy jej nauczycielem został Sverker Gemlin.

Nauczał harmonii i kontrapunktu. Był cichy i wrażliwy. Brązowe oczy Mia ma po nim. Patrzyli sobie w oczy i ściszym głosem rozmawiali o codziennych sprawach.

Godzinami leżała potem w łóżku; analizując treść tych rozmów. Pewnego razu wzięli się za ręce. Było to w taksówce po jakiejś zabawie. Schowali ręce pod jej płaszczem. Żyła ostrożnie i skromnie. Jeśli chodzi o życie seksualne, dysponowała już pewnym doświadczeniem. Miewała bowiem przelotne związki, wszystkie dość humorystyczne. Choć, gdy o nich później myślała, wcale nie wydawały się zabawne. Ze Sverkerem jednak był to prawdziwy pożar prerii.

Pewnego przedpołudnia stanął za nią przy kopiarce i przycisnął podbrzusze do jej pośladków. Nie całował Annie, tylko przytknął usta do jej karku. Przedtem rozdzielił włosy z tyłu, żeby się tam dostać. Ręce położył na kopiarce. Widziała je po obu swoich bokach. Górne stawy palców zbieleły. Miał silną erekcję, czuła to przez ubranie. Stał tak przez chwilę, niezupełnie nieruchomo, a ona o mało nie zemdląła. Dwa dni później została wieczorem w szkole, wiedząc, że on ma zajęcia. Spotkali się w korytarzu i długą chwilę stali bez ruchu w dużej odległości od siebie. Kilka minut potem znaleźli się w jego zamkniętym pokoju. Była świeżo wykąpana i miała na sobie nowy, kupiony w Lindeksie, koronkowy

343

stanik. Wszystkie te przygotowania poczyniła, nie zastanawiając się zbytnio nad ich znaczeniem.

Zamroczeni pożądaniem, próbowali zrobić to na małej niebieskiej kanapce.

Najtrudniej było uchylić się od brzozowej poręczy. Annie to miała przygniecioną do niej potylicę to znów jej głowa lądowała poza kanapką.

Odtąd spotykali się u Annie w domu, jednak niezbyt często. Miał My. Przypuszczalnie nie było to jej imię, ale tak ją nazywał. Widniało nawet w książce telefonicznej. Annie wpatrywała się w adres w Angby i numer. Nigdy jednak nie zadzwoniła.

O swoim małżeństwie opowiadał, posługując się wyszukаныmi omówieniami. Mawiał na przykład: musimy chronić to, co mamy. Tym, co miał, była przecież My, dzieci: Jesper i Jannika, willa w północnym Angby i domek letniskowy w Kullen, który dzielił z rodzicami My. Annie miała jednopokojowe mieszkanie na Karlbergsvagen i swoją drogocenną wolność, o której tak dużo mówił. To jednak Annie podsuwała ów temat. Gdy nastąpiło lato, wyjechał z rodziną do Kullen. Wtedy nie mogła się z nim kontaktować. Listów też nie pisywali. To niemożliwe, żyjemy tam tak blisko siebie, wyjaśnił. Bez końca obracała w myślach jego słowa. Czasami widziała cały dom w Kullen, z teściami, dziećmi i cocker-spanielem, jako wielkie legowisko węży w lubieżnych drgawkach.

Tego lata śpiewała na weselach i prowadziła chór na kursie uniwersytetu ludowego. W lipcu przez kilka dni była w domu i, wykorzystując okazję, wybrała się do konserwatorium, żeby zrobić kopie nut. W wejściu uderzyła się ze Sverkerem. Znał wszystkie jej terminy. Wypisała je na kartce na wypadek, gdyby mógł się urwać na trochę podczas wakacji.

Powiedział, że podróż z Kullen zleciała szybko, a on zapomniał, w które dni ona jest w mieście. Wtedy uświadomiła sobie swoją sytuację.

Rozwścieczona kobieta zroff biłaby scenę. Annie jednak nie byłaby wtedy sobą. Może jak**ąś Brangane albo Medeą. Na występ potrzebowała godziny^ z okładem. To wystarczyło, żeby on zdołał się wycofać na * dobre. Chwilowo uspokoił ją na niebieskiej kanapce. Nie miała krążka, ponieważ nie wiedziała, że się spotkają. Rzuurła konserwatorium. Bardzo trudno było przypomnieć sobie tamten moment, zanim się zorientowała, że jest w ciąży.

Znajdowała się w oku cyklo onu. Nieruchomy ból i nienawiść. Teraz jednak nie mogła so^obie przypomnieć, jak to było. Gdy tylko dotarło do jej ś ^wiadomości, że jest w ciąży, zdecydowała się szukać prac ^y na uczelni pedagogicznej. Powiedziała Akemu i Henny^, że spodziewa się dziecka. Kiedy zostały same, Henny sp oytła: - I co teraz zamierzasz zrobfić?

Miała na myśli aborcję. Cho.óc to słowo nigdy by jej nie przeszło przez gardło. Annie po raz pierwszy w życiu wiedziała, co zamierza zrobić. P^onieważ zostanie matką, musi znaleźć pracę. Utrzymać siebie i ii dziecko. Nie: raz to, raz owo. Nie: śpiewać na pogrzebach. NWie: mieć do czynienia z żonatym nauczycielem. Nic z tego, o co było dotąd. Ona i dziecko. Najpierw zamierzała podać: o ojciec nieznanym. Miała to być zemsta. On jednak i tak przecie ssz tego nie odczuje. Uświadomiła sobie, że byłoby to niewłaś-ściwe w stosunku do dziecka. Wtedy wyobrażała sobie, że uiJrodzi chłopca. Chłopiec nie nioże dorastać, nie mając przyrrmajmniej nazwiska po ojcu.

Wszystko to było okropne i rozmyślała nad tym w czasie me kończących się spacerów rpo Djurgardsbrunn. Była to deszczowa jesień. Annie czuła s.asię rozbita, wysmagana wodą ' wiatrem. Takie medytacje do niczego nie prowadziły. Pragnęła zadać mu ból, ale nie wywiedziała jak. Nie było innego sPosobu poza napisaniem do MMy. Nie chciała jednak być P a- A skoro tak, nie mogła t mu nic zrobić.

Stopniowo wrywała z siebie zarodki niechęci, z której wszystko to kielkowało: bała się, że mógłby zakwestionować swoje ojcostwo. Czuła strach niczym przed recenzją. Jak gdyby ktoś miał napisać, że ma niewielki, cienki, piskliwy głosik i afektowany sposób śpiewania.

Nie spała z nikim innym, z jednym wyjątkiem, na samym początku, gdy pewnego dnia dała się ponieść namiętności a nie wiedziała jeszcze, czy będzie jakiś ciąg dalszy romansu ze Sverkerem. A co on o tym sądził?

Dosłownie sparaliżowało go, nic nie sądził. Po czym spytał jak Henny:

- I co teraz zamierzasz zrobić?

Wyjaśniła, że zamierza znaleźć sobie pracę jako nauczycielka. Wtedy kawałek migdałowego ciastka wpadł mu do filiżanki z kawą. Rozmiękł zupełnie, więc musiał potem trzymać go nad filiżanką. Siedzieli w „Tósses", było bardzo ciepło. Żadne z nich nie zdjęło wierzchniego okrycia i trochę się spocił. Pomyślała: a jeśli zapyta, czy mógłby przyjść z prezentami gwiazdkowymi? Albo na imieniny dziecka? Co mam na to odpowiedzieć?

- Zastanowiłaś się dobrze? - rzekł tylko. - To poważna decyzja. Można do tego podejść inaczej. Że się tak wyrażę.

Jemu też to słowo nie chciało przejść przez gardło. Potem się rozstali. Wiedział, jak Mia ma na imię, i znał datę jej urodzin, ale nie wiedział, gdzie jest. Nie przeczuwał, że jego alimenty właśnie okazały się decydujące dla przetrwania komuny na Gwiezdnej Górze, ponieważ pastor Wigert zawiesił wypłaty.

Nigdy nie mogła myśleć o Sverkerze spokojnie czy obojętnie. Mimo że minęło siedem lat od czasu, gdy na niebieskie) kanapce uciszył jej dramatyczny wybuch.

- A gdzie to efeb?

Henny dalej rozmawiała z Petrussem. Annie była jednak pewna, że dobrze usłyszała pytanie zadane scenicznym szeptem.

Bywało już tak wcześniej. Życzliwość Henny falowała pod kontrolą. Niczego nie kwestionowała, dopóki wrzały uczucia. Potem następował błyskawiczny atak. Czyste, chirurgiczne cięcie.

Efeb? To było coś z operetki. Młodzik z rzadkim puszką na policzkach. Ogarnęło ją zmęczenie, silniejsze niż kiedykolwiek. Mimo to jeszcze nie mogła się stąd ulotnić.

Nie skrywana, zimna pogarda. Czy dlatego, że Henny wiedziała, przypuszczała, zwierzyła - co? Coś więcej niż sprzeczkę? Smutek i zmęczenie?

Strach? Nie, tego nie mogła się domyślać.

Henny napisała, uprzedzając bez ogródek, że zamierza przyjechać, i Annie odpisała równie stanowczo, że to się nie da zrobić. Nie można będzie ich obojga zabrać z Czarnej Wody, ponieważ samochód ma Dan, a właśnie wyjechał w sprawach komuny. Ale Henny nikt by nie powstrzymał - Annie powinna była o tym wiedzieć. W chwili gdy się pojawiła przy strumieniu, wszystko stało się jasne. Tego rodzaju jasność kiedyś przecież nieuchronnie następuje, wcześniej czy później. Znacznie gorszą uzyskała Annie w momencie, gdy ten przysadzisty lekarz odwrócił się i zawołał: „Co ty masz za spodnie?” Zdarła je z siebie, gdy tylko przyszła do domu. Było to coś tak wstrętne!

Ale jednocześnie przynoszące jasność. Choć nie rozstrzygało o niczym. To jej się przytrafiało w życiu raz po raz. Bezruch.

Jak gdyby to nie dotyczyło ciebie, powiedziała Henny wtedy, gdy Annie wałęsała się po konserwatorium. I później na Malarvag. Przez pewien czas wszystko wydawało się

347

w porządku. Czują się dobrze i ten stan przytłumienia powoli przeszedł w bezruch. Choć nie zorientowała się w tym, póki nie pojawił się Dan i nie zaczął pytać o jej życie.

Zamierzała spalić te dzinsy. Nie mogła tylko wymyślić gdzie to zrobi. Nikt nie może tego widzieć. Grube bawełniane włókna z pewnością wcale się tak łatwo nie palą. Uświadomiła sobie, że właśnie dlatego te spodnie jeszcze istnieją. Nogawki były przecież mokre prawie do samej góry, wtedy gdy wisiały obok namiotu, na gałęzi świerka.

Przez cały czas musiała wiedzieć, że to są te spodnie. Przesiane z tyłu. Marka. Jak gdyby była dwiema osobami. Jedną, która wiedziała. I drugą, która beztrudnie wciągnęła na siebie dzinsy, gdy miała już dość chodzenia w spódnicy. Obcięła o wiele za długie nogawki. Za długie także dla Dana. To przynajmniej powinno być ją zastanowić.

Ale jej nie zastanowiło. Dopiero gdy ten prostoduszny lekarz zawołał: „Co ty masz za spodnie?” - wtedy uświadomiła sobie wszystko. Odtąd już wiedziała.

Chciała zedrzeć je z siebie natychmiast. Myślała, że zwymiotuje na ścieżce. Ale tylko biegła, a w głowie tętniło: Kłamał! Kłamał! Kłamał!

Podejrzewała, że nie istnieje żaden punkt widokowy, skąd można zobaczyć miejsce, gdzie stał namiot. I tak było. Musiał być aż na dole, przy samym namiocie. A może wszyscy tam byli? Nadal kłamał, chociaż przyrzekł, że powie całą prawdę. Nigdy nie nocował w Nirsbuan.

W nocy przyśniło jej się, że wrócił i śpi z nią. Pachniał silnie; z jego świeżo umytego ciała unosił się zapach ziemnej gwiazdy, jesienny i brązowy, i ona go poznawała. We

śnie wymieniali się sokami, które płynęły jeszcze, gdy się zbudziła; szlochała i była mokra.

348

Henny usiłowała się czegoś doszukać, wymacać na oślep.

ś podejrzewała, może nie to najgorsze. Przypuszczała, że Annie zaczyna już być zmęczona, że dojrzała do tego, by ją lelcko zaatakować.

Efeb.

Nienawdziła robić z siebie idiotki i Henny o tym wiedziała. Bo również pod tym względem Annie była podobna do swojego ojca, a Henny świetnie знаła ich oboje. Stanowili lekcję jej życia i Henny musiała gruntownie się tej lekcji nauczyć.

Chciała, oczywiście, dobrze. Annie spróbowała wyobrazić sobie Mię jako dorosłą.

Mię nieprzytomnie, może śmiertelnie zakochaną.

Mię wystawioną do wiatru.

1

1

349

Nastał wieczór i wtedy się ulotniła. Owce pasły się przy strumieniu, poszła do nich.

Słyszała szelest, gdy skubały trawę. Po chwili zebrały się dookoła kamienia, na którym usiadła. Najpierw przewodnik stada zaczął przeżuwać, dmuchając przez chrapy. Westchnienie. Powietrze było chłodne i owady nie odważały się już pokazać.

Owca miała skurczone wymiona, wygoiły się też guzy po ukąszeniach owadów. Ale znów była kotna. Długi, lekko zakrzywiony nos wetknęła w rękę Annie, która czuła twarde kości szczęk i miękkie tkanki między nimi. Ścisnęła owcę mocno.

Zmęczenie było widoczne w każdej trawce, w każdym liściu, rośliny zbladły i pochyliły się. Rozpoczął się odwrót do wewnątrz, ku korzeniom, ku matczynemu łożysku. Nie miało to nic wspólnego z wiedzą. Mogły się uchylać od całego światła. To się zdarzało. Pulsowały jak woda w zalewanym mchu, tuż przy kamieniu. Uderzenia tego pulsu delikatnie poruszały koniuszki pędów widłaka.

Dać się tak nieść! Poruszać się lekko wraz z pulsującą wodą, a mimo to pozostać w całkowitym spokoju. Jak wodne rośliny w potoku, jak rogatek i lobelia.

Nagle ogarnęła ją wielka ochota, aby wypróbować głos. Sprawdzić, czy przepona nadal działa. Czy jej głos ma jeszcze jakąś siłę, czy wydobędzie odpowiednie tony?

Odeszła kawałek na bok. Owce nie przeszły przez potok jak ona. Uniósłszy

350

łby, gapiły się na nią. Gdy tylko kulki pokarmu wróciły im do pyska, szczęki znów zaczęły mleć. Nadało to zwierzętom roztargniony wygląd.

Wspięła się trochę wyżej na łupkowe wzgórze i najpierw spróbowała na siedząco.

Nie wydała żadnego tonu wartego wzmianki. Wtedy wykonała kilka ćwiczeń i poczuła, jak głos zaczął nabrzmiewać. Zaśpiewała. Było to silne przeżycie, a głos taki sam jak dawniej. Nie zmniejszyły się ani jego dźwięczność, ani uczucie. Śpiewała:

Wodę pijam, ziemię zjadam, . , -...,*;

Dlatego urodę posiadam!

Powtarzała te słowa raz po raz i wypełniły ją tony i emocje tak silne, jakich nigdy przedtem nie doświadczyła.

Wodę pijam, ziemię zjadam, Dlatego urodę posiadam...

Wiedziała jednak, że gdyby tam w dole byli ludzie zamiast owiec, odczuwałaby tylko przygnębienie i strach, a jej ubranie śmierdziałoby kwaśnym potem. Otrzymała dar. A właściwie tylko jego połowę.

Zwierzęta podniosły głowy, gdy mijala je w drodze powrotnej. Na pastwisku panował spokój. Żaden dym z kominów nie wzbijał się ku niebu. Wrześniowy zmierzch.

Wchodząc, otworzyła drzwi bardzo cicho. Miała nadzieję, że wszyscy śpią.

351

Musiał zabrać Galma z ogrodzenia dla renów i na niego nakrzyczeć. Z drugiej strony ucieszył się, że może na chwilę odejść. Miał być jednym z parobków Tuomy Bal-tesa i wyszukiwać zwierzęta z jego znakami, niewiele jednak mógł rozróżnić w tym kłębowisku ciał, racic, rogów. Reny deptały, chrząkały, mlaskały. Największe poroża chwiały się ponad stadem. Cała ta masa była plamistoszara, ale tu i tam przebłyskiwały białe zwierzęta. Drgały w polu jego widzenia dopóty, dopóki zdołał śledzić ich ciała w wirującym, chrzęszczącym, chrząkającym kręgu. Plaskanie racic przypominało tykanie wielkiego zegara.

Galm zupełnie oszalał. Nigdy przedtem nie pasał stada jak lapońskie psy, tylko polował. Gdy Johan szarpał się z Gal-mem, ktoś ruszył w jego kierunku.

— Dov biene dan nihkoe!

Nie zrozumiał, choć sądził, że już trochę powinien. Spojrzał w górę i zobaczył Oulę Larasa. Mało brakowało, a byłby go nie poznał, bo wydał mu się o wiele niższy, niż go pamiętał. Spod czapki widać było trochę włosów. Zobaczył, że teraz są w białe pręgi, jak borsucza sierść.

- Ależ masz dzikusa! To syberyjski?

W pośpiechu Johan przytaknął i potem strasznie tego żałował. Po raz pierwszy w życiu odzywając się do u

352

Larasa, powiedział niecałą prawdę. Tylko częściową. Ale teraz było za późno, bo Laras schwycił Galma za kark.

- Z takiego gatunku mógłbyś mieć zaprzęg. I brać udział w zawodach - powiedział.

- Tak, myślałem o tym - odrzekł Johan, choć to też nie do końca było prawdą. Ale stało się w tym samym momencie.

- Coś ty za jeden?

Już miał odpowiedzieć, że jest kuzynem Perguttena, ale wtedy właśnie on sam podszedł, a Johan przypomniał sobie, co uzgodnili na temat szkoły. Pergutten nie chciał już dłużej nazywać się tylko Pergutten, co znaczyło „syn Pera”. Dlatego Johan odparł:

- Jestem jego kuzynem, Larsa Dorja.

- To najmłodszy Torstena Brandberga - powiedział Pergutten.

- I Gudrun - dodał Johan.

Nie widział, jak zareagował na to Oula Laras, bo nie miał odwagi spojrzeć w górę. Poczuł na twarzy gorąco i wiedział, że oblał się rumieńcem. Ale Laras powiedział do Perguttena coś, czego Johan nie zrozumiał. Choć usłyszał, że zwraca się do niego „Pergutt”. Potem Laras przesunął językiem pod wargą, pochwycił nim prymkę i wypluł ją. Palcem wskazującym przetarł przednie zęby, uśmiechnął się szeroko i zawołał:

- Teraz musimy chwilę cholernie popracować, chłopaki! Galm szczekał, bo po tonie głosu poznał, że coś się będzie

działo, i szczekał jeszcze długo potem, kiedy już Laras zawrócił i zniknął za kotłującym się potokiem zwierząt, które wewnątrz ogrodzenia gnały w kółko, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

~ Co on ci powiedział? Powiedział: no, no, to ty chcesz iść do szkoły.

*Pergutten także wszedł znów do zagrody i Johan widział & czasami blisko Larasa, czasami daleko od niego. Jego

353

lasso zawirowało w powietrzu i po chwili Pergutten puścił byka, więc musiał mu pomóc ojciec. Zwierzę przewracało oczyma, ukazując białka, i podrzucało rogami. Gdy podeszli do miejsca uboju, zaparło się kopytami i próbowało uciec od zapachu

krwi i odgłosów piły. Diesel warczał równomiernie z węża od pompy przy strumieniu chlustała woda. Nad stertą głów i poroży krążyły kruki. Nie było ich jednak słycać. Oula Laras krzyknął, bo omal nie upadł, pociągnięty przez byka. Gdy biegł, dyndał jego nóż wiszący przy pasku, długi i zakrzywiony. Musiał to być ten sam nóż. Johan spróbował znów sobie wszystko przypomnieć. Tym razem także przemknęło to za szybko.

Wtedy był kwiecień i panowała zima, jasne światło i cisza niby szklany klosz ponad górami. Teraz wszystkie psy ujadły, generator warczał i gwizdała piła do kości. Mignął mu daszek czapki. Była pomarańczowa z białym napisem z przodu i dobrze widoczna.

- Na Boga! - krzyknął stojący trochę dalej Oula Laras. - Mógłbyś się uspokoić, hultaju?!

354

Idziemy przez ciemny las, cienkie struny światła między gałęziami drzew. Czuć silną woń porostów, pachną jak zwierzęca skóra. Niewiele liści jest wewnątrz tej ciemności, prawie nie przepuszczającej światła. Brzozy są obrośnięte czarnymi porostami.

Z tego kwasu i odoru butwienia nieoczekiwanie wydobywa się aromat migdałów. Silny i słodki. Chcesz, żebyśmy za nim poszli?

Nie wiem, kim jesteś. Czasami mignie mi nie ogolony policzek, para okrągłych okularów, takich, z jakich śmialiśmy się kiedyś. Długie palto z szorstkiej wełny. Nie będziemy się przedstawiać. To dla nas niedobre. Idziesz ze mną.

Jest tu wilk. Wilczyca. Włóczy się na skraju naszego pola widzenia.

Co zrobimy z wilczycą? Masz skuter? Gdyby to była zima, a ty miałbyś skuter, mógłbyś zagonić ją na śmierć. Teraz jest lato. Nad porośniętą mchem ziemią z widocznymi na niej plamami słońca unosi się intensywna woń migdałów. W powietrzu panuje zupełny spokój, ale gdy zostaje poruszone, lekki powiew niesie ze sobą zapach drapieżnych zwierząt. Cóż można zrobić z wilkiem, jeśli nie zabić go? Teraz musimy iść. Musimy wyjść z lasu i jesteśmy już daleko od tego drugiego zapachu, dobrze znanej woni, tak silnej, że prawie czuje się gorycz. Nie mogliśmy wiedzieć, skąd pochodzi.

355

Szuranie. Dzień zawsze zaczynał się szuraniem albo zgrzytem drzwiczek od pieca. Petrus wkładał drewniane szczapy. Jego kaptcie z owczej skóry znów zaszurały po podłodze. Podszedł do okna, żeby spojrzeć na termometr. Jeśli skrobał to znaczyło, że szyba zarosła dżunglą z krystalicznego lodu. Paznokciem palca wskazującego wyskrobywał judasz wśród białych paproci i astrów.

Wtedy przypomniła sobie las ze snu. Było to bolesne.

Łóżko stanowiło gniazdo ciepła pochodzącego od ciała mimo to czubek nosa Mii był zimny. Leżała plecami i pupą odwrócona do brzucha i piersi Annie, skulona jak tamto dziecko wewnątrz. Płód, zwykle się poprawiała. Zdarzało się także, że odpukiwała w drewno.

Teraz Petrus sikał. Ciurkało do nocnika. Ten dźwięk ją rozszłościł. Już w listopadzie zostały zmuszone wprowadzić się do starej chaty. Wokół łóżka, na którym spała z Mią, Annie zawiesiła koce jako zasłonę. Myła się i ubierała zawsze za kocami. Gdy nocami używała nocnika, starała się siusiać powściągliwie. Petrus lał. Czasami prykał. Chciała, żeby poczekał z tym, aż się ubierze i będzie mógł wyjść. Z pewnością nie sypiał dużo. Całymi nocami utrzymywał ogień w piecu.

Próbowała pamiętać, że jest miły. I smutny, choć nic o tym nie mówi. Przez zimę Brita z dzieckiem mieszkała w Róback. Teraz prawie od dwóch tygodni nie mógł zejść. Najpierw hulała wichura, potem zrobiło się za zimno. Nie dostali żadnej poczty. W skrytce pocztowej mógł leżeć list od Dana.

Zimno to bezruch. Jej własny minął. Trwał od czasu, gdy doktor zawołał za nią w lesie. Zniszczone dżinsy dawno już spaliła. O niczym więcej jednak nie była w stanie zdecydować. Zastanawiała się nad usunięciem ciąży. Ale usuwać ciążę w Óstersundzie?

Przecież to także dziecko Dana. Choć jeszcze tylko płód-Kiełek wyrastający z niej samej. Mały nowotwór, chyba ma

356

prawo się go pozbyć. Dan w ogóle nie musi o niczym wiedzieć. Dlatego nic o tym nie napisała. Zamierzała poczekać, aż wróci. Teraz nie miała już nawet adresu.

Kiedy stanie się dzieckiem? I kiedy stanie się jego?

Petrus pozbył się koźląt. Ludzie pozbywali się psów, które stawały się wściekłe lub źle polowały. Samo słowo „pozbyć się” już było odrażające.

Bywały ranki, gdy budziła się radosna, nie wiedząc dlaczego. Coś jej się śniło. Ale co? Że spali razem, oczywiście. Było jednak coś jeszcze.

Że wyjaśnił. W ciągu dnia nie umiała się z tego nawet zaśmiać. W nocy jednak, gdy spała, wszystko ożywało. Wszystkie kłamstwa znajdowały wytłumaczenie. I pragnął tego dziecka. I chciał z nimi mieszkać. To, co czuła, gdy wymieniali wzajemnie swoje łagodne strumienie, było prawdą.

W listach nie wspominał o powrocie. Pisał tylko o tym, że znów był w Alved. Po raz drugi spał w namiocie. Cały miesiąc robił odbitki kserograficzne w piwnicy na Hógbergs-gatan. Myślał, że uda mu się znaleźć jedną parę na miejsce Berta i Enel. Pisał, że stara się o to.

O dziecku ciągle nic nie wiedział. Bo teraz było to już dziecko. Mia przykładała ucho do brzucha Annie i słuchała. Annie czuła je wewnątrz siebie. Było jak ptaki w drewnianej ścianie. Uderzenia serca i drobne ruchy.

Annie sądziła, że Dan wziął samochód. Były teraz uzależnione od Yvonne i jej starego mikrobusu. Uznała takie postępowanie za bezwzględne, ale przyjęła, że nie zamierzał wyjeżdżać na tak długo. Czasami Henry Strómgren podwoził je na dół do sklepu i na pocztę w Czarnej Wodzie. Pewnego dnia spytał, czy to przypadkiem nie samochód Annie stoi poniżej gospodarstwa Aagot.

- Różowy volkswagen?

357

Poprosiła go, aby następnym razem, kiedy zjedzie na dół sprawdził numery rejestracyjne. Gdy znów go spotkała powiedział, że się zgadzają. Był to jej samochód. Cały czas tam stał.

Tej nocy nie spała. Około pierwszej usłyszała kroki. Leżała, czekając na zgrzyt drzwiczek od pieca. Zwykle Petrus, włożywszy kilka szczap do pieca, z powrotem człapał do łóżka. Ale szurgot ustał. Ktoś skradał się na palcach. Pomyślała wtedy, że to Ónis wstała na siusiu. Rozległy się szepty. Potem zatrzeszczało łóżko. Już prawie zasypiała, gdy doszedł ją stłumiony dźwięk. Jak gdyby ktoś jęknął.

Kilka nocy później znów usłyszała, że ktoś skrada się na palcach. Potem zaskrzypiały sprężyny łóżka, a po chwili nie miała wątpliwości, co to było.

Uważała, że zdradzali wszystko. Britę. Komunę. Pamiętała szyderczy śmiech Oli Lennartssona. Jego plugawe aluzje. Spełniali oczekiwania wsi. Wzbudzali nieprzychylnie uczucia.

Choć to było nielogiczne. Przecież wieś nic nie wiedziała. Wiedziała o tym tylko Annie. Czuła się jak widz. Czy też słuchacz. Być widzem przed ekranem telewizora czy w kinie wydawało się normalne. Ale w rzeczywistości? Cichy jęk. Urywane sapanie. Rytmiczne trzeszczenie łóżka.

Robili to prawie co noc. Około pierwszej. I to nie z inicjatywy Petrusa. Mariannę sama przychodziła do jego łóżka. Czasami Annie zdawało się, że to rozumie. Po prostu odrobina ciepła i czyjejs bliskości w tym zimnie. Ani razu jednak nie zatęskniła za Danem, gdy tamci się poruszali. Czuła tylko odrazę, uważała, że przeszkadzają jej o nim śnić

Śniła często. Zbudzona, czuła lęk i gorycz.

Powróciła dawna antypatia do Petrusa. Jakiś czas napraw~dę go lubiła. Był cudakiem. Najwięcej myślał o serze, mówi jak z Biblii i wszystko robił bardzo powoli. Ale robił to

358

dobrze. Teraz przypominała sobie wiele momentów, które temu przeczyły. Gdy Brita urodziła dziecko i przyjechali dziennikarze, przyjął ich Petrus. To on opowiadał, jak to jest urodzić dziecko na Gwiezdnej Górze. Wtedy nie chciała czytać tych artykułów. Teraz odszukała je, gdy raz wyszedł na dwór. Znalazła całą stertę wycinków prasowych. Zbierał artykuły o morderstwie.

W wywiadzie na temat narodzin dziecka powiedział, że łożysko zakopał pod kuchennym oknem. Będzie z niego dobry nawóz.

Chciał wszystko robić tak samo, jak robiono niegdyś. Za dawnych czasów, tak zawsze mawiał. Ale nie rozumiał, że łożysko ofiarowywano ziemi po to, aby stała się płodna, jak kobieta. Petrus myślał, że tu chodziło o nawóz. To było nie tylko głupie, także wstrętne.

Miała ochotę stąd odejść. Mglista, lecz powracająca chęć. Potem jednak chwycił mróz i zrobiło się za zimno, żeby zjechać na nartach. Raz mimo wszystko spróbowała. Było wtedy dwadzieścia siedem stopni mrozu - pierwszy raz od dwóch tygodni powyżej trzydziestu. Gdy jednak na pierwszym niewielkim zjeździe poczuła słaby wiatr, miała wrażenie, że nawet łyż zamarzają. Myślała, że oczy popękają jej jak szkło, i zawróciła. .:|:|:| .-.- :

Wysunęła rękę i przyciągnęła do siebie bluzę od islandzkiego dresu, kalesony i grube wełniane skarpety. Ubierała się pod futrzaną kołdrą, nie budząc Mii. Potem otuliła ją tak, że wystawał tylko jasnorudy kosmyk.

Przy piecu było gorąco. Żeby nie ciągnęło od okien, poutykali je kocami i owczymi skórąmi. Spojrzała na dziur-k?, którą Petrus wydrapał w lodowym pancerzu na szybie. Osiemnaście.

y

359

Minęło. Zimno wyparowało, wody się ruszyły. Przynajmniej na szybie okiennej. Gdy chuchnęła porządniej, oddec stopił lód.

Minęło.

Nie jestem nieruchomym miejscem, do którego możesz wrócić. Nie jestem oznakowana i nie mam wytyczonych granic. Ja się staję. Ruchliwość.

Gdy Ónis podała jej kubek z bawarką, powiedziała:

- Dziś jadę na dół.

Śnieg był suchy. Krystaliczny proszek, wirujący dookoła czubków nart. Po mroźnej nocy na pastwisku nie było żadnych śladów. Lis leżał spokojnie, cieciorci jeszcze zagrzebane w tym proszku.

Po południu, gdy światło trochę słabło, orszak sikorek wciskał się pod okap, w otwory po kołkach w ścianie chaty. Słyszeli, jak szeleszczą. Dwudziestogramowe ciała ciasno przyciśnięte do siebie na noc, serca tykające jak jedno. Teraz Ignęły do kawałków tłuszczu na słońcu.

Niedźwiedzia Góra skrzyła się taką bielą, że trudno było na nią patrzeć, bo blask raził w oczy. Rozżarzona kula słońca miała towarzyszyć Annie i oślepić ją dwie i pół godziny. Niebo było wysoko, lśniące błękitne, ale w zenicie wydawało się czarne. Wszystkie góry były białe, ich zacienione strony jaskrawogranatowe. Na szczytach błyszczał lód.

W dole przy strumieniu widniał ślad pozostawiony przez ptaka. Pardwa wyhaftowała go delikatnie łapkami, chwyciła dziobem brzozy pąk, coś uroniła - to było maleńkie suche łajno.

Teraz Annie znała ten kawałek ziemi lepiej niż jakąkolwiek podłogę. Wiedziała, jak wygląda mech, przebijający się przez porosty, i lśniący chrust. Pamiętała kwaśne i wilgot

360

nawe zapachy. Gdy ziemia wyłoni się spod śniegu, jej własne życie zacznie pachnieć jak pleć, jak mokre włosy.

Utorowała sobie drogę wysoko ponad powierzchnią ziemi. W półtorametrowym śniegu brzozy zrobiły się niższe. Głęboko w dole znajduje się resztkę ciepła. Panuje tam sen zimowy i uszczuplenie zasobów. Precyzyjna ekonomia niedostatku.

Annie wjechała w las. Tutaj świeży śnieg nie dotarł. Narty szorowały skorupę pod świerkami. Bóg jeden wie, jak to słycać na dole u norników. Jechała w kierunku dźwięku, który dochodził aż na Gwiazdną Górę. Czasami był odległy. To zależało od wiatru. W ciche dni słyszeli go przez cały czas. Huczało tak dzień za dniem. Przestali o tym rozmawiać.

Bała się zimna. Dziecko ciążyło i ciężar w brzuchu rósł. Z każdym mijającym tygodniem coraz bardziej się bała.

Gdy nas najdzie gorzka śmierć.

Śpiewała to kiedyś w kościele. Choć wtedy nie rozumiała, co znaczy „najść”.

Wyjść naprzeciw. W rzeczywistość.

Zimno to bezruch. Według prognozy pogody, wyż się nie przesunął. Śmierć nas nachodzi. Petrus uważał, że ona rozmyśla o śmierci. To głupie tyle o tym gadać.

Teraz było ich pięcioro na Gwiazdnej Górze. I trzy koty, ' jeden gończy pies.

Dziewiętnaście kóz. Cap. Osiem kur. I myszy. Nie tylko myszy domowe, które nocami chroboły Po podłodze. W drewniane skrzynie z ziarnem i paszą wgrzyły się wielkie szczury.

Lotta odeszła we wrześniu. Przysłała wiele pocztówek, na Wszystkich były koty.

Zapewniała, że znów przyjedzie wiosną- Nagle kartki przestały przychodzić.

361

Może nie żyje? Jeden zastrzyk w ubikacji. Wariatka. Co za myśli. Gdy nas najdzie gorzka śmierć. To chorobliwe, powiedziałyby Petrus.

Zimno to śmierć. Głęboko skryte oznaki życia. Woskowa powłoka. Bez soku. Bez pulsu. Ale we mnie pulsuje krew. Wody w worku płodowym przemieszczają się wraz z ruchem kijków i nart.

Teraz usłyszała wodę. Górska rzeka. Lobberan. Ten sam dźwięk rozlegał się, zanim woda otrzymała nazwę. Zjechała aż do rzeki, ale nie słyszała już tego pomruku, w którego kierunku jechała. Szum wody stał się głośniejszy. Prąd był tu wartki.

Kamienie miały czapy śniegu, nitki i frędzle z lodu. Fale chwytały odbłaski słońca i

układały z nich ruchomą sieć na dnie. Wyglądało to, jakby te duże czarne kamienie w dole poruszały się, ślizgając bezdźwięcznie pod złocistą siecią.

Bała się spokojnej części rzeki w pobliżu Klóppen i pojechała za daleko na północ. Teraz znajdowała się niemal na samej górze przy bystrzach. Gdy skierowała się w dół, zobaczyła, że drewniany most zastąpiła konstrukcja z żelaza.

Jechała jakiś kilometr po nierównym terenie z powrotem wzdłuż rzeki, zanim znów usłyszała hałas. Stawał się coraz głośniejszy. Na pastwisku przez te krótkie dni i długo po zmroku całymi godzinami słyszeli ten pomruk. Petrus, który przeszedł rzekę w bród, widział go. Powiedział, że to procesor i że koncern chce wyciąć las aż do Gwiazdnej Góry.

Gdy raptownie zrobiło się jaśniej, zatrzymała się zaskoczona. Zobaczyła maszynę. Była żółta, wielka jak autobus. Powalony świerk zsuwał się na pas transmisyjny. Gałęzie rozlatywały się naokoło. Maszyna ugryzła pień, chwyciła go i odwróciła, wyjąc przy każdym ruchu. Annie musiała zjechać na bok. Tego dźwięku nie można było długo wytrzymać.

362

Nie wiedziała dokładnie, gdzie jest. Ta przestrzeń, którą zajmował las, aż do rzeki, nie istniała. Dookoła widziała w śniegu jakieś dziwne, faliste nierówności i doły. Sięgała wzrokiem daleko na moczary po drugiej stronie. Widok był o wiele bardziej zaskakujący, niż się spodziewała.

Wysoko w górze, w kabinie operatora, zobaczyła mężczyznę. Miał kask i wielkie ochraniacze na uszach. Nie zauważył jej i nie miała odwagi podjechać bliżej. Bała się, żeby nie spadło na nią drzewo.

Podjechać do niego i porozmawiać wydawało się proste. Ale nie wiedziała, jak ma się zbliżyć do procesora. Gdy zobaczyła całą tę dewastację, przestraszyła się operatora, choć to było bezsensowne. Przecież to tylko człowiek w żółtym kasku.

Nie zdawała sobie sprawy, że to może pójść tak szybko. Wkrótce maszyna podpełźnie do Gwiazdnej Góry.

Gdy zmarzną im konopie, już tu długo nie wytrzymają, powiedział ktoś. I wzbudził śmiech. Z jednej strony ludzie cieszyli się, że koncern przeprowadził całkowity wyrąb pod Gwiazdną Górą. Wielu jednak uważało, że szkoda, iż zbocze góry aż do rzeki zostało tak zupełnie spustoszone. Czy w ogóle znów zarośnie po zalesieniu? To tak wysoko. Będzie je piekło mróz i słońce. I co się stanie z pastwiskiem, gdy zostanie pozbawione ochrony, jaką dawał las?

Dan napisał, że koncern zażądał pomocy policji, aby wykwaterować ich z Gwiazdnej Góry. Jeśli do tego dojdzie, on przyjedzie. Annie stanęły przed oczami psy. Owczarki. policjanci w kombinezonach, trzymający smycze, w kaburach pistolety. Mia, nieprzytomna ze strachu. Widziała już niemal, jak wymaszerowują, ciągnąc za sobą kozy i płaczące dzieci. Ale Petrus powiedział, że to tylko czysta pogróżka.

koncern nie chce, aby pisano o nim w gazetach.

363

Zaczęto natomiast wycinać. Poszło to szybko i nastąpiła tak gwałtowna zmiana, że Annie nie była w stanie tego pojąć choć widziała ją na własne oczy. Z niewielkiej odległości dźwięk był przerażający. Może łosie przystawały, tak jak teraz ona. I niedźwiedzie. Może te stworzenia stały długi czas między świerkami, nasłuchując. Nie tak wyobrażała sobie wyrąb. Myślała, że będzie mogła podjechać i z kimś porozmawiać. Że będzie tu więcej ludzi, nie tylko jeden mężczyzna. Teraz musiała czekać na tego operatora, utrzymując się w ruchu na brzegu lasu. Zaczynała jej drętwieć twarz.

A jeśli coś sobie odmrozi? Jeśli jedynym rezultatem tej jazdy będą odmrożenia? Może on nawet nie zechce z nią mówić. Nie pomyślała o tym, że przypuszczalnie poczuwa się do solidarności z koncernem. Nawet słowem nie wspomniała Petrusowi i Ónis o tym, co zamierza zrobić. Nie miała siły na dyskusje. Tu nie ma o czym dyskutować. Jest tylko ciężar w brzuchu, który z każdym dniem staje się większy. Robiła okrążenie za okrążeniem wokół wycinki, wjeżdżała na nierówną ziemię między świerkami, często przystając, żeby rozetrzeć sobie usta i policzki. W końcu zatrzymał maszynę. Cisza była jak zapaść. Dopiero po chwili zorientowała się, że znów słyszy rzekę. Operator zląził w dół. W grubej pikowanej kurtce wyglądał niezgrabnie, miał spodnie z kieszeniami na udach i wysokie buty z metalowymi okuciami na kapkach. Gdy zszedł, pochylił głowę i stał, patrząc na nią. Podjechała do niego, gdy jednak chciała się odezwać, okazało się, że strasznie zdrętwiały jej wargi i musi je najpierw rozetrzeć.

- Chciałabym o coś zapytać!

Nie odezwał się, tylko rozpiął pasek pod brodą i zdjął kask. Pod nim miał skórzany kaptur na podszewce. Był to niski mężczyzna o małych, blisko osadzonych oczach. Chyba

364

ciemnowłosy, przypuszczalnie dość silny, może gruby. Ale trudno było to stwierdzić. Skinął głową i zaczął iść w kierunku mostu. Nie zrozumiała, co miał znaczyć ten gest. Żeby z nim poszła? Zrobiła kilka niepewnych ruchów kijkami. Odwrócił się i popatrzył na nią. Chyba chciał, żeby z nim poszła.

Przejechała przez most, który wyglądał jak obiekt wojskowy. Stary most leżał przewrócony z boku drogi. Stał tam samochód i niebieski barakowóz z emblematem koncernu.

- Możesz wejść do baraku - powiedział. — Pewnie ci zmarzła twarz.

Weszła za nim, ostrożnie rozcierając policzki. W środku było ciepło. Stała tam maszynka gazowa, prycza do spania, dwa krzesła, stół z płyty pilśniowej, a na nim gazeta i filiżanka do kawy. Wyjął aluminiowe pudełko z jedzeniem i zapalił gaz. Annie siadła na jednym z krzeseł i rozpięła suwak kurtki.

Gdy ściągnął skórzany kaptur, poznała go. Nie wiedziała, jak się nazywa, ale to jeden z tych, co przyjechali do „Fiskebua” w wieczór świętojański. To on złamał maszt flagowy Oli Lennartssonowi. Brązowe włosy miał poskręcane i mokre od potu.

Przygotowywał kawę, prawie nie podnosząc wzroku.

- Jestem z Gwiazdnej Góry - odezwała się, zaraz jednak zrozumiała, że to niepotrzebna informacja. Miała na sobie jasnoniebieską pikowaną kurtkę, którą zostawiła jej Henny, i myślała, że wygląda na turystkę. Tyle że na początku stycznia nie ma tu żadnych turystów. A przy moście nie było żadnego innego samochodu, jedynie jego.

~ Chciałam cię zapytać, czy mógłbyś zwieźć mnie i moją córkę do wsi - ciągnęła. - I nasze rzeczy.

Nie odezwał się. W milczeniu wsypał do rondla miarkę kawy.

Choć nie wiedziałam, że masz tylko samochód. Myślałam, że jest tu ciągnik. Hałas słysząc aż u nas na górze.

365

- Skuterem by się dało - odezwał się. - I sankami. Mogę je wziąć na górę. W sobotę. Kiedy mam wolne.

- Zapłacę za to, oczywiście.

- Nie trzeba - powiedział.

Nalał kawy i podał jej kanapkę, chleb z pasztetem, w który wciśnięto kiszony ogórek. Była ciekawa, kto przygotował mu torbę z jedzeniem. W metalowym pudełku miał klopsy i makaron z sosem.

- Zechciałbyś zadzwonić do Aagot Fagerli? - spytała.
- Poprosić, żeby mi wynajęła chatę przy drodze?
- To musi dziś wieczór włączyć elektryczne ogrzewanie
- powiedział.

O nic jej nie zapytał, ale uznała, że mimo to powinna wyjaśnić.

- Będę miała dziecko - powiedziała.

Tylko wprawiło go to w zażenowanie. Pochylił się nad pudełkiem z jedzeniem i zaczął pospiesznie jeść.

- Nie mam odwagi rodzić dziecka na górze. Gdyby się coś stało... Chciałam poczekać u Aagot Fagerli, póki nie nadejdzie czas, i wtedy pojechać do Ostersundu. Zaczynało zmierzchać. Nie miała wielkiej ochoty znów wychodzić na mróz, ale musiała się pospieszyć, zanim zrobi się zbyt zimno. Podziękowała mu za kawę, ale się nie odezwał.

- To widzimy się w sobotę?

A jeśli nie przyjedzie? - pomyślała. Jeśli będzie tam stała z Mią, ze spakowanymi wszystkimi rzeczami, a Petrus i Ofliś będą rozżaleni i wściekli?

- Więc to pewne, że przyjedziesz? - spytała jeszcze raz. Tak, pewne. A w sobotę rano, zanim wyruszy, pojedzie napalić w piecu w chacie.

A myśmy ich uważali za Wroga, pomyślała, odpychając się kijkami w drodze na Gwiazdną Górę, w gasnącym

366

świetle.

Takich jak on Dan nazywał lokajami koncernu. Przeszłam na stronę Wroga.

Parsknęła śmiechem. Nieczęsto śmiała się sama do siebie. Właściwie pewnie żaden człowiek tego nie robi. Odniosła wrażenie, jak gdyby pokrywa zimna i złego humoru uniosła się właśnie tego dnia, jednego z wielu zimowych dni. Był to jednak Ten Dzień. Uświadomiła to sobie: bezruch minął.

367

Jeszcze nie całkiem się rozbudził, jeszcze nie czuł żadnego niepokoju. Tylko pożądanie. Nadeszło w półdrzemce i prześlizgnęło się w sen. Próbował się w nią wsunąć. Ostrożnie. Utorować sobie drogę i wejść. Leżeli przed gorącym, trzaskającym piecem. Od podstawy jego nabrzmiałego członka promieniowało pożądanie, jak prąd z małej baterii. Ale wiedział, że musi być spokojny. Bardzo spokojny. Ta skoncentrowana, a jednocześnie powściągnięta napiętość go obudziła. Musiał śnić o pierwszym razie. Była wtedy wystraszona. Jak gdyby delikatne błony i napięte mięśnie zachowały pamięć. Co ona przeszła? Nigdy nie otrzymał żadnych odpowiedzi. A teraz upłynęło już tyle czasu.

Pragnął, żeby znów zadzwoniła, ale nie chciał usłyszeć dzwonka telefonu. Chciał jej głosu. Jej głosu blisko ucha. Warg właściwie. Tych ciepłych warg i oddechu.

Przed jej oknem słońce rozżarza teraz liście brzoź. U niego światło wciska się między poprzeczki żaluzji. Znów wślizgnął się w sen i wydawało mu się, że nie spał długo.

Gdy się jednak zbudził, było wpół do ósmej.

Zatelefonowała do niego wcześniej rano i prawie wyszeptała, że widziała chłopca, który dawno temu, w noc świętojańską, przebiegł obok niej ścieżką prowadzącą do Lobberan. I może do tamtego namiotu.

Birger w to nie wierzył. Ani przez sekundę. Czas musiał zmienić wygląd chłopca. No i był to cudzoziemiec. Dlaczego miałby pojawić się w Czarnej Wodzie po prawie dwóch dziesiątkach lat? Zobaczyła jakąś twarz. Która przypomniała jej twarz tamtego chłopaka. Może to nawet nie to. Ogarnął ją pewien nastrój. Jak pod wpływem sennego widzenia lub obrazów majaczących w półśnie. Deja vu?

Sny, urojenia. Chciał, żeby z nim tu była. Teraz.

Wtedy uderzyła go myśl, że dzwoniła do niego przed piątą. Kogo mogła zobaczyć o tej porze? Wychodziła? Rozmawiał z nią tuż przed zaśnięciem. Powiedzieli sobie dobranoc. Akurat minęła jedenasta. Był to dzień zakończenia szkoły i czuła się zmęczona. Miała zaraz iść spać.

Wyciągnął rękę po słuchawkę, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon. Przekonany, że to ona, zawołał:

- Annie!

- Przychodź szybko! Ona krwawi! Ona krwawi! Lawina słów. Lokalny dialekt przemieszany z gardłowym arabskim „sz”.

Chwilę trwało, zanim uchwycił sens. Najpierw myślał, że mężczyzna mówi o Annie.

Potem przypomniał sobie, że w piątek wieczorem pobili się w kwaterze dla uchodźców i sądził, że znów zaczęła się bójka. Ale to był tylko Ahmed z kiosku z kebabami. Nie miał nic wspólnego z kwaterą. Nigdy by tam nie poszedł. Zajmował się swoim interesem.

- Leila krwawi! Musisz przyjść.

- Zadzwonił do szpitala - powiedział Birger, starając się nadać głosowi stanowcze brzmienie. Mimo to tamten naturalnie nie ustępował. Birger musiał udać się do mieszkania nad kioskiem z kebabami i sam dopilnować wszystkiego. Żona Ahmeda była w czwartym miesiącu ciąży.

- To nie jest niebezpieczne - uspokajał go Birger. Nie był jednak tego taki pewien. Nowe potoki słów. Zmusili Ahtne-

372

da, żeby skończył z Daniem Dnia. Musiał zapłacić grzywnę. Leila przestraszyła się i poroniła.

- Nie dostaje się poronień od grzywny - powiedział Birger. - Ty natomiast możesz dostać paranoi. Zostań lepiej przy kebabach.

- Oni mówią o mnie jak o brudnej świni i Leila płacze całe dni, całe noce! Zamkną nam kuchnię.

- Nic takiego nie zrobią. Musisz tylko mieć zezwolenie. Musisz mieć prysznic dla personelu i jeszcze to i owo. Wentylator i przyrządy. Prawdopodobnie Leila nie poroni. Zrobią jej parę zastrzyków i poleży spokojnie jakiś czas. Wszystko będzie dobrze.

To była jego misja. Zawsze. Wierzył w nią?

Asfalt był już rozgrzany, gdy po wyjściu z kiosku z kebabami, który kiedyś był pasmanterią, wracał przez rynek w Byvan-gen do swego mieszkania. Wyprawienie Leili do szpitala trochę potrwało, a teraz musiał się ogolić i przebrać, ponieważ miał iść do Life Core na seminarium na temat opieki zdrowotnej. Gdyby nie podano już w programie, że zabierze głos, cisnąłby to w diabły i wsiał do samochodu. Droga do Czarnej Wody zabierała godzinę. Teraz musiał czekać do popołudnia.

Wziął prysznic i czekając, aż zagotuje się woda na kawę, podszedł do aparatu, żeby do niej zadzwonić. Ale przypomniał sobie, co powiedziała. Że nie może rozmawiać.

Ktoś u niej był. To dlatego nie dzwoniła. A może nie telefonowała od siebie? Ale dokąd mogła pójść? Albo pojechać? Wyczuwał w tym coś dziwnego. To wszystko nie trzymało się kupy i było zagadkowe. Przede wszystkim niepodobne do niej. Najpierw wysłuchał radnego, który był socjaldemokratą, mim^o to miał na sobie dżinsy marki Levis i białą koszulkę

373

Lacoste'a. Jak zwykle, przyrzekł sprzedać gminę. Ale nie miał na myśli na zawsze; nie zamierzał sprzedać jej Niemcom czy koncernowi celulozowemu SCA. Zamierzał sprzedać ją tak, jak się sprzedaje piękną dziewczynę.

Teraz mówił o zdrowiu i trybie życia. Nie mówił „EWG” czy „Europa” równie często jak przed rokiem i nie używał sformułowania „jakość życia”. Nadmienił, że tutejszy sposób jest korzystny dla zdrowia. Mówił o wodzie, śniegu i powietrzu. O lasach, górach i potokach. Nie wspominał o cukrzycy, dolegliwościach kręgosłupa czy zawałach i nie miał przy sobie żadnej statystyki samobójstw.

Potem nastąpił odczyt o śluzówkach w jamie ustnej. Rekapitulując: ludzie mają się tak, jak wyglądają ich jamy ustne. Birgera irytowało, że prelegent używa słowa „diagnostyka”, o której w ogóle nie było mowy. Po śluzówkach dostali kawę, herbatę i herbatę ziołową. Life Core nie było już równie skrajne jak wtedy, gdy nazywało się Domem Zdrowia Byvangen. Był to nowoczesny hotel z salą konferencyjną, który w kwietniu zbankrutował. Ale nadal działał. Birger zjadł ciastko serowe i wypił kawę. Następnie sam zabrał głos, wodząc wzrokiem po zmęczonych już twarzach audytorium i ubraniach w kolorach lodów. Wiele osób miało T-shirty Life Core z połówką czerwonego jabłka na piersi. Czuł w powietrzu oczekiwanie; teraz posłuchamy doktora, który zwykle jest taki zabawny.

Ale tym razem nie był zabawny. Gdy tylko wszedł na mównicę, wydawało mu się, że upadnie. Nic nie słyszał i przez moment sądził, że ogłuchł. Musieli jednak słyszeć go przez mikrofon, bo nikt nie narzekał. Twarze na wprost niego połyskiwały jak puste szyldy. Nie miał pojęcia, o czym mówił.

Najpierw powoli przypominał sobie te uczucia. Zmęczenie, mdłości. Bezwład i mechaniczne zachowanie. Mo*1

374

i mówił. Ani nie pamiętał, kiedy się tak czuł, ani skąd wiedział, co to było. A był to strach. Silny strach.

Musiał raz za razem popijać wodę mineralną. Zaschło mu w ustach i już myślał, że głos mu zanikł. Trzydzieści minut. Potem miała być dyskusja, którą odłożył.

Powiedział, że musi zadzwonić i dowiedzieć się o stan pacjenta. Mimo paniki był przebiegły. Stał z telefonem komórkowym w ręce w pustym pokoju seminaryjnym i czekał. Usłyszał dziesięć, piętnaście, dwadzieścia dzwonek. Spróbował znów. Nie odpowiadała.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego dopiero teraz uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Powinna odebrać telefon. Miała nigdzie nie wychodzić, bo czekała na niego. Przyrzekł przyjechać zaraz, jak tylko skończy się seminarium.

Wybiegł do samochodu. Do recepcjonistki zawołał, że musi jechać do chorego i że nie zdąży z powrotem.

Droga prowadząca wzdłuż rzeki. A gdyby nie pojechał tamtego zimowego wieczora? Stałoby się to innym razem? Nie sądził. Choć nie potrafiłby wytłumaczyć dlaczego.

To się nazywa zbieg okoliczności. Gdyby nie przypadek z tym brzuchem. Zapomniał, jak się nazywał tamten pacjent. W każdym razie mieszkał na Tangen i Birger podejrzewał zapalenie otrzewnej.

A gdyby wrócił karetką? Nigdy by się ze sobą nie związali?

Telefon zadzwonił podczas posiłku. Zaprosił wtedy kierownika szkoły z żoną i jeszcze jakichś dwoje ludzi. Nie pamiętał kogo. A było to zaledwie sześć lat temu. Jak w takim razie ona mogłaby po prawie dwudziestu latach poznać twarz, którą widziała tylko przez moment? W słabym świetle.

Choć pamiętał czekoladki, które tamci przynieśli, ktokolwiek to był. Przed oczami stanęło mu niebieskie pudełko ze

375

złotym brzegiem i podobizną królowej, leżące obok wazonu z różowymi goździkami na niskim stole przy sofie. Zawołano go do telefonu, właśnie gdy mieli siadać do stołu, więc po powrocie do pokoju powiedział:

- To brzuch.

Nie miał nawet czasu rozgrzać samochodu. Przygotował chińską potrawę. Zostali przy stole z zapalonymi świecami i goździkami, które kupił w ICA, goście bez gospodarza, podczas gdy wóz pochłaniał drogę, aż Birger zobaczył nagle światło, które rzucał pierwszy dom w Tuvallen. Oni tam jedli i rozmawiali, on tymczasem gnał dalej.

Domy, ludzie i wsie leżały przycupnięte w ciemności, umierały. Różowe nylonowe firanki przeciwko zmurszałym belkom chaty, górcom rupieci, wrakom samochodów. I ciemnościom. Jeden z Finów, który karczował odcinek drogi w Tingnas, powiedział, że to się nazywa Kaamos - te zimowe dni bez światła.

Kaamos nas ogarnia.

Brzuch. Nie wolno ryzykować. Trzeba jechać i pomagać.

Brzuch w Czarnej Wodzie - to godzina jazdy tam i godzina z powrotem. Jezioro nazywało się tak jak wioska, choć było chyba na odwrót, to ono było w zimowe wieczory czarne jak atrament. Pędził swoim volvo naprzód. Jezioro zachowa swoją nazwę, dopóki ostatnia chałupa się nie rozpadnie. A potem będzie istniało bez nazwy. Niezbyt miłe myśli, ale gdy tędy przejeżdżał w ciemności, czasem go nachodziły, czasem nie. Las był szaroczarny i nawet śnieg, który w blasku reflektorów wyglądał jak wirujące miotły, wydawał się ciemny. Światła przed wejściem w pojedynczych gospodarstwach świeciły białą, małą półkolem w śmiertelnej ciemności.

Czasami myślał o tym, jak bardzo czuje się przygnębiony w takie wieczory. Może powinien coś zażyć? Napisał do Barbro. Nic to jednak nie pomogło.

376

To przez poronienie. Nie, to przez wyrąb. Przejęła się tym. Są tacy ludzie. Do diabła! Często był zbyt zmęczony; jeździł przecież na okrągło, macał brzuchy, słuchał serc. Nic mu się nie chciało, gdy wracał do domu, w dodatku miał wysuniętą dolną szczękę i parę śmiesznych sandałów.

To przez Frances. Choć Barbro myślała, że był impotentem. No i dobrze. Z Moniką to już inna sprawa. Nawet nie można tego nazwać fiaskiem. Coś nierealnego, ot i wszystko, coś, czego prawie nie było. Mimo że pojechali do IKEA i nakupili rzeczy, które zajęły całą przyczepę. I w stolarni urządzili gabinet weterynaryjny dla małych zwierząt.

Za czasów Barbro miał zwyczaj opowiadać o rejonie, mówił, że pojedyncze domy są pełne ciepła i tajemniczego życia, że się nie poddają, a ludzie w tych domach, gdzie niebiesko połyskują ekrany telewizorów i stoją podświetlane rośliny doniczkowe, są dzielni i ucywilizowani. Ale to było dawno temu. Gdy Barbro zniknęła, ta potworna ciemność zaczęła go zżerać. Dobrze, że w samochodzie ma radio.

Po godzinie ujrzał pierwsze światło w Czarnej Wodzie. Zatrzymał się przed ICA i wypuścił Bonnie. Niektórzy ludzie irytowali się, że pozwala psu sikać przed sklepem.

Potem podjechał w górę do najbliższego domu, żeby zapytać o drogę, bo nie był do końca pewien, gdzie mieszkają ci, co dzwonili. Dawno przestał już szukać według wskazówek udzielanych mu przez telefon.

Tym razem miał wjechać na Tangen. Załedwie wysiadł z samochodu, rozszczękały się psy. Dosłownie całe Tangen szczekało. Jakaś kobieta wyszła na ganek i stanęła z rękami założonymi na piersiach. Zadymka zelżała. Gdy wszedł do środka, uderzył go zapach zwierząt. Psa, kota i nie mytych Judzi. Minął przeładowany półkami przedpokój i znalazł się w pokoju, gdzie w rogu leżał brzuch. Miał wrażenie, jakby

377
wszedł do grotty. Podniósł flanelową nocną koszulę w paski Brzuch był napięty, oczy uciekły w głąb, widział białka.

Birger wyszedł z Bonnie i, czekając na karetkę, łąził dookoła po świeżym śniegu. Niebo się rozchmurzyło. Zobaczył gwiazdy.

Wszedł ponownie i jeszcze raz pomacał brzuch, potem usiadł przy kuchennym stole i czytał miejscową gazetę. Cały czas powtarzał, że nie będzie pił kawy. Wiedział, że byłaby lurowata i kwaśna. Dostawał mdłości po gotowanej kawie. Mimo to w końcu uległ, pił kawę i jadł kromkę chleba z plasterkami nie gotowanej parówki. Dostał plastikowe pudełko moroszek, które, jak zrozumiał, miał zabrać ze sobą i w domu włożyć do zamrażarki.

Potem przyjechała karetka, ale przy zjeździe ugrzęzła w zaspie, więc pomagał odgarniać śnieg. Kiedy wreszcie ruszyła, był kompletnie mokry, zanim jednak uruchomił swój własny samochód, zdążył zeszywnieć z zimna.

Teraz będzie widział wszystko w odwrotnej kolejności. Róback, Offerberg, Lersjówik, Laxkroken, Tuvallen i w końcu Byvangen. Goście z pewnością jeszcze siedzieli przy niskim stole koło sofy. Miał nadzieję, że nalali sobie koniaku, tak jak im powiedział. Gdy przejeżdżał obok szkoły w Czarnej Wodzie, zobaczył, że świeci się w piwnicy, wiedział więc, że sauna jest czynna. Pomyślał, jak przyjemnie byłoby zmyć z siebie cały ten lodowaty pot i naprawdę się rozgrzać. Zrelaksować się na pryczy, pogawędzić z jakimś starszym mężczyzną i może zostać zaproszonym na piwo. Jego goście mogli się spodziewać wyłącznie tego, że wróci bardzo późno. Pójdą do domu. Prawdopodobnie pozmywają naczynia. Gdy wejdzie do pokoju, czekoladki, które przynieśli, będą leżały na stole obok sofy. Był zmęczony, tak piekielnie zmęczony.

378

Jśfa jednej ławce leżał stos ubrań, ale w środku, w umywalni, było pusto. Nie miał ani mydła, ani ręcznika, wziął więc trochę szamponu z butelki, która stała na podłodze, i umył się od stóp do głów. Gdy gorąco z małej sauny buchnęło w niego, przymknął oczy z rozkoszy, a później uświadomił sobie, że musiał chrząknąć. Usiadł wysoko, tak wysoko, jak mógł, choć piekło go w tyłek. A potem zobaczył, kto siedzi w środku. Różowy i nagi.

- Przepraszam! - wrzasnął. Chciał się rzucić do wyjścia, ale ona tylko się zaśmiała. Siedziała na ręczniku, a teraz uniosła jego róg i zakryła nim skromny rudy trójkącik włosów między pachwinami. Nauczycielka. Annie Raft. Akurat ona! Nie widział jej od pogrzebu Aagot Fagerli. Miała wtedy czarny płaszcz i nawet mały kapelusz. Było w niej coś ze staroświeckiego dostojęństwa, coś, co trudno było dopasować do tych wszystkich świństw, jakich się z czasem nasłuchał na jej temat.

Trzymał ręce skrzyżowane nad członkiem, który przynajmniej zachowywał się przyzwoicie i był zwiotczały i pomarszczony, jak powinien. On sam musiał wyglądać śmiesznie, ale jej śmiech nie brzmiał nieprzyjemnie. Przesunął się bokiem ku

drzwiom i wyjaśnił, iż myślał, że to dzień dla mężczyzn, a wtedy ona powiedziała, że może zostać.

- Zmienił terminy. Mężczyźni prawie nigdy się nie kąpią. Tylko ludzie z południa, w czasie polowań. Ale sądzę, że i tak nikt tu nie przyjdzie. O tak późnej porze zwykle jestem sama.

Widział, że na jej skórze wystąpiły czerwone plamy, a piersi zaczerwieniły się wokół brązoworóżowych brodawek, które rozbrzmiały w gorącu. Przez moment zastanawiał się, czy się ściągną, kiedy ona potem wyjdzie na mróz. Wyznał, że wziął trochę jej szamponu, a wtedy powiedziała: No, to teraz pachniemy tak samo.

379

Potem wstała i wyszła, a on pomyślał, że to cholerne szczęście, bo właśnie członek mu stwardniał. To nadeszło tak nagle, musiało zrobić się samo, gdy patrzył na nią z boku niczego jednak wtedy nie poczuł. Ale gdy powiedziała o tym zapachu, a jednocześnie odwróciła się do niego pupą, stało się. Przymknął oczy i wypuścił powietrze. W tym samym momencie wróciła. W rękę trzymała czerpak i wylała wodę na kamienie, leżące na grzejniku sauny. Buchnęła para i przez kilka chwil nie widzieli się wzajemnie. Potem jednak zauważyła to oczywiście. Próbował zasłonić się rękami i powtarzał:

- Przepraszam, przepraszam...

Zaśmiała się cicho, trochę irytująco. Znow wyszła. Bardzo prędko jednak wróciła.

- Szybko! - powiedziała, rzucając mu ręcznik. - Wynoś się!

Myślał, że dostanie zawału, gdy wytoczył się do umywalni, gdzie było dosyć zimno. Poszturchiwała go ku drzwiom toalety i dosłownie wepchnęła do niej. Za nim wrzuciła ubranie i buty.

- Zamknij drzwi!

Zrobił to, nic nie rozumiejąc. Wtedy usłyszał kobiece głosy. Przypuszczalnie kobiety właśnie rozbierały się w pomieszczeniu przed umywalnią. Opłukał się wodą z umywalki i palcami przejechał włosy. Nie miał grzebienia. A chciał wyglądać przystojnie. Wiedział, że pójdzie do niej. Nie pojmował, skąd mógł to wiedzieć. Naprawdę jednak wiedział.

Słyszał, że kobiety biorą prysznic i rozmawiają. Wytał się podkoszulkiem i włożył resztę ubrania. Po chwili weszły do sauny i wtedy Annie lekko zabębniła palcami w drzwi-Otworzył i wymknął się. Szła tuż za nim.

Wszystko potoczyło się tak, jak myślał. Sparken zostawiła pod szkołą. U niej w domu ciągle jeszcze był żar w piecu

380

Miała wielkiego psa, sukę, jakąś krzyżówkę z psem lapońskim, który na niego czekał. Bonnie musiała zostać w samochodzie.

Najpierw podała mu herbatę i zrobiła kanapkę. Wszystko przebiegało spokojnie. Czuł, że tak właśnie ma być. Mieli sobie tyle do opowiedzenia. Chciał zadać jej mnóstwo pytań.

O Aagot. O szkołę. O to, dlaczego wróciła do Czarnej Wody. Rozśmieszył ją jego zapach i powiedziała, że muszą omówić wszystko po kolei. Gdy wstała, by sprzątnąć ze stołu, poszedł za nią i przeciągnął ją bliżej ciepła bijącego od pieca. Miała krótkie włosy i łatwo było znaleźć kark. Pierwsze miejsce, które pocałował, to kark.

Wystający czubek ostatniego kręgu szyjnego był tak wyraźnie wyczuwalny. Ogarnęła go fala czułości dla niej, tak silna, iż łyzy stanęły mu w oczach.

- Tyle się wydarzyło - wymamrotał. - Tyle lat.

Tyle samotności, pomyślał. Wiedział, że dwa lata mieszkała z tym zerem, Góranem Dubois. I że była prawie oficjalną narzeczoną Rolanda Fjellstróma. Ale wiedział

także, czuł po napięciu mięśnia ramienia, jak było samotne. Jak długie zdawały się zimy. Jak jasne te bezsenne letnie noce. Musiała siedzieć godzinami, czytając gazetę, w tym małym pokoiku, który teraz został przedłużony o część sypialną. Za czasów siostry Aagot było to pomieszczenie, gdzie się piekło chleb.

- Mógłbyś włożyć teraz kilka grubych polan, to popali się jakiś czas? - spytała. Miała elektryczne ogrzewanie, ale wyznała, że nie chciałyby zostać bez pieca.

- Jak sobie radzisz z drewnem?

Kupuję. I mam też pomoc przy rąbaniu. Bjórne Brand- jest moim domowym krasnoludkiem. ~ Od tamtego razu? Skinęła głową. Wtedy zobaczył, że płacze bezgłośnie,

i był pewien, że od bardzo dawna nie zapłakała z powodu

381

martwego dziecka. Może przez kilka lat. Taje w nas wszystko, pomyślał. We mnie też. Cała ta nagromadzona tęsknota Uparła się, że zmieni pościel. To stawało się prawie uroczyste. Potem rozebrał się pierwszy. Już go przecież widziała nagiego, mimo to zapytał:

- Uważasz, że jestem za gruby?

- Uważam, że jesteś pulchniutki i miły.

Potem upadli na łóżko, śmiejąc się, ona ubrana, on nagi. Wszystko było o wiele mniej rozwlekłe niż jego osobliwe układy z kobietami z Óstersundu, którym musiał kupować drogie perfumy albo - co jeszcze gorsze - fundować wystawne obiady w hotelu „Winn”.

Był zafascynowany rudymi włosami na jej wzgórku łonowym. Nie były szorstkie i skręcone, tylko jedwabiste. Martwiła się, że zaczyna tam łysieć. Badał ją wszędzie palcami, które, jak twierdziła, miał krótkie i grube. Spytał o bliznę na piersi i dokładnie obejrzał rozstępy na brzuchu. Chciał wiedzieć, czy gdy wydawała na świat Mię, poród był lekki, i przyznał, że miał masę pytań, które chciał jej zadać tamtym razem, gdy do niego przyjechała. Ale nie śmiał, to były sprawy, które go nie dotyczyły. Wtedy.

- Teraz zrobimy tak - powiedział i bardzo delikatnie rozsunął jej nogi. - Za chwilę będziesz prawie ze mną zaręczona.

Rozumiał, że nie robiła tego już od dawna i że czuje lekki strach, fizyczny strach, że on wejdzie za głęboko i okaże się zbyt brutalny. Ale jego pożądanie nie było brutalne. W środku była ciasna, powoli stawała się wilgotna.

Tak, był w niej strach. Na moment ogarnął go gwałtowny gniew i pomyślał o Dubois, Fjellstrómie i tym niewiarygodnym gównie, Ulanderze. Ale zdał sobie sprawę z tego, że powinien odrzucić takie myśli, w ogóle wszystkie myśli, dla dobra ich obojga.

;-.

382

Potem jak gdyby roztopiła się w środku, zaczęła niemal płynąć, i całowali się oszołomieni wilgotnymi ustami, a on zapomniał o tym, że miał być ostrożny czy też o tym wszystkim, co wymyślił ze względu na nią. I on przestał myśleć, i ona. Od czasu do czasu pojękiwała, a on odwracał ją prędko i cieszył się, że jest silny, i było to tak intensywnie, cholera, cudowne, że właściwie już dłużej nie mógł się powstrzymać. Ale wtedy usłyszał ich oddechy, nie w takt, i pomyślał o tym, jak jego tyłek wznosi się i opada, a ona zauważyła, że o czymś pomyślał i spytała o czym. Powiedział tylko, że to właściwie dziwne zajęcie.

- Jestem szefem rejonowej służby zdrowia, wiesz o tym? Leżę tutaj, ty jęczysz pode mną i robię wszystko, co mogę, żebyś jęczała i dyszała, a najlepsze, co mogę w tym celu zrobić, to jest to... i to... i to...

No, i było po wszystkim. Ona jednak tylko się śmiała.

- Mam uczucie, że mi się to śni - powiedział, leżąc na plecach.

- Spokojnie. Kiedy się zbudzisz, nadal będziesz szefem rejonowej służby zdrowia. Łóżko było trochę odsunięte od ściany. Wyprostował ramiona i zaczął się zastanawiać, dlaczego tak dziwnie ustawiła meble. Pomacał ręką i wyczuł między łóżkiem a ścianą coś zimnego, metalicznego. Potem drewno. Ładne, masywne drewno. Kolba. Musiał to obejrzeć.

- Trzymasz tu strzelbę?

- Zawsze - odparła.

- Ładna strzelba - powiedział, gdy ją wyciągnął. - Prawdziwa mała damska strzelba. Do czego ty z niej strzelasz? Do zajęcy?

Zasnęli i zapomnieli dołożyć do pieca, a gdy znów się zbudzili, zawołał: „Do diabła!”. Bo dopiero teraz przypomniał sobie Bonnie. Samochód musiał być porządnie
383

wyziębiony. Tak więc nie było innego wyjścia, jak przyprowadzić Bonnie. Oboje mieli nadzieję, że to się uda. Ale obie suki natychmiast ruszyły do ataku. Próbował je rozdzielić, chwytając Bonnie za tylne nogi; mało brakowało a ugryzłaby go ta druga. Annie naląła wody do miski i chciała wylać ją na psy, ale odebrał jej miskę. Wśród pomruków, przeraźliwego szczekania i groźnego warczenia zaprowadził ją znów do pokoju i zamknął drzwi.

- Do diabła z nimi - powiedział. - Nie zagryzą się przecież. Bonnie jest silniejsza, choć ta druga ostrzejsza. Uspokoją się, kiedy to sobie uświadomią.

- Myślę, że Saddle będzie walczyła na śmierć i życie - powiedziała Annie.

Ale za zamkniętymi drzwiami było już spokojniej. Znów położyli się do łóżka, bo było właśnie tak, jak powiedział: suki i tak muszą się do siebie przyzwyczaić.

Lubił wspominać tamten wieczór, cały ów długi zimowy wieczór i noc, a gdy wracał do niego w myślach, przerzucał obrazy jak kartki. Obraz czekoladek na stole przy sofie, róże ciepła na jej piersiach, karetka zaryta w zaspie, jak gdyby chciała się w niej schować. Napięty brzuch pod koszulą w paski. Gwiazdy, tablica ogłoszeń przy ICA z programami kursów wieczorowych i informacjami o bingo w Norwegii.

Uprytomnił sobie jednak, że obrazy te zlewały się z wieloma innymi jazdami w zimowym mroku tą samą drogą. Brzuch był jednym z kilkunastu, może jednym z setki obolałych, twardych i napiętych brzuchów, które obmacywał w zatęchłych sypialniach. Nawet nie mógł być pewien, czy dobrze pamięta tamten dom i kobietę z moroszkami. Na pewno wszystko to się wydarzyło. Ale wszystko to zdarzało się aż nadto wiele razy. Obraz nakładał się na obraz; wspomnienie
384

tamtego wieczoru było drogocenne i dołączał je pieczołowicie do innych. Może część z nich wziął skądinąd, z innych długich jazd i innych ciemnych, na wpół uśpionych i umierających wsi, które rzucały nikłe światło ponad skutymi lodem lub atramentowoczarnymi wodami.

A co ona pamiętała? Twarz, która zamajaczyła i zniknęła w niepewnym świetle nocy. Chłopiec. Czarne włosy i wrażenie... czego? Może własnego wzburzenia? Albo tego, że on był wzburzony? Birger nie pamiętał dokładnie, co powiedziała. Mogła widzieć jedynie zamazaną plamę w pamięci, tam, gdzie niby miałyby być ta twarz. Czy coś ją wypełniło? Pragnienie?

Teraz, gdy jechał tą zniszczoną przez mrozy, zwirowaną drogą był gorący letni dzień, światło monotonne. Prowadził za szybko. Zwykle tak nie jeździł. Drażnili go maniacy, zwariowani na punkcie zdrowia, którzy propagowali gorliwie zwalczanie nadwagi, ale tolerowali dwadzieścia zgonów na skutek kolizji drogowych podczas jednego

weekendu. Przy Offerberg najechał na jakąś dziurę. Podrzuciło go aż pod dach samochodu, a w podwoziu huknęło. Raz po raz wyciskał numer do Annie. Ciągłe nikt nie odbierał.

Gdy dotarł do Czarnej Wody, przed zamykanym właśnie sklepem stało dużo ludzi i samochodów. Norwegowie porobili sobotnie zakupy i wychodzili z pętami parówek, kartonami papierosów i pudełkami tabaki. Przejechał, nie rozglądając się na boki, bo nie chciał zostać zatrzymany. Zobaczył niewielki biały domek na występie pod granią. Tam, na górze, nic się nie ruszało. Tak zazwyczaj było. To normalne.

Podjechał przed dom i kilka sekund czekał, siedząc w samochodzie. Okno w kuchni zaśniło. Na kłamce wisiała duża reklamówka z czymś w środku. Gdy wszedł na ganek,

385

zobaczył, że to termos i plastikowe pudełko. Drzwi były zamknięte.

Zabębnił w nie parę razy palcami. Saddie powinna go usłyszeć, mimo że była już porządnie głucha. To, że Saddie jest z nią, w jakiś sposób dodało mu otuchy.

Wszystko stawało się normalne. Stwierdził, że chyba przesadził, wyjeżdżając tak nagle bez zastanowienia z Life Core. Teraz bolała go głowa.

Nie miał przy sobie kluczy. Zostały w jego mieszkaniu. Wiedział jednak, że zapasowy klucz wisi w drewni. Przyniósł go i wszedł do środka.

W kuchni unosiła się silna woń kwiatów. Najmocniej czuć było konwalie. Na stole, na blacie kuchennym i na obu oknach były porozstawiane bukiety kwiatów, które dostała na zakończenie roku szkolnego.

Na stole stały dwa brudne kubki. Cukiernica i koszyk na chleb. Dżemu nie było. Ser w foliowej torebce leżał na blacie. Na obrusie wały się rozsypane okruszyny.

Wyglądało, jak gdyby właśnie miała sprzątnąć.

Piła z kimś herbatę. A potem wyszła. Dotknął imbryka. Zimny. Nie było w nim esencji, tylko gruba warstwa wyparzonych listków.

W pokoju zobaczył, że Saddie zmiętoszyła dywan pod stołem przy sofie, musiała na nim leżeć. Tutaj stało jeszcze więcej kwiatów. Łóżko Annie było rozestane. Przez moment odczuł jej samotność równie silnie jak wtedy, gdy był tu po raz pierwszy.

Powinniśmy byli, do cholery, się pobrać!

Ta myśl błysnęła mu nagle. I to była prawda. Chociaż zawsze się z nią zgadzał, że najlepiej jest ot, tak.

Ale nie chciał, żeby to było ot, tak. Jej może na tym nie zależy. On jednak chciał wziąć z nią ślub. Chciał mieszkać

i 1

razem z nią, cały czas tego chciał. Mieć ją. Nie 386

zostawiać jej samej w domu bez sąsiadów. Z tą cholerną sabelą, którą - jak twierdziła - potrafi załadować w dwadzieścia dwie sekundy.

To była panika. Poznawał ją. Nagle przypomniał sobie, jak przykucnął powyżej domu Westlundów, żeby się wypróżnić. Z czystego strachu.

Dawno. Prawie dwadzieścia lat temu. Historia na górze nad Lobberan, choć na wpół zapomniana i wytarta ze świadomości, ciągle miała nad nimi władzę. W szepcie Annie brzmiał strach. A teraz zaraziła nim jego.

Gdy sobie to uświadomił, poczuł się spokojniejszy. Poszedł do łazienki i znalazł magnecyl. Podczas gdy proszek rozpuszczał się w kubku do mycia zębów, nastawił wodę na kawę. Użył maszynki elektrycznej, bo było za gorąco, aby rozpałać w piecu. Na świeżo obsianej ziemi zobaczył ślady po deszczu. Z trawy jednak wilgoć dawno już wyparowała. Jeszcze nie było żadnych pąków, żadnych żądlic i prawie w ogóle

komarów. Swój pierwszy wolny dzień Annie wykorzystała na to, do czego tęskniła. Poszła się przejść. Prawdopodobnie niezbyt daleko, ponieważ wzięła ze sobą Saddle. Suka z tak chorymi biodrami nie mogła iść zbyt długo w górę zbocza. Annie wzięła samochód, więc może wjechała na górę. Zapomniała jednak termosu z kawą, który przygotowała.

Nie odeszła daleko, poczeka na nią. Zanosilo się na ciepły, pogodny wieczór. Otworzył okno w pokoju. Zapach na wpół zwiędłych konwalii był zbyt natrętny.

387

"I

Po wschodnim zboczu górskim kobieta i mężczyzna zjeżdżali na nartach. Śnieg był przezroczysty i trzeszczał pod nartami. Razem z podmuchami wiatru zacinął lekki deszcz. Mieli mokre twarze, ale woda nie lała się z góry, tylko napływała na nich z przeciwka falami.

Płaty śniegu kurczyły się. Strumienie, milczące w zimie, teraz szumiały głośno. Na górskim wrzosowisku musieli spory kawałek przejść, niosąc narty na ramieniu. Zeszli do rzeki i przedostali się na drugą stronę po łukowato wygiętej kładce z lodu i ubitego śniegu. Gdy doszedł ich szum rwącej wody, wstrzymał oddech.

Ona była w ciąży, a on tak się cieszył, że przy zjazdach wrzeszczał. Cały ranek przemierzali się razem z plamami słońca, polowali na nie na górach, ale nie mogli ich dopaść na dobre. Pokazał jej miejsce, w którym kiedyś składano ofiary. Chciał jej pokazać wszystko. Dlatego właśnie wrócili do domu. Gdy bez wahania ruszyła w dół stromym zboczem, odezwał się jak swój własny dziadek:

- No, no...

Bał się o nią. Przychodziło mu do głowy wszystko to, o czym nigdy przedtem nie myślał, najwyżej znał tylko z opowieści. Ciemność chałup, ostrzegawcze ujadanie psa> oszczepy na niedźwiedzia. Pomyślał, że chce ją

388

chronić

- pies, oszczep, skóry - i zaśmiał się sam do siebie, głośno i wrzaskliwie. Był w wyśmienitym nastroju.

Dla niego tu był dom. Uświadomił sobie, że zawsze tak było. Istniało tylko jedno miejsce, o którym mógł w ten sposób opowiadać. Nie miało nazwy, a gdy zaczynał o nim myśleć, wędrowało niby słoneczna plama między cieniami chmur. Ale teraz jechali, będąc w nim. Chciał, żeby ona znalazła się w tym właśnie miejscu.

Pomyślał o dziecku, które właściwie jeszcze nie było dzieckiem. Ona nie chciała nawet, żeby mówił: „dziecko”. Jeszcze nie. W języku medycznym nazywało się to: „płód”, wcale jednak nie musiał wypowiadać tego słowa. Zrozumiała jego nie zadane pytanie i zapewniła, że ruch i jazda na nartach nie są niebezpieczne. Mimo wyraźnych dolegliwości czuła się pewnie w swym dopiero co rozpoczętym macierzyństwie. Ale gdy jechała przez kładkę z twardo ubitego śniegu i rozmytego lodu, nie miała pojęcia o sile wody pod nią, o zimnie i o dzikiej mocy strumienia. Woda miała naturalnie nazwę. Rzeką zostało nazwane coś, co nie zawsze się tak nazywało. Nie czuł ochoty, by o tym mówić. Miała nazwę także w innym języku, który był wprawdzie starszy, ale nie tak stary jak woda.

Szum wody płynącej między kamieniami istnieje i istniał. Bez jednej nocy przerwy. Tak długo, że można powiedzieć: zawsze. Zimno mogło go ściszyć do szeptu pod lodem. Zimno, które powalało ptaki w locie, które zabiło starca i jego starego psa w nieszczelnej chacie na dole przy ujściu. Opowiedział jej tę historię, tak starą, że głównym bohaterem było zimno, nie starzec. Nawet bobry wtedy zginęły. To było bardzo dawno, daleko stąd. Przywędrowały nowe bobry, wsadziły pyszczki w

ślótne kępy trawy i zaczęły ryć. Ale ich ziemia tu i ówdzie Ciągle jeszcze leżała pół metra pod tymi dwojgiem. Jechali po tyłach śniegu ponad korytarzami i jamami zwierząt.

389

— To miejsce właściwie należy do bobrów — powiedział.

Ale to nie było żadne miejsce. To były zdarzenia. W części z nich już brała udział jako dziecko. O innych on jej opowie. Są też rzeczy, które trzeba przemilczeć. Obok miejsca, gdzie Holendrzy rozbili namiot, nie będą przejeżdżać. Czy wiedziała o tym? Przypięli sobie narty do butów. Jedne to były stare drewniane deski Johana, drugie Vainego. Znalazł je w letniej kuchni, w dodatku udało mu się zebrać tylko trzy kijki. Dotarli na górę, ale na długich odcinkach drogi sunęli po chruście i mchu. Była jasna noc, a śnieg ciągnął się aż do Niedźwiedziej Góry. Woda rzeki szumiała pod lodowym pomostem.

Wrócili do Nirsbuan. Najpierw sądził, że zostaną tu na noc. Wstali rano oślepieni światłem, gdy zieleń rozsadza pąki brzoź. Ale gdy otworzyli drzwi, buchnął im w twarz zapach stęchlizny i uświadomili sobie, że nie mogą tu zostać. Na łóżku w pokoju leżał zmiętoszony koc i pogniecione szare, brudne prześcieradło. Ściągnął je, żeby Mia go nie zobaczyła, i odsłonił gąbkowy materac, żółto-brązowy ze starości i pełen dziwnych dziur. Może myszy wygryzały z niego kawałki do swoich gniazd? Na gwoździu obok pieca wisiał obrzydliwie brudny frotowy ręcznik. Niestety, nadal widniał na nim napis „Hotel Winn”. Co ona sobie pomyśli, przemknęło mu przez głowę. Że co z nas za ludzie? Pierwszy raz od osiemnastu lat pomyślał „my” o Brandbergach.

Rozpalił w piecu, ale uprzytomnił sobie, że nie mogą położyć się na tym wilgotnym, śmierdzącym materacu. Ktoś to jednak robił. Po paczce w szafie spiżarni, nowym radiu na baterie, gazetach i ich datach zorientował się, że ktoś tu mieszka. Ktoś, kogo teraz tu nie było, ale kto niedawno

390

smażył wieprzowinę na czarnej żeliwnej patelni, bo na jej dnie zastygła warstwa smalcu.

Przenikliwe zimno wyгнаło Mię z chaty. Siedziała na ganku z rozstawionymi nogami, twarz wystawiła na światło i wilgotne deszczowe podmuchy. Wtedy z dołu, z moczarów, zaczął dochodzić dźwięk, rozochoczone paplanie, które raz wznosiło się, raz opadało. Być może było to ostatnie z odu-rzeń późnej nocy czy wczesnego ranka i dźwięk wzbijał się teraz tak, jakby próbował powstrzymać światło, które niesło kres upojeniu wiosenną nocą.

Powiedziała, że miała sześć lat, gdy usłyszała ten odgłos po raz pierwszy. Nie rozumiała wtedy, co to jest. Nadal uważała, że brzmi jakoś gorączkowo, nieludzko. A mimo to przypomina śpiew czy krzyk.

- Moczary się parzą - powiedział.

Przez chwilę słuchali, popijając kawę, a potem przeszli rzekę i mokradło, idąc w kierunku miejsca uboju renów. Szli z twarzami wystawionymi na siekący deszcz. Dochodząc już do zaparkowanego samochodu, ciągle jeszcze słyszeli cietrzewie. Raz już przedtem spróbował. To także było nieprzemyślane. Był w Óstersundzie, miał trzy dni wolne i planował wyjazd do domu, do Langvasslien. Wieczorem wpadł na pomysł, żeby przejechać granicę przy Czarnej Wodzie. Był to długi objazd, co pewnie nasunęło mu myśl, żeby tu przenocować.

Zaczął żałować, gdy przyjechał do Tuvallen. Ale było już za późno. W tę styczniową i bardzo mroźną noc na drodze panowała pustka. Po obydwu stronach las tworzył

białą ścianę w czarne pasy, droga - tunel w świetle reflektorów. Nie spotkał nikogo od Laxkroken. Gdyby silnik stanął, on zamarzlby w samochodzie.

391

Naturalnie nic takiego się nie stało. Dojechał do Czarnej Wody i w pewnej odległości od sklepu zatrzymał samochód. Pozostawił go na wolnym biegu i poszedł rzucić okiem na tablicę ogłoszeń. Obecnie była oświetlona, ale poza tym taka sama jak dawniej. Termometr na ścianie przy skrzynce pocztowej wskazywał prawie trzydzieści stopni poniżej zera. Wpół do dwunastej w nocy. W ani jednym oknie się nie świeciło i nikt nie poruszał się po drodze. Nic dziwnego.

Gdy wsiadł do samochodu, po drugiej stronie jeziora ujrzał światło. Niespokojne światło w górze zbocza Brand-bergów. Musiało być silne, bo widoczne przez jezioro. Wydawało mu się, że pełźnie.

Wtedy przypomniał sobie, jak Gudrun opowiadała, że Torsten i Per-Ola kupili procesor. Porozumieli się i utworzyli spółkę. Była szalenie dumna z ich przedsiębiorczości. Powiodło im się. Per-Ola okazał się obrotny i nie bał się dużej pożyczki. Vaine miał także dla nich pracować. Nie był jednak udziałowcem.

Bądź pewien, że zadbam o twoje prawa, powiedziała. Jej zawzięta gorliwość była wzruszająca. Zawsze dbała o jego prawa. Teraz wyjaśniła, że będzie dziedziczył po Torstenie, a tym samym przypadnie mu część udziałów. Nie musi się bać, że coś straci przez to, iż oni utworzyli spółkę.

Nie, nie bał się. Nie uważał, żeby miał jakieś prawo dziedziczyć po Torstenie. Ale nie powiedział jej tego. Dopiero wtedy, gdy siedząc w samochodzie, zobaczył to migocące i pełzające wysoko po zboczach górskim światło, procesor stał się czymś rzeczywistym.

To nie może być nic innego. Operatorem jest Per-Ola albo Vaine, i pracuje, chociaż jest zimna noc. Prawdopodobnie robią to na zmiany, przez cały czas. W przeciwnym razie nie mogliby spłacić odsetków.

us

392

Dwadzieścia siedem stopni poniżej zera. Światło podpełzło na zbocze góry i rzuciło nierówne, białe błyski na padające pnie. Tam, na górze, maszyna musiała wyć i ryczeć. Ale na drugim brzegu cichego, białego jeziora nie było nic słychać.

Pełzające światło. Pełzające po całym tym śpiącym życiu. Całym zasranym życiu, które nie było warte ciepła. Niewarte pieśni, gry i wody. Niewarte liści.

To moja nienawiść pełźnie po lesie, pomyślał. Jestem współwłaścicielem procesora. Musi być wykorzystywany przez całą dobę na okrągło, zimą i latem. Kosztuje pieniądze, kosztuje życie. Bohater na krzeselku operatora, z głową w gwiazdach nocy, pracuje ciężiej, niż kiedykolwiek w życiu ja pracowałem. Ja jestem tylko współwłaścicielem. To moja nienawiść pełźnie tam, w górze.

Odjechał od latarni ulicznych, które postawiono tu, gdy był jeszcze chłopcem, i zanurzył się w ciemnościach po norweskiej stronie. Bał się zimna, bał się, że silnik zamilknie. Ale stamtąd przyjechał.

Teraz zrobił ponowną próbę i udało się. Zupełnie dobrze się udało. Bo ominął dom. Nękało go, że mogło dojść do Gudrun, iż był we wsi z Mią Raft. Zaraz po przyjeździe do Ostersundu zamierzał zadzwonić i wszystko wyjaśnić. Że chodziło o eksperyment. I że to się stało pod wpływem impulsu. W mniejszym lub większym stopniu.

Dwa, trzy razy do roku Gudrun przyjeżdżała do Trond-heim, żeby się z nim spotkać. Zazwyczaj była wtedy elegancko ubrana, prawie zawsze trochę zirytowana. I za każdym razem wyglądała trochę starzej. Zaczęły jej drżeć ręce. Miała teraz pięćdziesiąt sześć lat i farbowała włosy na czarno. Johan niewiele już wiedział o jej

zmartwieniach i codziennym życiu. Musiał założyć, że w przeważającej części jest takie samo jak

393

przedtem. Choć Torstenowi się powiodło. Miał kilka koparek, kruszarkę po drugiej stronie jeziora i nowy samochód do wożenia żwiru na górze przy Torsberget. Ubranie Gud-run nie było tanie, i ciągle jeździła audi. Wóz był nowy i domyślał się, że to jej własne auto.

Siedząc w samochodzie przed sklepem i czekając na Mię, spojrzał w górę na dom. Widział okno w kuchni z firankami zaciągniętymi tak szczelnie, że na dobrą sprawę nie można było wyjrzeć na dwór. Ani zajrzeć przez nie do środka. I może o to chodziło. Przypuszczał, że poruszała się tam między piecem, lodówką a zlewozmywakiem. Poruszała się po szlaku. Choć miała zmywarkę do naczyń, wiedział o tym.

Czekał na Mię. Udało się. Gdyby nie było tak strasznie zimno i w Nirsbuan nie brakowałoby drewna, mógłby zostać jeszcze jeden dzień. Mia proponowała, żeby poszedł na górę do Gudrun i Torstena i odpoczął parę godzin. Ale on osiągnął już granicę, którą sam sobie wyznaczył. Zawiózł Mię do domu jej matki, do domu, o którym wciąż myślał, że należy do Aagot Fagerli. Sam przespał się w samochodzie. Spała. Jej policzki były zaokrąglone i lśniące od kremu, rzęsy bez tuszu miały złotorudawy odcień. Pogrążył się we własnych myślach.

Teraz, w ciąży, robiła się wieczorem bardzo senna. Nie przeszkadzało jej, że miał zapaloną lampę i czytał w łóżku. Spała jak dziecko. Na co dzień była nader rozsądna. Podobało mu się, że wiedziała, po jakim świecie chodzi. Że patrzy trzeźwo.

W świetle lampy, która rozpałała jej mieniące się czerwienią, kędzierzawe włosy, szukał nitki swego głębokiego przywiązania do niej. Kiedyś został błyskawicznie pobudzony i przez kilka tygodni żył w łagodnym odurzeniu, szczególnie

394

przez jedno lato. Ale od czasu, gdy stał się dorosły, jego związki z kobietami były rozsądne, a zarazem zabawne. Dla obu stron.

Mia była rozważna. I oboje podchodzili do tego z humorem nawet wtedy, gdy pożądanie ich zamraczało. Szybko była znów trzeźwa. Bawiło go, że stale planowała. Wycieczki, urlop macierzyński, projekty pracy. Lubił to. Podobała mu się jej wola, zdrowa jak nie uszkodzony orzech w młodej, zielonej, ale już twardniejącej skorupce. Istniało też jeszcze coś innego. Delikatniejsze nitki, gdzieś w głębi, w czymś, co trudno mu było określić słowami. Choć można by to także wyrazić wręcz brutalnie: gdy spotkał Mię, przemknęło mu przez głowę, że oto przybyła, aby zabrać go do domu.

Nie była to bynajmniej pociągająca myśl, istniała jednak i robiła swoje. Uczyniłby nieroztropnie, gdyby Mii o tym opowiedział czy choć tylko wspomniał. Nie chciał, żeby poczuła się narzędziem. Wcale nim nie była. Była warunkiem wstępnym. Kiedy spała, pokój stawał się odrobinę obcy. Na ścianie nad łóżkiem wisiał plakat, czyjaś twarz i nazwisko, które nic mu nie mówiło. Czarnoskóry śpiewak w lustrzanych okularach. Na nocnej lampce wisiał kapelusz jako dodatkowy abażur. Był czarny, przybrany dużymi makami z materiału. Nigdy nie widział Mii w kapeluszu, nie mógł jej sobie wyobrazić w kapeluszu na głowie i zastanawiał się, po co go kupiła.

Była zawiedziona, gdy zdecydował się wracać do Óster-sundu. Chciałaby wreszcie odwiedzić Torstena i Gudrun. Przewidywał to i wiedział, że tak będzie. Ale jeszcze nie teraz.

Była więc zawiedziona, gdy stamtąd odjeżdżali, ale nie nadąsana. Mia się nie dąsała. Bo przeważnie układało się tak,

395

jak chciała. Miała jednak instynkt i wiedziała, kiedy powinnal ustąpić. Dzień był piękny, choć rankiem padało, a powrót do I Óstersundu nie zapowiadał nic ciekawego. Próbował jej to wynagrodzić i zaprosił ją do restauracji na obiad. Powiedziała, że łosoś był nieświeży.

Nieprawda, na pewno by to poczuł. Gdy wrócili do niej wymiotowała. Wyszła z łazienki zupełnie opanowana. Ma pewne dolegliwości, ale to przejdzie, powiedziała. Zasnęła wcześniej, przypuszczalnie właśnie dlatego, że źle się czuła. Około dziewiątej wyszedł z domu i zadzwonił do Gudrun. Nie chciał, żeby Mia się obudziła i słyszała rozmowę.

Potem było mu smutno. Gudrun nigdy nie zaproponowała, żeby przyjechał do domu w Czarnej Wodzie. Teraz nie skomentowała ani słowem ich odwiedzin. Wcześniej niewiele myślał o tych sprawach. Uważał rodzinę Dorjów za swoich najbliższych. Od kiedy jednak poznał Mię, wydawało mu się to czymś nienaturalnym.

W głębi duszy wiedział, że nie chodzi tu o naturalność czy nienaturalność, lecz o konwenanse. Stanowiły one jednak element wiedzy Mii o życiu i miała dla nich szacunek. Umiarkowany szacunek.

Wiele z tych zabawnych, rozsądnych i niekonwencjonalnych kobiet, które zabierał ze sobą do Langvasslien i woził swym psim zaprzęgiem, balansowało po bardzo wąskich kładkach ponad szumiącą wodą. Ponad czystym chaosem.

Wrócił i położył się do łóżka. Trochę czytał, długie chwile jednak leżał, patrząc na nią. Spała głęboko, gdy zadzwonił telefon. Kiedy ją obudził i podał słuchawkę, z początku trudno jej było zrozumieć, o co chodzi. Była pierwsza w nocy. Wyszedł do kuchni, nastawił wodę na herbatę i zrobił tosty. Zazwyczaj po obudzeniu, dopóki była iw czczo, ile się czuła. Gdy wszedł z herbatą, jeszcze roz-

396

mawiała. Właściwie niewiele

397

W środku nocy Birger odkrył, że nie ma strzelby. W pokoju było jasno. Leżał na plecach na jej łóżku, nadal w ubraniu. Strasznie bolała go głowa. Dzwonił do Mii. To ona piła rano herbatę z Annie. Nie była zaniepokojona. Mamie pewnie przyszło do głowy, żeby gdzieś pojechać, powiedziała tylko.

Mia nie wiedziała, co ich łączy. Nie miała pojęcia o rannych i wieczornych rozmowach telefonicznych. Przypuszczalnie sądziła, że takie kontakty są bardzo praktyczne. Układ, który zapewnia im towarzystwo na weekendy i wspólne sypianie, nie angażując zbytnio żadnej ze stron. Nigdy nie pomyślał, że może to tak wyglądać. Ta refleksja dotknęła go niemile.

Przez chwilę rozważał, czyby nie zadzwonić na policję. Potem długi czas w ogóle o niczym nie myślał, tylko czekał. Przez cały dzień nie był w stanie normalnie zjeść. Ale raz po raz smarował masłem kawałki chrupkiego chleba i wpychał je w siebie.

Godziny wlokły się powoli. Za oknem ptaki darły się jak oszalałe. Nie pojmował, jak ona w ogóle mogła spać o tej porze roku.

Kuchnia i pokój pełne były kwiatów, które przynieśli uczniowie. Pierwiosnki, pełniki i firletki. Niezapominajki z kwiatkami jak mgiełka. Konwalie, których dzwoneczki zaczynały brązowieć na brzegach. Splądrowali rabaty. Nawet chłopcy przynosili zwykle kwiaty. Znaleźli zawilce, grotes-

398

kowo powiększone, ale jeszcze nie rozkwitłe, i narwali ich, jak gdyby byli płatni od kilograma. I z pewnością śpiewali.

Oni są niczym małe zwierzątka, wyznające religię bez teologii, powiedziała kiedyś. Powtarzają praktyki religijne, nie zastanawiając się, co one znaczą. Ale była wzruszona i zabrała bukiety do domu. Chciał je wyrzucić, lecz bał się, że sprawi jej to przykrość. Rozsiewały miłą woń, jakby chciały przeprosić za te wszystkie stęchłe wyziewy z ubrań, włosów i ust przez całą zimę. Wyzwalamy cię. Bądź teraz kimś innym. Sama i wolna. Dla niej szczęście, jeśli w ogóle istniało, mimo wszystko wiązało się chyba z samotnością. Nie chciał o tym wiedzieć. Nigdy jednak nie byk wobec niego nietaktowna. Nigdy nie wychodziła na dłużej, nie zawiadomiwszy go o tym. Dlaczego wsunął rękę pomiędzy łóżko a ścianę? W każdym razie nie spodziewał się tego, co odkrył, bo to odkrycie nim wstrząsnęło. Czysto fizycznie. Jak gdyby poraził go prąd. Zerwał się i zaczął wszędzie szukać dubeltówki.

399

Poszukiwanie matki Mii zaczęło się przy obejściu Strómg-renów, tam, gdzie znaleziono jej samochód. O tym, że naprawdę zaginęła, dowiedzieli się rano z telefonu Birgera. Tak wyraziła się Mia. Zaginęła. Wypili tylko kawę i zaraz wsiedli do samochodu. Kiedy przyjechali do Czarnej Wody, w drodze na górę było już więcej samochodów. Dopiero wtedy wszystko stało się dla Johana czymś rzeczywistym. Najdziwniejsze jednak było to, że od drogi mieli iść rozstawieni co dwadzieścia metrów po tej na wpół zapomnianej, a tak dobrze znanej ziemi, której zagłębienia i garby pamiętały jego nogi. Posuwał się naprzód, w głąb i w górę i wykrzykiwał imię osoby, której nigdy w życiu nie spotkał, a która miała zostać jego teściową. Babcią jego dziecka.

- Ann-iiie! - wołał z innymi. - Ann-iiie!

Musi siedzieć albo leżeć gdzieś w górze poręby Fjell-strómów. Prawdopodobnie ze złamaną nogą. Kierował nimi Per-Ola. Obecnie to on był łowczym, a łańcuch szukających składał się w większości z myśliwych z koła. Torsten z mmi nie szedł. Gudrun powiedziała, że ma kłopoty z kręgosłupem.

Per-Ola poinstruował ich, aby krzyczeli, robiąc długie pauzy. W przeciwnym razie nie usłyszą, gdy ona odpowie-Musieli się liczyć z tym, że odpowiedź będzie cicha, w tc

400

c warunkach jednak nie bardzo dałoby się usłyszeć ciche wołanie. Ludzie pokrzykiwali, ujadły psy. Mimo wszystko atmosfera zrobiła się trochę odświętna. Przedsmak jesieni i polowania.

Per-Ola pozdrowił Johana kiwnięciem głowy. Jego małe, jasnoniebieskie oczy trochę wyblakły i zapadły się w głąb. Ciało zrobiło się bardziej krzepkie. Nie okazał zdziwienia. Gudrun pewnie już mu powiedziała o Johanie i Mii. Szedł w pewnym oddaleniu od nich. Johanowi mignął też Vaine. Ale nie widział ani Bjórnegu, arii Pekki. Przypuszczał, że Pekka pracuje gdzieś na południu kraju jako operator dźwigu.

Trawa lśniła tak, jak gdyby została pomalowana. Była to pora roku, gdy wszystko wyciąga się do światła, które nawet nocą prawie nie słabnie - kielki paproci z kosmatymi pastoralami, tutki konwalijek i brązowe, popękane pączki skrzypu. Pędy wierzbownicy smakowały jak szparagi i były jasno-czerwone.

Poszła, żeby poszukać smardzów. Kiedy Birger Torb-jórnsen się o tym dowiedział, zaczął wydzwaniać dosłownie wszędzie. Umówiła się z przyjaciółką, że pójdą w górę w kierunku poręby Fjellstrómów, która ma już parę lat i wydaje się, że akurat dla

smardzów jest odpowiednim miejscem. Gdy jednak przyjaciółka po nią przyjechała, Annie już nie było. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Johan włókł się, wykrzykując co pewien czas imię obcej kobiety. Tą przyjaciółką okazała się Gudrun. W ten dość osobliwy sposób poznawał kawałeczek codziennego życia "udrun. Ze wszystkich tych spotkań przez ostatnie lata, sztywnych rozmów w restauracji w Trondheim czy przy jego stoliku obok sofy nie wyłonił się tak prosty obraz. Gudrun z nauczycielką zbierają smardze. Choć tym razem nic z tego le

Wyszło. Nauczycielka wyprawiła się samotnie. Nie do

401

końca zostało ustalone, czyj samochód weźmiemy, powiedziała Gudrun.

Doszli do miejsca, gdzie kończyła się poręba, i Per-Ola wzdłuż linii przekazał polecenie, żeby się przesunęli na wschód i resztę poręby przeczesali, schodząc do drogi. W odstępach dwudziestu metrów, jak przedtem.

Niełatwo było iść po ziemi zrytej ciągnikami. Tu, na górze, liście brzoź były jeszcze lepkie, pokarbowane i pomarszczone. Ponad kamieniami i zwałami chrustu zarośla tworzyły chmurę mieniącą się kolorami żółtawej zieleni i czerwieni.

Po zejściu ludzie zrobili się trochę niemrawi. Nikt nie miał pomysłu, gdzie teraz szukać. Per-Ola zażył okazałą prymkę i stał w milczeniu.

Johan spłoszył siedzącą w gnieździe samicę brodzca i zobaczył jej niebiesko nakrapiane jajka. Znalazł też kilka niezwykle dużych smardzów, które włożył do kieszeni kurtki. Ale nie pokazał ich Mii. Wydawało się trochę nieestosowne, że on zbiera teraz smardze i ogląda ptasie jajka.

W końcu Per-Ola wypluł prymkę i powiedział, żeby rozjechali się do domów i coś zjedli. Wszyscy, którzy chcą, mogą się zebrać za dwie godziny. Johan został z Mią przy samochodzie i widział, jak Gudrun odjeżdża w fordzie Per-Oli. Nie patrzyła w ich stronę. Widocznie Mia nie zwróciła na to uwagi. Johan był zadowolony, że nie musi nic wyjaśniać, ale wiedział, że wcześniej czy później trzeba będzie to zrobić.

Właściwie nie było tu o czym mówić. Powiedział jej na początku: jest w złych stosunkach z ojcem i braćmi. Zawsze tak było. W każdym razie on nie pamięta, żeby kiedykolwiek było inaczej. I zawsze tak będzie, pomyślał. Milcząco. Paskudnie.

Wrogo, bez żadnych wypowiedzianych na ten temat słów. Czy Mia coś takiego zrozumie? Czy też sądzi, z

402

T

wszystko się ułoży, trzeba tylko być rozsądnym i widzieć sprawy od jasnej strony?

Nie wiedział dokładnie, jak daleko sięga ta jej trzeźwość myślenia.

Zastanawiał się, jaka jest matka Mii. Na drodze, trochę dalej, stał Birger Torbjörnsson i wpatrywał się w żwir. Jakaś kobieta w różowej kurtce coś do niego mówiła z ożywieniem. Wyglądało jednak na to, że doktor jej nie słucha.

W końcu odjechały wszystkie samochody z wyjątkiem wozów Johana i Birgera Torbjörnssona. Powoli ów wielki, ciężki mężczyzna podszedł do nich.

- Johan?

- Mia i ja jesteśmy ze sobą.

Johan uważał, że najlepiej mieć to z głowy najszybciej, jak się da. Ale Birger nie zrobił żadnej uwagi na ten temat. Nie było pewne, czy to w ogóle do niego dotarło. Wpatrywał się w stok. Widać było, że jest zmęczony. Włosy lepiły mu się od potu.

- Muszę z tobą pomówić - odezwał się do Mii. - Nie sądzę, żeby poszła w górę, na porębę.

To, co powiedział, zabrzmiało bardzo dziwnie. Sam przecież dawał wskazówki poszukującym ludziom. Mia zwróciła mu na to uwagę. Usiadł na poboczu drogi i tępo wpatrywał się w żwir. Na nalanej twarzy znać było zmęczenie.

- Nie wiem - odparł. - Całą noc nie spałem. Na ganku znalazłem torbę. Gudrun powiesiła ją na klamce. Kiedy przyszła, Annie już nie było. Gudrun sądziła, że ona wyszła tylko na chwilę. W jakiejś sprawie. Więc powiesiła torbę.

- Jaką torbę?

~ Był w niej termos z kawą, bułki, coś takiego. I napisała do Annie kartkę, żeby zadzwoniła, jak wróci. Ale Annie nie zadzwoniła. Wygląda na to, że zajęła się czymś innym.

~ Przecież powiedziałaś, że pojechała za Gudrun. Bo przypuszczała, że Gudrun wyruszyła już wcześniej, swoim samochodem.

403

- Tak, tak powiedziałem. Ale nie wiem, czy teraz też tak myślę.

- W takim razie, co myślisz?

- Nie wiem. ->:

Czekali, sądząc, że jeszcze coś doda, ale nic więcej nie powiedział. W końcu Mia wsiadła do samochodu.

- Jedziemy na dół coś zjeść - powiedziała. - Potem zobaczymy.

Johan także miał już wsiąść, gdy Birger Tornbjörnsson schwycił go za ramię.

- Ona wzięła ze sobą strzelbę - powiedział. - Wiem o tym, bo zawsze leży za jej łóżkiem, a teraz jej nie ma.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Johan też nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Cierpiała na jakąś depresję? - spytał. Wtedy Birger wybuchnął:

- Nie! Do cholery! Wszystko z nią było w porządku! Czekala na mnie, miałem przyjechać wczoraj po południu! Wszystko z nią było w porządku!

- O co chodzi? - spytała Mia z samochodu. Ale Birger szedł już do swojego wozu.

- W ogóle nie spał w nocy - odparł Johan.

Zjechali w dół i nic nie powiedział Mii o strzelbie. Pomyślał też, że nie ma sensu jej o nic pytać. Bardzo jednak chciał wiedzieć, jaka była Annie Raft i dlaczego za łóżkiem, na którym spała, trzymała strzelbę.

404

Prawie na samym początku, gdy już byli razem, Birger opowiedział Annie o tym, co przeżył w hotelu „Sulki”. Opisał jej samo przeżycie, najlepiej jak potrafił, choć brakowało mu słów. Mówił też o tym, jakie to miało następstwa - że potem zaczął sypiać z Frances i w ten sposób przekreślił swoje małżeństwo. Słuchała, nie przerywając mu. Gdy skończył, powiedziała:

- Nie chcę zbliżyć się do tamtej drugiej rzeczywistości. Nawet gdybym mogła, to nie chciałabym przywoływać tamtych obrazów i sytuacji.

Zdziwiło go to bardzo. Oczekiwał obiekcji, lecz innego rodzaju. Przecież zgodziła się na jego opowieść. Wszystko to wprawiło go w zakłopotanie. Jak mogła tak swobodnie balansować między sprzecznościami? Powiedziała:

- Lubię tę rzeczywistość. Czy też nierzeczywistość. Nie mogę jednak odrzucić tamtej drugiej. Często tkanina tej rzeczywistości jest rzadka: patrzę poprzez nią. Robiłam tak już jako dziecko i to nie jest nic strasznego, choć może powinno być. Nie jestem tu u siebie. To otoczenie, w którym się w końcu znalazłam, nie zostało wybrane. W każdym razie nie przeze mnie. To sprawia, że tkliwie myślę o tym, co jest dookoła mnie. Czasami także o ludziach. Najbardziej o krajobrazie. I domu.

"ewnej ciemnej zimowej nocy, gdy leżeli obok siebie * tóżku, powiedziała:

405

- Mały domek, taki jak ten, budzi we mnie niesłychanie tkliwe uczucia. Jest taki kruchy i tymczasowy. Może spłonąć w parę godzin każdej nocy, gdy burza przetacza się nad górami. Ale przetrzymuje największe zimno. Wiesz, że zeszłej zimy mieliśmy minus trzydzieści szes'ć? I wytrzymuje deszcz, który w jesienne noce wali o blaszany dach, zupełnie obłądnie. Poczekaj, a usłyszysz.

Poczekaj, a usłyszysz.

W ten sposób się dowiedział, że będzie mógł z nią zostać. Że ona też o tym myśli. Słuchał uważnie w ciemności ponieważ rozumiał, że taka okazja szybko się nie nadarzy. Rzadko była równie poważna jak teraz. Na co dzień wcale nie była szczególnie otwarta, choć mówiła dużo.

- Nie jesteśmy tu sami - powiedziała. - Ten dom daje schronienie wielu stworzeniom. Mieszkają z nami. Osy, muchy, chrząszcze, rybiki i myszy. Jastrząb, który zawsze siada na drucie telefonicznym obok ściany, także do niego najeży, tak samo jak łasica w podmurówce czy sikorki pod okapem. W najmroźniejsze zimowe noce wciskają się między bale i deski pokrywające ściany. Kiedy tu przyjechałam po raz pierwszy, ten dom stał już dobre sto sześćdziesiąt lat i będzie dalej stał po mnie, jeśli nie spłonie.

Kiedy jednak Mia, Johan Brandberg i on zeszli teraz do tego domu, przywitała ich pustka. Nie pomogło to, co mówiła o myszach i rybikach. W najmniejszym stopniu nie pocieszyło Birgera również to, że przypomniał sobie jej słowa na temat rzeczywistości i nierzeczywistości. Dom był przeraźliwie pusty, w środku panował zaduch.

Mia zaczęła zbierać kwiaty i wrzucać je do torby a śmiecie. Żeby wszystkie zmieścić, musiała wziąć jeszcze jedną torbę. Ma całkiem solidny tyłek, pomyślał. Właściwie nie jest

406

podobna do Annie. AJe było coś w ruchach rąk ich obu; gdy jyjja wyjmowała z lodówki pojemnik z jajkami i paczkę masła, jej ruchy przypominały ruchy rąk Annie. Johan siedział przy stole, wodząc za nią wzrokiem. ZwykJe jego brązowe, wąskie oczy rzucały szybkie spojrzenia. Zarówno tęczówki, jak i brązowoczarne włosy zjas'niały. Birger od kilku lat go nie widział. Kiedyś' Johan często przychodził do nich do domu, do Tomasa, ale to ustało, gdy Tomas przeprowadził się do Sztokholmu. Zastanawiał się, jak się spotkali ci dwoje, Mia i Johan. O ile wiedział, Johan w ogóle nie przyjeżdżał do Czarnej Wody w odwiedziny.

Pracował jako meteorolog na lotnisku w Trondheim. Kiedyś' Birger powiedział, w dużej mierze żartem, że mimo wszystko wybrał zawód zgodny ze swymi najwcześniejszymi upodobaniami, i Johan się ws'ciekł. Był trochę popędliwy, przynajmniej jako chłopak. - Myślisz, że wychodzimy w góry po to, żeby się tylko pogapić na chmurki? - spytał. Potem z przesadną dokładnością wyjaśnił, jak pracuje, posługując się tabelami i wykresami.

Mia usmażyła jajka i pokroiła wędzoną baraninę. Birger nie mógł jeść. Pił z nimi kawę i znów wziął tylko kilka kawałków chrupkiego pieczywa. Był nieobecny myślami i nie słuchał dokładnie tego, co mówili. Mia musiała powtórzyć pytanie:

- Czy po drugiej stronie drogi nie ma żadnych miejsc, gdzie mogą rosnąć smardze?
- Tam są przecież tylko mokradła, w dół aż do rzeki ~ odpowiedział zamiast niego Johan.

Ona jednak upierała się, że powinni poszukać po tamtej stronie.

Annie nie wyszła, po to, żeby zbierać smardze. Birger także ł tę nadzieję. Teraz trzeba wziąć się w gars'ć i powiedzieć lrn, jak wygląda sytuacja.

407

- Zadzwoń do mnie o świcie - powiedział. - Był przed piątą.

Czekali na dalszy ciąg, ale nie był w stanie mówić. Głos uwiązł mu w gardle. Wstał od stołu.

- Do jasnej cholery, nie możemy tu tak sobie siedzieć! - odezwał się. - Jedźmy w górę i zaczniemy znów szukać.

Przecięli drogę i ruszyli w kierunku zabudowań Stróm-grenów. Poszukiwanie rozpoczęło na nowo od góry i nawoływania dochodziły aż do starego gospodarstwa. Ann-ii! Ann-ii! Birger zauważył, że w kącikach ust Mii utworzyły się ostre bruzdy, nadając jej twarzy wygląd niemal odrażający. Zaczęli iść trochę szybciej.

Dom był pusty, w oknach brudne firanki. Pastwisko znów zaczęło porastać. Później, w lecie, trudno będzie przedostać się przez mleczce, tojady i tawuły. Gdy tylko zeszli na mokradło, spostrzegli na ścieżce odcisk gumiaka. Potem Birger przypomniał sobie, że chciał iść skrajem ścieżki, aby tego śladu nie zniszczyć. Ale wydawało mu się, że nie może powiedzieć o tym głośno, bo zabrzmiałoby to co najmniej dziwnie, prawie niesmacznie. Szczególnie w obecności Mii.

W tamtą długą niedzielę zupełnie nie mógł uporządkować myśli. Próbował wykombinować, dokąd Annie mogła pójść. Różne pomysły, jedne dziwniejsze od drugich, przychodziły mu do głowy i zaraz znikwały. Ni stąd, ni zowąd zaczynał rozmyślać nad tym, co będą jedli na obiad, i zastanawiał się, czy Annie, zanim wyszła, zdążyła zrobić zakupy. Gdy zeszli do brodu na Lobberan, zauważył, że Mia zrobiła się bardzo niespokojna. Dotychczas była opanowana, choć zaczęła sobie uświadamiać, że sprawa jest poważna. Teraz stanęła i nie chciała iść dalej.

- Nie lubię tego miejsca - powiedziała cicho.

408

- Nikt nie lubi - odparł Birger.

- Te przekłete ptaki.

Para drapieżnych ptaków krążyła nad nimi, kwiląc przeciągle.

- To chyba pustułki? - spytał Johan.

- To krogulce.

W jej głosie brzmiała pewność. Jeden z ptaków zatoczył krąg i znikł z pola widzenia. Drugi nadał ich pilnował.

- Znasz się na ptakach - odezwał się Birger. - Nie przypuszczałem, że cię to w ogóle interesuje.

- Natura - powiedziała z drwiącym naciskiem. Birger odniósł wrażenie, że ironizuje na temat jednej z doktryn Annie: nie istnieje nic, co nie byłoby naturą. Wszyscy jesteśmy naturą. Nawet wielkie miasta zostaną zamienione w kamieniołomy, gdzie będą się wylęgać orły, a jaszczurki wygrzewać w słońcu na murach. Albo w dżungle czy w świerkowy las, w którym znajdują się tajemnicze formacje.

Ciekawiło go, jak Mia oceniała Annie. Byłoby nienaturalne, gdyby miała do niej inny stosunek niż krytyczny. A może tylko się śmiała z jej wiary w powrót zdewastowanych lasów? W takim razie musiała ją traktować z czułością. Słyszał, jak się do niej zwracała: mamusiu, mamusiu. Mówiła tak do mnie zwykle, gdy była mała i chciała mnie przed czymś obronić, opowiadała Annie. Przypomniał sobie to szczupłe, opalone dziecko z rudymi włosami, ostrzyżonymi jak u chłopca. I Annie w tamtym czasie. Miała długie jasne włosy i nieśmiałe - nie, czujne oczy. Wąskie usta. Zawsze ostrożne.

- Zejdź do rzeki - powiedział Johan. - Zostańcie tutaj. Możemy potem pójść dalej w górę, w kierunku Nirsbuan.

- Aagot Fagerli mnie nauczyła - opowiadała Mia. - Miała takie wielkie księgi o ptakach. Właściwie nauczyłam się tylko o tym jednym. Krogulec polujący. Myślałam, że tak się nazywa, bo poluje.

409

Znaleźli jedną z tych maleńkich wysepek twardej ziemi porośniętych mchem i rozsypanych na mokradle, i usiedli obok siebie na zmurszałym pniu brzozy. Wzrokiem odprowadzali schodzącego w dół Johana. Moczary pełne były wodnych luster. Między nimi rosły kępy fermentującej turzycy, która przez cały okres topnienia śniegu wysysała wodę. Kiedy się stanęło na takiej kępie, słychać było chlupot. Niebo i ziemia spotykały się w tych lustrach, a po szarawych obwódkach liści wikliny mogli zobaczyć, gdzie płynie rzeka. Z daleka dochodził przytłumiony szum wody i małych bystrzyc. Chwilami brzmiał tak, jak gdyby wiele ludzi rozmawiało ze sobą, a nawet krzyczało do siebie jednocześnie. Niekiedy ten dźwięk przypominał daleki ruch uliczny - raz głośniejszy, raz cichszy, na wskroś jednak mechaniczny warkot.

- Jestem prawie pewna, że poznałabym tamto miejsce - odezwała się Mia. - I ptaki zostały. To chyba praprapra-wnuki tamtego.

- Przecież nie możesz pamiętać tamtego wieczoru świętojańskiego.

- Miałam sześć lat. Pamiętam dwa dziwne świerki. Mama posadziła mnie na zwalonej brzozie. Rosły na niej huby, zupełnie jak na tej. Bałam się ich. Myślałam, że to jakiś rodzaj zwierząt, które się przyssały. Mama chciała zejść nad rzekę, do namiotu, bo myślała, że ktoś stamtąd nam pomoże. Ale ja poszłam za nią.

Przerażona, że mama się zgubi. Przez cały czas był ten ptak. Pikował na namiot już wtedy, gdy przechodziłyśmy tamtędy po raz pierwszy. Był jak szpulka.

Powinieneś zobaczyć, ile w nich siły, gdy nurkują, żeby zabić. To się oczywiście nazywa uderzyć. Podeszłam bliżej i zobaczyłam namiot. Był cały zakrwawiony i podarty i widać było, że ktoś w nim leży. Widziałam stopę i coś tam jeszcze. Mama leżała obok, potem z trudem stanęła na nogi, zeszła do rzeki i chlapała, i chlapała rękami w wodzie.

410

I

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę widziałaś namiot i to, co się zdarzyło?

- Tak.

- Annie tak nie sędzi.

- Nie, to jasne. Nie potrafiłaby tego znieść. Choć powinna była się zorientować, że kiedy wróciła, stałam na ścieżce

o wiele niżej. Myślałam, że będzie zła. Ale ona nawet tego nie zauważyła.

- Zła?

Ukazała mu dziwny obraz. Głos miała wysoki, prawie piskliwy. Raczej nie był to głos dorosłej kobiety.

- Potem przecież wszyscy o tym mówili.

- Mówili o tym z tobą?

- Jasne. Zapewne byłam jedyną, która wiedziała, jak to się stało.

- A jak to się stało? - wyszeptał Birger.

- Ptak spikował i zadźgał ich swoim ostrym dziobem.

Roześmiała się z jego miny. Zawsze uważał Mię za roztrofną dziewczynę. Wesolą i energiczną. No i, jeśli miał być szczerzy - dość nieskomplikowaną. Nieszczególnie podobną do Annie, zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. Teraz zastanawiał się, czy jego wyobrażenie o Mii odpowiada prawdzie.

- Tak sądziłam - ciągnęła. - Kilka lat. Nie wiem, kiedy przyjął do wiadomości powszechną opinię.

Jej głos przez chwilę brzmiał zupełnie dorośle, nagle jednak powrócił tamten, małej dziewczynki:

~ Bałam się i nie miałam odwagi nic powiedzieć. Tej samej nocy, później, obie byłyśmy obłądnie przerażone. Mama wyskoczyła z chaty i pobiegła do Aagot.

Wzięłam pled

i poszłam za nią. Na dworze było zimno i — mimo że to noc ~ zupełnie jasno. Wtedy nie byłam do tego przyzwyczajona. Myślałam, że coś jest nie tak. Że już nigdy więcej nie będzie

411

ciemno. Mama nie miała siły sprzeczać się ze mną. Za bardzo sama się bała.

Zastanawiałam się nad tym. Wiesz, że będę miała dziecko?

- Nie, nie wiedziałem. Annie nic nie mówiła.

- Ona jeszcze nie wie. Myślałam, że może zauważyłeś. Bo jesteś lekarzem.

- Jeszcze tego nie widać.

- Nie, ale tak w każdym razie jest - powiedziała trochę zaczepnym tonem. - Johan i ja bardzo się cieszymy - dodała.

- To jasne - powiedział Birger.

- Aagot posłała łóżko w pokoju. Mamie było tak zimno, że cała się trzęsała i mówiła, że słyszy jakiś dziwny, zawodzący dźwięk. Choć żadnego dźwięku ani Aagot, ani ja nie słyszałyśmy. Widziałeś kiedy Aagot Fagerli?

- Wiele razy - odparł Birger.

- Miała sweter na koszuli nocnej, była bez zębów. Potem je włożyła. Gdy zacisnęła szczęki, aż stuknęło. Dla mnie przygotowała posłanie na sofie w kuchni, ale bałam się zostać sama. Będą tu siedzieć, powiedziała. Całą noc. Nie odejdę od ciebie. Wydało mi się dziwne, że powiedziała „noc”, bo na dworze świeciło już słońce. Widać je było w dole przy Tangen, pierwszy dom stał cały w słońcu. Bałam się iść do łóżka. Siedziałam przy stole w kuchni i było mi zimno. Napaliła w piecu. Nigdy przedtem nie widziałam takiego pieca. Trzaskał i huczał. Podgrzała mleko, które naturalnie wykypiało i przypaliło się. Wtedy zaczęła kłąć. Pamiętasz, jak Aagot przeklinała? To był norweski zmieszany z amerykańskim. I jamtlandzki. „Heli wzionie garnek”, powiedziała. „Nigdy nie pódzie go wyczyścić. Dammit. Bladdi heli”. Tak to brzmiało. Wzięła drugi rondel. Wszystko było takie zwyczajne, choć w pokoju rozlewało się przeraźliwe światło. Wtedy powiedziałam, że widziałam tego ptaka. Nie mówiłam, co on zrobił, bo myślę, że wtedy jeszcze tego dokładnie

412

nie rozumiałam. Zrozumiałam później, gdy ludzie o tym mówili. To był tylko ptak. I te zakrwawione strzępy namiotu. Jasnoniebieskie. Gdy powiedziałam Aagot, gdzie widziałam ptaka, że nad rzeką, tuż obok jeziora, powiedziała: krwiopijec. Myślałam, że tak powiedziała. Że to był ptak pijący krew. Widziałam, jak pikował. Potem wyciągnęła wielką księgę, strasznie ciężką, oczywiście jednego z braci von Wrightów. Mama ma ją w domu. Kupiła książkę na licytacji po śmierci Aagot. Siedziałyśmy w kuchni i przewracały kartki dopóty, dopóki nie znalazłyśmy krogulca. Jego dzioba i żółtych oczu. To było chyba najgorsze, co widziałam w życiu. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś wstrętniejszego. Czytała mi o nim. Pewnie myślała, że odciągnie tym moją uwagę od tego, co straszne. Potem czytałam sama, wiele, wiele razy. Byłam pierwszorzędną w odnajdywaniu tego miejsca. Dzielne ptaki drapieżne. Podtytuł: jastrzębie.

Ścieżką nadchodził Johan. Wstali i ruszyli mu naprzeciw. Mokradło chlupotało i ugięło się pod jego butami. Szedł niepewnie.

- Idziemy teraz w górę do Nirsbuan? - spytał Birger.

- Nie, wracamy do drogi. Musimy się z nimi porozumieć. Mia szła pierwsza i Birger zauważył, że Johan odsunął się od niej, po czym stanął, czekając, aż on dojdzie do niego. Wtedy chwycił go za ramię tak silnie, że aż zabolęło.

413

Najpierw zobaczył twarz. Woda płynąca ponad nią była tak przezroczysta, że wydawało mu się, iż Annie leży i patrzy, jak on nadchodzi. Oczy miała przecież otwarte, a włosy spływające w pasmach ku dołowi z kierunkiem prądu nie mogły zakryć spojrzenia. Po chwili pojął, że to nie jest żadne spojrzenie, a biała skóra nie czuje zimna wody. Annie przyjmowała barwę od dna i kamieni, gdy fale rzeczne i plamy słońca poruszały się ponad nią; przez kilka chwil jej ręka wyglądała, jak gdyby była ze złota, potem ściemniała do brązu. Mimo to skóra cały czas była przeważnie biała. Wydawało się, że ta biel jest właściwością niezależną od odcieni światła i wody.

Johan cofnął się, bo nie chciał widzieć więcej. Ani przez sekundę nie pomyślał o tym, żeby zejść pomiędzy kamienie oblewane silnym prądem wody, poruszyć ją i próbować podnieść. Była pozbawiona krwi i równie zimna jak woda z odwilży w górach, pędząca teraz ponad nią. Nie musiał jej dotykać, żeby to wiedzieć.

Gdy przedostawał się znów w górę mokradła, myślał tylko o tym, jak to powiedzieć Mii. Kiedy znalazł się na miejscu, zabrakło mu odwagi. To Birgerowi powiedział, a on, ten duży, ciężki mężczyzna, zgiał się wpół. Jak gdyby dostał cios w żołądek. Wydobyl się też z niego jakiś dźwięk. M» podbiegła.

414

- Co się stało? - krzyknęła.

Nigdy nie słyszał, żeby jej głos był tak piskliwy. Zdawało się, że Birger nie może złapać tchu. Johan też nie mógł wydobyć głosu.

- Gdzie ona jest?

- Pod wodą - zdołał jedynie wykrztusić. Zaczęła biec ku rzece, cały czas mówiąc coś piskliwie. A może krzyczała? Nie rozróżniał słów, ale to brzmiało, jakby komuś wymyślała. Może mamie. "Wtedy Birger się ocknął. Poczłapał za nią i w ostatniej chwili ją podtrzymał, bo byłaby upadła. Johan stał w miejscu, słyszał, jak płacze z otwartymi ustami. Jej głowa miotana się na boki. Wtedy Birger schwycił Mię i przycisnął jej twarz do swego ramienia, tak że dźwięk stał się przytłumiony. Johan, patrząc na nich, miał wrażenie, że widzi dwoje obcych ludzi.

!.-w,

415

Annie powiedziała kiedyś, że jedyną rzecz dotyczącą swojej śmierci wie na pewno. Że zostawi po sobie pokaźny śmietnik. Chyba nie miała na myśli śmietnika w dosłownym znaczeniu. A może miała? Musiała pewnie wtedy mówić

o dzisiejszych mieszkańcach Zachodu. Lub coś w tym rodzaju. Birger nie pamiętał. Ogarnęła go gwałtowna irytacja

i wiedział, że ów stan poprzedza atak bólu, który zaraz nastąpi.

To się zdarzało często. Odczuwał złość. Jego zdaniem, wygadywała masę niepotrzebnych bredni. Jej żart - o ile nim był - stał się teraz prawdziwą ironią losu. Jeśli można to tak nazwać. To? Zresztą cóż to jest ironia? Tak czy owak, nie mógł tego wytrzymać. Wszystko to było czymś tak bezosobowym. Pochodziło znikąd.

Chciało mu się krzyżeć, naturalnie jednak nie krzyżał. Tylko często przystawał z otwartymi ustami.

Mia sprzątała. Miała spoconą twarz, na rękach rękawiczki ogrodowe. Śmiecie z szopy wrzucała do czarnego worka. Był gotów nawet jakoś niezdarnie jej pomóc. Ale nic z tego nie wyszło.

Do Czarnej Wody nie przyjeżdżał od dnia pogrzebu. Teraz był lipiec, powietrze ciężkie od wilgoci i zapachów. Gdy przyszedł, Mia uściskała go serdecznie. To miłe z jej strony-Potem wróciła do sprzątanania.

416

Johan biegał tam i z powrotem z jakimiś pudłami i torbami. Birger usiadł na skrzyni w szopie i ogarnął wzrokiem cały ten bałagan. Próbował spojrzeć na każdą rzecz osobno. Rolka taśmy, sznury elektryczne, ruszty do grilla, śrubokręt-ry, gwoździe. Mnóstwo stemplowanych znaczków pocztowych w plastikowych torebkach, długopisy, wieszaki, szpikulec do mięsa, motyka bez trzonka, kółka do firanek. Okrągła siatka. Przypomniał sobie, że miała zostać umocowana na reflektorze samochodowym, aby chronić szkło przed uderzeniami kamieni. Ale o ile wiedział, Annie nigdy jej nie zamontowała. Smycz z supłami, drucziany stelaż do abażuru. Brudna skóra owcza, kawałki styropianu.

W wielu miejscach ta masa rzeczy była jeszcze nietknięta. Znał je, jak zna się wzór na starej tapecie. Tam, na tych nie ruszonych przez Mię, a przez niego jeszcze rozpoznawanych miejscach, nie powinno być żadnego bałaganu. Nie było go wcześniej. Tylko zwarty i zawity wzór. Teraz jednak ów wzór został zniweczony przez to. Ten absolutnie bezosobowy - nieludzki? — nastrój, który on brał za ironię. Jak gorycz, choć nie mogło to mieć ani smaku, ani zapachu.

Stalowy drut w falistych skrętach. Bezpieczniki, szczotki do włosów pełne psiej sierści. Saddle i jakiegoś jaśniejszego psa. Mutry, węgiel do grilla, szpachła, pusta tuba po kleju, plastikowa pokrywa, doniczki, dziurawe buty. Puszki po konserwach, filiżanki bez uszek. Dwie duże, ładne donice z Hógonas. Stosy gazet. To z czasów Aagot. Płyty pilśniowe, arkusz szmergla, młot kowalski, mnóstwo kalendarzy powiązanych sznurkiem, karnisze, płyty brzozonej kory. Papierowe torby pełne gontów, nie było tu jednak żadnego dachu 2 gontów. Sześciokątne klucze z IKEA. Łyżka do butów, pływak do wędki, kijki narciarskie, błyszczące z zardzewiałymi haczykami, butelki po winie, dreny, mufy, podbierak, podarty słomiany kapelusz, zgrzebło. Sitko do herbaty. Butelecзки

417

z lekarstwami, okulary słoneczne, lampa radiowa. Korki do uszu. Naprawdę, to były korki do uszu. Tu, gdzie cisza nocna jest tak głęboka. Żółte, brudne tworzywo podobne do gumy piankowej. Kijanka do objawiania Inu. Taką samą widzia w muzeum regionalnym. Stołki, siatki przeciw komarom i jakiś postument, młotek drewniany, szydło, świek, sznurek wadła, pokrywa od słoika do konfitur.

- Czego tak wypatrujesz? - spytała Mia.

Pokręcił głową, że niczego. Dopiero gdy zadała to pytanie, uświadomił sobie, że rozgląda się za pudełkiem naboju do strzelby.

- Niczego - powiedział.

- W takim razie nie siedź tu - powiedziała. W jej głosie brzmiała czułość.

Wyszedł w ciężkie powietrze. Róże w żywopłocie buchały kwiatami. Pachniały mocno i słodko. Wcale nie świeżo Annie mówiła, że pachną kadzidłem i mirrą. Innym razem, że pachną jak bogini miłości pod pachami, a podczas fa upałów jęczała, że pachną północnoafrykańskim burdelem. Co ona wygadywała?

Prawdopodobnie po to, by ożywić słowa, które inaczej nie zostałyby użyte. Teraz

powróciły,! pozbawione tej nuty niedbale rzuconego, dobrodusznego żartu. Jakiś głos wypowiedział je w nim. Nie mógł to być jego własny głos. W dodatku brzmiał zbyt mechanicznie, by być głosem ludzkim. Niemniej jednak był gorzki. Ostry.

Johan strzygł trawę. Za jego samochodem stały trzy wielkie worki śmieci. Teraz wyszedł z dwiema puszkac piwa, jedną podał Birgerowi. Usiedli na kijance do Inu, którą Mia wyniosła na trawę.

- Aha, podjechałeś tu samochodem - odezwał się Birger. i Johan nie potrzebował odpowiadać. Jasne, że nie chcieli: wlec worków na dół do drogi. Annie jednak nie lubiła, gdy ktoś podjeżdżał do góry. Johan nie mógł o tym wiedzieć. Na
418

wilgotnej ziemi odciskały się w trawie brzydkie ślady. Przez wszystkie te lata taszczyła zakupy i paczki książek w górę zbocza, powołując się na Aagot, a nawet na Jonet, która mieszkała tu wcześniej.

- Pamiętasz Edit, tę z góry, znad Westlundów? - spytał Birger.

Johan kiwnął głową.

- W marcu zeszłego roku złamała nogę i znalazła się w szpitalu, a potem w domu opieki dla przewlekłe chorych. W lecie przyjechała na górę rodzina i wszystkiego dopilnowała, bo Edit miała już tu nie wracać. Wielka kupa śmieci leżała dokładnie tam, gdzie zwykle parkujemy, kiedy wybieramy się na polowanie. Stare puszki po herbatnikach, sterty pism „Aret Runt”, dziurawe śniegowce i słoiki po konserwach. Wyrzucili nawet szmaty, z których Edit robiła chodniki.

Umilkł i pomyślał o tym, że na tej kupie śmieci leżało co najmniej ze dwadzieścia kłębow szmat. Pewnie nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić, a strasznie wtedy padało, i potem w jesieni były już na wpół zbutwiałe. Anna Starr poszła tam i sprawdziła to. Człowiek się zastanawia, co to za ludzie tak wyrzucają pocięte szmaty, powiedziała potem. Choć bardzo dobrze wiedziała, że to byli synowie i synowe.

- W każdym razie na szczycie tej całej góry śmieci leżał kapelusz Edit. Ten, który zwykle wkładała, kiedy szła rąbać drzewo czy nakopać kartofli. Brązowy filcowy kapelusz wyglądał jak puszka, z przodu miał dwa kwiaty z tego samego filcu.

Pamiętasz go?

Johan przyglądał mu się z boku, nie odezwał się jednak.

- Wszedłem na górę z psem, pożyczyłem beagle'a, to był listopad. Chciałem zobaczyć, czy kogoś tam zastanę. W połowie ścieżki usłyszałem, że ktoś rąba drzewo. Zapadł zmrok. Szedłem obok drewni Edit, tej, na której jest
419

napis CHATA 3, bo dostała ją od SCA. Wtedy ją zobaczyłem. Stała w środku, a kwiaty na tym starym kapeluszu chwiały się za każdym razem, gdy rozlupywała szczapę. Zamilkł.

- Więc wróciła - odezwał się Johan.

Dlaczego ja o tym opowiadam? - zastanawiał się Birger. Mówił, bo tak jakoś go naszło. W każdym razie pohamował się i nie zakończył historii tak jak zwykle: że gdy ujrzał tę szarobrazową sylwetkę w jesiennym zmroku, pomyślał, że dostał znak, iż Edit nie żyje. Pointa była jednak taka, że Edit żyła. Wróciła z domu opieki, wyciągnęła z kupy śmieci swój filcowy kapelusz i prawdopodobnie całą masę innych rzeczy i zaczęła rąbać drzewo na zimę. Ale tak jak opowiedział tę historię Johanowi, była pozbawiona pointy.

Zdarzało się, że mówił w ten sposób, sam nie rozumiejąc, do czego to prowadzi. Potem stanął mu przed oczami tamten grymas. Bez twarzy. W tych ostatnich tygodniach przeważnie milczał. Tak było lepiej.

Annie zostawiła go samego, pogardliwie uśmiechnięta. Nie był to jednak jej uśmiech. Był to zimny uśmiech bez twarzy.

Mia wyniosła brudną czarną pelisę i rozpięła ją. Podbicie było ze skórek kuny. Gęsto pozszywane skórki, mieniające się odcieniami brązu. Taki kolor futra mają kuny w lecie. Białe smugi na brzuchu i szyi. Szwy popękały. Wyglądało to tak, jak gdyby skórki zaczynały wylazić z palta.

- Myślisz, że należało do Aagot?

- Nie. Kiedy Aagot wróciła tu po wojnie, chodziła ubrana jak Amerykanka - odparł Birger. - To palto Jonetty. Jej siostry. Dostała je od Antarisa, z którym była zamężna. Był Lapończykiem.

Antaris musiał przez lata chwytać kuny w potrzaski. Prawdopodobnie dostała pelisę, ponieważ nigdy nie zadbał

420

o to, aby zalepić pęknięcia w obmurowaniu pieca albo spróbować ocieplić ściany. Dym wdzierał się do środka, a ona marzła. Antaris, gdy się żenił, był parobkiem u hodowcy renów. A teraz mieli krowy i kozy. Jonetta pochodziła z chłopskiej rodziny po drugiej stronie granicy. Antaris nigdy nie czuł się dobrze przy wiejskich zajęciach. Annie pokazała Birgerowi rozchodnik, który rósł na zboczu między kamieniami. Był tam też dzięgiel. Coś w tym rodzaju Antaris przynosił Jonecie do domu. I pozwolił jej uszyć pelisę. Mimo to musiała nieźle marznąć. Gdy Antarisa i Jonetty już tu nie było i wprowadziła się Aagot, wstawiła elektryczny kaloryfer.

Chociaż nie od razu. Przypomniawszy sobie styczniową burzę. Pierwszy raz przyjechał wtedy do Czarnej Wody. Był późny wieczór, w szarej zamieci śnieg walił tumanami i zasypywał drogi. Birger w ogóle nie wiedział, gdzie jest. Wtedy w jednym oknie zobaczył światło. Zamigotało wysoko w górze, powyżej drogi. Była to lampa elektryczna, ale wydawało się, że chwilami nawałnica przytłumia jej światło.

Rozumiał, że w każdej chwili może wysiąść prąd i wieś pograży się w ciemności, wylazł więc z samochodu i zaczął brnąć w śniegu do chaty, póki jeszcze coś widział. Chciał zapytać, gdzie jest. Przed gankiem była już zaspą śniegu. Gdy zerknął przez okno do kuchni, zobaczył jakąś kobietę, która czytała, siedząc na krześle przed piecem. Stopy trzymała na drzwiczkach. Czytała spokojnie, a on stał tam tak długo, że widział, jak odwraca kartki książki.

Potem zapukał w szybę, ale chwilę trwało, zanim go usłyszała. Szalała przecież zamieć. Przez otwarte drzwi do pokoju zobaczył, że kobieta ma włączony telewizor, choć nic nie było słychać. Na ekranie błyskał biało-czarny obraz ~ burza piaskowa czy jakaś inna okropna zawierucha. Kobieta przed piecem czytała, nie podnosząc wzroku. ,

421

- O czym myślisz? - spytała Mia.

Pokręcił głową, że o niczym szczególnym. To nie było coś, o czym można by opowiadać akurat w tym momencie. Ale pomyślał, że Annie przejęła życie Aagot. Wszystko było gotowe, cały model, tylko w niego wejść. Oczywiście zmodyfikowała je. Był to jednak styl życia, który przejęła wraz z domem. Choć Aagot nie potrzebowała sypiać ze strzelbą pod ręką.

- Myślałem o tym, że kiedy po raz pierwszy tu przyjechałem, szalała zamieć - powiedział. - Było prawie piętnaście stopni zimna, a z pewnością jeszcze gorzej w porywach wiatru.

- Trzydzieści jeden było, gdy przyjechałem tu parę lat temu - odezwał się Johan. - Czerń jak atrament i biel. Ani żywej duszy.

- Nie wiedziałem, że byłeś tutaj od czasu, kiedy przeprowadziłeś się do Langvasslien

- powiedział Birger.

- Tak, przyjechałem raz wieczorem w zimie, rzucić okiem. Potem wróciłem przez granicę do domu. Więcej nie. No i teraz, kiedy byliśmy w Nirsbuan i przywiozłem tutaj Mię.

- Przywiozłeś Mię tutaj?

- Tak, przyjechaliśmy około czwartej. Potem spałem w samochodzie.

Zaparkowałem w dole na Tangen.

- Ale nie podwiozłeś jej aż na górę?

- Naturalnie, że podwiozł - powiedziała Mia. - Nastawię kawę. Przynies tort z zamrażarki, Johan.

Saddie okazała powściągliwą radość z przyjścia Birgera i teraz leżała przy jego stopach. Próbował coś do niej powiedzieć, ale gdy spojrzała w górę swymi mrocznymi oczami, łagodnie machając ogonem, zaczął płakać. Wokół nosa była siwa. Nie pamiętał, ile miała lat.

Johan przyniósł z piwnicy czekoladowy tort z bitą śmietaną i postawił go w słońcu, żeby odtajał. Potem go jedli*

422

a Birger zastanawiał się, czy to może być tort, który został ze stypy. Do jakiego właściwie stopnia Mia była praktyczna?

Po pogrzebie, kiedy pili kawę w hotelu, siedział obok matki Annie, starej Henny. Zabrał ją z lotniska, a ona bardzo ciężko oparła się na jego ramieniu i z wielkim trudem posuwała się na obolałych nogach. Ani razu nie wybuchnęła płaczem czy gniewem na bezsens i okrucieństwo zawarte w tym, co się przydarzyło jej jednemu dziecku. Grała swoją rolę. I wcale nie było w tym fałszu czy udawania. To, co się stało, znosiła w taki sam sposób, jak zniosła sporo w swoim długim życiu; przyjęła to, jak gdyby to była rola napisana dla niej i dla nikogo innego.

Dała mu siłę. Z tych trzech tygodni, które minęły, zanim dostali pozwolenie na pochowanie Annie, niewiele pamiętał. W końcu musiał wziąć zwolnienie lekarskie. Gdy zobaczył tę niską, czarno ubraną, przysadzistą damę o spuchniętych kostkach, schodzącą po schodkach samolotu, ogarnęła go fala współczucia i czułości.

Pierwszy raz od czasu, gdy to wszystko się wydarzyło, poczuł coś innego niż zmieszanie, które przypominało niekiedy odurzenie alkoholem lub odrętwienie. Chwilami tylko zastępował je ostry ból, zlokalizowany tuż nad przeponą. Między atakami wpadał znów w ten sam stan dziwnej bezradności. Czy raczej niemocy, jak teraz sądził.

To, co poczuł do Henny Raft, owładnęło nim nagle i nieoczekiwanie i pomogło mu podczas pogrzebu. Tylko kiedy rozległy się wysokie głosy kościelnego chóru, znów przeszył Birgera ból, który dosłownie przygiął go do przodu i sprawił, że wydal z siebie jakiś dziwny dźwięk. Wtedy Henny położyła na jego ręce dłoń ozdobioną pierścieniami, z których najbardziej rzucał się w oczy ogromny krwawnik w markazytowej oprawie, i trzymała ją tak długo, aż znów wógl normalnie oddychać.

423

- Znalazłaś jakieś pudełko po nabojach? - spytał Mię. Zobaczył, że zbladła. Na skórze uwidoczniły się piegi. Była brudna od sprzątania w szopie.

- Dlaczego pytasz?

- Przecież musi jedno być.

Śrut wystrzelony z bardzo małej odległości trafił Annie w dolną część piersi i w przeponę. Strzał spowodował poważne rany, ale nie od nich zmarła. Według raportu, prawdopodobnie potknęła się, przechodząc rzekę w bród. Strzelba była

odbezpieczona i wystrzeliła. Podczas wiosennego wezbrania poziom wody tak się podniósł, że kiedy upadła, utonąła.

- Miała dwa naboje za zegarem radiowym - powiedział Birger. - Leżały tu. Policja je wzięła. Widziałem je w nocy, gdy szukałem strzelby. Ale nie zauważyłem pudełka po nabojach.

- Myśmy też żadnego nie widzieli.

- A powinniście, jeśli policja się nie myli.

- Dlaczego ty to mówisz? - spytała Mia. Z jej oczu zaczęły toczyć się łzy, rozmazując brud na policzkach.

- Nie ma żadnego pudełka - odparł Birger. - Ona miała tylko te dwa naboje.

Mia płakała, nie słuchając już, co dalej mówił, ale Johan stał się uważny.

- Nie sądzę, żeby miała ze sobą strzelbę - ciągnął Birger. - Myślę, że to ktoś inny ją wziął i poszedł za nią. Ktoś, kto nie wiedział, że naboje leżą za zegarem radiowym. Jestem pewien, że te dwa śrutowe naboje były jedynymi, jakie miała. Nigdy nie widziałem tu żadnego pudełka z nabojami. Nie była myśliwym. Nauczyła się ładować strzelbę. Nic więcej-Ta strzelba nawet nie była jej własna. Tak, zapłaciła za nią-Ale to Roland Fjellström pomógł jej ją kupić. Licencja na broń była jego. Dał jej dwa naboje. Pamięta to dobrze.

424

- Mówiłeś o tym policji? - spytał Johan.

- Oczywiście.

- Przestańcie - poprosiła Mia. - Nie chcę więcej tego słuchać. To potworne. Wszyscy wygadują mnóstwo okropieństw. Wiesz, co stary Enoksson powiedział w sklepie? Że jego ojciec też skończył ze sobą. Tak oni myślą!

- Ale my nie - powiedział Birger.

- Przysięgał, że Magna Wilhelmsson w Byvängen mówiła mu, że ci, co ze sobą kończą, muszą odradzać się na dwadzieścia sześć tysięcy lat jako biedni Hindusi.

- Magna jest pomyłona - powiedział Birger. - Powinna zostać zamknięta w muzeum regionalnym.

- Ale mama wzięła na siebie mnóstwo złego karmanu. Birger nie wiedział, czy Mia mówi poważnie, czy też

używa po prostu współczesnego żargonu, którego nie rozumie. Zobaczył, że Johan też nic z tego nie pojmuję. Teraz objął ją ramieniem.

- Byłem znów na policji - powiedział Birger. - Oni wiedzą, że dzwoniła do mnie i bała się. Ich zdaniem, to by wyjaśniało, dlaczego wyszła ze strzelbą. Naprawdę się bała.

Ale oni uważają, że ona tylko sobie ubrdała, jakoby kogoś zobaczyła. Albo jej się to śniło. Nie można stwierdzić, że istotnie widziała kogoś w nocy. Jeśli nie pojawi się nic nowego, mówią.

- A nic nowego nie ma - powiedział Johan.

- Jest. Właśnie się pojawiło.

- Co takiego?

- Mogła przecież zobaczyć ciebie - powiedział Birger. Nie podobał mu się płacz Mii. Przed chwilą sam się

rozplakał, gdy zobaczył Saddle, która - niezdolna do rozpacz, mogła tylko czekać. Mia, zanosząc się od płaczu, pobiegła do domu. Udaje bardziej dziecinną, niż jest, pomyślał, gdy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

425

- Przypuszczam, że jej także mogło to przyjść do głowy - powiedział. - Mówiła coś na ten temat?

- Nie.

- A ty? Myślałeś o tym?
- Jasne, że tak.

Johan wyglądał teraz starzej. W obecności Mii sprawiał wrażenie młodszego. Może tego właśnie chciała. Na ułamek sekundy Birgerowi stanął przed oczyma obraz starzejącego się mężczyzny, który robi pompki i próbuje wciągnąć brzuch. Johan był w wieku Tomasa, a to musiało oznaczać, że jest jedenaście czy dwanaście lat starszy od Mii.

Johan podniósł się i poszedł do niej. Birger ruszył za nim. Z kuchni dolatywały głuche odgłosy. Wszedł do środka i zobaczył, że Mia sprząta także tutaj. Pociągając nosem, wyjmowała ze spiżarni na wpół opróżnione torebki mąki, cukru i płatków owsianych. Johan stał przed zimnym piecem z rękami wciśniętymi w ciasne kieszenie dżinsów. Była to nienaturalna, a w każdym razie niezbyt wygodna poza. Przygryzając górną wargę, patrzył na Birgera. Sprawiał wrażenie, jak gdyby czekał, że Birger będzie mówił dalej.

- Myślisz, że to ciebie widziała?
- Tak. Prawdopodobnie zobaczyła mnie przez okno w kuchni. Staliśmy przez chwilę tu na dworze.
- Dlaczego policja o tym nie wie?
- Nastąpiło pewnie jakieś nieporozumienie.
- Przez cały czas miałaś świadomość, że widziała ciebie i uważała, że jesteś podobny do tamtego chłopaka?

Nie odpowiedział, tylko skinął głową.

- Mimo to milczałeś.
- Tak. Ale to nie jest tak, jak ty myślisz.
- A jak, według ciebie, ja myślę? - spytał Birger. Johan tym razem także się nie odezwał.

- Musimy opowiedzieć o tym policji - powiedział Birger-426

- Tak. Rozumiem, że tak uważasz.
- A ty tak nie uważasz?
- Nie.
- Mia?

Była brudna i bardzo blada. Na poszarzałej twarzy piegi zrobiły się prawie ciemnobrązowe. Patrzyła na Johana. W kącikach ust pokazały się dziwnie ostre rysy. Nie pasowały do gładkiej, młodej twarzy. Birger przypomniał sobie, że jako dziecko była małą wybredną panienką. Jej twarz przybierała taki wyraz zawsze, gdy patrzyła na kozie mleko czy rybie wnętrzności.

Poznawał ją na nowo, gdy przyjeżdżała do domu na weekendy jako nastolatka. Była niecierpliwa i porywczą. Chodziła wtedy do wyższych klas podstawówki, potem do gimnazjum w Byrangen i wściekała się na Annie, że się stamtąd wyprowadziła i przyjęła pracę w Czarnej Wodzie. W ostatnich jednak latach zaczęła przejawiać jakąś siłę czy równowagę - czy co to tam, u diabła, było - tego rodzaju, jakiej Annie nigdy nie miała. Mia wiedziała, czego chce, i przeważnie to zdobywała. Po maturze studiowała etnografię i jakieś tam inne przedmioty, które nie wydawały się szczególnie przydatne w życiu. Mimo to do tej pory nie była bezrobotna, choć znajdowała zatrudnienie tylko przy krótkoterminowych projektach gminy czy uniwersytetu. Jest w zaplanowanej ciąży, pomyślał. To więcej, niż jej matce udało się osiągnąć kiedykolwiek. Ma wykształconego i w dodatku przystojnego mężczyznę. Trochę w latach, oczywiście, ale to może być coś, czego sobie właśnie życzyła. Pewnie to nawet dla niej atrakcyjne. Nie mógł sobie wyobrazić Mii uwikłanej w

związek z jednym z takich młodzieńców, jakich za czasów jego studiów nazywano niekonwencjonalnymi. Liberalni neurotycy, którzy zamieszkiwali z dziewczynami na próbę i odsuwali się od nich na próbę, jak ameby. Jak ten cholerny Góran Dubois, pomyślał.

427

- I co z tym teraz zrobimy? - spytał Birger.
- Po coś tu przyszedł? - Głos Mii zabrzmiał ostro.
- Przecież wiesz po co. Przyrzekłem zaopiekować się Sddie.

Zaczęła przesiewać mąkę do miski. i

- Zamierzasz coś piec? - spytał głupio.
- Przesiewam, żeby zobaczyć, czy nie ma mączników. Nagle ogarnęła go na nią ślepa wściekłość. No, dalej, pomyślał. Wszystko, co myślałaś, całą krytykę, którą musiałaś zatrzymać w sobie - bo jednak czułaś przed nią respekt! - możesz teraz wyładować w działaniu. Sprzątać, porządkować, czyścić. Wymazać. Tu będzie letni dom, mówisz. Pewnie jednak niezbyt długo. Sądzę, że go sprzedasz, powiedział cicho do jej pleców. A jak sprzedasz, wkrótce zapomnisz.

Cholera, ależ ci młodzi ludzie potrafią być wstrętni! Cholera, jakie to wszystko razem jest wstrętne i obrzydliwe. Żyć i walczyć, a potem zostać powalonym przez anomalię w tworzeniu się komórek albo skupisko bakterii, albo kilka kulek śrutu - albo wodę! Uczestniczyć przez wodę. Dlaczego ona tak powiedziała? Ja uczestniczę przez wodę.

Ludzie żyją i mówią - między innymi masę quasi-religijnych bredni - i próbują trzymać się razem, choć każdy cały czas wie, że zginie - nie, rozplynie się. Zostanie uczestnikiem na serio. To wstrętne. Niesamowicie wstrętne. Ale i tak najgorsze jest to, że ci młodzi ludzie w taki ohydny sposób to ignorują. Nie, oni po prostu nic o tym nie wiedzą. Mają wszystko w ręku. Planują! A niektórzy z nich nigdy się nie zestarzeją.

Johan stał, patrząc na niego, i Birger poczuł, że tamten rozumie jego złość. Odwrócił się i wyszedł. Sddie wciąż leżała koło stołu. Tort się rozpuścił. Siedziały na nim muchy-

428

Nie zaplanowane, pomyślał złośliwie. W każdym razie coś jest nie tak, jak powinno. Jestem człowiekiem zbędnym, mawiała Annie. Te słowa brzmiały mu w uszach tak wyraźnie, jak gdyby w tej chwili słyszał jej głos. W tym ciepłym, ciężkim od woni powietrzu. W szeleście osiki. Trzeźwa ocena: jestem człowiekiem zbędnym.

Nie mogę dopatrzeć się szczególnego sensu w swoim życiu. Dużo czytam i lubię być sama. Lubię też być z tobą. I lubię ptaki, i szum deszczu.

Szelest osiki, pomyślał. I te suche szelesty jesienią, kiedy liście spadają na ściętą przymrozkiem ziemię. Miała zwyczaj stawać na ganku i słuchać.

Powoli złość i odraza ustąpiły. Czuł się tylko bardzo zmęczony, kompletnie wyczerpany. Wziął tort i znów wszedł do kuchni.

- Zabieram Sddie i jadę do domu — powiedział. — Tak będzie najlepiej. A wy musicie to przemyśleć.
- Nie ma tu nic do przemyślenia - powiedziała Mia. Birger nie odpowiadał. Podszedł do szafki pod zlewozmywakiem i otworzył ją.
- Czego chcesz? - Jej głos był ostry.
- Miskę Sddie. Chcę też jej smycz. I tę starą owczą skórę. Wtedy pojedę.

Odprawiał go Johan. Nadal miał ręce wciśnięte w kieszenie dżinsów. Wyglądało to trochę nienaturalnie. Przeciągał pożegnanie na dole przy samochodzie, jak gdyby

bał się wracać do kuchni i do Mii. To im się zaczyna rozlatywać, pomyślał Birger. Może zupełnie niepotrzebnie. Ogarnęło go uczucie tej bezradności, która owładnęła nim od chwili, gdy zaczął szukać Annie. Poczucie współdziałania i bezradności.

429

Wieś nigdy nie miała tyle krów co podczas wojny. Pełne tłuste mleko można było kupić jeszcze w latach pięćdziesiąt-J tych. Potem trawa zrobiła się marna i zbita, a pastwiska zarosły chwastami. Przywędrowały pędy brzoź i nie dająca się wykorzenić wiklina.

Wreszcie przybyli turyści. Chcieli zobaczyć Lobberanj Społeczność, która swoją żywotność czerpie z przestępstwa! musi przecież czcić tę wieś i jej tajemnicę, ponieważ tajemni^{ca} owa nie została odkryta. W tym tkwi jej bezwzględna siła. Takie było przekonanie Annie. Tak mówiła.

Odkryjesz tajemnicę, siła wycieknie i wieś stanie się jedną z wielu umierających wiosek. Miejscem, którego nikt nie widzi i o którym nikt nie wie. Siła przejdzie na tego człowieka, który to zrobił, i już nigdy nie odkryjesz jego tajemnicy. Jest jednak pociągająca jak zapach mięsa wiszącego odpowiednio długo, żeby skruszało. Mroczny los tamtego w szybkich elektronicznych błyskach zostaje przeniesiony na ciebie. Wieś jednak umiera.

I była konsekwentna, pomyślał gorzko. Ani jednej wzmianki, która mogłaby osłabić zagadkową siłę wsi.

430

Johan Brandberg powiedział Birgerowi do widzenia, po czym ruszył w górę stromego zbocza do domu. Podchodząc, zadyszał się. Rozzłościło go to, bo uważał się za wysportowanego. Powietrze było jednak bardzo ciężkie i wilgotne. To różę rozsiewały tę aromatyczną, omdlewającą słodką woń. Stara odmiana, rosnąca w wielu miejscach wsi, o ciemnopur-purowych podwójnych kwiatach. Krzak był obsypany kwiatami, ich ciężkie główki zwisały się ponad tarasowo ułożonym kamiennym murkiem przed szopą. Wiele z nich przekwitło i ukazywało środki - upadek i rozkład. W tym stadium wyglądały bezwstydnie. Te, które się jeszcze trzymały, były pełne muszek i trzmieli. Skoro człowiek hoduje tak obficie kwitnący gatunek, powinien ściąć kwiaty, zanim się zrobią obsceniczne. Zastanawiał się, czy Annie miała zwyczaj obcinać zwiędłe główki kwiatów. Niewiele o niej wiedział. W każdym razie Mia ich nie obciąła.

Zirytował się na Mię. I rozzłościł. Uświadomił sobie to jednak dopiero wtedy, gdy w myślach skierował ku niej osobliwą pretensję, że sama powinna wpaść na to, aby poobcinać różę.

Przez trzy dni czyściła i sprzątała. Ciężka i brudna praca, w dodatku bolesna dla niej. Próbowwała uciec przed szokiem i wyniszczającym żalem. Możliwe, że tylko je odsuwała. Nie 'ttogł przecież wyrzucać jej tego, że próbowała to uczynić siłą

431

woli i ciężką pracą. Była w ciąży i chciała być szczęśliwa. Użyła tego słowa.

Przypuszczał, że jednak miała na myśli coś skromniejszego niż szczęście. Po prostu stan dobry dla dziecka. Teraz mówiła: dziecko.

Rozumiał, że Mia go osłania, i teraz czekał, kiedy zacznie z nim o tym mówić. Ale nie uczyniła tego. Nigdy by nie przypuszczał, że zapanuje między nimi tak ciężka atmosfera. Nie rozumiał też, jak mógł akceptować to przez ponad miesiąc.

Prawdopodobnie dlatego, że nie był pewien, czy osłania go rozmyślnie.

Sytuacja stała się uciążliwa i trudno mu było się w tym wszystkim połapać. Usiadł przy stole ogrodowym. Wiedział, że Mia widzi go z kuchni. Policja pytała ją, czy wie,

kogo Annie mogła zobaczyć. Czy wspomniała o kimś, gdy piły rano herbatę? Nie, nie wspomniała. A gdy Mia przyszła w nocy? Nie, wtedy się nie zbudziła.

- Twój narzeczony nie podjeżdżał samochodem na górę?

- Nie, nie podjeżdżał.

Tak samo prosto i tak samo jasno, jak odpowiedziała Birgerowi: „Naturalnie, że mnie podwiózł”.

Odpychał od siebie tę myśl, ale dłużej było to już niemożliwe. Jeśli go osłania, to dlatego, iż w jej przekonaniu istnieje powód, dla którego trzeba go osłaniać. A jeśli nie zna tego powodu, to tym gorzej. To właśnie sprawiało, że ciężko było oddychać. Wstał i wszedł do domu. Stała odwrócona do niego plecami, nadal zajęta papierowymi torebkami z szafki.

- Pojechał?

- Tak. Był zgnębiony.

- Już dłużej nie mogłam go znieść - powiedziała. - Przy" kro mi. On jest jak stary, wilgotny grzyb.

- Nie chciałabyś, aby powiedział policji, że twoja mnie widziała?

432

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia. Wszystko stanie się tylko jeszcze straszniejsze. Zobaczyła cię i uznała, że jesteś podobny do tamtego chłopaka. To przecież oznacza tylko, że on ma rację. Kogoś zobaczyła. Przestraszyła się. Dlatego wzięła ze sobą strzelbę.

- To ja byłem tym chłopakiem.

Sprawa to bardzo dziwne wrażenie, ale ona naprawdę dalej przesypywała ryż z jednego pudełka do drugiego, które nie było pełne.

- To ja biegłem po ścieżce w górę w noc świętojańską - powiedział Johan. - Byłem w drodze do Nirsbuan. Nawet nie wiem, czy tam chciałem iść. Tylko biegłem. Potem jednak poszedłem do chaty i przespałem w niej parę godzin. Rano popłynąłem kajakiem do Róback i złapałem okazję. Twoja mama miała na myśli mnie, kiedy dzwoniła do Birgera.

- Ty byłeś tym cudzoziemcem?

- Tym Lapończykiem.

Wypowiedział te słowa z nieprzyjemną zaciętością w głosie i sam uznał, że to dziecinne.

- Ona wtedy była tu nowa. Dla niej wyglądałem pewnie jak cudzoziemiec. Wzięła mnie za Azjatę. Inni powiedzieliby. Mongoł. Miałem długie włosy, ciemniejsze niż teraz.

- Aha - powiedziała Mia.

- Mia, nie powiedziałaś policji prawdy. Powiedziałaś, że nie podwoziłem cię na górę do domu.

~ Tak powiedziałam? Wtedy się rozzłościł.

- Teraz nie jesteś uczciwa - powiedział. - Czego ty się boisz? Sformułuj to przynajmniej na własny użytek. Tamtej nocy nie zadźgałem dwojga ludzi w namiocie. I nie szedłem za nią z jej własną dubeltówką, i nie zabiłem jej. To wiesz bardzo dobrze. Byłem u ciebie, w Óstersundzie.

433

- Gdy się obudziłam, ciebie nie było.

- Wyszedłem, żeby zadzwonić. Do Gudrun.

- Wyszedłeś, żeby zadzwonić?

To nigdy nie powinno zostać powiedziane. To nie powin-j no zostać pomyślane. To było tylko jakieś słowne delirium]

- Mia, nigdy by ci nie przyszło do głowy mnie osłaniać! gdybyś naprawdę myślała, że jestem zdolny do czegoś złego! Ale jeśli zaczniesz kręcić, doprowadzisz się do takiego stanu że możesz rzeczywiście zacząć mnie fałszywie oceniać.

- Kręcić? To ja kręcę?

Tego popołudnia powiedziała wiele rzeczy. Gdy został sam - na leśnej drodze na północ od Lersjóvik - uświadomił sobie, że to on poszedł prosto do kuchni i wywołał katastrofę. Miał zamiar być wobec niej szczery i tym samym zmusić ją do szczerości także w stosunku do siebie. Pragnął, aby jego życie z Mią było przejrzyste. Jak czyste powietrze. Ciągle trudno mu było zrozumieć, gdzie leży błąd. Opowiedział jej, że wyrósł w atmosferze przemilczeń i zatajeń, ale udało mu się z tego wyrwać.

- Uciekłem stamtąd. Wiem całkiem sporo o nienawiści, która rodzi się w takim osadzie milczenia i podejrzeń. Moja matka miała dwadzieścia jeden lat, gdy zaszła w ciążę. Nie wiem, jakie snuła nadzieje i plany. Wiem tylko, że ojciec dziecka, to znaczy mój, miał już żonę. Był Lapończykiem, tak samo jak matka. Zaczęła wtedy prowadzić dom Torstenowi Brandbergowi, który stracił żonę i został sam z trzema synami i niemowlęciem. Nie wiem, czy Gudrun postanowiła zdobyć ojca dla dziecka, czy tak się tylko złożyło. W każdym razie gdy Torsten się z nią żenił, pewnie sądził, że to on jest moim ojcem. Z czasem jednak musiał zrozumieć, że został oszukany. Spójrz na mnie. Nie wyglądam na Szweda. Tym

434

bardziej nie wyglądałem jako dziecko. Myślę jednak, że nigdy nie padło słowo na ten temat. Jestem przekonany, że oni milczeli, milczeli i milczeli. I wyrastałem w tym mętным osadzie podejrzeń, upokorzeń i rasistowskich wybuchów, osłaniany przez potężną siłę. Matczyną miłość, Mia! Strzeż się jej!

- Jesteś niespełna rozumu - powiedziała cicho i ostro.

- Tak! Matczyzna miłość ma gęstą, gęstą krew. Zawiera substancje, które znajdziesz u suk i szczuryc. Przez osiemnaście miesięcy jest dobra. Właściwa i konieczna. Po dwudziestu czterech miesiącach musi się stać ludzka. Humanistyczna. A nawet sucha i rzeczowa. Musi otrzymać niewielką domieszkę obojętności, myśli o czymś innym. Uciekłem od niej. Nie chciałem, żeby moje dziecko rosło w tej gęstej i mętnej zupie. Pragnę, żebyśmy, ty i ja, wiedzieli dokładnie, na jakim gruncie stoimy.

- Dlaczegoś nie powiedział, że to ciebie mama widziała?

- Właśnie mówię teraz.

- Nie zająknąłeś się o tym nawet słowem, dopóki nie zostałeś do tego zmuszony.

Mogłam przeżyć z tobą całe życie, nie wiedząc, że tamtej nocy byłeś nad Lobberan.

- Przecież to nie miało nic wspólnego z tobą. Wydarzyło się na długo przedtem, zanim się pojawiłaś.

- Byłam tam.

- Miałaś sześć lat.

- Czy wszystko, co się wydarzyło, zanim dorosłam, zostanie pominięte? Czy nie dotyczyło ciebie?

W jego pamięci ta rozmowa, kłótnia czy też wyznanie pozostało tylko repetycją. Od czasu do czasu następował wybuch, niby punkt zaczepienia w tym potoku powtórzeń, w tym nasilającym się rozpadzie.

- Uważam, że jesteś wstrętny.

Te słowa także próbował rozważyć na spokojnie. Oznaczały one: przerażasz mnie.

Przeraża mnie wszystko, w czym

435

brałeś udział beze mnie. To jednak nie pomogło. Lepiej przypominał sobie własne odczucia, jakim zaskoczeniem były dla niego te ciosy, które trafiały go zniemacka. Tak, też był przerażony. Choć wyraził to oględniej niż ona:

- Teraz jesteś nielogiczna, Mia.

Oboje mieli urlop. Zamierzali uporządkować dom Annie, a potem wybrać się do Langvasslien, żeby łowić ryby i połączyć po górach. Nagle powiedziała, że zamierza pojechać do Sztokholmu, że żał jej starej babci i chce się nią zaopiekować. Może pojedzie z nią na Wyspy Alandzkie.

Nie mógł sobie wyobrazić, żeby Henny Raft chciała opuścić swoją kawalerkę w Gardet i na spuchniętych nogach wchodzić na pomost promu płynącego na Wyspy Alandzkie. Pragnęła być w domu, karmić swoje mewy i wrony i kłócić się z sąsiadami i komisją sanitarną. Uchodziła za oryginalną starszą panią (w oczach tych, którzy nie traktowali jej jako na wpół zwariowaną babę, pozwalającą wronom i mewom paskudzić balkony) i z godnością starała się sprostać temu wyobrażeniu innych o niej.

Powinien był udawać, że Mia postępuje dobrze lub przynajmniej słusznie, planując wyjazd z babcią na Wyspy Alandzkie. Ale znalazł się w pułapce postępującego rozpadu i próbował przekonywać ją, że naprawdę chce czegoś innego, niż opiekować się staruszką.

Później doszedł do wniosku, że całkiem po prostu pragnęła trochę spokoju. Ale on nie mógł zostawić jej w spokoju, chciał, żeby wszystko było dobrze. Będą spać ze sobą, rozmawiać o dziecku, chodzić po górach, łowić ryby, fotografować - wszystko będzie normalnie, od razu i na zawsze.

Właśnie dlatego zmusił ją do wypowiedzenia rzeczy, które nigdy nie powinny zostać wypowiedziane. Chciał mówić o dziecku, ona nie chciała. Powiedziała, że nie jest pewne, czy

436

w ogóle będzie dziecko. Powinien był wtedy przestać, przeraził się jednak i wyrzucił z siebie:

- Nie możesz poronić, to niemożliwe, co ty właściwie masz na myśli?

Nie powiedziała tego. Ale jej głos był zimny i stanowczy, gdy mówiła mu, że nie zamierza popełnić błędu swojej matki.

- Wiem, co robię. Chciałam zająć w ciążę i zaszłam. Nie mam jednak zamiaru żyć samotnie z dzieckiem. To marna egzystencja.

Mogło to stanowić jakąś gwarancję, że zostaną razem. Ale nie był tego pewien. Spakowała swoje rzeczy i opróżniła lodówkę. Nic nie jedli, a ona nie spytała, czy jest głodny. Przyjechali dwoma samochodami, zamierzali część rzeczy Annie zabrać do Östersundu. Teraz zostawiła pudła w kuchni i obstawała przy tym, że odwiedzi babcię.

Jechał do miasta pierwszy. Myślał, że uzgodnili, iż zatrzymają się na odpoczynek w miejscu, w którym zwykle stawała. Kiedy jednak skręcił w leśną drogę na północ od Lersjövik, wyprzedziła go i zniknęła za zakrętem. To było absurdalne. Tak dziecinne, iż trudno mu było pojąć, że jednocześnie jest poważne i niebezpieczne. Że jego jedyną nadzieję stanowi teraz ta gęsta, gęsta krew. Matczyne substancje. Zupa, która byłaby wystarczająco esencjonalna i mętna, aby powstrzymać ją od zakończenia wszystkiego w kliniczny sposób.

437

Przez lata widział wielu martwych ludzi. I widział członków rodziny obok tych nieżywych ciał. Byli tacy, którzy ich dotykali w odruchu delikatnej pieczyoty. Większość jednak zachowywała się sztywno. Siedzieli wyprostowani na krzesłach,

licząc minuty. Zwykle szło o minuty. Długie czuwanie przy zmarłym było równie nie do pomyślenia, jak zbyt długi okres karmienia dziecka piersią.

Załamania, płacz czy krzyk były rzadkością. Ludzie na ogół znali siebie. Jeśli przeczuwali, że nie będą w stanie patrzeć na zmarłego, rezygnowali.

Annie dwoma palcami dotknęła zimnej skóry zmarłego dziecka. Końce palców przyłożyła tam, gdzie kończyła się pierś, obok pachy. Nie rozumiał, dlaczego to zrobiła.

Z Czarnej Wody jechała swoim samochodem. Mia została u Aagot. Walizka była spakowana od paru tygodni, bo Annie miała zamiar jechać do szpitala położniczego w Ostersundzie. Koło Offerbergu zaskoczyło ją, że zaczęły odchodzić wody. Nie przypuszczała, że drugi poród może przebiegać o tyle szybciej.

Jechała z Offerbergu do Byvangen, zatrzymując się za każdym razem, gdy obezwładniał ją ból. W Tuvallen musiała przesiąść się do taksówki. Do szpitala w Byvangen dotarła blada, wściekła i kompletnie wyczerpana. Był to błyskawiczny poród. Birger po tylu latach pamiętał jeszcze słowa

438

zachęty, które do niej wykrzykiwał. Ale pamięć poprzekręcała je; najpierw były serdeczne, potem trochę cyniczne i właściwie nie na miejscu.

No i naturalnie całkowicie bezoosobowe. Te utarte zwroty brzmiały jakąś nieludzką ironią. A przecież nie był cyniczny. Życzył jej jak najlepiej i sądził, że wszystko potoczy się dobrze.

Dziecko nie urodziło się, tylko wysunęło. Pępowina zaplątała się ciasno wokół szyi i udusiła je.

Nie pamiętał, czy próbował pocieszać Annie na stole porodowym. Przecież musiał to robić. Jakkolwiek ohydnie by się czuł, istniały przecież słowa i zdania, których zwykle używał. Pamiętał natomiast, że zajrzał do niej parę godzin później. To wtedy powiedziała, że chce zobaczyć dziecko.

Czuł się bardzo niepewnie, przede wszystkim dlatego, że nie okazywała żadnych uczuć. Twarz miała bladą i właściwie trudno było się z nią porozumieć. Domagała się tylko, aby spełnił jej życzenie. Nie potrafił znaleźć sposobu, w jaki mógłby ją od tego odwieść.

Dziecko było płci żeńskiej. Duży, kształny płód, który nigdy nie otworzył oczu. Sinawa skóra, pokryta lśniącym porodowym tłuszczem. Wytarł ciało najdokładniej, jak mógł, i nie przykrywając, położył je na dużym, białym frotowym ręczniku. Zostawił drzwi do gabinetu otwarte i sam poszedł po Annie Raft. Manewrował jej łóżkiem z trudem, bo nie był do tego przyzwyczajony. Nie chciał jednak, aby salowa o tym wiedziała, i czekał do wieczora, aż w budynku pozostali tylko recepcjonistka i portier.

Kierowała nim myśl, żeby Annie zobaczyła dziecko najpierw przez drzwi i mogła zrezygnować w porę, jeśli poczuje, że nie ma na to siły. Tymczasem ona pozwoliła mu wjechać łóżkiem do gabinetu i poprosiła, aby przysunął ją bliżej. W końcu palec wskazujący i środkowy prawej ręki

439

położyła na zimnej, sinawej wilgotnej skórze i trzymała je tam długą chwilę. Tak samo kładzie się dwa palce na Biblii, składając przysięgę. W głębi duszy zawsze myślał o tym zdarzeniu, którego nie rozumiał, jako o chwili, gdy widział ją przysięgającą na dziecko.

Sam nie mógł znieść widoku Annie. Był jednak do tego zmuszony. Znieść, pomyślał potem. Puste słowo. Rodzaj okrzyku. Człowiek wszystko znosi. Kładzie dwa palce na tym, co się zdarzyło, i czuje to.

**

—

Birger Torbjörnsson mieszkał w Byvanger w żółtym murowanym domu przy rynku. W tym samym budynku mieścił się posterunek policji i apteka, w której opuszczono rolety. Była niedziela i sklep ICA po drugiej stronie rynku był zamknięty. Birger tak się ucieszył z odwiedzin, że Johana ogarnął wstyd.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi. Salon był zatłoczony meblami. Johan poznał jasną, szarobłękitną sofę z willi i gobelin na ścianie. Ale w tym przytłumionym kolorystycznie wystroju istniały też elementy dziwaczne. Przypomnił sobie, że Birger przez pewien czas mieszkał z jakąś kobietą, lekarzem weterynarii. Pewnie to ona przeprowadziła tu rewolucję. Mimo to pastelowa równowaga Barbro Lund ciągle dominowała, choć przeniesiona do wynajętego, zakurzonego mieszkania, którego harmonię łamał kolorowy kreton. Odniosł wrażenie, że Birger rzadko przesiadywał w salonie. Czuć było, że pokój nie jest wietrzony.

Jedne drzwi w hallu były na wpół otwarte - prowadziły do pokoju, którego używał do przechowywania nart, broni myśliwskiej, butów rybackich i wędek. Także zimowych opon samochodowych. Prawdopodobnie wszystko, co miało wartość, bywało z piwnicy kradzione. W sypialni stało biurko zarzucone papierami i skoroszytami. Na ścianie wisiała zamknięta szafka na lekarstwa, a swoją lekarską walizkę

441

wcisnął Birger na regał. Johan zastanawiał się, dlaczego na półce leży stetoskop i stoją miski z nierdzewnego metalu. Czyżby przyjmował pacjentów prywatnie? Pokój był trochę za brudny, żeby służyć jako gabinet. Narzędzia medyczne i niechlujnie zasłane łóżko przypomniały Johanowi pokój przyjęć weterynarza w centrum gminnym w Langvasslien. Na środku podłogi leżała Saddle na swojej owczej skórze. Uniosła głowę, ogon uderzył kilka razy.

Usiedli w sypialni czy też pokoju do pracy, ponieważ to tam Birger znalazł w końcu swoją whisky. Johan uznał za dobry znak, że Birger nie wie dokładnie, gdzie jest butelka; byłoby gorzej, gdyby stale miewał ją przy łóżku.

Łatwo się z nim rozmawiało. Zadawał rzeczowe pytania - mniej więcej tak, jak gdyby wypytywał o symptomy choroby - a z tego, o czym się dowiedział, nie wyciągał pochopnych wniosków. Ale gdy już je sformułował, nie było o czym dyskutować.

- Dziewczyny w ciąży - powiedział - młode kobiety oczekujące pierwszego dziecka często miewają tego rodzaju napady. To nie jest nic bardziej osobliwego niż częste wzdęcia czy wymioty. Z początku to bardzo przyjemne oczekiwać małej żywej laleczki. Robią wokół tego dużo szumu, szykują potrzebne rzeczy i wszystko wydaje się w porządku. Potem przychodzi reakcja. Przypuszczalnie częściej, niż o tym mówią. Wydaje się, że większość tylko trochę się dąsa. Ale Mia przeżywa to o wiele gwałtowniej. Żyje w wielkim napięciu. Wszystkie zastanawiają się, co właściwie, do cholery, zrobiły. W co się wpakowały. Przeważnie nic nie mówią. Te jednak, które to z siebie wyrzucają, gadają paskudne rzeczy. Mogą również być przestraszone. Na ogół to jednak mija.

- Ale nie zawsze. Czasami sprawy toczą się nie tak, jak człowiek by oczekiwał.

Wszystko idzie na opak, a wtedy się nie udaje.

.;'-

:!

442

- Tak - powiedział Birger. - Czasami się nie udaje.

Bawił się szklanką, utkwivszy oczy w poplamionym szmacianym chodniku. Miał ponad sześćdziesiąt lat. Wydawało się, że samo długie życie go nakręca. Chodził jak zegarek. Od czasu do czasu odczuwał kłujący ból, który sprawiał, że zatrzymywał się pochylony, z zamkniętymi oczami i szeroko otwartymi ustami. Potem znów zaczynał

chodzić, jak sam mówił. Nawet zmieniał koszule. I jadł. Jego przyzwyczajenie do samotności i uregulowanego, bezbarwnego, pracowitego życia pomagało mu, choć z trudem, posuwać się dalej.

- Wyglądasz, jakbyś się bał — powiedział.
- Tak, chociaż zwykle nie jestem strachliwy. Tamtej nocy wiele lat temu, w wieczór świętojański, wtedy naprawdę się bałem. Od tamtego czasu nie myślałem o tym zbyt wiele. Teraz jednak to uczucie wróciło. Poznaję je. Człowiek na ogół przypomina sobie jakiś wypadek czy nieszczęście, kiedy taka sama rzecz może mu się znów przytrafić. Choć niby o nim zapomniał.
- A czego się bałeś wtedy?
- Nie wiem. Że się nie uda. To było właśnie to uczucie: że sprawy toczą się nie tak, jak człowiek by oczekiwał. Nie jak zwykle. Tylko źle. Naprawdę źle.
- Co robiłeś tamtego wieczoru?
- Wyszedłem z domu, żeby pójść na ryby.
- Policja sądziła, że uciekłeś do Norwegii.
- Najpierw podjechałem motorowerem do Aldy, żeby nakopać robaków. Ale dopadli mnie moi bracia.
- I pobili cię?
- Nie. Pekka ma trochę pogmatwaną osobowość i wymyślił coś lepszego. Spuścili mnie do studni Aldy. Nie wydawało się to zbyt groźne, bo prawie nie było w niej wody. Ale ja siedziałem tam wiele godzin, zanim wpadłem na to, jak się samemu wydostać. Wtedy już nie chciałem wracać do domu.

443

Nie podejmowałem żadnej decyzji, tylko po prostu biegłem ścieżką. Nie spostrzegłem Annie Raft. Dużo później dowiedziałem się, że ona kogoś widziała. Wtedy uświadomiłem sobie, że musiała widzieć mnie. To samo uświadomili sobie Gudrun, bracia i Torsten. Skłamali, mówiąc, że odjechałem już wieczorem i wziąłem motorower. Tymczasem ja poszedłem do Nirsbuan. Tam przespałem się parę godzin. Potem popłynąłem kajakiem w dół do Róback i złapałem okazję. To było koło piątej rano.

- Trochę dziwne, że ten, z którym się zabrałeś, nic nie powiedział policji.
- To była ta. Finka. Nie, kobieta z Finlandii. Była w tych sprawach cholernie dokładna.
- Że też ty to pamiętasz.
- Spędziłem z nią kilka dni.
- Mały romansik?

Johan roześmiał się. Stało się to nieoczekiwanie i było potrzebne, pomyślał. Bo wszystko zrobiło się cholernie nieprzyjemne.

- Chyba można tak powiedzieć - odparł. - Choć nie można by tego nazwać sielanką. To była naprawdę twarda dziewczyna. Zraniłem się, właściwie złamałem nogę i zerwałem sobie ścięgno w stopie, a ona dała mi to lekarstwo, hotapulver, i wódkę „Koskenkorva” i zmusiła mnie, żebym szedł. Długo.
- Osobliwa mieszanka - rzekł Birger.

Podniósł się i odstawił szklankę na biurko. Przez długą chwilę stał odwrócony do Johana plecami. Wydawało się, że obserwuje coś na wyasfaltowanym placu przed sklepem ICA. Nie było tam jednak nic do oglądania.

- Jesteś pewien, że to był hotapulver?
- Tak, nazwa wydała mi się nieprzyjemna. Na torbie by» narysowany Indianin.

M

444

- I „Koskenkorva”?

- Tak.

- Hotapulver i „Koskenkorva”, to samo dostała Sabinę Vesdijk na bóle menstruacyjne.

- Kto to taki?

- Tak się nazywała. Ta mała Holenderka, która zginęła razem z chłopakiem bez spodni. Mężczyzną, o którym nikt nie wie, kim był. I którego nikt nie szukał. Próbował kupić jej jakiś środek przeciwbólowy w aptece w Byvan-gen, ale mu się nie udało. Potem dostał hotapulver i wódkę „Koskenkorva”. Od kogoś. Została butelka i torebka po proszku. Skąd przyjechała twoja twarda kobieta z Finlandii?

- Myślę, że z fińskiego promu.

- O piątej rano?

- Nie pytałem. Ale ona też była w aptecę w Byvangeren.

- Tak mówiła?

- Nie.

Nagle poczuł się okropnie zażenowany. Wydawało mu się, że znów ma szesnaście lat i musi się przyznać, że szperał w jej torebce.

- Miała plastikową torbę z apteki - powiedział. - Kwit z kasy, wszystko. Kupiła kondomy.

- To wygląda, jak gdyby miała nadzieję, że cię spotka.

- Ani razu ich nie użyliśmy. Ona w ogóle nie mówiła, żebym uważał czy coś w tym rodzaju. Myślałem, że bierze pigułki antykoncepcyjne. Więc nie rozumiałem, dlaczego kupiła kondomy.

- Ty byłeś niewinnym jagniątkiem.

- Tak. Można tak powiedzieć.

- Prawdopodobnie chodziło jej o kogoś innego. Kogoś, o kim wiedziała, że przed nim musi się chronić.

- Masz na myśli zarażenie?

445

A więc to było takie proste? Jest lekarzem, myśli oczywiście swoimi kategoriami.

— Ale w takim razie o kogo? Był tam na górze jeden mężczyzna, ale z nim nie spała. Paczka kondomów była przecież nie napoczęta. O kogo jej chodziło?

- O Strzelca - odparł Birger.

Johan nie wiedział, jak się nazywała. Ale o domu myśliwskim mówiła Trollevolden. W pobliżu znajdowała się jaskinia. Przed szopą, w której mieszkał, płynęła rzeka.

Pamiętał, jak szumiała dniem i nocą.

- W każdym razie dom należał do jej rodziny.

- Chociaż była Finką?

- Była z Finlandii.

- Ten facet bez spodni miał na dnie swojej torby schowany numer telefonu. To był numer w jakiejś miejscowości na wybrzeżu, na północy. Sklepu. Czy w domu był telefon?

- Tam nic nie było. Nawet elektryczności. Ani w ogóle drogi, która by do niego prowadziła.

- Widziałeś w pobliżu jakiś sklep?

- Nic nie widziałem. Tylko duży ciemny dom. Psiarnię i chłodnię. Obie były zniszczone, ale dom nie. Raczej podupadły. Myślę, że to musiała być duża rodzina, bo widziałem tam bardzo wiele miejsc do spania. Piętrowe łóżka.

- Znajdziemy go - powiedział Birger. - To nie będzie trudne. A wtedy dowiemy się, jak się nazywała ta Finka.

Jego sposób działania był typowy dla mieszkańców wsi. Człowiek najpierw zwraca się do kogoś, kogo zna. Lub do kogoś, kto jest synem, znajomym czy bodaj szwagrem kogoś, kogo zna. W tym wypadku był to urzędnik pracujący w ubezpieczeniach w Sztokholmie, były komendant policji w Byvängen. Został odsunięty od śledztwa w sprawie zda-

446

rzenia nad Lobberan i tak to przeżył, że zrezygnował z pracy. Trzymał jednak w domu pudło po chrupkim pieczywie Vaša - z tych większych, wyjaśnił Birger - z fotokopiami materiałów ze śledztwa, co oczywiście było całkowicie wbrew regulaminowi. Ake Vemdal miał nadzieję, że siedząc przy stole w kuchni, wykombinuje rozwiązanie zagadki i zatriumfuje nad tymi, którzy wyłączyli go ze sprawy. Daremnie.

Jesienią polował w Czarnej Wodzie, w tym samym kole co Birger. Miał też zwyczaj zajeżdzać tu w czerwcu i łowić ryby. Zdarzało się również, że spotykali się w Sztokholmie. Wtedy Vemdal zamawiał stolik w restauracji „Solvalla” przy torze wyścigowym. Zjadali posiłek za dwieście koron - to, do cholery, nie jest drogo, a stamtąd, z góry, wszystko dobrze widać - i obstawiali konie. Z początku podczas każdego spotkania mówili o śledztwie. Teraz już od dawna o tym nie rozmawiali. Vemdal nie chciał im dać telefonu, który Strzelec schował pod dnem swojej torby podróżnej. Sam zadzwonił.

- Że też facet był w domu - zdziwił się Johan. - Przecież są urlopy.

- On ustala wysokość szkód powstałych w wyniku przestępstwa. Teraz jest masa włamań. A wieczorami jest panem siebie. Kawaler. Ale nie taki jak ja, tylko z przekonania. Panie można mieć wszędzie, powiada. Na żaglówkach. W polityce. Ale nie w kuchni i w łazience. Tam się ją tylko spustoszenie.

Umilkł.

- Choć nie Annie - dodał po dłuższej chwili z powagą. ~ Zresztą niewiele czasu spędzała w kuchni. Nie jesteś głodny? Jadłeś coś? Musisz zadzwonić do Mii. Nie powinniście teraz komplikować spraw.

447

Dom noclegowy dla turystów. Dowiedzieli się o tym w poniedziałek przed południem. Nadal nazywa się Trolle-volden, należy do Norweskiego Towarzystwa Turystycznego. Ludzie, którzy wybierają się w góry lub na ryby, mogą tam przenocować. Osiemnaście lat temu dom również był zwyczajnym obiektem turystycznym bez obsługi. Od zakończenia wojny pozostawał własnością NTT.

Wcześniej był domem myśliwskim i należał do wielkiego hurtownika z Trondheimu.

Johan miał uczucie, jakby nadal był naiwnym szesnastolatkiem, przetrzymywanym potajemnie w czymś, co ona nazywała kurnikiem. Wszystko zmyśliła. Czy raczej, jak to określił Birger: „Nagadała mnóstwo zasranych bredni, kłamliwa krowa”.

Numer telefonu - został zmieniony, ale Vemdal go wytropił - należał do sklepiku w przybrzeżnej wiosce na północ od Brannoysundu. Bardzo dobrze znano tam Trolle-volden.

Nie pomogło to jednak ustalić nazwiska dziewczyny. Było całkowicie nieprawdopodobne, aby zachowały się listy nazwisk - o ile w ogóle prowadzono jakieś rejestry. W takim wypadku sprawa należała do policji. Vemdal radził, żeby poszli na policję.

- Przez wszystkie te lata nic się nie działo - powiedział Birger. - I oto przybywasz ty. Annie cię zobaczyła i poznała, dosyć dziwne. Tak się przestraszyła, że zadzwoniła

do mnie, choć było przed piątą rano. Według raportu wzięła ze sobą fuzję, bo była przerażona i obawiała się spotkania z tym mężczyzną. To znaczy z tobą. O całej sprawie jednak ani słowa nie pisała Mii. Czy to brzmi sensownie?

- Wygląda na to, że nie była całkowicie pewna.

- Już ci mówiłem, że naboje zostały. Jeśli miała pudełko naboji, gdzie się wobec tego podziało? Tego przedpołudnia

448

sporo zrobiła. Była na górze u Gudrun Brandberg i umówiła się z nią, że pójdą na smardze. Potem zjechała na dół, do Anny Starr na Tangen. Anna mieszka trochę na odludziu, więc jeśli Annie się bała, powinna była wziąć ze sobą strzelbę. Tymczasem jej nie wzięła.

- A co robiła u Anny Starr?

- To trochę dziwne, aż trudno rzecz traktować poważnie. Chodzi mi o to, że jak na osobę naprawdę przestraszoną, zachowywała się dość osobiwie. Pytała o UFO. Czy też

o jakiś obiekt, który miejscowe kobiety uważały za UFO. Chciała wiedzieć dokładnie, gdzie spadł. Parę lat temu w okolicy Tangen spadło z nieba coś świecącego. Można zobaczyć to miejsce ze ścieżki zdrowia, pomiędzy krańcem cypla a małą wysepką, na której rosną świerki. Następnego dnia sześć kobiet z towarzystwa krawieckiego obeszło wieś

1 pytało, kto to widział. Bo one wszystkie widziały. Stały w oknie u Neanderów, twarze miały kredowobiałe niczym anioły - Westlundowie je zauważyli. Tymczasem to, co świeciło w nocy i rzucało błyskawice, wpadło do wody i zniknęło. Potem odbyło się nawet szukanie włokiem. Kobiety zmusiły paru mężczyzn, żeby pociągnęli za łodzią sieć włokową, wyłowiono jednak tylko zwyczajny złom, jaki ludzie zwykle wrzucają do wody. Istotnie wiele osób we wsi widziało ten świecący obiekt i wszyscy podawali mniej więcej taki sam opis: że to lśniło i migotało jak lunapark i wpadło prosto do wody, która tego wieczoru miała kolor czarny niczym atrament. Była późna jesień. Przed sklepem połyskiwał lód, wprowadzie cienki, ale dalej, tam, gdzie jezioro jest bardziej niespokojne, woda się otworzyła i w tym miejscu wszystko zniknęło.

~ Rozmawiała o tym z Anną - ciągnął Birger. - I wydaje się, że potem jakby zapomniała o Gudrun i zbieraniu smardzów. W każdym razie pojechała w górę sama. Najpierw była

449

u Arona i Lisy Kronlundów. Zwykle, gdy wybierała się gdzieś, gdzie nie mogła wziąć Saddle, zostawiała ją u nich. To znaczy, że zamierzała odejść od samochodu na dłużej, bo w przeciwnym razie Saddle by w nim została, jak zawsze gdy Annie wychodziła w teren zbyt trudny dla tak starej suki ze zwyrodniałymi stawami biodrowymi.

- Powiedziała, dokąd idzie?

- Lisie i Aronowi nie. Ale spotkała ich wnuczkę, która przyjechała do nich na weekend. Jej powiedziała, że idzie drogą pamięci.

- To brzmi dość uroczyście - powiedział Johan.

- Poszła nad Lobberan. A stamtąd miała wspomnienia nieszczególne. O ile wiem, nigdy tam nie chodziła od owego pamiętnego zdarzenia. Więcej nic już nie wiadomo. Pochylił się nad stołem i Johan z początku przypuszczał, że kicha. Tymczasem był to szloch. Birger nagle zaczął szlochać, głośno pociągając nosem. Chwilę wcześniej mówił rzeczowo. Wszedł do Johana, śpiącego w zakurzonej salonie, i przyniósł mu do łóżka kawę. Teraz siedział na pościeli, tak blisko, że Johan pomyślał, iż chyba

powinien go objąć ramieniem. Nie bardzo jednak wiedział, jak to zrobić. W pokoju rozlegał się tylko głuchy, przerywany czkawką szloch. Twarz Birgera poczerwieniała i spuchła. Odsunął filiżankę z kawą, pochylił się nad blatem stołu i lkał coraz gwałtowniej. Zaokrąglone, potężne plecy trzęsły się. Smarki wyglądające jak tasiemki kapwały na blat.

Saddie dźwignęła się z miejsca pod stolikiem do kawy i, człapiąc, wyszła z pokoju, dziwnie przyplaszczona, jakby się próbowała czołgać. Przestraszył ją.

W końcu Birgerowi udało się wstać i wyjść do hallu. Ruszał się po omacku, jak gdyby zaniewidział. Johan niezręcznie szedł obok, chcąc sprawdzić, czy trafi do łazienki.

Potem usiadł przy stole obok sofy i słyszał, jak Birger urywa

450

kawałki papieru toaletowego z rolki i raz po raz wydmuchuje nos. W końcu zapadła cisza, minęło jednak z dziesięć minut, zanim wyszedł.

- Musisz iść na policję - powiedział. - Oni mogą dotrzeć do tej Finki.

Ale Johan nie chciał. Choć trudno mu było wyjaśnić dlaczego. Birger mógł myśleć, że się boi, iż go złączą podejrzewać. Ale to nie było aż tak konkretne. Uważał, że jeśli teraz coś zrobi, może się wydarzyć dosłownie wszystko. Czy nie wywołał dość nieszczęść tylko przez to, że się pokazał po drugiej stronie szyby?

A może stałoby się to i tak? Było coś zagadkowego w tym, co Annie Raft robiła tego dnia rano i przed południem. Nie wiedział, jakim była człowiekiem, nie miał jednak odwagi zapytać, bojąc się, że Birger znów zacznie płakać. Postępowała racjonalnie czy też kierowała się niejasnymi podpowiedziami instynktu, których sama sobie nie potrafiła wytłumaczyć?

Mia, zawsze taka rozsądna, ujawniła cechy, których nie znał. Zachowywała się kapryśnie, robiła się złośliwa. Późno w nocy Birger powiedział, że kobiety ukazują czasami twarz, na której trudno zatrzymać wzrok. Jakie kobiety?

- Nie patrz człowiekowi w oczy - ciągnął Birger bełkotliwie. - Odwróć się plecami i nagle może się okazać, że widzisz tylko powietrze. Niente.

Nastał ranek i Birger znów powiedział, że Mia zachowuje się normalnie i zgodnie z przewidywaniami. W jej sytuacji o niczym specjalnym to nie świadczy. Nie należy przywiązywać do tego większej wagi niż do wzdęć i porannych nudności.

A jeśli to okaże się zgubne?

Johan zadzwonił i rozmawiał z nią. Mówiła matowym głosem. Boczyła się. Babcia nie chce jechać na Wyspy

451

Alandzkie, Mia jednak i tak odwiedzi ją w Sztokholmie. Potem przyjedzie do Langvasslien.

To brzmiało normalnie. Uspokoila się, dokładnie tak jak Birger przepowiedział. Ale Birger nie pomyślał o tym, że to ona trzyma ostateczną decyzję w swoim ręku. Pod wpływem czego ją podejmie? Zaledwie przed rokiem spotkała Norwega, jak sądziła, kierującego psim zaprzęgiem na zawodach w Duved. Uważała, że jego syberyjskie psy o jasnoniebieskich, inteligentnych oczach są piękne, i jego samego też uznała za apetycznego - sama Johanowi o tym powiedziała. Że miała na niego ochotę, bo był jak lody truskawkowe - i Bóg jeden wie, że ich skosztowała. Co jednak w jej wnętrzu zadecydowało, że to on, Johan, powinien być ojcem jej dziecka? Czy też, że nie powinien nim być?

Zajmował się prognozami. Wyliczał trasy przemieszczania się pod wpływem wiatru wilgotnych mas powietrza, niosących chmury deszczowe. Najczęściej napływały od zachodu, znad mglistego czy zalanego słońcem Atlantyku, i przesuwały się w kierunku wschodnim. Mogły jednak nagle skrócić pod kątem dziewięćdziesięciu

stopni. Zdarzało się i tak. Przeważnie jednak wiedział, czy trudno będzie je ocenić. Ale były i takie, co do których można się było pomylić już na samym początku. One to sprawiały, że czuł się zbyt cenny. Nie bezsilny czy mało kompetentny ze swoimi zgromadzonymi w komputerze danymi. Tylko zbędny. Niepotrzebny. Deszcz zacinał wtedy prosto w twarz, a on dziwił się w sposób, którego nie można było nazwać naukowym.

452

Gdy przyszło im zdecydować, gdzie ma być pochowana Annie, było jasne, że w grę wchodzi jedynie cmentarz w Róback. Nawet stara Henny powiedziała swoim głębokim, dobrze postawionym głosem, że tam jest miejsce Annie.

W mowie pogrzebowej wikary przywołał obraz Annie w lesie. Miał dobre zamiary. Pragnął, żeby zobaczyli Annie, wędrującą przez wiosennie świeży las, a obok młodszą i zdrowszą Saddle, która depta jej po piętach. Była tu u siebie, powiedział wikary. Annie by się z nim nie zgodziła.

Kiedyś zwróciła się do Birgera ze słowami: nie jesteś jedynym, który chodzi ze mną po lesie albo po górach i mówi, że tu jest moje miejsce. Ludzie uważają, że poruszam się szybko i odnajduję właściwą drogę. Wydaję się zdomowiona tam, gdzie oni czują się dezorientowani czy nawet przestraszeni.

To prawda, że codziennie idę do lasu i że jestem jedyną kobietą, która chodzi tam poza sezonem zbierania jagód. I która odważa się iść tam samotnie. Ale to wcale nie znaczy, że czuję się w lesie zdomowiona. Myślę, że drwale z SCA czy ludzie z firmy Brandbergów na swoich maszynach do budowy dróg są tam bardziej u siebie.

Chodzę tu jak Rousseau po lasku St Germain, oszołomiona nadmiarem fantazji, zapachów i pięknych widoków. Istota

453

^zeczy polega na tym, że moje wizje nie pasują do cywilizacji, ^ której żyję.

Poszukuję jakiejś alternatywy. A Per-Ola /f3randberg, jadąc ciągnikiem, niczego nie szuka. Jego wyobrażenia pasują do społeczności, w której żyje. Nawet wtedy, zrdy płoszy zająca czy widzi, że moroski zaczynają dojrzewać.

Naturalnie z czasem wśród tego wszystkiego, co obce, ^taję się coraz bardziej zdomowiona, dokładnie tak samo jak ^per-Ola w niszczonej przez siebie otoczeniu. Ale to dzięki swoim fantazjom czuję się jak u siebie w domu, a dzikość \ zapachy lasu jeszcze je potęgują. Per-Ole podtrzymuje fniej więcej to samo. Ale nie odbiera tego jako dzikości.

Oboje jesteśmy dziećmi naszych czasów, wzajemnie od siebie zależnymi, przynajmniej ja od niego. Bez wyrębu wieś byłaby nie zamieszkała i nie mogłabym żyć samotnie z moimi widokami i fantazjami. Musiałabym się zasymilować, a to zupełnie co innego. Tak było z Bjórnem Brandbergiem, a on -wydaje się zagubiony. Już nawet nie pije.

Mogę ci powiedzieć, że wcale nie ma robotników i drwali kończy tak jak on, w leśnej chacie czy w baraku pozostawionym przez SCA. Zaczyna im być trudno przebywać z innymi ludźmi, więc tylko coraz intensywniej wsłuchują się w las. Samotność ma na nich ogromny wpływ. Wpadają w uzależnienie. Właściwie nie wiem, na czym polegają ich przeżycia. To, co opowiadają, często przecież dotyczy leśnych istot, które im pomagają, kiedy są zmęczeni, i paproci, które leczą ich obolałe plecy i pozwalają im zasnąć, czasami za głęboko. Obecnie mówi się o tych sprawach z większą znajomością rzeczy, nie tak naiwnie. Ważne jednak są słowa, którymi te przeżycia zostają nazwane, jakiegokolwiek by były.

Bjórne po prostu dokonał całkowitego zwrotu w czasie i cofnął się do dawnych dni, jak on to nazywa. Dawniej ludzie robili tak i tak. Dawniej myśleli, widzieli, rozumie-

454

Rozumieli własny sposób życia w tamtym czasie, a tego nie pojmie przecież odludek z leśnej chaty.

Dawniej człowiekowi było lepiej, niż mu się należało. Dzisiaj człowiekowi jest gorzej, niż mu się należy.

Takie porzekadła skanduje się podczas obchodów wiejskich świąt. Naturalnie nie robi tego Bjórne, bo on nie bierze w nich udziału. Ale on także nie przyjmuje do świadomości gruźlicy, kazirodztwa, znęcania się, głodu czy ciemnoty - zaprzecza nawet zwyrodnieniu stawów, choć sam na nie cierpi od wilgoci w przyczepie.

Różnica między odludkiem z chaty a mną jest taka, że ja zawsze w poniedziałek rano idę do szkoły. Wiem, że moje próby znalezienia alternatywy są niedoskonałe i że moim zadaniem jest uczenie dzieci szkolnych myśleć.

455

Był czas kanikuły. W kompoście, w gazetach. Coś nabrzmiewało, potem się wylewało. Muchy zrobiły się natrętne. Gazety donosiły o mordercach i perwersyjnych sadystach. Ze stron poświęconych kulturze buchał smród cuchnącego mięsa, jak z lodówki masowego mordercy.

Choć Birger tego nie czytał, w nocy coś takiego mu się przyśniło. Że go ścigano, że na jego oczach kogoś poćwiartowano, że musiał udawać wariata, aby i jego nie spotkało to samo.

Zbudził się, wstał i wypił trochę mleka. Potem zjadł kawałek posmarowanego masłem chrupkiego pieczywa i słyszał, jak w ciszy szarego poranka kromka trzeszczy i chrupie między zębami. Nagle pomyślał o tamtym poranku. O namiocie i ciałach. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło.

Annie też nie. W każdym razie nie mówiła o tym. Przypomniał sobie, jak kiedyś siedzieli, oglądając dziennik telewizyjny. Pokazywano w nim migawki z jakiejś republiki, która bardzo niedawno była jeszcze częścią Związku Radzieckiego. Na platformie ciężarówki leżało dwóch mężczyzn. Martwych, z poderżniętymi gardłami. Jeden miał usta otwarte tak szeroko, że widać było wszystkie zęby górnej szczęki. Gdy reportaż się zaczął, Birger i Annie siedzieli przy kolacji. Potem na platformę wszedł młody mężczyzna. Opowiadał, że inni mężczyźni odrąbali jego ojcu ręce i nogi i rozplatali mu

456

brzuch, tak że bluzgnęły wnętrzności, i że wszystko to działo się na jego oczach, a ojciec jeszcze żył. W końcu pokazały się inne migawki i Birger znów zaczął jeść. Annie dawno wyszła z pokoju.

Tak zwykle robiła. Jedyne, co powiedziała na ten temat, to to, że widziała skutki morderczej przemocy jeden jedyny raz i to wystarczy.

Nikt już nie wierzył, że Annie zginęła przez przypadek, z własnej winy. Teraz chciano w Domu Ludowym urządzić wystawę ku jej czci. Miała to być jednocześnie manifestacja przeciwko bezmyślnej przemocy.

- Nie jest takie pewne, że ta przemoc była bezmyślna - powiedział Birger, gdy zadzwonił wikary. Planowano przeniesienie letniego picia kawy przy kościele z Róback do Czarnej Wody. Teraz bowiem, od czasu gdy policja zorganizowała konferencję prasową, na której wycofano się z wersji o nieszczęśliwym wypadku, tu właśnie zatrzymywali się turyści. W niedzielę, gdy wystawa zostanie otwarta, wikary odmówi modlitwę. Birger uważał, że to bez sensu. Annie nie była, tak jak większość, religijnie obojętna, tylko jawnie wrogo nastawiona wobec wiary.

Wszystko to zaczęło się od wiary w duchy, mówiła. Upojony władzą człowiek podtrzymuje ją, siejąc strach i żądając szacunku. Gdy umiera, ludzie są tak

wystraszeni i zdominowani jego wolą, że doznają halucynacji, słyszą rzekomo jego głos, kroki. I wmawiają sobie, że nadal je słyszą. Choć wszystko to polukrowali. Była nadzwyczaj wdzięczna, że ani Henny i Ake, ani ciotka i wuj nie ciągaliby jej po kościołach i nie przymuszali do szkółki niedzielnej. Przypuszczała, że jeśli człowiek we wczesnych latach nasiąkł potokami tych mętnych słów, to w jakimś sensie zostawał na zawsze na nie podatny.

Nietaktowne byłoby opowiadanie o tym wszystkim wikaremu, który by zresztą w to nie uwierzył. Annie prowadziła

457

przecież chór kościelny, a przez wiele lat sama śpiewała solo na pogrzebach i ślubach. To się nie trzymało kupy. Ale ona nigdy nie twierdziła, że jest inaczej. Wikary chciał się skontaktować z Mią w sprawie wystawy. Chodziło o fotografie i rysunki z pomocy szkolnych Annie, jej plansze przyrodnicze i tym podobne. Birger zadzwonił do Langvasslien i Mia przyjechała z Johanem zaprzęgiem ciągniętym przez sześć syberyjskich husky. Cieszyła się z wystawy. Tak długo, jak mówiono, że śmierć Annie nastąpiła z jej własnej winy, było w tym coś nieprzyzwoitego. Teraz Lisa Kronlund pogłaskała Mię po policzku i powiedziała:

- Biedactwo, straciło mamę.

Mia przywiozła zaprzęgiem najładniejsze rysunki Annie. Z sali Domu Ludowego wyniesiono krzesła i złożono je w małym pokoju, gdzie przygotowywano kawę. Na schodku sceny w wiśniowej koszuli i dyskretnej koloratce stał wikary. Na nylonowej żyłce rybackiej umocowywał głowę gołębia z białego papieru. Próbował znaleźć właściwy punkt, żeby po zawieszeniu gołębia się nie przekręcił.

Plansze zostały ustawione pod ścianami w sali zebrań. Na pierwszej był napis DROGA PAMIĘCI. Pod nagłówkiem wykonano dziecinnie uproszczony, a jednocześnie ogromnie skomplikowany rysunek przedstawiający przekrój domu. W każdym pomieszczeniu znajdowały się jakieś bardzo dokładnie wyrysowane przedmioty. W jednej suterenie na pieńku leżała siekiera obok odrąbanej stopy, a w drugiej dwa rozbite dzbany, z których wyciekało coś czerwonego. Pomieszczenia były ponumerowane, ich zawartość makabryczna. Prawdopodobnie stopniowano efekty wraz z wysokością, na której znajdowały się pokoje.

Mia stanęła, trzymając w rękach przywiezione pudło. Oddech miała przyspieszony. Pięć osób, które znajdowały się w sali, było zajętych przypinaniem pluskiewkami papieru do

458

plyt pilśniowych. Nieporadnie odkładali to, co trzymali w rękach, żeby przywitać się z Mią. Twarze wyrażały współczucie i zakłopotanie. Jedyne wikary miał wprawę w kontaktach z ludźmi dotkniętymi nieszczęściem i teraz zbliżał się pospiesznie. Mimo to nie zdążył. Mia przechodziła szybko od planszy do planszy. Przy piątej czy szóstej zaczęła coś mówić przez zaciśnięte zęby. Brzmiało to jak „cholera”. Jej usta poruszały się w taki sposób, jak gdyby przednimi zębami coś gryzła. Nagle ujrzała szczupłego mężczyznę w szydełkowej czapce.

- Petrus! Ty cholerna gadzino!

Kozia broda Petrusa Eliassona była teraz zupełnie biała. Miał na sobie koszulę z ciężkiego kremowego materiału, ładnie opadającą nad mankietami wokół przegubów rąk. Na plecach udzierganej szydełkiem kamizelki widniało wyhaftowane drzewo życia. Był na pogrzebie, ale albo Mia go wtedy nie zauważyła, albo nie zdołał jej rozwścieczyć. Birger uznał to za naprawdę wzruszające, że Petrus przyjechał z okręgu Gadde, gdzie mieszkał ze swoimi kobietami i wyrabiał sery. Miał nowe kobiety. Jedna z nich pracowała, tak jak Annie, jako nauczycielka. Druga co weekend

przyjeżdżała z Óstersundu, gdzie była zatrudniona w biurze budowlanym. Trzecia, plastyczka, zajmująca się wzornictwem przemysłowym, należała do młodszego rocznika niż Barbro.

- To tyś to wszystko urządził! - syknęła Mia do Petrusa. Potem jej głos nabrał siły:
- Zdjąć! Zdjąć to wszystko!

Petrus stał, mrugając oczami. Anna Starr i członkowie chóru kościelnego pootwierali usta.

- Zgadza się na to? Czy naprawdę nic nie rozumiecie? Zdejmijcie to! Nie będzie żadnej wystawy! Ogłuchliście? - krzyczała Mia. - Zdejmijcie wszystko! Pomóż mi, Birger! Johan! Wszystko to ma być zdjęte! Precz z tym! Nie myślcie, że wolno wam robić coś takiego!

459

Wikary zbliżał się z tą pewnością siebie, jaką daje profesjonalne podejście do życiowych wstrząsów. Mia cisnęła pudło na podłogę i wymachiwała rękami tuż przed jego twarzą. Wyglądało to tak, jak gdyby próbowała przepędzić zjawę. I to jej się udało. Gdy kobiety wycofały się do pokoiku, gdzie przyrzadzano kawę, wikary poszedł z nimi. Stał jednak w drzwiach.

Petrus przekrzywił głowę i, cały czas oblizując wilgotne wargi, zbliżał się do Mii od tyłu. Gdy zwrócił się do niej swoim śpiewnym głosem, odwróciła się i uderzyła go na odlew w twarz.

- Won! Wynoś się stąd! W tej wsi nie masz nic do roboty! Siedz w domu ze swoimi śmierdzącymi serami i czarowni-cami-intelektualistkami.

Potykaç się, ruszył do drzwi. Wikary dostał czkawki. Próbował trzymać usta zamknięte, ale po każdym czknięciu zapominał o tym. Birger miał wielką ochotę wkroczyć z dobrymi radami, zobaczył jednak, że Anna Starr przytyka mu do ust szklankę wody. Potem ostrożnie zamknęła drzwi.

Dopiero gdy zostali sami, Mia zaczęła płakać. Szlochając z otwartymi ustami, nie przestawała zdzierać rysunków i plansz.

- Przynieś z samochodu torbę na śmieci, Johan! Petrus otworzył drzwi, wsunął głowę i powiedział, że

materiały nie były własnością Annie. Należą do dzieci ze szkoły. Wypożyczono je od dawnych uczniów i muszą być zwrócone. Mógł jeszcze długo mówić, ponieważ Mia znajdowała się akurat w drugiej części sali. Gdy jednak długimi krokami przemierzyła deski podłogi i uderzyła go kawałkiem tektury, zrej terował.

Johan wydał się Birgerowi trochę błądy. Mimo to szybko zdzierał plansze i o nic nie pytał. Zebrali ich dwa pełne worki na śmieci. Mia kopniakiem wrzuciła je do pokoiku, gdzie schowali się tamci.

460

- Róbcie sobie z tym, co chcecie, do cholery! Ale nie wystawicie ich! Nigdzie! Zostawcie moją mamę w spokoju! Słyszycie?! Zostawcie ją w spokoju!

Gdy znaleźli się w domu, Mia była zupełnie wykończona i poszła się położyć na łóżku Annie. Birger przygotowywał kawę, a Johan siedział przy kuchennym stole.

- O co tu chodzi? - spytał cicho.

Tak, o co tu chodzi? Po części był to zapewne wstyd. Wstyd i czulość.

- Annie miała dość oryginalne pomysły edukacyjne - powiedział Birger. - Mia z pewnością ci o tym później opowie.

461

Początkowo Annie wspominała o tym tylko lekceważąco! i mimochodem.

Opowiedziała mu o wszystkim dopiero! wtedy, gdy przestało istnieć ryzyko, że mógłby pomyśleć, iżl oczekuje od niego pocieszenia.

- Głupio czy nie - powiedziała - ale w tamtych latach i w Byvangeren kochałam swoją pracę i byłam pochłonięta! myślałam o niej. W przeciwnym razie żyłabym pewnie tak jak inni i podczas pracy często patrzyłabym na zegarek.

Najpierw była oczywiście zwykła łagodna nuda. Chodziłam na małe spotkania, które wypełniały dzień. Dużo czytałam i tęskniłam do łóżka i książki. Zamieszkałam z Góranem Dubois. Lecz trwało to zbyt krótko, aby przerodzić się w coś więcej. Jego matka przecięła sprawę. Nie było to jednak nic ważnego. Wiem o tym teraz.

Sypiałam nieregularnie i jadłam za dużo.

Znudzenie szkołą ma trochę specyficzny posmak. Gruźłowate swetry i nie mycie ciała. I ten letarg. Robili, co im powiedziałam. Czasami parskali śmiechem i rzucali na mnie ukradkowe spojrzenia. Wtedy, gdy opowiadali sobie jakiś dowcip, którego ja nie słyszałam. Szturchnięcie, trzaskanie krzesłami, gwałtowny śmiech i stłumione przekleństwa. Ale nigdy żadnego protestu.

Byli przygotowani na to, by spędzić jeszcze sześć lat w tym półmroku. I słuchali mnie. Nigdy nie pytali, dlaczego mają się uczyć tego czy tamtego. Tylko próbowali to robić

462

Większość z nich zresztą bujała gdzieś myślami. Dziewczęta były bardziej ambitne, ale ich wysiłki także pożerał zimowy mrok. Pod koniec pierwszego półrocza byliśmy jak ryby w jeziorze zamrożonym niemal do dna.

Wtedy to przypadł Dzień Policjanta. Czarno-białym samochodem przyjechał do szkoły komendant policji ze swoim asystentem. Byli w mundurach i nieśli teczki z dokumentami. Cały dzień przechodzili z klasy do klasy i opowiadali o swojej pracy.

W radykalnych kręgach był to czas pogardy dla policji. Pomysł pozytywnej kampanii na jej rzecz zrodził się wyżej

1 bardziej na południe. Tutaj demonstracje czy tworzenie grup terrorystycznych było mało prawdopodobne. W mojej klasie siedzieli przyszli kierowcy w stanie nietrzeźwym i zwykli robotnicy, pracujący na czarno, którzy być może kiedyś przyłożą swojej starej czy sąsiadowi. Składając doniesienie

o kradzieży, do listy strat dodadzą wzmocniacz czy elektryczną maszynę do pisania. Nie wpadną jednak na pomysł protestowania przeciwko czemukolwiek. W warunkach, które komendant policji nazwał obecną sytuacją, nie byli zainteresowani słuchaniem o tym, jak on i jego asystent służą społeczeństwu i zapewniają ludziom bezpieczeństwo. Chcieli słuchać o tym, jak się łapie przestępców.

Do mojej klasy komendant policji przyszedł późnym popołudniem. Może był zmęczony, bo gdy go poprosili, nie wykręcał się, tylko opowiedział, jak chwycił przestępcę.

Było to dwa lata temu, powiedział. Pełnił wtedy służbę w Svege. W całym kraju trwało pogotowie w związku z poszukiwaniem człowieka, który dokonał napadu na bank.

Uciekł ze szpitala, gdzie był na badaniu, ukradł samochód, w Borlange zabrał swoją narzeczoną i dalej kierował się na północ. W miejscowości Mora porzucił pierwszy samochód

1 ukradł czerwoną cortinę.

-|•

463

1

Około drugiej po południu zadzwoniono z hali w Hede z żądaniem, aby policja dogoniła dwoje ludzi, którzy opuścili sklep z dwiema torbami pełnymi piwa i różnych artykułów delikatesowych, nie zapłaciwszy za nie. Odjechali czerwoną cortiną.

Czerwony samochód zdołał umknąć, ale drogę na północ zablokowano. Nasz komendant policji, wtedy jeszcze na podrzędnym stanowisku, brał udział w obławie i znalazł samochód na górze przy Vemdalsskalet. Skończyła im się benzyna. W nocy rozszalała się śnieżycyca, która trwała aż do popołudnia. Samochód został zasypany i wszystkie ślady zmiecione. Policja przeczesywała całe osiedle domków weekendowych w poszukiwaniu bandyty i jego dziewczyny. W końcu ich znaleźli, w jedynej prawdziwej górskiej chacie, która tam stała. Nie żyli. Zamarzli. Piec był pełen drewnianych szczap i gazet. Zużyli kilka pudełek zapalek. Ale nie otworzyli szybra. Było nadymione, oni jednak nie zmarli na skutek zatrucia czadem. Zmarli z zimna.

- Dla nich światło zgasło.

Wszystkie oczy patrzyły na komendanta policji. Za nim była pusta zielona tablica.

- Zmarli, bo nie umieli rozpalić w piecu - powiedział. Rozległy się pytania i okrzyki, zarzuty i przekonywające twierdzenia. Mimo to on upierał się przy swoim: zmarli, ponieważ nie potrafili rozpalić w piecu.

Gdy rozległ się dzwonek, musiał iść do następnej klasy. Oni jednak kontynuowali dyskusję. Zobaczyłam ich potem na szkolnym podwórku. W gęstniejącym zmroku rozprawiali, gestykulując. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam. Zwykle stali z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie pikowanych kurtek, kuląc się z zimna.

Autobus z miasta przejechał obok i na zakręcie omiotły ich światła reflek-

464

torów. Kilkoro pobiegło w kierunku kiosku, aby zdążyć na autobus do Czarnej Wody. Dlaczego mam się tego uczyć? Komendant policji potrafił pobudzić ich do stawiania pytań. Ja nie. Jasnym morałem jego opowieści było: przeżyć. W ten sposób zaczęliśmy mówić o tym, co trzeba zrobić, aby przetrwać. Nawet bez chaty. Rozpalić ogień. Spiłować ostrze haczyka. Czego? Co ty gadasz? A masz przy sobie żyłkę? Zawsze chodzisz z żyłką na ryby?

Przyczepić muchę. Zrobić naczynie do gotowania z puszki od piwa. Wypatrywać porostów pokazujących północ. A gdy skończą się zapalki?

Jedna z dziewcząt zauważyła, że można być ostrożnym i nie wychodzić podczas mgły czy zamieci. Jeśli się uważa, wcale nie potrzeba uciekać przed żadnym więzieniem. Wtedy Stefan o brązowych oczach zapytał:

- A jeśli wszystko się skończy?

- Co znaczy wszystko?

- Prąd. Jeśli druty spadną. Jeśli będzie wojna albo wybuchnie bomba wodorowa.

W ten sposób pewnego zimowego popołudnia uzyskałam dostęp do ich lęku. Była to przestrzeń, którą rzadko otwierali przed dorosłymi. Wszyscy oni widzieli dziewczynkę, która biegła drogą, a jej płonąca skóra popękała w białawą mapę. Widzieli ją wiele razy. Biegła naga pod grubym, wypukłym ekranem telewizora. Miała tyle samo lat co oni, dlatego była prawdziwa. Nauczyli się odczytywać mapę spękanej skóry.

Któreś o jasnej czuprynie powiedziało, że w szkole powinno się uczyć, jak rozpalić w piecu. Na wszelki wypadek. Potem sugestie posypały się szybko. Teraz chodziło o to, czego człowiekowi potrzeba, aby przeżyć upadek cywilizacji. Nie w dymiących, radioaktywnych ruinach, nie na skażonych brzegach. Nie, oni pójda w las. W góry.

Długie zbocza

465

poniżej Niedźwiedziej Góry pozostaną. Biegli po uginającej się ziemi moczarów. Ich skóra nie była spękana. Biegli w zimnym, rześkim powietrzu, a ja nie miałam serca

popsuć tego obrazu. Ktoś powiedział, że powinno się uczyć tkuć. I budować chatę z bierwion. W szkole powinno się uczyć takich rzeczy. Na wszelki wypadek.

Jedno z dzieci, które przeważnie siedziało cicho, zapytało, kto decyduje o tym, czego trzeba się uczyć. Przyrzekłam przynieść program nauczania dla szkoły dziewięcioklasowej. Czułam silne podniecenie. Mrowienie skóry. Chciało mi się śmiać i miałam łzy w oczach. Zaczęli zadawać pytania: dlaczego mam się tego uczyć? Czy to nie jest niepotrzebne? Zestawiali to z: na wszelki wypadek.

Ogarnął mnie gorączkowy zapał. Nie mogłam usnąć. Przychodziły mi do głowy różne pomysły, jeden za drugim. Mój umysł eksplodował i iskrzył.

Czerwony skoroszyt. Zielony skoroszyt. Dwa notatniki do pracy. Jeden do zwykłego użytkowania. Drugi na wszelki wypadek. Znalazłam własną metodę nauczania.

Tak prosto się zaczęło. Każdy element wiedzy z programu nauczania dla szkoły podstawowej wprowadzaliśmy na początek do czerwonego zeszytu i ocenialiśmy go, przeciwstawiając mu na wszelki wypadek. Znajomość komputera w stosunku do obliczeń pamięciowych. Nauka o społeczeństwie? A jeśli nie będzie już żadnego społeczeństwa? Partie polityczne? Stolicy Europy?

Wpadli na to, że rzeczy, które nie były bezpośrednio konieczne osadnikom do życia, mogłyby zostać zapomniane, a to szkoda. Jedna z dziewczynek chciała wprowadzić do zielonego zeszytu gwiazdę jako wzór do szydełkowania. Zrodziło to wiele pytań.

Pieśni? Melodie? Po prostu nuty? Imiona gwiazd i planet.

Ich nowy sposób myślenia obejmował coraz szerszy zakres spraw i uważałam, aby ich to nie przerosło. Zupełnie sami

466

z siebie - a może dzięki zmęczonemu policjantowi - pojęli, że żyją w określonej cywilizacji. Teraz dochodzili do tego, że istnieją w niej resztki kultury i że podstawą obydwu jest wiedza. Jeśli cała wyobrażalna wiedza zaczęłaby wirować jak sztuczne ognie wokół ich głów, wkrótce poddałoby się. W obliczu komplikacji uchylamy się i ruszamy starym utartym trybem. Lepiej umierać z nudów, niż oszaleć.

Dlatego zdecydowałam bez dyskusji, że to, co chcą ze sobą mieć na wszelki wypadek, ma być zapisane szczegółowo. Żadnych abstrakcyjnych uogólnień. Tylko recepty. Przepisy. Rysunki konstrukcji. Teksty piosenek i nuty. W ten sposób przybyły do zielonego zeszytu flet, krosno, zakwas i składniki zaprawy murarskiej.

Nastała zima i zmagaliśmy się z programem szkolnym, ale odpoczywaliśmy przy klasyfikacji roślin jadalnych i starannym przepisywaniu Mój kucyk yaginał.

Dyskutowaliśmy o wytwarzaniu stalowych noży i garbowaniu skóry łosia. Robiliśmy dwa razy tyle co dotąd i nie czuliśmy zmęczenia. Przypuszczam, że się dobrze bawiliśmy.

Fakt, że nauczyciel każe uczniom prowadzić dwa zeszyty, „jeden bardziej konkretny”, jak to określiłam, nie był niczym dziwnym. Nauczyciele muzyki, rysunków i prac ręcznych pomogli nam, przedstawiając różne projekty. Nie wprowadzałam w to nauczyciela zawodu w pracowni stolarskiej. Ktoś mi powiedział, że to byłoby ryzykowne.

Elektryzowały mnie pomysły. Wydawało się, że nie ma im końca. Dzieci były podekscytowane albo zamyślane, zależnie od temperamentu. Okazało się, że wiele z nich jest pomysłowych, część bystrych. Niektóre z nich były obdarzone wyobraźnią, dwoje czy troje buntowniczych. Może, może, myślałam czasami. Zawsze jednak wystrzegałam się profetycznych tendencji. Znalazłam swoją metodę nauczania.

Koniec i kropka.

467

Trzy lata spędziłam z tymi dziećmi pierwszych podwójnych zeszytów, a gdy zniknęły w wyższej klasie, wiedziałam, że moja metoda nauczania jest skuteczna. Wróciło to do mnie echem poprzez nowego nauczyciela. Mój eksperyment nie okazał się skrajny. Kiedy mnie o niego zapytano, rozmyślałam trochę sprawę. To nie było przemyślane, wyjaśniłam. Ot, po prostu dwa zeszyty. Ten drugi dla starszych i trochę bardziej konkretnych umiejętności.

Byłam ostrożna, nie chciałam zdradzić swojej tajemnicy. Nie powinna nabrać wydzwiku politycznego. Byłaby to płachta na byka.

Jeszcze dwa lata prowadziłam moje podwójne nauczanie. Z nową trzecią klasą musiałam powtórzyć wyczyn policjanta, ale tym razem w formie pedagogicznego triku. Nie podziałało. Dzieciaki słyszały już historię o dwojgu młodych ludziach, którzy zamierzali, ponieważ nie potrafili rozpalić w piecu. Musiałam wymyślić coś innego i start był niemrawy. Z żalem zauważyłam, że większość zaakceptowała zielony zeszyt w taki sam gnuśny i uległy sposób, jak zaakceptowałyby każdy inny pomysł narzucony z góry. Z trzech buntowników tej klasy dwóch było właściwie malkontentami.

Naturalnie istniał też klasowy błazen. Szczególnie przykry. Otyły chłopiec o niewyparzonej gębie, tępy. Jego genre zasadzał się na złośliwości. Z jakąś senną intuicją wynajdywał słabe punkty i uderzał w nie. Przypominało to kąsanie gza. To on podsunął myśl, że aby przeżyć, przede wszystkim trzeba mieć piwo. Ryk śmiechu i beknięcia. Oburzone dziewczynki. Pełne nadziei światło w twarzach malkontentów.

Ale ja podjęłam wyzwanie i w ten oto sposób ruszyliśmy z miejsca - punktem wyjścia stało się warzenie piwa. Gdy uczniowie odkryli wiążące się z tym niemałe komplikacje - wiązki słomy w beczce, zacier, którego temperatura nie może być wyższa niż sześćdziesiąt pięć stopni, jeśli enzymy

468

mają przetrwać, i który należy szybko schłodzić, aby nie zaatakowały go mikroorganizmy - długo siedzieli w milczeniu. Musieli wynaleźć termometr. Nie byli w stanie opuszkami palców dokładnie zmierzyć temperatury płynu. Stwierdziliśmy to w laboratorium fizycznym. Wiele dziewcząt mogło odróżnić temperaturę ciała i wyższą. Część uczniów jako termometru użyła górnej wargi. Nie mogli jednak wymyślić sposobu, w jaki można by wyczuć różnicę między sześćdziesięcioma pięcioma a siedemdziesięcioma stopniami.

Piwo nigdy nie znalazło się w zeszycie. Sprawa utknęła przy osuszaniu gruntu, od chwili gdy jeden geniusz wpadł na to, że niepodobna bez tego uprawiać zboża. Byli przyzwyczajeni do moczarów. Ich katastrofy były także przewiane przez wiatr od gór na północy, siekący deszcz i śnieg od północnego Atlantyku.

Pracowaliśmy nad tym prawie dwa lata, gdy jedna z dziewczynek, Unni, poklepała swój zielony zeszyt i powiedziała:

- Tylko trza mieć w głowie, co potrza.

W ten sposób doszliśmy do sztuki pamięci. Pokazałam im UiaA i Poemat o Gilgames^u i powiedziałam, że wszystko to specjaliści od mnemotechniki mieli w głowach. Dzięki temu ocalało. Zaczęli się wzajemnie przesłuchiwać. O czym powinni pamiętać bez zielonego zeszytu?

Zaczęliśmy wypracowywać technikę. Muszę przyznać, że w tej klasie podstawą okazały się krosna i wyrób gwoździ. Znaleźli swój sport. Nawet ci najbardziej wprawni szybko spostrzegli, że nie tak wiele mogą wchłonąć i powtórzyć w porównaniu ze starożytnymi recytatorami. Wyjaśniałam, że mieli oni swoje sztuczki, że po prostu technika pamięci była w owym czasie specjalną wiedzą. Że wyobrażali sobie pamięć

urządzoną jako wielki, piękny i skomplikowany budynek - najczęściej świątynię. Miał westybulę, apsydę,

469

korytarze, portyki. Były tam ołtarze, stoły i kolumny. W każdym pomieszczeniu znajdował się jeden przedmiot, który I mogli skojarzyć z jakimś fragmentem tego ogromu wiedzy, fragmentem, który pragnęli zapamiętać. Organizowali to w sposób bardzo konkretny. I chętnie drastyczny - nawet makabryczny. Opowiadałam im o zakrwawionych odrąbanych głowach i o obdartych ze skóry jeleniach, o baranich jądrach i trujących węzach, które zostały ułożone w tych rozbrzmiewających echem pomieszczeniach, a z którymi starożytni wiązali swoje umiejętności.

Dzieci nie miały wymagań, jakie miewają dorośli, aby związek między tym, co chciały pamiętać, a symbolem, który miał im przypominać, był zamierzony. Wszystkie bezceremonialnie chwyciły różne fragmenty, idąc przez sale. Dziewczęta w takim pomieszczeniu pamięci kładły pięć małych, ślicznych kociątek. Dwóch chłopców za bardziej skuteczne uważało użyć pięciu utopionych kociąt.

Kocięta leżały na sofie pokrytej materiałem w kwiaty, bo musieliśmy jako świątynię pamięci wykorzystać sklep IKEA w Sundvall. Niedawno byliśmy tam na wycieczce szkolnej, a nie czuliśmy żadnego związku z jakimś innym dużym lokalem, który moglibyśmy wykorzystać. Potem mieli skonstruować swoje własne domy pamięci. Ale mieszkali w okolicy, gdzie nie było dużych, godnych uwagi budynków, więc pozwoliłam im, jeśli zechcą, poprowadzić ścieżkę pamięci na zewnątrz domu. Nie mogli tylko pozostawiać zbyt dużych odległości między wybranymi miejscami, ponieważ wspomnienia staną się mgliste. Wielu chłopców wytyczyło swoją drogę między ścieżką wydeptaną przez łosie a terenem łowieckim.

Jedna z dziewczynek zapytała, czy drogi pamięci mogą być tajne. Odpowiedziałam, że tak. Jeśli tylko będą spełniały swoje zadanie, mogą być tajne. Wiem, że straciłam wówczas

470

kontrolę nad dwojgiem czy trojgiem dzieci, gdy szły swoją drogą pamięci. Nie miałam pojęcia, które sale mijali i co widzieli. Ale nie chciałam tego zmieniać.

Wszystko przebiegało spokojnie, dopiero w czwartym roku, na wiosnę, wydarzenia potoczyły się szybko jedno za drugim. Najpierw zostałam zaproszona przez dyrektora do domu na obiad. Nie czułam się tam dobrze. Mieszkanie należało do tych dobrze wyposażonych. Robot kuchenny, zestaw stereofoniczny i odziedziczone w spadku kielichy do wina. Jedliśmy schab zapiekany w sosie curry, banany z bitą śmietaną, a dyrektor chciał rozmawiać ze mną o moim stosunku do dzieci. W jego zainteresowaniu wyczułam coś niezdrowego.

Drugie zdarzenie nastąpiło w pustym pokoju nauczycielskim, gdzie natknęłam się na dyrektora. Z początku mówił właściwie o wszystkim i o niczym. Pamiętam tylko, że spytał, czy nie odczuwam przygnębienia i czy nie mam kłopotów ze snem.

Zabrzmiało to nieprzyjemnie. Odparłam, że jestem w dobrej formie, ale gdy głowę mam pełną pomysłów, zasypiam późno.

- Zawsze miewałaś na zmianę okresy depresji i wzmożonej aktywności?

Co można odpowiedzieć na takie pytanie? Odparłam:

- Tak, a ty nie?

Trzecie zdarzenie: zostałam wezwana do jego gabinetu. Tym razem wydawał się bardziej oficjalny, a zarazem zdenerwowany. Bez zbędnych wstępów spytał, jak doszło do tego, że przestałam pracować na uniwersytecie ludowym. Wie, pomyślałam.

- Byłaś nauczycielką w komunie na Gwiazdnej Górze, tak?

471

Potem następne pytanie, zupełnie zaskakujące: jak przyjął podwójne morderstwo? Przyjął. Podwójne morderstwo. W rzeczywistości były to trzy słowa, których nie mogłam usytuować w moim sposobie myślenia. Były tak beznadziejnie nieadekwatne.

Powinłam wtedy trochę głębiej się nad tym zastanowić. Ale podeszłam do tego tak jak zawsze, gdy ludzie wydawali mi się zbyt skomplikowani. Pomyślałam: on oszalał. I przestałam się tym zajmować. Nadal pracowałam i czytałam.

Piąte zdarzenie miało miejsce w pokoju nauczycielskim. Jeden z nauczycieli był współwłaścicielem konia wyścigowego. Miał zwyczaj organizować zakłady. Stawkę chętni wpłacali do kasy, w której zbierano pieniądze na kawę. Tym razem wpadł na pikantniejszy pomysł. Kobieta, z którą żył, nauczycielka gimnastyki w tej samej szkole, była w dość zaawansowanej ciąży. Teraz po wpisaniu się na listę i wpłaceniu dziesięciu koron można było obstawiać, kiedy dziecko się urodzi. Gdy weszłam do pokoju, prawie wszystkie daty na dwa tygodnie naprzód były obstawione.

Ogarnęła mnie wściekłość. Wiedziałam, że pięciu młodszych nauczycieli we wtorki wieczór, kiedy ich żony szły na kurs batikowania, zbiera się, aby oglądać filmy porno. To było głupie. Ale ich obecne zachowanie — nieprzyzwoite.

- A kto wygra, jeśli dziecko umrze? - spytałam.

Najpierw zrobiło się cicho. Potem zapanowała potworna wrzawa, ponieważ nie byłam skłonna się poddać. Żądałam odpowiedzi. W trakcie całego zamieszania pojawił się dyrektor. Poprosił mnie do gabinetu, gdzie zrelacjonowałam mu, jak nauczyciele się zabawiali. Powiedziałam o obstawianiu konia, partnerki w ciąży i o wszystkim innym. Możesz sobie wyobrazić, ilu przyjaciół miałam potem wśród szkolnych kolegów. Dyrektor był zdania, że oczywiście żadne tego rodzaju zakłady nie mogą mieć miejsca w szkole. Spytał, czy

472

|

bardzo ciężko przeżyłam fakt, że moja ciąża skończyła się tak nieszczęśliwie.

- To nie ma nic do rzeczy! - krzyknęłam. - Tu nie chodzi o moją psychikę. Tu chodzi o przyzwoitość!

Następnie wyszłam, trzasnąwszy drzwiami, tak że szkło zabrzęczało. Jedyne, czego żałowałam, to to, że użyłam słowa: „przyzwoitość”. Uważałam właściwie, że chodziło o ludzką godność. Ale zabrzmiałoby to zbyt dziwnie w tej szkole, gdzie uczniowie wyższych klas wylewali sobie wzajemnie na głowy grochówkę, a młodzi mężczyźni, zdolni do zapładniania, zbierali się, aby popatrzeć, jak inni spółkują.

Zapanował spokój, atmosfera jednak zrobiła się ciężka. W pokoju nauczycielskim było wielu, którzy nie mówili mi dzień dobry, ale to nie miało znaczenia. Pracowałam dużo. Zbliżała się wywiadówka.

Kilka matek uczniów z mojej klasy przyszło jakąś godzinę wcześniej, nakryłyśmy stół i przystroiliśmy go. Wydawało mi się, że ustawiły trochę za dużo filiżanek. Zjawili się jednak rzeczywiście wielu rodziców. Tylu osób nigdy jeszcze nie miałam na zebraniu klasowym. W większości poprzycho-dzili parami. Nie byłam przyzwyczajona do widoku ojców w tym miejscu. Dyrektor zszedł z gabinetu na dół i także się wślizgnął do klasy. Jak węgorz. Zapanowała jakaś nerwowa atmosfera. Pomyślałam, że może rodzice czują się nieswojo w obecności dyrektora. Nawet hydraulik, którego znałam, wydawał się zaniepokojony.

Zaczęłam od krótkiego wprowadzenia. Powitałam wszystkich i opowiedziałam, do którego miejsca programu doszliśmy i jakie mamy plany. Przerwano mi:

- Czy zamiast tego my możemy zadawać pytania? Zauważyłam, że zwracają się do dyrektora. Kiwnął głową, bezceremonialnie przystając na to, że mi przerwano. Gdy jednak mieli zacząć stawiać pytania, zapadła martwa cisza. To

473

mnie ucieszyło. Nie uczyniłam nic, co by im pomogło wybrnąć z sytuacji. Dyrektor zrobił taką minę, jak gdyby zamierzał interweniować, kiedy padło pierwsze pytanie, które wcale nie było pytaniem. Piskliwy kobiecy głos krzyknął:

- Nie uważam, żeby było słuszne tak straszyć dzieci końcem świata!

Wtedy posypały się pytania:

- Dlaczego mają się uczyć o kanapach z IKEA?

- Co to za cholerne bzdury, że dopływ prądu zostanie wstrzymany?

- Mats mówi, że ma pokój z pięcioma małymi szczurami w jednym miejscu i że to proces Bessemera. Czy ty masz po kolei w głowie? Jak możesz uczyć dzieci czegoś takiego! Szczury! I proces Bessemera.

- Dlaczego ona twierdzi, że dzieci mają w mózgu jakiś dom i muszą się uczyć wszystkich pokoi po kolei?

Uniosłam dłonie i próbowałam ich uciszyć.

- Mogę odpowiedzieć?

- Odrąbana noga! - wrzasnęła jakaś kobieta.

- Mats przygotowuje referat o uszlachetnianiu żelaza

- powiedziałam. - Dom stanowi ważny element w technice zapamiętywania. Jeśli pięć młodych szczurów jest na jakimś miejscu, oznacza to, iż chodzi o piąte miejsce z kolei. Tak prawdopodobnie Mats zapamiętał proces Bessemera.

- Sama nie wiesz, czego ich uczysz.

- Budują swoje domy samodzielnie. Nikt nie ma prawa pytać, jak te domy wyglądają wewnątrz, jeśli sami nie zechcą o nich opowiedzieć czy ich narysować.

- Szkielet! Szczury! Krew na podłodze. Biała dama bez głowy. Zupełne wariactwo. I zamki. Anna-Karin musiała nauczyć się całego zamku.

- To trochę niejasne - odezwał się hydraulik łagodnie.

- Czy nie łatwiej uczyć po staremu?

474

Na to pytanie miałam wielką ochotę odpowiedzieć, ale mi nie pozwolili. Chciałam też wyjaśnić sprawę kanap z IKEA. Ale teraz zaczęli o komunie na Gwiazdnej Górze, o śmierdzących kozami sukienkach, o marihuanie i herba matę, o martwym płodzie, który Petrus zakopał.

- To było łóżysko - powiedziałam. - I nie żyję teraz tak jak oni. Mieszkam tutaj, w Byvängen.

- Ale co ty masz za meble? - krzyknęła jedna z kobiet, która nigdy u mnie nie była. - Chusty i drewniane skrzynie! A jako stół stolnicę!

Dyrektor podniósł się z krzesła i raz po raz otwierał usta, ale nie powiedział słowa. W rzeczywistości wcale nie miał zamiaru się odzywać. Przecież wykonywali za niego najbrudniejszą robotę.

- Uważasz, że wszystko idzie ku zagładzie, co? - krzyknęła mała grubaska, której sylwetkę znałam właściwie tylko od góry do pasa, bo zwykle kobieta siedziała w kiosku.

- Będziesz tym straszyć dzieci?

- To niepotrzebne - odparłam. - Są wystarczająco przerażone bez tego.

Nie chcieli, żebym uczyła ich dzieci. Część uważała, że jestem pomyłona, większość, że lewicująca, co w istocie oznaczało to samo, choć w tym drugim wypadku sama byłam sobie winna. Żądali, aby klasa dostała nowego nauczyciela.

Teraz, gdy sprawa zrobiła się poważna, na linię strzału wyszedł dyrektor, by odeprzeć zarzuty. Stał w marynarce z dużymi klapami, obcisłych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli z wyłożonym na wierzch kołnierzykiem. Pod grdyką widać było srebrny wisiołek w kształcie ryby. Włosy miał szesane z czoła, sięgały mu do połowy ucha. Nosił buty, które sprawiały, że był o pięć centymetrów wyższy. Myliłam

475 się sądząc, że oni się go boją. Był jednym z nich. Jeśli potrafił się okazać na tyle rzutki, żeby zostać dyrektorem szkoły, to tym bardziej teraz pamiętał o tym, że otrzymuje pensję z pieniędzy podatników.

Jeszcze nikt nie wypił kawy. Na czerwonych papierowych obrusach stały termosy-dzbanki, słodkie bułeczki nadal były przykryte folią. Od czasu do czasu ktoś trącał łokciem filiżankę czy uderzał ręką w blat stołu, aż porcelana brzęczała.

- To się musi skończyć! Oznaczało to: Annie Raft musi odejść.

- Jeżeli nie, pójdziemy wyżej. Mieli na myśli kuratorium.

W końcu zostaliśmy sami, dyrektor i ja. Oznajmił, że on w każdym razie po części rozumie, iż moje ćwiczenia z uczniami są eksperymentem edukacyjnym. Wszystko to jest jednak zbyt oryginalne. I tak jak hydraulik powiedział: łatwiej uczyć po staremu.

- Już Cycero wysuwał pewne obiekcje w związku z techniką zapamiętywania - powiedziałam. - Ale daleko mu było do tego, co tutaj usłyszeliśmy.

- Tak, tak - powiedział dyrektor. - Jesteś pełna pomysłów, nie ma w tym nic złego. Dzieci jednak nie wolno straszyć.

- Nie robiłam tego. Przestraszyłam tylko rodziców.

- No to porozmawialiśmy sobie. Masz kłopoty ze snem i jesteś podenerwowana.

Wykazałaś ogromny brak równowagi w pokoju nauczycielskim. Teraz możesz wziąć na pewien czas zwolnienie lekarskie, a potem zobaczymy.

Czułam się, jakbym naprawdę była chora. Czułam mdłości i bolała mnie głowa.

Następnego dnia rzeczywiście zostałam w domu. Nic prostszego. W spiżarni miałam czterdzieści bułeczek do kawy.

476

Trudniej było wrócić. Postanowiłam rzucić wszystko. Ani przez chwilę przecież nie zamierzałam osiąść na stałe w By-vangen. Pojechałam do Sztokholmu, chciałam przez jesień prowadzić lekcje, biorąc doraźne zastępstwa, i zobaczyć, jak się wszystko ułoży.

To się jednak nie udało. Miasto było zmienione. Zapamiętałam je jako wytwór rąk ludzkich, niemal dzieło sztuki. Tymczasem stało się czymś organicznym, pożywką.

Na zboczach górskich powyżej Slussen sterczały jakieś zielone kępy, których nigdy przedtem nie widziałam. Z piwnicznych okien pod ICA zajeżdżało smrodem. Roilo się od robactwa w systemie wentylacyjnym. Miasto rozrastało się, pachniało prokreacją.

W sierpniu powietrze zrobiło się tak obrzydliwe, że trudno było oddychać. Ciężkie od wilgoci i niewidocznych gazów. Na Strindbergsgatan, gdzie mieszkałam u Henny, szczury uganiały się w dzikim winie. Wróciłam więc do Czarnej Wody i przeniosłam się do małego czerwonego domku Aagot przy drodze. Dla Mii wynajęłam pokój z całodziennym utrzymaniem w Byvanger. Przyjeżdżała do domu w weekendy.

Nie miałam pojęcia, co robić. Tymczasem nauczycielka mieszkająca w Lersjövik podczas pierwszych mrozów wpadła w poślizg i złamała rękę. Tak się przestraszyła codziennych dojazdów do Czarnej Wody, że zrezygnowała.

Mój dyrektor kierował szkołą także tam. Nie odesłał mnie jednak z kwitkiem. Dla tej wioski równie trudno było znaleźć nauczyciela jak pastora. Nikt nie chciał zostać w Ró-back. Dyrektor udzielił mi szeregu ojcowskich rad. Trzymaj się programu szkolnego. Będą cię obserwować. Coś takiego się szerzy. I nie wolno straszyć dzieci.

477

Nie, nie powinniśmy się straszyć wzajemnie tym, w czym i tak już żyjemy i co wydaje się z takim trudem zmierzać ku spełnieniu - bez szczególnej inwencji czy kierunku. Przyjmuje to jednak niezliczone formy, w wielu wypadkach tak skomplikowane, że zdają się wskazywać na pewien rodzaj fantazji. Nie warto przewidywać dziwactw i okrucieństw, które ów nadciągający koniec zrodzi, nim wypełni się po kres. Powinnam przyjąć to spokojniej. Mimo wszystko dobrze się stało, że rozmowa o sytuacji, gdy nie ma prądu i doszło do radioaktywnego skażenia, się odbyła. Dla rodziców to właśnie Droga Pamięci stała się prawdziwym kamieniem obrazy. Domyślali się, że dzieci mają w sobie puste miejsce, w którym jest tylko strach. Sami takie mieli. Tym, co przerażało ich najbardziej, była obawa, że dzieci otrzymają wstęp do wielkiego i osobliwego budynku o wielu pokojach i że nie będą musiały nikomu opowiadać, co się w nich mieści.

478

- Mama Mii była człowiekiem dumnym. Nie pragnęłaby takiej obrony. Żadnego uczucia pomieszanego ze wstydem. A przede wszystkim żadnego współczucia.

- Ale Mia zachowała się wspaniale - powiedział Johan. Objęła prowadzenie, pomyślał Birger. Całe życie będzie tak za nią człapał i tak wyglądał.

- Co tam mówicie o mnie? Mia wstała.

- Mówimy, że jesteś wspaniała - powiedział Birger. - Pet-rus ma na kobiety pobudzający wpływ. Wikaremu jednak będą musieli teraz dać kawałek dziczyzny.

- Oni chcieli ją tylko wykorzystać do swoich celów - powiedziała Mia.

- Gdy Annie tworzyła Drogę Pamięci, otaczali ją zdecydowani oponenty - opowiadał Birger Johanowi. - Granatowi, właściwie „czarni” członkowie Partii Centrum. Ostrożni mieszczańscy w Byvanger, którzy w zaangażowaniu widzieli oznakę niezrównowagi (byłem jednym z nich), i igno-rantki polityczne o chwiejnych poglądach. Kobiety wiejskie, które jednego dnia chciały żyć jak ich przodkowie, a następnego uczyć się angielskiego i jechać z przyjaciółką na Rodos. Byle dalej od męża, zostawiając jednak w zamrażarce gotowe porcje: Dzień 1, Dzień 2, Dzień 3... Taka była ich rewolucja i przeważnie nic z niej nie wychodziło. Niekiedy ci ludzie

479

znów budzą się do życia, widziałaś ich w Domu Ludowym. Naprawdę nie mają podejrzanych zamiarów.

- Bo to Petrus wszystkim zawładnął - powiedziała Mia.

- Ma silną osobowość.

- To zwierzę. A teraz na dodatek odstawia cyrk. Kawa w czerwonej chatce z białymi narożnikami. Ręcznie malowane wywieszki. I pieniądze od gminy na kursy etyki. Ale dalej śmierdzi mu z ust. I tylko jedna rzecz go interesuje: ser i żeby się pieprzyć.

- W takim razie dwie - powiedział Birger.

- Już na Gwiezdnej Górze był obleśnym starcem. Nam, dzieciom, wydawał się obrzydliwy. Włożył na kobiety. Kiedy bądź, w środku dnia. Nie, na mamę nie. Niech wam to nawet przez myśl nie przejdzie.

Chwała Bogu, pomyślał Birger.

- Trudno ci było tam na górze? - spytał zaniepokojony Johan.

- Nie, nam było przyjemnie. Wszyscy byli mili. Petrus też, jeśli mam być bezstronna. W ogóle się ze sobą nie kłócili.

- Dan był dla ciebie miły?

Birger z trudem wymówił to imię i poczuł, że zbliżył się do grząskiego terenu w swoim wnętrzu. Nie chciał się rozplakać. Wstydził się tych ataków, które nachodziły go bez ostrzeżenia, a którym Mia przypatrywała się z twardą niechęcią.

- Dan był wspaniały. Taki jakiś śliczny. Chociaż dostawałam szału, kiedy był z mamą. Chciałam, żeby był ze mną. Ona myślała, że jestem na niego zła. Dan nigdy o nic nie robił awantur. Siedział z tymi swoimi długimi złotymi włosami i pokpiwał sobie z Petrusa i kobiet. No, raz się zezłościł. Zupełnie wtedy oszalał. To była moja wina. Zamilkła.

- Co się stało? - spytał Birger.

480

- W starej oborze, której nie używali, znalazłam parę dzinsów. Wszędzie szukaliśmy zabawnych przedmiotów, było ich mnóstwo. Przecież kiedyś mieszkali tam ludzie. Nieustannie myszkowaliśmy i grzebali dookoła i ja znalazłam te dzinsy wepchnięte pod żłób. Dałam je mamie, bo dla mnie były za długie. Bardzo się ucieszyła. Nosila je stale. Potem przyjechał Dan i zrobił o nie awanturę. Ryczał i wrzeszczał, aż ogarnął mnie strach. Tak było jeden jedyny raz. Ale to się stało z mojej winy. Chociaż on przecież nie mógł tego wiedzieć.

- Czy Dan wiedział coś o tym, co się zdarzyło nad Lobberan?

- Wiedział, kim był chłopak w namiocie. Wszyscy to wiedzieli.

- Annie też?

„<. <•

- Myślę, że tak.

- Nigdy nic o tym nie mówiła.

- Tak, nie chcieli o tym mówić. Nie mam pojęcia, w jaki sposób wszystko to było ze sobą powiązane. Jedną rzecz jednak wiem na pewno. Miałam lalkę Barbie, mówię o chłopaku Barbie, który z początku miał na imię Ken. Ale przechrzcieliśmy go, pozostałe dzieci i ja. Odtąd nazywał się John Larue. Wiedziałam, jak to się pisze i jak wymawia. Miałam przecież sześć lat. I jakoś zawsze wiedziałam, że to było imię i nazwisko chłopaka w namiocie. My, dzieci, wiedziałyśmy o tym.

. , |

481

Johan nieczęsto myślał o Ylji. Wspomnienie było nieme i ucięte. Ślepa uliczka.

Ale myślał o lasach. Po prawie dwóch dziesiątkach lat pamiętał swój sen: bez żadnych skrzydeł przelatywał nad pachnącym lasem liściastych drzew. Lipy w czasie późnego kwitnienia, buldeneże o ciemnych liściach, dęby i kasztany z koronami, z których każda stanowiła odrębny świat. Olbrzymie jesiony, wiązy ze sztywnymi liśćmi, szarosrebrne wierzby nad lustrami wody. Przepłukiwane światłem powiewne krzaki leszczyny.

Nazwy gatunków drzew wymyślił później. Lubił wyobrażać sobie półmrok lasu i swoje powolne szybowanie ponad wierzchołkami drzew, które w najmniejszym stopniu nie wydaje mu się dziwne.

Z czasem dowiedział się, jak to jest z tym dachem z liści, który dla niego wyglądał jak falująca podłoga. Ylja miała rację. Europę naprawdę kiedyś pokrywały lasy. Istniały też wielkie obszary bagniste i podmokłe. Łańcuchy górskie i szerokie rzeki. Przede wszystkim jednak lasy. Lasy szumiały aż pod Kaukazem i daleko nad brzegami Atlantyku.

Najpierw pomyślał, że Ylja musiała czytać tę książkę. Potem zobaczył, że książka wyszła dwa lata później, niż spędzali wspólne dni w Trollevolden. Co jednak robi pani

484
docent tak bardzo pochłonięta nauczaniem mitu o Wędrowcu? Wykłada naturalnie, prowadzi seminaria. Ylja musiała należeć do studenckiej grupy seminarzystów w Turku. Przyszłych religioznawców.

Nie — to niedorzeczne. Pewnie studiowała coś innego, a na wykłady chodziła z ciekawości. Tylko ktoś, kto traktował temat jako czystą zabawę, mógł snuć opowieść o Wędrowcu w taki sposób jak ona.

Teraz uderzyła go myśl, że jeśli Ylja należała do seminarzystów, pani docent mogłaby ją znać. Gdyby opisał jasną,

0 chłopięcej urodzie, przypuszczalnie dość uszczypliwą studentkę, może jej nauczycielka by sobie ją przypomniała.

Spodobała mu się ta myśl. Nie chciał iść na policję. Przypominałoby to zanurzenie ręki w ciemnej wodzie

1 wyłowienie Bóg jeden wie jakich śmieci. Chciał wiedzieć, co może wyjść na światło dzienne, zanim pójdzie z tym na policję.

Między nim a Mią wszystko układało się teraz dobrze. Ale była to krucha równowaga. Od chwili, w której pojął, że Mia może podjąć decyzje nieprzewidywalne.

Zadzwoił na uczelnię w Turku i spytał o Doris Hofstaedter. Pani docent zdążyła zostać profesorem i przenieść się do Helsinek. Sekretarka chciała dać mu telefon na uniwersytet w Helsinkach, ale poprosił o numer domowy. Nie miała, a zresztą nie podałaaby go, oświadczyła z niechęcią w głosie. Prawdopodobnie myślała, że zamierzał nietaktownie niepokoić panią profesor telefonem.

Zdobycie jej numeru i adresu poprzez biuro informacji okazało się sprawą prostą.

Profesor Hofstaedter nie cierpiała na kobiecą paranoję. Zadzwoił, nie przypuszczając, że będzie rozmawiał z nią samą. Trwało upalne lato. Helsinki musiały być pustynią. Ale oto Doris Hofstaedter odebrała telefon, z roztargnieniem i zaledwie na granicy uprzejmości.

485

Natychmiast pożałował, że zadzwonił, miał jednak tyle przytomności umysłu, aby mówić po norwesku. Spytał, czy w najbliższych dniach będzie w domu, by przyjąć dużą przesyłkę książek z uniwersytetu w Oslo. Będzie. Co to za książki?

- Tego nie potrafię powiedzieć - odparł. - Są już zapakowane.

Podniecony zauważył, że skłamał szybko i dość pomysłowo.

> Wyobrażał sobie, że poleci do Helsinek samolotem, najpierw szybki wywiad z panią profesor, a potem jazda wynajętym samochodem do Turku, aby sprawdzić listę seminarzystów sprzed osiemnastu lat. Dalsze tropienie będzie bardziej kłopotliwe, zdawał sobie z tego sprawę. Wyglądało jednak na to, że szczęście mu sprzyja. Birger Torbjörnsson także chciał z nim jechać. To się stawało uciążliwe. Ale widząc jego smutek, nie można mu było odmówić. Człapał w kółko po nie sprzątniętym mieszkaniu niby wielki, chory niedźwiedź.

Chciał, aby poszli na policję w sprawie Johna Larue. Mia nie sądziła, aby ktokolwiek przywiązywał wagę do imienia i nazwiska zwykłej lalki. Gdyby tylko istniał jakiś zaginiony John Larue, zaczęłoby się coś dziać. Ale w czasie zdarzenia nad Lobberan, nie zgłaszano żadnego zaginięcia.

Johan niewiele opowiedział Mii o kobiecie, która go podwiozła i przypuszczalnie spotkała się z Johnem Larue. Nie tylko z litości wziął ze sobą Birgera. Bał się, że mógłby powiedzieć za dużo. Nie bez wstydu przypomniał sobie, że wygłosił Mii

kazanie o szczerości. Ale Ylja to była granica. Nie chciał przedstawić się jako rozpalony, naiwny młokos.

Birger czynił z tej podróży całe misterium. Dowiedział się, że podróż wypada najtaniej, jeśli się weźmie bilet na

486

prom łącznie z opłatą za pokój w hotelu. Johan słyszał, że Birger rzadko spędzał urlopy poza Czarną Wodą. Teraz przyszedł, taszcząc ciężką, starą skórzaną walizkę. Trudno mu było dostosować się do reguł masowej turystyki. Próbował kupić wódkę bez kolejki i żartować ze zmęczonymi fińskimi sprzątaczkami. Gdy weszli do jadalni, ruszył do stołu z zimnymi zakąskami. Opowiadał, jak podczas studiów hodował kultury bakterii na galaretowatej pożywce, wyglądającej tak samo jak ta, z której teraz gotowany łosoś wytrzeszcza białe gałki oczne. Mówił to, nie ścisząc głosu, i budził niechęć innych podróżnych.

Jedli krewetki, popijali drinki i, ogólnie rzecz biorąc, robili to, co zwykle robi się na pokładzie. Po kawie Johan parę razy pociągnął za wajchę jednorękiego bandyty i przegrał. Birger wrzucił pieniądze i też pociągnął. Automat zarządził, po czym rzygnął na szalkę potężnym strumieniem jednokoronówek. I wcale nie przestał, dalej błyskał światełkami, wył i rzygał. Szalka przepełniła się i koronówki bryzgały na dywan pod ich stopy. Ludzie przystawali i patrzyli. Birger stał bez ruchu, Johan usiłował zebrać całe to bogactwo.

Wtedy Birger się rozpląkał. Wciąż stojąc, płakał tak samo, jak wtedy, gdy przyniósł Johanowi kawę do łóżka. Usta miał otwarte, z nosa i oczu kapało. Wciągał powietrze, rytmicznie sapiąc, po chwili chwycił go skurcz i najpierw klatka piersiowa, a potem okazały brzuch zaczęły dygotać i podskakiwać.

Ludzie śmiali się i pokrzykiwali zachęcająco. Przypuszczano, że płacze z radości. Johan najpierw chciał go stamtąd zabrać, ale pożałował gapiom pieniędzy, ukląkł i wybierał wszystkie korony co do jednej. Przez cały ten czas Birger stał z boku i głośno szlochał, kapało mu z nosa, z oczu ciekły łzy.

W końcu Johanowi udało się zaprowadzić go do kabiny. Gdy próbował ułożyć Birgera na łóżku, ten uderzył głową

487

w górną koję. Pod wpływem bólu ustąpił skurcz wywołany płaczem. Mężczyzna siedział teraz na łóżku pochylony do przodu, kompletnie wykończony. Johan położył mu na czole mokry frotowy ręcznik, po czym wziął rękę Birgera i umieścił ją na ręczniku, żeby ten przytrzymał sobie okład. Następnie otworzył butelkę whisky, którą kupił, i wypił prawie pół szklanki do mycia zębów. Nie był pewny, czy po takim ataku płaczu Birgerowi dobrze zrobi alkohol, ale poszedł na kompromis i dał mu łyk. Rozumiał, że Birger płakał, bo Annie nie żyje. Zupełnie jednak nie był w stanie pojąć, dlaczego właśnie plujący monetami automat wywołał atak. Birger bełkotał coś niewyraźnie o szyderczym śmiechu nie do wytrzymania. Najpierw Johan myślał, że ma na myśli współpasażerów, ale Birger powiedział, że tu nie chodzi o niczyje szyderstwo, tylko po prostu o szyderstwo samo w sobie. A potem mówił: „To był przypadek, czysty przypadek”. Powtarzał to słowo raz po raz. Aż zatraciło cały sens. - To raczej nie był przypadek - przerwał Johan, aby to skończyć. - A jeśli, to w bardzo wąskim znaczeniu. Te maszyny są tak zaprogramowane, żeby od czasu do czasu wyrzucać z siebie pieniądze. I teraz nadeszła na to pora, co było widać po personelu, wszyscy czekali, aby tylko zagrać. Oni mają oko na te maszyny i wiedzą, kiedy to nastąpi.

Johan dalej mówił o wywoływanych przypadkach. Opowiadał, jak wpada się na coś w komputerze, i ku jego niesłuchanej uldze, Birger usnął, już nie płacząc. Na czole miał okropny czerwony ślad.

Po południu ogromną walizkę Birgera i torbę podróżną Johana zostawili w hotelu i natychmiast pojechali taksówką pod adres profesor Hofstaedter. Mieszkała w domu z końca osiemnastego wieku. Budynek był ciężki i okazały, całkowicie różny od jasnego, szumiącego morskim wiatrem klasycy-

488

zmu, który zobaczyli po zejściu na ląd. Na rynku obok portu panowało późne lato: grube pęki koperku i buraków, na stoiskach z kwiatami rudbekie i lwie paszcze, dalej raki, minogi, śledzie, cebula i sękaty ogórki - obfitość, której zapachy rozrzedzone w chłodnym powietrzu odpływają ku morzu lekko jak fiołki. Tu, w centrum miasta, nie istniała w ogóle żadna pora roku. Domu profesor Hofstaedter strzegły wapienne gnomy, które na pokrzywionych plecach dźwigały sklepienie drzwi wejściowych. Johan nacisnął dzwonek domofonu. Chwilę czekali, słyszeli zgrzyt tramwajów na ulicy. Nikt jednak nie odpowiedział.

W gruncie rzeczy dom wcale nie stał tak daleko od hotelu „Marski”. Jazda taksówką okazała się niepotrzebna. Poszli do kawiarni Fazera na kawę. Johan zamówił kanapkę, a Birger beztrudno uraczył się ciastkiem z kremem.

Cały dzień krążyli pomiędzy tym domem a atrakcjami śródmieścia. Johan zaczął już myśleć, że przyjechali na próżno. Miał wrażenie, że Birgera zbytnio nie interesuje rezultat podróży. Jest zadowolony, że na trochę wyjechał, powiedział. Długo dumął przed wystawą artystycznych wyrobów littala ze szkła. Chciał poklepać po pupie pomnik Havis Amandy, przed czym Johan go powstrzymał, proponując, żeby przejechali się tramwajem, linią okólną, i obejrzeliby gmach Instytutu Fińskiego. Wyglądało na to, że Birger dobrze się czuje, i trudno było sobie wyobrazić, że w każdej chwili może dostać jednego ze swoich przykrych ataków płaczu. Johan domyślał się, że doktor funkcjonuje jak nakręcony zegarek. Wie, co powinien zrobić czy powiedzieć, również stanąwszy przed kobiecym tyłkiem, choćby z kamienia. O piątej po południu usłyszeli wreszcie przez domofon głos Doris Hofstaedter. Wtedy Johanowi odebrało mowę, ale Birger przedstawił zarówno siebie, jak i jego, i powiedział, że

489

szukają pani profesor w pilnej sprawie. Chciała wiedzieć w jakiej.

- Szukamy osoby, którą, jak sądzimy, może pani znać. Studentki pani profesor. Z czasów, gdy wykładała pani w Turku.

Było źle słyhać, pytała wiele razy o to samo, w końcu jednak wpuściła ich i jechali teraz skrzypiącą windą z żelaznymi drzwiami na czwarte piętro. Przyjrzała im się, choć nie przesadnie długo, przez wizjer, potem otworzyła drzwi.

Wszystko w tym domu było stare i imponująco wielkie. Johan nie sądził, aby mieszkanie urządzili rodzice pani profesor, raczej jej dziadkowie. W hallu precyzyjnie się obok wielkiej barokowej szafy. Na ścianach wisały szable i pistolety, obrazy w ciężkich rzeźbionych złożonych ramach, przedstawiające czarnozielone krajobrazy, na których dawało się dostrzec jedynie srebrnobiałą smugę rzeki albo spieniony wodospad.

Sama pani profesor była oschłą kobietą o krótko ostrzyżonych włosach, dwukolorowych jak u borsuka. Okulary, przypuszczalnie do czytania, opuściła na koniec nosa zamiast zdjąć. Miała na sobie bawełnianą suknię w czarno-biały modernistyczny wzór, zapinaną na zamek błyskawiczny z przodu, rodzaj namiotu. Pod nim ciało zdawało się bez kształtu. Twarz była obrzękła, szczególnie pod

oczami, gdzie uciskały ją okulary. Walki podskórnego tłuszczu naciągały policzki, rozmazując linię brody. Johanowi kobieta wydała się dość przerażająca i w tym posępnym, okazałym mieszkaniu poczuł się raczej zagubiony. Ale Birger, ciężko stąpając, bez żenady wszedł do środka. Z pewnością przywykł wchodzić do różnych mieszkań i oddychać zapachami, w których ludzie żyli. Wyglądał, jak gdyby zamierzał figlarnie unieść bawełniany namiot i wsadzić palce w żółte ciało pani profesor.

as

490

Wprowadziła ich do pokoju, który musiał być biblioteką. Ściany zasłaniały całkowicie regały pełne książek oprawnych w skórę. Stała tam wysiedziana kanapa z szarzielonymi poduszkami, a na nich znajdowały się kłęby psiej sierści. Johan odkrył to dopiero później, na swoich spodniach. Żadnego psa nie było widać. W pokoju panował mrok. Teraz gospodyni zaciągnęła brązowe aksamitne zasłony i zapaliła lampę. Johan siedział dokładnie w jej świetle.

Opowiedział, że przed wieloma laty poznał dziewczynę, która prawdopodobnie była uczennicą pani profesor.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Mówiła o pani badaniach - odparł Johan.

- O czym konkretnie?

- O Wędrowcu.

>
.'!•!_ •
.••!>|>|>| •»

• Oczekiwał, że będzie

chciała więcej się dowiedzieć o tym,

co opowiadała tamta dziewczyna. Może z zawodowej próżności albo po prostu dlatego, że była chyba z natury sceptyczna. Ale ona spytała:

- Czego pan od niej chce?

Nie miał pewności, czy jest wobec nich nieprzyjazna, czy też nie. Mówiła z fińskim akcentem, w dodatku dość niewyraźnie. Na szczęście jednak nie miał problemu ze zrozumieniem.

- Znała osobę, o której chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej.

- Kogo?

- Nazywał się John Larue - wtrącił Birger usłużnie.

- Nie wiem, o jakiej dziewczynie pan mówi. Proszę ją opisać.

Stała zwrócona plecami do okna i zaciągniętych zasłon. Teraz usiadła w skórzanym fotelu z wysokim, przygiętym po bokach oparciem, na którym widać było ćwieki.

Johan zobaczył, że ma na nogach sandały. Proste skórzane sandały,

491

które właściwie składały się tylko z podeszwy, kilku rzemyk ków i prymitywnej sprzączki. Drobne stopy były bardzo kształtne, pani profesor prawdopodobnie musiała często cho-ć dzić w sandałach, bo nie miała żadnej guli poniżej palucha a palce były klasycznie proste i ciasno przylegały jeden do drugiego. Johan zamilkł.

- A więc?

- Miała jasne włosy - powiedział. Więcej nie zdoła

z siebie wydusić. Wpatrywał się w dywan pod swymi! stopami, ciemny,

brązowoczerwony, orientalny, wytarty, ale z ciągle widocznym wzorem ze

stylizowanych kwia-i towych ornamentów. Skądś z tyłu, być może z białej! donicy, stojącej na podłodze przy kaflowym piecu, napłynął] silny, trochę cytrynowy zapach ziół i suszonych płatków! kwiatów.

- Miałam pewnie sporo jasnowłosych studentek - powie-] działa. - Jak wyglądała?

Nie mógł tego określić. Stała mu przed oczami, ale nie był! w stanie jej opisać. Nie

przychodziły mu do głowy żadne inne słowa poza „jasna” i „szorstka”. Słyszał ciężki, nie-j spokojny oddech Birgera.

- No - powiedziała. - To zresztą nie ma znaczenia. Podniosła się. Byli zmuszeni wstać z sofy. Johan ponowił!

próbę, ale skończyło się to czymś jeszcze gorszym niż braki słów. Nastąpiła jakaś blokada w krtani. Nie mógł wydobyć głosu, a gdy usiłował coś powiedzieć, zasyczał, jak gdybył bardzo zachrypł. Profesor Hofstaedter roześmiała się.

- Nie trzeba tego brać tak poważnie - odezwała się.! - Choćby najbardziej kwieściście pan ją opisał, nic by to niej pomogło. Nie podaję nazwisk moich studentek nieznanymi panom ze Szwecji i Norwegii.

- Dlaczego powiedziała „i Norwegii”? - spytał BirgerJ gdy znaleźli się na ulicy.
492

- Bo rozpoznała mój głos. Dzwoniłem parę dni temu, udając, że jestem Norwegiem. Chciałem sprawdzić, czy jest w domu.

- Cholera - powiedział tylko Birger.

Wydawało się, że pani profesor wstrząsnęła nim bardziej niż ich niepowodzenie.

Nie przychodziło im do głowy nic innego, co mogliby zrobić, aby zabić czas do chwili położenia się spać, jak tylko pójść coś zjeść. Przy małej przecznicy w centrum znaleźli rosyjską restaurację - wewnątrz złoto-czarno-czerwone, ciężki zapach perfum i jedzenia. Birger chciał spróbować niedźwiedziej szynki, ale sam wygląd tych słów w menu zdegustował Johana. Zgodzili się na czerwony barszcz, bliny i śledzia z siekaną cebulą w kwaśnej śmietanie. Jedzenie było tłuste i mocno przyprawione i Johan z trudem je przełykał. Wzięli do tego brązową, słodką wódkę i Birger lekko się wstawił. Johan pił umiarkowanie w obawie, że go zemdli. Gdy wrócili do hotelu, położyli się, nie wymieniając żadnych uwag na temat nieudanych odwiedzin u Doris Hofstaedter. Birger zapadł w ciężki sen. Johan leżał, słuchając tramwajów.

Po godzinie wstał i cicho się ubrał. Szedł opustoszałymi nocą ulicami miasta Północy. Gdy podszedł do wejścia z gnomami, palcem wskazującym nacisnął przycisk domofonu i po krótkiej chwili usłyszał chropawy głos. Nie spała. Spodziewał się tego.

- Tu Johan Brandberg.

Przyjęła go w tej samej sukience-namocie, ale bosy. Palila cienkiego papierosa, który pachniał obco.

- Mały Jukka - powiedziała. - Przypuszczałam, że wrócisz.

*

493

- Jak tyś mnie, do diabła, znalazł?

Samogłoskę „a” wymawiała przeciągle. Pytanie rzuciła przez ramię, idąc przed nim w głąb mieszkania, gdzie nie paliła się ani jedna lampa. Zobaczył duży stół jadalny, połyskujący w świetle rzucanym przez latarnię uliczną przed domem. Biblioteki nie było widać. Wyglądało na to, że idą w innym kierunku. Mieszkanie zdawało się rozpościerać we wszystkie strony od stołowego, który miał czworo drzwi. Usłyszał śpiew, prawie bez akompaniamentu. Głęboki bas, który brzmiał coraz silniej, w miarę jak wchodzili w głąb mieszkania. In diesen heWgen Hallen śpiewał ktoś, głos tonął w falujących warstwach ciemności. Zatrzymali się w przesiąkniętym dymem papierosowym pokoju z zawalonym papierami biurkiem. W głębi świeciło się zielone światelko wzmocniacza, śpiewak zakończył arię. Wtedy Doris Hofstaedten odchyliła się do tyłu i nacisnęła przycisk. Zielone oko zgasłoj

- A więc?

Nie zapomniała pytania. Siedziała na biurowym krześle] a dla niego nie było innego miejsca poza skórzany fotel naprzeciwko. Usiadł jak na egzaminie.

- Przypadkowo wpadła mi w ręce twoja książka - odparł.I - Mit o Wędrowcu.

- O, cholera! Znalazłeś się w innej warstwie społecznej.! Masz akademickie kwalifikacje i upodobania.

494

Intymność, pomyślał. Jest tu. W tym zakurzonym pokoju. Czyżby próbował sobie wmówić, że można zbliżyć się do drugiej osoby przez to, że się jest miłym? Tutaj siedzi ona, starsza o osiemnaście lat, a i wtedy wcale niepiękna, i rości sobie pretensje do jego słuzówek i nagiej skóry. Nie miał najmniejszej ochoty kłamać, więc powiedział:

- Znalazłem książkę przez czysty przypadek. Ale ukończyłem studia, to prawda. Jestem meteorologiem.

- Czego ty właściwie chcesz?

- Nie wiedziałem, że to ty. Szukałem dziewczyny.

- Znalazłeś. Ma teraz pięćdziesiąt dziewięć lat. Obliczał w myśli i spostrzegł, że to zauważyła.

- Miałam wtedy czterdzieści jeden — powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. Nie podobało mu się, że jej zęby zmieniły kolor od tytoniu. Były dłuższe, niż pamiętał. Działła podjechały ku górze, powieki opadały ciężko, tworząc głęboką żółtą fałdę. Ona chce przerażać, pomyślał. Dalej liczył w myśli, bo wydawało mu się, że znalazł się w jakiejś labiryntowej grze, gdzie napotyka stereotypowe zjawy, żądające hasła. Tutaj siedzi Czarownica o pięknych stopach. Kilka dni temu spotkał Sprośnego Starca. Wtedy, gdy z wielkim zapalem włożył na kobiety na Gwiezdnej Górze, nie był starszy niż ja teraz, pomyślał Johan. Czy Mia też liczyła w myślach?

- Wzięłaś sobie szesnastolatka do swojego Trollevolden.

- Nie odgrywaj uwiedzonego niewiniątka, Johan. Obtarłeś mnie w środku.

Odchyliła się znów na biurowym krześle i patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Krzesło zatrzęszczało lekko.

- Jukka, Jukka - przemówiła znowu. — Byłeś ostry jak wyżeł. Żadnego dziecięcego ciała nie było między nami, o, nie. Byłeś brutalny. Prawdziwe ładne, czyste zwierzę. Mówiła z wyraźnym fińskim akcentem.

- Potem pewnie wróciłeś do przyzwoitego życia. "|||||: <

Trudno mu było zaprzeczyć, a ona się roześmiała.

- Szwedzka młodzież wyhodowana na łagodnych serach i zasiłkach socjalnych na swoje ekscesy ma do dyspozycji ośrodków rozrywkowych. Wyje na koncertach rockowych, gdy liderzy zabaw krzyczą fuck, juch, fuck i asshole. Ale dwadzieścia lat temu ty naprawdę wsadzałeś kciuk umazany norweską margaryną w mój tyłek i bynajmniej nie nauczyłeś się tego w kinie, mój przyjacielu. ;

- Trollevolden należało do NTT - powiedział. -, \.

- Istotnie.

- Mówiłaś, że to własność twojej rodziny.

- Mój dziadek był hurtownikiem w Trondheim. Drewno, ryby, handel na statkach. Wszystko, czym tylko dało się handlować. Jesienią polował na północy. W tysiąc dziewięćset piątym zbudował dom myśliwski. Chodziło o życie w wielkim stylu. Pięćset pardw nie było niczym niezwykłym. Masa zajęcy. Łososie. Niedźwiedzie. Można to nazwać ekscesami. Nie tak jak wtedy, gdy dwadzieścia tysięcy biegaczy na orientację wpędza dziką zwierzynę w trwającą cały dzień agonię, w ogóle nie zwracając na to uwagi. A przecież ważna jest krew na butach, dymiący proch, ściągnięta skóra.

Wstała i wyszła z pokoju. Johan nie wiedział, co myśleć. Czyżby zamierzała przynieść fotografie? Mgliście przypomniał sobie kilka zdjęć z polowań. Gdy kroki się zbliżyły, usłyszał brzęk szkła.

- Whisky czy wódka?

- Whisky.

- Jego córka, z gatunku tych bledziutkich, spotkała Fina, inżyniera - podjęła opowiadanie. - W nadmorskiej miejscowości na wyspie Sylt. Po ślubie przeniosła się do Finlandii i urodziła dwoje dzieci. Mnie i mojego brata. Na początku wojny zimowej zostaliśmy ewakuowani do dziadka. Nikt przecież nie przypuszczał, że parę miesięcy później Niemcy

496

zaatakują Norwegię. Poszłam do szkoły dla dziewcząt Amalii Chlup w Trondheim, bardzo dobrej prywatnej szkoły. Nazywała się właściwie Lock, ale nazywaliśmy ją Amalią Chlup. Nosiła małą teczkę, w której chlupotało. Portwajn.

- Wyobraź sobie - ciągnęła - Amalia Chlup miała nawet portwajnowy nos.

Prawdziwie staromodny, fioletowy okaz z dużymi porami. Na takiej małej, miłej twarzączce.

Uniosła szklankę z przezroczystą wódką i wypila.

- Ale ty się pilnowałaś - powiedział. - Tylko czysta wódka.

- Johan, tobie się nie podoba, że mnie się udało, chociaż piję wódkę i palę papierosy.

- Udało się?

- Mam profesurę, jestem członkiem towarzystw naukowych. Jestem zdrowa i nigdy się nie nudzę. Wystarczy?

Nie odpowiedział, a ona ciągnęła:

- W czasie wojny cała szkoła miała pojechać na wycieczkę do Trollevolden.

Pierwszego dnia po zakończeniu roku szkolnego. Najpierw pociągiem, potem końmi do domu myśliwskiego. W tamtym czasie nie było w tym nic nadzwyczajnego, widzisz, człowiek mógł dotrzeć tam wozem zaprzężonym w konia. Dziadek był wspaniały. W samym środku szarych wojennych dni dostaliśmy tort, truskawki, poncz jajeczny i rosyjską szarlotkę, jeśli wiesz, co to takiego. Na dodatek były służące i emaliowane dzbanki z tłustą śmietaną. Rolada i nadzienie do szarlotki. Jasny stek cielęcy w śmietanowym sosie. Ty nie wiesz, czym jest cielęcina, Johan, taka cielęcina, jaka była przed wojną. Tuczne cielęta, hodowane na ubój, karmione krowim mlekiem i delikatne jak twój śliczny kutasik. To cudowne wspomnienie - dziecięco naiwna i lekkostrawna rozrzutność. Ale był to ostatni gest dziadka, bo interesy szły kiepsko. Po części dlatego, że odmówił współpracy z Niemcami, po części zaś dlatego, że

497

żegluga upadła. Gdy zmarł, z majątku nic nie zostało. No, Trollevolden, ale nie było już nic warte. Mama umarła na zapalenie płuc w ostatnim miesiącu wojny zimowej. Razem z bratem oddaliśmy Trollevolden Towarzystwu Turystycznemu, aby przynajmniej dom został utrzymany w jakim takim stanie. W latach pięćdziesiątych nie troszczono się o oryginalne, unikatowe wnętrza. A o tym domu szczęśliwie zapomniano. Stał przecież tak na uboczu. Kto szedł na wycieczkę i chciał tam przenocować, dostawał klucz w sklepie we wsi. W tamtym czasie ludzie byli przywoici. Dom podupadł, ale nigdy nie został zniszczony w środku. Teraz zatrudniono dozorcę. Są zamykane okiennice. Umieblowanie NTT. Przestaliśmy z bratem tam jeździć.

- Ten pręgowany facet to był twój brat?

- Tak. Najbardziej zależało mi na tym, żeby nie zobaczył cię z bliska. Krępował mnie trochę twój młody wiek. Nie liczyłam na to, że on tam będzie. Tylko dziewczęta. A one miały wynieść się po kilku dniach.

- To były turystki?

- Ależ skąd, na Boga, to były uczennice Amalii Chlup. Wszystkie mniej więcej czterdziestolatki. Wpadły na pomysł, aby tam, na górze, urządzić jubileusz. W trzydziestą rocznicę uczyły w środku wojny. Zrobiłyśmy nawet rosyjską szarlotkę, ale nie sądzę, aby o to ci chodziło.

- Nie przyszedłem, żeby tego słuchać — powiedział Johan.

- Nie, a jednak to cię bardzo interesuje.

- Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o Johnie Larue.

- Nie znam go.

- Spotkałaś go w aptece albo w sklepie ICA w małej miejscowości o nazwie Byvangen. Dałaś mu numer telefonu do sklepu we wsi w pobliżu Trollevolden. Przypuszczam, iż zaplanowałaś sobie, że tam przyjedzie.

- Och, mój drogi. Chcesz powiedzieć, że go podrywałam?

498

- Tak. Kupiłaś też kondomy.

Teraz na jej twarzy rzeczywiście odmalowało się zdumienie. Z lakierowanego na czarno pudełka, zdobionego w staroświeckim rosyjskim stylu, w kolorach złotym i czerwonym, wyjęła nowego papierosa i zapaliła go.

- Jak tyś mnie dzisiaj poznał, Johan?

- Po stopach - odparł, choć uważał, że to nietaktowne. Czy sprawił jej przykrość?

- No tak. Zawsze mamy coś, co pozostaje nie zniszczone, prawda? Istotnie zawsze dbałam o stopy. Występują w powieści. Stylizowana, romantyczna autobiografia pewnej starszej fińskiej poetki.

Usta jej się nie zamykały. Formułowała zdania w wyszukany sposób. Ani przez moment nie myślała o jakimkolwiek bliższym kontakcie, a mimo to istniała między nimi jakaś intymność. Nie było to: wiem, co myślisz. Tylko: czuję, co ty czujesz. Jak wtedy, gdy odarte ze skóry ciało płonie przy innym.

- Chcę porozmawiać o Johnie Larue - powiedział Johan. - Nigdy nie użyłaś kondomów. Ani jednego. Zastanawiałem się nad tym trochę. Myślę, że to było tak: spotkałaś Johna Larue w aptece i usłyszałaś, że jest z dziewczyną, która cierpi na bóle menstruacyjne. Był przystojny. Miałaś na niego ochotę. Ale wiedziałaś, że gdyby do czegoś doszło, powinnaś się zabezpieczyć.

- Ach tak - powiedziała.

- Na to wpadł Birger Torbjörnsson. Jest lekarzem. Sądzę, że chciałaś zwabić do siebie Johna od razu. Ale okazał się zbyt przyzwoity, chociaż nie znał dobrze dziewczyny, z którą jechał, bo dopiero co spotkał ją w Göteborgu, byli razem na koncercie rockowym. Dałaś mu wódkę i hotapulver dla dziewczyny. Kupiłaś notatnik i zapisałaś w nim numer do sklepu. Tamci zatrzymali się w pensjonacie w Byvangen.

499

Myślę, że ty uczyniłaś to samo. Liczyłaś na to, że gdy bóle się uspokoją, dziewczyna zaśnie. Wtedy John Larue przyjdzie do ciebie i otrzyma mały przedsmak rozkoszy, które czekają go w Trollevolden.

- A więc tak to nazywasz, Johan. Przedsmak rozkoszy. No, moje uznanie.

- Ale myślę, że nie przyszedł. Może dziewczyna zaczęła coś podejrzewać i zaskoczyła go, kiedy się do ciebie wybierał.

- Dlaczego nie in flagranti? - spytała kobieta, o której ciągle myślał jako o Ylji.

- Dlatego że opakowanie kondomów pozostało nie otwarte. Myślę, że spędziłaś w tym ponurym pensjonacie cały dzień w nadziei, że on wróci i pojedzie z tobą. Musiał ci podsunąć taką ewentualność. Ale nie przyszedł. Pojechał do Czarnej Wody i wyżej. A ty leżałaś w łóżku i wiedziałaś już, że on wcale tej nocy się nie pojawi. Wtedy, jak sądzę, rzeczywiście poczułaś, że masz tego wszystkiego dosyć.

- A co się zdarzyło potem?

- Potem John Larue i jego dziewczyna zostali zadźgani nożem w namiocie.

- To nie należy do rzeczy.

- W takim razie opowiedz, co należy do rzeczy.

- Że byłam śmiertelnie zmęczona i piekielnie bolała mnie głowa. Nie mogłam spać. To właśnie się zdarzyło. Wstałam, położyłam dwieście koron na ladzie i wyjechałam. Było przed czwartą rano. Jakąś godzinę później zobaczyłam ciebie.

- Będziesz musiała opowiedzieć o tym szwedzkiej policji. Zaśmiała się, nie otwierając ust. Popiół spadł jej na piersi

i strzepnęła go z czarno-białej sukni-namiatu ręką, która nie wyglądała staro. Choć palce miała spuchnięte. Wygrawerowany pierścień doktorski wrzynał się w ciało.

- O niczym nie będę opowiadać ani policji, ani nikomu innemu. Prowadzę spokojne życie i mam godną szacunku

500

pozycję. Nie zamierzam się ośmieszać ani jako łasa na chłopców stara panna, ani jako lubieżne stare babsko.

- W takim razie ja o tym opowiem.

- Bynajmniej - powiedziała. - O niczym nie opowiesz. Bo wtedy przyjdą mnie przesłuchać, a ja oświadczę, że spotkałam Johana Brandberga, gdy jechałam z Byyangen o świcie w dniu świętego Jana. Stał na poboczu szosy z wysuniętym kciukiem, w zakrwawionej koszuli.

Dolała mu whisky, chociaż pokręcił odmownie głową.

- Wypij trochę - powiedziała prawie z czułością. - Noc jeszcze długa.

501

Annie powiedziała, że synowie Brandbergów wnoszą ze sobą jakąś dziwną aurę. Jest w niej coś posępnego i nieprzyjemnego. Nie może to ujść uwagi żadnej kobiety, mówiła. Nawet jeśli natknęła się na nich tylko w przedsionku poczty.

Nigdy nie poznała piątego syna. Smukłego i wysokiego. Kiedy był młodszy, miał bardzo szczupłą sylwetkę. Teraz wyglądał źle. Jest odwodniony, pomyślał Birger. Potrzebuje płynu. Co, do cholery, się z nim dzieje?

Gdy przesłuchiowano Torstena Brandberga w związku z pobiciem Harry'ego Vidarta, jego muskularni synowie byli przy tym obecni. Pamiętał, że mieli nieźle w czubie i uśmiechali się szydlerczo. Pijackie, mętne odurzenie. Było całkiem prawdopodobne, że jednemu z nich później, w nocy, rzeczywiście coś się poprzestawiało w głowie.

Policja przesłuchiwała ich wiele razy. Birger znów zapytał o to Vemdala, a on z pudła po chrupkim pieczywie wyszperał stare raporty.

Najprędzej wchodził w rachubę Pekka, jeśli wziąć pod uwagę, jak się zachowywał od czasu tego, co się wydarzyło w namiocie. Przepił niesamowicie dużo pieniędzy, które zarobił na platformie wiertniczej. Stłukł rywala. Stało się to w Sollentunie, ale wieści o tym dotarły do Czarnej Wody. Kiedy udało mu się kupić dom ze skórzanymi meblami i stereo, zamieszkał tam z bardzo piękną kobietą. Ale ona wyrzuciła go, on zaś wyszedł, tak jak stał, z pustymi rękami

502

A wszystko dlatego, że będąc na zwolnieniu lekarskim, upijał się po wypadku przy dźwigu. Jakiś człowiek spadł z platformy i zginął na miejscu. Po tym zdarzeniu Pekka zupełnie nie mógł pracować. Na górze dostawał zawrotów głowy. Podczas ostatniego polowania był pijany, więc odebrano mu broń. Później nadal pracował jako robotnik w betoniarni na południu kraju, ale nigdy już nie obsługiwał dźwigu. Teraz był bezrobotny.

Sztucer przejął od niego Per-Ola. Nowy łowczy. Uparcie trzymał się Czarnej Wody i niedawno wybudował willę na Tangen. Czworokątna parcela była jak wycięta z willowej dzielnicy we Frósó czy na obrzeżach Óstersundu. Zaczynał robić się ociężały, zbliżał się do wieku średniego. Ale siłę i szybkość ruchów zachował. Włosy miał jasne, teraz może raczej wyblakłe. Oczy małe, blisko osadzone. Czaszkę wyraźnie zarysowaną. Birger przypomniał sobie, że jeden ze starych myśliwych w ich kole, gdy usłyszał, że wybrali Per-Olę na następcę Pekki, pokręcił głową. Nic więcej, tylko ten ruch głowy. Birger nie wiedział, co to miało znaczyć.

W gromadce braci najbardziej podobny do Per-Oli był Vaine. Miał jasne włosy, a od pracy w lesie jego ciało zrobiło się twarde i żyłaste. Ożenił się wcześniej, z Norweżką, która zaszła w ciążę. Nie trwało to długo. Miał syna, który zwykle przyjeżdżał na weekendy, nie wszystkie, i którym opiekowała się Gudrun. Vaine często pracował daleko od domu. Posiadał przyczepę campingową, w której mieszkał na wyrębach. Mówiono, że pracuje jak szatan.

Bjórne był na rencie. Annie go lubiła. Pomagał jej rąbać drzewo na opał, a także przy wielu innych zajęciach. Mówiła, że rozmowa z nim jest zabawna. Zamieszkał sam, gdy wykarczował parcelę, podobnie jak Vaine. Mimo to pozostał. Annie przypuszczała, że miał to być pewnego rodzaju protest przeciwko dzisiejszym czasom.

503

Sam Birger w dziwakach zamieszkujących samotnie chaty nigdy nie dostrzegał buntowników. Sądził, że istotnie należą do minionych czasów i że ich kłopoty wynikają przede wszystkim z problemów seksualnych. Nie mieli kobiet, ponieważ nie potrafili zmienić swojego sposobu życia. Nie myli się, za dużo pili, z kącików ich ust sączył się tabakowy sok. Koszule mieli sztywne od krwi łosi i oleju silnikowego. Zawsze nosili przy sobie noże, a ich seksualny system sygnalizacyjny był tak prymitywny, że traktowano go jak żart. W ciągu jednego roku Birger przepisał Bjórnemu o wiele za dużo oxazepamu i to wyjaśniało, dlaczego Bjórne już tak strasznie nie pił. Birger ze swoimi receptami czuł się bezradny.

Częściej, niż można by przypuszczać, ci dziwacy i samotnicy potrafili całą nędzę swojego istnienia wyrazić słowami. Ale jako terapia nie miało to wartości. Niczego przecież nie zmieniało. Na dłuższą metę środki antydepresyjne stawały się równie bezskuteczne. Bytowaniu w opuszczonej chacie czasami kładła kres śrutówka w ustach. W każdym razie Bjórne był objęty opieką zdrowotną i okresowo przebywał w klinice we Frósó; uważano tam, że w jego przypadku elektrowstrząsy dają efekt pozytywny.

Z początku Birger zamierzał ostrzec Annie, że Bjórne nie jest tak niedźwiadkowato miły, jak mogłoby się zdawać, gdy w torbach ze sklepu ICA przynosił korę brzożową i smolne drzazgi, żeby miała na podpałkę do pieca. Jako osiemnasto-latek próbował zgwałcić dziewczynę w tym samym wieku. Została wtedy porządnie poturbowana. Doniesienia w tej sprawie nigdy nie złożono, ale i tak wszyscy o tym wiedzieli. Torsten załatwił sprawę z ojcem dziewczyny. Mówiono, że gdy ojciec chciał zmienić samochód, Torsten się dołożył, tak że tamten mógł kupić duży amerykański wóz z napędem na cztery koła.

504

Nikt zresztą nie wierzył, aby Bjórne naprawdę chciał zgwałcić dziewczynę. Pewnie sądził, że tak to się odbywa. Zrobiło się jednak wokół niego pusto. Dziewczęta odsunęły się, nigdy więcej z żadną z nich nie został sam na sam.

Gdy Birger usłyszał, w jaki sposób Annie zawarła z nim znajomość, że weszła z nim do barakowozu SCA, zrozumiał, dlaczego Bjórne stał się jej rycerzem.

Zrehabilitowała go. Stała się ogniwem łączącym go ze wsią wtedy, gdy już dawno przestali nim być rodzice. To, że zaakceptowała jego romantyczne wyjaśnienie, dlaczego pędzi żywot zdziwaczałego samotnika, przywiązało go do niej jeszcze silniej.

Nie, Birger nigdy nie ostrzegł Annie. Uznał, że to zbyteczne. Niedobra gadanina o Bjórnem musiała w końcu i tak do niej dotrzeć. Nie przejmowała się tym. Wiedziała, że nigdy nie zrobi jej nic złego. Birger był przekonany, że miała rację.

Poczynania Brandbergów tamtej świętojańskiej nocy były banalne, ich opis zachował się w pudle Vemdala. Pekka wytrzasnął skądś dziewczynę. Nie mieli zamiaru pogłębiać znajomości, była więc zawstydzona, gdy musiała opowiedzieć policji, że poszedł z nią do domu. Okazała się Norweżką, mieszkała w miejscowości odległej siedem mil od granicy.

Ale co było warte jej zeznanie? Albo narzeczonej Per-Oli? Vaine z kumplem poszli w nocy na ryby. W Domu Ludowym nie mieli szczęścia, nawet nie udało im się dostać norweskiej wódki. Przy strumieniu Róback stała przyczepa campingowa, do której się włamali. Nie wiadomo, czy dla psoty, czy po to, żeby coś ukraść. Nagle wynurzył się właściciel przyczepy oraz jego kolega i złapali obu chłopaków, którym spuścili lanie — i zarazem dali coś, co można by uznać za alibi. Wszystko jednak, co zostało powiedziane o młodych Brandbergach i ich ojcu, teraz, po tylu latach wydawało się wątpliwe, zetlałe. Tak jakby nitki się rozsunęły, tkanina popękała. Kto mógłby teraz na coś przysiąc?

505

Johan leżał na hotelowym łóżku w ubraniu. Skórę miał szarą i napiętą, bruzdy wokół ust. Bilans wodny w jego! organizmie był zakłócony. Birger przyniósł wodę mineralną! i ostrożnie go zbudził.

- Spróbuj wypić trochę - powiedział. - Coś ty, u diabła,! robił? Wychodziłeś jeszcze w nocy?

- Tak, wyszedłem i opróżniłem parę kieliszków — odparli Johan. Pijąc, przymknął oczy.

506

Ylja, Ylja? Nie pamiętała, jak powstało to imię.

- Wymieniłaś także jakieś inne nazwisko. Miało fińskie brzmienie - odezwał się Johan. Nic to jednak nie pomogło.

Zauważył, że trzyma się w cieniu, w mroku ciężkich mebli i zasłon, tuż poza zasięgiem światła. W jej zachowaniu nie dostrzegał wyłącznie arogancji, była także ostrożna. W żadnym razie nie zniosłaby śmieszności.

Pił. Czuł się wypatroszony i pusty, płukał się wewnętrznie. Nie będzie po tym żadnego bólu głowy, żadnego ryzyka i żadnych błazeństw. Tylko czysta wódka.

- Wiesz, że John Larue był piękny? - spytała. Przestała już robić z tego tajemnicę.

Między nimi znalazła

się zakrwawiona koszula. Było to kłamstwo. Posiadało jednak moc i mogło podzielać. W pewnym sensie szkoda, że jest konieczne, pomyślał. Gdybyśmy mimo wszystko mogli dojść do porozumienia! Ale z nią nie zawierało się porozumień.

- Nietrudno wyobrazić sobie nóż ofiarny w jego ciele. Nigdy nie był żadnym bożkiem wiosny. Choć z pewnością tego chciał.

Nagle Johan przypomniał sobie żółtawy papier jej akademickiego dzieła, ostry zapach, jaki od niego bił.

- Cholera, jak ja cierpiałam w tym pensjonacie z igłowanymi dywanikami i rzeźbionymi w drewnie ornamentami wszędzie dookoła, kiedy zrozumiałam, że ci dwoje sobie

507

poszli! Strumienie, które tam, w górze, rwały dzikim pędem i rozlewały się na mokradłach... Na Gwiezdnej Górze. I ona go tam miała. Ty chcesz wierzyć, że żądza to tylko sprawa chemii i swędzenie, mój mały Jukka. Ale wiedz, że to coś o wiele gorszego. Ona była w nim tak samo zakochana jak ja. Choć nieszczęśliwie. Miała go i miała. Jak sądzisz, ile razy zdążyli? A ja miałam tylko poduszkę, która smakowała syntetykiem, i wypływałe dzienne światło w pokoju przez całą noc. Więc wyjechałam stamtąd. I spotkałam ciebie. Noc była skąpa, ale ranek szczodry.

- Jak myślisz, co się stało tam, na górze? - spytał Johan. Skrzywiła się.

- Nie wiem. Myślę, że to inna historia. Nie ich.

- Ale oni naprawdę zostali, mówiąc bez ogródek, za-szlachtowani.

- Cieszę się, że to nie byłeś ty. Ale uważaj. Myślę, że twoje kłopoty się nie skończyły. Zaśmiał się cicho w półmroku i pociągnął długi tyk. Wódka już nie paliła. Nie miała smaku i była chłodna jak woda ze strumienia.

- Jesteś jasnowidząca?

- Ty mi zawsze przypominałeś łowcę jeleni, który zobaczył nagą Artemidę. Ujrzał ją w środku dnia, w jasnym blasku słońca. Zamieniła go w jelenia. Ale wewnątrz był nadal człowiekiem, miał pamięć i wiedział, co to wina. Chociaż nie mógł mówić.

- Jak sobie poradził, żeby przemienić się z powrotem w człowieka?

- Nie poradził sobie. - Powtórzyła słowo ironicznym tonem, akcentując je przeciągłym „a”. Zabrzmiało to jak czysta kpina. - Został zamordowany przez swoich kolegów myśliwych. Widzieli w nim tylko jelenia. W mrocznych germańskich sagach leśnych, na których byliśmy wychowani,

508

myśliwi widzą jego pełne błagania oczy. Ale na południu, w rozpalonym do białości świetle słońca, nie widzieli niczego. Tylko zdobycz.

- Lubisz te swoje historie - powiedział. - Bawisz się nimi.

- Ty też.

To była prawda. Czasami wyobrażał sobie, że znajduje się we władzy Njord, pośród mgieł i bezustannych deszczy. Albo że Tjas Olmai zesłał mu potop jako odpowiedź na jego natrętne prognozowanie.

Spał na sofie oblepionej psią sierścią. Jej chyba nie było w pokoju, a może czasem zaglądała do niego. Czuli na sobie uśmiech, który równie dobrze mógł być uśmiechem Gudrun, i spał przerywanym snem, coś mu się śniło. Przed świtem zrobiło się szaro. Zobaczył, że stół stojący pod oknem zasłoniętym storami z zielonego, wyblakłego aksamitu, jest ołtarzem. Przykrywa go obrus z szeroką koronką, między kandelabrami stała fotografia młodego mężczyzny w mundurze. Być przeciwko Rosjanom znaczyło stać po stronie Niemców w wojnie kontynuacyjnej, pomyślał Johan. Tak wyglądał przymus. A może obowiązek, honor czy jak tam ten młody wyprężony oficer to nazywał. Dziadek stracił majątek, ponieważ odmówił współpracy z Niemcami. Czy to też było kłamstwo? I wprost przeciwnie. A po wojnie Trollevolden zostało skonfiskowane? Może był kolaborantem.

Dlaczego pozostawiła ten pokój w prawie nie naruszonym kształcie? Dochowywała czemuś wierności pod maską tej błazenady? Właściwie jednak nie chciał tego wiedzieć.

Poszedł szukać łazienki, żeby się wysikać, i po drodze natknął się na nią. Wyglądała teraz tak samo, jak wtedy gdy Birger i on zobaczyli ją po raz pierwszy. Żółtoszara, rozłargniona. Długo odlewał się do sedesu z deską z ciemnego, pięknego drewna i urządzeniem do splukiwania, które

509

działo, gdy się pociągnęło za porcelanową rączkę na łań-1 cuszku. Woda szumiła uroczyście, przyprawiając go o ból głowy. Światło i hałas sprawiły, że poczuł mdłości.

W kuchni wyjęła szynkę i jajka, ciemny chleb pokrojony, masło i ser już z dużymi dziurami. Parzyła kawę w staroświeckiej maszynie. Jednocześnie mówiła o Artemidzie, ale inaczej niż w szarym świetle nocy. Teraz to był wykład.

- Długo sądzono, że słynny posąg Artemidy w Efezie ma potężne, wezbrane piersi. Że bogini dźwiga wielki aż do przesady atrybut macierzyństwa. Krągłe, potężne bochny. Ale oto archeologowie, notabene, dwaj Austriacy, zaczęli przypatrywać im się dokładniej. Zobaczyli, że bochny wcale nie przypominają piersi.

Ulla chodzi po górach, cyce bołą tę Ullę, przemknęło! Johanowi przez głowę. Boże, żebym się tylko nie odezwał.! To nie jest kac. Ciągle jestem jak odurzony, choć trochę siwy. Mam piętnaście lat. Ona nigdy mnie nie spotkała.

- Widziałeś zdjęcie Artemidy z Efezu?

Skąd miałby to wiedzieć? Być może widział je kiedyś! w jakimś albumie. Twarz z wytrzeszczonymi oczami. Z przodu kiście piersi. Ylja postawiła przed nim talerz. Leżał na nim plaster szynki, gruby na co najmniej pięć milimetrów. Wil-i gotne mięso było różowe, przeplatał je biały tłuszcz. Pomie-i dzy płatkami mięsa zobaczył jeszcze coś prawie przezroczy-J stego. Woda? Galareta? Usmażyła jajko tak lekko, że ledwo się ścięło. Żółtko połyskiwało jak oliwa.

- Wiesz, co to było?

Przymknął oczy, żeby nie widzieć jajka.

- Święto Artemidy w Efezie obchodzono w ten sposób,! że kapłani kastrowali młode byki przed jej ołtarzem. Mosznyi wiązali w wieniec. I taki właśnie wieniec ma bogini wokółj^ szy i na piersiach, Jukka. Matka dziewic. Nie jest to zbyt] sympatyczna wiedza.

510

Odwrócił głowę i powoli odsunął od siebie talerz.

— Nie możesz jeść?

Wtedy wbiła jajko do szklanki i dołała wódki. Kilka razy pokręciła nad wódką rączką młynka do pieprzu, po czym podała mu szklankę. Zamknął oczy. Zawartość ześlizgnęła się przez przełyk jak ostryga.

- Muszę iść - odezwał się. - Chcę być z powrotem, zanim Birger się obudzi.

— Bądź ostrożny, Jukka — powiedziała.

- Wiesz coś czy tylko tak sobie mówisz?

Pieprzysz, chciał powiedzieć. Zbrzydły mu jej historie. Mimo to chętnie by przyznał, że jednak miała rację. Silne pożądanie nie jest chemią. A dusza nie jest przemianą jaźni. Ale nie mógł się zmusić, aby powiedzieć cokolwiek. No, do widzenia jednak powiedział. Naprawdę uprzejmie, chociaż był blady, a rękę, którą wyciągnął, miał wilgotną.

W drodze do hotelu musiał odpocząć. Szedł przez park, to tu Birger chciał poklepać kogoś po tyłku. Boginię. Stała na swoim cokole w porannym chłodzie. Nie chciał, żeby się odwróciła i miała girlandę byczych jąder i krwawych ochłapów wokół szyi. Poza tym wszystko było zwyczajne, szary ranek późnego lata. Tłuste wróble. Opakowanie po lodach.

511

Johan i Birger siedzieli w McDonalddie w pobliżu skrzyżowania przy Odengatan i obserwowali pewne drzwi po drugiej stronie Sveavagen. Kilkunastoletni chłopcy i dziewczyny w czerwonych czapkach z daszkami zbierali tace, tymczasem na ich stole rosła ilość zatłuszczonych papierowych i plastikowych śmieci. Birger twierdził, że jak się tak długo siedzi, to trzeba cały czas zamawiać na nowo. Zajęli stolik na chodniku. Huczał ruch uliczny. Chwilami nie mogli dojrzeć drzwi. W polu widzenia stawał autobus. Wilgotne powietrze przesiąkło smrodem spalin. Było to męczące. Dawało Birgerowi poczucie, że robią coś pożytecznego. Kawa im zresztą smakowała.

- „Fundacja” - odezwał się Birger. - Dziwna nazwa dl: antykwariatu.
- Musi chodzić o książki SF - powiedział Johan i Birgeij nie zrozumiał, co miał na myśli. Wszystko jedno. Tan w każdym razie zaraz go dopadną. Vemdala go dla nicr wytropił. Birger myślał, że zaproszą Vemdala na obiad, Johan nie chciał. Bał się go. Szczerze przyznał, że sam nie wie dlaczego. W Vemdak musiało jednak pozostać trochę instynktów policjanta. Rap-j tem okaże się, że to zbyt wiele dla jego sumienia albc próżności, a wtedy weźmie za telefon, powiedział JohanJ Możemy przecież działać ostrożnie.

512

Były to wąskie brązowe drzwi z zakratowanym oknem w górnej części. W brązowym drewnie widniał otwór na listy z mosiężną klapą. Sterczała z niego gazeta „Dagens Nyhe-ter”. Przyjrzeni się już tym drzwiom z bliska. Nie było żadnego szyldu z informacją, kiedy jest otwarte. Tylko dwa zamki, z których jeden wyglądał na nowy, podwójny. Jedna wystawa. Nie zainteresowali się książkami, choć teraz Birger żałował, że ich nie obejrzał. Poszedł po jeszcze dwa papierowe kubki kawy, a gdy wrócił z tacą, Johan powiedział:

- Coś się stało.
- Przyszedł?
- Nie, spójrz na otwór listowy, to zobaczysz.
- Ktoś ukradł gazetę? - spytał Birger.
- Została wciągnięta do sklepu. Ktoś jest w środku, chociaż drzwi są zamknięte.
- Cholera! To będziemy walić, aż otworzy!
- Poczekaj.

Drzwi się otworzyły. Wyszedł. Przez ten czas, gdy odwrócony zamykał obydwa zamki, przypatrywali mu się. Miał na sobie ciemnobrązową marynarkę w cienkie kremowe paski. Dżinsy wyglądały na nowe, buty nosił czarne. Długie włosy miał związane na karku wstążką czy gumką. Nie były już złociste, tylko ciemnoblon, ale nadal sięgały aż do pół pleców. Widać było pasma trochę jaśniejsze, nie mogli jednak dostrzec, czy to siwizna.

Birger chciał się zerwać i przejść przez ulicę, ale nie był w stanie się ruszyć z miejsca. Widział, jak drobna postać oddala się w stronę Odengatan. Plecy mężczyzny były bardzo proste. Teraz skręcił za róg przy Banku Handlowym i zniknął.

- Cholera jasna.

Johan popatrzył na Birgera, tak jak się patrzy na kogoś, kto jest chory, i niewiele można dla niego zrobić.

513

powiedział. - On zaraz wróci. Myślę, że tu wpół do jedenastej - mruknął Birger.

- To nic mieszka.

- Dochodzi - Cholera.

Johan podważył pokrywkę jednego kubka z kawą i właściwie wcisnął mu go w rękę. Boi się, że zacznie beczeć, pomyślał Birger. Ależ ze mnie stary wrak. Zdawało mu się, że jest pełen śmieci, jak ten stół. Śmieci czasu. A tam, drugą stroną ulicy, szedł Dan Ulander nie tknięty przez czas.

Niespełna dziesięć minut później był z powrotem. W rękę niósł torbę z zakupami.

- Świeża bagietka — powiedział Birger z taką goryczą, że Johan się roześmiał.

Zostawili kawę i ruszyli, przecinając Sveavägen.

Antykwariat był wąski, ale w miarę jak posuwali się dalej, stawał się głębszy i ciemniejszy. W pierwszym dziale stały stelaże z pstrokatymi zeszytami i książkami. Birger myślał, że to komiksy. Potem zorientował się, że wszystko jest z gatunku science fiction.

Dalej były regały z książkami. Wszystkie miały ozdobne, ręcznie wypisane wywieszki. Asimow. Lem. Clarke. Birger czytał nazwiska, które nic mu nie mówiły. Dan Ulander stał przy staroświeckim biurku z ciemnego drewna. Nastawił magnetofon i ciasne pomieszczenie wypełniła muzyka. Birger poczuł się osaczony. Jakby cierpiał na klaustrofobię. Dłonie mu zwilgotniały.

- Możesz to wyłączyć? Chcemy z tobą pomówić!

- Nie lubisz muzyki? To Richard Strauss. Stanley Kubrick wykorzystał ją, gdy robił Rok 2001.

Birger powtórzył jedyne słowa, które zrozumiał.

- Strauss?

- Tak, ale nie król wiedeńskiego walca - powiedział! Ulander i uśmiechnął się.

514

W jakiś niepojęty sposób dokonał tego, że sam znalazł się w korzystniejszym położeniu. Nie poznał Birgera i Tasne, że nie. Z pewnością nigdy mu się nie przyjrzał.

- Przychodzimy w związku ze śmiercią Annie Raft — odezwał się Johan. Czasami Birgerowi przypominało się że Johan jest dorosły. Może przejąć sprawę. Ale żaden z nich nie potrafiłby wyjaśnić braku wszelkiego wyrazu na twarzy Ulandera, gdy powtórzył niepewnie:

- Annie Raft...

- Z Czarnej Wody - powiedział Johan.

- Ach, Annie. Ta z małą córeczką. Annie nie żyje? - f

- Nie czytasz gazet?

- Czytam. Drobne ogłoszenia. Ze względu na sklep. Gestykulował obiema rękami, trzymając je z ^zh ocj cja}a

jak tancerz. Birger zauważył, że dzięki ściągniętym z tyłu włosom uwypukła się kształt głowy. Z bliska widać było, że Ulander się postarzał. Twarz miał bardzo bladą. Może rzadko wychodził z tej swojej księgarni. Czyżby to szczupłe ciało nie potrzebowało ruchu?

O nic nie pytał. Najpierw Birger uznał to za dziwne tak podejrzane. Potem zrozumiał. Ulander sądził, że Johan miał na myśli nekrolog w gazecie.

- To jest przyjaciel Annie - powiedział Johan. - Birger Torbjörnsson. Ja wkrótce zostanę jego zięciem. Chcemy wiedzieć, jak to było z Johnem Larue?

- Jak to z nim było?

Próbował zyskać na czasie? Nie wyglądało na to. Wydawał się naprawdę zbity z tropu.

- Herbaty? - spytał. ,rr A W torbie leżała świeżutka bagietka.

- Nie, dziękujemy — odparł Johan. — Opowiedz o Tohnie Larue.

- No tak. Nie wiem, co powiedziała Annie. Prawdę

515

mówiąc, nie sądziłem, że znała jego nazwisko. Dlaczego o to pytacie? Czy ta sprawa nie jest zakończona?

Stał z otwartą torbą pieczywa i wydawało się, że w jego głosie brzmi jakiś błagalny ton. Coś się stało. Tylko Birger nie pojmował co. Rozumiał teraz jeszcze mniej niż na początku rozmowy. Bo nie wyglądało na to, że Ulander boi się mówić o Johnie Larue. Bał się czegoś innego.

- Skąd pochodził?

- No cóż, ostatnio z Danii. Chociaż ja spotkałem go w Sztokholmie. Był dezercerem z Wietnamu. Głupia sprawa.

Co za określenie, pomyślał Birger. Jak ten tancerz precyzyjnie dobiera słów.

Wygląda jak pedał. Dałby Bóg, żeby nim był.

- Nie miał przecież żadnych dokumentów. Żadnego paszportu. Przrzekłem mu, że będzie mógł u nas mieszkać.

- Na Gwiazdnej Górze?

- Jasne.

- Użyłeś wtedy nazwy Star Mountain. Przetłumaczyłeś ją na angielski.

- Tego nie pamiętam. Po co chcecie to wszystko wiedzieć?

- Dlaczego nocowali w namiocie? Dlaczego nie poszli na Gwiazdną Górę?

- Nie wiem. Może myśleli, że to dalej, niż jest naprawdę. Narysowałem im mapkę, ale nie było na niej skali. Przysłał nam widokówkę z Góteborga. Miał przyjechać z jakąś dziewczyną, Holenderką. Tą, co... wiecie. Tak, on też.

Prześlizgnij się po tym. Tańcz dalej, mały pedały, pomyślał Birger.

- Ona też chciała iść na Gwiazdną Górę?

- Nie, myślę, że to on ją namówił, aby zobaczyła szwedzkie góry. To do niego pasowało.

Zachichotał.

516

- Teraz opowiedz wszystko - odezwał się Johan. - Jak zwędziłeś portki i w ogóle wszystko.

- Jednak zrobię herbatę - powiedział Ulander. Jego głos brzmiał przymilnie. Coś rzeczywiście się zmieniło od czasu gdy weszli do sklepu i rozległa się muzyka tego jego Straussa. Ulander otworzył jedne drzwi i ujrzeli przypominający kambuz pokój ze schludnie pościelonym łóżkiem. Czy to możliwe, żeby tu mieszkał? Sam? Żeby nigdy nie czytał nic innego poza drobnymi ogłoszeniami w gazetach dotyczącymi książek science fiction, spał do dziesiątej czy wpół do jedenastej i zaczynał dzień świeżą bagietką? Gdy wrócił z czajnikiem elektrycznym, Johan powiedział:

- Wszystko to pamiętasz bardzo dobrze, choć upłynęło tyle czasu. Ale Annie Raft prawie sobie nie przypominasz.

- Ależ tak, pamiętam również Annie. To oczywiste. Tylko nazwisko. Nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek słyszałem jej nazwisko.

- Jak ty cholernie pieprzysz - odezwał się Birger. - Przecież byłeś jej uczniem.

- To nie ma żadnego znaczenia - wtrącił Johan. - Opowiedz, kiedy wzięłeś jego dzinsy. Dlaczego wyszedłeś tak wcześnie rano?

- Wszyscy wyszliśmy. Szukaliśmy Johna.

Wyjął chińskie filiżanki do herbaty. Ułożył pieczywo na tacce. Gdy woda na herbatę zaczęła szumieć w czajniku, ogrzał nią dzbanek. Wszystko wykonywał z przesadną dokładnością. Aby wylać wodę z dzbanka, musiał wyjść do toalety, która sąsiadowała przez ścianę z kambuzem. Nasypał łyżeczką herbatę w listkach i dolał wody.

- Cukier?

- Ech - odezwał się Birger. - Daj spokój.

Ulander chciał, żeby siedli, oni jednak nadal stali. Sam usiadł na krześle za biurkiem i posmarował masłem kawałek

517

bagietki. Zjadł kilka małych kęsów i dopiero potem zaczął opowiadać.

— W wigilię sobótki byłem w Róback, aby zostawić dzieci u Yvonne. Wiecie, kto to Ivonne? Miały pojechać razem z nią. Szykowała się jakaś demonstracja przeciwko czemuś. Mój Boże, mnóstwo się działo w tamtym czasie.

Uśmiechnął się do nich.

— Dzieci nie dałyby rady zejść aż z Gwiezdnej Góry i potem wspiąć się na Niedźwiedzią Górę w dzień świętego Jana.

— Wiemy o tym.

— Tak, potem zabrałem Barbro Lund, plastyczkę tkającą gobeliny, która miała się do nas przeprowadzić. Ewentualnie. Mieszkała w Byvangen.

Birger milczał, ale sam słyszał, jak ciężko oddycha przez nos.

— Gdy podeszliśmy do gospodarstwa, za którym kończy się droga...

— Obejście Strómgrenów - powiedział Johan.

— Tak. Tam zobaczyliśmy samochód na holenderskich numerach. Mały, czerwony.

Pomyślałem, że musi należeć do Johna, ponieważ przysłał kartkę, że przyjedzie z Holenderką. Potem pojechaliśmy do Niedźwiedziego Stoku, zostawiliśmy tam samochód Barbro Lund i dalej poszliśmy pieszo na Gwiezdną Górę. Sądziłem, że Larue powinien już tam dotrzeć. Ale go nie było. Dziewczyna i on w ogóle nie przyszli. Czekaliśmy cały wieczór. W końcu zaczęliśmy przypuszczać, że zabłądzili. Więc o świcie poszliśmy ich szukać. Myśleliśmy, że krążą gdzieś w dole po moczarach. Barbro Lund i ja byliśmy już prawie na dole, przy rzece, kiedy zobaczyłem namiot. Zszedłem sam.

— Widziała, co się stało? - spytał Birger.

— Nie jestem pewien. Nigdy potem za wiele o tym ze sobą nie rozmawialiśmy. Ja to widziałem... tak. Nawet przez myśl

518

mi nie przeszło, że to może być Larue i jego dziewczyna. Nie było ich widać. Tylko jedno ramię i jedna stopa. A potem zobaczyłem parę dzinsów. Wisały na gałęzi świerku. To były dzinsy Johna.

- Nie mogłeś przecież, do cholery, rozpoznać pary dzinsów!

- Mogłem. W tamtym czasie dzinsy były dziełem sztuki. Każda dziura, każda łata była znakiem. Autografem. To były dzinsy Johna Larue. Wziąłem je.

- Dlaczego?

- Żeby im się przyjrzeć, tak myślę. Podbiegłem na górę, do Barbro Lund, i odnaleźliśmy innych na ścieżce prowadzącej w dół, do Niedźwiedziego Stoku. Tam, na miejscu, w lesie, odbyliśmy swego rodzaju naradę. Postanowiliśmy się nie przyznawać, że znaleźliśmy Johna Larue. To byłby koniec dla komuny, gdybyśmy zostali wmieszani w coś takiego. Była tam dziewczyna, nazywała się Enel. Naprawdę twarda. Zeszła z Petrusem do namiotu. Wygrzebali torbę podróżną Johna i opróżnili ją. Miał tam przecież moją mapkę i wszystko inne. Wróciliśmy na

- Nie.

•' •!• - | Nigdy nikomu nie groził. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł podnieść rękę na drugiego człowieka. Ale ani Dan Ulander, ani on się nad tym nie zastanawiali.

Duże ciało. Wydzielanie włości. Nic z tego jednak nie zostało. Jedynie lepki pot i zmęczenie. Wokół rozlegał się huk, zgrzyt i przeraźliwy hałas ruchu ulicznego. Był tak wykończony, jak gdyby naprawdę próbował połamać kości w tym delikatnym, tańczącym ciele.

521

Zastanawiał się nad czasem. Chwila dołączała do chwili, tworząc szereg, który popychał Annie, jej rozszarpaną pierś i przeponę dalej i dalej, w tył, do środka. Obraz migotał przed oczami jak pod rastrem. Nawet szok i ból nie były niezmiennie.

Poruszały się.

Bywały w jego życiu chwile absolutnego spokoju. W „Sul-ki” czas stanął. Pozostał z niego jednak tylko obraz. Wspomnienie było zmiennym i ruchomym obrazem i robiło się szare, jakby brudne.

Wtedy przyszło mu do głowy, że zmarli osiągają absolutny spokój.

Ta myśl odmieniła jego życie. Przebywał w brudzie. Nieme tykanie chwil kładło błonę na każdy ostry obraz. Annie znajdowała się tam, gdzie on chciał być.

A więc to takie proste, zdziwił się.

Nie były to myśli samobójcze. Przeciwnie, pomogły mu znów funkcjonować. Gnał do ośrodka zdrowia. Annie przebywała tam, gdzie on chciał się znaleźć. Już nie musiał wystrzegać się myśli o niej. Nie była w wodzie, rozerwana. I nie z nim w łóżku.

Nigdzie, gdzie trwa to nieubłagane tykanie.

Przebywała w spokoju.

Pomyślał o tym, że istnieją miejsca - czy godziny - które są nieomal spokojne.

Tykanie jest prawie niezauważalne.

522

Lubił stawać nocą w otwartym oknie i czuć powiew na twarzy. Przypomniał sobie, że Annie robiła wiele rzeczy, które zdawały się wychodzić naprzeciw temu spokojowi. Wiedziała o tym.

Stała na ganku i słuchała deszczu w osikach.

Nie chciał się już dowiedzieć, jak zmarła. Wstydział się tego. Ale tak było. Wszelkie działania straciły całą ostrość i żar. W Europie trwała wojna. Wydarzenie nad Lobberan powtarzało się co chwila. Tej jesieni nie zamierzał polować. Zniszczenie. Kawalek metalu, który deformuje. Wyływająca z jelit mierzwa. To właśnie miał przed oczami.

Ale tak mało potrzeba, aby zmienić decyzję. Tylko tyle, aby Mia przysłała klucz. Dołączyła też krótki list. Miły list. Tego się nie spodziewał, bo ubrał sobie, że ona nie bardzo go lubi. Pisała, żeby zatrzymał klucz i mieszkał w domku Annie podczas polowań i kiedy tylko będzie miał na to ochotę. Sama nie była tam od czasu, gdy sprzątała podczas urlopu. Pewnie niewiele będzie miał z tego korzyści, napisała. Pod wpływem tych słów wyobraził sobie opuszczony, zaniedbany domek. Deszcze w lipcu i w sierpniu. Jak tam wygląda? Czy Mia prosiła kogoś, aby przysrzygnął trawę? Wyruszył w piątek wieczór. Polowanie miało się zacząć w poniedziałek rano i teraz wydało mu się naturalne to, że włożył sztucer do samochodu. Od dawna było ustalone, że bierze urlop na czas polowania. Co miałby robić w By-vangen? Nie chciał nigdzie jechać. Chciał być w Czarnej Wodzie i strzyc trawę w ogrodzie Annie.

;

Prawie zapadła ciemność, gdy dotarł na górę, mimo to dostrzegł zasy mokrej trawy i zmrożone róże, butwiejące

523

w żywopłocie. Chciał zacząć od razu, ale w środku też było co robić. Chłodne powietrze przesiąkło stęchlizną. Rozpalił w piecu. Obok wciąż leżała kora brzoza i drewno na podpałkę, które przygotował Bjórne Brandberg. Wyszedł z latarką, żeby narwać jakichś kwiatów. Zawsze miała w domu kwiaty. Pomyślał, że może zmienia trochę zatęchłe powietrze. Znalazł tylko krwawnik, który mimo że zaczął już szarzeć, pachniał silnie, korzennie.

Uznał, że często będzie musiał tu przyjeżdżać, aby powstrzymać zniszczenie spowodowane przez upływ czasu - trawa, śnieg, drzewa zwalane wichurą, wpełzające poszycie lasu, obgryzające wszystko myszy. Musi chronić jej dom przed czasem, tak aby mógł pozostać nietknięty i cichy.

Tutaj istniał punkt, gdzie cisza i niespokojne, ruchliwe życie stykały się ze sobą. Nie zastanawiał się nad tym bliżej. Uświadomił sobie tylko, że wiele musi zrobić, jeśli dom ma stawić opór czasowi.

Rano zobaczył, że zbocze wygląda gorzej, niż przypuszczał. Ze wszystkich stron próbował atakować żylastą trawę kosą. Zmordował się okropnie, zjechał więc do sklepu i kupił piźniera i kiełbasę. W drodze powrotnej zaszedł do Per-Oli i opłacił polowanie. W kieliszku z dymnego szkła dostał wódkę, wypił ją przy niskim stoliku obok sofy i odpowiedział na pytania dotyczące śledztwa. Nic nowego. Rozumiał, że wieś znów chciałaby wierzyć w nieszczęśliwy wypadek. Że Annie potknęła się na śliskich kamieniach przy brodzie. Ale było to niemożliwe.

W drodze powrotnej spotkał Annę Starr. Niosła dwie torby ze sklepu, więc się zatrzymał i zaproponował, że ją podrzuci na Tangen. Gdy wjechali na wąską, nierówną drogę, która właściwie była tylko śladami dwóch kół z wysokim wałem trawy pośrodku, znów poczuł ból. Tym razem jednak był on mniej ostry, niż był przedtem, mógł więc powiedzieć do Anny:

524

- Tak, pomyśl tylko, tędy Annie jechała do ciebie. Swoją drogą to dziwne, że chciała tak dokładnie się dowiedzieć, gdzie spadło to UFO.

Poczuł na sobie wzrok Anny.

- Nie tego chciała się dowiedzieć - powiedziała. - Chciała wiedzieć, gdzie złożyli złom, który wyłowili, kiedy szukali włokiem.

525

w żywopłocie. Chciał zacząć od razu, ale w środku też było co robić. Chłodne powietrze przesiąkło stęchlizną. Rozpalił w piecu. Obok wciąż leżała kora brzoza i drewno na podpałkę, które przygotował Bjórne Brandberg. Wyszedł z latarką, żeby narwać jakichś kwiatów. Zawsze miała w domu kwiaty. Pomyślał, że może zmienia trochę zatęchłe powietrze. Znalazł tylko krwawnik, który mimo że zaczął już szarzeć, pachniał silnie, korzennie.

Uznał, że często będzie musiał tu przyjeżdżać, aby powstrzymać zniszczenie spowodowane przez upływ czasu - trawa, śnieg, drzewa zwalane wichurą, wpełzające poszycie lasu, obgryzające wszystko myszy. Musi chronić jej dom przed czasem, tak aby mógł pozostać nietknięty i cichy.

Tutaj istniał punkt, gdzie cisza i niespokojne, ruchliwe życie stykały się ze sobą. Nie zastanawiał się nad tym bliżej. Uświadomił sobie tylko, że wiele musi zrobić, jeśli dom ma stawić opór czasowi.

Rano zobaczył, że zbocze wygląda gorzej, niż przypuszczał. Ze wszystkich stron próbował atakować żylastą trawę kosą. Zmordował się okropnie, zjechał więc do

sklepu i kupić pilznera i kiełbasę. W drodze powrotnej zaszedł do Per-Oli i opłacił polowanie. W kieliszku z dymnego szkła dostał wódkę, wypił ją przy niskim stoliku obok sofy i odpowiedział na pytania dotyczące śledztwa. Nic nowego. Rozumiał, że wieś znów chciałaby wierzyć w nieszczęśliwy wypadek. Że Annie potknęła się na śliskich kamieniach przy brodzie. Ale było to niemożliwe.

W drodze powrotnej spotkał Annę Starr. Niosła dwie torby ze sklepu, więc się zatrzymał i zaproponował, że ją podrzuci na Tangen. Gdy wjechali na wąską, nierówną drogę, która właściwie była tylko śladami dwóch kół z wysokim wałem trawy pośrodku, znów poczuł ból. Tym razem jednak był on mniej ostry, niż był przedtem, mógł więc; powiedzieć do Anny:

524

- Tak, pomyśl tylko, tędy Annie jechała do ciebie. Swoją drogą to dziwne, że chciała tak dokładnie się dowiedzieć, gdzie spadło to UFO.

Poczuł na sobie wzrok Anny.

- Nie tego chciała się dowiedzieć - powiedziała. - Chciała wiedzieć, gdzie złożyli złom, który wyłowili, kiedy szukali włokiem.

525

Birger powiedział:

- Przyjeźdź natychmiast. Muszę ci coś pokazać. !-

Nie mówił, o co chodzi, a mimo to Johan od razu zaczął się zbierać. Mia zdziwiło, że jest tak posłuszny. Sam niej potrafił tego wyjaśnić. Z głosu Birgera dało się jednaki wyczuć, że to coś poważnego. Mia nie mogła się z tymi pogodzić. Jej zdaniem, Birger niepotrzebnie starał się być tajemniczy, więc zadzwoniła do niego. Ale usłyszała tylko:

- Jest bardzo ważne, aby Johan coś tutaj zobaczył, niej wiedząc, co ja na ten temat sądzę.

Gdy się żegnali, Mia z Larsem Dorjem stali przed psiarnią,! wszystko więc, co do siebie mówili, zagłuszyło wycie. Psy wyły j zwykle po południu, dwadzieścia minut, czasem pół godziny. I Mia stała, obciągając podartą kamizelkę, którą poszarpał jej jeden z psów, gdy się z nim bawiła. Miała na sobie cienki, sprany T-shirt. John wiedział, że rozporek dżinsów pod spodem jest rozpięty. Guzik z dziurką połączyła gumką. Brzuch sterczał, j

Nie otrzymał żadnych zapewnień. Mimo to wiedział, że mu wierzy, bo go potrzebuje. Nie odczuwał z tego powodu goryczy. Była zmęczona i blada. Wierzyła w to, co jej było niezbędnym. Na nic innego nie miała już siły.

Była teraz bez pracy. Z wcześniejszych projektów nic nie j wyszło. Sprzedała samochód. Miał się nią opiekować. Jak jednak mogło dojść do tego, co się stało?

Albo raczej jak

526

mogło to, do czego tęskniła i czego tak bardzo pragnęła, wyglądać tak, jak wyglądało? Mia odrzuciła oschłe, chłodne życie Annie, jej ruchliwą samotność. Ale czego chciała teraz? Brzemienna, bezrobotna. Nie mogła niczego chcieć. Coś wołała, próbując przekrzyknąć dwadzieścia dwa psy, które wyły towarzysko. Widział, jak otwierała usta. A jeśli krzyczała:

NIE MOŻESZ MNIE TUTAJ ZOSTAWIĆ!? !.....

- co wtedy?

Pewnie jednak wołała tylko: „Nie zapomnij napełnić baku, sprawdź olej!”. Była taka przezorna.

Jechał przez ciemną, wilgotną, ale jeszcze zieloną górską dolinę. Gdy znalazł się w wysokich górach, kolory zmieniły się, przybierając odcień brązowy i żółty. Tu i

ówdzie, na połaciach porośniętych mieniającą się barwami turzycą, leżały już cienkie płaty śniegu. Gdy znów zaczął zjeżdżać w dół, buchnęły płomienne kolory. Długie zbocza, biegnące ku jeziorom, były już przemarznięte i na brzozech widniały ogniste języki. Woda wydawała się cięższa i bardziej błękitna niż niebo.

Drogowskaz z nazwą wsi od norweskiej strony stracił jeszcze więcej liter. Gdyby człowiek nie wiedział, gdzie jest, zobaczyłby tylko niezrozumiały napis:

C A N A W D A

i ; ; | : : • , : || / ;

Birger wypatrzył Johana i szedł po zboczach na dół. Musiał czekać przy oknie w kuchni. Wsiadł do samochodu zdyszany. Saddle towarzyszyła mu do połowy zbocza, potem usiadła.

- To w dole, na Tangen — wysapał. — Na samym końcu.

We wsi panowała cisza. Ludzie siedzieli pewnie przy kolacji. Wkrótce zapadnie zmrok i Birger się denerwował,

527

czy zdążą, zanim się zrobi ciemno. Przejechali obok domku Anny Starr i droga stała się dwiema wyboistymi koleinami wyżłobionymi przez ciągnik. Birger sądził jednak, że mając napęd na cztery koła, Johan dojedzie na miejsce. Równoległe do ścieżki biegła droga na camping.

Droga dla traktorów kończyła się przy placu, gdzie ładowano drzewo. Tangen już wyrąbano, tymczasem brzozowy las stał się nieprzebyty. Zobaczyli sadzonki sosen o rozdwojonych i zdeformowanych czubkach. Cypel zamieszkiwały łosie.

- Ścieżka już nie istnieje - powiedział Birger. - Musimy jakoś zejść na brzeg, stamtąd pewnie trafię.

Niebo pociemniało, odnosiło się wrażenie, że światło wydobywa się z jeziora. Gdy w końcu stanęli na miejscu — przy kamienistym urwisku zasłanym złomem — mogli dostrzec wzajemnie swoje twarze, jeśli tylko zwrócili je ku wodzie. Światło odbijało się od koła, baku na benzynę, stłuczonego reflektora. Johan podszedł bliżej. Bak na benzynę miał kształt małego korpusu. Często tak myślał, widząc go przed sobą. Kupił wtedy lakier w malutkich puszczech. Co za jakość! Nadal mógł rozpoznać kolory w krajobrazie science fiction, który wymalował na baku. Pomarańczowy, fioletowy, czarny i żółty.

- Mój motorower.

, - | | «i

- Jesteś pewien?

- Tak. Spójrz na obrazek. W większości się zachował. Wszystko inne jest całkowicie zardzewiałe.

- Tak, tak myślałem - powiedział Birger. - Właściwie byłem prawie pewien.

Siedzieli w domu Annie przy stole w kuchni. Na dworze było już ciemno i wiatr targał osikami. Birger wyjął kielbasę i chleb.

528

- To jedzenie drwali - powiedział. - Wybac2. Wkrótce poprawię się. Znów zacznę gotować prawdziwe obiady.

Zabrzmiało to tak, jakby sam sobie składał przyrzeczenie.

- Po polowaniu zamierzałem napakować zamrażarkę dziczyzną. Chyba Mia nie będzie miała nic przeciwko temu?

Dopiero gdy skończyli jeść i usiedli na sofie w prawie zupełnie ciemnym pokoju, Birger zaczął opowiadać o Annie.

- Miała tyle pomysłów. Wciąż mówiła. Powinniśmy byli jednak pamiętać o tym, że była mądra. Właściwie niesłychanie mądra. To jasne, że kiedy cię zobaczyła i rozpoznała, nie pobiegła szukać żadnego UFO. Nie pojechała na górę do Gudrun, żeby zaproponować jej wspólne zbieranie smar-

c dzów. Z pewnością był to tylko pretekst. Myślę, że zapytała Gudrun o ciebie. A może tak jej zamydliła oczy, że Gudrun w ogóle się nie zorientowała, że to coś więcej niż zwykła pogawędka. Annie wcale nie wybrała się na grzyby. Zeszła prosto do Anny Starr i zapytała, gdzie leży złom, który wyłowiono z jeziora. Naturalnie słyszała, jak o tym mówiono. Udała się tam i obejrzała go. Wszystko się zgadzało.

- Oni utopili mój motorower!

- Oni?

Johan zamilkł. Birger nadal nie zapalał lampy stojącej przy sofie. Tak było łatwiej. Jak gdyby człowiek wypatrywał czegoś w ciemności i przyzwyczajał do niej wzrok. Potem zaczynał rozróżniać twarze. Twarz.

- Istnieje chwila, o której czasami myślałem - odezwał się Birger. - Człowiek przypomina sobie przecież, co robił w momencie, gdy się dowiedział, że Kennedy został za-

! strzelony. A w twoim przypadku na przykład Palmę. Pamiętam, jak to było, kiedy się dowiedziałem, co się zdarzyło nad Lobberan. Ake Vemdal poszedł do biura na campingu. Rozmawiał przez telefon z Henrym Strómgrenem. Potem wrócił. Stałem wtedy przy oknie, patrząc na jezioro. Jego

529

widok zawsze kojarzył mi się ze spokojem. Potem wszystko się zmieniło, dla mnie też. Barbro i wszystko inne. Od tej chwili nic już nie było takie, jak przedtem.

Ujrzałem Bjór-nego Brandberga, jak płynął kajakiem. Łowił, ciągnąc na linie deskę z żyłkami. Musiał trzymać linę w zębach. Kiedy wszyscy inni spali, odsypiając kaca, Bjórne Brandberg wykorzystał okazję i łowił, ciągnąc deskę. To był ów spokój.

Umilkł na chwilę. Johan nie widział jego twarzy, bo Birger siedział plecami do okna, a teraz już bardzo prędko się ściemniało.

- Dopiero dziś zrozumiałem, co wtedy widziałem. Bjórne wziął ze sobą deskę tylko dla pozorów. Wypłynął na jezioro, żeby zatopić twój motorower. Nie wiem, jakim cudem udało mu się sprowadzić go tak, że nikt tego nie zauważył. Przecież to prawie niemożliwe, żeby człowiek się tu ruszył i nikt go nie zobaczył. Nie ma znaczenia, czy to noc, czy dzień. A motorower powinien narobić cholernego hałasu.

- Duett - odezwał się Johan. - Nie wiem, czy to pamiętam, czy tylko wydaje mi się, że pamiętam. Jechaliśmy przez wieś, ta kobieta z Finlandii i ja. Zobaczyłem duetta Vidarta w drodze na Tangen. Skuliłem się, nie chciałem, żeby mnie ktoś zobaczył.

- To się zgadza, ktoś go przestawił. Stał potem przy podjeździe Vidarta.

- Duett przecież został u nas na górze przy stodole. Bjórne mógł umieścić motorower z tyłu i możliwe, że nikt tego nie widział.

Słyszał, jak Birger ciężko oddycha otwartymi ustami i jak Saddle chrapie pod stołem.

- Gdyby tylko znowu zatopiono motorower! Wtedy ni-1 gdy nic by się Annie nie stało. Takie myśli przychodzą człowiekowi do głowy - powiedział Birger. - Ale pewnie | obawiano się, że sieci mogą się o niego zaczepiać. Przy |

530

Tangen są dobre połowy. Zwykle zarzuca się od strony cypla i od brzegu.

- Myślisz, że utopił motorower, aby mi pomóc?

- Nie. Ale może Annie tak myślała. Postanowiła pójść Drogą Pamięci i go spytać.

- Chcesz powiedzieć, że szła na Gwiezdną Górę?

- Nie, tam Droga Pamięci nie prowadzi. Wszystkie ścieżki są zatarte. Nie ma żadnych punktów oparcia dla pamięci. To ogołocony teren, który stał się tundrą. Z trudem zarasta. Jest zanadto narażony na mróz, zbyt odsłonięty. Nie, tam wszystkie wspomnienia są zatarte. Jeśli Annie odbyła sama Drogę Pamięci ze wszystkimi stacjami, tak jak uczyła dzieci, to myślę, że poszła do Nirsbuan.

- Co by tam miała robić? Jaki to miało sens? - Nie wiesz, że on tam mieszka?

- Bjórne?

- Najpierw zamieszkał w baraku koncernu przy moście nad Lobberan. Wtedy, gdy pracował przy wyrębie. To był wielki wyręb i trwał długo. W końcu został zmuszony przenieść się do Nirsbuan. Jest tam przecież wąski kawałek ziemi, który należy do was. Nie wiedziałeś, że Bjórne stał się jednym z tych, co to nie chcą już żyć wśród ludzi?

- Gudrun mówiła mi, że często trzyma się na uboczu.

- Mieszka tam, na górze, kiedy nie przebywa w szpitalu we Frósó. Przypuszczam, że Annie szła do niego. Jutro musimy tam pójść.

Gdy wstali, Johan zobaczył, że palą się latarnie. Niebieskawobiałe światła w liściach na dole, wzdłuż skraju drogi. Zastanawiał się, co właściwie mają oświetlać.

531

Szli po tym, co kiedyś nazywano terenem Gwiazdnej Góry, ale teraz, po prawie dwudziestu latach, nigdy nie określano inaczej niż tylko po prostu Terenem. Inne ogołocone tereny stopniowo znów się wypełniały. Na początku pojawiła się brzezina i cienkie jarzębiny. Potem sadzonki sosen wyrosły ze swoich rurek i przebijały się w górę do światła.

Ale Teren nie stał się lasem. Porastał go mech, pojawiły się nawet łaty jagód. Wśród niskich brzozowych zarośli tu i ówdzie przeżyła sadzonka sosny, zdeformowana przez śnieg, łosie i wichury.

Trudno im przyszło ruszyć w tę drogę. Gdy zaparkowali samochód przy Niedźwiedzim Stoku, była już niedziela po południu. Birger nie chciał przechodzić Lobberan w bród. Johan też był rad, że nie będzie musiał spoglądać w tę zimną, rwącą wodę.

Niegdyś biegła tamtędy jedna ścieżka. Tak - biegła. Ścieżka zaczyna biec wtedy, gdy pochyla się trawa. Lato za latem. Zelówki, racice i niesiony przez nie ciężar powtarzały swoją czynność, deptały trawę. W końcu jagody nauczyły się tego i wycofały.

Siatka ścieżek, żyły drózek, naczynka pamięci - coraz delikatniejsze w koniuzkach świerkowego lasu, rozchodzące się w stronę moczarów i górskich pustkowi.

532

Trzeba pamiętać dokładnie każdy piarg. Nie zgubić się. Pamiętać stopami. Nie obrzękiem, chorobliwym stanem, który nazywa się tęsknotą i powiększa obrazy, dzikie, prymitywne i nieprawdziwe. Nie, to ma być pamięć przechowana w stopach, w nogach. Zwykle łajno głuszców - z igliwia, na igliwiu - pod koroną dużego świerku, którą przedtem ptak wyskubał dziobem.

Ścieżka Antona Jonssy. Paśł konie dla wsi. I konie grzmociły kopytami w ścieżkę, waliły w nią tak, że zaczęła istnieć i potem już została. Wszyscy ją znali.

Smardze: ich białe nitki znajdują się w świeżych grudach ziemi, skopanej końskimi kopytami. W wilgotnym okresie Zielonych Świątek, co rok, same o sobie przypominały brązowymi kształtami.

W dawnych czasach Lapończycy brali stąd drewno na zagrody dla renów. Ujadanie psów i łagodnie nawoływanie. Tuś, tuś. Zakrzywione nosy butów wskazywały kierunek ścieżki. Biegła wtedy bardziej stromo, w górę, do strumienia. Chociaż potem wyrosły na niej mlecze. Ślady rysy w szlamie potoku. Ryś nie wydeptuje ścieżki. Jest obecny, ale poza nią. Pozostaje tylko głodna jama, gdzie powinna być jego dusza. Wspomnienie także musi mieć czas, aby powoli się zatrzeć. Trawa, aby się podnieść. I znów rosnąć. Nowa ścieżka. Po tamtej, lapońskiej. Wstecz. Znowu nowa ścieżka.

Robi inny zakręt. Jak można mówić „nowa” o staruszce? Ale to pamięć się odnawia. Aż do młodości lasu.

Pomyśl o tym, że ziemia pasowała do stóp. Kiedy kula ziemską była młoda.

Liściaste korony. Ptaki. Ognie.

Ścieżka zniknęła. Zachowała się resztką drogi dla ciągników leśnych, biegła jednak trochę wyżej. Aby na nią trafić,

533

musieli iść z biegiem rzeki. Johan miał Birgera przed sobą i widział jego zwalistą postać, patrzył, jak pokonuje urwiska i gramoli się na wzniesienia. Birger miał silnie umięśnione uda, widoczne przez tkaninę spodni, mały tyłek. Punkt ciężkości ciała był z przodu, więc idąc, pochylał się. Szedł wolno, ale pewnie. W czasie polowań często przecież chodził po bezdrożach.

Johanowi nie przychodziło do głowy nic, co mogliby powiedzieć Bjórnemu. Przy domostwie Strómgrenów widzieli jego samochód, starego wiśniowego saaba. Sam Bjórne poszedł widać ścieżką, unikając przejścia przez Teren, gdzie kiedyś prowadził procesor.

Gdy w końcu wyruszyli, Birger nie okazywał żadnej obawy. Z torby lekarskiej wzięł kilka opakowań środków opatrunkowych i włożył je do plecaka, który teraz niósł Johan.

Podeszli do działki Brandbergów, na której pozostały wysokie świerki. Oznaczono ją 1:34. W wilgotnym jesiennym powietrzu rozrosły się mchy. Nieustannie pijąc, pęczniały. Drzewa liściaste coraz bardziej marniały, ich kolory niknęły, liście bladły i ukazywały szkielety nerwów. Ale gdzieniegdzie, ścięte przymrozkiem, wybuchały płomienną barwą.

Było bardzo cicho. Johan oczekiwał, że usłyszy łopot, może nawet zobaczy między drzewami dużego, ciężkiego głuszca.

W ciszy doszedł ich stukot siekiery. Ktoś rytmicznie rąbał drzewo na szczapy. Dwa, góra trzy uderzenia. Potem cisza, gdy podnosił następne polano. Pracował zawzięcie. Rozlegał się stłumiony dźwięk, gdy zamachnąwszy się, wbijał siekierę, i głośny, gdy sam kłoc uderzał w podłoże. Byli teraz tak blisko, że słyszeli suche trzeszczenie drzewa, gdy ręcznie odrywał ostatnią szczapę.

534

Nie widzieli go. Przypuszczalnie stał za letnią kuchnią, musiała mu służyć jako drewnitnia. Johan stał obok wygodki, którą powoli znów zagarniał las. W szparach schodków rosły mech i porosty. Szaroczarne i zielono cętkowane porosty pokrywały deski chropawą skórą, pod którą drzewo powoli próchniało.

Birger usiadł na kamieniu. Przypuszczalnie chciał odpocząć, żeby być całkowicie opanowanym, gdy staną z nim twarzą w twarz. Może zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Choć właściwie Johan nie sądził, aby Birger obmyślał coś z góry. Był przyzwyczajony do tego, że ciężkim krokiem wchodzi ot tak, prosto z mostu, w sam środek czyjejś tragedii.

Uderzenia siekiery ustały, ale Bjórne nie pokazywał się. Johanowi przyszło do głowy, że pewnie stoi teraz, nadśluchując. Czy mógł ich usłyszeć? Albo poznać? Zwietrzyć? Bjórne był dziwny. Johan miał tę świadomość już jako bardzo młody chłopak. W Bjórnem kryło się coś mrocznego. Niby chodził z braćmi i poruszał się tak, jak oni. Ale wszystko to było bezkształtne. Nikt nie mógł powiedzieć: Bjórne jest taki czy taki. Cięty w słowie, bystry, jak Pekka. Albo lubiący wszelkie współzawodnictwo, jak Per-Ola, który nie bał się bólu. Nie. Bjórne tylko im towarzyszył.

Birger wstał i ruszył do przodu. Zawołał. W tej samej chwili Bjórne wynurzył się z za letniej kuchni. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni. Szedł trochę sztywno.

Potem wszystko zrobiło się zwyczajne. Birger i Bjórne przywitali się, padały właściwe słowa. Ach, wyszłicie trochę połączyć? Tak, pomyśleliśmy, żeby przyjść tu na górę. Szliście przez Teren? Tak, cholera, nigdy tam nie będzie lasu. Mało w tym roku dzikiego ptactwa. No, jednak jest. Ale siedzi wyżej. W gęstym lesie. Weszli z nim do chaty. W sieni, gdzie układał drewno w stosy, było pełno mysich odchodów. Trochę cuchnęło.

535

Może polowała tu łasica. Gdy otworzył drzwi do kuchni, ciepły, mdlący zaduch stał w niej jak ciepła ściana. Pomieszana woń kawy i nieczystości. Kiedyś od Bjórniego zalatywało czymś cierpkim. Teraz bijący od niego zapach wywoływał obrzydzenie. Odór starego mężczyzny, pomyślał Jo-han. On jest stary. Nie ma jeszcze pięćdziesiątki, a jednak jest stary.

Bjórne dołożył do pieca, wziął czarny, spękany czajnik i wlał do niego czerpak wody. Potem otworzył okno i wylał przez nie wodę z fusami. Johan zastanawiał się, jak wygląda pod oknem. Przez cały ten czas, gdy na nowo nalał wody, wsypał kawę, wyjął bochenek chleba i pudełko z pastą serową, milczał i to było normalne. Bjórne zazwyczaj robił wszystko w milczeniu. Teraz używał tylko jednej ręki. Drugą ciągle trzymał w kieszeni.

- Poszliśmy popatrzeć na motorower Johana. Ten, który zatopiłeś przy Tangen - powiedział Birger, przysunąwszy sobie kubek kawy.

Bjórne podniósł wzrok. Ukazały się wyblakłe, błękitne oczy. Potem twarz znów zrobiła się zamknięta, jak gdyby nie miała żadnych rysów. Cały Bjórne był bezkształtny. Raczej ciężki niż tłusty. Włosy, kiedyś brązowe, przeredziły się i zblakły. W miejscu, do którego sięgała czapka, okalał czaszkę głęboki ślad, wgniecenie w tłustych włosach. Policzki i broda nie ogolone, szarobiła szczecina. W dużej ręce z czarnymi plamami w miejscach, gdzie wżarł się olej silnikowy, trzymał kromkę chleba.

- Nie słyszałeś o tym, że wyłowili motorower? Kiedy siecią włokową szukali czegoś, co spadło z nieba, czy co to tam było.

Lekki ruch, może skinienie głową.

- Możesz spać? - spytał nieoczekiwanie Birger. Johan przypomniał sobie, że doktor leczył Bjórniego.

536

- Z tym jest marnie - powiedział Bjórne. - Przedtem jakoś człowiek sypiał. Ale teraz niech to cholera. Zawsze kładę paprocie do łóżka. W paprociach jest coś takiego, co pomaga się zdrzemnąć. Tylko trzeba się pilnować. Można zasnąć na dobre.

Maczał kromkę chleba w kawie, po czym wsysał w siebie ten kawałek, który robił się zbyt namoknięty i mógł wpaść do kubka.

- Przedtem człowiek pracował tak, że walił się na łóżko. Wtedy spał.

- Widziałem cię, jak wypłynąłeś na jezioro i zatopiłeś motorower. Udałeś, - że łowisz na deskę. A Johan widział, jak zjeżdżałeś duetem Vidarta.

- Pamiętam, że raz jechałem do domu na rowerze, to było w nocy, bardzo jasno. Karczowałem na górze, nad Aldą, i jak diabli chciałem skończyć przed weekendem. Skończyłem. Ale byłem tak cholernie zmęczony, że nie wierzyłem, abym dał radę dopedałować na rowerze do domu. Wtedy poczułem, że zaczął jechać sam z siebie. To było tak, jakby ktoś stał na pedałach i pedałowal za mnie.

Oczy znów mu błysnęły. Wydawało się, że chce zobaczyć, jakie wrażenie wywołało jego opowiadanie. Czy wierzą, że on w to wierzył.

- Człowiek może otrzymać pomoc - powiedział i wyszczerzył zęby.

- Pamiętasz pewnie starego Annersę? - spytał Johan. - Nie otrzymał żadnej pomocy.

Johan był jeszcze całkiem młody, gdy bracia opowiadali mu o starcu przy Vitstensviken. Nazywał się Paul Annersa, mieszkał samotnie dziesięć kilometrów od Czarnej Wody. Chata stała po jednej stronie drogi, a stajnia i stodoła stały po drugiej. Wielu ludzi widywało staro, przechodzącego drogę, szczególnie wieczorami w jesieni, zanim spadł śnieg. Chodził zajrzeć do konia. Umarł późną jesienią.

537

Czasami nie było go przez kilka tygodni z rzędu. Sypiał w leśnych szałasach, konia brał wtedy ze sobą. Tak więc nikt się specjalnie nie zastanawiał nad tym, że nie pokazuje się już dość długo.

To była ślepa kiszka. Na podłodze koło łóżka stała butelka wódki i leżało pudełko aspiryny, musiał więc mieć bóle. Koń padł z pragnienia. Stary w ogóle przecież nie przyszedł. Boks był rozwalony kopytami. Żelazny łańcuch jednak wytrzymał.

Stary chodzi zgarbiony i nie patrzy, którędy idzie. Nie potrzebuje. Jeden z synów Brumstróma, jadąc ostro, wypadł na zakręcie z drogi. Zobaczył staro, kiedy już było za późno, i zdążył tylko pomyśleć: cholera, cholera, cholera! I przejechał prosto przez niego, jak przez szare powietrze.

Koń rżał, łomotał kopytami w boks. Drzewo rozłupywało się z trzaskiem. Ale nikt nie usłyszał tego rżenia i ciało staro leżało sobie spokojnie na rozłożonej kanapie.

Od tamtej pory o zmroku stary przechodzi przez drogę. Żeby sprawdzić, czy koń dostał wody. Musiało go to cały czas dręczyć, chociaż nie mógł wstać z łóżka. Ten niepokój jest bardzo silny. A najsilniejszy robi się jesienią, o zmroku.

- Pamiętasz go? Bjórne skinął głową.

- Czasami się nie udaje - powiedział Johan.

- Dlatego nie mam psa - powiedział Bjórne. - Nie mam nawet kota. Nikt po mnie nie zostanie.

Na dworze zapadł zmierzch. Mogli tak siedzieć z nim bez końca i nie prowadziło to donikąd. Potrafił snuć opowieści, które sprawiały, że jego dziwaczność i samotność stawała się niemal przyjemna dla słuchającego. Bjórne nie był jednak dziwakiem. Może on jest pusty w środku, pomyślał Johan. Jest w nim tylko to jedno. Jego samego tam nie ma.

Zrobił to ot, tak.

538

Zdarzenie — dziesięć, dwadzieścia gwałtownych pchnięć? — zrodziły się z niczego. Z mroku, który nam towarzyszy. Może on w ogóle tego nie pamięta.

A gdy jest sam? Próbował wyobrazić sobie Bjórno tu, w chacie, samotno. Jak zapala lampę naftową, co właśnie zrobił, ciągle jedną ręką. Jak w szybach zaczyna się wszystko odbijać. W pokoju stał stół do dojenia, na nim leżała książka. Myśl, że Bjórne wieczorem leży w brudnej pościeli i czyta, wydała się Johanowi niedorzeczna. Wstał i podszedł, aby spojrzeć na książkę.

- To Nostradamus - wyjaśnił Bjórne. - Przysłali mi z Finlandii. Było ogłoszenie.

Nostradamus to jedyny, który przepowiada prawdziwie.

Schował się. Chciał, żeby wierzyli, że jest dziwakiem. Niegroźny, dobrotliwy stary leśny człowiek. Taki, jacy bywali ludzie w dawnych czasach. Być może sam w to wierzył. To jednak nie miało sensu. Był synem jednego z nielicznych we wsi, którym się powiodło. Mógł mieć pracę. Mógł mieć pieniądze i maszyny. Nie musiał tutaj siedzieć.

• 'r>'

Wtedy Birger wziął ze stołu lampę naftową i oświetlił nogę Bjórno. Powyżej zaciśniętej w kieszeni pięści na niebieskim materiale widniała ciemna plama.

Powiększała się na ich oczach.

- Zaciąłeś się? Kiwnął głową.

Przestraszył się. Zaciął się, gdy nas usłyszał. Czy przez te osiemnaście lat się bał? I Annie Raft z jej dubeltówką? Jak ci ludzie tutaj żyli? Ja uciekłem, pomyślał Johan. Wymknąłem się.

Birger grzebał w skrzyni na drewno, szukając gazety.

- Połóż tu rękę - rozkazał.

539

Bjórne uniósł lewą rękę. Kciuk wcisnął między środkowe palce. Sącząca się krew była bardzo ciemna. Birger rozłożył zdrętwiałe palce i wyprostował kciuk. Wtedy rana się otworzyła i krew zaczęła płynąć silniej.

- Plecak, Johan.

Cały czas trzymał Bjórnego za rękę.

- Poszukaj bandaża, który tam jest. I tabletek.

- Nie chcę żadnych - powiedział Bjórne.

- To uspokajające. Myślę, że byłoby dobrze, abyś je zażył. Musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło. A potem musimy zjechać do wsi, żeby założyć szwy. Mam tam torbę.

Gdy Johan podał mu bandaż, gazę opatrunkową i watę, Birger powiedział:

- Wyjdź teraz, Johan. My porozmawiamy chwilę, przez ten czas, jak będę zakładał opatrunek.

- Nie chcę wychodzić — powiedział Johan. — To bez sensu.

- A jednak wyjdź.

- Rozejrzył się dookoła. Na ścianie przy kuchennej szafce wisiała śrutówka. Bjórne miał nóż przy pasku. ,3

- Nie chcę.

- Idź.

Ociągał się z włożeniem kurtki. Siedzieli jak przedtem. Bjórne ze zwieszoną głową. Naftowa lampa rozlewała kałużę ciepłego, żółtego światła. Leżały w niej splecione ręce Bjórnego i Birgera, który teraz ruchem głowy dał Johanowi znak. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyjść.

Na dworze mrok nie był tak gęsty, jak wydawało się przez szyby. Zaczął siąpić deszcz. Johan zszedł do wygodki. W połowie drogi odwrócił się. Ramę okna wypełniało żółte światło. Widział ich głowy i lampę. Wyglądało, że w chacie jest przytulnie, jak zawsze, gdy człowiek zajrzy do oświetlonego pokoju z zewnątrz, z mroku i deszczu. I Bjórne naprawdę robił wrażenie miłego starszego człowieka. Ot, dziwak.

540

- Wiesz, że LİM-Ola Lennartsson nie żyje? - spytał Birger.

- Nie.

- Miał zawał. Może czegoś zaniedbałem.

Ostatnie słowa powiedział bardziej do siebie i była to raczej wątpliwa myśl.

- Od czasu, gdy wydarzyło się tamto nad Lobberan, mieszkał przecież w Óstersundzie. Bał się zostać. Wiesz, że zemdłał, gdy zobaczył, że to był jego namiot?

- Świntuch - powiedział Bjórne.

Birger ścisnął brzegi rany i przyłożył gazę opatrunkową.

- Tak, to był kawał drania. Robił machlojki, gdzie tylko się dało. Kiedy zrobili analizę piór ptaków, które spalił, okazało się, że to dwa myszołowy. Widziałem paczkę w jego zamrażarce. Głuszce nie skubane, napisał na niej. Pewnie bał się, że policja wszystko u niego przeszuka, ponieważ był tam, na górze. Teraz zabandażuję trochę ciaśniej. Jak zejdziemy na dół, założę szwy.

Pomyślał o Johanie na dworze, w półmroku. Rozpadało się. Wiatr ciskał krople deszczu na szyby.

- Myślałeś, że to był on, czy jak?
- Wjechał na górę sam. Było święto, wieczór. Co miał tam, na górze, do roboty? Wiedziałem, że krogulec ma młode. A wcześniej tego dnia przyjechał holenderski samochód. Teraz on je weźmie, pomyślałem. Wybrał się, kiedy

541

wszyscy obchodzą noc sobótki. Sprzeda żywe młode. Jako sokoły do polowania jakiemuś przekłętemu Arabowi.

- Poszedłeś na górę, do Aldy, żeby sprawdzić, co z Johanem?
- Jemu nic się nie mogło stać. Zresztą kiedy przyszedłem na górę, nie było go.
- Wziąłeś motorower.
- Cały czas o tym myślałem. Gdybym przyjechał samochodem, tobym cholernika wystraszył. Chciałem go zaskoczyć od strony ścieżki. Sokole gniazdo jest na skalnej stro-miźnie nad rzeką.

- Poznałeś namiot? ; ...

- Jasne.

- Dlaczegoś zrobiłeś to tak brutalnie?

Milczał. Siedział z głową pochyloną do przodu, oddychając ciężko.

- Nie miałem takiego zamiaru - powiedział. - Chciałem mu tylko wlać. Zobaczyłem plecy. Położył się tyłem do ściany namiotu. Widziałem plecy. W tym miejscu namiot się wyginał. Wtedy zrobiło się czarno.

- To nie był on.

- Nie.

Znów siedział w milczeniu. Birger zastanawiał się, czy Bjórne pamięta resztę. Może było tak, jak mówił. Czarno. Dziura. Dziura, wokół której poruszał się bez mała dwadzieścia lat.

- Annie szła tutaj, żeby zapytać cię o motorower.

- Mnie tu nie było. Pojechałem do Frósó. Przyjęto mnie w końcu kwietnia.

•

- Kto na nią czekał?

- Nie wiem.

- Teraz zejdziemy na dół. Musimy założyć tu szwy. Potem odwiozę cię znów do Frósó. Musisz opowiedzieć

542

|

o tym doktorowi. Będzie najlepiej dla ciebie, jak pójdziesz na policję sam.

Czy on w ogóle słuchał?

- Niewiele się zmieni dla ciebie. Będziesz żył, jak żyłeś przez ostatnie lata.

Dostaniesz przepustkę i będziesz mógł tutaj przyjeżdżać. Wkrótce minie dwadzieścia lat. Nie masz na koncie nic innego? Nikogo nie poturbowałeś, nie stłukłeś?

- Nie. Najwięcej przebywałem tu sam. Chodziłem odwiedzać Annie.

- Annie powiedziała by to, co ja - mówił dalej Birger.

- Idź na policję sam. Tak jest najlepiej.

- Oni pewnie zaraz tu będą.

- Nie. Nie dzwoniłem do nich. I wcale nie zamierzam tego robić. Chcę, żebyś pojechał ze mną na dół, to ci założę szwy. Potem pojedziemy do Frósó.

Wstał i otworzył okno.

- Johan!

razy. Gdy Johan wszedł, okazała się,

że nie przemókl tak bardzo.

- Przestało padać?

- Mży.

- Musimy iść, zanim zrobi się całkiem ciemno.

Johan przeniósł baczne spojrzenie z Birgera na Bjórneho, który wciąż siedział przy stole.

- Rozmawialiśmy o tym. Annie na pewno szła tutaj, aby spytać Bjórneho o motorower. Ale on był we Frósó.

- Tak, ja wiem, że go nie było - powiedział Johan.

- Przecież Mia i ja przyjechaliśmy tutaj wcześniej rano. Annie musiała więc podejść na górę do Gudrun i pytać o ciebie. Nie wiedziała, że jesteś we Frósó?

- Teraz idziemy - powiedział Birger. Jego głos zrobił się piskliwy. — Nie mówmy już o tym.

543

Bjórne podszedł do drzwi i zdjął czapkę, która wisiała na gwoździu. Włożył ją na głowę, ale nie wziął kurtki. Miał na sobie grubą bluzę od dresu. Kiedyś granatowa, teraz wyblakła i na ramionach i plecach mieniła się szarością. Słyszeli, jak wciąż w sieni buty. Birger zgarnął pozostałe środki opatrunkowe i wrzucił je do plecaka.

- Zgaś lampę.

Johan dmuchnął i zrobiło się ciemno. Trochę za wcześnie. Zapomnieli, gdzie położyli kurtki, i zaczęli po omacku szukać na sofie.

- Pospiesz się, do cholery - powiedział Birger. - Do diabła z kurtkami.

Potrącając się wzajemnie, wciągali je w ciemności. Za bardzo się pospieszyli. To był błąd. W sieni zobaczyli drzwi wejściowe otwarte, poruszone wiatrem.

Wołali jego imię głośno i naradzali się szeptem. Pobiegli do letniej kuchni, do wygodki. Weszli znów do środka i zapalili naftową lampę, jak gdyby próbowali zwabić ćmę.

Ale nie przyszedł. Wołali i wołali, ciemność jednak nie odpowiadała. Był gdzieś tam, na dworze. Birger nie miał odwagi odgadnąć myśli Bjórneho. Były proste czy też chytre? A może były tylko mrokiem. Dziurą.

Bjórne musi jednak w końcu przyjść.

Johan i Birger siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni. Między nimi stała lampa i paliła się zbyt wysokim, błękitnym płomieniem, kopiąc szkło. Ale nie czekali długo.

- On weźmie samochód i zjedzie na dół - odezwał się nagle Birger. Właściwie dlaczego to powiedział? Musiał zdecydować się na coś, w co mógł uwierzyć.

- Musimy iść na dół.

- Nie sądzisz, że on tu wróci?

- Nie.

544

Zanim zgasili lampę i wyszli, Birger zdjął ze ściany strzelbę. Przecież nic nie wiadomo. Równie dobrze Bjórne może wrócić i zakończyć wszystko raz na zawsze za pomocą śrutówki.

Zaczęli schodzić ścieżką. Z porywami wiatru zacinał drobny deszcz. Oczy przywykły do ciemności. Mogło być gorzej. Już nie nawoływali. Birger zauważył, że Johan także próbuje iść najciszej, jak się da.

Trudniej było iść, gdy weszli na Teren. Zrobiło się za to nieco jaśniej. Trochę światła rzucało bowiem niebo. Widzieli szybko gnane wiatrem chmury, jak gdyby oświetlone od środka. Próbowali iść tak, aby mieć rzekę w zasięgu słuchu. Birger uświadomił sobie, że gdy znaleźli się na Terenie, odetchnął z ulgą. W lesie czuł strach. Zaledwie

przed godziną siedział z Bjórnem przy stole w kuchni i wszystko wyjaśnił. Wydawało mu się, że wie, co się dzieje w jego głowie. Nawet mu o tym powiedział. Tak jak przypuszczalnie zawsze ludzie mówili Bjórnowi, co myślał i czego to nie narobił. Kazali mu wyrąbywać Teren. Dwadzieścia lat później okazało się to błędem. Pozwolono mu zrobić błąd, a potem mu o tym mówiono.

Teraz zaszył się gdzieś na dworze. Cisnął w cholerę naftową lampę i Nostradamusa. Pozostał samotny, w ciemności.

Podeszli do samochodu. Zanim Birger zdążył zamknąć drzwi po swojej stronie, Johan ruszył. Prowadził szybko, podwozie ciężko uderzało w dziury, a reflektory śmigały po świerkach. Gdy zjechali w dół, do obejścia Strómgrenów, po samochodzie Bjórnowego nie było śladu.

- Nie stał kawałek dalej? Naprzeciwko domu. Wpatrywali się w zabudowania w dole na stoku, ale

z początku nie mogli niczego dostrzec.

- Wyjdę i sprawdzę - powiedział Johan.

545

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął latarkę. Birger śledził go wzrokiem i nagle ogarnęło go dziwne nieprzyjemne uczucie. Sylwetka Johana zrobiła się niewyraźna, światło latarki było tylko małą, żółtą i skaczącą plamą, z każdą chwilą słabnącą. Birger wpatrywał się w ciemność tak długo, aż zabudowania Strómgrenów zaczęły migać mu przed oczyma. Wszystko było szare na szarym tle, a w deszczu i podmuchach wiatru zdawało się poruszać.

- Zaczekaj, idę z tobą! - zawołał.

Dogonił Johana i szli teraz razem po przekwitłej trawie, która zmoczyła im spodnie aż do ud. Światło latarki omiało jej nie ścięte żółte kępy. Nie widzieli żadnych śladów opon. W końcu je znaleźli, wysoko przy drodze. Saab zniknął. Uciekł.

- Musimy jechać - powiedział Birger. - Cholera, że też nie wziąłem swojego samochodu. Przecież mam w nim telefon.

Johan prowadził szybko. Wóz wpadał w dziury. To jedyne, co możemy teraz robić, pomyślał Birger. Jechać szybko. Popelniliśmy błąd. Ja przez moją nadgorliwość, Johan przez swoje bezmyślne pytanie. Choć chciał przecież wiedzieć. Pytał sam siebie i teraz już wie. Bjórne wie także.

W psiarni Brandbergów ujadły psy. Zatrzymali się i widzieli, jak rzucają się na siatkę. Oświetlała je silna latarnia, którą Torsten zawiesił u szczytu obory. Oczy psów, w których odbijały się reflektory samochodu, wyglądały jak skaczące parami kropki. Intensywniej żółta lampa ganku oświetlała ciemny chmiel.

- Podjeżdżaj - rzucił Birger.

Prawie we wszystkich oknach się świeciło. Psy ciągle ujadły. Zobaczyli, że Torsten wychodzi na ganek, a gdy

546

samochód wtoczył się na podjazd, usłyszeli, jak ucisza psy. Na podwórzu nie było żadnego innego wozu.

Johan nie wysiadał. Zastanawiał się, czy Torsten ich widzi - stał na oświetlonym ganku, próbując dojrzeć, kto jest w samochodzie.

- Czy Bjórne zjechał na dół? - zawołał Birger, wysiadając z samochodu.

Torsten nie odpowiedział, dopóki nie rozpoznał, kim jest pytający.

- Pewno jest na górze, w Nirsbuan - odparł. >

- A Gudrun?

- Na kursie. .• ;|

- Gdzie? |..-|+||. . |* h , .

- W szkole.

Przed zatrzaśnięciem drzwi samochodu Birger nachylił się do Johana.

- Wejść tu i zaczekam. Musisz jechać na dół i zabrać Gudrun. Weź ją do domu Annie i siedź tam razem z nią.

- Zadzwoń teraz na policję?

- Muszę - powiedział Birger. - Przyrzekłem, że tego nie zrobię. Ale pod warunkiem, że on pójdzie ze mną.

Sam uznał za dziwaczne to, że w takiej chwili mówi o swojej obietnicy. Torsten stał w silnym świetle latarni na ganku, wpatrując się w samochód.

- Kim jest ten drugi? — spytał.

547

Johan dojeżdżał już prawie do szkoły, gdy zobaczył, że kobiety właśnie idą do samochodów. Ale audi jeszcze stało. Podjechał jeszcze kawałek i zatrzymał się tak blisko schodów, jak tylko mógł. Opuścił szybę i usłyszał, jak gawędzą, schodząc po dwie. Zastanawiał się, co to za kurs w zimie. Czego one się uczą? Rękodzieła? Historii regionu? Że też ona wciąż tu przychodzi! Że tak potrafi, dzień po dniu! Teraz jej codzienność zostanie zrujnowana. Żadnych pogawędek. Żadnego przygotowywania kawy, światła lampy, bezpieczeństwa. Dzieli ją od tego zaledwie chwila. Kilka minut od momentu, gdy spojrzała znad torebki, którą uniosła, aby zasunąć zamek błyskawiczny. Potem uświadomił sobie, że to zajmie jednak trochę czasu. Gudrun nie zrozumie tak od razu.

- To ty?

Z początku nie chciała z nim iść.

- Musisz — powiedział. — Zostaw wóz tutaj.

Inne samochody ruszały. Zobaczył kilka osób, które pomachały jej ręką. Była na niego zła.

- Ani myślę jechać do domu Annie Raft - powiedziała. - Co mam tam do roboty?

Wsiadła jednak do jego samochodu i teraz nie miała wpływu na to, dokąd Johan ją wiezie.

- Ty jej właściwie nie znałaś. Nigdy nie byłyście przyjaciółkami.

548

W milczeniu patrzyła na niego z boku. Podjechał prosto na górę. Trawa była mokra i prawdopodobnie koła zostawią brzydkie ślady. Teraz jednak przede wszystkim musi wprowadzić ją do środka.

- Będziemy tu czekać - powiedział. - Birger Torbjörnsson jest u Torstena. Policja w drodze.

O nic już nie pytała. Gdy otworzył, weszła przed nim. Taka mała. Jej ciemna głowa znajdowała się na wysokości jego piersi. Zamknął drzwi wejściowe.

- Zaczekaj - odezwał się. - Nie zapalaj światła. Obszedł mieszkanie dookoła i wszędzie spuścił rolety. Gdy

zapalił światło, stała na środku kuchni. Twarz miała zamkniętą i czujną. Głucha Saddle, śpiąca dotąd w pokoju, teraz weszła ociężale. Obwąchała spodnie Gudrun właściwie bez zainteresowania, ogon uderzył parę razy.

- Rozbierz się, wejść i usiądź - powiedział. - Może będziemy musieli długo czekać. Siadła przy stole w kuchni. Zastanawiał się, co czuje, rozglądając się dookoła. Mógł zobaczyć kuchnię jej oczami. Batikowy druk na stole kuchennym był wyblakły. Z sufitu zwisał żółty abażur z ryżowego papieru. Mia uprzątnęła przynajmniej wszystko, co wisiało nad piecem. Para gołębic łap, wiązka suszonych ziół, brzoźowa huba. Wszystko pełne pajęczyn i kurzu.

- Birger Torbjórnsen i ja zrobiliśmy to samo co Annie - powiedział. - Poszliśmy do Nirsuan, żeby porozmawiać z Bjórnem.

W środku było zimno, ale nie chciał rozpalać w piecu. Wydawało mu się, że przez cały czas musi na nią patrzeć.

- Przedtem zeszedliśmy na dół, żeby rzucić okiem na mój motorower, który zatopił. Nie odpowiadała. Odstawiła torebkę, nie rozpięła jednak kurtki. Siedziała na krześle sztywno wyprostowana, ręce

549

położyła przed sobą na obrusie. Twarz wyglądała blado. Ale w ostatnich latach spostrzegał to za każdym razem, gdy się z nią widział. Może tak mu się zdawało dlatego, że farbowała włosy. Zastanawiał się, czy teraz zostawi je siwe.

Tutaj się to zaczęło, pomyślał. Tutaj Annie Raft stała, patrząc przez okno, i zobaczyła mnie. Jak ona mogła mnie poznać? Nikt tego nie wie.

Wydawało jej się, że widzi własne dziecko w ramionach mordercy. Chłopaka, który kiedyś w napadzie szału albo po pijanemu raz po raz dźgał nożem dwoje Judzi leżących w namiocie.

Nagle zauważył, że Gudrun jest zimno. Siedzieli w milczeniu tyle czasu, a ona nie zmieniła pozycji. Drżała jednak i co chwila nerwowo pociągała nosem, jedyny odgłos słyszalny w tym domu.

- Rozpalę w piecu - wymamrotał.

Niezdarnie układał korę brzoźową i drewnienka. Łatwiej było mu mówić, gdy na nią nie patrzył.

- Bjórne przyznał się Birgerowi, że to zrobił, wtedy, tamto nad Lobberan. Miał zejść razem z nami, ale uciekł. Baliśmy się, że zrobi ci coś złego. Teraz wie, że to byłaś ty. Zanim przyłożył zapalkę do kory brzoźowej, bardzo starannie ułożył na niej mały stosik drewnienek. Długo trwało, nim się odezwała. Głos miała suchy. Albo zchrypnięty.

- Bjórne?

- Tak. Bjórne. Nie ja. Myliłaś się. Annie Raft też. Przez chwilę siedziała całkiem nieruchomo. Potem zobaczył, że zaczęła dygotać.

- Czy ona nie ma tu elektryczności?

Prawie krzyknęła. Głos się załamał. Wstała i zaczęła zabijać ramionami. Dosłownie trzęsła się z zimna.

- Jasne - powiedział. - Oczywiście.

550

Rzucił się do dużego pokoju i zapalił lampy, włączył elektryczny piecyk. Znalazł pled, który złożony leżał na łóżku.

- Owiń się nim. Usiądź na sofie. Zaraz zrobi się ciepło. Birger ma tu gdzieś whisky. Zaczekaj.

Owinęła się pledem i, tak siedząc, patrzyła na pokój Annie Raft. Firanki z nie bielonej bawełny. Pstrokaty papierowy potwór, bujający się w powietrzu pod sufitem. Pewnie zrobiony przez dzieci ze szkoły. Spojrzała w kierunku łóżka, a on myślał o tym, że zapytała: „Czy ona nie ma tu elektryczności?”. Jak gdyby Annie Raft ciągle żyła. Wyglądało na to, że nigdy przedtem tego pokoju nie widziała. A jednak weszła tu, otworzywszy sobie kluczem, który wzięła z drewnutni.

- Bjórne powiedział, gdzie ona wiesza klucz? Spojrzała na niego do góry, kiwnęła głową. Mógłby to

określić: z roztargnieniem. A może nie.

- I o strzelbie? Że leży za łóżkiem?

- O tym wszyscy wiedzieli. ||||- > Wydawała się taka mała,
siedząc owinięta byle jak szarym,
puszystym pledem. Patrząc na nią, czuł przejmujący ból. Ból, ból. Nie miał pojęcia,
że można coś takiego odczuwać, patrząc na drugiego człowieka, i nagle ogarnął go
strach na myśl o dziecku. Jeśli dziecku coś się stanie — czy właśnie tak się to
odczuwa? Bezradny ból.

Ręce mu drżały, gdy nalewał jej whisky, i rozlał trochę alkoholu na stolik przy sofie.
Spojrzała na tę maleńką kałużę nieobecny wzrokiem i nagle Johanowi napłynęły łzy
do oczu, a w gardle zaczęło go dławić. Normalnie wstałaby i poszła po ścierkę. W
takich razach była szybka. Teraz siedziała tylko i patrzyła. Gdy się rozplakał,
spojrzała na niego tak dziwnie. Wyczekująco i nieśmiało. Niemal przestraszona.
551

W końcu udało mu się zapanować nad łzami. Gudrun zaczęła znów pociągać nosem.
Cichy, wilgotny odgłos, jaki wydawała, był taki delikatny przy jego pochlipywaniu.
Musiał pójść po kawałek kuchennego papieru z rolki i skorzystał z okazji, by dołożyć
do pieca. Ja w każdym razie robię, co mam do zrobienia, pomyślał. Ona przedtem
też miała ku pomocy pancierz przyzwyczajęń i codziennej rutyny. Robiła to, co
powinna. Uczęszczała na kurs. A jeśli o tę sprawę chodziło, przyłączyła się do
poszukiwań i poszła na pogrzeb. Teraz to się skończyło.

- Co powiedziała Annie, kiedy przyszła?

- Pytała o ciebie.

- O tamten wieczór świętojański?

* Przytaknęła głową.

- Motorower - powiedziała. - Wpadła na to, że Bjórne go zatopił. Nie rozumiem jak.

- Nie wiedziałas, że go wyłowili? Pokręciła głową przecząco.

- Leżał tam wiele lat. Annie musiała wpaść na to, że to jest właśnie ten motorower.
Wiedziała pewnie od Birgera, że Bjórne tamtego ranka po nocy świętojańskiej był o
świecie na jeziorze.

Od okna dobiegł ich jakiś dźwięk i Johan drgnął. Zabrzmiało to tak, jak gdyby ktoś
poskrobał szybę. Potem dźwięk powtórzył się, słabszy, a wtedy go rozpoznał: porywy
wiatru ciskały deszczem o szyby.

Był przerażony i nie potrafił tego ukryć. Dopiero co płakał. Pragnął okazać się teraz
inny. Patrzyła na niego tak obco, może nawet nigdy przez myśl jej nie przeszło, że on
mógłby jej pomóc. Był i pozostanie dla niej dzieckiem.

Ujrzała zagrożenie, które zawisło nad jej dzieckiem. Annie Raft zobaczyła to samo.
Gdy się spotkały, zrobiło się niebezpiecznie. Żadnej z nich nie przyszło do głowy,
żeby z nimi porozmawiać, wyjaśnić wszystko. ><|

552

Gdyby to przynajmniej było spontaniczne. Gdyby działała całkowicie odruchowo, jak
kot, który uderza łapą. Ale ona to zaaranżowała. Szybko, lecz starannie. Poddawała
Annie Raft pomysł, by poszła na górę do Nirsbuan. W ten sposób zyskała sporo
czasu. Napisała kartkę, przygotowała kawę w termosie, a do plastikowej torby
włożyła słodkie bułeczki. Zwykle czynności. Jak na ironię.

- Nie znalazłaś jej nabojów.

- Nie miała żadnych - odparła.

...•

- Miała. Za zegarem radiowym.

Przez moment ujrzał jej twarz taką, jak musiała wyglądać wtedy. Napiętą,

kalkulującą. Ale oto się przeliczyła. Gdyby wiedziała. Gdyby spojrzała za radio.

Równie szybko wrażenie zniknęło. Wpatrywała się w zniszczony orientalny dywanik,
zmiętoszony przez Saddle, ale wydawało się, że go nie widzi. Przestał ją interesować

dom Annie Raft. Szklanka whisky stała nietknięta. Teraz przypomniał sobie, że nigdy nie piła mocnego alkoholu.

Wszystko, co robiła, dobrze przecież znał. Dbała o swoją rodzinę. Wykonywała obowiązki ze znajomością rzeczy i rutyną. Termosy. Bułeczki do kawy. Pisanie karteczek. Przypomniał sobie, jak przychodziła do niego na górę, przynosząc mu do pokoju mleko i kanapki. Nigdy nie robiła wrażenia, że jest w tym coś szczególnego. Tylko dbałość, która miała wszystkim ułatwić życie. Rzadko siedziała, tak jak teraz. Chociaż przypomniał sobie, że raz siedziała tak na łóżku w jego chłopięcym pokoju, równie blada. Wpatrywała się w łąkę za oknem, odrywając zębami skórę z dolnej wargi. Takie chwile jej się zdarzały, lecz im nie ulegała.

Przypuszczał, że potrafi przebiec myślą codzienne czynności, które wykonywała w tamtą sobotę po południu - z determinacją, nie dopuszczając do tego, by ich ironiczny sens do niej dotarł.

553

Ale nie mógł wyobrazić jej sobie nad Lobberan.

Stała tam jednak. To zostało wykalkulowane. Annie Raft, wracając z Nirsbuan, musiała przejść rzekę w bród. Jakkolwiek by się wily i rozdzielały ścieżki wewnątrz parceli leśnej, było to jedyne miejsce, w którym mogła to zrobić. Mimo to Johan nie był w stanie wyobrazić sobie tam Gudrun.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak podchodzi bardzo blisko, naciska spust i strzela. Chciał o to zapytać, ale nie potrafił sformułować pytania. Było zbyt haniebne i zbyt drażliwe - jak gdyby nadal istniały formy przyzwoitości, których należy przestrzegać. Jak mogłaś? To pytanie nie chciało mu przejść przez gardło.

554

Przypomniał sobie pewną noc, podczas której pili wino i rozmawiali. Najpierw Mia zabrała go do biblioteki. Stary, sławny poeta czytał swoje wiersze pisane przez pięćdziesiąt lat. Potem było wino i pizza, a w końcu pojechali do domu jednego z jej kolegów z muzeum, gdzie gadali jeszcze więcej, popijając jeszcze tańsze wino. Mówiono o zdarzeniu nad Lobberan. I o zbiorowym gwałcie pod Pitea.. Stary poeta, wrażliwy, bardzo utalentowany człowiek, będący dla nich wszystkich wyrocznią, potrafił opisać to ze szczegółami. Jak ostatni chłopak w namiocie rozciął nieprzytomną dziewczynę. Jak wepchnął jej w pochwę stłuczoną butelkę. To byli zwykli chłopcy. Chłopcy, którzy kupowali róże na Dzień Matki i prezenty gwiazdkowe. Oni zgodnie oceniali to zdarzenie pod lampą, w kłębach dymu. Oczy szczypały. Mówili trochę niewyraźnie, ale byli jednomyślni co do wpływu alkoholu, masowej psychozy i brutalizacji życia w wojsku. Urazów z dzieciństwa, nędzy i filmów o Rambo. Wtedy stary poeta powiedział:

— Myślę, że sam byłbym zdolny coś takiego zrobić. Zapadła całkowita cisza.

- W takich warunkach. Namiot. Pijaństwo. Tak, byłbym zdolny do czegoś takiego. I pod kloszem lampy rzucającej żółte światło, w niebieskawych kłębach dymu z papierosów, zobaczyli, jak wpatruje

555

się w głąb siebie. Zrozumieli, że te zdarzenia w namiocie potrafił ujrzeć na tle, którego oni wśród całej tej gadaniny nie byli w stanie wyodrębnić i którego żadne z nich nie potrafiło zobaczyć wyraźnie. Tak, w ogóle nie umieli sobie tego jasno wyobrazić. Byli bardzo poruszeni jego mądrością i głębią jego człowieczeństwa, upłynęła dłuższa chwila, zanim znów zaczęli rozmawiać, popijać wino i palić. Wtedy Johan mocno chwycił Mię za łokieć i zdecydował, że idą już do domu. Zirytowała się, była nawet zła, ale poszła z nim. Na dworze odetchnął głęboko

chłodnym zimowym powietrzem i pomyślał o poecie, który siedział tam jak antychryst.

- Nie podobał ci się - powiedziała Mia.
- Jest odrażający.
- Dlaczego? Bo mówi o nas prawdę?
- Bo to, co sam o sobie mówi, przypuszczalnie jest prawdą.

Więcej o tym nie rozmawiali. Pozostało między nimi otwarte pytanie, czy można zajrzeć w mrok własnej duszy i czy w ogóle powinno się to robić. Albo przywoływać ten mrok i oswajać go, obłaskawiać lekkimi dotknięciami.

556

- Ciągle ci zimno? • Gudrun skinęła głową.
- To może długo potrwać. Nie położysz się na chwilę? Pokręciła głową. Wstał i dołożył do pieca. Ma ją zapytać, czy nie chciałaby czegoś zjeść? Kanapki albo czegośkolwiek. Ale jest późno. Może źle się czuje?
- Jak mogłaś pomyśleć, że to ja?

To pytanie także trudno było zadać. Mimo to zadał je. Spojrzała w górę z lekką drwiną.

- Ale ty mogłaś pomyśleć to samo o mnie.
- Pod wpływem ironii jej twarz odrobinę się ożywiła. Ale trwało to krótko.
- Właściwie zostałam utwierdzona w tym podejrzeniu - powiedziała.
 - Bjórne? Kiwnęła głową.
 - Co mówił?
 - Nie pamiętam dokładnie. Że znalazł twój motorower na górze, tam, gdzie kończy się ścieżka.
 - Na górze nad rzeką?
 - Tak.
 - Co za łajdak!
 - On jest z pewnością jedynym z braci, z którym miałaś coś wspólnego.

557

- Nie miałem z nim nic wspólnego. Jak można mieć z nim cokolwiek wspólnego?
 - Powiedział, że chodziliście kolejno pilnować gniazda krogulca. I pewnie myślałeś, że Lill-Ola wziął młode, aby je sprzedać. Po południu w sklepie byli Holendrzy. A młode zniknęły. Myślał, że byłeś... że tylko dźgałeś. W namiot.
- Nagle umilkła. Rysy twarzy rozplywały się w świetle lampy. Odchyliła głowę do tyłu, usta miała szeroko otwarte. Wyglądała, jakby coś ją bolało. Przyszły mu na myśl bóle porodowe. Nie wydała jednak żadnego dźwięku.

- Jak mogłaś mu uwierzyć? - wyszeptał. Odpowiedziała dopiero po chwili. Jej wargi wydawały się sztywne.

- Niewiele o tym mówiliśmy. Chyba nikt w domu nie chciał wypowiedzieć tego na głos. Próbowaliśmy ci pomóc.

Przez moment patrzyli sobie prosto w oczy.

- Dlaczegoś nic nie powiedział? - krzyknęła. - Przecież to wyglądało tak, jakbyś się bał, że cię złapią! Dlaczegoś się zgodził na przeniesienie do Langvasslien, jeśli nic nie zrobiłeś?!
- Myślałem, że Torsten ma mnie dość. Przecież nie jestem jego synem.
- O czym ty mówisz?
- Nie jestem jego synem. Kiedyś musimy też i o tym porozmawiać.

Parsknęła.

- Śmiejesz się?
 - Tak, a co mam robić? Uważasz, że nie jesteś synem Torstena?
 - Jestem synem Ouli Larasa. Tego, z którym byłaś przed Torstenem.
- Złożyła ręce i pokiwała głową, zupełnie tak samo jak babcia. Gudrun przypominała teraz babcie. Kiwająca głową staruszka.

558

- Dziecko drogie - odezwała się. - Nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy płakać. Oula Laras! Akurat on.
- A nie jest tak?
- Nie. Nigdy nie miałam nikogo innego poza Torstenem. Spojrzała na niego tak, jak gdyby zobaczyła go naprawdę po raz pierwszy w życiu. Jej wzrok prześlizgnął się po swetrze i wąskich skórzanych spodniach. Znów parsknęła śmiechem, tym razem prawie bezgłośnie. Mimo to zauważył kpinę. Dostrzegał każdą zmianę w jej twarzy.
- Spodnie z antylopy — powiedziała. — Prawda? Spodnie ze skóry. Ze skóry południowoamerykańskiej antylopy. Za cztery tysiące koron. Co najmniej. Ach, więc ty myślałaś, że jesteś Lapończykiem. Na wskroś. Powinnam się była domyślić. Kiedy bredziłeś o miejscach, gdzie nasz lud niegdyś składał ofiary, i tak dalej. Wysunęła lekko głowę do przodu i wpatrywała się w niego.
- Ty nigdy nie byłeś naprawdę na dnie, w gównie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ona tam była. Nie miał jednak odwagi się odezwać.
- Musieliśmy rozmawiać po lapońsku w wygodce. Moja nauczycielka nie opowiedziała się wyraźnie po właściwej stronie. Nie tak jak twoja, która rozpieszczała małego Lapończyka. Kiedy ja chodziłam do szkoły, człowiek się wstydził tego, że jest Lapończykiem, tak jak robactwa czy gruzlicy. I wcale nie byliśmy właścicielami renów. Ojciec był pijakiem. Wiesz o tym? Wiesz, że twój dziadek był pijusem? No, to w każdym razie teraz będziesz wiedział. Śpiewał, pił i plótł androny. Nie był zły ani brutalny. Tylko stuknięty. Nie cierpię ludzi, którzy zajmują się dziś zbieraniem pieśni lapońskich i różnych innych głupot. Tralala. Wiesz, co to znaczy być biednym, Johan? Biednym Lapończykiem? „Łata na łacie to lapońskie gacie” - mówiły dzieci i pokazywały

559

- na tyłek. O, nie, Johan. Żadnych starych miejsc kultu. Nie o tym człowiek marzył. Marzył o elektryczności! O wzorzystych swetrach i nierdzewnych zlewozmywakach. Nawet marzenia twojej ciotki Sakki były szwedzkimi marzeniami. Sakka czytała tygodniki. To prawda. I wszystkie przechowała. Wzięła je ze sobą do Langvasslien w paczkach powiązanych sznurkiem. Pergutten i Johan znaleźli je na strychu, a Sakka się śmiała. Bo pamiętała, jak pragnęła zapomnieć, że ma krótkie nogi, okrągły tyłek i włosy proste jak druty.
- Sakka śmiała się z tygodnikowych marzeń - powiedział Johan. - Wiem o tym.
 - Gdy wyszła za męża za Pera Dorja, całkowicie zmieniła front. I zrobiła to najlepiej, jak umiała. Pożyczyła srebrny kołnierz na wesele. Skombinowała strój. Mimo że nie z prawdziwej wełny. Teraz działa w każdym komitecie, który istnieje, a Per przewodzi lapońskiej wsi. To jednak nie zmienia biegu Słońca.
 - Moim zdaniem, postępują właściwie - powiedział Johan. - Mimo wszystko.
 - Południowolapońskim językiem Sakki mówi kilkuset ludzi. Cóż to znaczy? Kilkuset. Tak, Sakka próbowała odwrócić bieg Słońca i sprawić, aby brzozy na wzgórzu rosły korzeniami do góry. Kochała swój język. Może jednak zdławiły go już syntetyki. Jej mit został wchłonięty przez inny, silniejszy. Johan sam myślał o tym wiele razy. Ale

tak łatwo żyło się tam, na górze. Dla niego było to odświętne, niedzielne życie. W zimie - psy, latem - znaczenie ciałąt, łowienie ryb, wędrówki.

- Na pewno usiłują postępować najlepiej, jak potrafią - powtórzył. - Utrzymać się. Tak samo jak wszyscy, którzy tam mieszkają. Chyba pod tym względem nie ma żadnej

560

różnicy między Lapończykami a pozostałymi. Kombinują po swojemu. To nie może być przecież nic nadzwyczajnego. Usiłują żyć życiem, które wiąże się z tym, co było dawniej. Większość chce pamiętać. Nie wszyscy mogą budować drogi dla przedsiębiorstwa. Nie wszyscy są uwikłani w to, by otoczenie przemieniać w Teren. - Wszyscy.

561

Korony liściastych drzew. Śpiące ptaki. Iskry między drzewami. Tutaj to już nie jest pamięć, tylko narośl, nowotwór. Powiększa się szybko, jak spustoszenie. Teren nie ma żadnych ścieżek. Ma urwiska i zapory, kamienie, obalone drzewa, rozłogi. Sieć dróg dla samochodów prowadzącą hen, dalej. Wiele dróg biegnących ku wyrąbanym połaciom. Żwir na poboczach. Odłamki. Wyschnięte systemy korzeni. Beczki ropy. Torsten zbudował tę sieć. Skoro nienawidzisz go za to, kryjesz się w koronach drzew, przemykasz ścieżkami u podnóża sosen, gdzie żyły głuszce, których już nie ma — to przepadłeś, zżera cię rak, zwany tęsknotą. Powinieneś nienawidzić siebie. Wiesz, co zrobiłeś, w czym brałeś udział. To pośpiech, nic innego. Wielki pośpiech. Wszyscy tak się śpieszą do śmierci. Ścieżki biegną i znikają, podobnie jak drogi, jak lasy. Najgorsze, że stało się to tak szybko. Masz już tylko teraźniejszość i jamę głodu.

Odczuwaj nienawiść do samego siebie.

Nachyl się nad lustrem wody i odczuwaj tę nienawiść.

562

Powiedziała to tak cicho, że musiał nachylić się ku niej.

- Wszyscy. Ty też. I Annie Raft. Choć ona uważała się za o wiele lepszą niż my. Ale i tak brała w tym udział.

- Nienawidziłaś jej?

Co za słowo. Nie odpowiedziała.

A jednak ona nienawidzi. Nigdy nie miałem odwagi dotknąć własnej nienawiści. Ona musnęła swoją. To wystarczyło. Uczucie nie było zbyt silnie uśpione.

Co mamy począć z nienawiścią do siebie samych - do zniszczenia? Co mamy robić? Wypełnia usta. Butwieniem. Goryczą. Smak, którego się nie poznaje. Niezwyczajne rzy-gowiny.

Chciałbym szybować ponad wszystkim jak Ylja - z kpina, sarkazmem, tkliwością.

Ponad koronami drzew, ponad płonącymi lasami, ponad oparami. Albo tylko pracować, zamknąć oczy i pracować, aby uśmierzyć ból, jak to robi Birger.

Uśmierzyć. Znieczulić.

A pogoda? Co człowiek robi? Stawia prognozy. Jest na służbie. Pięć dni z rzędu.

Małe cząstki kontrolowanej przyszłości. Posłuszna magia.

- To skończone, Johan. Kilkuset ludzi. Północnolapoński jeszcze przez jakiś czas się utrzyma. To się nazywa nostalgia, tego się już nauczyłam, i dobre jest dla ludzi zajmujących się kulturą. Tych, co piszą, tańczą i robią inne podobne rzeczy.

563

Teraz jednak właściciele renów pędzą stada na skuterach. To naprawdę nie jest lapońska kultura. To jest surowe. Szwedzkie. Wypatrują zwierzęta i pędzą je, siedząc

w helikopterze, na letnie pastwiska przewożą zwierzęta tirami. Żyją teraz innym życiem. My także. Ale żyjemy.

- Uczestniczyłaś w ich życiu, ale je porzuciłaś — powiedział Johan. — Sakka przynajmniej tego nie zrobiła. Z wyjątkiem chwil, gdy marzyła nad tygodnikami jako nastolatka.

- Tak, uczestniczyłam w nim. Ze wstydu. Z musu. Także z tęsknoty do czegoś innego. Bo byłam tylko człowiekiem, może przede wszystkim człowiekiem. Nawet Lapończyk może tęsknić do elektryczności. Ale ty przecież jesteś Lapończykiem. W spodniach z antylopy.

- Nie musisz ze mnie kpić - powiedział. - Wierzyłem w to.

- Więc nadeszła pora, byś przestał. Dziękuj Torstenowi i robotnikom budującym drogi za to życie, które miałeś. Za szkołę, uniwersytet i całą resztę. Za to, że mogłeś mieszkać u Sakki i Pera. Torsten zapłacił za każdy twój dzień. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby jedno obłąkańcze zdarzenie zniszczyło całe twoje życie. Życie szesnastolatka, co raz wpadł w szal.

- Ale przecież to nie byłem ja!

- Nie mogłam też dopuścić do tego, żeby zniszczyła całe twoje życie ta nauczycielka. Skoro wszystko tak się udało. Dokładnie tak, jak zaplanowałam. Chciałam, żebyś miał szansę stąd odejść. Zapomnieć o tamtym, jak gdyby nigdy się nie zdarzyło.

- Przecież się myliłaś!

Nie słyszała go albo już nie chciała słyszeć.

- Ciągłe węszyła. Pytała i rozgrzebywała stare sprawy. Nie masz pojęcia, jaka ona była. Jak się wtrącała do wszystkiego, choć nie pochodziła stąd. Tylko z ciekawości, ponieważ myślała, że wszystko wie lepiej od innych. Kiedy Magna

564

Wilhelmsson w czasie jarmarku opowiadała o Jonasie z Brann-bergu, który był twoim pradziadem, słyszysz, ona wstała i oświadczyła, że Magna zapomniała dodać, iż miał dzieci z obiema siostrami tam, na górze. Ze swoją żoną i jej siostrą. I powiedziała, że nie wolno zapominać o głodzie, gruźlicy i kazirodztwie, gdy mówi się, jak to bywało w dawnych czasach. Nie wolno opowiadać wyłącznie o tym, że tamci byli ludźmi ciężkiej pracy, że dziad wspaniale umiał obrabiać kamień, a ciotka śpiewała pieśni. Annie Raft rozgrzebywała stare dzieje i wtrącała się we wszystko. I myślę, że nigdy nie pojęła, iż ci, o których mówiła, to krewni żyjących ludzi. Trzeba wyjawiać prawdę, mówiła. Nie wolno zapominać. A potem przyszła i zaczęła drażnić tamto, co się stało nad Lobberan.

- Zobaczyła swoje dziecko z człowiekiem, którego uważała za zbrodniarza. Chciała je chronić.

Ale to nie docierało do Gudrun. Tylko ona jedna ma dziecko, pomyślał.

- Mia i ja będziemy mieli dziecko - powiedział. Teraz naprawdę na niego popatrzyła.

- To niemożliwe!

Tak, to było nieprawdopodobnie trudne. Annie i Gudrun. Dwie babki. Z biegiem lat wszystko wyjdzie na światło dzienne. To zbyt posępne, zbyt bezwzględne skazać dziecko na taką wiedzę, nawet jeśli dotrze ona do niego późno, już złagodzona i zafałszowana.

- To musi być możliwe - powiedział. Czuł, że nie chce z nią o tym mówić. Po prostu nie miała z tym nic wspólnego.

Dla tego, kto nienawidzi, może nadejść wyzwolenie. Śmiech Sakki. Dobroduszne niedbalstwo. Johanowi wydawało się, że widzi gumkę, która łączy guzik i dziurkę w rozporku dzinsów Mii. Jak się naciąga i sprężynuje.

565

- Połóż się na sofie - powiedział do Gudrun. - Spróbuj się trochę przespać. Może upłynie wiele czasu, zanim Birger Torbjórnsen zadzwoni.

Posłuchała go. Okrył ją pledem aż po brodę. Gdy dotknął jej ręk, poczuł, jakie są zimne.

Między nim a Gudrun wszystko pozostanie mniej więcej tak samo, jak dotąd. Choć teraz to on będzie od czasu do czasu przyjeżdżał ją odwiedzić. Torsten i ona pewnie się przeprowadzą, potem, kiedy Gudrun już wróci. Będą się wspólnie starzeć. Może w jakimś mieszkaniu. Wtedy Torsten nie dożyje późnej starości.

Torsten. Stał przed oczami taki, jakiego zobaczył pod lampą ganku, obok ciemnej, zmierzwionej ściany chmielu. Chudszy, niż przypuszczał, o twarzy głębiej poranej bruzdami, bardziej siwy.

Ten, kto nienawidzi, może zostać wyzwolony. Z tego nieprawdopodobnie nędznego bytowania. I z całego obłądu, w którym uczestniczył. Dla niektórych wyzwolenie przychodzi jako śmiech. Tak - Boże ty mój! Trzeba się jakoś pchać do przodu.

Dlaczego jednak nie wszystkim się udaje? - pomyślał dziecinnie. Moja mama. Tam, gdzie była dotąd, ziele teraz dziura. Dziura, która jest końcem.

Obszedł pomieszczenie dookoła i dotknął elektrycznego grzejnika. W sieni leżała cicho Saddle, wpatrując się w drzwi. Uświadomił sobie, że od czasu gdy Birger wyszedł po południu, suka nie była na dworze. Wypuścił ją i znów szybko zamknął drzwi.

Bał się Bjórnegu. Jego nietrudno mu było sobie wyobrazić nad Lobberan. Widział go, jak szlachtował zwierzęta. Zawsze on to robił. Prosiaki. Jagnięta. Stała mu przed oczami

566

jego twarz, kiedy zadawał cios. Napięta, zęby odsłonięte. To się nazywało archaiczny uśmiech. Większość ludzi widywała go tylko w muzeum. Ale ów uśmiech żył, emanował.

Johan stał w kuchni przy uchylonej roletcie i widział, jak Saddle przysiadła trochę dalej, na trawniku, i długo siusia. Wróciła natychmiast.

Gdy wszedł do pokoju, Gudrun leżała z zamkniętymi oczami. Nie sposób było się zorientować, czy śpi. Ze szczupłej twarzy ustąpiło napięcie. Wygladzona, nabrała dziecinnego wyrazu. Bardzo dobrze mógł wyobrazić sobie dziewczynkę, która czyta tygodniki ilustrowane i studiuje wygląd uróżowanych kobiet, ich włosy ułożone w nienaturalne i sztywne fale. Sakka także opowiadała o tym, jak czytały o gwiazdach filmowych i próbowały się do nich upodobnić. Zapatrzyły się na Avę Gardner. Będą wyglądały tak jak ona. Zwilżyły włosy piwem i ciasno nawinęły na irchowe papiloty babci. Usta pomalowały zwilżonym czerwonym ołówkiem.

Małe, drobne usta Gudrun o mocno zaciśniętych wargach.

Sakka śmiała się z tego wszystkiego. Kiedy o tym opowiadała, tak się zaśmiewała, aż piersi jej się trzęsły. Ale ta druga dziewczynka, nadzwyczaj poważna, leżała teraz na sofie Annie Raft, przykryta szarym pledem. Wyglądało na to, że od tamtej pory w ogóle się nie zmieniła.

567

Samotność. Chrobotanie myszy. Trzaskanie w piecu. Gwałtowne ulewy na blaszanym dachu. Brzozy wstrząsane ostrym wiatrem od gór. Żółte liście opadały i kleiły się do okien chaty.

Birger nie brał udziału w polowaniu. Otaczała go cicha samotność. Jezus z kolorowej odbitki patrzył na niego łagodnie, a zarazem niepokojąco. Birger przekartkował Nos-

tradamusa, ale odłożył go. Uchowaj Boże! W szufladzie stołu była talia kart, więc układał pasjansa, które pamiętał.

Teraz jestem sam, pomyślał. Tylko ja.

Klößen było szare, zryte białymi falami. Pojawiało się na moment, gdy wiatr kołysał koronami brzoź i robiła się szczelina. Kruki zdawały się sfruwać prosto z nieba, wrzeszcząc i papląc.

Miał dość dużo jedzenia, pełen plecak. Był zdecydowany pozostać tak długo, aż Bjórne wróci. Jego samochód znaleziono tuż powyżej wsi. Nie mógł pójść nigdzie daleko. Birger nie chciał, żeby po powrocie do chaty Bjórne zastał policję. Wtedy znów wszystko mogłoby się potoczyć niewłaściwym torem.

Zdaniem policji, Birger nie powinien tam zostawać. On jednak nie opuszczał łąki i rzadko wychodził z chaty. Narąbał trochę szczap i wniósł je do środka. Przygotował sobie drzazgi na podpałkę. Naciął kory brzoźowej. Chodził do

568

wygódki. Przyniósł dwa wiadra wody, napełnił gar i zagrzał na piecu. Potem umył się porządnie. Pod stołkiem, na którym stała miednica, rozłożył gazety. Później przygotował kawę.

Rozumiał, że tak właśnie człowiek powinien robić. Rozdzielać dzień na części. W końcu mimo wszystko nadszedł wieczór. Radio grało cicho przez pierwsze dwie doby, chociaż baterie były niemal wyczerpane. Potem umilkło. Był sam.

Wieczorem zobaczył, jak grzbiety górskie za Klößen ciemnieją w jesiennym zmroku. Zachowały jeszcze trochę koloru, część była całkiem złota, ciemnozłota. Zieleń przybrała odcień dymnoszary i ziemisty. Pachniała dymem. Gdy wiatr ucichł, dym z pieca ścielił się nisko i cała okolica pachniała tak samo jak kolory. Mrok gęstniał coraz bardziej. Na ziemi i w dymie pojawił się fiolet. Chmury za grzbietami gór wyglądały jak złoto, wysnuwające się ze zboczy. Okno w letniej kuchni lśniło.

Przyszło mu na myśl, że w Klößen może być srebro. Poniżej kościoła, tuż przy ujściu strumienia Róback. Pewien Lapończyk ujrzał raz w noc Bożego Narodzenia otwartą żyłę. Tak, jak Bóg na niebie.

Trzy szyby w oknie letniej kuchni błyszcząły. Czwarta była zasłonięta kawałkiem tektury. W górze krążyła wrona.

Gdyby nie jadł i nie podzielił dnia czynnościami, gdyby położył się na łóżku i wsłuchiwał w ten nieczłowieczy chrobot w ścianach z bali, w szelest turzycy - wkrótce znalazłby się na granicy. Nie chciał tego. Wolał już raczej czytać Nostradamusa. To w każdym razie zostało napisane przez człowieka.

Rano wszystko dookoła tonęło we mgłę. Nie widział nic, ani grzbietów górskich, ani wody Klößen, nic. Z mokradła wyłoniły się dwa czy trzy zbite kształty. Tak, to były na

569

pewno świerki. Anna Starr twierdziła, że raz podczas mgły widziała na moczarach Artura Fransę. Że się tam ukazał. Durne baby, pewnie chciały, żeby można było zobaczyć zmarłych. Tylko po co?

Zerwał się wiatr i rozpędził mgłę. Zbite kształty też zniknęły. A więc to pewnie nie były świerki. Może łosie.

Powiódł wzrokiem po ciepłym lesie, przez który ciągnął północnozachodni wiatr. Poszarpana powierzchnia wody. Załzawione okna kuchni.

Szukać kryjówek. Kucnąć. Wpełznąć. Wcześniej czy później on musi przyjść.

Nastała noc. Birgera wiele razy budził jakiś szelest. Za każdym razem myślał, że to Bjórne. Teraz odwrócił się na bok, chcąc ponownie zapaść w płytki, łatwy do zakłócenia sen.

Wtedy skrzypnęły drzwi do sieni. Potem usłyszał nikły dźwięk. Zorientował się, że tamten stoi i wciąga nosem powietrze. Tak, po zapachu musiał się zorientować, że ktoś tu jest. W powietrzu stała woń smażonej kiełbasy, gotowanej kawy, piec był jeszcze na wpół ciepły.

- To tylko ja - odezwał się Birger półgłosem. Wstał z niskiego łóżka i wszedł do kuchni.

- Wejdz.

Gdy zapalił naftową lampę, zobaczył go przy drzwiach. Bjórne był kompletnie przemoczony. Z pociemniałego ubrania skapywała na podłogę woda. Policzki pokryte szarą szczecinią zapadły się, wokół ust coś się rozmazało.

- Gdzieś ty był?

- W Klemmingsberg.

Był to stary schron, na górze Torsberg, który podczas wojny wysadzono w powietrze i nazwano tak na cześć

570

majora Klemminga. Birger myślał, że już dawno temu się zawalił.

- Daj, obejrzę twój kciuk.

Bjórne okręcił palec paskiem materiału oderwanego od koszuli. Zawinięty kciuk sterczał, sztywny i brązowy.

- Teraz mam wszystko ze sobą i mogę założyć szwy - powiedział Birger. - Pytanie tylko, czy to się uda. Cholera, po takim czasie rana musi wyglądać paskudnie! Przymuszczalnie będę mógł jedynie zmienić opatrunek. Zrobię ci coś gorącego do picia. Kiedy skończę z raną, możesz się przespać. Nie zejdziemy na dół wcześniej niż jutro.

Bjórne nic nie odpowiadał, kołysał się lekko. Nie mógł sam ściągnąć butów. Były pełne wody. Birger musiał długo szarpać, zanim udało mu się je zdjąć. Chciał rozpalić w piecu i ucieszył się, że zostało jeszcze trochę żaru. Potem pomógł Bjórnemu zdjęć jedną sztukę bielizny po drugiej, aż ten nagi stanął na wprost pieca. Duży mężczyzna. Podudzia i ręce znaczyło wiele blizn. Twarz i część ramion miał opaloną. Czoło ponad śladem odcisniętym przez brzeg czapki było białe. Skóra na ciele miała kolor białożółty, nad żołądkiem obwisła. Głodował. Kępka włosów pod brzuchem przerzedziła się. Za wcześnie, pomyślał Birger. Za wcześnie też skurczył się członek, a moszna pomarszczyła.

Opukał Bjórnego lekko i posłuchał serca. Wszystko było w porządku, wiedział o tym. Serce biło równo. Pierś unosiła się i opadała w rytmicznym oddechu. Birger uważał jednak, że ten człowiek powinien czuć czyjś dotyk.

Vademecum Interesującej Prozy VIP

Dotychczas ukazały się:

Pavel Kohout

Anais Nin -

Graham Swift

Martin Walser -

Erik Orsenna

John Irving

Gabriel Garcia Marquez

Isabel Allende

Donald Barthelme

Josef Haslinger

Henry Miller

Rubem Fonseca

Gabriel Garcia Marquez
Paolo Barbaro
Heinrich Boli
Eric Zencey
Anais Nin
Luis Sepulveda
Martin Amis
Eduardo Mendoza
Iris Murdoch
Kacica
Henry i June
Raz na zawsze
Bez wzajemności .
Wielka miłość |''''||• ?
Syn cyrku
o miłości i innych demonach
Dom duchów
Raj
Bał w operze
Ciche dni w Clichy
Wielkie emocje
Kronika zapowiedzianej śmierci
Dzienniki z klasztoru w Padwie
Anioł milczał
Panama
Kazirodztwo
o starym człowieku, co czytał romanse
| Strzała czasu
| Rok potopu
| Dylemat Jacksona
W przygotowaniu: Isabel Allende - Ewa Luna
sami swoi
KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYNSKI PORPIRION JiSiet.BR
Jarosław
Iwaszkiewicz
Siawa i chwała

Warszawskie Wydawnictwo

Literackie MUZA SA poleca serię - SAMI SWOI

W tej serii prezentowane są zarówno dzieła, które na stałe wpisały się w polską kulturę literacką, jak i nowe książki uznanych już twórców i debiutantów. Z jednej strony pragniemy, by na rynku wydawniczym znalazły swoje stałe miejsce dzieła, które z różnych względów wpłynęły na wrażliwość współczesnych Polaków, na ich wyobraźnię, pamięć, poczucie humoru, język, z drugiej prezentować pisarzy nowych, dokumentować nowe zjawiska. Seria ta prezentuje literaturę polską w całej jej różnorodności - nie tylko powieści, opowiadania, ale i reportaże, scenariusze filmowe, literaturę dramatyczną poezję (również tę określaną jako „poezję śpiewaną”). Poprzez publikowane w tej serii teksty, jej kształt graficzny, odwołania, dobór autorów pragniemy przypomnieć, utrwalić i kontynuować to, co w polskiej kulturze współczesnej stanowiło i stanowi o jej specyfice, współtworzonej przez

poezję i teatr, reportaż i film, kabaret i plakat, prozę i piosenkę. Jednym chcemy przypomnieć zjawiska, które były ich wielką przygodą emocjonalną, drugim ukazać żywotność tej przygody.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. (0-22)8277236, 6215058

Dział zamówień: (0-22) 6286187

Warszawa 1997 Wydanie I

Skład i łamanie: MUZA SA

Przygotowanie do druku: P.U.P. Arspoł, Bydgoszcz Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia

Dzielowa SA, Łódź

I